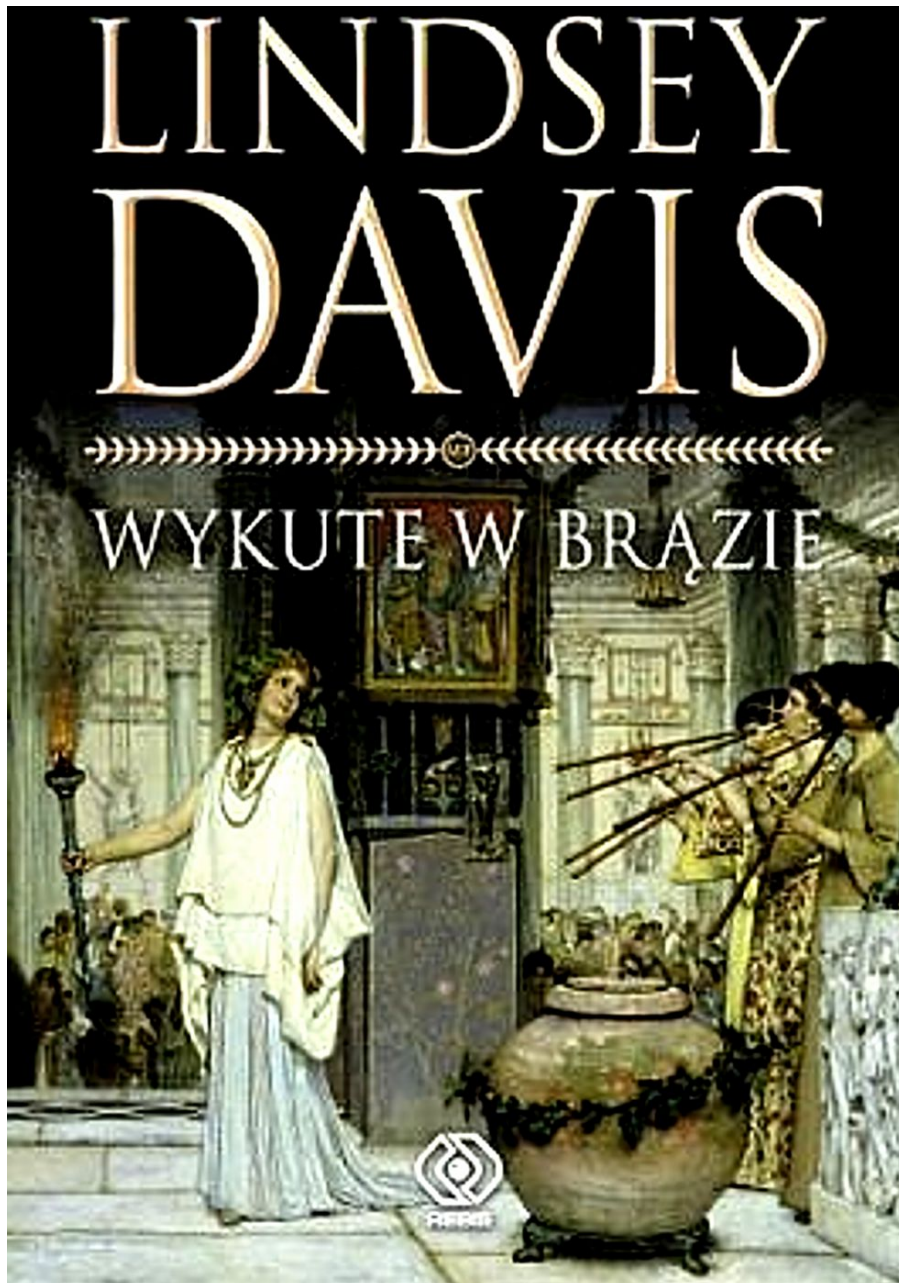




Cykl o MARKU DYDIUSZU FALKONIE



tom 2 - Wykute w brązie



Księgozbiór DiGG



2010



DRAMATIS PERSONAE

PAŁAC CESARSKI

| | |
|-------------------------|---|
| <i>Wespazjan</i> | Władca świata (z pustą szkatułą) |
| <u>Jego synowie:</u> | |
| <i>Tytus</i> | (Skarb) |
| <i>Domicjan</i> | (Utrapienie) |
| <u>Jego urzędnicy:</u> | |
| <i>Anakrytes</i> | „Sekretarz” (naczelný szpieg) |
| <i>Momus</i> | „Nadzorca niewolników” (kolejny szpieg) |
| <i>M. Dydiusz Falko</i> | Detektyw (nie szpieg) |

OKRYCI HAŃBĄ UCZESTNICY NIEDAWNO STŁUMIONEGO SPISKU

| | |
|-----------------------------|--|
| <i>Gnejusz A. Pertynaks</i> | (Martwy) |
| <i>NN</i> | Ciało w magazynie (nadzwyczaj nieżywe) |
| <i>A. Kurcjusz Longin</i> | Z powodów religijnych poza Rzymem |
| <i>A. Kurcjusz Gordian</i> | Jak wyżej |
| <i>L. Aufidiusz Kryspus</i> | Na morzu |
| <u>Ich ludzie:</u> | |
| <i>Barnabas</i> | Ulubiony wyzwolenc Pertynaksa |
| <i>Milo</i> | Zarządca, majątku Gordiana; osobnik ogromnej postury |
| <i>„Mikrus”</i> | Pomagier Milona; osobnik mizernej postury |
| <i>Bassus</i> | Bosman Kryspusa |

PRZYJACIELE I KREWNI FALKONA

| | |
|-----------------------------------|---|
| <i>Matka Falkona</i> | Siła, z którą należy się liczyć |
| <i>Galla</i> (z tych udęczonych) | Siostra Falkona, żona przewoźnika |
| <i>Lariusz</i> | Syn Galii i przewoźnika, romantyk |
| <i>Maja</i> (z tych rozsądnych) | Druga siostra Falkona |
| <i>Famia</i> (weterynarz) | Mąż Mai, czarny koń |
| <i>Miko</i> (tynkarz) | „Powołaj się na mnie!” |
| <i>L. Petroniusz Longus</i> | Dowódca patrolu straży awenturyńskiej; najbliższy przyjaciel Falkona. Miły człowiek |
| <i>Arria Sylwia</i> | żona Petroniusza. Niewiasta kompetentna |
| <i>Petronilla, Sylwana, Tadia</i> | Ich córki |
| <i>Ollia</i> | Niania ich córek |
| <i>Młody rybak</i> | Fatygant niani |
| <i>Lenia</i> | Właścicielka pralni „Pod Orłem” |
| <i>Juliusz Frontyn</i> | Pretorianin; znał brata Falkona, ale nieraz tego żałuje |
| <i>Geminus</i> (licytator) | Być może jest ojcem Falkona, ale woli |

| | |
|-----------------------|--|
| <i>Glaukos</i> | myśleć, że nim nie jest Trener Falkona; poza tym człowiek rozsądny |
| <i>D. Kamil Werus</i> | Senator mający pewien kłopot |
| <i>Julia Justa</i> | jego małżonka |
| <i>Helena Justyna</i> | Kłopot ich obojga. Była żona Acjusza Pertynaksa (jej kłopot) i była dziewczyna Falkona (jego kłopot) |
| <i>Imię nieznane</i> | Odźwierny (idiota) |

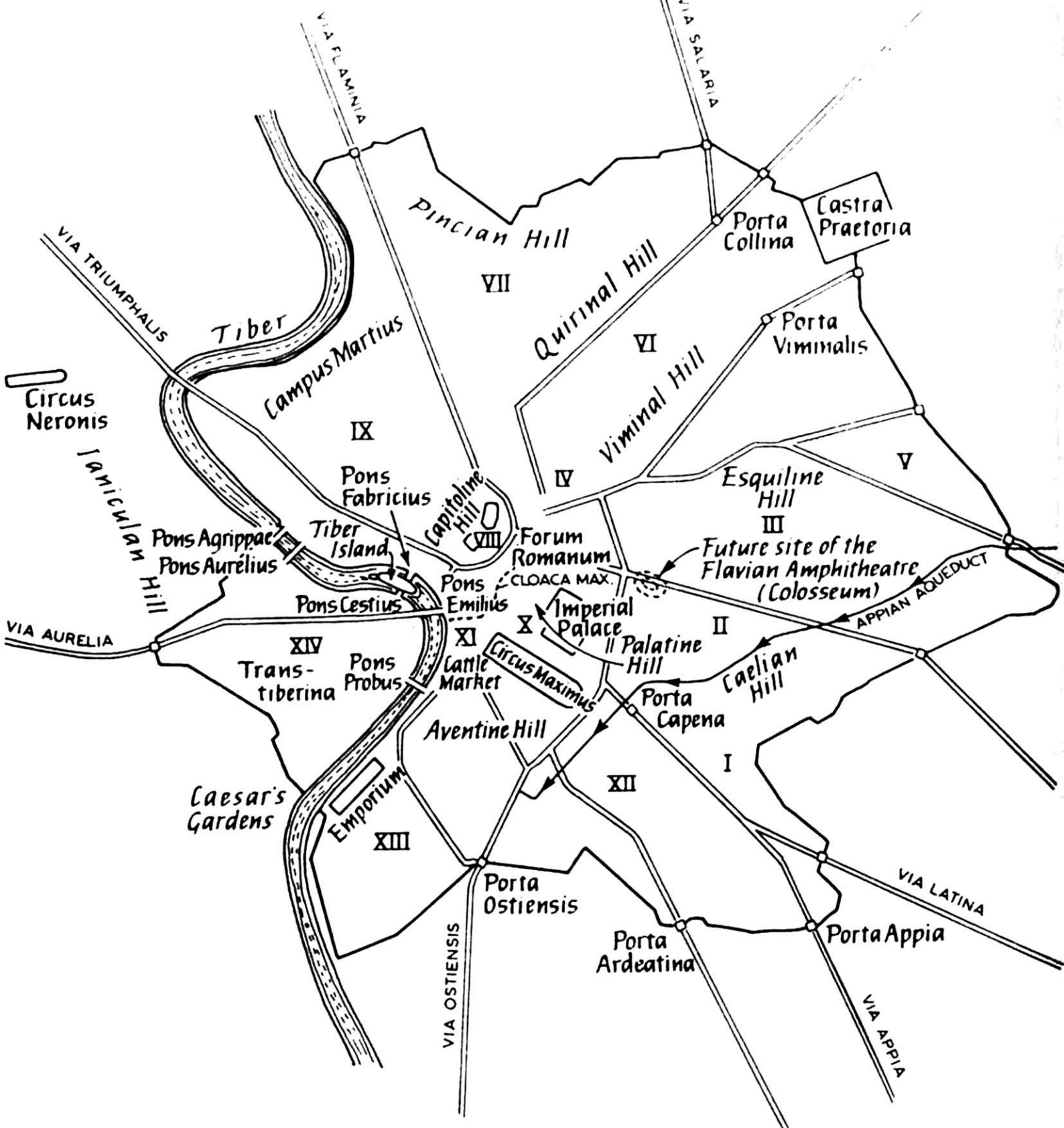
OSOBY POJAWIAJĄCE SIĘ NA DRODZE FALKONA PODCZAS WYKONYWANIA PRZEZ NIEGO OBOWIĄZKÓW SŁUŻBOWYCH

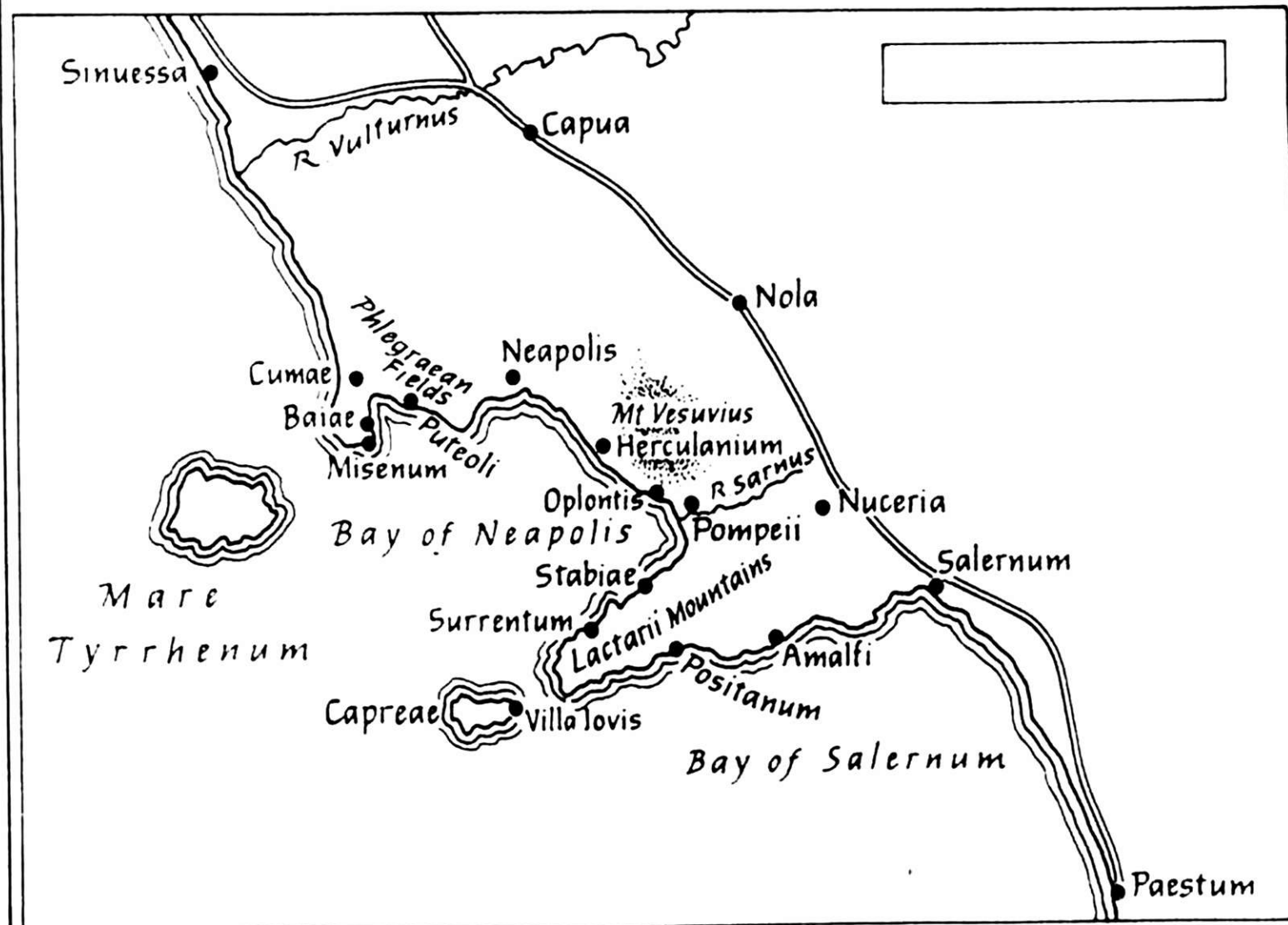
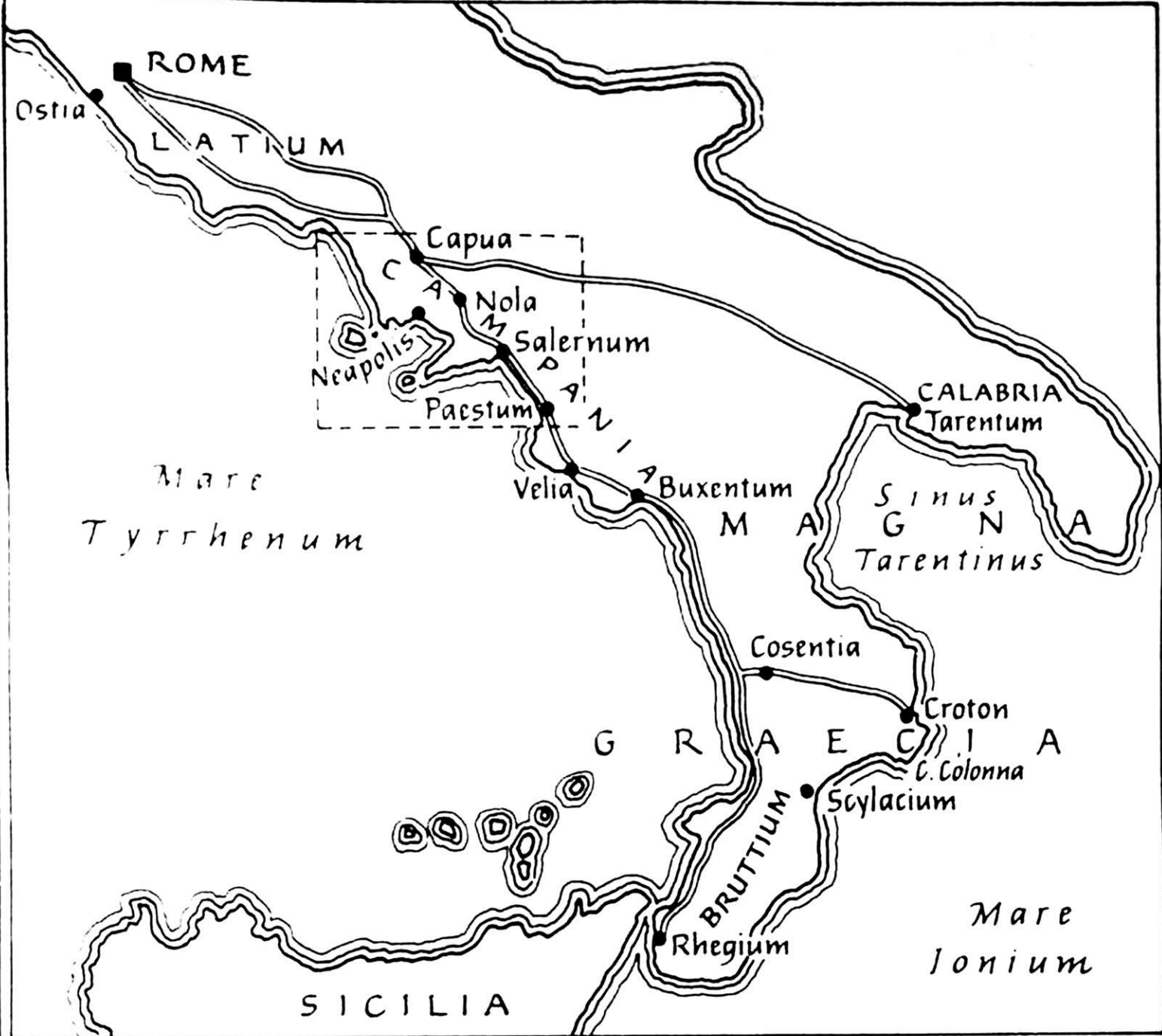
| | |
|----------------------------|--|
| <i>Imię nieznane</i> | Kapłan w Świątyni Herkulesa Gaditanusa na Awentynie |
| <i>Tullia</i> | Dziewczyna z winiarni na Zatybrzu ze śmiałymi zamysłami |
| <i>Lezus</i> | Uczciwy kapitan żeglugi morskiej z Tarentu |
| <i>Wentrykul</i> | Hydraulik z Pompejów (całkiem uczciwy jak na hydraulika) |
| <i>Roscjusz</i> | Przyjazny dozorca więzienny w Herkulanum |
| <i>Emiliusz R. Klemens</i> | Sędzia z Herkulanum wyróżniający się wspaniałym pochodzeniem oraz zadziwiającym brakiem rozsądku |
| <i>Emilia Fausta</i> | Jego siostra, niegdysiejsza oblubienica Aufidiusza Kryspusa |
| <i>Kapreniusz Marcel</i> | Sędziwy eks-konsul. Przybrany ojciec Acjusza Pertynaksa, nieodznaczający się zbytnim rozsądkiem |
| <i>Bryon</i> | Trener wierzchowców Pertynaksa znajdujących się w majątku Marcela |

INNE NAPOTKANE PRZEZ FALKONA STWORZENIA

| | |
|----------------------|---|
| <i>Imię nieznane</i> | Koza ofiarna |
| <i>Nero</i> | (znany też jako Kropa). Zażywający wywczasów wół |
| <i>Kłapouch</i> | Dość zaskoczony osioł |
| <i>Cerber</i> | (znany też jako Fido) Przyjacielski pies podwórzowy |
| | <u>Wierzchowce Pertynaksa:</u> |
| <i>Śmiałek</i> | Czempion |
| <i>Czaruś</i> | Pośmiewisko |









CZĘŚĆ 1

ZWYKŁY DZIEŃ

RZYM

późna wiosna A.D. 71



I

Kiedy zbliżyłem się do końca zaułka, poczułem, jak drgają mi włoski w nozdrzach. Był późny maj i od tygodnia w Rzymie panowała ciepła aura. Wiosenne słońce żwawo atakowało dach magazynu i wnętrze budynku wypełnił stęchły zaduch. Te wszystkie wschodnie przyprawy korzenne na pewno nieznośnie śmierdzą, a ciało, które przyszliśmy pochować, napęczniało gazami i zaczęło się rozkładać.

Przyprowadziłem z sobą czterech ochotników z gwardii pretoriańskiej oraz ich dowódcę, Juliusza Frontyna, który znał mojego brata Festusa. We dwóch zerwaliśmy łańcuch z bramy od strony zaułka, po czym przechadzaliśmy się po dziedzińcu, na którym kiedyś ładowano towary, podczas gdy tamci czterej rozwalali zamek przy wielkich drzwiach wewnętrznych.

- Falko - mruknął Frontyn, kiedy czekaliśmy na rezultat ich wysiłków - zapamiętaj sobie raz na zawsze, że nigdy nie znałem twojego brata! To absolutnie ostatnie paskudztwo, do jakiego udało ci się mnie namówić...

- Drobną osobistą przysługą wyświadczona cesarzowi... Festus miałby na to stosowne określenie!

Frontyn używał owego określenia mojego brata, które nie było ani trochę wytworne.

- Łatwe zajęcie, takie cesarzowanie! - zauważyłem niefrasobliwie. - Elegancki strój, darmowa kwatery, najlepsze miejsce w cyrku... i tyle migdałów w miodzie, ile tylko zechcesz!

- Dlaczego Wespazjan wybrał akurat ciebie do tej roboty?

- Daję się tyranizować, no i potrzebowałem pieniędzy.

- Ano tak, logiczny wybór!

Nazywam się Dydiusz Falko, dla bliskich przyjaciół Marek. W tym czasie miałem trzydzieści lat, byłem obywatelem Rzymu. Oznaczało to, że urodziłem się w dzielnicy nędzy, wciąż w niej mieszkalem i pomijając jakieś chwilowe mrzonki, byłem pewien, że tam dokonam żywota.

Byłem detektywem, z którego usług sporadycznie korzystał pałac.

Pozbycie się gnijącego ciała, którego właściciel znajdował się na cenzorskiej liście obywateli, mniej więcej odpowiadało wymogom mojej pracy. Niehigieniczne, niereligijne i odbierające apetyt.

W swoim czasie prowadziłem sprawy dotyczące wiarołomstwa, drobnych oszustw i matactw. Składałem przed sądem zeznania ujawniające przypadki tak spektakularnego rozpasania wysoko urodzonych senatorów, że nawet pod rządami Nerona nie dawało się ich zatuszować. Odnajdowałem nic niewartych potomków zamożnych ludzi i broniłem beznadziejnych spraw wdów bez schedy, które poślubiały swoich pozbawionych zasad moralnych kochanków... zaraz po tym, jak udało mi się uzyskać dla nich jakieś pieniądze. Większość klientów próbowała mi umknąć bez uiszczenia zapłaty, podczas gdy większość klientek chciała płacić na swój sposób. Możecie zgadnąć jaki; nigdy nie był to dorodny kapłon czy ryba.

Po wojsku pięć lat tak żyłem jako wolny strzelec pracujący na zlecenie. Potem dostałem propozycję od cesarza, że jeśli dla niego popracuję, to rozważy podniesienie mojego statusu społecznego. Suma pieniędzy, jaką musiałbym zarobić, żeby zostać do tego uprawnionym, była nierealna, jednak taki awans stałby się powodem do dumy mojej rodziny, zawiści przyjaciół i głębokiej irytacji pozostałych przedstawicieli warstwy średniej. Wszyscy mi mówili, że takie szalone przedsięwzięcie warte jest drobnego odstępstwa od moich republikańskich przekonań. Teraz byłem cesarskim agentem... i nie sprawiało mi to przyjemności. Byłem nowy, więc obarczali mnie najgorszymi zadaniami. Na przykład tym truposzem.

Dziedziniec magazynu przypraw korzennych znajdował się w dzielnicy handlowej, na tyle jednak blisko Forum, by dochodził zgiełk z tego tłumnie uczęszczanego placu. Słońce świeciło; stadka jaskółek śmigły po błękitnym niebie. Jakiś wychudzony kot, bez najmniejszego wyczucia sytuacji, zajrzał przez otwartą furtkę. Z pobliskiej posesji dawało się słyszeć pisk krążka linowego i pogwizdywanie robotnika, choć większość tych miejsc wydawała się opuszczona, jak to bywa z magazynami i składami drewna, szczególnie kiedy człowiek chce, żeby mu ktoś sprzedał jakąś tanią deskę.

Gwardzistom udało się wreszcie otworzyć zamek. Obwiązaliśmy sobie z Frontynem twarze chustkami i pociągnęliśmy do siebie wysokie wrota. Buchnął stamtąd ciepły odór, aż nas odrzuciło; jego powiew zdawał się przyklejać nam odzienie do skóry. Weszliśmy do środka i... stanęliśmy jak wryci. Zalała nas fala pospolitego lęku.

Wokół panował przerażający spokój... wszędzie z wyjątkiem tego miejsca, nad którym od wielu dni krążyły chmary much. Wysoko, na tle małych matowych okien w powietrzu unosił się wonny, rozsloneczniony pył. Niżej było mroczniej. Pośrodku podłogi dostrzegliśmy jakiś kształt: ciało mężczyzny.

Zapach rozkładu jest łagodniejszy, niż się spodziewamy, niemniej jednoznaczny.

Wymieniliśmy z Frontynem spojrzenia niepewni, co robić. Zacząłem delikatnie unosić togę, którą okryto ciało, puściłem ją jednak z obrzydzeniem.

Ten człowiek leżał martwy w magazynie korzennym przez jedenaście dni, zanim jakiś bystrzak z pałacu przypomniał sobie, że należy go pochować. Po takim długim czasie niebalsamowane ciało, leżące w dusznym, zamkniętym pomieszczeniu, rozwarstwiało się niczym dobrze upieczona ryba.

Wycofaliśmy się na chwilę, żeby zebrać siły.

- Osobiście go wykończyłeś? - wychrypiął Frontyn.

Pokręciłem głową.

- Nie miałem zaszczytu.

- Morderstwo?

- Dyskretna egzekucja... uniknięcie niewygodnego procesu.

- Co zrobił?

- Zdrada. Jak sądzisz, dlaczego angażuję w to pretorianów?

Pretorianie byli elitą Straży Pałacowej.

- Po co te tajemnice? Nie lepiej było przykładowo go ukarać?

- Nie, bo oficjalnie nasz nowy cesarz spotkał się z powszechnym uznaniem. Spiski przeciwko Wespazjanowi przecież się nie zdarzają!

Frontyn mruknął coś kwaśno.

W Rzymie roiło się od spiskowców, choć trzeba przyznać, że większość ponosiła porażkę. Ten tutaj przeciwstawiał się losowi sprytniej niż inni, ale i tak leżał teraz na zakurzonej podłodze obok plamy własnej wyschniętej, szerniałej krwi. Kilku współspiskowców czmychnęło z Rzymu, nie zwracając sobie głowy zabieraniem zapasowych tunik, czy flaszki wina na drogę. Przynajmniej jeden nie żył... znaleziono go uduszonego w celi ponurego więzienia mamertyńskiego. Tymczasem Wespazjan i jego dwaj synowie, którzy spotkali się w Rzymie ze zdecydowanie pozytywnym przyjęciem, zabrali się do odbudowy imperium po dwóch latach wyniszczającej wojny domowej. Najwyraźniej już wszystko było opanowane.

Spisek stłumiono; pozostało pozbyć się gnijącego dowodu jego istnienia. Pozwolenie rodzinie na zorganizowanie tradycyjnego pogrzebu, z konduktem, flecistami i paradą wynajętych żałobników przebranych za sławnych przodków zmarłego, wydało się układnym pałacowym sekretarzom marnym pomysłem na utrzymywanie nieudanego spisku w tajemnicy. Rozkazali zatem drobnemu urzędnikowi załatwienie taktownego chłopca na posyłki; ten zaś posłał po mnie. Miałem dużą rodzinę, która na mnie liczyła, i gospodarza gwałtownika, któremu zalegałem od kilku tygodni z czynszem; dla cesarskich sługusów, którzy mieli załatwić nietypowy pochówek, byłem więc łatwym celem.

- No cóż, stanie w miejscu nie poruszy go...

Odrzuciłem do końca przykrycie, odsłaniając całego trupa.

Ciało leżało tak, jak padło, lecz było obrzydliwie zmienione. Wyobrażaliśmy sobie, jak zapadają się trzewia, kiedy roją się w nich robaki. Nie miałem odwagi spojrzeć na jego twarz.

- Na Jowisza, Falko! Ten drań był ekwita! - Frontyn robił wrażenie zakłopotanego. - Powinieneś wiedzieć, że żaden ekwita nie odchodzi z tego świata bez ogłoszenia w *Acta Diurna*, by zawiadomić bogów Hadesu, że cień ważnej osobistości oczekuje najlepszego miejsca w łodzi Charona...

Miał rację. Gdyby pojawiło się gdzieś ciało odziane w lamowaną wąskim purpurowym pasem togę ekwity, wścibscy biurokraci koniecznie chcieliby wiedzieć, czyim synem czy ojcem był ten bezcenny osobnik.

- Miejmy nadzieję, że nie jest wstydlivy - wyszeptałem. - Trzeba go rozebrać...

Juliusz Frontyn ponownie posłużył się mało wytwornym określeniem używanym przez mojego brata.



II

Pracowaliśmy szybko, tłumiąc obrzydzenie.

Musieliśmy zerwać dwie tuniki śmierdzące ekskrementami. Jedyne najbardziej odporny handlarz używaną odzieżą byłby w stanie przejrzeć te łąchmany na tyle dokładnie, by odnaleźć haftowane wszywki z imieniem właściciela. Ale przecież nie mogliśmy ryzykować.

Wyszliśmy na dziedziniec i oddychając głęboko, spaliliśmy wszystko, co się dało; spaliliśmy nawet na popiół jego buty i pas. Na palcach miał ozdoby. Frontynowi udało się je ściągnąć; złotą obrączkę, wskazującą na przynależność do warstwy średniej, ogromną szmaragdową kameę, sygnet i jeszcze jakieś dwa pierścienie z wyrytym kobiecym imieniem. Nie można było ich sprzedać, musiały zniknąć; zamierzałem jeszcze tego samego dnia wrzucić je do Tybru.

W końcu obwiązawszy prawie nagie zwłoki powrozem, wciągnęliśmy je na nosze, które przytargaliśmy z sobą. Już miałem nogą poprawić ułożenie ciała, ale się rozmyśliłem.

Milczący pretorianie pilnowali wylotu zaułka, podczas gdy Frontyn i ja, zataczając się, doszliśmy do studzienki Cloaca Maxima, gdzie wrzuciliśmy nasze brzemię. Nasłuchiwaliśmy; z dna obok schodków doszedł nas plusk. Bardzo szybko zajmą się nim szczury. Kiedy następna letnia burza przetoczy się przez Forum, resztki zwłok spłyną do rzeki pod potężnym przepęsem mostu Emiliusza i albo utkną na palach, strasząc przepływających łodziami, albo woda poniesie je dalej, do jakiegoś nieznanego, nieoznaczonego miejsca spoczynku w morzu, gdzie niewybredne ryby dokończą dzieła.

I po kłopotach; Rzym nie poświęci nawet jednej myśli zaginionemu obywatelowi.

Wróciliśmy na dziedziniec. Najpierw spaliliśmy nosze i splukaliśmy podłogę magazynu, potem wyszorowaliśmy dłonie, ramiona, nogi i stopy. Przyniosłem cebrzyk czystej wody i umyliśmy się raz jeszcze, po czym wylałem wodę na ulicę.

Ktoś w naciągniętym na oczy kapturze zielonego płaszcza zatrzymał się, kiedy zobaczył mnie przy bramie. Skinąłem głową, nie patrząc mu w twarz. Jakiś szacowny obywatel podążał beztrosko przed siebie, zajęty swoimi sprawami i nieświadomy ponurej sceny, którą właśnie przegapił.

Zastanawiałem się, czemu był tak okutany, zważywszy na panującą ciepłą pogodę; czasami odnoszę wrażenie, że w Rzymie wszyscy przemykają zaułkami w sprawach, które najlepiej załatwiać w przebraniu.

Powiedziałem, że pozamykam.

- No to my znikamy! - ucieszył się Frontyn i zabrał swoich chłopców na zasłużonego kielicha.

Mnie nie zaprosił... i trudno mu się dziwić.

- Dzięki za pomoc. Do zobaczenia, Juliuszu...

- Na pewno nie, jeśli tylko mnie pierwszemu uda się ciebie zobaczyć! - uciał.

Kiedy już zostałem sam, stałem chwilę z ciężkim sercem, ale zaraz moje oko padło na interesujący stos przy zewnętrznym murze dziedzińca, dyskretnie przykryty starymi skórami. Jako syn licytatora nie potrafiłem przejść obojętnie obok żadnej porzuconej rzeczy, która nadawałaby się do sprzedania.

Pod starymi skórami kryło się kilka dziarskich pajaków oraz pokaźny stos ołowianych sztab. Pajaki były mi obce, ale sztaby to starzy przyjaciele; spiskowcy zamierzali wykorzystać skradzione srebro, żeby przekupstwem utorować sobie drogę do władzy. Wszystkie sztaby zawierające cenny kruszec zostały odzyskane przez pretorianów i przewiezione do świątyni Saturna, jednak złodzieje, którzy szmuglowali je z brytańskich kopalń, skwapliwie oszukiwali spiskowców, wysyłając im duże ilości ołowiu... bezużytecznego przy przekupstwie. Najwyraźniej pozostawiono tutaj ten ołów do czasu, kiedy przybędą cesarskie wozy transportowe, ułożono go więc porządnie, z wojskową precyzją, każdy rząd pod kątem prostym w stosunku do poprzedniego. Sztaby ołowiane posiadają pewną wartość dla człowieka mającego odpowiednie kontakty... przykryłem je ponownie, jak przystało na uczciwego sługę państwa.

Zostawiłem bramę otwartą i wróciłem nad studzienkę prowadzącą do Cloaca Maxima. Ze wszystkich cuchnących trupów przegranych przedsiębiorców, jakie walają się po Rzymie, ten byłby ostatnim, którego chciałbym potraktować tak lekceważąco. Każdy zdrajca ma rodzinę, a rodzinę tego znałem akurat osobiście. Jego najbliższy krewny, który powinien sprawić mu pochówek, był senatorem, a córka senatora bardzo wiele dla mnie znaczyła. Kłopotliwa sytuacja w typowo Falkonowym stylu: mając do czynienia z członkami szacownego rodu, na których usiłowałem zrobić korzystne wrażenie, musiałem się popisać wspaniałym charakterem, wrzucając bez ceremonii ich martwego krewnego do kanału ściekowego...

Pomrukując pod nosem, ponownie uniosłem pokrywę studzienki, wrzuciłem do środka garść ziemi i wymamrotałem te najniezbędniejsze słowa z ceremonii pogrzebowej: „Bogom ciemności ślę tę duszę...”

Cisnąłem w dół miedziaka na opłacenie przewoźnika i krzepiłem się nadzieją, że jeśli Fortuna zechce się do mnie uśmiechnąć, to już nigdy więcej o nim nie usłyszę.

Nie miałem na co liczyć. Bogini przeznaczenia zawsze się tylko do mnie wykrzywia, zupełnie jakby właśnie przytrzasnęła sobie boski paluszek drzwiami.

Kiedy wróciłem przed magazyn, kopniakami rozsypałem popioły ogniska po całym dziedzińcu. Zwinąłem łańcuch na ramieniu, gotowy zabezpieczyć nim bramę. Tuż przed odejściem po raz ostatni wszedłem do

środka z mięśniami napiętymi pod ciężarem ciężkich ogniw.

W magazynie było mroczno od unoszących się w powietrzu drobin kory cynamonowej. Muchy nadal krążyły niezmordowanie ponad płamą na podłodze, jakby wokół pozostałej na miejscu duszy. W cieniach tkwiły nieruchomo worki bezcennych orientalnych przypraw, napełniając powietrze słodką wonią, która zdawała się wsiąkać w moją skórę.

Odwrociłem się do wyjścia. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch. Chwycił mnie paroksyzm strachu, jakbym właśnie zobaczył ducha. Tyle że ja nie wierzyłem w duchy. Z półmroku wypełnionego wirującym pyłem wytoczył się wprost na mnie jakiś szczelnie opatulony człowiek. Był jak najbardziej rzeczywisty. Chwycił klepkę od beczki i zamachnął się w moją głowę. Stał tyłem do światła, ale miałem wrażenie, że go znam. Nie było czasu pytać, o co ma do mnie pretensje. Okręciwszy się w miejscu, machnąłem łańcuchem, celując w jego żebra, ale straciłem równowagę i rymnąłem na prawy łokieć i kolano.

Przy odrobinie szczęścia byłbym go pochwycił. Jednakże szczęście rzadko mi sprzyjało. Podczas gdy ja wymachiwałem bezradnie żelastwem, drań wziął nogi za pas.



III

Zatrzymałem się przy tamtej studziencie króciutko, ale przecież powinienem się czegoś takiego spodziewać. To był Rzym; uchyl drzwi do skarbcza na chwilę, a na pewno wślizgnie się tam jakiś złodziej.

Nie widziałem jego twarzy, niemniej nie opuszczało mnie uczucie, że go rozpoznałem. Ten zielony kaptur dokładnie okrywający mu głowę nie dawał się z niczym pomylić: to gość, którego zauważyłem, kiedy opróżniałem cebrzyk. Przeklinając jego i siebie, pokuśtykałem w stronę zaułka, czując, jak po nodze spływa mi strużka krwi.

Rozproszone plamy słonecznego światła raziły wzrok, podczas gdy w gęstym cieniu panował niepokojący chłód. Przejście na tyłach magazynu było ciasne i prowadziło na brudną zakazaną uliczkę. Z drugiej strony ostry zakręt nie pozwalał mi dojrzeć wylotu. Po obu bokach znajdowały się błotniste podwórza zapchane wysłużonymi wózkami i stosami trzymających się na słowo honoru antalków. Wijące się brudne powrozy niknęły w szeroko otwartych wejściach magazynów. Zawieszane na gwoździach groźnie brzmiące ostrzeżenia miały odstraszać ludzi od bram, które wyglądały tak, jakby od dziesięciu lat nikt ich nie otwierał. Kiedy się patrzyło na to nędzne handlowe zadupie, trudno było uwierzyć, że kawałek dalej tętni życiem Forum... to był Rzym. Jak już powiedziałem.

Pusto i głucho. Tylko gołąb zatrzepotał na dachu, po czym wślizgnął się na poddasze przez dziurę po brakującej dachówce. Zaskrzypiała jakaś brama. Poza tym nie słyszałem nic. Oprócz bicia mojego serca.

Mógł być wszędzie. Kiedy zaglądałbym w jedno miejsce, przyczałby się w innym. Gdy zajmowałbym się szukaniem, on albo jakiś nie mający z nim nic wspólnego inny złoczyńca mógłby wyskoczyć skądś znienacka i rozwalić mi kędzierzawą głowę. Gdyby tak się stało albo gdyby zarwała się

pode mną przegniła podłoga w jednym z tych opuszczonych magazynów, mógłbym tam sobie przeleżeć wiele dni, zanim ktoś by mnie znalazł.

Przykuśtykałem z powrotem. Używając starego gwoźdźca, zatrzasnąłem zamek przy drzwiach magazynu. Rozejrzałem się po zalanym słońcem podwórku. Za pomocą wojskowych kleszczy przyniesionych przez Frontyna założyłem na powrót łańcuch przy bramie, jak przystało osobie odpowiedzialnej. A potem wyniosłem się stamtąd.

Moje ubranie przesiąkło trupią wonią, ruszyłem więc do domu, żeby się przebrać.

Mieszkałem w trzynastej dzielnicy. Kiedy ulice były puste, pokonanie tej odległości nie zajmowało mi wiele czasu, jednak o tej porze, kiedy musiałem przepychać się przez tłum, trwało to niemal pół godziny. Zgiełk wydawał mi się większy niż zazwyczaj. Dotarłem do domu ogłuszony i znękany.

Mieszkanie miałem takie, na jakie było mnie stać, czyli ponure. Wynajmowałem nędzne poddasze kamienicy, w której mieściła się pralnia „Pod Orłem” przy ulicy zwanej Dziedzińcem Fontanny (na której nigdy nie było fontanny i która nie była dziedzińcem). Aby dotrzeć do owej imponującej lokalizacji, musiałem zostawić za sobą względny luksus wybrukowanej drogi Ostyjskiej, klucząc coraz bardziej krętymi i coraz bardziej podejrzanie wyglądającymi zaułkami. Dalsze przeciskanie stawało się niemożliwe na Dziedzińcu Fontanny. Wymachując rękoma, przedarłem się przez kilka rzędów suszących się przed wejściem do pralni ubrań, a potem zaatakowałem sześć pięt stromych schodów do podniebnej nory, która służyła mi za mieszkanie i biuro.

Kiedy już tam dotarłem, zapukałem, tak sobie i żeby uprzedzić o swoim powrocie figlujące tam podczas mojej nieobecności stworzenia, po czym otworzyłem drzwi.

Miałem dwa pomieszczenia, oba jednakowo małe. Płaciłem dodatkowo za chybotliwy balkon, w dodatku mój gospodarz Smaraktus gwarantował mi darmowy dostęp do światła, wpadającego przez dziurę w dachu (i dostęp do wody, kiedy tylko padało). W Rzymie byli multimilionerzy, których konie mieszkaly lepiej, choć tysiące ludzi żyły w jeszcze gorszych warunkach niż ja.

Taką kwaterę mogli zajmować tylko ci, którzy większość czasu spędzali poza domem. Przez pięć lat ta nędzna klitka wydawała mi się całkiem znośna, szczególnie od czasu, kiedy biegając po mieście w sprawach klientów, rzadko tam bywałem. Miejsce to nigdy nie było tanie; nigdzie w Rzymie nie było tanio. Niektórzy z moich należących do rodzaju ludzkiego sąsiadów pozostawiali wiele do życzenia, ale ostatnio zamieszkał tutaj pewien sympatyczny gekon. Mogłem podejmować czterech gości, jeśli otworzyłem drzwi na balkon, albo nawet pięcioro, jeśli była wśród nich dziewczyna usadowiona na moich kolanach.

Mieszkałem sam; z powodów finansowych nie miałem innej możliwości.

Chcąc się jak najszybciej pozbyć mojej skażonej tuniki, szybko przeszedłem przez pokój zewnętrzny. Był w nim stół, przy którym jadałem, pisałem albo rozmyślałem o brudach życia, ława, trzy stołki i kuchenka do gotowania, którą sam skonstruowałem. W sypialni stało koślawe łóżko,

obok zapasowej sofy, skrzynia do wszystkiego, w razie potrzeby służąca też za toaletkę, oraz drewniany drąg, na wypadek gdyby chciało mi się zatykać dziurę w dachu.

Rozebrałem się z uczuciem ulgi, użyłem resztki wody z dzbana, żeby raz jeszcze się wyszorować, po czym znalazłem tunikę, która rozdarła się jedynie w dwóch miejscach od ostatniej dokonanej przez matkę naprawy. Przycesałem włosy, zwinąłem swoją drugą w kolejności najlepszą togę, na wypadek gdybym później wybierał się w jakieś szacowne miejsce, i popędziłem na dół.

Kiedy oddawałem swoje brudne odzienie do prania, usłyszałem wrzaskliwy głos Lenii, właścicielki zakładu.

- Falko! Smaraktus domaga się czynszu!

- Co za niespodzianka! Powiedz mu, że nie wszyscy możemy otrzymać od życia to, czego się domagamy...

Znalazłem ją w kącie, który służył jej za biuro rachunkowe. Siedziała tam w brudnych kapciach i popijała herbatę miętową. Zanim ta politowania godna idiotka postanowiła zainwestować w prawdziwą nieruchomość (i prawdziwe nieszczęście), planując wydanie się za naszego gospodarza Smaraktusa, należała do moich nędznych przyjaciół; jeśli uda mi się kiedyś przekonać ją, by pozbyła się tego brutala, ponownie będzie do nich należeć. Lenia wyglądała buro i flejtuchowato, ale była jakieś pięć razy silniejsza, niż można by się spodziewać; kosmyki włosów, szokująco rudych od henny, ciągle wymykały się spod wiotkiej chustki na głowie i opadały na oczy; musiała wciskać je z powrotem, jeśli chciała widzieć, gdzie stąpa.

- On nie żartuje, Falko! - Miała schorowane oczy i głos grzechotliwy, jakby potrząsano rondlem z czterdziestoma suchymi ziarnami grochu.

- Świetnie. Cenię mężczyzn o poważnych ambicjach...

W tym momencie moja uwaga zaczęła się rozpraszać, co Lenia dobrze widziała. Była z nią kobieta, którą przedstawiła mi jako Sekundę, swoją przyjaciółkę. Dawno już minęły czasy, kiedy wietrzyłem jakieś korzyści we flircie z Lenią, zatem przez długą chwilę łypałem na jej przyjaciółkę.

- Bardzo mi miło! Jestem Dydiusz Falko. Chyba się nie znamy? - zagailem uprzejmie.

Dama zadzwoniła bransoletami i uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Uważaj na niego! - rzuciła ostrzegawczo Lenia. Sekunda była kobietą dojrzałą, ale bynajmniej nie przejrzałą; wystarczająco dorosłą, by stanowić ciekawe wyzwanie, a zarazem dość młodą, by sugerować, że warto je podjąć. Obejrzała mnie sobie bardzo uważnie, ja odpowiedziałem jej szczerym spojrzeniem.

Poczęstowano mnie herbatką miętową, ale na widok jej nieapetycznego szarego koloru podziękowałem, tłumacząc się względami zdrowotnymi. Sekunda przyjęła moje nieuchronne odejście z widocznym żalem; przybrałem wyraz twarzy człowieka, który dałby się zatrzymać.

- Szukał cię jakiś padlinożerca ze szcurzą gębą, Falko - oświadczyła gniewnie Lenia.

- Klient?

- Skąd niby mam wiedzieć? Brak mu ogłady, więc pasuje do ciebie.

Zwyczajnie wparował tutaj i wypytywał o ciebie.

- Co potem?

- Poszedł sobie. Nie zmartwiło mnie to.

- Ale myślę, że czeka na zewnątrz - dodała słodkim głosem przyjaciółka praczki.

Nic nie uchodziło jej uwagi... jeśli tylko miało to związek z mężczyzną.

Klitka Lenii od strony ulicy była otwarta, przysłonięta jedynie tym, co tam akurat rozwiesiła. Rozsunąłem suszące się pranie tak, żeby móc widzieć i nie dać się zobaczyć. Moim oczom ukazał się zielony płaszcz ze sterzącym kapturem przed otwartymi drzwiami piekarni Kasjusza dwa domy dalej.

- Ten w zielonym? - upewniłem się. Skinęły głowami. Zmarszczyłem brwi. - Jakiś krawiec znalazł sobie żyłę złota! Najwyraźniej zielone płaszcze ze spiczastymi kapturami są w tym miesiącu prawdziwym szaleństwem... - dodałem. Wkrótce się tego dowiem; w najbliższy czwartek są urodziny mojego najstarszego siostrzeńca i jeśli jest to ostatni krzyk mody, Lariusz na pewno zażyczy sobie właśnie czegoś takiego w prezencie. - Długo tam sterczy? - zapytałem od niechcienia.

- Pojawił się zaraz po tobie i od tamtej pory czeka.

Poczułem wyraźny niepokój. Miałem dotąd nadzieję, że ten obywatel w zieleni jest jedynie pragnącym wykorzystać okazję złodziejem, który zauważył, że coś się dzieje w magazynie, i poszedł tam węszyć zaraz po tym, jak tylko Frontyn i ja się stamtąd oddaliliśmy.

To, że wybrał się za mną aż do mojego domu, stawiało jego obecność w innym świetle. Tak głębokie zainteresowanie nie mogło być czymś niewinnym. A to oznaczało, że koło magazynu nie znalazł się przypadkiem. Musi być kimś, kto koniecznie chce wiedzieć, co się tam wydarzyło, i znać imię każdego człowieka mającego związek z tym miejscem. Zwiastowało to kłopoty dla tych spośród nas w pałacu, którzy uważali, że spisek przeciwko cesarzowi złożyliśmy już do grobu.

Kiedy na niego patrzyłem, najwyraźniej znudziło mu się szpiegowanie i ruszył w stronę drogi Ostyjskiej. Musiałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Pomachałem Lenii, obdarzyłem Sekundę uśmiechem, który powinien rozgrać ją do szpiku kości, po czym ruszyłem za mężczyzną.

Kiedy przechodziłem obok piekarni, Kasjusz, piekarz, który na pewno miał przez cały czas tego obcego na oku, rzucił mi zamyślane spojrzenie oraz bochenek czerstwego chleba.



IV

Prawie go zgubiłem na głównej ulicy. Kątem oka zauważyłem, jak moja matka przebiera w cebuli na straganie warzywnym. Sądząc po jej ponurej twarzy, cebula, podobnie jak większość moich przyjaciółek, nie spełniała jej wymagań. Matka wmówiła sobie, że moja nowa praca dla pałacu była świetnie płatną urzędniczą posadą, która pozwala mi nie uwalniać sobie tuniki. Nie chciałem, by od razu odkryła, że to ta sama robota, polegająca na uganianiu się za złoczyńcami, którzy mieli ochotę przemykać się

ulicami akurat wtedy, kiedy była pora na moje drugie śniadanie.

Wykonałem kilka zręcznych zwrotów i uników, żeby mnie nie dostrzegła, a jego przy okazji nie zgubić. Na szczęście zielony płaszcz miał paskudny odcień wiridianu i nawet w tłumie rzucał się w oczy.

Śledziłem go do rzeki, którą przekroczył mostem Sublicius; chwila szybkiego marszu dzieliła cywilizację od nor Zatybrza, gdzie gromadzą się domokrażcy, kiedy po zmroku wykopią ich z Forum. Czternasta dzielnica stanowiła część Rzymu już za czasów moich dziadków, ale było tu wystarczająco wielu smagłych imigrantów, by można poczuć się tam obco. Po moim porannym zadaniu nie przejmowałem się zbytnio, że ktoś może mi wbić nóż w plecy. Nigdy tego nie próbują, kiedy człowiek się nie przejmuje.

Szliśmy teraz w głębokim cieniu, uliczkami, nad którymi niebezpiecznie wisały balkony. Rynsztokami przemykały wychudzone psy. Obdarte dzieciaki ze sterczącymi włosami wrzeszczały na przerażone zwierzęta. Jak się nad tym zastanowić, to ta cała dzielnica mnie też przerażała.

Osobnik w zielonym płaszczu posuwał się równym tempem, jak zwykły obywatel zmierzający do domu na południowy posiłek. Był przeciętnej budowy, miał wąskie barki i młodzieńczy sposób poruszania. Ciągle jeszcze nie zobaczyłem jego twarzy; pomimo upału miał zarzucony kaptur. Był zbyt wstydlivy, żeby mógł mieć uczciwe zamiary, to pewne.

Z zawodowego przyzwyczajenia pilnowałem, żeby rozdzielali nas nosiciele wody i sprzedawcy placków, ale prawdę mówiąc, było to zbyteczne. Nie robił żadnych sztuczek ani uników, jakich można byłoby się spodziewać w takiej paskudnej okolicy. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

A ja owszem. Co chwilę. Nie zauważyłem, żeby ktoś mnie śledził.

Nad naszymi głowami na sznurach wietrzyły się koce, a niżej wisały kosze, wyroby z mosiądzu, tanie ubrania i szmaciaki. Handlujący nimi Afrykanie i Arabowie nie zwracali uwagi na człowieka w zielonym płaszczu, ale wykrzykiwali coś do siebie chrapliwie na mój widok; może podziwiali moją urodę. Dotarł do mnie zapach świeżego chleba i obca, mdląca woń ciasteczek. Za półprzymkniętymi okiennicami zniszczone kobiety o okropnych głosach wylewały swoją złość na leniwych mężczyzn; sporadycznie mężczyźni wybuchali gniewem, słuchałem więc w poczuciu solidarności, przyspieszając na wszelki wypadek kroku. Sprzedawano tutaj misternie zdobione miedziane nożyki, z zakłęciami wyrytymi na ostrzach, uzależniające opiaty otrzymywane ze wschodnich kwiatów albo chłopców i dziewczęta o kształtach cherubinów, zarażających trawiącymi ich, jeszcze niewidocznymi chorobami. Mogłeś kupić sobie nadzieję spełnienia marzeń albo gwarancję nędznej śmierci... dla kogoś albo dla siebie. Gdybyś stał za długo w jednym miejscu, śmierć albo jakiś gorszy kataklizm odnalazłyby cię bez trudu, nawet nie musiałbyś się o to modlić.

Zgubiłem go na południe od drogi Aureliańskiej, w złowrogo cichej uliczce, niedaleko granicy dzielnicy czternastej.

Skręcił w wąski zaułek, wciąż idąc tym samym równym krokiem, ale kiedy wyszedłem zza rogu, nie było już po nim śladu. W szarych ścianach domów ziały ciemne otwory wejść, choć pewnie w rzeczywistości nie było to wszystko takie złowieszcze, na jakie wyglądało.

Zastanawiałem się, co robić. Nie było żadnej kolumnady, w której można by się zacząć, a sješta mojego odzianego na zielono przyjaciela mogła potrwać całe popołudnie. Nie miałem pojęcia, kim jest i dlaczego się nawzajem śledzimy. Była najgorętsza pora dnia i zaczynałem powoli tracić zainteresowanie. Gdyby ktokolwiek na Zatybrzu podejrzewał, że jestem detektywem, znaleziono by mnie jutro na ulicy z wyciętym na piersi monogramem jakiegoś kryminalisty.

Zauważyłem szyld winiarni, zanurzyłem się w jej chłodnym półmroku, a kiedy pojawiła się przede mną kobieta o szerokim karku i obfitym biuście, zamówiłem wino z korzeniami. Poza mną nie było tam nikogo. Lokal był malutki. Jeden stół. Kontuar niknął w ciemnościach.

Pomacałem ławę, sprawdzając, czy nie ma w niej drzazg, po czym ostrożnie usiadłem. Było to takie miejsce, gdzie na trunek czekało się całe wieki, ponieważ nawet dla obcokrajowca właścicielka podgrzewała świeżą porcję wina prawie do stanu wrzenia. Ta naturalna gościnność mnie zaskoczyła. Poczulem się gburem i straciłem czujność; i jedno, i drugie było mi dobrze znane.

Kobieta zniknęła, więc tkwiłem samotnie nad swoim kubkiem.

Splotłem palce i myślałem o życiu. Byłem zbyt zmęczony, by rozważać życie w ogóle, więc skoncentrowałem się jedynie na swoim. Szybko doszedłem do wniosku, że nie jest ono warte nawet tego denara, jaki wydałem, żeby tu usiąść i zadumać się przy winie.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Moja praca była okropna, a płaca jeszcze gorsza. Na dodatek czekało mnie zakończenie romansu z pewną młodą kobietą, której jeszcze dobrze nie zdążyłem poznać i której bardzo nie chciałem stracić. Nazywała się Helena Justyna. Miała ojca senatora, i chociaż spotkanie się ze mną nie było niby niezgodne z prawem, to jednak przez jej przyjaciółki zostałyby uznane za skandaliczne. Była to jedna z owych nieszczęsnych sytuacji, w które się pakujesz, dobrze wiedząc, że sprawa jest beznadziejna, po czym niemal natychmiast się wycofujesz, ponieważ odejście wydaje się mniej bolesne niż pozostanie.

Nie miałem pojęcia, co mam jej teraz powiedzieć. Była cudowną dziewczyną. Wiara, jaką pokładała we mnie, doprowadzała mnie do rozpacz. A przecież prawdopodobnie dostrzegała, że się od niej odsuwam. I ta świadomość, że ona już rozumie sytuację, wcale nie pomagała mi ułożyć mojej pożegnalnej mowy...

Próbując zapomnieć, łyknąłem bezmyślnie. Smak gorącego cynamonu na podniebieniu przypomniał mi tamten magazyn. Nagle poczułem, że mój język jest chropowaty jak kamień. Odstawiłem kubek z nie wypitym winem, rzuciłem z brzękiem kilka monet na talerz i zawołałem do widzenia. Już wychodziłem, kiedy z tyłu rozległ się czyjś głos:

- Dzięki!

Kiedy się obejrzałem za siebie, natychmiast wyhamowałem.

- Drobiazg, skarbie! Czy to jakieś czary, czy może nie jesteś kobietą, którą widziałem przedtem?

- Jestem jej córką! - Roześmiała się.

Dało się zauważyć podobieństwo, choć trzeba było nieco wysilić wyobraźnię. Za dwadzieścia lat to cudowne ciało może wyglądać równie

nieapetycznie jak ciało jej mamy... jednak po drodze przejdzie ono kilka interesujących etapów. Teraz miała jakieś dziewiętnaście lat. A to było stadium, które lubię. Córka właścicielki winiarni była wyższa od matki, dzięki czemu poruszała się z wdziękiem; miała ogromne ciemne oczy i małe białe ząbki, gładką skórę, błyszczące kolczyki i wyglądała na chodzącą niewinność, co było oczywistą nieprawdą.

- Jestem Tullia - odezwał się ten żywy obrazek.

- Miło cię poznać! - zawołałem ochoczo.

Tullia uśmiechnęła się zalotnie. Była rozkoszna i miała niewiele do roboty tego dnia, a ja byłem mężczyzną w kiepskim nastroju, który potrzebował pociechy. Odwzajemniłem się jej łagodnym uśmiechem. Skoro i tak miałem stracić tę wspaniałą damę, której pragnąłem, mogłem pozwolić pozbawionym zasad kobietom wdzięczyc się przede mną.

Detektyw znający się na swojej robocie umie szybko zaprzyjaźnić się z dziewczyną z winiarni. Wciągnąłem ją w niewinne pogaduszki, by po jakimś czasie przejść do sedna.

- Szukam kogoś, może go widziałaś... często nosi płaszcz w dość paskudnym odcieniu zieleni.

Nie zdziwiłem się, kiedy piękna dziewczyna rozpoznała mojego człowieka. Było dla mnie oczywiste, że rzuciwszy okiem na Tullię, mężczyźni z okolicy stawali się częstymi klientami jej mamusi.

- Mieszka naprzeciwko... - powiedziała. Podeszła do drzwi i wskazała kwadratowe okienko.

Gość zaczynał mi się podobać. Jego otoczenie wyglądało dość obskurnie. Wszystko wskazywało na to, że młodzieniec w zielonym mieszka równie nędznie jak ja.

- Ciekawe, czy jest tam teraz...

- Mogę sprawdzić - zaoferowała się Tullia.

- Niby jak? - zdziwiłem się.

Podniosła wzrok. Przy wewnętrznej ścianie, jak zwykle w takich miejscach, znajdowały się schodki prowadzące na poddasze, gdzie mieszkali dzierżawcy lokalu. Nad wejściem do winiarni jest zapewne jedno podłużne okno, dostarczające niezbędne światło i powietrze. To dość naturalne, że pełna życia, towarzyska młoda kobieta spędza wolne chwile, wypatrując mężczyzn.

Tullia była gotowa ruszyć zaraz na górę. Może bym się wdrapał na pięterko razem z nią, ale podejrzewałem, że czai się tam jej matka, co zepsułoby całą zabawę.

- Dzięki! Nie będę na razie zawracał mu głowy - zdecydowałem. Kimkolwiek był i cokolwiek chciał, nikt mi nie płacił za przerywanie mu posiłku. - Wiesz coś o nim?

Popatrzyła na mnie nieufnie, ale miałem gładkie maniery i włosy same układające się w loki. Poza tym zostawiłem jej matce hojny napiwek.

- Ma na imię Barnabas. Pojawił się tutaj jakiś tydzień temu... - zaczęła. Ona mówiła, a ja myślałem; imię Barnabas padło gdzieś całkiem niedawno. - Zapłacił z góry za trzy miesiące... nawet się nie targował! - oświadczyła z wyraźnym zdziwieniem. - Kiedy mu powiedziałam, że to głupota, tylko się roześmiał i stwierdził, że kiedyś będzie bogaty...

- Ciekawe, dlaczego ci to powiedział? - Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. Niewątpliwie powód był ten sam co zawsze, kiedy mężczyzna roztacza przed kobietą wizję przyszłej zamożności. - Czym więc ten obiecujący przedsiębiorca się zajmuje, Tullio?

- Powiedział, że handluje zbożem. Ale...

- Ale co?

- Z tego też się śmiał.

- Wygląda na niezłego zgrywusa! - zauważyłem. Jednak handlowanie zbożem zupełnie nie pasowało do tego Barnabasa, którego miałem na myśli, a który był wyzwolonym niewolnikiem w miejskiej rezydencji senatora i nie umiałby odróżnić pszenicy od wiór.

- Zadajesz dużo pytań! - uznała Tullia. - A czym ty się zajmujesz? - zapytała.

Uniknąłem odpowiedzi, rzucając jej znaczące spojrzenie, na które zareagowała podobnym.

- Och, to tajemnica! Chcesz wymknąć się stąd tylnym wyjściem?

Jako że lubię rozejrzeć się w miejscu, do którego mogę chcieć powrócić, już po kilku chwilach przemykałem przez podwórko na tyłach winiarni, na wszelki wypadek zachowując czujność i kryjąc się po kątach, bo był to ostatecznie czyjś prywatny teren. Tullia czuła się tutaj swobodnie jak u siebie; niewątpliwie ten szczęściarz, właściciel posesji, poznał się na jej możliwościach. Wypuściła mnie otwartą bramą.

- Tullio, jeśli Barnabas wpadnie się napić, możesz wspomnieć, że go szukam... - rzuciłem lekko. Niby dlaczego nie miałbym spróbować wytrącić go z równowagi, skoro już mam taką sposobność. W moim zawodzie nie zdobędzie się laurów, okazując nieśmiałość nieznanym, którzy śledzą cię aż do twojego domu. - Powiedz mu, że jeśli przyjdzie do tego domu na Kwirynale... sądzę, że będzie wiedział, o jakim miejscu mówię... mam coś dla niego. Musi tylko udowodnić swoją tożsamość w obecności świadków.

- Będzie wiedział, kim jesteś?

- Wystarczy, że mu opiszesz mój klasycznie zarysowany profil! I mów mi Falko. Zrobisz to dla mnie?

- Jeśli ładnie poprosisz!

Ten uśmiech obiecywał względy już setce mężczyzn przede mną. I tamtych stu, i teraz jeszcze jeden - uznali bez wahania, że mogą machnąć ręką na pozostałych. Nie zwracając uwagi na wyrzuty sumienia w związku z pewną senatorską córką, poprosiłem Tullię najmilej jak umiałem i z pożądanym skutkiem.

- Już to robiłeś! - zachichotała, kiedy ją puściłem.

- Całowanie się z pięknymi kobietami to ryzyko, jakie niesie posiadanie klasycznego profilu. Ty też już to robiłaś... co ty masz na usprawiedliwienie?

Dziewczyny podające wino rzadko potrzebują usprawiedliwień. Znowu zachichotała.

- Pokaż się niedługo. Będę czekała, Falko!

- Możesz być tego pewna, księżniczko! - zapewniłem ją, odchodząc.

Pewno kłamaliśmy. Oboje. Ale na Zatybrzu, które jest jeszcze bardziej ponure od Awentynu, ludzie muszą żyć nadzieją.

Jeszcze świeciło słońce, kiedy przez Wyspę Tyberyjską wracałem do Rzymu. Na moście Cestiusza, pod którym nurt jest najszybszy, zatrzymałem się na chwilę, sięgnąłem za pazuchę i pozbyłem się pierścieni denata.

Nie było wśród nich szmaragdowej kamei; musiałem ją zgubić po drodze.

Przyszło mi do głowy, że Tullia mogła ją gwizdnąć, ale doszedłem do wniosku, że jest na to zbyt urodziwa.



V

Podreptałem na północ. Kupiłem placek faszerowany gorącą mieloną wieprzowiną i zjadłem go, nie zwalniając kroku. Jakiś podwórzowy pies pomerdał na mój widok ogonem, ale kazałem mu się wynosić razem z tym wyszczerzonym przyjaźnie pyskiem.

Życie jest niesprawiedliwe. Zbyt niesprawiedliwe, zbyt często niesprawiedliwe, by można było pozwalać sobie na lekceważenie przyjaznego uśmiechu; cofnąłem się i podzieliłem plackiem ze zwierzęciem.

Wybrałem się do pewnego domu na Kwirynale. Jego właścicielem był młody senator wplątany w ten sam spisek co człowiek, którego razem z Frontynem wrzuciłem do studzienki ścieku. Ten też już nie żył. Aresztowano go z zamiarem przesłuchania, po czym znaleziono martwego, uduszonego w więzieniu mamertyńskim... zamordowanego przez kolegów spiskowców, którzy w ten sposób zapewnili sobie jego milczenie.

Teraz usuwano rzeczy z jego domu. Opróżnianie nieruchomości było rodzinnym interesem Dydiuszów, kiedy więc ten temat został poruszony w pałacu, zgłosiłem się na ochotnika. Poza tym znamienity właściciel był kiedyś mężem mojej szczególnej przyjaciółki, Heleny Justyny, zatem chciałem wiedzieć, jak mieszkali.

Odpowiedź jest krótka: w luksusie. Moja nieposkromiona ciekawość okazała się poważnym błędem. Zbliżałem się do tego domu pogrążony w melancholijnym nastroju.

Większość Rzymian sąsiedzi doprowadzają do szaleństwa; śmieci walające się na schodach i wypełnione po brzegi kubły na nieczystości; bezczelni sprzedawcy w swoich tandetnych kramikach na parterze i beznadziejnie nudne dziwki na piętrach. Ten znakomity osobnik nie był na to narażony; jego nieruchomość zajmowała cały kwartał, dwie kondygnacje na zboczu Kwirynału. Przez nie rzucające się w oczy, ale solidnie okute drzwi wszedłem do przedpokoju, przy którym mieściły się dwie klitki odźwiernych. Słoneczne światło, padające przez otwór w dachu głównego atrium, rozświetlało gustownie szkliwione kafle ścian. Wspaniała fontanna na drugim dziedzińcu potęgowała przyjemne uczucie chłodu i roztaczała blask, bijąc skrzącą wodą nad egzotyczne palmy osadzone w wysokich do ramion donicach z brązu. Bogato zdobione, wykładane marmurem

korytarze ciągnęły się w dwie strony. Jeśli właściciela znużyły oficjalne sale przyjęć, na piętrze, za kotarami z ciężkiego damaszku, miał dla siebie i swoich gości cały szereg przytulnych, urządzonych w męskim stylu pomieszczeń.

Zanim zabrałem się do swoich urzędowych zajęć, musiałem wiedzieć, czy osobnik, który tego ranka mnie nie odstępował, rzeczywiście miał jakieś związki z tą elegancką rezydencją na Kwirynale. Wróciłem do odźwiernego.

- Przypomnij mi... jak się nazywał ten wyzwoleniec, którego twój pan tak lubił?

- Chodzi o Barnabasa?

- Tak. Czy Barnabas miał kiedyś taki ohydny zielony płaszcz?

- A, ten! - Wyrażnie się wzdrygnął. Wyzwoleniec Barnabas zniknął bez śladu. Patrząc z właściwej perspektywy, trzeba uznać, że gdyby był zaginionym niewolnikiem, nie opłacałoby się umieszczać jego imienia na liście zbiegłych. Nawet gdyby umiał czytać i pisać w trzech alfabetach, grał na aulosie i był szesnastoletnią dziewczicą o kształtach dyskobola, uległym charakterze i marzycielskich ciemnobrazowych oczach. Jego pan zostawił tyle wszelakiego dobra, że zawieruszenie się jednego dzieła sztuki - w ludzkiej czy jakiegokolwiek innej postaci - niczego nie zmieniało.

Stwierdziłem, że do tej pory wygodniej mi było nie zauważać istnienia tego Barnabasa. Cesarz, w trosce o reputację człowieka dobrodusznego (nigdy takowej nie miał, ale bardzo mu na niej zależało), postanowił honorować drobne osobiste zapisy zmarłego. Moim zadaniem było dopilnować, aby wszystko przebiegło zgodnie z wolą cesarza. Pożegnalnym prezencikiem senatora dla ulubionego wyzwolenca było okrągłe pół miliona sestercji. Trzymałem je w swojej bankowej skrytce na Forum, a z procentów miałem już na balkonie krzak róży w czarnej ceramicznej donicy. Dlatego uważałem, że kiedy Barnabas zapragnie swojego spadku, to sam się do mnie zgłosi.

Dzisiejsze zajścia jednak dały mi do myślenia. Węszenie wokół tego magazynu świadczyło o niezdrowym zainteresowaniu sprawami, o których każdy rozsądny wyzwoleniec wolałby udawać, że nic nie wie, a już napad na mnie był przejawem wyjątkowej głupoty. Ciągłe nie miałem głowy do tej roboty, ruszyłem się więc, by rozpytać tych pozbawionych domu nieszczęśników, których jeszcze nie wysłaliśmy na targ niewolników.

- Który z was zna Barnabasa? - rzuciłem.

- A co będziemy z tego mieli? - chcieli wiedzieć.

- Dajcie mi coś, nad czym będę mógł pogłówkować, to może zapomnę złoić wam skórę...

Wyciskanie faktów z tych tumanów okazało się ciężką pracą. Dałem sobie spokój i dopadłem Chryzostoma, sekretarza pochodzącego ze Wschodu, który wystawiony na licytację na pewno pójdzie za wysoką cenę, ale na razie kazałem mu zajmować się inwentaryzacją.

Chryzostom był bladeuszem o niezdrowej cerze i zaczerwienionych oczach, co było rezultatem trzymania nosa w dokumentach i niewytykania go na dwór. Nosił białą, sporo za krótką tunikę, a kończyny, które z dumą prezentował, były typowe dla urzędasów, patykowane i blade, ozdobione

guzami owłosionych kolan, zakończone stopami wsuniętymi w wydeptane sandały. Młotkowatymi paluchami mógłby wbijać śledzie od namiotów.

- Przestań skrobać na chwilę... co było takiego szczególnego w Barnabasi? - zagadnąłem.

- O, pan i Barnabas dorastali w tym samym majątku.

Pod wpływem mojego świdrującego spojrzenia Chryzostom schował szcudłowate odnóża pod stół. Kiedyś prawdopodobnie dysponował jakimś talentem, jednakże pisanie listów dla człowieka umysłowo ociężałego, a zarazem porywczego, oduczyło go wykazywania jakiegokolwiek inicjatywy.

- Jaki on jest? - ciągnąłem go za język.

- Kalabryjski niechluj.

- Lubieś go?

- Nie bardzo.

- Myślisz, że wiedział, co kombinuje jego pan?

- Barnabas uważał, że wie wszystko.

Tego dobrze zorientowanego Kalabryjczyka uczyniono wolnym obywatelem, więc teoretycznie rzecz biorąc, miał prawo dorabiać sobie na boku. Na początku nawet uważałem, że umkniecie stąd było rozsądnym posunięciem, skoro jego pan okazał się zdrajcą. Teraz zastanawiałem się, czy nie zniknął dlatego, że planował coś paskudnego.

- Domyślasz się, dlaczego zwiął? Bardzo był przejęty śmiercią waszego pana? - indagowałem dalej.

- Być może, tyle że nikt go później nie widział. Zaryglował się w swoim pokoju. Jedzenie stawiali mu pod drzwiami. Nikt z nas nie żył z nim blisko, więc nikt nie próbował się wtrącać. Nawet nie wiedzieliśmy, że poszedł do więzienia upomnieć się o ciało. Dowiedziałem się, że był pogrzeb, dopiero wtedy, kiedy przedsiębiorca pogrzebowy przyszedł do mnie z rachunkiem.

- Nikt inny nie był obecny przy kremacji?

- Nikt o niej nie wiedział. Ale prochy znajdują się w rodzinnym mauzoleum. Nie dalej jak wczoraj poszedłem tam i widziałem nową alabastrową urnę...

Zatem to, że był arystokratą, uchroniło młodego senatora przed wrzuceniem do ścieku. Wydano z więzienia jego ciało, by można było dokonać kosztownych obrządków, nawet jeśli organizował je jego wyzwolenc, sam i w tajemnicy przed innymi.

- Jeszcze jedno. Kiedy wasz pan obdarzył Barnabasa wolnością, czy osadził go w jakimś interesie... na przykład w takim, który wiąże się z importem zboża?

- Z tego, co wiem, to nie. Ci dwaj rozmawiali ze sobą wyłącznie o koniach.

Zaczął mnie bardzo niepokoić ten Barnabas. Moja wiadomość o zapisie dla niego przekazana za pośrednictwem Tullii, mogła go tu przyciągnąć, jeśli potrzebował gotówki. By sprawę przyspieszyć, gdyby jednak się trzymał z daleka, wysłałem gońca, żeby wywiesił na Forum ogłoszenie obiecujące skromną nagrodę za informację o miejscu jego pobytu. To mogło zachęcić jakiegoś porządnego obywatela do przekazania go w ręce straży.

- Jaką nagrodę mam wymienić, Falko?

- Zaczynj od trzech sestercji. Jeśli ktoś nie jest za bardzo spragniony, to może mu to wystarczyć na kubek wina przed snem...

Co przypomniało mi, że sam miałem na nie ochotę.



VI

Nie było konieczności opuszczania tego domu w poszukiwaniu czegoś do wypitki. Człowiek, który tu kiedyś mieszkał, nazywał się Gnejusz Acjusz Pertynaks, i zostawił po sobie wszystko, co jest potrzebne do wygodnego życia; było tu mnóstwo przednich trunków, do których miałem swobodny dostęp.

Ponieważ Pertynaks był zdrajcą, jego mienie podlegało konfiskacie i przechodziło na własność naszego jowialnego nowego cesarza. Kilka niezbyt kwitnących posiadłości w Kalabrii (jak ta, w której dorastali on i Barnabas) już zostało przejętych. Lukratywną czynszową kamienicę oraz parę pięknych wyścigowych koni zwrócono, acz niechętnie, będącemu nadal ich właścicielem przybranemu ojcu Gnejusza. Cesarz jeszcze nie podjął decyzji co do losu statków. Tymczasem przejęliśmy tę rzymską rezydencję, wypełnioną wspaniałymi przedmiotami, które Pertynaks, podobnie jak inni bogaci nicponie, zgromadził dzięki zapisom testamentowym, udanym interesom, przyjmując prezenty od przyjaciół, łapówki od kolegów w interesach oraz wygrywając na wyścigach konnych, do których miał zawsze nosa. Ten dom na Kwirynale przetrząsało trzech cesarskich agentów: Momus, Anakrytes i ja.

Zajęło nam to prawie dwa tygodnie. Bardzo się staraliśmy czerpać jakąś przyjemność z tej harówki. Każdego wieczoru dochodziliśmy do sił w sali jadalnej, gdzie jeszcze unosił się zapach drewna sandałowego, rozwaleni na ogromnych rzeźbionych łóżach z materacami z doskonale wyczesanej wełny, usilnie starając się wykończyć resztki z należących do denata zapasów piętnastoletniego wina z okolic Alby. Na jednym z trójnożnych stolików stał srebrny podgrzewacz do wina, z komorą do spalania węgla drzewnego, tacą na popiół i małym kurkiem do spuszczenia trunku, kiedy osiągnął już wymaganą temperaturę. Smukłe lampy na potrójnych lwich łapach płonęły, spalając perfumowaną oliwę, podczas gdy każdy z nas usiłował wmówić sobie, że życie w takim luksusie byłoby mu nienawistne.

Letnią jadalnię rezydencji ozdobił freskami jakiś utalentowany artysta; po drugiej stronie ogrodu widzieliśmy wspaniały obraz upadku Troi, okazało się zresztą, że ten ogród to też niezwykle pieczołowicie wykonane malowidło na wewnętrznej ścianie, włącznie z realistycznymi pawiami i skradającym się za nimi pręgowanym kotem.

- Wino naszego zmarłego gospodarza - oświadczył Anakrytes, udając przemądrzałego konesera (takiego, co to robi wiele hałasu, a na niczym się nie zna) - jest niemal tak samo wysmakowane jak wystrój jego domu!

Anakrytes mówił o sobie, że jest sekretarzem; był szpiegiem. Drobnej i zwartej postury, miał nijaką twarz o niespotykane szarych oczach i tak rzadkich, że prawie niewidocznych brwiach.

- No to pij do dna! - poganiał go gburowato Momus.

Momus był typowym nadzorcą niewolników: ogolona głowa, dla ochrony przed wszami, bandzioch człowieka nie żałującego sobie wina, zatłuszczony pas, brudna szyja, chrapliwy głos spowodowany chorobą zawodową, a przy tym gość był twardy jak gwóźdź wbity w drewno.

Zajmował się pozbywaniem personelu. Odprawił wszystkich wyzwoleńców, dając każdemu w prezencie nieco gotówki, by mogli poczuć się wdzięczni, a teraz zbierał do kupy niewolników, których znaleźliśmy stłoczonych w barakach ustawionych na tyłach posesji. Senator zbierał sobie całą kolekcję składającą się z manikiurzystów i fryzjerów, kuchmistrzów, łaziebnych i usługujących w sypialni, wyprowadzaczy psów i oswojonych ptaków, bibliotekarza, trzech rachmistrzów, harfistów i śpiewaków oraz całego oddziału szybko nogich młodzieńców, których zadaniem było bieganie do bukmacherów i obstawianie koni w jego imieniu. Jak na młodego człowieka bez obowiązków rodzinnych wspaniale o siebie zadbał.

- Robisz postępy, Falko? - zapytał Momus, używając jako spluwaczki złoconej miseczki do pachnideł.

Dobrze żyłem z Momusem; był przekupny, brudny, ordynarny i pokrętny - jednym słowem, typ sympatycznie jednoznaczny.

- Katalogowanie majątku ruchomego konsulowego syna jest wielce pouczające dla prostaka z Awentynu - wyznałem.

Zobaczyłem uśmiech na twarzy Anakrytesa. Przyjaciele uprzedzili mnie, że przyjrzał się dokładnie mojemu pochodzeniu i na pewno wiedział, w której rozpadającej się czynszówce mieszkam i czy izba, w której trzydzieści lat temu przyszedłem na świat, wychodzi na podwórko czy na ulicę. A już bez wątpienia sprawdził, czy rzeczywiście jestem takim prostakiem, na jakiego wyglądałem.

- Zadaję sobie pytanie - warknął Momus - dlaczego komuś z taką mamoną chciało się narażać cesarzowi?

- Zrobił coś takiego? - spytałem z niewinną miną.

Wszyscy trzej spędzaliśmy więcej czasu, obserwując się wzajemnie, niż szukając spiskowców. Momus, który był gorliwym podsłuchiwcem, udawał nieudolnie, że zasnął. Jego stopy z rozczapierzonymi paluchami sterczały do góry dokładnie pod kątem prostym, podeszwy odkrytych z przodu butów miał bowiem twarde i sztywne, co przydawało się przy wymierzaniu kopniaków niewolnikom.

Czułem na sobie wzrok Anakrytesa. Nie przeszkadzało mi to.

- Udany dzionek, Falko? - zapytał wreszcie.

- Nic tylko nieboszczyki i ochocze kobiety!

- Domyślam się - sondował - że ci sekretarze z pałacu utrzymują cię w pełnej niewiedzy.

- Na to wygląda - odparłem niezbyt zachwycony tą myślą.

Anakrytes pomagał mi nadrobić zaległości, jeśli chodzi o ten albański nektar.

- Usiłuję się zorientować, co ty tu robisz. Jaka jest twoja rola? - drażył.

- Och, byłem synem licytatora, dopóki mój beztroski ojciec nie urwał się z domu, teraz więc zajmuję się przenoszeniem dzieł sztuki i cennych staroci tego jegomościa na bardziej wyrafinowane stoiska z upominkami w

Saepta Julia... - Ponieważ zauważyłem, że nie zaspokoilem jego ciekawości, dowcipkowałem sobie dalej. - To tak jak z całowaniem kobiety... jeśli nie będę czujny, może to doprowadzić do czegoś poważnego!

Anakrytes przeglądał prywatne dokumenty zmarłego; wiedziałem o tym. (Chętnie sam bym się tym zajął). Był małomówny, niespokojny. W odróżnieniu od Momusa, który beztrudnie sprzedałby ośmiu nubijskich tragarzy lektyk jako dwóch krajaczy drobiu, woźnicę rydwanu i tancerkę z wachlarzem z Ksantos, Anakrytes przeszukiwał gabinet pana domu szczegółowo i pedantycznie jak kontroler, który spodziewa się, że przyjdzie po nim inny, żeby z kolei skontrolować jego.

- Wiesz co, Momus ma rację. Nie rozumiem, dlaczego ten człowiek się narażał - stwierdził w końcu.

- Dla dreszczyku emocji? - podpowiedziałem. - Po śmierci Nerona spiskowanie w celu wyniesienia kogoś na kolejnego cezara było bardziej ekscytujące niż gra w kości. Nasz nieboszczyk lubił hazard. Miał też odziedziczyć fortunę, a kiedy na nią czekał, mógł uznać, że jeden dom na Kwirynale to nic szczególnego dla robiącego karierę urzędnika, który chciał, by Rzym go zauważył.

Anakrytes ściągnął usta. Ja też. Rozejrzeliśmy się wokół. Nam luksusowa rezydencja Pertynaksa wydawała się czymś bardzo szczególnym.

- A zatem - spróbowałem - co takiego wykryłeś w papirusach naszej znakomitości?

- Nudna korespondencja! - pożałił się Anakrytes. - Jego przyjaciele to hałaśliwi entuzjaści wyścigów, a nie literaci. Natomiast księgi rachunkowe prowadzono bez zarzutu, jego rachmistrz niczego nie zaniedbał. Zapracował na swoje pieniądze.

- Znalazłeś jakieś nazwiska? Szczegóły spisku? Dowody?

- Tylko biografię. Większość tych informacji wydobyłbym w pół dnia, przeglądając dokumenty w biurze cenzora. Acjusz Pertynaks pochodzi z Tarentu. Jego rodzony ojciec miał na południu wysoki status społeczny oraz przyjaciół, ale brakowało mu gotówki i wpływów. W wieku lat siedemnastu Pertynaks naprawił te braki, zwracając na siebie uwagę eks-konsula, niejakiego Kapreniusza Marcella, który miał aż nadto statusu i krocie mamony, nie posiadał natomiast potomka...

- Więc - zachęcałem go - ten wiekowy krezus wyrwał dojrzałego już młodego Gnejusza z południowego krańca Italii i zaadoptował go?

- Zgodnie z najlepszymi tradycjami. W ten sposób Pertynaks Kapreniusz Marcel mógł zacząć snuć wielkie plany i miał dość pieniędzy na ich realizację. Nowy ojciec go uwielbiał. Potem Gnejusz służył jako trybun w Macedonii...

- Bezpieczna, ciepła prowincja! - wtrąciłem tonem nieco wzburzonym; ja bowiem odsłużyłem swoje w Brytanii: zimno, mokro i wietrznie... a w tamtym czasie (podczas powstania) paskudnie niebezpiecznie.

- Jasne! Chłoptaś z przyszłością musi o sobie dbać! W Rzymie pierwszym krokiem, jaki robi, żeby wejść do publicznego życia, jest poślubienie poważnej córki mało ciekawego senatora, a zaraz potem sam

dostaje się do senatu... za pierwszym podejściem zgodnie z przywilejem przysługującym zamożnemu młodzieńcowi.

Dolałem sobie wina. Anakrytes zamilkł, smakując swoje, postanowiłem więc dodać pewien pikantny szczegół, o którym, jak sądziłem, mógł nic nie wiedzieć.

- Ta z pozoru potulna senatorska córka okazała się błędem. Cztery lata po ślubie poczęstowała Pertynaksa nieoczekiwanym pozwem rozwodowym - oznajmiłem.

- Co ty powiesz! - rzucił swoim aksamitnym głosem Anakrytes, jak to miał w zwyczaju. Jego tajemniczość wynikała między innymi z tego, że jako szpieg wiedział więcej o innych ludziach, niż oni sami wiedzieli o sobie.

Lecz o byłej małżonce Acjusza Pertynaksa ja wiedziałem więcej niż on. Dwa tygodnie wcześniej bowiem uwiodła obywatela o imieniu Falko... w dużym stopniu wbrew jego rozsądkowi, choć już na pewno nie wbrew jego woli.

Opróżniłem kielich. Patrząc w jego wnętrze, oświadczyłem:

- Spotkałem Pertynaksa, raz.

- W ramach pracy? Jaki był?

- Opisanie go w sposób uprzejmy jest niemożliwe bez kolejnego kielicha!

Tym razem obaj wycisnęliśmy bursztynowy płyn ze srebrnego podgrzewacza. Anakrytes, który lubił robić wrażenie człowieka kulturalnego, rozcieńczył wino ciepłą wodą. Przyglądałem się, jak zgrabnie przechyla nadgarstek a z wysadzanego szlachetnymi kamieniami dzbanka spływa tyle wody, ile trzeba, a potem kręci kielichem, żeby zmieszać oba płyny. Ja popijałem wodę zgodnie z własnym gustem, z osobnego kubka.

Smakowałem przez chwilę wino, po czym odpowiedziałem:

- Bezwzględny. Prawdziwy rekin ludojad! Kiedy się z nim zetknąłem, był już edylem... - zacząłem. Mówiąc ściśle, był urzędnikiem niższego szczebla, wspomagającym sędziego okręgowego. - Kazał mnie aresztować pod byle jakim pretekstem i ciężko pobić, a także obrócić moje mieszkanie w perzynę.

- Złożyłeś skargę?

- Przeciwno senatorowi? - spytałem drwiąco. - Żeby zobaczyć, jak rozsądza to jego stryj i wtrąca mnie do więzienia za obrazę sądu?

- Więc ten edyl użył na ciebie swoją pałę, a teraz ty w zamian - zauważył Anakrytes, rozglądając się wokół - grzebiesz się w jego macedońskich osobliwościach!

- Jawna niesprawiedliwość - oświadczyłem z uśmiechem, delikatnie kręcąc w dłoni spiralną białą nóżkę kielicha.

- Trafna uwaga! - Dostrzegłem w jego bladych oczach, że coś sobie kombinuje. - Więc spotkałeś Pertynaksa... - ciągnął. Domyślałem się, co zaraz usłyszę. - Pogłoska niesie, że nie jesteś obcy jego małżonce.

- Pracowałem dla niej. Wybuchowa, z zasadami... zupełnie nie w twoim typie! - obrażałem go spokojnym głosem.

- A w twoim?

- Bynajmniej! Jest senatorską córką. Ja siusiam do rynsztoka, drapię się

publicznie po plecach i zdarzało mi się wylizywać talerz.

- Ha! Nie wyszła powtórnie za męż. Według mnie ten ich rozwód mógł być udawany...

- Nic z tego - parsknąłem. - Pertynaksa aresztowano, bo jego była żona doniosła na niego.

Anakrytes wyglądał na urażonego.

- Nikt nie uważał za stosowne, żeby mnie o tym uprzedzić! Już zamierzałem się wybrać, żeby przesłuchać tę kobietę...

- Powodzenia! - oświadczyłem sucho.

- Po co go w ogóle demaskowała? Z zemsty?

Rozsądne pytanie; a przecież doprowadziło mnie do szału.

- Polityka. Jej rodzina popiera Wespazjana. Nie przyszło jej do głowy, że jak Pertynaksa zamkną w pudle, to jego kumple go zaduszą, zanim dojdzie do przesłuchania...

Szpieg skrzywił się; dobrze wiedział, w jaki sposób jego koledzy wyciągają zeznania w zaciszu więziennej celi.

- Zatem, Pertynaksie Marcel... Bądź pozdrowiony i żegnaj! - zawołał Anakrytes z udawanym szacunkiem.

Osobiście wolałbym szukać drogi przez Styks bez żadnej przepustki, niż być poprowadzonym do Hadesu z błogosławieństwem naczelnego szpiega cesarza.

Nadeszła pora, żeby Anakrytes złożył cesarzowi raport. Momus spał, ze sterczącymi z butów brudnymi paluchami.

Anakrytes przyglądał mi się; ja, patrząc na jego spokojną twarz i cyniczną minę, doszedłem do wniosku, że mógłbym z nim pracować... pod warunkiem że zawsze bym go wyprzedzał o jeden krok.

- Przekazujesz opinię o mnie Wespazjanowi - stwierdziłem - podczas gdy Momus...

- Składa co wieczór raport o nas obu! - warknął z urzędniczą odrazą. Uniósł pogardliwie jasne brwi. - A więc, Marku Dydiuszu Falconie, jaka jest w tym wszystkim twoja rola?

- Po prostu wyrównywanie starych rachunków z Pertynaksem!

Anakrytes nie potrafił się zmusić, by mi zaufać; bardzo rozsądnie z jego strony. Nie trzeba chyba dodawać, że ja jemu też nie ufałem.

Tamtego wieczoru, kiedy wstał, by opuścić ten dom, wygładziłem swoją wymiętoszoną togę i poczłapałem za nim. Wyszliśmy cicho, zostawiając śpiącego twardo Momusa.



VII

Ciepła majowa noc w Rzymie. Zatrzymaliśmy się na progu i wciągnęliśmy powietrze w nozdrza. Nad podwójnym szczytem Kapitolu blado pobłyskiwało skupisko maleńkich gwiazd. Zapach siekanej i przyprawianej korzeniami kielbasy spowodował, że poczułem się nagle głodny jak wilk. Z dala dochodziły dźwięki muzyki, słychać też było beztroski śmiech mężczyzn.

Ruszyliśmy energicznym krokiem w dół Vicus Longus, żeby zniechęcić

tych, którzy mogli narzucać się nam jakimiś nocnymi propozycjami. Zostawiliśmy Forum po prawej i weszliśmy do zespołu na Palatynie od strony *clivus Victoriae*. Powyżej, z oficjalnych sal, wciąż padało wesołe światło, choć jeśli cesarz czy jego synowie podejmowali gości, to przyjęcia i tak już się skończyły; członkowie naszej boleśnie świeżej dynastii sprawowali urzędy w szacownym stylu.

Przy kryptoportyku, tym wspaniale wysklepionym podziemnym przejściu Nerona, pretorianie przepuścili nas ledwie zauważalnym ruchem głowy. Poszliśmy na górę. Pierwszymi ludźmi, na jakich się natknęliśmy, a ostatnimi, jakich chciałem oglądać, byli senator Kamil Werus i jego córka Helena.

Udało mi się przełknąć ślinę, naprężając policzek; Anakrytes uśmiechnął się ze zrozumieniem (niech go licha!) i szybko się ulotnił.

Senator wyglądał świeżutko i oficjalnie. Nie przejmując się nim, puściłem czule oko do jego córki, na co odpowiedziała słabym, niezbyt radosnym uśmiechem. Zdecydowany wygląd i zdecydowany charakter: dziewczyna, którą mógłbyś zabrać wszędzie... pod warunkiem że komuś nie przeszkadza, jak mu się mówi prawdę prosto w oczy. Helena była spowita w surowe szarości, jej stopy okalał ciężki, falbaniasty brzeg szaty kobiety niegdyś zameżnej, na ciemnych włosach miała niewyszukany, spiczasty złoty diadem. Ze zwoju, jaki Kamil trzymał w ręku, wynikało, że przybyli tutaj z petycją do cesarza, ja zaś mogłem odgadnąć w jakiej sprawie. Kamil Werus był niezłomnym zwolennikiem Wespazjana. Jego brat miał inne sympatie i zaangażował się w spisek przeciwko tej nowej flawijskiej dynastii. Zdemaskowano go, zabito i pozostawiono tam, gdzie wyzionął ducha. Byłem ciekaw, ile czasu zajmie senatorowi dojście do wniosku, że jego obowiązkiem jest zatroszczyć się o duszę brata. Teraz już wiedziałem: jedenaście dni. Przyszedł prosić Wespazjana o pozwolenie zabrania ciała z magazynu.

- Jest tutaj Falko! - usłyszałem głos popędzającej ojca Heleny. - On się wszystkiego dowie...

Małżonka senatora była osobą ofiarną, prawdziwą podporą, ale rozumiałem, dlaczego dzisiaj przyprowadził z sobą córkę. Pod jej spokojnymi manierami kryła się przebojowa natura. Na szczęście ciągle jeszcze myśli miała zajęte audiencją w sali tronowej i prawie nie reagowała na mój widok. Ojciec wyjaśnił ich obecność w tym miejscu; dodał, że cesarz sprawiał trudności (nie dziwota); po czym do ataku ruszyła Helena z żądaniem, bym przeprowadził śledztwo.

- To by raczej kolidowało z moją pracą dla pałacu...

- A niby kiedy to cię powstrzymywało? - pokpiwał Kamil.

Uśmiechnąłem się, ale odmówiłem przyjęcia zadania.

- Panie, jeśli twój brat został pozbawiony żywota przez bandę pretorianów po służbie, to czy poczujesz się lepiej, wiedząc co i jak? - zapytałem.

Helena milczała złowieszczo. Komuś to źle wróżyło; domyślałem się komu. Starłem się nie pamiętać szczegółów dotyczących śmierci jej stryja, na wypadek gdyby czytała mi z twarzy.

Wykonałem gest w stronę oddalającego się Anakrytesa, co miało

znaczyć, że wzywają mnie ważne sprawy. Kamil poprosił, bym został jeszcze chwilę z Heleną, podczas kiedy on sprowadzi lektykę.

Staliśmy tam we dwoje, w jednym z tych pałacowych korytarzy, który był tak szeroki, że sam tworzył salę, a od czasu do czasu mijali nas jacyś oficjele. Nie miałem zamiaru zrywać naszego kruchego związku akurat pośród blichtru pozostałego po Neronie, więc tylko milczałem z miną twarziela.

- Ty wiesz! - oskarżyła mnie spokojnym głosem Helena, nie spuszczać wzroku z ojca, który zapewne już jej nie słyszał.

- Nawet jeśli wiem, to i tak nie wolno mi mówić.

Obdarzyła mnie spojrzeniem, od którego jeżozwierzowi zwiędłyby kolce.

Skoro ten temat został już zamknięty, sprawiałem sobie przyjemność uważnym oglądaniem mojej towarzyszki. Ciężkie fałdy szacownej stoli zamiast maskować, podkreślały ponętne wdzięki, które zupełnie nieoczekiwanie tak dobrze poznałem dwa tygodnie temu. Jej dzisiejsza obecność tutaj wyzwoliła we mnie znajome uczucie, że znamy się nawzajem o wiele lepiej, niż kiedykolwiek znaliśmy czy też będziemy znali kogokolwiek (a przecież żadne z nas nie odkryło jeszcze wszystkiego...).

- Taką cię lubię - przekomarzałem się. - Wielkie brązowe oczy pałające oburzeniem!

- Oszczędź mi tej nedorzecznej gadaniny! Liczyłam na to - oznajmiła napiętym głosem - że cię jeszcze zobaczę.

W miejscach publicznych na jej twarzy malowała się urocza nieufność, co mnie przyciągało coraz bliżej i wyzwalało opiekuńcze gesty. Jednym palcem przesunąłem czule od zagłębienia na jej skroni do subtelny zarysu brody. Pozwoliła na to z uporem, który miał sugerować całkowitą obojętność, niemniej jej policzek zbladł pod moim dotknięciem.

- Myślałem o tobie, Heleno - wyznałem.

- Myślałeś, jak się mnie pozbyć? - zadrwiła.

Dziesięć dni zajęło mi podjęcie decyzji, że już jej nigdy nie zobaczę... a jedną chwilę postanowienie, że tego nie zrobię.

- Och, wiem - ciągnęła gniewnie. - Mamy maj. Tamto zdarzyło się w kwietniu. Byłam przygodą zeszłego miesiąca! Chciałeś tylko...

- Dobrze wiesz, czego chciałem! - przerwałem jej. - To jeszcze jedna rzecz, której nie wolno mi mówić - oświadczyłem już znacznie spokojniej.

- Wierz mi jednak, moja pani, że świata poza tobą nie widziałem.

- Ale teraz już zapomniałeś - oznajmiła gorzko. - A przynajmniej chcesz, bym ja zapomniała...

Właśnie miałem zademonstrować, jak wiele pamiętam i jak bardzo nie chcę, by któreś z nas zapomniało, kiedy w zasięgu naszego wzroku pojawiła się ponownie żwawa postać jej znamienitego ojca.

- Przyjdę się z tobą zobaczyć - wyszeptalem. - Są sprawy, o których muszę z tobą porozmawiać...

- Och, jest coś, o czym możesz nam powiedzieć? - Celowo powiedziała to głośno, żeby ojciec mógł ją usłyszeć. Kamil musiał zauważyć, że się kłócimy, i potraktował to z jakimś nerwowym skrepowaniem, zupełnie doń nie pasującym. Kiedy okoliczności tego wymagały, potrafił być bardzo

zdecydowany.

Zanim Helena zdążyła mnie ubiec, odezwałem się.

- Duszą twojego brata, panie, zajęto się z właściwym szacunkiem. Jeśli zaświaty rzeczywiście istnieją, wyleguje się teraz na trawie Hadesu i rzuca Cerberowi patyki. Nie pytaj, skąd wiem.

Przyjął to lepiej niż Helena. Oddaliłem się od nich pospiesznie, robiąc wrażenie bardzo zajętego człowieka.

Dołączyłem do Anakrytesa, żeby czekać przed drzwiami cesarskiego pokoju w tym napięciu, które nigdy tak do końca nas nie opuszcza, kiedy przychodzimy do bardzo ważnej osobistości; będący w łaskach robak może zawsze popaść w niełaskę. Anakrytes zębami dokonywał pielęgnacji paznokcia. Ja byłem w ponurym nastroju. Wespazjan mnie lubił. Okazywał to na ogół, stawiając mi niemożliwe do wykonania zadania, i płacił tyle co nic.

Dworscy szambelani wezwali nas, omijając, jakbyśmy byli nosicielami jakiejś wschodniej zarazy.

Wespazjan nie był typem patykowatego arystokraty o chudej szyi, tylko krzepkim eks-dowódcą. Elegancką purpurową tunikę nosił z równą swobodą jak wieśniak swoją szorstką koszulę. Mówiono, że doszedł do władzy za pomocą kredytów, hipotecznych i innych, ale jako cesarz lubił pokazać, co potrafi, i rzucał się w wir pracy z zacięciem, jakiego nie wykazał żaden z władców od Oktawiana Augusta.

- Był tu Kamil Werus! - wykrzyknął w moją stronę. - ta jego córka! - dodał ze złością. Był opryskliwy; wiedział o moim związku z tą damą i go nie aprobował. - Oświadczyłem, że nie mam im nic do powiedzenia.

- Ja też! - zapewniłem go ze smutkiem. Spiorunował mnie wzrokiem, jakbym to ja był winny tej sytuacji, po czym się uspokoił.

- Co macie do przekazania? - zapytał. Zostawiłem Anakrytesowi tę wyrafinowaną przyjemność i pozwoliłem, by plótl władcy świata koszałki-opałki.

- Czynimy postępy, panie! - oświadczył szpieg z powagą. Zabrzmiało to tak kompetentnie, że aż bebechy się wywracały.

- Znaleźliście już jakieś dowody? - warknął chrapliwie Wespazjan.

- Doniesienie na Pertynaksa Marcela złożone przez jego byłą żonę...

Ogarnęła mnie wściekłość, kiedy przyszło mu do głowy wykorzystać moją informację dotyczącą Heleny, ale cesarz mnie uprzedził.

- Nie mieszaj w to córki Kamila! - rzucił ostro. (Nigdy nie wspomniałem Anakrytesowi, że Wespazjan i ojciec Heleny byli w takich przyjaznych stosunkach; nie pytał o to).

- Tak jest. - Szpieg zmienił ton, dostosowując go do sytuacji. - Po Neronie kolejni cesarze znikali jak kości do gry w jakiejś spelunie. Zapewne te nie mające rozeznania osoby nie doceniły twojej wytrzymałości, panie...

- Oni chcieliby mieć bufona z wykwintnymi przodkami! - zadrwił kwaśno Wespazjan. Słyszał ze swej przyziemności.

- I z odrobiną szaleństwa, żeby zwiększyć wagę senatu! - wymamrotałem.

Wespazjan zacisnął usta. Jak większość ludzi uważał, że moje

zdecydowane republikańskie przekonania świadczą o trwałym uszkodzeniu mózgu. Była to trudna chwila dla nas wszystkich.

- Nie potrafię wybaczyć - odezwał się w końcu cesarz - że ci zdrajcy chcieli omamić mojego młodszego syna!

Trudno było podejrzewać poważnych kandydatów o chęć uczynienia Domicjana marionetkowym cesarzem; jednakże dla tego młodzieńca, mającego popularnego i dynamicznego brata, zmienianie naturalnej kolei rzeczy zawsze wydawało się wspaniałym pomysłem. Miał dopiero dwadzieścia lat i przed sobą jeszcze kilka dekad wywoływania zamętu.

Anakrytes i ja wlepiliśmy wzrok w posadzkę. Doskonała robota, emanująca dobrym smakiem: mozaika aleksandryjska... duży, śmiały, kręty wzór w czarnym i kremowym kolorze.

- Nie możecie mnie winić za to, że stoję w obronie najbliższych! - stwierdził z naciskiem dobry ojciec.

Pokręciliśmy ponuro głowami. Wiedział, że obaj uważamy Domicjana za obwiesia. Cesarz umiał się pohamować. Ani on sam, ani jego pierworodny syn, Tytus, nigdy publicznie nie poddali Domicjana krytyce, nawet nie zganili go spojrzeniem (choć jestem przekonany, że za zamkniętymi drzwiami nieźle mu się dostawało).

Właśnie dlatego, że Acjusz Pertynaks miał konszachty z tym synalkiem cesarza, Anakrytes szperał w jego dokumentach srebrnymi szczypczykami. Bo gdybyśmy natknęli się na jakieś świadczące przeciwko Domicjanowi dowody, z woli Wespazjana musielibyśmy je zniszczyć.

- A zatem! - wykrzyknął cesarz, coraz bardziej znużony bezowocnymi rozważaniami. - Spisek nie istnieje, możecie o nim zapomnieć. - Ton narady uległ zmianie. - Rzym jest na mnie skazany! Mój poprzednik ustąpił z godnością...

Tak też można było na to patrzeć. Ostatni cesarz, Witeliusz, został zamordowany przez tłuszcę na Forum, jego legiony poddały się, jego syn był w powijakach, a córkę Wespazjan szybko wydał za mąż z ogromnym posagiem, którego przeliczanie miało zająć jej mężowi wiele wypełnionych wdzięcznością lat.

Cesarz wciągnął gniewnie powietrze przez zęby.

- W rezultacie tego zamieszania mam w senacie cztery puste miejsca. Zasady są jednoznaczne: senatorowie muszą mieszkać w Rzymie! Faustus Ferentyn poześlował daleko, żeby popijać napój miętowy z jakąś sędziwą ciotką w Licji. Wysłałem mu pozwolenie, z szacunku dla tej ciotki... - obwieścił.

Ten szacunek dla starszych pań wcale nie oznaczał, że Wespazjan jest miękki; pod tą przystępną fasadą kipiała niebezpiecznie potężna wola.

- Trzech pozostałych błaznów przenosi się na wieś - kontynuował. - Gordian i jego brat Longin zostali kapłanami i przenieśli się do odległych nadmorskich miejscowości, a Aufidiusz Kryspus opala się na swojej łodzi w Zatoce Neapolitańskiej. Skoro ktoś życzy sobie uczyć moje doświadczenia do władzy wycofaniem się do życia prywatnego - oświadczył Wespazjan - to nie będę się temu przeciwstawiał. Jednak senatorowie muszą wyjaśniać swoje postępowanie! Kurcjusza Longina wezwałem do powrotu do Rzymu, żeby się wytłumaczył, zatem przypuszczam, że będę musiał wyświadczyć

mu jakąś przysługę, której nigdy nie zapomni... - mówił. Wyglądało mi to na jedno z tych sekretnych pałacowych powiedzonek, których nikt nigdy nie raczył mi objaśnić. - Na noc zatrzymał się w Małej Świątyni Herkulesa Gaditanusa i jutro stawia się na rozmowę. Anakrytesie, chcę, żebyś był przy tym... - dokończył.

Najbardziej w tej pracy nie znosiłem tego, że jestem wykluczany z wszystkiego, co się tutaj naprawdę dzieje. Skrzywiłem się i przesunawszy obcasem po pięknej aleksandryjskiej posadzce, postanowiłem przypomnieć o swoim istnieniu.

- Możemy mieć pewien problem, panie - odezwałem się.

Wspomniałem cesarzowi, jak zaatakowano mnie w magazynie, jak śledziłem Barnabasa i że według mnie ten ślad prowadzący do domowników Pertynaksa może być znaczący. Naczelny szpieg przestąpił z nogi na nogę.

- Nigdy o tym nie wspomniałeś, Falko!

- Przepraszam, wyleciało mi z głowy.

Z satysfakcją obserwowałem, jak Anakrytes szamoce się pomiędzy irytacją na mnie za przejęcie inicjatywy a chęcią ukazania twarzy agenta, który i tak odkryłby co trzeba.

- Pewnie stuknięty wyzwoleniec, któremu wydaje się, że nieżyjący pan zasłużył na jakiś gest z jego strony - wyraził swoją opinię, lekceważąc sprawę.

- Możliwe - zgodziłem się. - Mimo to chciałbym wiedzieć, czy coś w dokumentach Pertynaksa wskazuje na jakiś manewr z dostawami zboża.

- Nic - rzucił krótko Anakrytes. - I nie mam zamiaru marnować pałacowych środków, polegając na słowie dziewczyny usługującej w winiarni na Zatybrzu!

- Ty masz swoje metody, ja mam swoje.

- To znaczy?

- Wykorzystuję nadrzeczne spelunki i winiarnie Zatybrza jako najlepsze źródło informacji!

- Obie metody są dobre - włączył się Wespazjan. - Dlatego zatrudniam was obu.

Podczas naszego sporu brązowe oczy cesarza całkowicie znieruchomiały. Anakrytes wyglądał na zażenowanego, ja natomiast byłem wściekły. Staliśmy tam wszyscy trzej, dyskutując o zdradzie niczym handlarze z Cylicji o cenach celtyckiego piwa, Wespazjan jednak wiedział, co myślę. I wiedział dlaczego. Sześć godzin po tym, jak taszczyłem tego zwisającego trupa, smród jego tłuszczu wciąż wypełniał mi płuca. Wydawało mi się, że moje ręce cuchną od jego pierścieni, które przez jakiś czas trzymałem. Kiedy tylko pozwoliłem sobie na odprężenie, w mojej pamięci pojawiała się tamta trupia twarz. Dzisiaj wyświadczyłem cesarstwu niemałą przysługę, a przecież wyglądało na to, że nadaję się wyłącznie do usuwania zwłok... które to zajęcie było zbyt brudne dla wymanikiurowanych rączek.

- Skoro spędzasz czas w winiarniach, to uważaj na wątrobę! - oświadczył Wespazjan z tym swoim sardonycznym uśmieszkiem.

- Nie ma sensu - warknąłem. - To znaczy, panie, nie ma sensu, bym

narazał na szwank zdrowie oraz niewinność w spelunkach, zbierając informacje, których nikt nie zechce wykorzystać!

- Jaką niewinność? Cierpliwości, Falkonie. Najważniejsze dla mnie teraz jest pogodzenie się z senatem... a z ciebie przecież żaden dyplomata! - rzucił. Spoglądałem gniewnie, ale zachowałem spokój. Wespazjan trochę złagodniał. - Możemy dopaść tego Barnabasa? - zapytał.

- Załatwiłem sobie spotkanie z nim w domu Pertynaksa, ale zaczynam podejrzewać, że nie przyjdzie. Gnieździ się w norze obok tawerny „Zachodzące Słońce”, na południe od drogi Aureliańskiej...

Do sali wpadł szambelan, jakby po dobrym śniadaniu gnał do publicznej, płatnej latryny.

- Cezarze! Płonie świątynia Herkulesa Gaditanusa!

Anakrytes już się odwracał; Wespazjan go powstrzymał.

- Nie. Udasz się na Zatybrze i zatrzymasz tego wyzwoleńca. Powiedz mu bez ogródek, że spisek wykryto. Dowiedz się, czy coś wiedział, potem go puść, jeśli będziesz mógł... daj mu jednak wyraźnie do zrozumienia, że grzebanie się w szlamie stawu będzie miało dla niego niemiłe konsekwencje - powiedział. Tłumiłem w myślach komiczną wizję Wespazjana w postaci wielkiej żaby na liściu lilii wodnej, kiedy cesarz zwrócił się do mnie. - A ty, Falkonie, możesz sobie popatrzeć na pożar.

Podpalenie to brudna sprawa; nie wymaga żadnej dyplomacji.



VIII

Nikt nie towarzyszył mi do świątyni. Ruch i samotność powitałem jak powiew świeżego powietrza.

Nieważne jak krytyczna była sytuacja, musiałem udać się tam w pojedynkę... i koniecznie pieszo. Zużywałem co prawda buty, ale za to moja uczciwość zawodowa pozostawała nietknięta. Za każdym razem, kiedy płaciłem szewcowi, coraz mniej się nią przejmowałem.

Mała świątynia Herkulesa stała na Awentynie, czyli w mojej dzielnicy, mogłem więc się tam pojawić jak pierwszy lepszy miejscowy gap, który zauważył płomień po drodze z burdelu do domu i potraktował to widowisko jako dodatkową tego wieczoru rozrywkę. To dość żałosne sanktuarium stało wciśnięte pomiędzy syryjską piekarnię i warsztat ostrzyciela noży. Były tam dwa wytarte schodki, na których gołębie przysiadły na plotki, cztery frontowe kolumny, wypaczony drewniany fronton i przekrzywiony czerwony dach, który nosił rozliczne dowody tego, że tam właśnie zbierały się gołębie, kiedy już zdecydowały się opuścić schodki.

Można by odnieść wrażenie, że świątynie ciągle się palą. Najwidoczniej dotyczące ich przepisy budowlane nie uwzględniają kubłów na wodę i podestów do walki z ogniem, zupełnie jakby to, że poświęcono je bogom, było już wystarczającym zabezpieczeniem. Najwyraźniej jednak bogów nudzi sprawowanie pieczy nad ołtarzami, na których płonie nie pilnowany wieczny ogień.

Płomień strawił już resztki budynku. Wokół falował skłębiony tłum

gapiów. Przepchnąłem się do przodu.

Ludzie ze straży awentyńskiej stali w pobliskich portykach, a ogień barwił im twarze na krwawą czerwień. Wyglądali na takich, co już niejedno przeszli, choć większość z nich miała bardzo czule matki i poniektórzy potrafiliby nawet powiedzieć, kim byli ich ojcowie. Pośród nich stał mój stary przyjaciel Petroniusz Longus, szeroki w barach, spokojny mężczyzna o szerokim czole. Pałkę miał zatknęty za pas i w zamyśleniu podpierał dłonią brodę. Wyglądał jak gość, którego można by zaciągnąć do kąta na pogaduszki o kobietach, życiu czy też o tym, gdzie można kupić poleć hiszpańskiej szynki. Był dowódcą straży, ale nie przeszkadzało nam to się przyjaźnić.

Wcisnąłem się obok niego. Żar był taki, że zdawał się topić szpik w kościach. Przepatrywaliśmy tłum, na wypadek gdyby jakiś szalony podpalacz dalej tam jeszcze tkwił.

- Dydiusz Falko - wymamrotał Petroniusz - jak zwykle pierwszy w koszarach, żeby zająć miejsce przy ogniu!

Razem odbywaliśmy służbę wojskową na mroźnej Północy: pięć lat w Brytanii w II Legionie Augusta. Połowę tego czasu spędziliśmy na pograniczu, a resztę w forsownych marszach albo obozowaliśmy w szczerym polu. Kiedy wróciliśmy do domu, byliśmy przekonani, że już nigdy się nie rozgrzejemy. Petroniusz się ożenił i oznajmił, że to pomaga. Różne ochocze damy gotowe były pomóc mi w taki sam sposób, ale jakoś się obroniłem.

- Odwiedzałeś swoją dziewczynę? - zapytał.

- Którą? - Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. Dobrze wiedziałem którą. Przez co najmniej dwa tygodnie była tylko jedna. Odsunąłem od siebie wspomnienie, jak ją dzisiejszego wieczoru obraziłem. - Jaki to łatwy do uniknięcia wypadek się tu zdarzył, Petroniuszu?

- Typowe zaniedbanie. Akolici grali sobie w kości w pobliskiej tawernie. Pozostawione tłące się kadzidło...

- Jakież ofiary?

- Wątpię, drzwi były zamknięte na klucz... - Petroniusz zerknął na mnie, wyczytał z mojej twarzy, że nie zadaję tego pytania bez powodu, po czym z ciężkim westchnieniem odwrócił się z powrotem w stronę świątyni.

Byliśmy bezsilni. Nawet jeśliby jego ludzie wylamali taranem te ciężkie drzwi, wewnątrz eksplodowałoby wówczas w potężną ognistą kulę. Jęzory ognia już zaczynały lizać dach. Czarny dym o niepokojącym zapachu wypuszczał macki aż na pół drogi do rzeki. Tutaj, w uliczce, od żaru nasze twarze zaczynały lśnić jak szkło. Nikt nie mógł przetrwać w tym wnętrzu.

Drzwi wciąż stały, dalej zamknięte na klucz, kiedy zapadły się belki dachu.

Ktoś wreszcie wyciągnął z jadalni strażaków, żeby polali szkielet budynku kubłami wody. Najpierw musieli znaleźć jakąś działającą fontannę, a kiedy już ją znaleźli, robota i tak szła im niemrawo. Na polecenie Petroniusza większa część tłumu rozproszyła się, choć ci nieszczęśnicy, którzy mieli sekutnice za żony, nie kwapili się z pójściem do domu i trzymali rozpaczliwie tego miejsca. Wbiliśmy bosaki w drzwi i odciągnęliśmy nadpalone drewno z przeszywającym uszy piskiem; tuż za

drzwiami leżało skurczone w jedną zestaloną bryłę ciało, jak należało sądzić, ludzkie. Kapłan tej świątyni, który właśnie nadszedł, powiedział, że stopiony amulet na piersi denata przypomina ten, jaki zawsze nosił Kurcjusz Longin, czyli wspomniany przez Wespazjana konspirator.

Longin był jego gościem. Kapłan jadł z nim tego wieczoru kolację; teraz odwrócił się od szczątków z poszarzałą twarzą.

Petroniusz narzucił skórzaną zasłonę na zwęglone zwłoki. Zostawiłem go, żeby zaczął przesłuchania, a sam ruszyłem się rozejrzeć.

- Czy zawsze zamykacie na noc drzwi? - spytał ostro, krztusząc się dymem.

- A po co mielibyśmy zamykać? - Kapłan Herkulesa miał gęstą czarną brodę; był pewnie z dziesięć lat starszy od nas, trzymał się twardo jak mur forticy. Z tym nieustępliwym gościem można było co najwyżej pograć w piłkę, gdyby zechciał nas włączyć do swojej drużyny. - Nie jesteśmy świątynią Jowisza, wypełnioną zdobytymi skarbami, czy skarbcem świątyni Saturna. Niektóre kaplice trzeba zamykać na noc, żeby nie pchali się do nich włóczędzy, ale na pewno nie naszą!

Domyślałem się dlaczego. Pomijając to, że szorstki stary Herkules prawdopodobnie lubił włóczędów, nie było tam miejsca, w którym można się wygodnie usadowić, i nie było nic wartego kradzieży w tym budynku z cegły, nie większym od wiejskiego spichlerzyka.

Terakotowy posąg boga, przywalony teraz stosem dachówek, wyglądał jak niedokończony, co pasowało do prostego, by nie rzec: prymitywnego otoczenia. Nawet jego kapłan miał wynędzniały wygląd człowieka, który pracuje w biednej dzielnicy i ma cały dzień do czynienia z pięściami o poobijanych mózgach. Spod zarostu wyzierała przystojna orientalna twarz; miał też wielkie smutne oczy, jakby wiedział, że jego bóg cieszy się co prawda sympatią, ale nikt tak naprawdę nie traktuje go poważnie.

- Kto tu zarządzał? - ciągnął znużonym głosem Petroniusz, nadal przejęty odkryciem zwęglonego ciała. - Wiedziałeś, że ten człowiek tu jest?

- Ja tu zarządzałem - oświadczył kapłan. - Kurcjusz Longin miał jutro posłuchanie u cesarza. Modlił się w świątyni, by uporządkować myśli...

- Posłuchanie? W jakiej sprawie?

- Spytaj cesarza! - parsknął kapłan.

- Kto trzyma klucz do świątyni? - wtrąciłem się, przesuając wzrokiem po resztkach sanktuarium.

- Zostawiamy go na haku przy wejściu.

- Najwyraźniej już nie! - poprawił go ze złością Petroniusz.

Hak widzieliśmy. Pusty. Podeszedłem bliżej, żeby się przyjrzeć.

Kapłan bezsilnie spoglądał na dymiące zgliszcza domu Herkulesa. Wzdłuż pęknięć tynku pokrywającego wewnętrzne ściany przebiegały iskry. Nie miał ochoty się dręczyć oglądaniem szkód pod moim i Petroniusza okiem.

- Muszę napisać do jego brata...

- Nie rób tego! - rozkazałem lodowatym głosem. - Cesarz sam poinformuje Kurcjusza Gordiana.

Kapłan wyszedł stamtąd, więc i ja zabrałem się do odejścia. Skinąłem głową mojemu przyjacielowi, który zrobił zawiedzioną minę, że już

uciekam. Klepnąłem go po ramieniu i wygramoliłem się za czarnobrodym.

Mineliśmy pewnego pobudliwego osobnika pracującego dla Anakrytesa; był tak zajęty demonstrowaniem swojej obecności, że nas kompletnie przegapił. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że nęka Petroniusza. Dowódca straży rozstawił szeroko nogi i patrzył nieobecny wzrokiem zmęczonego człowieka, który koniecznie musi się napić i już się zastanawia, czy wziąć pół amfory tej co zwykle szkarłatnej, przeżerającej wnętrzności berbeluchy i mieć po niej koszmarną noc, czy też napocząć będące rozkoszą dla podniebienia smakowite setinum, które od dawna chomikuje z tyłu półki... Szpieg nie robił najmniejszych postępów. Spokojna bezczelność to specjalność straży awentyńskiej.

Kiedy kapłan ruszył w stronę domu, dołączyłem do niego.

- Czy Kurcjusz Longin przybył do Rzymu dzisiejszego wieczoru? - spytałem.

Skinał głową milcząco. Teraz dopiero odczuwał efekty wstrząsu; nie wykazywał ochoty do rozmowy. Głowę miał zajętą myślami, a prężne nogi same go niosły. Stawiał wielkie kroki i musiałem bardzo się starać, by za nim nadążyć, nie tracąc przy tym nic ze swojej godności.

- Więc raczej nie miał okazji się z nikim spotkać? - upewniłem się.

Pokręcił głową. Czekałem.

- Oderwano go od kolacji, chciał z nim porozmawiać ktoś znajomy - powiedział po namyśle.

- Widziałeś, kapłanie, kto to taki?

- Nie. Odszedł na chwilę. Jak sędzę - wyciągał wnioski tak zadowolony ze swoich dedukcyjnych umiejętności, że udało mu się zwolnić kroku. - Longin przełożył spotkanie na późniejszą porę!

- Tutaj, w twojej świątyni! To całkiem prawdopodobne. Skąd wiesz, że tą tajemniczą osobą był mężczyzna?

- Mój służący podał Kurcjuszowi Longinowi jego imię.

Odmówiłem w myślach modlitwę dziękczynną do Herkulesa.

- Pomóż sobie i swojej świątyni. Powiedz mi...

Zatrzymaliśmy się na rogu przy fontannie, gdzie z posążka przedstawiającego zamyślonego boga rzek wszystkimi otworami tryskała woda.

- Jak niby miałyby to pomóc? - marudził kapłan.

- Pomoże, kiedy nasz łaskawy nowy cesarz będzie planował program odbudowy. Ponowne dedykowanie świątyń dodaje blasku każdemu władcy!

- Myślałem, że skarbowi brakuje gotówki...

- Już niedługo. Ojciec Wespazjana ściągał należności, cesarz ma wymuszanie we krwi.

Kapłan wyjął klucz.

- Dość swobodnie dysponujesz domniemanymi dochodami cesarza! - zauważył. - Kim jesteś?

- Nazywam się Dydiusz Falko. Działam w imieniu pałacu...

- Aha! - Ożywił się, żeby mnie obrazić. - Dlaczego inteligentny, dobroduszny syn Rzymu zajmuje się taką podejrzaną robotą?

- Sam sobie zadaję to pytanie! Powiedz mi więc - zaatakowałem

ponownie - kim był ten znajomy Longina?

- Niejaki Barnabas - odparł kapłan.



IX

Zapał już mrok, ale ponieważ wiedziałem, że Wespazjan ma zwyczaj pracować do późna, zdarłem trochę więcej skóry z podeszew, żeby go znów odwiedzić.

Czekałem, aż przegna tych wszystkich zabijaczy much i doprawiaczy wina, którzy zresztą nigdy nie liczą na to, że będą świadkami czegoś ciekawego. Następnie czekałem, aż aroganckie sekretarskie typki otrzymają rozkaz odmaszerowania.

Obaj się odprężyliśmy, kiedy zostaliśmy sam na sam. Wyciągnąłem się na sofie służącej cesarzowi do lektury i spoglądałem na sklepiony sufit wysoko nad sobą. Pokój był wyłożony ciemnozieloną boazerią z Brescii, której poszczególne płyciny oddzielono pilastrami z kremowego trawertynu. Kandelabry były złożone; wszystkie w kształcie muszli; wszystkie zapalone. Wychowałem się w ciemnych izbach, gdzie moje kędziory ocierały się o belki powały; od tamtej pory czułem się nieswojo w przestronnych wnętrzach i pośród elegancko dobranych kolorów. Leżałem pełen niepokoju, że zostawię brudny ślad na jedwabiu sofy.

Cesarz oparty na swoim potężnym łokciu zjadał jabłka. Jego kwadratową, opaloną twarz zdobił wydatny nos i śmiesznie zadarta broda, co można zobaczyć na monetach, a oczy okalała siatka zmarszczek mimicznych. Na denarach nie widać natomiast, że Wespazjan uważał moją obecność za świetną rozrywkę.

- No i co, Falkonie? - Zmarszczył brwi, spoglądając na owoc, który trzymał w ręku. Jabłko wyglądało na nieforemny, mączysty produkt pochodzący z jego własnej sabińskiej posiadłości. Nasz cesarz nigdy nie wydałby pieniędzy na coś, co sam mógł wyhodować.

- Cezarze, nie cierpię tych bagiennych dzikusów, ale trzeba przyznać, że nigdzie nie ma takich słodkich jabłek jak w Brytanii! - powiedziałem.

Wyprawa Wespazjana do Brytanii przyniosła zdecydowany sukces. Ja byłem tam dwadzieścia lat później i nie skończyło się to chwalebnie. Na pewno ktoś taki jak Ana- krytes już dawno go o tym poinformował.

Gospodarz milczał chwilę, jakby wspomnienie tych małych kruchych szarych renet, które eksplodują na języku taką nieoczekiwaną słodyczą, trafiło mu do serca. Gdybym nie nienawidził Brytanii tak bardzo, sam pewnie bym poczuł dżgnięcie nostalgii.

- Co się wydarzyło w tej świątyni? - zapytał.

- Obawiam się, panie, że przynoszę złe wieści. Kurcjusz Longin nie żyje. Na szczęście dla niego, spopielenie zwłok jest teraz w Rzymie modne - oznajmiłem. Cesarz jęknął i wałną wielką pięścią w sofę. - Panie, jest taka specjalna premia za wskazanie twoich przeciwników. Czy należy się też za podanie imienia maniaka, który ich kolejno likwiduje? - zainteresowałem się.

- Nie - odparł krótko cesarz.

Wiedział, że to dla mnie poważny cios.

- Całe imperium podziwia wdzięczność cezara!

- Daruj sobie sarkazm - warknął groźnie.

Pod pewnymi względami zupełnie do siebie nie pasowaliśmy. Cezarz Wespazjan był prowincjonalnym senatorem, *homo novus* - „człowiekiem nowym” z nie liczącego się rodu, ale zarazem tradycjonalistycznym arystokratą. Ja natomiast byłem wygadany, introwertycznym prostakiem z awentyńskim akcentem i nie miałem zwyczaju okazywać szacunku. Fakt, że udawało nam się współpracować, stanowił typowy rzymski paradoks.

Kiedy z gniewnie zmarszczonym czołem słuchał najnowszych wiadomości, wykorzystałem sytuację, by przekazać mu pełną opowieść.

- Panie, ten zagubiony wyzwolenc, o którym ci mówiłem, usłyszał o przyjeździe Longina do Rzymu. Jestem pewien, że się spotkali. Wygląda na to, że to właśnie ów wyzwolenc wywołał pożar. Czy Anakrytesowi udało się wytropić go na Zatybrzu?

- Nie. Zdążył spakować manatki i zniknąć. Kiedy podpalał świątynię, był już pewnie gotów do ucieczki. Wszystko sobie dokładnie zaplanował. W co on gra, Falkonie?

- Albo jest to jakaś szalona zemsta za śmierć patrona... albo coś bardziej niebezpiecznego.

- Chcesz powiedzieć, że albo Barnabas wini Longina za zabicie Pertynaksa... albo też Longina trzeba było uciszyć, zanim spotkał się ze mną, z powodu tego, co mógłby mi ewentualnie powiedzieć? Czy Kurcjusz Longin był rzeczywiście odpowiedzialny za śmierć Pertynaksa?

- Nie, panie. Prawdopodobnie zaaranżował to ten człowiek, którego dzisiejszego ranka wrzuciłem na twoje polecenie do Cloaca Maxima.

- Więc co takiego miał mi do powiedzenia Longin?

- Nie wiem. Może jego brat nas oświeci.

Cezarz pogrążył się w zadumie.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że ledwie pogrzebiemy jeden spisek, zaraz na światło dzienne wypełza kolejny? - zapytał ponuro.

- Pewnie dlatego, że jakiś właśnie wypełzł.

- Nie należę do ludzi, którzy marnowaliby czas, uciekając przed skrytobójcami.

- To prawda, panie.

Chrząknął.

- Potrzebny mi jesteś do czegoś - oznajmił. - To, co się stało, rzuca złe światło na moje rządy... chcę, by ludzie wiedzieli, że jeśli po nich posyłam, to robię to w dobrej wierze! Niebezpiecznie byłoby zapraszać teraz do Rzymu drugiego z braci Kurcjuszów, ale ktoś powinien jak najszybciej do niego pojechać i go ostrzec. Niewiele więcej. Przekaż mu moje kondolencje. Pamiętaj, jest senatorem; to stary ród, o wysokim statusie. Opowiedz mu po prostu, co się stało, każ mieć się na baczności, a potem poproś, żeby do mnie napisał...

- Mam być posłańcem! Cezarze, to ty chciałeś, żebym dla ciebie pracował! A tymczasem muszę wyciskać zlecenia jak pojedyncze krople z wymion... - Przerwałem, widząc wyraz jego twarzy. - A co z ostrzeżeniem Kryspusa żeglującego po Zatoce Neapolitańskiej?

- Wyobrażasz sobie, że stawiasz mu czoło na jego własnej łodzi?
- Nie za bardzo. Cierpię na chorobę morską i nie umiem pływać. Ale chciałbym zmagać się z jakimś prawdziwym zadaniem.
- Żałuję. - Wzruszył obojętnie ramionami. - Anakrytes nie może się doczekać powiewu morskiej bryzy, kiedy będzie wręczał ten nakaz.
- Więc to Anakrytes ma hasać po polach zabaw dla bogaczy, podczas gdy ja będę trząsł się trzysta mil na grzbiecie narowistego muła, po czym oberwę w szczękę, kiedy powiem Gordianowi, w jaki to sposób znalazł się w żałobie? Czy mam choć pełnomocnictwo, by negocjować w sprawie jego powrotu? To, co zwiesz, panie, „przysługa, której nigdy nie zapomni”? Co mam zrobić, jeśli o to zapyta? Co, jeśli powie, czego chce?
- Nie powie, Falkonie... cóż, gdyby jednak powiedział, wykaż się inicjatywą.
- Roześmiałem się.
- Chcesz, panie, przez to powiedzieć, że nie mam żadnej mocy. Jeśli uda mi się go przekabacić, dostanę podziękowanie od jakiegoś nadętego dworskiego urzędasza, ale jeśli coś pójdzie źle, to już mój problem!
- Wespazjan skinął sztywno głową.
- To się nazywa dyplomacja!
- Za dyplomację biorę dodatkową zapłatę - burknąłem.
- Porozmawiamy o tym, jeśli twoje starania przyniosą pożądany skutek!
- odpalił. - Dowiedzenie się od Kurcjusza Gordiana, dlaczego zabito jego brata Longina - mówił już spokojniej - jest prawdziwym wyzwaniem. Możesz wyruszyć bezzwłocznie? Jak sobie radzicie z posiadłością Pertynaksa? - zapytał, zabierając się do ostatniego jabłka.
- Niezgodne sprzątanie! Przedmioty luksusowe już zostały rozdysponowane. Teraz sprzedajemy drobiazgi na pchlich targach: dzbany z luźnymi rączkami i poobijane rondle. Nawet w najlepszych domach znajdzie się całe kosze nie pasujących do żadnego kompletu tępych noży...
- Umilkłem, bo z tego, co wcześniej słyszałem, przypominało to nieco skrzynie w rodzinnym domu Wespazjana, zanim został cesarzem.
- Dostajecie dobrą cenę? - spytał z przejęciem. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. Ten cesarski dusigrosz miał nieco wygórowane wyobrażenie na temat dobrej ceny.
- Nie będziesz rozczarowany, panie. Korzystam z licytatora, niejakiego Geminusa. Traktuje mnie jak syna.
- Anakrytes uważa, że nim jesteś! - rzucił Wespazjan. Zaskoczyła mnie przebiegłość cesarskiego szpiega. Mój ojciec odszedł z domu z jakąś kobietą robiącą chusty, kiedy miałem siedem lat. Nigdy mu tego nie wybaczyłem i matka byłaby śmiertelnie urażona, gdybym się z nim teraz zadawał. Jeśli Geminus był moim ojcem, to ja nic o tym nie chciałem wiedzieć.
- Anakrytes - odpowiedziałem krótko cesarzowi - żyje w swoim własnym wyimaginowanym świecie!
- Ryzyko związane z jego pracą! A co myślisz o Mo-musie?
- Nic ciekawego.
- Wespazjan mruknął, że nikt mi się nigdy nie podoba; zgodziłem się z nim.

- Szkoda, że tak wyszło z Longinem - zauważył, powoli kończąc rozmowę.

Wiedziałem, co ma na myśli; każdy cesarz ma prawo uśmiercać ludzi, którzy się z nim nie zgadzają, natomiast pozostawienie ich na wolności, by mogli go zaatakować, świadczy o klasie.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, panie - narzekałem - że ten braciszek Gordian obwini ciebie za wydanie rozkazu podpalenia świątyni? Kiedy pojawię się tam z niewinną miną, będzie przypuszczał, że jestem wysłanym przez ciebie zbirem... A może nim jestem? - spytałem podejrzliwie.

- Gdybym chciał mieć potulnego skrytobójcę - odpowiedział Wespazjan, pozwalając, bym go obrażał, jakby ta nowość sprawiła mu frajdę - wybrałbym kogoś, kto znacznie rzadziej dokonuje ocen moralnych...

Podziękowałem mu za komplement, choć niezamierzony, po czym opuściłem pałac, przeklinając utratę szansy na premię, która przepadła mi przez to, że kapłan Longin zafundował sobie taki ognisty koniec. Żeby móc się zakwalifikować do warstwy ekwickiej, musiałem mieć czterysta tysięcy sestercji zainwestowanych w ziemię Italii. Wespazjan płacił mi za kosztą plus skromną dniówkę. Jeśli nie uda mi się dorobić, uzbieram zaledwie dziewięćset rocznie. A na samo życie wydaję tysiąc.



X

Pomimo niebezpieczeństw czyhających nocą na ulicach miasta do domu Pertynaksa wróciłem pieszo. Udało mi się dotrzeć na Kwirynał tylko z jednym obrażeniem ramienia po tym, jak jakiś pijaczyna, straciwszy orientację, wpadł prosto na mnie. Okazało się jednak, że orientację miał lepszą, niż mi się wydawało; kiedy kręciliśmy się w szaleńczym piruecie, uwolnił mnie od mojej sakiewki... tej, w której noszę pełno kamyków, dla takich właśnie rozbójników jak on.

Kolejne kilka ulic przemierzyłem szybkim krokiem, na wypadek gdyby pogonił za mną z reklamacją.

Dotarłem na miejsce już bez dalszych niemiłych przygód.

Ruch kołowy w dzień był w Rzymie zakazany i wozy konne przyjeżdżały na Kwirynał dopiero po zmierzchu; praca likwidatorów była przez to upiorna. W tej chwili przed domem stały cztery wozy, na które ludzie licytatora ładowali łoża z żółtodrzewu i lakierowane egipskie szafy, wciskając między nie lampy, żeby ładunek się nie przesunął. Kiedy wszedłem do środka, pomogłem tragarzom wynieść korytarzem wielką przyśrubowywaną do podłogi prasowalnicę.

- Falko! - ktoś zawołał.

Gornia, brygadzysta, chciał mi coś pokazać. Nasze kroki odbijały się echem, kiedy szliśmy pustym czerwonym korytarzem do sypialni na parterze, w której wcześniej nie byłem. Prowadziły do niej płycinowe drzwi osadzone pomiędzy dwoma bazaltowymi popiersiami.

- O, bardzo tu ładnie!

Pokój kobiecy, urządony ze spokojnym przepychem. Pięć razy większy od każdego z pokoi, w jakich kiedykolwiek mieszkałem, i o połowę

wyższy. Szlak wymalowany u dołu ścian imitował marmur w gołębioszarym kolorze, płyciny boazeryjne powyżej pomalowano na niebiański błękit, obramowano pastelowymi wstążeczkami i ozdobiono centralnie umieszczonymi medalionami. Mozaika podłogowa ułożona była w skomplikowany wzór z różnych odcieni szarości, specjalnie zaprojektowany dla tego pokoju, z miejscem przeznaczonym na łożę; w tym miejscu sufit obniżono, tworząc przytulny kącik do spania.

Łoża już nie było. Pozostał tylko jeden przedmiot. Gornia wskazał ręką niewielki kuferek z rzeźbionego orientального gatunku drewna, stojący na czterech malowanych okrągłych nóżkach.

- Import z Indii? Jest do niego klucz?

Gornia wręczył mi kawałek zimnego mosiądzu z niepewną miną, jakby się obawiał, że znajdziemy tam jakieś z mumifikowane niemowlę. Zdmuchnąłem kurz i otworzyłem skrzynkę.

Nic cennego. Stare listy, jakieś sznury paciorków z bursztynu, nierównych kształtem i różnej barwy, jakie mogłaby trzymać dziewczyna z nadzieją, że być może kiedyś da je swojemu dziecku do zabawy. Były też przepisy kulinarne, między innymi na turbota w sosie kminkowym. Mógł być niezły.

- Nic dla Anakrytesa. Zatrzymaj tę skrzynkę. Dopilnuję, żeby... - Gornia mi podziękował i dwóch tragarzy wyniosło kuferek.

Zostałem sam; stałem, ssąc w zamyśleniu dolną wargę. Wiedziałem, kto tutaj kiedyś mieszkał. Helena Justyna: była żona spiskowca.

Podobał mi się ten pokój. Cóż... ona mi się podobała. Podobała mi się tak bardzo, że próbowałem przekonać sam siebie, że najlepiej będzie, jeśli jej już więcej nie zobaczę.

A teraz jakaś stara skrzynia, która kiedyś do niej należała, wprawiła moje serce w drzenie, jakbym był usychającym z miłości kilkunastolatkiem.

Jedyne, co tutaj jeszcze pozostało, to masywny potężny żyrandol wiszący pod wielką złoconą broszą. Przepływ powietrza pomiędzy jego kosztownymi świecami wywoływał skaczące cienie, które poprowadziły mnie przez składane drzwi do zamkniętego ogródka, z figowcem i rozmarynem. Helena na pewno lubiła tu przebywać, popijać napar z ziółek rano albo po południu pisać listy.

Wróciłem do pokoju i po prostu tam stałem, wyobrażając sobie to piękne pomieszczenie kiedyś, zastawione sprzętami i przedmiotami, których używała codziennie: wysokie łożę i nieodzowne wiklinowe foteliki i taboreciki; witryny i półki; słoiczki z pachnidłami i flakoniki z wonnymi olejkami; srebrne puzderka z różnymi smarowidłami; szkatułki z drewna sandałowego na biżuterię i chusty; lusterka i grzebienie; skrzynie na ubrania. Widziałem uwijające się niewolnice. I harfistkę, która ją zabawiała graniem, kiedy była smutna. (Na to było mnóstwo czasu: cztery nieszcześnie lata).

Pertynaks miał sypialnię w innym skrzydle. Tak żyją bogacze. Kiedy życzył sobie, by jego młoda, szlachetna małżonka wypełniła stosowne obowiązki, za pośrednictwem niewolnika wzywał ją, by przemierzyła te dwa chłodne korytarze. Może poszła czasem do niego z własnej i nieprzymuszonej woli, ja jednak wątpiłem, by tak było. On też na pewno

nigdy jej tutaj nie zaskoczył swoim przyjściem. Przecież Helena Justyna rozwiodła się z Pertynaksem właśnie dlatego, że nie wykazywał zainteresowania jej osobą. Nienawidziłem go za to. Pławił się w luksusie, a jego hierarchia wartości była zupełnie groteskowa.

Powlokłem się do atrium, czując ucisk w gardle, i natknąłem się na Geminusa.

- Marnie wyglądasz!
- Próbuję nauczyć się czegoś o dekoracji wnętrz.
- Znajdź sobie stosowne zajęcie i zarób wreszcie przyzwoitą mamonę!

Usunęliśmy już wszystkie posągi, jednak kiedy tak sobie gawędziliśmy, pojawił się jeszcze jeden. Prywatnie Geminus cenił sobie dzieła sztuki, wobec czego przyjrzał się teraz ze znawstwem postaci dziewczęcia. Była doskonale wyrzeźbiona, a potem odlana w brązie, prawdziwa uczta dla oka: Helena Justyna we własnej osobie.

Zagwizdałem cicho. Nadzwyczaj udane dzieło. Zastanawiałem się, jak to możliwe, żeby ująć w metalu ten kipiący wewnątrz, gotowy wybuchnąć w każdej chwili gniew i ten cień uśmiechu czający się w kąciku ust... Zrzuciłem z zagłębienia jej łokcia gromadkę stonóg, po czym pogłaskałem zgrabny tyłeczek z brązu.

Geminus był tym licytатorem, którego Anakrytes zniesławił podejrzeniem, jakoby to on przyczynił się do sprowadzenia mnie na ten świat. Doskonale wiedziałem, dlaczego niektórzy mogli tak sądzić. (Podobnie jak, patrząc na swoją rodzinę, rozumiałem, dlaczego ojciec dał nogę). Gość był mocno zbudowany, skryty, humorzasty, miał około sześćdziesiątki, włosy bujne, siwe i kędzierzawe. Był przystojny (choć nie taki przystojny, jak mu się zdawało). Jego profil rysował się mocną linią, zagłębienie nie dzieliło nosa od czoła... miał prawdziwie etruski profil. Miał też nosa do skandali i dobre oko, jeśli chodzi o kobiety, o czym legendy krążyły nawet w Saepa Julia, gdzie zbierają się handlarze starociami. Jeśli któryś z moich klientów miał do sprzedania jakąś rodzinną pamiątkę, posyłałem go do niego (jeśli była to kobieta, a ja sam akurat byłem zajęty, też mu ją podsyłałem).

Staliśmy tam, odgrywając znawców sztuki. Posąg Heleny nie był sygnowany, ale na pewno wykonał go dobry grecki rzeźbiarz i ona musiała mu pozować. Postać wyglądała wspaniale, ze złożonym diademem i podbarwionymi oczyma. Helena miała wtedy jakieś osiemnaście lat i włosy staroświecko uniesione do góry. Ubrana była elegancko... ale ukazana tak sprytnie, żeby można było się domyślić, co kryje strój.

- Bardzo ładny - zauważył Geminus. - Piękny okaz!
- Gdzie oni schowali to чудо? - spytałem tragarzy.
- Wcisnęli do schowka obok latryny.

Z tym mogłem się pogodzić. Nie byłbym zachwycony, gdyby Pertynaks podziwiał ją w swoich prywatnych pokojach. (W swojej sypialni ten głupiec trzymał wyłącznie srebrne figurki koni wyścigowych oraz malowidła przedstawiające jego własne statki).

Podziwialiśmy z Geminusem okazałe dzieło fachowca. Najwyraźniej zauważył moją minę.

- Na Kastora i Polluksa! Ty za nią latasz, Marku?

- Skądże - odparłem.

- Kłamca! - rzucił.

- Zgadza się.

Prawdę mówiąc, to owa szlachetna pani latała za mną, kiedy akurat miała ochotę na bliższą znajomość. Ale to nie jego interes.

Kobiety bardzo się zmieniają pomiędzy osiemnastym i dwudziestym trzecim rokiem życia. Było dla mnie ciężkim przeżyciem oglądać ją taką, jaką była, kiedy nie dotknęły jej jeszcze przejścia związane z Pertynaksem, i żałowałem, że nie poznałem jej pierwszy. Coś w wyrazie jej twarzy, nawet w tym wieku, uświadomiło mi boleśnie, że za bardzo się wdawałem we flirty dzisiaj przed południem... jak i przez całe dotychczasowe życie.

- Zbyt uległa. Nie uchwycił jej jak trzeba - mruknąłem. - W prawdziwym życiu ta dama patrzy na ciebie takim wzrokiem, jakby miała zamiar odgryźć ci nos, jeśli tylko za bardzo się zbliżysz...

Niby sprawdzając, czy nie mam uszkodzonego kinola, Geminus wyciągnął rękę, żeby nim zaborczo szarpnąć, ale błyskawicznym ruchem zasłoniłem twarz ramieniem.

- A jak blisko na ogół podchodzisz? - zainteresował się.

- Poznałem ją w zeszłym roku, w Brytanii. Wynajęła mnie, żebym ją eskortował w drodze powrotnej do Rzymu... wszystko jak trzeba i bez cienia skandalu, rozumiesz...

- Tracisz pazur? - zakpił. - Niewiele szlachetnych dam potrafiłoby przemierzyć tysiąc czterysta mil z młodzieńcem twojego pokroju i nie pozwolić sobie na jakąś ulgę w trudach podróży!

Zerknął na posąg. Poczulem się dziwnie, zupełnie jakby dwoje ludzi, na których mi zależało, zostało sobie przedstawionych.

Ciągle ścisnąłem w rękę jej przepisy.

- Co to takiego?

- Przepis na turbota w sosie kminkowym. Bez wątplenia ulubiona południowa przekąska jej męża... - Westchnąłem ponuro. - Wiesz, co mówią: za cenę trzech koni można kupić porządnego kucharza, a mając trzech kucharzy, można się już pokusić o turbota... a ja nawet nie mam jednego konia!

Popatrzył na mnie z ukosa.

- Chcesz ją, Marku?

- Nie miałbym jej gdzie trzymać.

- Posągu? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Och, posąg! - odparłem, też z uśmiechem, tyle że smutnym.

Doszliśmy do wniosku, że byłoby wielce niestosowne sprzedać podobiznę tej damy na publicznym rynku. Wespazjan przyznałby nam rację i zmusiłby rodzinę do jej odkupienia za jakąś wyśrubowaną cenę. Geminus był przeciwny cesarzom tak jak ja, zatem nie umieściliśmy Heleny Justyny w cesarskim spisie.

Postanowiłem posłać posąg jej ojcu. Sam go zawinałem do transportu w kosztowny egipski dywan, którego też nie było w spisie. (Licytator odłożył go dla siebie).

Późną nocą, w pustym domu, mózg potrafi płatać figle.

Gornia i jego tragarze już dawno się wynieśli; Geminus szedł parę

kroków przede mną. Zajrzałem jeszcze do westybulu, żeby zabrać swoją wymiętą tokę; kiedy stamtąd wychodziłem, przecierałem dłonią zmęczone oczy. Mimo że lampy ledwo płonęły, dostrzegłem kogoś w atrium... najwyraźniej jednego z niewolników.

Patrzył na zawinięty posąg.

Gdy się odwróciłem, żeby zamknąć za sobą drzwi, zniknął. Był to mężczyzna jasnowłosy, drobnej budowy, mniej więcej w moim wieku, z ostrymi rysami, które przypominały mi kogoś... To niemożliwe. Przez przyprawiającą o dreszcz chwilę pomyślałem, że widzę ducha Acjusza Pertynaksa.

Za dużo ostatnio główkowałem; ponadto miałem bujną wyobraźnię i byłem przemęczony. Myślenie przez cały dzień o zmarłych najwyraźniej mi zaszkodziło. Nie wierzyłem przecież, że pozbawione ciała duchy, dotknięte sposobem, w jaki je potraktowano, wracają, by nawiedzać swoje ciche domy.

Wszedłem do atrium. Pootwierałem wszystkie drzwi, ale nikogo nie znalazłem. Wróciłem do postaci Heleny i śmiało na nią patrzyłem. Widziałem tylko jej twarz, nad brzegiem dywanu, w który ją zawinałem.

- Zatem jesteśmy tu razem skarbie: ty, ja i on. On jest duchem, ty posągiem, a ja zapewne wariatem...

Pełna powagi podobizna młodej Heleny odpowiedziała mi żywym spojrzeniem wymalowanych oczu i cieniem uśmiechu, ulotnego, słodkiego i szczerzego.

- Prawdziwa z ciebie kobieta, moja miła! - oświadczyłem, wymierzając jej jeszcze jeden swawolny klaps. - Jakże niestała!

Duch wtopił się w marmur ścian; posąg nabrał wyniosłości. Wariatem wstrząsnął dreszcz, wybiegł więc na zewnątrz, za Geminusem.



XI

Według mnie, najlepsze rzymskie domy to nie rezydencje z zamkniętymi okiennicami na wzgórzu Pincius, ale pełne charakteru siedziby ciągnące się wzdłuż brzegu Tybru w mojej dzielnicy, ze schodkami schodzącymi do rzeki i cudownymi widokami. Geminus tam mieszkał. Miał i pieniądze, i gust, i urodził się na Awentynie; jakżeby inaczej.

Żeby mi się lepiej powtarzało, powiedziałem, że ich zalewa. Cóż, stać go było na posłanie do roboty tylu niewolników, że mogli miotłami wymieść Tyber z powrotem do koryta. Zresztą licytatorowi, któremu zamoknął meble, łatwo o nowe.

Dzisiaj wracał do domu w typowym dla siebie skromnym stylu... pańska lektyka z sześcioma potężnymi tragarzami, jarmarczna grupa z pochodniami i dwóch osobistych ochroniarzy; skorzystałem z okazji i dałem się podrzucić. W drodze Geminus pogwizdywał przez zęby w ten swój irytujący sposób, a ja się prawie nie odzywałem. Kiedy mnie wysadzał, dwie brudne ulice od mojego domu, popatrzył na mnie surowo.

- Trzymaj się korzeni, Marku. Szlachetnie urodzonych należy oskubywać, a nie z nimi flirtować! - poradził mi. Nie miałem nastroju do

sporów. Zresztą miał rację. - Pogadamy o tym?

- Nie.

- Chcesz sobie napytać...

- Proszę, nie mów mi, czego chcę! - odezwałem się cierpko. Wysiadłem.

Geminus wychylił się i spytał:

- Forsa nie byłaby pomocna?

- Nie.

- Chcesz powiedzieć, że nie ode mnie...

- Od nikogo. - Stałem uparcie na ulicy, dopóki jego lektyka nie ruszyła dalej.

- Zupełnie cię nie rozumiem! - gderał, wychylając się.

- No i dobrze - odparłem.

Zbliżając się do swojej kamienicy, słyszałem już złowieszczy rechot Smaraktusa, mojego gospodarza, podejmowanego kiepskim winem przez Lenię i zabawianego jej sprośnymi żartami. Byłem wykończony. Szóste piętro zdawało się leżeć na końcu świata. Zamierzałem uwalić się już na poziomie pralni w jakimś koszu z brudnymi togami, ale pewność siebie Smaraktusa wywołała we mnie taką wściekłość, że bez chwili zastanowienia ruszyłem na górę.

Na dole otworzyły się gwałtownie drzwi.

- Falko?

Nie zdzierżyłbym kolejnej awantury o zaległy czynsz, więc jednym susem dotarłem do kolejnego podestu i nie zatrzymując się, pognąłem wyżej.

Gdy dotarłem na górę, byłem już prawie spokojny.

Kiedy po ciemku otwierałem drzwi, doszedł mnie szelest umykających cwańskich karaluchów. Zapaliłem wiecheć sitowia i gorliwie rzuciłem się tłuc resztę. W końcu opadłem na ławę i spoglądając na znajome ściany z szarych dech, dawałem odpocząć oczom od błyszczących marmurów bogaczy.

Najpierw zdusiłem przekleństwo, potem pozwoliłem mu się wyrwać, aż wreszcie poszedłem na całość. Gekon przesunął się na suficie; był wyraźnie wstrząśnięty. Gdzieś w połowie oracji mój wzrok padł na żelazną patelnię; była tam reszta wczorajszej duszonej cielęciny. Kiedy podszedłem i zajrzałem pod talerz, który mi służył za pokrywkę, zobaczyłem, że potrawa zrobiła się już oślizła i nie przejdzie mi przez gardło.

Na stole pozostawiono dla mnie jakiś dokument: papirus dobrej jakości z pieczęcią Wespazjana. Z tym też sobie dałem spokój.

Myśląc o rozmowie z Geminusem, doszedłem do wniosku, że jedyna figurka, jaka by się u mnie zmieściła, to któraś z tych miniaturowych, ulepionych z gliny, jakie ludzie zostawiają w sanktuariach. Nie było tu zupełnie miejsca dla wyrosniętej dziewczyny, która musi mieć przestrzeń na ubrania oraz zakątek, gdzie mogłaby na osobności się dąsać, gdybym ją uraził.

Walcząc ze zmęczeniem, wyszedłem na balkon i podlałem rośliny. Bywa tam dość wietrznie, ale i tak zwisający zwojami zakurzony bluszcz i niebiesko kwitnąca cikliwica miały się znacznie lepiej niż ja. Moja najmłodsza siostra, Maja, która opiekowała się nimi, kiedy mnie nie było,

twierdziła, że tymi uprawami chcę zrobić wrażenie na kobietach. Nasza Maja to bystre dziewczę, ale tu się myliła; skoro już jakaś kobieta była gotowa się wspiać do mnie na szóste piętro, to na pewno dobrze wiedziała, dla jakiego to obdartusa pokonuje te wszystkie schody.

Wciągałem powoli nocne powietrze, pozwalając sobie na wspomnienie tej ostatniej młodej damy, która odwiedziła moje orle gniazdo, a potem wyszła z kwiatem w zapince na ramieniu.

Bardzo mi jej brakowało. Nikim innym nie warto było zaprzątać sobie głowy. Musiałem z nią porozmawiać. Każdy dzień bez Heleny był jakiś niedokończony. Zgiełk dnia pomagał mi przetrwać, natomiast ten wieczorny spokój przypominał mi, co straciłem.

Wróciłem do pokoju, ledwo powłóczę nogami. Byłem wykończony, ale teraz z kolei list Wespazjana nie dawał mi spokoju. Łamiąc воск, automatycznie dokonywałem oceny wydarzeń minionego dnia.

Uczestnik udaremnionego spisku zginął niepotrzebnie; wyzwoleniec, który nie powinien być nikim ważnym, nagle się takim okazał. Ten idiota Barnabas stanowił wyzwanie, któremu nie sposób było się oprzeć. Uśmiechając się w duchu, rozwinąłem dokument.

Z upoważnienia Wespazjana Augusta: M. Dydiusz Falko ma eskortować prochy Kurcjusza A. Longina, senatora (zmarłego), do jego brata, Kurcjusza A. Gordiana (kapłana), wedle naszej wiedzy przebywającego w Regium. Wyjazd: bezzwłoczny.

Dokumenty podrózne: załączone.

Brzmiało to krótko i rzeczowo. Nie trzeba chyba dodawać, że prochów nie miałem; żeby je uzyskać, będę musiał gdzieś coś podpisać. Regium, czytaj Kroton. (Pałacowe skryby nigdy nie są precyzyjne: to nie oni muszą robić czterdziestomilowy objazd po górskich drogach z powodu takiej pomyłki). Jak zwykle, zapomnieli dołączyć dokumenty podrózne i nie wspomnieli ani słowem o honorarium.

Energiczne zawijasy wykonane własną cesarską dłonią wykrzykiwały:

Dlaczego to ja odbudowuję świątynię Herkulesa? Nie stać mnie na to. Proszę o wyjaśnienie!

Znalazłem kałamarz za połową główki kapusty i napisałem na odwrocie:

Cesarze!

Kapłan był lojalny.

Szczodrość cesarza jest powszechnie znana.

Świątynia nie była duża.

Ponownie zapieczętowałem list i napisałem adres zwrotny.

Pod kapustą (którą na pewno zostawiła mi matka) dostrzegłem kolejną ważną wiadomość: od niej. Brzmiała złowieszczo:

Musisz mieć nowe łyżki.

Podrapałem się po głowie. Nie wiedziałem, czy chodzi o obietnicę, czy

groźbę.

Pałac już otrzymał to, za co płacił; poszedłem więc spać. Normalna procedura wyglądała dość prosto: stawiałem swój ulubiony kubek z winem na rogu skrzyni na koce, potem ściągałem tunikę, układałem się pod kosmatą narzutą i wypijałem trunek w łóżku. Dzisiaj padłem tak, jak stałem. Udało mi się myśleć o Helenie na tyle długo, by podzielić się z nią wszystkimi kłopotami, ale kiedy dotarłem do tego, co mogłoby nastąpić potem, poczułem, że zasypiam. Gdybym trzymał ją wtedy w ramionach, wydarzenia zapewne potoczyłyby się tak samo...

Praca detektywa jest beznadziejna. Płaca nędzna, zajęcie jeszcze gorsze, a jeśli natrafisz kiedyś na jakąś wartą zachodu kobietę, to nie masz ani pieniędzy, ani czasu; a jeśli nawet masz, to zabraknie ci sił.

Już nawet nie pamiętałem, jak rano wychodziłem z domu; wróciłem wieczorem zbyt wyczerpany, by cokolwiek zjeść, i zbyt przygnębiony, by się delektować winem. Zostawiłem najlepszego przyjaciela, zanim miałem szansę zamienić z nim parę słów; zapomniałem odwiedzić matkę i pozwoliłem Helenie domyślić się, że brałem udział w koszmarnym pozbyciu się ciała jej krewnego. Południowy posiłek zjadłem w towarzystwie psa, wymieniłem obraźliwe uwagi z cesarzem i wydawało mi się, że widzę ducha zamordowanego. Teraz bolał mnie kark, dokuczały stopy, byłem nieogolony i marzyłem o kąpieli. Zasłużyłem sobie, żeby pójść po południu na wyścigi, i dobrze byłoby wieczorem wybrać się do miasta. Tymczasem zobowiązałem się odbyć trzystumilową podróż do człowieka, którego zabroniono mi przepytać i który prawdopodobnie w ogóle nie zechce mnie widzieć.

Dla człowieka parającego się moim zajęciem był to po prostu zwyczajny dzień.





CZĘŚĆ 2

TURYSTA W KROTONIE

ITALIA POŁUDNIOWA (*MAGNA GRAECIA*)

kilka dni później

Kroton, bardzo stare miasto, jedno z najznakomitszych w Italii (...). Jeśli jesteś człowiekiem wyrafinowanym i gotowym pogodzić się z nieustannym łgarstwem, podążasz właściwą drogą do bogactwa. W tym mieście bowiem nie szanuje się umiejętności literackich, elokwencja nie jest w cenie, trzeźwość i przyzwoitość nie znajdują pochwały i nagrody.

Petroniusz, *Satyricon*



XII

Wespazjan podpisał moje dokumenty podrózne. Wyrwałem ten skarb od jego urzędników, a w stajni przy bramie Kapeńskiej wybrałem sobie państwowego muła. Starodawna wieża strażnicza nadal stoi na początku drogi Appijskiej, choć miasto wylało się już poza nią, na spokojne przedmieście, popularne teraz wśród co bardziej wymagających milionerów. Ojciec Heleny Justyny mieszkał w tej okolicy, wobec czego dostarczyłem jej tam odzyskane przepisy kulinarne i śmiem twierdzić, że zaprosiłaby mnie do środka, by podziękować, ale ponieważ była damą z własnym życiem i obowiązkami towarzyskimi, odźwierny poinformował mnie, że nie ma jej w domu.

Zaliczyłem już wcześniej przepychanki z młodym Janusem. Rodzina Kamilów nie potrzebowała w przedpokoju mozaiki z napisem *Cave canem*, „Uwaga, pies”; ten okaz dwunożnego kundla odpędzał przybyszów, nim zdążyli wcisnąć w szparę drzwi czubek sandała. Miał jakieś szesnaście lat. Bardzo długa twarz, co dawało dużo miejsca na trądzik, zakończona była cofniętym czołem, za którym krył się maleńki mózdzek. Rozmowa z nim zawsze bardzo mnie męczyła.

Nie wierzyłem, że takie są polecenia Heleny. Owszem, była zdolna odesłać mnie na zawsze do Hadesu, ale gdyby takie było jej życzenie, na pewno by mi to oznajmiła osobiście. Tak czy owak, rozwiązywało to jeden problem. Raczej trudno będzie mi jej powiedzieć, że już się więcej nie zobaczymy, skoro nigdy nie wpuszczają mnie do środka. Spytałem, gdzie jest; chłoptaś nie miał pojęcia. Poinformowałem go uprzejmie, że kłamie, bo nawet kiedy ona będzie już starą stukniętą megierą, łysą czy bezzębną, nadal będzie zbyt dobrze zorganizowana, by wyruszyć w lektyce bez słowa

na ten temat do domowników. Potem zostawiłem przyjacielskie pozdrowienia dla senatora, przepisy Heleny i - za sobą - Rzym.

Najpierw podążyłem drogą Appijską na południe, żeby uniknąć wybrzeża, którego nie znoszę. W Kapui droga skręca ku Tarentowi, leżącemu pod piętą Italii, ja natomiast skręciłem na zachód, kierując się w stronę palca. Teraz znalazłem się na drodze Popilijskiej, biegnącej w stronę Regium i Sycylii, i zamierzałem z niej zbroczyć dopiero tuż przed Cieśniną Messyńską.

Musiałem przebyć Lacjum, Kampanię i Lukanię i wejść w głąb Brucjum - w sumie przebyć połowę długości Italii; wydawało mi się, że podróżuję całą wieczność. Po Kapui była Nola, Salernum, Pestum, Welia, Buksentum, potem długi odcinek blisko wybrzeża Morza Tyrreńskiego aż do biegnącej ku Konsencji drogi na dalekim południu. Tam, kiedy z niej zjechałem, żeby przebyć półwysep, teren zaczął się raptownie wznosić. I wtedy właśnie muł, którego wybrałem sobie na ostatniej stacji, zaczął mieć humory i przekonałem się, że nie bez powodu obawiałem się górskiej przeprawy.

Konsencja: prowincjonalna stolica Brucjum. Zbieranina garbatych parterowych chałup. Miasteczko położone na wzgórzach, trudno dostępne i nie tak ważne jak przez kilkaset lat to drugie miasto, Kroton. W każdym razie Konsencja była stolicą; dziwny to lud, ci Brucjowie. Spędziłem w niej noc, choć prawie nie spałem. To była Magna Graecia, Wielka Grecja. Rzym podbił te tereny już dawno temu; teoretycznie. Dlatego jechałem przez te posępne ziemie, zachowując ostrożność.

Drogi niemal całkowicie opustoszały. A w Konsencji tylko jeszcze jeden podróżny zatrzymał się w zajeździe... człowiek, którego nawet nie udało mi się zobaczyć. Miał własną parę koni i po nich go rozpoznałem; dużego deresza, któremu bardzo niewiele brakowało, by być koniem wyścigowym, i gniado-srokatego konia jucznego. Przemierzaliśmy tę samą drogę od Salerno, o ile nie dłużej, z tym że ja zawsze rano wstawałem wcześniej i byłem już w drodze, nim on się pojawił, a zanim dotarł do zajazdu wieczorem, ja już byłem w łóżku. Gdybym wówczas wiedział, że znajdzie się również i w Konsencji, postarałbym się nie zasnąć i poznać go.

Nienawidzę południa. Wszystkie te starożytne miasteczka z potężnymi świątyniami poświęconymi Zeusowi i Posejdonowi; wszystkie te szkoły filozofii, żebyś musiał poczuć się gorszy; wszyscy ci posępni atleci i smętni rzeźbiarze ich rzeźbiący. Żeby już nie wspomnieć niebotycznie wygórowanych cen dla obcych i okropnych dróg.

Jeśli wierzyć *Eneidzie*, Rzym został założony przez Trojańczyka; kiedy podróżowałem na południe, skóra mi cierpła, zupełnie jakby ci greccy koloniści widzieli we mnie swojego starodawnego wroga we frygijskiej czapce. Wyglądało tak, jakby tamtejsi ludzie nie mieli nic do roboty poza czajeniem się na gankach i obserwowaniem obcych pojawiających się na ich ulicy. Konsencja była dostatecznie nieprzyjemna pod tym względem; Kroton, który uważał się za ważniejszy, musiał być jeszcze gorszy.

Dotarcie do Krotonu wymagało poważniejszego wysiłku. Temperatura spadała, a droga pięła się. Gęste lasy kasztanowców i dębów porastały niższe partie łańcucha górskiego Sila, wyżej pojawiły się buki i srebrne świerki, a granitowych grzbietów czepiały się olchy i osiki. Miejscowi

nazywali to dobrą drogą; tymczasem był to dziki i kręty szlak. Nigdy nie poruszałem się po zmroku; nawet w blasku dnia wydawało mi się, że słyszę wycie wilków. Raz, kiedy jadłem południowy posiłek na słonecznej polanie porośniętej poziomkami, żmija wypełzła bezszelestnie spod buta mojej wyciągniętej nogi, by zniknąć po chwili za skałą. Bezpieczniej było w Circus Maximus przerzucać się obelgami z zapalczywymi rzymskimi dziewczkami.

Na szczytach wciąż tkwiły śnieżne czapy, ale budowniczowie statków już rozpoczęli ściąganie sezonowanego drewna, więc dym ich ognisk przydawał jeszcze ostrości rozrzedzonemu powietrzu. Lało mi się z nosa, kiedy zbaczałem między przydrożne fiołki, żeby wyprzedzić woły ciągnące długie wozy, które kiwały się z boku na bok pod ciężarem potężnych drzew. Pofałdowana równina wznosiła się tysiąc i więcej stóp ponad poziomem morza. W Rzymie zaczynało się lato, tutaj jednak ta pora przychodziła później. Zaczęły się roztopy; głębokimi dolinami pędziły szalone potoki, lodowatą źródlaną wodą gasiłem pragnienie.

Brnąłem samotnie przez ten trudny teren przez kilka dni. Znad doliny rzeki Netus otwierał się spektakularny widok na Morze Jońskie. Opuszczałem się w dół pośród upraw oliwek i winorośli, jednak krajobraz okaleczyła erozja i upstrzyły dziwaczne stożki z gliny naniesionej przez wezbrane latem wody, które zmyły wierzchnią warstwę gleby, pozostawiając za sobą okolicę spustoszoną jak dokładnie odartą z mięszu pestkę figi. Ostatecznie droga po kolejnym zakosie doprowadziła mnie do Krotonu, który sterczy jak bolesny halluks na podszwie, tuż przy wielkim paluchu Italii.

Tenże sam Kroton był ostatnią twierdzą Hannibala w Italii. Domyślałem się, że gdyby taki nieokrzesaniec ponownie tędy się wybrał, Kroton byłby gotów uhonorować go darmową kąpielą w miejskiej łaźni i wydać na koszt miasta pożegnalny bankiet dla wygnańca. Mnie jednak nie czekało przyjacielskie powitanie.

Wjeżdżałem tam, czując strużkę potu spływającą mi pomiędzy łopatkami. Gospodarzem urzędowej mansio, stacji pocztowej z postojem nocnym, okazał się chudy guzdrała z oczyma jak szparki, który ubrdał sobie, że przyjechałem, by sprawdzić jego księgi dla rewidenta Skarbu; oświadczyłem wyniośle, że tak nisko jeszcze nie upadłem. Zlustrował mnie wzrokiem, zanim pozwolił mi się tam zatrzymać.

- Na długo? - wyjęczał tonem wyrażającym nadzieję, że na krótko.

- Nie sędzę - odparłem z miłą rzymską szczerością, dając mu do zrozumienia, że też mam taką nadzieję. - Muszę odnaleźć pewnego kapłana, Kurcjusza Gordiana. Wiesz coś o nim?

- Nie.

Na pewno wiedział. W Wielkiej Grecji okłamywanie rzymskich urzędników to styl życia.

Byłem we własnym kraju, a czułem się jak cudzoziemiec. Te stare nudne południowe miasteczka, pełne kurzu i zażarcie tnących owadów, miały ospale działające systemy wewnętrznych przepisów, a mieszkaly tam trzymające ze sobą, skorumpowane miejscowe rodziny, które darzyły cesarza szacunkiem tylko wtedy, kiedy odpowiadało to ich własnym

kiesom. Ludzie wyglądali tu jak Grecy, mieli greckich bogów i mówili greckimi dialektami. Kiedy wyszedłem, żeby się rozejrzeć, natychmiast wpadłem w tarapaty.



XIII

Toga byłaby zupełnie nie na miejscu w Krotonie. Jedyne sędziowie w budynku sądu mieli jakieś oficjalne ubiory. Na szczęście nie mam zwyczaju obrażać obcego miasta, wychodząc na ulicę wystrojony. Miałem więc na sobie niewybieloną tunikę pod długim szarym płaszczem, proste skórzane sandały i miękki powróż zamiast paska. Fachowo przystrzyżone w Rzymie włosy odrastały dyskretnie, nikt jednak nie mógł wyrażać żadnych obiekcji, bo cała moja głowa kryła się pod zwojami białej tkaniny. Nie chodziło mi o ochronę przed udarem słonecznym; byłem przebrany za kapłana.

Forum jest właściwym miejscem, jeśli się chce kogoś odnaleźć. Poszedłem w jego kierunku, uprzejmie zostawiając obywatelom Krotonu ocienioną stronę ulicy. Lubili się rozpychać.

Miasto było smętym skupiskiem bezładnie postawionych, nierzadko przekrzywionych w wyniku trzęsienia ziemi domów. Ciasne zaułki wypełniał kwaśny smrodek, a na łuszczących się ścianach wisiały obwieszczenia wyborcze dotyczące osób, o których nigdy nie słyszałem. Psy, wyglądające jak wilki z gór Sila, szukały żarcia pojedynczo albo ujadając, całymi watahami uganiały się po uliczkach. Na balkonach obwieszonych biżuterią młode, tęgie kobiety o wąskich oczach czekały, aż przejdę, by za moimi plecami rzucać lubieżne uwagi. Nie reagowałem, ponieważ te wytworne córki Krotonu były prawdopodobnie spokrewnione z najważniejszymi osobami w tym mieście. Poza tym kapłanowi nie przystoi wesoło dowcipkować na ulicy.

Do Forum doprowadziły mnie ludzki gwar i mocny zapach ryb.

Przeszedłem się po rynku. Wszyscy mieli okazję się na mnie pogapić. Ludzkie spojrzenia podążały za mną od kolejnych straganów, noże trochę za długo zawisały nad miecznikiem, zanim opadły i odcinały następne porcje. Kiedy zatrzymałem się w cieniu portyku, dostrzegłem przebiegającego za filarem młodzieńca, który miał taką minę, jakby pojawił się tutaj bez żadnego powodu; spojrzałem mu prosto w oczy, by wiedział, że go dostrzegłem, na wypadek gdyby był złodziejaszkiem. Zniknął.

Panował niesamowity zgiełk. Mieli nawet trochę zdrowych produktów. Sardynki, szprotki i sardele, wszystko błyszczące niczym nowe cynowe świeczniki, a świeże warzywa zadowolilyby jędrnością nawet moją matkę, która przecież wychowała się w małym gospodarstwie w Kampanii. Były też i okropności: stopy miedzianych naczyń, które przestają błyszczeć, ledwie się je przyniesie do domu, i długie wstęgi tanich ozdobnych szlaczków do tunik w nieciekawych kolorach, które na dodatek puszczają w praniu. Dalej widziałem góry arbuźów, mątwy i morskie węże, świeże girlandy na wieczorne przyjęcia i wawrzynowe wieńce, które zostały z

poprzedniego dnia, o zabójczo niskich cenach. Były też gliniane garnki pełne miodu z dołączonymi wiązkami ususzonych roślin, na których żywiły się pszczoły.

Spytałem jedynie o cenę lukrecji. Cóż, tak mi się przynajmniej wydawało.

W Wielkiej Grecji wszyscy mówili po grecku. Dzięki pewnemu uchodźcy z Abdery, wekslarzowi, który kiedyś mieszkał u mojej matki i opłacał mi kwartalne chesne (to jedna z tych drobnych premii, jakie mi się trafiły w życiu), zyskałem podstawy rzymskiej edukacji. Grecki był moim drugim językiem; mogłem przybrać stosowną pozę i wyrecytować siedem wersów z Tukidydesa; wiedziałem też, że Homer to nie tylko imię psa należącego do stryjecznego dziadka, Skarona. Jednak mój rzadkobrody tracki nauczyciel nie uwzględnił praktycznego słownictwa, które potrzebne jest człowiekowi, żeby omówić sprawę wyboru brzytwy z golarzem w Buksentum czy zażądać łyżki ze szpikulcem do wyciągania ślimaków od rozspanego kelnera w Welii... czy uniknięcia obrazy w Krotonie, kiedy chce się przeprowadzić transakcję dotyczącą ziół lub przypraw. Byłem przekonany, że znam słowo na korzeń lukrecji, w przeciwnym bowiem razie nawet dla mojej matki (która spodziewała się prezentu z Południa i zapobiegliwie sama podpowiedziała, co mam kupić) nigdy bym nie podjął podobnej próby. Tymczasem, zupełnie niechcący, użyłem jakiegoś starego, soczystego greckiego przekleństwa.

Kramarz był wysuszonym skurczonym staruszkiem, łykowałym jak strąk bobu pozostawiony zbyt długo na łądździe. Wydał okrzyk, który przyciągnął uwagę ludzi oddalonych o trzy ulice. Powstało zbiegowisko, tłum otoczył mnie ze wszystkich stron i przyparł do kramu. Do przodu przedarło się kilku miejscowych wałkoni, dla których pobicie bezbronno kapłana oznaczało udany dzień na targu. Pod tuniką trzymałem podpisany przez Wespazjana list żelazny, ale tutaj zapewne nie wiedzieli jeszcze, że Neron przebił się skutecznie sztyletem. Poza tym mój dokument był po łacinie, co najprawdopodobniej nie wzbudziłoby aprobaty oprychów z tej nędznej mieściny.

Z powodu ścisku nie mogłem się ruszyć. Przybrałem więc wyniosłą minę i szczelniej okryłem głowę. Przeprosiłem handlarza najlepszą greką, jaką udało mi się z siebie wydusić. On tymczasem nie przestawał trajkotać jak szalony. Dołączyli do niego inni kłocowaci Krotończycy. Najwyraźniej była to typowa przyjazna atmosfera południowego rynku, gdzie kmiotkowie o wykrzywionych, świecących twarzach tylko szukali okazji, by dopaść obcego i oskarżyć go o kradzież jego własnego płaszcza.

Awantura przybierała na sile. Gdybym przeskoczył przez stragan, chwyciliby mnie od tyłu; mieliby tanią rozrywkę, a tego starałem się uniknąć. Wysuwając nogę do tyłu, sprawdziłem stan straganu; był to zwyczajny, przykryty płótnem stół na kozłach, więc opadłem na czworaki, zebrałem wokół siebie swoje kapłańskie szaty i niczym szczer samotnik przemknąłem pod spodem na drugą stronę.

Wyłoniłem się pomiędzy stosami stożkowatych koszy, z nosem na wysokości kolan kramarza. Wyglądało na to, że jest głuchy na głos rozsądku, więc ugryzłem go w łydkę. Odskoczył z wrzaskiem; ja

wygramoliłem się na zewnątrz.

Teraz między mną a przedwczesnym pochówkiem stał tylko jeden chybotliwy stolik. Rzut oka na tłuszczę przekonał mnie, że rzeczywiście niezbędny mi był amulet w kształcie fallusa przeciwko złym spojrzeńcom. (Dar od siostry Mai; tak żenujący, że zostawiłem go w domu). Tłum zafalował; stół zachwiał się i przesunął; wałęsałem weń biodrem, a on wyrzucił się w stronę Krotończyków. Kiedy odskoczyli jak jeden mąż, wzniosłem ręce w modlitwie.

- O Hermesie Trzykroć Wielki... - zawołałem. (Przerwę tutaj na chwilę relację, by wspomnieć, że ponieważ musiałem powiedzieć matce o moim wyjeździe z Rzymu, jedynym bóstwem, które mogło ewentualnie czuwać nad moją peregrynacją, był Hermes Trismegistos, w swojej roli opiekuna podróżnych, którego zapewne aż ucho bolało od nieustannych prośb mojej mamusi). - Wspomóż mnie, skrzydłostopy! - (Jeśli akurat na górze Olimp panował spokój, mogło go nawet uradować, że ma tutaj coś do zrobienia). - Ochroń swoim kaduceuszem kolegę posłańca!

Przerwałem. Miałem nadzieję, że ciekawość zachęci gapiów do pozostawienia mnie przy życiu. Jeśli nie, potrzebne będzie coś więcej niż pożyczanie skrzydlatego sandała, żeby wyrwać mnie z opresji.

Ani śladu młodego Hermesa czy jego węzowej laski. Niemniej niespodziewanie nastąpiła chwila ciszy, w której wyczułem konsternację, potem ludzka fala popłynęła do przodu, a z tej fali wyłonił się jeden opalony, bosy człowiek w nakryciu głowy z pofalowanym rondem, który przeskoczył przez przewrócony stół i runął wprost na mnie. Ja oczywiście nie miałem broni; byłem kapłanem. On wywijał w powietrzu monstrualnym nożem.

Okazało się jednak, że nic mi nie zagraża. Przyłożył bowiem ostrze do gardła handlarza lukrecją. Po jego błysku było widać, jak jest ostre... takich noży używają żeglarze, by przeciąć na pokładzie splecione liny albo mordować się wzajemnie podczas popijawy na łodzi. Trzeźwy czy nie, robił wrażenie człowieka, który dla odprężenia podcina gardła ludziom z bliska mu się przypatrującym.

- Jeszcze jeden krok do przodu - ryknął do tłumu - a przebiję zielarza! - Po czym zwrócił się do mnie: - Przybyszu... zmykaj, jeśli ci życie miłe!



XIV

Unosząc fałdy kapłańskiego stroju, popędziłem obok budynku sądu; nie zatrzymałem się nawet, by spytać sędziego, czy zechce wysłuchać mojej sprawy. Nim minąłem trzeci zaułek, usłyszałem za sobą tupot bosych stóp mojego wybawcy.

- Dzięki! - wysapałem. - Niezła robota. Użyteczny z ciebie gość!

- Cóż takiego zrobił?

- Nie mam pojęcia.

- Jak zwykle! - wykrzyknął.

Opuściliśmy miasto i już wkrótce siedzieliśmy w gospodzie na wybrzeżu. Poleciał mi zupę z owoców morza z szafranem.

- Mieszanka owoców morza - zauważyłem ostrożnie - w gospodzie bez nazwy, w obcym porcie, to ryzyko, jakiego matka kazała mi się wystrzeżać!

- Co jeszcze tu mają?

- Zupę z owoców morza... bez szafranu! - zaśmiał się. Spojrzałem na niego. Idealnie prosty nos przyczepiony był do jego twarzy pod niezbyt szczęśliwym kątem trzydziestu stopni. Lewa strona twarzy miała uniesioną brew jak u wesołego, dowcipnego zgrywusa, a usta z prawej strony były opuszczone jak u smutnego klauna. Każda połówka twarzy wyglądała nieźle; traciły niestety w efekcie połączenia. Jego lewy profil tak się różnił od prawego, że nie mogłem oderwać od niego wzroku, zupełnie jakby był zdeformowany.

Obaj zamówiliśmy owoce morza, z szafranem. Życie i tak jest krótkie. Można zatem wziąć pełen haust i umrzeć stylowo.

Zapłaciłem za butlę wina, podczas gdy mój nowy przyjaciel zamówił przystawki; koszyk chleba, talerzyk z oliwkami, jaja na twardo, sałatę, smażone szprotki, pestki słonecznika, korniszony, kielbasę w plasterkach i tak dalej. Przygotowawszy sobie co nieco do przekąszenia, przedstawiliśmy się sobie.

- Lezus.

- Falko.

- Kapitan *Morskiego Skorpiona*, z Tarentu. Kiedyś pływałem do Aleksandrii, ale zrezygnowałem z tych rejsów na rzecz krótszych, z mniejszą liczbą sztormów. Przybyłem do Krotonu z kimś się spotkać.

- Ja przyjechałem z Rzymu. Dzisiaj.

- Co cię sprowadza do Brucjum?

- Cokolwiek to było, teraz wygląda mi na gruby błąd!

Wznieśliśmy kubki, po czym zabraliśmy się do przystawek.

- Nie powiedziałaś, czym się zajmujesz, Falkonie.

- Zgadza się. - Ułamałem kawałek chleba z okrągłego bochenka i skoncentrowałem się na szlifowaniu pestki oliwki przednimi zębami. - Rzeczywiście o tym nie wspomniałem!

Wyplułem pestkę. Nie byłem taki nieuprzejmy, żeby mieć tajemnice przed gościem, który uratował mi życie; Lezus wiedział, że się z nim droczę. Udaliśmy, że dajemy temu spokój.

Jak na porę południową panował tu wyjątkowo duży ruch. W portowych tawernach, które obsługują nie mających poczucia czasu żeglarzy, często tak bywa. Część klientów piła przy szynkwasiu we wnętrzu, jednak większość obsiadła ławy na świeżym powietrzu, podobnie jak my czekając cierpliwie na posiłek.

Powiedziałem Lezusowi, że wszystkie portowe tawerny, jakie znam, są jak ta; człowiek siedzi godzinami, wyobrażając sobie, że filetuje dla niego świeżo złowioną czerwoną barwę. Prawda zaś wygląda tak: kucharz to niefrasobliwy łapserdak, który zniknął gdzieś, by załatwić jakąś sprawę dla szwagra; w drodze powrotnej pokłócił się z dziewczyną, której winien jest pieniądze, potem zatrzymał się, żeby obejrzeć walkę psów, wreszcie wpada na partyjkę gry w żołnierzyki do konkurencyjnego lokalu. Pojawia się po południu, w okropnym humorze, odgrzewa jakąś mdłą rybę we

wczorajszym wywarze z innej ryby, wrzuca kilka małży, których mu się nawet nie chce oczyścić, po czym, godzinę później, klient zwraca kolację wodom portowym, bo wypił za dużo, czekając, aż kucharz...

- I wiesz, co jest pocieszające, Lezusie? - zakończyłem - że posiłek zjedzony na nabrzeżu nigdy nie posiedzi w tobie wystarczająco długo, żeby śmiertelnie cię zatruć!

Tylko się uśmiechnął. Marynarze przywykli wysłuchiwać opowieści nieznanym.

Przyniesiono naszą zupę. Była dobra, po portowemu prząsna. Właśnie opanowałem sztukę odfiltrowywania w ustach twardych kawałków szczypców kraba, kiedy Lezus zagadał sprytnie:

- Skoro wstydzisz mi się przyznać, to pozwól, że sam zgadnę... Wyglądasz na szpiega.

Poczułem się urażony.

- Myślałem, że wyglądam na kapłana!

- Falkonie, wyglądasz na szpiega przebranego za kapłana! - wyjaśnił.

Westchnąłem i wypiliśmy więcej wina.

Z tym Lezusem to była dziwna sprawa. W miejscu, gdzie nie miałem powodu, by komukolwiek zaufać, on wydał mi się całkowicie godzien zaufania. Oczy miał czarne i paciorkowate jak u rudzika. Nie zdejmował marynarskiej czapki z głowy. Miała okrągłe sfilcowane denko, otoczone pofalowanym rondem, przez co wyglądała jak odwrócona do góry nogami pieczarka.

Wokół nas się przeredziło. Zostało tylko dwóch marynarzy i kilku podróżnych, którzy podobnie jak ja schronili się w tym sennym porcie. Były tam jeszcze trzy damy, Gaja, Ipsyfile i Meroe, o twarzach bez wyrazu i zsuwających się z ramion szatach, krążące wokół nas. Przy braku świeżych winogron czy pieczonych kasztanów te soczyste owocki dostępne były na piętrze jako deser.

Gaja była zaskakująco atrakcyjna.

- Chcesz poprobować szczęścia? - spytał Lezus, idąc za moim spojrzeniem.

Był wielkoduszny i chętnie przypilnowałby mojego miejsca przy stole, gdybym oddalił się z jedną z tych dziewcząt. Pokręciłem powoli głową, uśmiechając się leniwie, jakby ruszenie się z ławy było dla mnie zbyt dużym wysiłkiem. Potem, wciąż nie przestając się uśmiechać, przymknąłem oczy i przypomniałem sobie inną ładną dziewczynę, którą znałem... i mogłem sobie wyobrazić jej zjadliwe, pogardliwe spojrzenie, gdyby mnie przypadkiem złapała na rozważaniu pospolitego obłapienia portowej dziwki. Wytworna i dystygowana Helena Justyna miała oczy jak dojrzałe, ciemne, brązowozłote pustynne daktyle... a do tego, kiedy była poirytowana, parskała jak humorzasty wielbłąd...

Kiedy podniosłem wzrok, Gaja była już na górze z kimś innym.

- Powiedz mi - spytałem znienacka Lezusa. - Skoro pochodzisz z Tarentu, czy zetknąłeś się kiedyś z senatorem Acjuszem Pertynaksem?

Przełknął to, co miał w ustach.

- Nie popijam z senatorami.

- Był właścicielem statków, dlatego spytałem. Kiedy podróżowałem

przez lesiste góry Sila, przyszło mi do głowy, że skoro Pertynaks urodził się na południu, to może tu budowano dla niego statki...

- Rozumiem! - odparł Lezus. - Ma kłopoty?

- O, najgorszego rodzaju... nie żyje - oznajmiłem.

Lezus zrobił zdziwioną minę. Popijałem obojętnie wino.

- Więc - zaczął po chwili. - Jak on wyglądał?

- Jakieś dwa lata do trzydziestki. Smukła budowa, szczupła twarz, nerwowy... miał wyzwoleńca o imieniu Barnabas.

- Znam Barnabasa! - Cisnął łyżkę. - Wszyscy w Tarencie znają Barnabasa! - zawołał.

Zastanawiałem się, czy wiedzą, że jest mordercą.

Lezus przypomniał sobie, że cztery czy pięć lat wcześniej Barnabas działał w Tarencie w imieniu swojego pana, nadzorując budowę dwóch statków.

- *Kalipso i Kirke*, o ile pamiętam - powiedział.

- Rzeczywiście, *Kirke*. Skonfiskowano ją w Ostii.

- Skonfiskowano?

- Dochodzenie prawa własności. Wiesz coś więcej o tych dwóch?

- Nie moja dziedzina. Czy ten Pertynaks winien był ci pieniądze, Falkonie?

- Nie. Mam natomiast trochę gotówki dla Barnabasa. Zgodnie z zapisem jego pana.

- Mogę popytać w Tarencie, jeśli chcesz.

- Dzięki, Lezusie! - Nie wspomniałem ostatniego nałogu wyzwoleńca, polegającego na pieczeniu żywcem senatorów, skoro Wespazjan nie życzył sobie, by wyciągano aspekty polityczne sprawy na światło dzienne. - Posłuchaj, przyjacielu. Mam własne powody, by interesować się tymi dwoma. Czy byli lubiani w Tarencie?

- Barnabas to zadzierający nosa były niewolnik. Ludzie, których naciągnął na wino, mieli nadzieję, że Rzym da mu za swoje.

- To jeszcze się może zdarzyć! A co z Pertynaksem?

- Każdy, kto jest posiadaczem statków i koni wyścigowych, potrafi przekonać sam siebie, że jest lubiany! Wielu pochlebców chciało go traktować jak wielkiego człowieka.

- Hmm! Ciekawe, czy odkrył, że w Rzymie jest inaczej? Głupio się coś zaangażował. To mogłoby tłumaczyć dlaczego... nie byłby pierwszym chłopcem z małego miasteczka, który pojechał pokazać Rzymowi, że jest kimś wielkim, i rozczarował się przyjęciem.

Ludzie, którzy dzielili z nami stół, zaczęli wychodzić, wobec czego obaj położyliśmy nogi na wolnych ławach, sadowiąc się wygodniej.

- Więc z kim się spotykasz tutaj w Krotonie, Lezusie?

- Och, ze starym klientem. - Jak wszyscy marynarze był wielce tajemniczy. - A ty? - spytał, spoglądając na mnie z ukosa. - Na rynku nazwał się posłańcem... miałeś na myśli posłańcem do Barnabasa?

- Nie, do kapłana. Kurcjusza Gordiana.

- A cóż on takiego uczynił?

- Nic. Przywożę mu wiadomości dotyczące spraw rodzinnych.

- Szpiegowanie - skomentował moje słowa - wydaje się

skomplikowanym zajęciem!

- Naprawdę, Lezusie, nie jestem szpiegiem.

- Oczywiście, że nie - powiedział bardzo uprzejmie.

Wyszczерzyłem zęby.

- Chciałbym nim być! Znam jednego. Jedyne, czym się zajmuje, to robota biurowa i wyprawy do nadmorskich kurortów... Lezusie, mój dobry przyjacielu, gdyby była to opowieść przygodowa pióra jakiegoś obcesowego dworskiego poety, wykrzyknąłbyś teraz: Kurcjusz Gordian... cóż za zbieg okoliczności! Człowiek, z którym dziś właśnie będę jadł kolację!

Otworzył usta, jakby to właśnie zamierzał powiedzieć, pomilczał, na tyle długo, by wykorzystać każdą odrobinę napięcia... po czym oklapł.

- Nigdy nie słyszałem o tym przeklętym gościu! - oświadczył życzliwie.



XV

Kapitan żegluga morskiej, Lezus, okazał się cudownym znaleźnikiem; choć trzeba powiedzieć, że najpierw uratował mi życie, a potem, zabrawszy do tawerny, doprowadził do ciężkiej choroby.

Wróciłem na nocleg, z brzuchem wypchanym zupą z owoców morza z szafranem, ale nie na długo. W mojej porcji musiała się zaplatać zepsuta ostryga. Na szczęście mam wybredny żołądek; jak często żartują sobie moi krewni, kiedy już dojdą do wniosku, że za długo czekają na spadek po mnie, otrucie będzie ostatnim rozwiązaniem, jakiego spróbują.

Podczas gdy inni podróżni żuli okropny gotowany wieprzowy boczek, ja leżałem samotnie na łóżku i jęczałem; później wziąłem w łaźni niespieszną kąpiel, a po niej zasiadłem w ogrodzie do czytania.

Kiedy kolacja dobiegała końca, goście zaczęli wysypywać się na dwór, by przy dzbanach wina cieszyć się ostatkiem światła dnia. Ja piłem zimną wodę, żeby łatwiej dochodzić do siebie.

Dziedziniec zastawiono stolikami, co oszczędziło właścicielowi, typowemu leniwemu nicponiowi, konieczności sadzenia roślin i dbania o nie. Większość stolików była wolna. Nikt więc nie musiał naruszać mojej prywatności, zatem kiedy ktokolwiek zmierzał w moją stronę, zastygałem w pozycji takiego typa, który raczej nadwreży sobie oczy przy wakacyjnej lekturze, niż podniesie wzrok i pozwoli obcym się spoufalać.

Niestety metoda nie okazała się skuteczna.

Było ich dwóch. Jeden to jakieś monstrum... nogi jak pnie wiązów utrzymywały tułów będący kłębowiskiem wyrobionych mięśni bez widocznej szyi; jego towarzysz był brodatym mikrusem o paskudnej gębie i rachitycznej budowie. Wszyscy siedzący przy stolikach wsadzili nosy w kubki z winem; ja nie odrywałem wzroku od liter, choć bez szczególnej nadziei. Przybysze rozejrzeli się, po czym skupili uwagę na mojej osobie.

Przysiedli się do mnie. Obaj mieli miny znaczące i pełne oczekiwania, co zawsze wróży jak najgorzej. Detektyw powinien być towarzyski, mnie jednak poszło kiepsko z tubylcami, którzy wydają się tak pewni siebie. Pozostali goście zagapili się w swoje kubki; było oczywiste, że nikt nie

pokwapi się z pomocą.

Na południu jest rzeczą dość powszechną, że różni uśmiechnięci od ucha do ucha cwaniacy dostają się do zajazdu, obsiadają jakichś spokojnych gości, po czym zmuszają, by ruszyli z nimi w miasto. Podróżni mają szczęście, jeśli skończy się na przepiciu, pobiciu, utracie pieniędzy, nocy spędzonej w celi i jakiejś wstrętnej chorobie, którą następnie przekażą swoim małżonkom. Samotny mężczyzna czuje się bezpieczniej, ale tylko odrobinę. Wyglądałem na uczonego i na pełnego rezerwy; z całych sił starałem się sprawiać wrażenie, że zawartość sakiewki przy moim pasie nie starczy na całonocne picie czerwonego wina i oglądanie tańców smagłej panienki z tympanonem.

Dzięki złodziejaskowi z targu sakiewka była rzeczywiście pusta. Na szczęście trzymałem kolejną na wabia; poważną gotówkę razem z dokumentami miałem zawieszoną na szyi. Jak dotąd nic nie straciłem. Chociaż nie da się ukryć, że zaliczka od Wespazjana była zbyt mizerna, by natchnąć dziewczę jakimiś szczególnymi pomysłami.

Trwałem w niezmienionej pozie na tyle długo, by spróbować dać im coś do zrozumienia, po czym włożyłem suchą trawkę w zwój, żeby zaznaczyć miejsce, do którego doszedłem, przytrzymałem brodą drążek i zwinąłem tę część, którą przeczytałem.

Obaj moi nowi kompani mieli na sobie białe tuniki z zielonym szlaczkiem; musieli być członkami służby w czyimś domu, a z ich pewnych siebie min wnosiłem, że pracują u jakiegoś drobnego miejskiego urzędnika, który uważał się w tej okolicy za osobę znaczącą. Ten duży przyglądał mi się jak chłop, który znalazł na łopacie coś oślizłego.

- Muszę wam powiedzieć - spróbowałem być szczerzy - że znam ten miejscowy zwyczaj nakazujący ludziom przedsiębiorczym łupić obcych z oszczędności życia trzymanyh u pasa, a grzesznym kobietom ograbiać z niewinności

poniżej... - Równie dobrze mogłem próbować rozśmieszyć jakieś dwa stare posągi.

W zamyśleniu piłem wodę i pozwoliłem, by wszystko toczyło się naturalną koleją rzeczy.

- Szukamy kapłana - warknął ten większy.

- Nie wyglądacie mi na szczególnie pobożnych!

Korzystając z rady Lezusa, by zmienić wygląd, po kąpieli ubrałem się w granatową tunikę. Razem z filcowymi kapciami ten beznadziejny fatalaszek w kolorze indygo tworzył uroczą całość, odpowiednią do spędzania wieczoru przy lekturze. Pewnie robiłem wrażenie niechlujnego studenta filozofii, który emocjonuje się do nieprzytomności zbiorkiem pikantnych legend. W rzeczywistości czytałem to, co Cezar napisał o Galach, i wszelka odmiana dobrze mi robiła na ból brzucha, jako że wzniosły Juliusz zaczął mnie irytować. Owszem, potrafił pisać, ale jego poczucie własnej ważności przypominało mi, dlaczego moi zrzędlivi przodkowie odnosili się z taką nieufnością do jego arbitralnej polityki.

Nie sądziłem, by moi towarzysze chcieli podyskutować o polityce Juliusza Cezara.

- A co to za kapłan? - spytałem.

- Jakiś głupi przybysz. - Ten większy bandzior wzruszył ramionami. - Wywołał mnóstwo zamieszania na rynku.

Jego mały towarzysz zachichotał.

- Słyszałem o tym - przyznałem. - Użył wulgarnego słowa na lukrecję. Nie mam pojęcia jak to możliwe. Przecież lukrecja jest słowem greckim.

- Bardzo nieostrożne! - zagegał duży. W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby nieostrożność w posługiwaniu się językiem była zbrodnią zasługującą na ukrzyżowanie. To tylko taka opinia, zresztą nie moja i jak podejrzewałem, nie będąca tematem dyskusji, jakie ten potwór prowadzi przy ognisku podczas długich zimowych wieczorów. - Pytałeś o kogoś, kogo znamy. Czego chcesz od Gordiana?

- A co to was obchodzi?

- Jestem Milo - poinformował mnie dumnie. - Zarządca jego posiadłości.

Wstał. Doszedłem do wniosku, że Gordian musi mieć coś do ukrycia; zarządca jego domostwa był zbudowany jak wykidajło w bardzo podejrzanej spelunie, gdzie uprawia się hazard.

Kroton jest znany ze swoich atletów, a spośród nich ten najbardziej znany nosił imię Milo. Gordianowy zarządca mógł bez trudu być modelem dla pamiątkowych statuetek, których zakupowi oparłem się na rynku. Kiedy Kroton zajął Sybaris (to pierwotne miasto zbytku, położone kawałek dalej nad Zatoką Tarentyjską), tamten Milo uczcił to wydarzenie, przebiegając stadion z bykiem na grzbiecie, następnie zabił zwierzę jednym uderzeniem pięści, a potem zjadł je surowe na południowy posiłek...

- Wejdzmy do środka - powiedział współczesny Milo, spoglądając na mnie, jakby miał ochotę na kawał nie obrobionej polędwicy.

Uśmiechnąłem się jak każdy, kto udaje, że poradzi sobie z zaistniałą sytuacją, po czym dałem się zaprowadzić do wnętrza zajazdu.



XVI

Milo kazał mikrusowi trzymać straż na dworze, a sam wcisnął się ze mną do mojej wynajętej klitki; dużo łatwiej byłoby mi znieść plugawą noc na mieście z jakąś wąsatą tancerką o zwinnych palcach. Wiedziałem, co mnie czeka; nie wiedziałem tylko kiedy.

W pokoju stały trzy łóżka, ale ponieważ niewielu turystów miało ochotę na letnią wycieczkę do Krotonu, byłem tu jedynym lokatorem. Przynajmniej nikt poza mną nie ucierpi. Milo wypełniał większość wolnej przestrzeni. Jego obecność stawała się męcząca. Był duży. Wiedział, że jest duży. Ktoś taki zawsze rozkoszuje się świadomością, że w małych pomieszczeniach przytłacza wszystkich wokół. Mocno naoliwione mięśnie osiłka lśniły w świetle mojego uplecionego z sitowia knota. Z bliska facet miał dziwny, mdły zapach środka odkażającego.

Nie wysilając się, dwoma potężnymi kciukami, które go aż swędziły, by zrobić to bardziej dotkliwie, popchnął mnie na trójnożny stołek. Licząc na to, że się zirytuje, dźgał paluchem w moje rzeczy.

- To twoje? - zapytał, macając *Wojnę galijską*.

- Umiem czytać.

- Gdzie ją ukradłeś?

- Mam licytatora w rodzinie. W Rzymie mogę pierwszy wybierać na straganach z rzeczami używanymi...

Przyglądałem się rozwojowi wydarzeń ze smutkiem. Ten tom wydawał się świetną okazją, chociaż będę go musiał sprzedać, żeby kupić kolejny zwój ze zbioru. Miał doskonale przycięte krawędzie, olejek cedrowy ciągle chronił papirus, a jeden z guzów na drażku wciąż nosił ślady pozłoty. (Drugiego brakowało, ale własnoręcznie wystrugałem i przymocowałem nowy).

- Cezar! - zauważył Milo z aprobatą.

Miałem szczęście, że czytałem historie wojenne, a nie coś tak mało poważnego jak podręcznik pszczelarstwa. Ten prostak używał swojego potężnego ciała w obronie moralności. Miał zimne spojrzenie drania, który przekonał sam siebie, że jego powołaniem jest pozbawiać życia prostytutki i poetów. Ten właśnie typek czci takiego despotę jak Cezar... jest za głupi, by zauważyć, że Julek był wyniosłym efekciarzem, mającym o wiele za dużo pieniędzy, który gardziłby Milonem jeszcze bardziej niż Galami (bo ci przynajmniej mogli się popisać imponującymi rytuałami związanymi ze składaniem ofiar z ludzi, mieli druidów i statki pływające po Atlantyku).

Olbrzym odłożył niezgrabnie mojego Cezara, jak zbir, którego nauczono nie psuć kosztownych przedmiotów... chyba że jego pan wydał mu konkretne polecenie, by przestraszył ofiarę, roztrzaskując na jej oczach jakąś bezcenną terakotową figurkę.

- Szpiegowanie popłaca!

- Wątpię - powiedziałem cierpliwie. - Nie zauważyłem. Zresztą nie jestem szpiegiem, tylko posłańcem. Dostaję tylko sestercję dziennie i szansę osobistego przekonania się, że zarządzający Brucjum w ogóle nie reperują dróg...

Drab, nie przestając rozmyślać o Cezarze, odwrócił się ode mnie. Uratowałem zwój, ale po chwili skrzywiłem się kwaśno, kiedy butelka z olejkiem rozbiła się na podłodze, bo gość bezceremonialnie wywalił wszystko z moich dwóch skromnych juków. Nazywał siebie zarządcą, a ja nie powierzyłbym mu złożenia stosu obrusów. Po sześciu splecionych tunikach, jednej nędznej todze, dwóch chustkach na szyję, jednym kapeluszu, jednej gąbce, jednej skrobaczce kąpielowej i pudełku z przyborami do pisania znalazł wreszcie nóż, który wplotłem w wiklinę jednego z juków.

Wrócił do mnie. Wyciągnąwszy nóż z pochwy, połaskotał mnie ostrzem po gardle. Drgnąłem niespokojnie, kiedy szarpnął za rzemień, który miałem na szyi, i zaczął wyciągać na wierzch moją nędzną gotówkę i dokument podróży. Potem odłożył nóż, chwycił pismo w szerokie łapy i zaczął powoli je studiować.

- Dydiusz M. Falko. Po co przyjechałeś do Krotonu?

- Z wiadomością dla Gordiana.

- Jaką?

- Natury prywatnej.

- Wyduś ją wreszcie!

- Jest osobista, od cesarza.

Milo chrząknął. W Krotonie uchodziło to zapewne za eleganckie wyrażenie logicznej myśli.

- Gordian nie będzie gadał z prostym posłańcem! - burknął.

- Będzie, kiedy się dowie, z czym przybywam.

Milo ponownie pochylił się nade mną. Przypominało to niebezpieczeństwo, jakie nam grozi ze strony rozszalałego wołu pociągowego, do którego właśnie dotarło, że chwilę wcześniej uządlił go szerszeń. Powoli uniosłem wzrok i popatrzyłem na półkę, gdzie gospodarz tego przybytku umieścił zwinięte zapchlone koce. Półka była tuż pod sufitem, co chroniło człowieka przed waleniem o nią głową, ale oznaczało też dużą stratę czasu, kiedy w zimną noc chciał sięgnąć w ciemności po dodatkowe przykrycie. Teraz stała tam spora porfirowa waza, z ładnie żłobkowaną pokrywą, którą przymocowałem cieniutkim jak pajęczyna sznurkiem; nie chciałem, by zawartość wysypała się pomiędzy moje tuniki.

- Dawaj! - rzucił Milo.

Wyprostowałem się powoli, po czym sięgnąłem nad głowę. Ująłem za oba ucha, starając się trzymać je jak najmocniej. Naczynie wykonane z kosztownego zielonego peloponeskiego kamienia było bardzo solidne; jego zawartość niemal nic nie ważyła, ale sama porfirowa waza była tak ciężka, że trzymałem ją w górze niczym jakaś chwiejna męska kariatyda. Taki kamień niemal nie nadaje się do obróbki, ale Wespazjan sporo zapłacił za to cacko i to gładko wyrzeźbione dzieło sztuki, gdyby wyslizgnęło mi się z rąk, zrobiłoby niezgorsze wgłębienie w podłodze.

- Posłuchaj! - burknąłem, wciąż z rękoma w górze - to jest coś osobistego dla Kurcjusza Gordiana. Odradzam ci zagładanie do środka...

Milo reagował bardzo prosto, kiedy ktoś mu mówił, żeby czegoś nie robił; po prostu to robił.

- Co mu przywiozłeś? - Rzucił się do przodu z zamiarem podniesienia pokrywy.

- Jego brata - odparłem.

I spuściłem mu urnę na głowę.



XVII

Jakieś dwanaście mil na południe od Krotonu długą połąć wymarłego wybrzeża kończy wysunięty w północne wody zatoki Scylacjum cypel zwany przylądkiem Kolonna. Tuż przy brzegu, w typowym dla Greków otoczeniu, stoi ogromna świątynia Hery, z radującym serce bezpośrednim widokiem na roziskrzone Morze Jońskie. Jest to wspaniałe sanktuarium w stylu klasycznym... a także bezpieczny azyl, z dala od Rzymu, dla człowieka w kłopotach (powiedzmy, dla Kurcjusza Gordiana, zwawo umykającego po bliskim spotkaniu z pretorianami).

Gordian nosił tu tytuł naczelnego kapłana. Wielkie świątynie często mają miejscowych mecenasów, którzy bez trudu wygrywają wybory na stanowisko kapłana. Dopóki nie udało mi się nastraszyć mikrusa Milona w gospodzie, nie podejrzewałem, że dziedziczny naczelnny kapłan na dobre się tam zaangażował. Dla senatora przystrajanie ołtarza nie wydaje się

sensownym zajęciem.

Mimo oślepiającego słońca dostałem gęsiej skórki pod wpływem zimnej, rzeźkiej aury. Ostre morskie powietrze napinało mi skórę na policzkach, a silna bryza szarpała włosami. Świątynię oblewało światło z morza i z nieba. Kiedy wchodziłem pomiędzy rozprażone kamienie doryckiej kolumnady, przygniotła mnie wszechogarniająca cisza.

Przed frontem sanktuarium, przy stojącym na otwartym powietrzu ołtarzu, jakiś kapłan z zasłoniętą twarzą składał ofiarę. Wokół zebrała się odświętnie odziana rodzina, w której ktoś obchodził urodziny albo przeżył jakieś pomyślne wydarzenie. Słudzy świątynni trzymali misterne puzderka z kadzidłem i błyszczące kadzielnice do jego spalania; pełni życia, urodziwi chłopcy trzymali potrzebne do złożenia ofiary miski i topory, posyłając kokieteryjne spojrzenia młodym niewolnikom należącym do rodziny. W powietrzu unosiła się miła woń jabłek, mająca przyciągnąć uwagę bogini, oraz obrzydliwy zapach rytualnie palonej koziej sierści, której garść kapłan właśnie wrzucił w ogień na ołtarzu.

Koza stała obok, z ozdobionymi girlandą rogami i zakłopotanym spojrzeniem; zeskakując z kolumnady, puściłem do niej oko. Koza napotkała mój wzrok, zabeczwała rozpaczliwie, po czym ugryzła niedorostka, który ją trzymał, we wrażliwą pachwinę i pomknęła wzdłuż wybrzeża.

Mikrus Milona rzucił się w pogoń. Pomocnicy kapłana radośnie pospieszyli w jego ślady. Załamani pielgrzymi, których wspaniała uroczystość legła w gruzach, wsparli o ołtarz swoje kosztowne laurowe wieńce, by nikt ich nie podeptał, i sami też ruszyli w pogoń. Koza zdążyła już przebiec długość stadionu. Miałem na sobie strój kapłański; uznałem, że nie przystoi mi głośno kibicować zwierzęciu.

Wyglądało na to, że kawalkada nieprędko powróci. Naczelny kapłan krzyknął coś ze złością, a potem ruszył w stronę schodów prowadzących do świątyni. Poszedłem za nim, choć był w paskudnym nastroju; początek mojej nowej roli dyplomaty nie zapowiadał się dobrze.

Aulus Kurcjusz Gordian był mężczyzną około pięćdziesiątki, odrobinę wyższym ode mnie, o bezkształtnej sylwetce. Wielkimi błoniastymi uszami, małymi zaczerwienionymi oczkami i łysą, pomarszczoną czaszką w niezdrowym ziemistym kolorze przypominał słonia. Usiedliśmy obaj na krawędzi podestu, obejmując ramionami okryte szatą kolana.

Pontyfik westchnął z irytacją, osłonił oczy, spoglądając na rozgrywające się teraz już w dalekiej odległości przedstawienie, którego aktorzy stali się wirującymi punkcikami.

- Och, to jest naprawdę niedorzeczne! - oświadczył wzburzony.

Zerknąłem na niego, jakbyśmy byli dwójkiem obcych ludzi, których zbliżyło do siebie zabawne wydarzenie.

- Ofiara musi dobrowolnie zbliżyć się do ołtarza! - przypomniałem sobie przydatne informacje. (W wieku dwunastu lat przeszedłem poważny etap religijności).

- Właśnie! - Starał się odgrywać rolę niefrasobliwego świątynnego zawodowca, ale i tak dało się zauważyć cierpkość nie będącego na służbie senatora. - Masz w sobie coś z posłańca, który spodziewa się, że jego

przybycie zostało zapowiedziane we śnie!

- Domyślam się, panie, żeś słyssał o mnie od tego wścibskiego jegomościa na osiołku, którego minąłem, kiedy jechał do Krotonu. Mam nadzieję, że podziękowałeś mu denarem. Mam też nadzieję, że kiedy tam dotrze, przekona się, że jest fałszywy!

- Jesteś wart denara?

- Nie - przyznałem. - Jednakże ważna osobistość, która mnie przysłała, warta jest ich sporo.

Poczekaj, aż obróci się ku mnie, żeby dobrze mi się przyjrzeć.

- Kto to taki? I kim ty jesteś? Kapłanem?

Zrobił się opryskliwy. Senatorzy bywają tacy. Niektórzy są nieśmiali; niektórzy urodzili się nieuprzejmi; innych tak zmęczyła konieczność zadawania się z politycznymi ofermami, że automatycznie zachowują się nietolerancyjnie.

- Powiedzmy, że odśługuję swój obowiązek przy ołtarzu państwa.

- Nie jesteś kapłanem!

- Każdy mężczyzna jest naczelnym kapłanem we własnym domostwie - zaintonowałem pobożnie. - A ty, panie? Banicja z własnej woli przy twoim statusie nie jest dozwolona! - Czulem słoneczny żar bijący z wielkich kamieni, kiedy dalej sobie z niego drwiłem. - Naczelnym kapłan tutaj to świetna, szacowna synekura... nikt jednak nie spodziewa się, że senator z milionem w skrytce bankowej będzie zajmował się na co dzień odzieraniem kóz ze skóry na świeżym morskim powietrzu! Nawet jeśli służba Pani Olimpu została ci przekazana w spadku razem z gajami oliwnymi... czy też ty, panie, i twój szlachetny brat kupiliście sobie kapłaństwo za gotówkę? Powiedz mi, ile kosztuje teraz takie znakomite stanowisko?

- Za dużo - rzucił, wyraźnie tłumiąc wściekłość. - Co masz mi do powiedzenia?

- Senatorze, skoro wojna domowa dobiegła końca, twoje miejsce jest w Rzymie!

- Kto cię tu przysłał? - spytał chłodno.

- Wespazjan.

- Takie jest jego posłanie?

- Nie, panie, to moja własna opinia.

- W takim razie zachowaj swoje opinie dla siebie! - poradził mi. Zaczął zbierać swoje szaty. - Jeśli jakaś boska interwencja nie popłącze tej kozie nóg, to chyba nic jej nie powstrzyma przed okrażeniem całej zatoki; możemy więc przedyskutować twoją sprawę.

- Czy wypada przerywać taką pobożną uroczystość? - spytałem z sarkazmem.

- Koza ją przerwała - ze znużeniem podsumował sytuację. - Z twoją pomocą! Ci nieszczęśnicy będą musieli jutro zaczynać od nowa z innym zwierzęciem...

- Jest znacznie gorzej, senatorze - powiedziałem. W większości świątyni uważa się, że śmierć w rodzinie kapłana kała jego samego. - Kurcjusza Gordianie, oni będą potrzebowali nowego kapłana - dodałem cicho.

Moja uwaga okazała się zbyt subtelna: po jego minie widziałem, że nie

chwycił aluzji.



XVIII

Dom naczelnego kapłana Kolonny przylegał do świątyni. Był prosty, przestronny, słoneczny, dobrze urządzony, typowa nadmorska rezydencja. Na zewnątrz kamienna elewacja wyblakła, balustrady zdążyły się podniszczyć. Małe okna nie wpuszczały zbyt wiele słońca; przed drzwiami duże ganki. Wewnątrz znajdowały się pozłacane kandelabry, lekkie meble, które w pogodne dni można było wynosić na dwór, oraz sztormowe latarnie na burzowe noce.

Kiedy drzwi zamknęły się za nami z trzaskiem, wyjrzało kilka głów zaskoczonych niewolnic, jakby Gordian zbyt wcześnie przyszedł na prandium, południowy posiłek. Pogodna atmosfera nie przypominała stylu tak zwanego zarządcy, Milona, domyśliłem się więc, że tak naprawdę to właśnie te zapracowane kobiety prowadzą dom. Wnętrze było przewietrzane, świeżutkie jak lawenda. Słyszałem szuranie mioteł na mokrej podłodze i wyczułem zapach smażonej wątróbki... może tych kawałków, które kapłan przy składaniu poprzedniej ofiary przeznaczył dla siebie. (Każdy znający się na swojej robocie kapłan zabiera najlepsze kąski. Dla mnie jest to najlepszy powód, żeby spełniać obowiązek obywatelski w charakterze kapłana).

Gordian zaprowadził mnie szybko do bocznego pokoju. Wszędzie leżały poduszki; na stolikach, pomiędzy srebrnymi miskami i dzbanami, stały wazoniki z polnymi kwiatkami. Zapłata za zdradę: atrakcyjne wiejskie życie.

- Panie, nazywam się Dydiusz Falko. - Nie zauważyłem najmniejszego błysku rozpoznania. Pokazałem swoje dokumenty, ledwie rzucił na nie okiem. - Zostawiłem twojego zarządcę w Krotonie, przywiązanego do łóżka.

Gordian zrzucił z siebie szaty kapłana. Mimo że wciąż panował nad sytuacją, minę miał zbolalą.

- Czy ktoś go tam znajdzie? - zaniepokoił się.

- To zależy od tego, jak często personel zajazdu przelicza koce.

Robił wrażenie, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Ty pokonałeś Milona? - zapytał wreszcie.

- Walnąłem go kawałem kamienia.

- Dlaczego?

- Wziął mnie za szpiega - poskarżyłem się, by kapłan wiedział, że niekompetencja jego zarządcy wywołała moją wściekłość. - Milo przynosi chlubę swojemu lichemu gimnazjonowi, ale powinien poćwiczyć jeszcze mózg! Rola wysłannika pałacu jest niewdzięczna. Napadli mnie homeryccy herosi, którzy sprzedają kurczaki na krotońskim rynku, a potem zaatakowały mnie twoje matolki... - ciągnąłem.

Bawiła mnie ta moja przemowa. Musiałem ugruntować sobie autorytet. Jako człowiek szlachetnie urodzony Gordian mógł zawsze liczyć na poparcie senatu; ja pracowałem dla Wespazjana i gdybym obraził senatora -

nawet zdrajcę - nie miałbym co liczyć na cesarza.

- Milo twierdzi, że nie będziesz ze mną rozmawiał. Z całym szacunkiem, panie, to bezcelowe i obraźliwe dla cesarza. Mam wrócić do Rzymu i nie powiedzieć Wespazjanowi nic poza tym, że jego miasteczkom w Magna Graecia przyda się przyduszenie, a pontyfik jest zbyt uparty, by posłuchać wieści o losie swojego starszego brata?

- Jakim losie? - Kurcjusz Gordian spiorunował mnie pełnym pogardy wzrokiem. - Czy mój brat jest zakładnikiem? Czy Wespazjan przesyła mi groźby?

- Za późno już na to, panie. Ty i twój brat naraziliście się komuś znacznie mniej delikatnemu.

Ściągnąwszy wreszcie na siebie jego pełną uwagę, jednym zwięzłym zdaniem opisałem pożar świątyni.

Spoczywał na łożu. Jego niezgrabne ciało miało tendencję do opadania na najbliższy mebel, na którym mógł zyskać punkt oparcia, wkładając w to minimum wysiłku. Kiedy powiedziałem mu, że Kurcjusz Longin nie żyje, zerwał się bezwiednie, opuszczając ciężkie nogi na podłogę. Potem jednak emocje, jakie go ogarnęły na wieść o strasznym końcu, jaki spotkał jego brata, pozbawiły go sił. Zastygł w niewygodnej, dziwacznej pozie, niezdolny przeżywać tej tragedii w obecności przyglądającego mu się obcego człowieka.

Wykazując się dobrymi manierami, zostawiłem go w spokoju i wyszedłem cicho po porfirową urnę. Stałem kilka chwil obok muła, głaszcząc zwierzę, patrząc na morze i grzejąc się w promieniach słońca. Żaloba, która padła na to domostwo, nie miała ze mną nic wspólnego, niemniej sprowadzenie jej tutaj pozbawiło mnie sił. Odwiązałem sznureczek, zajrzałem do środka, po czym pospiesznie opuściłem pokrywę.

Prochy ludzkie wyglądają na bardzo lotne.

Kiedy wróciłem, Gordian wstał ciężko. Zacząłem szukać miejsca, gdzie mógłbym postawić urnę z popiołami jego brata. Senator mienił się na twarzy, jednak już po chwili opanował się na tyle, by móc ukryć swą boleść.

- Reakcja Wespazjana?

- Co masz na myśli, panie? - Rozglądałem się wokół, szukając miejsca, gdzie mógłbym postawić kałamarze i miseczki z pistacjami, które przesuwałem, by zrobić miejsce dla urny.

- Brata wezwano do Rzymu, by wyjaśnił nasze stanowisko...

- Cesarz nie zdążył z nim porozmawiać - przerwałem, wciskając drobiazgi na półkę. - Wespazjan wydał polecenie, by wyprawiono twojemu bratu honorowy pogrzeb, i osobiście - zauważyłem sucho - zapłacił za tę urnę. Jeśli będziesz, panie, w stanie to znieść, spróbuję wyjaśnić...

Kapłan Hery porwał ze stolika dzwonek z brązu i gwałtownie nim potrząsnął.

- Wynoś się z mojego domu!

Cóż, nie oczekiwałem, że zaproszą mnie do stołu.

Domownicy zaczęli wpadać do pokoju; zatrzymywali się, widząc, jak bardzo kapłan jest poruszony. Nim zdążył wydać im polecenie, żeby mnie stamtąd wyprowadzili siłą, podałem mu fakty:

- Kurcjuszu Gordianie, twój brat padł ofiarą wyzwolenca powiązanego z Acjuszem Pertynaksem Marcellem. Jesteś zapewne, panie, świadom, jak zginął Pertynaks. Najwyraźniej winiac za jego śmierć dawnych wspólników swojego pana, tenże Barnabas zabił twój brata; możesz być następnym, na którego się teraz zasadzi! Jestem tutaj, by przekazać gest dobrej woli Wespazjana. Potrzebujesz, panie, dziewięciu dni na zwyczajową żałobę. Potem mam nadzieję się z tobą spotkać.

W korytarzu wpadłem na Milona. Ponuro wyglądający siniec otaczał wyraźnie widoczne rozcięcie.

- Paskudne uderzenie! - rzuciłem współczująco. - Nie przejmuj się urną, obmyłem ją z krwi.

Wyskoczyłem na zewnątrz, nim zdążył zareagować.

Pojawiłem się ponownie przy świątyni w chwili, kiedy plażą wracał korowód zmęczonych ludzi. Koza zapierała się przez całą drogę. Coś w jej losie wzbudziło we mnie poczucie solidarności; ja też spędziłem większość życia, becząc, prowadzony na pewne stracenie.

Nie było tam nikogo o stosownym autorytecie, wobec czego najstarszy z suplikantów zwrócił się do mnie.

- Wracajcie do domu - rozkazałem, radośnie improwizując. - Zamiećcie dom gałązkami cyprysu...

- A co z kozą?

- Ta koza - oświadczyłem z godnością (myśląc o smakowitych żeberkach, pieczonych na otwartym powietrzu z solą i dziką szalwią) - jest teraz poświęcona bogini Herze. Zostawcie ją u mnie!

Pielgrzymi zebrali wieńce i ruszyli w drogę powrotną do domu; akolici wbiegli do świątyni, by zająć się tym, czym zabawiają się pozbawieni nadzoru młodzi świątynni pomocnicy. Z uśmiechem na twarzy objąłem opiekę nad zwierzęciem. Koza drżała żałosnie na końcu długiego powroza. Była śliczniutka. Na jej szczęście, chociaż nie miałem nic do jedzenia, jako kapłan poczułem nagle, że mam zbyt czysty umysł, by w ogóle rozważać pożarcie poświęconej Herze kozy.

Nie ma co kryć; nie umiałem zarządzić stworzenia, które spoglądało na mnie takim rozbrajającym, żalonym wzrokiem.



XIX

Nigdy nie pamiętam, czy okres formalnej żałoby zaczyna się od dnia śmierci danej osoby, czy od chwili, kiedy się o niej dowiemy. Gordian wybrał to drugie, co nie służyło mojemu zdrowiu, ale jemu dawało więcej czasu na dojście do siebie.

Przez dziewięć dni włóczyłem się po wybrzeżu, podczas gdy moja koza badała wyrzucone na brzeg kawałki drewna, a ja robiłem jej wykłady na temat bardziej wyrafinowanych aspektów życia. Odżywiałem się kozim mlekiem i pszennymi ciasteczkami z ołtarza. Kapałem się w morzu, wciąż jednak pachniałem zwierzętami i nie miałem się gdzie ogolić.

Kiedy ludzie przychodzili do świątyni, trzymałem się na uboczu. Nikt nie ma ochoty w miejscu, które odwiedza z powodów religijnych, oglądać

brodatego włóczęgi i zbiegłej kozy.

Po dwóch dniach zjawił się kapłan, żeby zastąpić Gordiana. Do tego czasu zdążyłem już utworzyć z młodych akolitów dwie drużyny do gry w piłkę i prowadziłem na plaży rozgrywki. Kiedy chłopcy się zmęczyli, sadzałem ich i czytałem im *Wojnę galijską*. Świeże powietrze oraz Wercyngetoryks przez większość dnia chroniły ich przed popadnięciem w kłopoty, choć już ich nocnych zachowań wołałem nie badać.

Po zapadnięciu ciemności, kiedy wokół panowała cisza, szedłem zazwyczaj samotnie do świątyni i sadowiłem się przed opiekunką małżeństw, nie myśląc o niczym i pojadając jej pszenne ciastka. Nie prosiłem o żadne łaski, a ona nie niszczyła mojego sceptycyzmu i nie ukazywała mi się w postaci wizji. Nie mieliśmy potrzeby się komunikować. Boska Hera na pewno wiedziała, że Zeus, jej gromowładny małżonek, dzieli słabości z detektywami; za dużo wolnego czasu... i zbyt wiele pomysłowych kobiet podpowiadających, jak go wykorzystać.

Czasami stawałem na brzegu, ze stopami zanurzonymi w szemrzącej morskiej wodzie, myśląc o Helenie Justynie, która też to wiedziała. Kiedy przypomniałem sobie, jak młody odźwierny nie chciał mnie wpuścić do jej domu pod jakimś błahym pretekstem, nagle pojąłem, że to ona się okazała rozsądna i przewidująca. Helena Justyna porzuciła mnie!

Wróciłem do świątyni i rozłoszczony stanąłem przed opiekunką małżeństwa. Kamienne oblicze królowej Olimpu pozostało niewzruszone.

Dziesiątego ranka, kiedy już miałem zawroty głowy z niedożywienia i z samotności, przyszedł do mnie na plażę jeden z akolitów. Ten mały zbereźnik miał na imię Demostenes... typowy pomocnik kapłana, doroślejszy, niżby wskazywał jego wiek, niedomyty za uszami.

- Dydiuszu Falkonie, ludzie zaczynają mieć podejrzenia, jeśli chodzi o ciebie i twoją kozę!

- Bzdura. To przyzwoita koza! - wysiliłem się na dowcip.

Demostenes wpatrywał się we mnie z głębi przepastnych oczu ozdabiających ładną, nie budzącą zaufania twarz. Kozą też. Chłopiec prychnął.

- Kurcjuśz Gordian jest w świątyni. Mówi, że możesz skorzystać z jego prywatnej łaźni. Wyszorować ci plecy? - zapytał obraźliwie.

Odpowiedziałem, że korzystanie z jego uprzejmości naraziłoby mnie na kłopoty ze strony kozy.

Zdążyłem się przyzwyczać do braku udogodnień w Krotonie. Poszedłem wprost do świątyni, przywiązałem kozę pod kolumnami i wmaszerowałem do sanktuarium.

- Dzięki za umożliwienie kąpieli! - zawołałem do Gordiana. - Przyznaję, że teraz gotów już byłbym sprzedać się w niewolę jakiemuś jednookiemu nabatejskiemu poganiaczowi wielbłądów, gdyby tylko obiecał mi godzinę w łaźni parowej! Panie, musimy porozmawiać o twoim tutaj pobycie...

- Domicjan zatwierdził mój wyjazd...

- Miałem na myśli to, czy jesteś w Krotonie bezpieczny. Cesarz utrzyma w mocy zezwolenie na twój urlop - wyjaśniłem. Wyglądał na zaskoczonego. - Polityką władcy jest zatwierdzanie oficjalnych aktów Domicjana - dodałem.

- A co z nieoficjalnymi? - Roześmiał się gorzko.

- Och, tutaj polityką jest cmoknąć z niezadowoleniem... po czym uśmiechnąć się i zapomnieć!

Wyszliśmy na schody. Gordian poruszał się powoli, osłabiony przebytą żalobą. Usiadł i oklapł jak ciasto na zakwasie w dzieży, dosłownie się skurczył, po czym obrócił wzrok na morze, jakby w przemieniających się światłach i prądach widział wszystkie filozofie świata... jakby zrozumiał je na nowo i poczuł głęboki niesmak.

- Nie zazdroszczę ci twojej pracy, Falkonie!

- Och, bywa urozmaicona. Podróże, ruch, poznawanie nowych ludzi z różnych środowisk... - Koza napięła sznurek, starając się sięgnąć rękawa mojej tuniki. Oganiałem się od niej obiema rękoma; zabczała z głupią miną.

- Akty przemocy i informowanie o nieszczęściach! - zadrwił.

Patrzyłem na niego ponad grzywką kozy, głaszcząc ją po szerokich białych uszach; uklękała i zabrała się do żucia końca mojego paska.

- Falkonie, co wiesz o całym tym zamieszaniu? - zapytał.

Cóż, zachowajmy dyskrecję! Jest wiele osób... poza poplecznikami niezującego, niezbyt oplakiwanego cesarza Witeliusza... których nie zachwyca nowa cesarska dynastia. Tymczasem jest oczywiste, że ten flawijski cyrk pozostanie tu z nami na dłużej. Senat w pełni zatwierdził Wespazjana. Cesarz jest już w połowie drogi, by go ubóstwiano, więc wszyscy mądrzy śmiertelnicy przybierają pełne czci miny... Czy zechcesz mi powiedzieć, co twój brat zamierzał powiedzieć cesarzowi?

- Miał mówić w imieniu nas obu. Przybraliśmy, jak to ująłeś, pełne czci miny wobec Flawiuszów.

- To musiało być trudne - powiedziałem ze współczuciem, dostosowując się do jego kiepskiego nastroju. - Zatem wypadek brata to ciężki cios...

- Masz na myśli jego zamordowanie!

- Tak... powiedz mi więc, co takiego zamierzał powiedzieć cesarzowi, że komuś aż tak bardzo zależało na tym, by go powstrzymać.

- Nic! - warknął zniecierpliwiony Gordian. Wierzyłem mu. Oznaczało to jedno: Longin odkrył coś dopiero po swoim powrocie do Rzymu... Kiedy się nad tym zastanawiałem, Gordian zmarszczył smętnie brwi. - Pewnie uważasz, że sami jesteśmy sobie winni.

- Niezupełnie. Kurcjuszu Gordianie, można zginąć na skutek jednego z tysiąca różnych możliwych nieszczęśliwych wypadków. Urzędnik w biurze cenzora powiedział mi kiedyś, że ołowiane rury, miedziane rondle, grzyby przygotowywane dla starszych mężczyzn przez młode żony, pływanie w Tybrze i kremy do twarzy, że wszystko to jest śmiertelnie niebezpieczne. Możliwe jednak, że był pesymistą...

Gordian kiwał się niespokojnie na stopniach.

- Mój brat nie udusił się przez przypadek. I zginął straszną śmiercią!

- Śmierć na skutek uduszenia następuje bardzo szybko - oznajmiłem spokojnie. - Z tego, co w ogóle wiadomo na ten temat, nie jest też bolesna.

- Po chwili westchnąłem. - Może ja zbyt często widuję śmierć.

- Jak tedy udaje ci się zachować człowieczeństwo? - zapytał.

- Kiedy patrzę na zwłoki, myślę sobie: on musi mieć przecież rodziców,

może miał żonę. Jeśli mogę, odnajduję ich. Mówię, co się stało. Staram się, by trwało to jak najkrócej... większość ludzi potrzebuje w takich momentach samotności. Niektórzy jednak przychodzą potem do mnie i od nowa pytają o szczegóły. I to już jest gorsze.

- A co jest najgorsze?

- Myślenie o tych, którzy chcą spytać, ale nie przychodzą.

Gordian wciąż wyglądał jak człowiek zaszczuty. Widziałem, że chociaż kiedyś miał tyle odwagi, by przeciwstawić się Wespazjanowi, teraz nieszczęście całkowicie wysssało z niego energię.

- Brat i ja - wyjaśnianie przychodziło mu z trudem - uważaliśmy, że Wespazjan to sabiński awanturник z niezbyt uzdolnionego rodu, który doprowadzi imperium do upadku i kompromitacji.

Pokręciłem głową.

- Jestem zdeklarowanym republikaninem... ale nie będę krytykował Wespazjana.

- Bo dla niego pracujesz?

- Pracuję dla pieniędzy.

- Więc się wycofaj.

- Spełniam swój obowiązek! - rzuciłem ostro. - Moje nazwisko figuruje na liście płatników podatku i nigdy nie zaniedbuję głosowania w wyborach! Co ważniejsze, jestem tutaj, by pogodzić ciebie i Wespazjana, bo potrzeba mu chwili wytchnienia, żeby wznieść coś na gruzach odziedziczonych po Neronie.

- Jest w stanie to zrobić?

Zawahałem się.

- Pewnie tak.

- Ha! Dla większości Rzymian pozostanie awanturnikiem.

- Och, sądzę, że on to wie!

Gordian ciągle wpatrywał się w morze. Oklapł jak ukwiał, miękka zszarzała grudka przyczepiona do kamienia, coraz bardziej wiotczająca, kiedy słońce zaczęło nas mocniej przygrzewać.

- Masz dzieci? - spytałem, próbując jakoś do niego dotrzeć.

- Czworo. A teraz jeszcze doszła dwójka brata.

- Żona?

- Nie żyje, na szczęście... - odparł. Każda kobieta z odrobiną charakteru miałaby ochotę kopnąć go teraz w kostkę; nawet przyszła mi na myśl jedna taka. Możliwe, że dostrzegł to w mojej twarzy. - Jesteś żonaty, Falconie?

- Niezupełnie.

- Masz kogoś konkretnego na widoku? - nie dawał za wygraną. Jeśli ludzie zadający takie pytania nie są kompletnymi cynikami, najprościej jest udawać. Milczałem chwilę, po czym skinąłem głową.

- Żadnych dzieci? - pytał dalej.

- O ile wiem, nie... i nie mówię tego żartobliwie. Mój brat ma dziecko, którego nigdy nie zobaczył. Mnie się to nie przydarzy.

- Co się stało z twoim bratem?

- Ofiara walk... Judea. Bohater, jak mi mówią.

- Niedawno?

- Trzy lata temu.

- Aha... możesz zatem powiedzieć: jak sobie radzimy z taką sytuacją?

- O, tolerujemy prostackie wtrącanie się ludzi, którzy ich właściwie nie znali, stawiamy kosztowne pomniki, które i tak nie zrobią wrażenia na ich prawdziwych przyjaciółach! Obchodzimy ich urodziny, niesiemy pociechę ich kobietom, dbamy, by ich dzieci dorastały pod jakąś rodzicielską kontrolą...

- To pomaga?

- Nie, niespecjalnie... Nie pomaga.

Uśmiechnęliśmy się ponuro, po czym Gordian zwrócił się do mnie.

- Najwyraźniej Wespazjan przysłał cię tutaj, bo uważa, że posiadasz dar przekonywania - zadrwił. Zdobyłem jego zaufanie, jednak to, co przydarzyło się mojemu bratu na pustyni, nie nadawało się jako argument. - Robisz wrażenie szczerego. Co byś zatem radził?

Nie odpowiedziałem, bo nadal myślałem o Festusie.

- Och, Falconie, nawet nie masz pojęcia, jakie myśli przychodziły mi do głowy! - wykrzyknął.

Owszem, miałem pojęcie. Gordian to typ udręczonego defetysty, który wyciąłby w pień całe swoje potomstwo, po czym przekonał jakiegoś wiernego niewolnika, by zarządził jego samego. Wyobrażałem to sobie bez trudu; tacy jak on, łkając, zaplamiają drogie dywany niepotrzebnie przelaną krwią... tacy nigdy nie wybiorą zdrady. Jeśli potrafił obstawać przy swoim, to nie zachował się gorzej od tych senatorów, którzy codziennie, przy posiłku, obmyślają różne plany.

Dlatego właśnie ci ludzie byli tacy ważni. Dlatego cesarz traktował ich tak delikatnie. Niektóre spiski zostają obmyślane we wtorki przy zimnych karczochach, a przy śródowych jajkach nadziejących sardelami się rozplývają. Kurcjusz Gordian wykazał się szaleńczą konsekwencją. Skumał się z amatorami, którzy nie rezygnowali na przekór wszystkiemu, mimo że instynkt samozachowawczy dawno powinien ich sprowadzić z powrotem na drogę szacownych rozrywek, takich jak picie i hazard, i uwodzenie żon najlepszych przyjaciół.

- Jakie tedy możliwości pozostają, Falconie?

- Wespazjan nie zgłosi zastrzeżeń, jeśli wycofasz się do swojej posiadłości...

- Wycofać się z życia publicznego! - zawołał. Prawdziwy Rzymianin, sam pomysł był dlań wstrząsający. - Tak brzmi jego rozkaz?

- Nie. Przykro...

Potknąwszy się na własnym błędzie, zacząłem tracić cierpliwość. Rzucił mi zagadkowe spojrzenie. Pamiętam jego zwawe zachowanie, kiedy przywitał mnie jako pontyfik; doszedłem do wniosku, że tej spłaszczonyj poduszce przyda się solidne strzepnięcie. W grę wchodziła tylko jakaś publiczna rola.

- Cesarz był pod wrażeniem, że przyjąłeś, panie, stanowisko religijne, choć wolałby, żebyś zajął bardziej wymagającą pozycję... - Mówiłem teraz jak Anakrytes; najwyraźniej już za długo pracowałem w pałacu.

- Na przykład?

- W Pestum.

Nie odzywał się. Po wygnaniu na tym smętnym wybrzeżu potężny

zespół świątyn w Pestum jawił się jak kwintesencja luksusu.

- Pestum - ciągnąłem kuszaco. - Kulturalne miasto, łagodny klimat, gdzie rosną najpiękniej pachnące fiołki, a róże, z których wyrabia się olejek, kwitną dwa razy do roku...

(Pestum na zachodnim wybrzeżu Lukanii... w bezpośrednim zasięgu Wespazjana).

- Na jakim stanowisku? - Teraz już bardziej przypominał senatora.

- Nie mam władzy, żeby to potwierdzić. Jednak podczas podróży tutaj dowiedziałem się, że mają wakat w wielkiej świątyni Hery...

Natychmiast skinął głową.

Dokonałem tego. Wreszcie koniec. Wyrwałem Kurcjusza Gordiana z jego wygnania i jeśli szczęście mi dopisze, dostanę premię. (Albo, patrząc na rzecz realistycznie, dostanę ją, jeśli Wespazjan przystanie na zaproponowane przeze mnie rozwiązanie, jeśli w ogóle dojdziemy do porozumienia na temat wartości tego rozwiązania dla cesarstwa... i jeśli on w ogóle zapłaci).

Wstałem, prostując wreszcie kręgosłup. Czuję się brudny i zmęczony; znane mi dobrze niewygody mojego zawodu. Niedostatek prawdziwej konwersacji spowodował, że wysławiałem się z trudem. Dokuczały mi też niezliczone zadrapania na nogach, rezultat przedzierania się przez nadmorskie zarośla pod wpływem kaprysów mojej kozy. Byłem wrakiem. Na twarzy miałem dziesięciodniową szczecinę; musiałem wyglądać jak górski rozbójnik. Włosy mi zmatowiały, a brwi zeszywniały od soli.

Widząc zadowolenie Gordiana, starałem się nie dostrzegać ironii własnej nędznej sytuacji. Jeśli zarobię tę premię, będzie ona zaledwie małą częścią na poczet czterystu tysięcy sestercji, które być może pomogą mi w zbliżeniu się do Heleny. Praca detektywa jest beznadziejna. Płaca nędzna, zajęcie jeszcze gorsze, a jeśli natrafisz kiedyś na jakąś wartą zachodu kobietę, to nie masz ani pieniędzy, ani czasu; a jeśli nawet masz, to zabraknie ci sił... Zresztą ona i tak cię zostawi.

Uznałem, że poczuję się lepiej po godzinie spędzonej w kłębach pary, nieograniczonej ilości gorącej wody, w prywatnej łaźni pontyfika. Solidna kąpiel, kiedy rzeczywiście jej potrzebujesz, pomoże ci przeboleć niemal wszystko.

Potem przypomniało mi się, że ten ordynus Milo rozbił mi w zajęździe w Krotonie buteleczkę z ulubionym olejkiem.



XX

Wreszcie byłem czysty, porządnie wyszorowany i właśnie zaczynałem się odprężać, kiedy powstało to zamieszanie.

Ponieważ łaźnia nie była publiczna, kilka szklanych i alabastrowych słoików z atrakcyjnymi olejkami miało swoje stałe miejsce na marmurowej półce. Zerknąłem do środka i szczególnie spodobał mi się zielony flakon z pomadą do włosów, mogącą służyć jako ten ostatni, terapeutyczny w zasadzie akcencik...

Kiedy odprężyłem się w luksusowej łaźni parowej, zaczęło do mnie

docierać znaczenie tego wszystkiego, co zaszło. Bracia Kurcjusze mieli drzewo genealogiczne tak pradawne, że Romulus i Remus wydrapywali swoje imiona na jego omszałym pniu. Dla nich Wespazjan był nikim. Nic nie znaczyło te czterdzieści lat służby, które poświęcił Rzymowi. Nie miał pieniędzy ani sławnych przodków. Nie można pozwolić ludziom, którzy nie posiadają niczego poza zdolnościami, wspiąć się na najwyższe stanowiska. Bo jaką szansę mieliby wówczas durnie i oferny z najwyższych warstw?

Longin i Gordian, dwóch podatnych na wpływy głupców, ze swoim wysokim statusem i brakiem rozsądku musieli być łatwymi ofiarami dla silniejszych ludzi, z podlejszymi pomysłami. Longin ciężko za to zapłacił, a jedyne, czego teraz chciał jego brat, to uciec, ale tak, by móc się wytłumaczyć swoim synom...

Raptem tupot czyichś stóp przerwał moje rozmyślania.

Kiedy wybiegłem na dwór z niewolnikiem, którego po mnie przysłano, zobaczyłem, że niosą kogoś ze świątyni na prowizorycznych noszach. Na ganku Milo spierał się jak szalony z Gordianem. Kiedy się pojawiłem z mokrymi włosami, natarty cudownymi olejkami i owinięty w kusy ręcznik, naczelną kapłan wykrzyknął kategorycznym tonem:

- Falko był w łaźni!

- Dzięki za alibi - powiedziałem. - Jakiej zbrodni się dopuszczono?

Gordian, którego zazwyczaj szara skóra przybrała chorobliwie biały odcień, wskazał głową wnoszonego do domu nieprzytomnego mężczyznę, kapłana, który go zastępował podczas żałoby. Woal, którym musiał okrywać głowę przy ołtarzu, był splątany i przesiąknięty krwią.

- Znalezione biedaka krwawiącego z rany na głowie. Uderzono go podstawą lampy. Ktoś zostawił w świątyni twoją kozę...

- Jeśli to ma być próba skierowania podejrzania na mnie, to dość nieudolna! - przerwałem gniewnie. - Jak dobrze wiecie, nigdy nie wprowadzam jej do sanktuarium bogini! - Tymczasem niewolnik przyniósł mi tunikę i wcisnąłem się w nią z dużym trudem, bo przecież nie zdążyłem się wytrzeć do sucha.

- Falkonie, cios był źle wymierzony. Może przeżyje... ale jeśli nawet, to będzie miał szczęście...

- Przecież to oczywiste, cios był przeznaczony dla ciebie! - Obciągając lepiącą się do ciała tunikę, zwróciłem się do zezującego na mnie spode łba zarządcy. - Milonie, trzymałem się z dala od świątyni, kiedy byli w niej pielgrzymi. Czy stałeś na straży? - Wielki niezdara nie był chętny do współpracy, nie zapomniał, jak mu przyłożyłem w Krotonie. - Pomyśl, Milonie! To ważne! - nalegałem. - Czy był tam ktoś, kto wyglądał obco? Ktoś zadający pytania? Ktoś, kto z jakiegoś powodu zapadł ci w pamięć?

Była to praca jak przy obróbce kamienia, ale udało mi się wyciągnąć pewne szczegóły. Pojawił się bowiem człowiek, który nalegał, by ofiarę złożył osobiście Gordian. Domownicy odesłali go, mówiąc, że aż do dzisiaj pontyfik nie będzie celebrował.

- I pojawił się znowu dziś rano? - spytałem.

Milo uważał, że tak.

- Skąd twoja pewność? - dopytywał się senator.

- Konie - wymamrotał Milo.

Podniosłem na niego wzrok.

- Konie? Czy przypadkiem nie duży gniado-srokaty i strzygący uszami deresz? - zawołałem.

Olbrzym potwierdził z ociąganiem.

- Znasz tego złoczyńcę, Falkonie? - zawołał Gordian z oburzeniem, jakby uważał, że muszę być z tym człowiekiem w zмовie.

- Śledził mnie co najmniej od Salerno; możliwe, że od Rzymu...

Nasze spojrzenia się spotkały. Obaj pomyśleliśmy to samo.

- Barnabas!

Chwyciłem kapłana za łokieć i pociągnąłem do środka, gdzie, słusznie czy niesłusznie, mógł czuć się bezpieczniej.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że napastnik już dawno zniknął, niemniej wysłaliśmy Milona i inne zaufane sługi, by przeszukali okolicę. Niedaleko od brzegu widzieliśmy statek, co zrodziło w nas podejrzenie, że być może napastnik miał współników, którzy zabrali go na pokład, razem z końmi i wszystkim innym. Gordian jęczał, obejmując głowę rękoma. Oczami wyobraźni widział, jak jego zastępca, z osłoniętą twarzą, odprawia modły przy głównym ołtarzu i otrzymuje cios...

- Zostawiłem rodzinę w Rzymie, Falkonie... czy są tam bezpieczni?

- Od Barnabasa? Nie jestem wyrocznią, panie. Nie siedzę w grocie, żując liście wawrzynu; nie potrafię wprowadzić się w trans i przepowiedzieć jego kolejnego posunięcia... - wyjaśniłem. W przejęciu zagryzał rozpaczliwie dolną wargę. - Zamordował twojego brata - przypominałem mu cierpliwie. - Wespazjan domaga się, by za to zapłacił. Teraz zaatakował ciebie. Kiedy się dowie o swojej pomyłce, może spróbować ponownie - mówiłem. Gordian patrzył na mnie. - Panie, to dowodzi jedynie tego, co podejrzewałem... widocznie twój brat przedstawiał sobą zagrożenie. Ty najwyraźniej też. Cokolwiek wiedział Longin, mógł wysłać ci wiadomość w przerwie między spotkaniem z wyzwolenцем w domu kapłana a udaniem się do świątyni Herkulesa tego samego wieczora. Barnabas musi się obawiać, że tak właśnie zrobił. Jeśli przyjdzie coś od Longina, będzie w twoim własnym interesie powiedzieć mi...

- Oczywiście - obiecał, nie bardzo przekonująco. Zapominając się, chwyciłem go za ramiona i potrząsałem nim.

- Gordianie, będziesz bezpieczny tylko wtedy, jeśli ja dotrę do Barnabasa, zanim on dotrze do ciebie! Z tym wyzwolenцем można się uporać, ale trzeba go wpierw odnaleźć. Czy wiesz coś, co by mi to ułatwiło?

- Czy ty go ścigasz, Falkonie?

- Tak - odparłem, bo chociaż to Anakrytesowi przyznano ten wątpliwy zaszczyt, byłem zdecydowany uprzedzić go, jeśli tylko zdołam.

Ciągle wstrząśnięty dzisiejszym jaskrawym dowodem grożącego mu niebezpieczeństwa Gordian był nieobecny myślami.

- Byłeś w bliskich stosunkach z Pertynaksem - nie rezygnowałem. - Znasz tego wyzwolenca? Czy zawsze był taki niebezpieczny?

- Och, nigdy nie miałem do czynienia z jego ludźmi... Boisz się go?

- Niespecjalnie... ale go nie lekceważę! - Zmieniłem ton na lżejszy. -

Niewielu wyzwolenców uważałoby, że ich obowiązki wobec protektora obejmują morderstwo. Skąd taka przesadna lojalność?

- Barnabas wierzył, że jego pana czeka świetlana przyszłość. Zresztą tak samo uważał sam Pertynaks! Przybrany ojciec wyrobił w nim przekonanie o jego ogromnej wartości. Prawdę mówiąc, gdyby Pertynaks żył, to właśnie on byłby niebezpieczny.

- Ambicja? - zakpiłem cicho. Martwy czy nie, wszystko, co dotyczyło Pertynaksa, irytowało mnie, z powodu jego małżeństwa z Heleną. - Czy Pertynaks chciał władzy dla siebie?

- Pertynaks był beznadziejnym prostakiem! - wybuchnął Gordian w nagłym ataku zniecierpliwienia. Przyznałem mu rację. - Znałeś go? - spytał zaskoczony.

- Nie musiałem - odpowiedziałem ponuro. - Znałem jego żonę.

Przypisawszy byłemu mężowi Heleny Justyny miejsce w ludzkim łańcuchu niższe, niż zajmuje chrząszcz jelonek w krowim placku, nie mogłem uwierzyć, by człowiek ten miał ambicje cesarskie. A przecież po Neronie pojawiali się już dziwaczni kandydaci, choćby sam Wespazjan. Jeśli ten wyzwolenciec uznał, że śmierć Pertynaksa pozbawiła go szansy zostania najważniejszym urzędnikiem cesarstwa, jego mściwość stawała się zrozumiała.

Kurejusz Gordian stał jakiś czas w milczeniu, po czym powiedział:

- Bądź ostrożny, Falkonie. Acjusz Pertynaks miał destrukcyjną osobowość. On sam może i nie żyje, ale nie wierzę, by oznaczało to koniec jego złowrogich wpływów!

- Co to znaczy, panie? - Jeśli naczelny kapłan miał ochotę być tajemniczy, nie miałem zamiaru brać jego słów poważnie.

Niespodziewanie się uśmiechnął. Twarz pomarszczyła mu się nieprzyjemnie, odsłonił zęby, które nie nadawały się do pokazywania... były wyszczerbione i pożółkłe.

- Może to ja popołudniami żuję liście wawrzynu! - oznajmił.

Cóż, to by wyjaśniało wygląd zębów.

Musiałem w tym miejscu porzucić ten temat, bo wrócili poszukujący... jak było do przewidzenia, bez poszukiwanego. Znaleźli jednak pewien drobiazg, który mógł się okazać użyteczny. Rzucona w kącie sanktuarium leżała tabliczka, która była raczej własnością napastnika niż zastępcy kapłana; zawierała bowiem notatki, które okazały się sumami płaconymi w zajazdach (*siano: jeden as; wino: dwa asy; jedzenie: jeden as...*). Te wyliczenia, zdaje się, prowadzi ktoś ostrożny, kto miał podejrzliwy stosunek do oberżystów... no cóż, to dawało mi szeroki wybór! Moją uwagę przyciągnęła natomiast lista na pierwszej stronie, która przedstawiała daty (głównie kwietniowe, ale kilka również z maja), a obok nich różne nazwy (*Galatea, Luzytania, Wenus z Pafos, Konkordia...*). Nie chodziło o konie, bo byłyby to wtedy Furia czy Grom. Może dzieła sztuki... lista obiektów na aukcję? Jeśli były to posagi czy malowidła, które zmieniły właściciela w ciągu sześciu tygodni, musiało chodzić o jakąś sławną kolekcję, którą podzielono; Geminus by o tym wiedział. Inna możliwość, ta, na którą sam bym postawił, to że jest to morska lista przewozowa, a te majestatyczne nazwy odnoszą się do statków.

Nie miałem już nic do roboty na przylądku Kolonna. Ciągnęło mnie do Rzymu. Przed wyjazdem Gordian powiedział do mnie posępnym głosem:

- Falkonie, ten wyzwoleniec jest zbyt niebezpieczny, by stawić mu czoło samotnie. Potrzebna ci jest pomoc. Kiedy tylko Milo urządzi mnie bezpiecznie w Pestum, wyślę go do ciebie, byście mogli połączyć siły...

Podziękowałem mu uprzejmie, obiecując sobie za wszelką cenę unikać tego szczęścia.

Kiedy wróciłem do Krotonu, wpadłem na Lezusa, chociaż nie spodziewałem się, że go jeszcze kiedyś spotkam, a i on wyglądał na zaskoczonego. Dowiedziałem się, że kiedy ja deptałem piasek na plaży przylądku Kolonna, ten bystrzak odbył rejs do Tarentu. Mój szczerzy nowy przyjaciel powiedział, że popytał o Barnabasa w dawnym gospodarstwie rolnym Pertynaksa (obecnie stanowiącym część posiadłości cesarskich).

- Kogo pytałeś?

- A kto mógł coś wiedzieć na jego temat? Matka, upiorna wiedźma. Na Zeusa, Falkonie! - narzekał Lezus. - Ten złośliwy babsztyl przegnał mnie ze swojego domu za pomocą patelni z rozgrzanym tłuszczem!

Cmoknąłem współczująco.

- Lezusie, musisz je zawsze oczarować, zanim dotrą do paleniska. Rzuć przez próg sakiewkę, ale pamiętaj, że zwykła babcinka potrafi na odległość ocenić, czy przypadkiem nie jest wypchana jedynie góorskimi kamykami!

- Nie chciała pieniędzy - ciągnął Lezus, nie zważając na moje słowa - tylko mojej krwi. Ta obrzydliwa baba zaczęła żywot jako niewolnica, ale teraz jest wolna i ma nawet opiekę... przypuszczam, że Barnabas to zorganizował.

- Kochający synek! Jaka ona jest?

- Cuchnie stęchlizną jak pachy tygrysa i nie ma poczucia czasu. Ale jeśli ta stuknięta megiera wie, o czym mówi, to znaczyłoby, że możesz zabrać sobie tę gotówkę wyzwolenca. Jeśli dobrze zrozumiałem, jego matka myśli, że synek nie żyje.

Roześmiałem się.

- Lezusie, założę się, że moja matka myśli to samo o mnie, ale oznacza to tylko tyle, że od tygodnia nie napisałem słowa do domu!

Wypadki na przylądku Kolonna pokazały, że Barnabas jest jak najbardziej żywy.

Powinienem był się sam wybrać do tej rozjuszanej kalabryjskiej staruchy, żeby wyciągnąć od niej prawdę. Życie jest jednak za krótkie; wszystkiego nie zdąży się zrobić.

Pokazałem Lezusowi tabliczkę, którą znaleźliśmy w świątyni Hery.

- Popatrz na tę listę: nony kwietniowe, *Galatea* i *Wenus z Pafos*; cztery dni przed idami, *Flora*; dwa dni przed kalendami majowymi, *Luzytania*, *Konkordia*, *Partenope* i *Gracje*... czy to coś znaczy? Myślę, że to statki. Albo lista dokowania, albo zważywszy na porę roku, zapis rejsów...

Lezus popatrzył na mnie tymi swoimi bystrzymi, czarnymi ślepkami.

- Nie znam żadnej z tych nazw.

- Powiedziałeś, że kiedyś pływałeś do Aleksandrii!

- Tu nie wspomniano Aleksandrii! - odparł Lezus z napiętą twarzą człowieka przyłapanego na niewiedzy w sprawach dotyczących jego

własnej dziedziny. - To było dawno temu - przyznał z zawstydzoną miną.

Wyszczerzyłem zęby w bezlitosnym uśmiechu.

- Dawno temu i po wielu dzbanach wina, gdybyś mnie spytał o zdanie! Aleksandria to tylko przeczucie.

- No dobrze, zostaw mi tę listę, a popytam tu i ówdzie...

Pokręciłem głową i schowałem tabliczkę w zanadrze tuniki.

- Dzięki, zatrzymam ją. Może to zresztą nic ważnego.

Mówi to wiele o szorstkim uroku Lezusa, że chociaż niedobrze mi się robi, kiedy zerkam w głębszą kałużę, to mało brakowało, abym się zgodził popłynąć z nim jego statkiem do Regium. Ponieważ jednak morska choro-
roba może człowieka zabić, zdecydowałem się trzymać lądu.

Podarowałem natomiast Lezusowi moją kozę. Przypuszczałem, że pewnie skończy jako pieczeń na wybrzeżu. Miałem potem wyrzuty sumienia. Są jednak dwie rzeczy, którymi detektyw nie powinien się obarczać: kobiety i zwierzęta.

Nie powiedziałem mu, że to była koza ofiarna. Zabicie takiego stworzenia sprowadza straszliwe nieszczęścia, ale jak wynika z mojego doświadczenia tylko wtedy, kiedy człowiek wie, co to za zwierzę. Bez tego nie ma powodu do zmartwienia, wtedy więc szansa, że wszystko będzie dobrze, jest większa.

Poszła potulnie z Lezusem; taki z niej przyjaciel... jak zresztą większość moich przyjaciół. Powiedziałem jej, że skoro już musi być zjedzona przez marynarza, to nie mogłem jej powierzyć miłszemu człowiekowi.



XXI

Wracałem do cesarza, by zdać mu relację z moich wspaniałych poczynań w Brucjum.

Tamten tydzień w Rzymie po powrocie był katastrofalny. Matka krzywo na mnie patrzyła, że nie przywiozłem jej lukrecji. Lenia siłą wycisnęła ze mnie czynsz za trzy tygodnie. Helena Justyna nie zostawiła żadnej wiadomości. W domu Kamilów dowiedziałem się, że wyjechała na lato do jakiegoś wiejskiego ustronia; byłoby poniżej mojej godności pytać odźwiernego, gdzie to jest. Jej ojciec, człowiek sympatyczny, musiał usłyszeć, że się pojawiłem, bo posłał za mną niewolnika, zapraszając na kolację, ale byłem w tak ponurym nastroju, że nie poszedłem.

Nie dziwota, że obarczony takim przygniatającym bagażem, z pewnym niepokojem wchodziłem do pałacu. Przed spotkaniem z Wespazjanem odnalazłem Anakrytesa, żeby porównać z nim notatki.

Zastałem go na studiowaniu faktur w ciasnej klitce służącej mu za biuro. Udało mi się z niego wyciągnąć, że jego misja odnalezienia Aufidiusza Kryspusa, spiskowca który zbiegł do Neapolu, zakończyła się fiaskiem. Okazało się też, że nie zrobił nic w sprawie Barnabasa; nawet moje wieści, że wyzwoleniec dokonał ataku na kolejnego senatora, nie wywarły na nim wrażenia. Anakrytes był teraz zajęty kontrolą przedsiębiorców, którzy organizowali judejski triumf imperatora, zatem umysł miał zajęty przetargami i dziennymi stawkami; wyglądało na to, że stracił wszelkie

zainteresowanie spiskami.

Złorzecząc mu za to, że jest takim wrednym, zamkniętym w sobie skarabeuszem, powlokłem się na spotkanie z cesarzem, ogarnięty coraz większym poczuciem osamotnienia.

Kiedy skończyłem swoją opowieść, Wespazjan się zamyślił.

- Cezarze, mam nadzieję, że nie przekroczyłem granicy? - zaniepokoiłem się.

- Nie - odparł w końcu. - Nie, wszystko w porządku.

- Czy osadzisz Gordiana w Pestum?

- O tak! To przyzwoite z jego strony, że zadowolony się...

Przeciwstawianie się cesarzowi to wielce efektywny interes! Człowiek przeżył ekscytującą przygodę, spiskując ze swoimi towarzyszami, a potem, w oczekiwaniu na nagrodę, spokojnie sobie pojadał smażoną grasnicę złożonych bogini w ofierze jagniąt. Nie powiedziałem nic, ale całkiem możliwe, że na mojej twarzy widać było, co myślę.

Przeprowadziliśmy krótką, nie zakończoną żadną konkluzją dyskusję dotyczącą pieniędzy, następnie Wespazjan zaczął mi się przyglądać w sposób, który wydał mi się dziwny. Znowu zaczęło mi doskwierać poczucie, że jestem wyłączony z tajnej dworskiej procedury, i kiedy już to moje oburzenie osiągnęło taki poziom, że zapragnąłem uciec na pół roku na Etnę i tam pasać owce, zauważył cierpko:

- Za tym żeglarzem też ciebie powinienem był wysłać!

Chwilę trwało, nim się zorientowałem, że może to być oferta pracy.

- O? - rzuciłem (od niechcenia).

- Hmm! - zareagował na to cesarz (uśmiechając się ponuro). - Anakrytes twierdzi, że zrobił, co mógł, ale musiał oddać mi mój list do Kryspusa z adnotacją „adres nieznany”.

- Och, co za pech! - wykrzyknąłem.

Uczucie, którego teraz doznawałem, było bardziej w moim guście. Być może cesarz zdawał sobie z tego sprawę.

- Domyślam się - oświadczył radośnie - że nie rwiesz się do wyjazdu z Rzymu tuż po powrocie.

Pokręciłem głową i przybrałem poważną minę.

- Mam matkę w podeszłym wieku, panie, która lubi mieć mnie w pobliżu! Poza tym - dodałem, zniżając głos, bo ten punkt był ważny - nie znoszę zadań, w których jakiś partacz zdążył już zdeptać wszystkie ślady.

- Doskonale rozumiem. Jednak Aufidiusz Kryspus jest właścicielem połowy Lacjum - poinformował mnie Wespazjan, nie bez zazdrości w głosie. - Mam powód do zmartwienia, kiedy się nie odzywa.

Lacjum to od dawien dawna kraina rolnicza, bogata w oliwę i wino. Nowy cesarz, który przywoływał swoich przeciwników do porządku, musiał poświęcić baczną uwagę człowiekowi posiadającemu połowę winnic Lacjum.

Uśmiechnąłem się do cesarza. Żaden z nas nie wymówił świętego słowa „dyplomacja”.

- No cóż, panie, wielu ludzi by czmychnęło, gdyby pozdrowił ich pałacowy szpieg!

- Może go pozdrowić ktoś znacznie gorszy. Chcę, żebyś ostrzegł w

moim imieniu Kryspusa. Odnajdź go, Falkonie, i zrób to przed Barnabasem!

- Och, znajdę go. Domyślam się, że w tym celu - zauważyłem, służąc pomocą - potrzebna jest nowa twarz, ktoś, kto w niczym nie przypomina funkcjonariusza publicznego...

- Właśnie! - wtrącił Wespazjan. - List jest u mojego sekretarza. Papirus najwyższej jakości, postaraj się więc nie umoczyć go w winie, kiedy spotkasz Kryspusa.

Zwróciłem jego uwagę na to, że okolice Zatoki Neapolitańskiej są znane z bardzo wysokich cen, nie udało mi się jednak przekonać cesarza, by zwiększył moją dzienną stawkę.

- Możesz przecież podróżować za publiczne pieniądze. - Tylko tyle umiał wymyślić. - Jest taki statek, *Kirke*, który zamierzam zwrócić ojcu Pertynaksa. Z tego, co wiem, jego portem macierzystym były Pompeje, możesz więc popłynąć nim i odprowadzić go staruszkowi.

Rozważałem załatwienie sobie transportu łodem. Jednak dostęp do statku handlowego stwarzał pewne możliwości; przypomniał mi się bowiem pewien porzucony towar, który mógłby podnieść poziom mojego życia, dostarczając użytecznego kamuflażu... pojawia się więc w Kampanii jako handlarz ołowiem.

Na odchodnym wsadziłem głowę do klitki Anakrytesa - z kwaśną miną ciągle biedził się nad stosem nudnych rachunków. Obdarzyłem go szerokim uśmiechem i pomachałem ręką, żeby go podnieść na duchu.

Odpowiedział mi spojrzeniem, które oznaczało, że zrobiłem sobie z niego wroga do końca życia.

Poczułem się lepiej, kiedy zacząłem przygotowania do podróży do Neapolu. Odnalazłem przecież jednego z byłych spiskowców bez szczególnych trudności. Sprawa z tym drugim nie zapowiadała się gorzej. Znajdowanie mężczyzn, podobnie jak uganianie się za kobietami, było treścią mojego życia. Nauczyłem się podchodzić do obydwu zadań w pogodnym nastroju.

Gdybym wiedział o tym drugim człowieku, na którego będę polował w Kampanii, być może mój nastrój byłby odmienny.

A gdybym wiedział o tej kobiecie, którą tam spotkam, może w ogóle bym się tam nie wybrał.





CZEŚĆ 3

SPOKOJNE RODZINNE WAKACJE

ZATOKA NEAPOLITAŃSKA koniec czerwca

*Orgie, romanse, cudzołóstwo, wypadki do
Bajów, przyjęcia na plaży, bankiety, koncerty
muzyczne, rozrywkowe rejsy (...).
Cyceron, Pro Caelio*



XXII

Jeden z owych przypadków przydarzył się nam, kiedy przebywaliśmy Równinę Kapuańską.

W tym czasie mojemu przyjacielowi, Petroniuszowi Longusowi, dowódcy straży awentyńskiej, zdażyło się już przypomnieć, że kiedy ostatni raz wybraliśmy się na wakacje, to przyrzekł sobie, że już nigdy więcej tego nie powtórzy. Działalem, wykorzystując jego rodzinę jako kamuflaż. Jednego z moich licznych siostrzeńców, Lariusza, który właśnie skończył czternaście lat, posłano z nami, bo jak oświadczyła mi jego matka, przechodził właśnie trudny okres. Moja siostra uważała, że chłopiec potrzebuje nadzoru. Miał na to niewielką szansę. Uważałem, że nad morze człowiek przyjeżdża po to, by móc się zachowywać nieodpowiedzialnie.

Rzuciłem tę dowcipną uwagę w obecności Arii Sylwii, małżonki Petroniusza; do morza mieliśmy jeszcze dziesięć mil, a już popełniłem kilka takich błędów.

Okolica stawała się coraz bardziej nadmorska. Zarówno Petroniusz, jak i Sylwia założyli, że kierujemy się do Bajów, najlepszego kurortu nad zatoką, jednakże Baję, jak na moje potrzeby, znajdowały się za daleko na północy. Zastanawiałem się, kiedy będzie bezpiecznie im o tym powiedzieć.

Ominęliśmy już Kapuę. Białe oznaczone urwiska Apeninów ciągnęły się po naszej lewej ręce, natomiast nasiąknięte deszczem wzgórza po prawej zniknęły. Przed nami płaskodenna dolina zlewała się z niskim, szarym, morskim horyzontem. Wypatrywaliśmy Wezuwiusza, który w pobliżu Neapolu odstaje od głównego pasma gór.

Lejce trzymał Petroniusz. Ja robiłem, co do mnie należało, ale powożenie to była jego działka. Po pierwsze, to lubi, po drugie, z tyłu kłębiła się głównie jego liczna rodzina, było więc rzeczą naturalną, że to on

tutaj rządzi. Jechaliśmy wozem ciągniętym przez wołu: troje dorosłych, trzy dziewczynki, wiklinowe kosze, mnóstwo amfor, odzież na półroczną wyprawę, kilka kociąt w najbardziej dynamicznym i wścibskim okresie życia, mój posepny młodzian Lariusz oraz piętnastoletnia sąsiadka, którą Sylwia zabrała do pomocy. Ta nastolatka była gamoniowatą istotą co chwila zanoszącą się płaczem. Zwała się Ollia. Miała marzenie. Tylko jeszcze nie wiedziała jakie.

Ostrzegłem Sylwię, że jakiś przebiegły młody rybak na pewno zbałamuci dziewczynę na plaży. Wzruszyła tylko ramionami. Ona sama była maleńka i nieustraszona. Petroniusz wytrzymywał z nią dzięki swojemu łagodnemu charakterowi, mnie jednak przerażała.

Petroniusz zafundował sobie tę małżonkę pięć lat wcześniej. Była córką miedziownika. Kiedy tylko wróciliśmy do domu z Brytanii, byłem świadkiem, jak Sylwia i jej tatuś przyglądają mu się łakomie niczym dwie stare baby na targu wybierające świeże szproty na uroczystą ucztę. Nie odzywałem się. Nie było sensu go niepokoić. Zawsze podobały mu się filigranowe dziewczęta o płaskich piersiach i pogardliwie brzmiących głosach, które nim dyrygowały.

O dziwo, jak dotąd to małżeństwo było bardzo udane. Ojciec Sylwii ustawił ich finansowo, co pokazywało, jaki jest wdzięczny za to, że jej się pozbył. (Wcześniej Petroniusz, który na swój spokojny sposób jest niezłym łotrem, przez cały czas miał oko na gotówkę miedziownika). Tych dwoje na pewno się kłóciło, ale nigdy publicznie. Kiedy dość szybko, w małych odstępach czasu, sprowadzili na świat Petronillę, Sylwanię i Tadię, nic nie świadczyło o tym, że Petroniusz robi to jedynie po to, by mieć zaszczyt zostać trzykrotnie ojcem i w ten sposób zasłużyć na większe prawa obywatelskie. Uwielbiał swoje dzieci; miałem wrażenie, że nawet swoją żonę darzy ciepłym uczuciem. Sylwia pod wieloma względami bardzo go ceniła, ale zawsze pozostał dla niej tamtą szprotą.

Petroniusz miał bardzo spokojne podejście do ojcostwa; robił swoje, a świergocące córeczki po nim łąziły. Dwie najstarsze wspinały się na jego mocarny grzbiet, potem powoli ześlizgiwały w dół, niszcząc w trakcie zabawy lamówkę jego tuniki. Tadia, najmniejsza, oglądała krajobraz z moich kolan. Ponieważ wiedziała, że nie wolno jej ssać kciuka, przypięła się do mojego. Detektywi to twardzi i bezwzględni brutale, którzy traktują kobiety jak śmiecie, ale Tadia miała zaledwie dwa lata; nie rozumiała jeszcze, że wujek Marek bawiłby się z każdą ładną dziewczyną, po czym porzucił ją, kiedy uśmiechnęłaby się do niego jakaś kolejna...

Pertroniusz zatrzymał wóz.

Tadia miała szeroko otwarte oczy, wylekła i nieszczęśliwą minę.

- Przecież ona chce siusiu, więc dlaczego nic nie mówisz? - zwrócił się do mnie z wyrzutem jej ojciec.

Tadia była znana z umiejętności znoszenia bez skargi nieprzyjemnych sytuacji; właśnie taką kobietę zawsze pragnąłem sobie przygruchać, ale jakoś mi się to nigdy nie udawało.

W tym czasie byliśmy już wszyscy zmęczeni i zaczęliśmy się zastanawiać, czy ta wycieczka to dobry pomysł.

- No dobra, stoimy - oznajmił Petroniusz. (Był woźnicą

zdeteminowanym, nie znoszącym przerw, choć przy trójce berbeci poniżej pięciu lat nie mogło ich brakować).

Nikt się nie ruszył. Zgłosiłem się na ochotnika, żeby ją wysadzić.

Równina Kapuańska nie dysponuje publicznymi udogodnieniami. Jednak nikomu nie mogło przeszkadzać, że dwulatka w kłopotcie podleje zasiewy.

Mój przyjaciel trzymał wóz w miejscu, podczas gdy ja z Tadią zapoznawaliśmy się z pobliskim krajobrazem. Znajdowaliśmy się w najbardziej żyznym regionie Italii, gdzie zdrowe winnice, zadbane ogrody warzywne, gaje powyginanych drzew oliwnych rozciągały się od rzeki Wolturnus do uroczych Gór Laktaryjskich, gdzie pasą się stada po sześćset sztuk owiec. Prawdę mówiąc, równie dobrze mogliśmy się znajdować na pustyni arabskiej Petry. Musieliśmy znaleźć jakiś krzew. Najbliższe otoczenie oferowało jedynie rzadkie krzaczki. Dwuletnia Tadia była kobietą światową, co oznaczało, że odmówi publicznego występu, jeśli gdzieś w okolicy jest jakikolwiek zakątek, z którego ktoś mógłby ją podglądać.

Znalezienie zakamuflowanego miejsca odciągnęło nas tak daleko od drogi, że ledwie ją było stamtąd widać. Okolica była zachwycająco cicha. Świerszcz ćwierkał do nas z łądzki kwitnącego żarnowca, a spod naszych stóp unosiła się odurzająca woń ciepłego, rozgniecionego tymianku. Wszędzie śpiewały ptaki. Chętnie zostałbym tam dłużej i cieszył się urokami przyrody, jednak wiedziałem, że Petroniusz życzy sobie, by rodzina w podróży posuwała się jak najszybciej.

Tadia podlała dokładnie krzak i wyłonił się spod jego osłony.

- Hm! Tadio Longino, popatrz, co za piękny motylek. Popatrzmy sobie na niego... - zaproponowałem. Dziecko oglądało motyla, podczas gdy ja zerkałem nerwowo w kierunku drogi.

Dostrzegłem tam jakieś niepokojące poruszenie. Jacyś ludzie na koniach otoczyli wóz niczym wróble zlatujące się do skórki chleba. Potem zobaczyłem drobniutką wyprostowaną postać Arii Sylwii, najwyraźniej recytującą mowę Katona Starszego do senatu, tę dotyczącą konieczności zniszczenia Kartaginy... Jeźdźcy bezzwłocznie oddalili się galopem.

Wziąłem Tadię na ręce, pobiegłem do drogi, porwałem płaczącego się pod nogami kociaka i wskoczyłem na wóz obok Petroniusza, który natychmiast popędził wołu.

Sylwia siedziała w pełnym napięcia milczeniu, ja starałem się nie okazywać najmniejszych emocji, a Petroniusz powoził. Robił to tak samo jak zawsze, lecz kiedy zauważył przed sobą wąski mostek czy jakieś przepychanki wśród dzieci, stawał się uważny. Lejce trzymał luźno w lewej ręce, wychylonej ponad kolaniem, podczas gdy prawą ręką masował sobie przepoń. Wyglądał, jakby wyczuwał pierwsze delikatne oznaki ataku serca, jednak w rzeczywistości był to jego sposób na odprężenie się.

- O co chodziło? - wymamrotałem.

- Ano... - Zanim odpowiedział, rozciągnął powoli ramiona. - Tylko pół tuzina przeklinających wieśniaków w hełmach szukało jakiegoś idioty, który im nadepnął na odciski. Przeszukiwali nasze rzeczy i grozili, dopóki Sylwia nie powiedziała im, co o nich myśli... - mówił. Słuchanie tego, co

Aria myśli, może być równie miłe jak bzyczenie uprzykrzonej muchy. - Udawałem, że jestem zwyczajnym rzymskim podróżnym, który zatrzymał się przy drodze, żeby pospierać się z żoną... - ciągnął. - Zastanawiałem się, o co ci dwoje mogli się kłócić; znając ich, zapewne o mnie. - Popędzili w stronę Kapui - dodał Petroniusz. - Ten skwaszony, w zielonym płaszczu, który nimi dowodził, powiedział, że i tak nie o mnie im chodziło...

- To o kogo? - spytałem potulnie.

- Jakieś durnego drania o imieniu Falko - warknął mój przyjaciel.



XXIII

Późny czerwiec: kto tylko mógł, wyjechał z Rzymu. Niektórzy do swoich wiejskich posiadłości. Większość z tych, którzy wybrali morze, musiała tam przyjechać dwa dni przed nami. Te tłumy jeszcze bardziej podkreślały moje kłopotliwe położenie; chciałem jak najszybciej znaleźć się w jakimś bezpiecznym miejscu za zamkniętymi drzwiami. Przynajmniej wiedziałem, na czym stoję: Barnabas nadal kręcił się wszędzie w tym okropnym zielonym płaszczu. Był teraz tutaj, w Kampanii... i szukał mnie.

Wokół zatoki leżało mnóstwo miast i wiosek, ale niektóre z nich wykluczyliśmy, inne natomiast odrzuciły nas. Sam Neapol, z letniskami rezydencjami, był zbyt pretensjonalny, żeby nas było na niego stać, Puteoli, będące do czasu rozwoju Ostii trzydzieści lat temu główną przystanią dla Rzymu, wciąż pozostawało pełnym życia, hałaśliwym portem. Mizenum, jako miejsce stacjonowania floty, roilo się od funkcjonariuszy państwowych. Baje, modny kurort z wodami leczniczymi, były bardziej popularne, ale pełno w nich było brudnych zajazdów, w których nie przyjmowano dzieci. Surrentum leżało po obu stronach cudownej rozpadliny, do której można było dotrzeć morzem, albo długą wijącą się drogą. Jeśli ścigał mnie jakiś stuknięty skrytobójca, to Surrentum mogłoby stać się dla mnie niebezpieczną pułapką. Pompeje były zbyt krzykliwe, Herkulanum zbyt sztywne, a kurort z gorącymi wodami w Stabiach roił się od wciągających ze świsem powietrze starszych panów i ich nadętych małżonek. Były jeszcze wioski na stokach Wezuwiusza, jednakże dzieciom obiecano morze.

- Jeśli jeszcze jeden gołodupiec z Kampanii pokręci głową na widok naszych kociąt i nocników - zwierzył mi się Petroniusz groźnie brzmącym szeptem - to chyba stracę cierpliwość i stanę się nieprzyjemny.

- A co powiesz na Oplontis? - zapytałem, starając się przyjąć niewinnie obojętną minę.

Oplontis była małą rybacką wioską w samym centrum okrążającego zatokę wybrzeża, a wszechogarniający zapach smażonej barweny dodawał jej uroku. Chełpiła się elegancką rezydencją, tyle że zamkniętą na głucho. Nie niepokojeni przez nikogo przemytnicy popijali sobie w spokoju wino, a chłopcy z plaży, udając, że naprawiają sieci, gapili się na nas. Miejsce wydawało się odpowiednie. Tanie. Wystarczająco małe, by czuć się w nim bezpiecznie; gdyby oddział zbrojnych przycwałował z Herkulanum, z każdej chaty na plaży od razu wybiegłby tłum ciekawskich. Wyglądało na

to, że Oplontis jest wymarzonym miejscem.

Znaleźliśmy odzianą na czarno, szczerbatą staruszkę, która wynajęła nam dwa nędzne pokoiki na piętrze podupadłej gospody. Zauważyłem, że Petroniusz sprawdza, czy gdyby ktoś groźny pojawił się od frontu, będziemy mogli ewakuować jego rodzinę przez znajdujące się na tyłach stajnie.

Poza nami nie zatrzymał się tam nikt; łatwo zgadnąć dlaczego.

- Jedną noc jakoś przepękamy - przekonywał sam siebie Petroniusz. - Jutro znajdziemy coś lepszego... - Wiedział dobrze, że jak się już rozłożył, to na cały pobyt.

- Trzeba było się zatrzymać w Bajach! - narzekała Sylwia. Nawet jeśli reszta podróżników ledwie zipie ze zmęczenia, żony innych facetów zawsze mają dość energii, by utyskiwać. Lariusz nieustannie pociągał nosem; dotarł do niego jakiś intrygujący zapach. Może morskich wodorostów. A może nie.

- Och, Lariuszu, ściśnij sobie nos klamerką do bielizny! - warknąłem. - Poczekaj, aż poczujesz publiczne latryny w Stabiach i kanalizację w Pompejach!

Był tam mały dziedziniec ze studnią i mizernym pnączem na pergoli. Umyliśmy się z Lariuszem i usiedliśmy na ławce, podczas gdy Sylwia szykowała posłania. Było widać, że ma wielką ochotę pokłócić się z Petroniuszem. Jeden z pokoi miał okno zasłonięte zwierzęcą skórą, co pozwoliło Lariuszowi i mnie posłuchać sobie rodzinnej utarczki; wyrażenie „Nic tylko same kłopoty!” pojawiło się w rozmowie kilkakrotnie; chodziło o mnie.

Petroniuszowa śliczna gołąbeczka poinformowała go, że nazajutrz o świcie zabiorą dzieci do domu. Odpowiedział zbyt cicho, bym go usłyszał. Bo kiedy Petroniusz przeklinał, robił to zaskakująco wulgarnie, za to nadzwyczaj cicho.

Kiedy napięcie zaczęło opadać; Petroniusz zszedł na dół. Wylał sobie na głowę kubel wody, chwilę się wahał, po czym dołączył do nas na ławce; jego potrzeba samotności była dla mnie całkiem oczywista. Wyciągnął burozieloną flachę, pociągnął wprost z szyjki niczym podróżnik, który zajechał dalej, niż zamierzał, i którego spotkało wiele nieprzyjemności.

- Jak tam kwatera? - spytałem, choć znałem odpowiedź.

- Marna. Cztery łóżka i kubel.

- Sylwia wściekła?

- Minie jej. - Lekki, zmęczony uśmiech przemknął mu po twarzy. - Położyliśmy dzieci i Ollię w jednym pokoju. Wy dwaj musicie spać z nami.

Tani nocleg naszej dużej grupy stwarzał problemy organizacyjne: najgorsze dla Sylwii i dla niego. Zaproponowałem, że zabiorę Lariusza na godzinny spacer, na co Petroniusz jedynie mruknął coś z irytacją.

Pociągnął znowu ze swojej butli, nie puszczając jej w obieg. To, że mógł się umyć i posiedzieć w spokoju z butelką, wkrótce tak go rozluźniło, że ruszył do ataku.

- Powinieneś być mnie ostrzec, Falko!

- Słuchaj, znajdę sobie inne miejsce na nocleg...

- Nie. Jeśli ściga cię jakiś bandzior, to chcę cię mieć na oku!

Westchnąłem, ale nie odezwałem się, bo właśnie na dół zeszła jego żona.

Była już spokojniejsza. Czerpała złośliwą satysfakcję z tego, że niezależnie od sytuacji pozostaje osobą kompetentną, w związku z czym zniosła na dół tacę z kubkami. Lariusz dopadł flachy; ja jej nie tykałem. Czekałem na okazję, żeby spróbować słynnego wina z Surrentum i z winnic na stokach Wezuwiusza, choć na pewno nie tego wieczoru.

- Falko, powinieneś być nas ostrzec! - Aria Sylwia oświadczyła gorzkim, oskarżycielskim tonem, jakby rzeczywiście uważała, że Petroniusz jeszcze mi tego nie powiedział.

Westchnąłem.

- Sylwio, mam robotę to wykonania. Chciałbym tkwić dyskretnie w grupie rodzinnej. Jak tylko spotkam człowieka, z którym muszę porozmawiać, natychmiast się zmyję. Petroniusz nie jest wplątany...

Sylwia prychnęła. Do jej głosu wkradło się zdenerwowanie.

- Och! Już ja was znam! Zostawicie mnie samą z dziećmi w tej okropnej wiosce, a sami będziecie robić, co wam się będzie podobało. Nie dowiem się, gdzie jesteście ani co robicie, ani w ogóle, o co w tym wszystkim chodzi. Kim - rzuciła ostro - byli ci ludzie po południu? - Sylwia doskonale odgadywała to, co towarzyszący jej mężczyźni próbowali ukryć.

Musiałem być naprawdę znużony. Wydawało mi się, że się z tym wszystkim nie uporam; typowo wakacyjny nastrój.

- Ten w zielonym to wyzwoleniec żywiący urazę, Barnabas. Nie pytaj, gdzie wypożyczył konnicę. Powiedziano mi, że on już nie żyje...

- Zatem duch, tak? - rzuciła ochryple.

- To tylko kwestia czasu! - Petroniusz obdarzył mnie swoim sardonicznym uśmiechem.

Zdecydowałem się skoncentrować wysiłki na Sylwii. Napełniłem jej kubek winem; miała taki napuszony styl sączenia wina, że miałem ochotę zgrzytać zębami.

- Posłuchaj, wiesz, że pracuję dla Wespazjana. Pewna grupa nie okazała radości, że przywdziewa purpurę. Przekonuję ich, że to kiepski pomysł...

- Przekonujesz? - spytała tonem śledczego.

- Jak się wydaje - odparłem sucho - nowa dyplomacja polega na rozsądnej argumentacji... wspomaganej znacznymi łapówkami.

Byłem zbyt zmęczony, by się spierać, i za bardzo się jej bałem. Sylwia przez chwilę przypominała mi Helenę w jej najgorszym nastroju, jednakże słowne utarczki o byle drobiazgu ze szlachetną panią zawsze były dla mnie intelektualną rozrywką, taką, jaką niektórzy mężczyźni czerpią z gry w strzałki.

- Zarobiłeś już jakieś konkretne pieniądze u Wespazjana? - przyczepił się Petroniusz.

Odpowiedziałbym mu złośliwie, ale ponieważ przybyliśmy tu, żeby miło spędzić czas, powstrzymałem się. W nędznej gospodzie nad Zatoką Neapolitańską nikt ci nie podziękuje za powściągliwość.

- Chciałabym wiedzieć, co tutaj robisz? - włączyła się Sylwia.

- Mój uciekinier znajduje się na statku, który zauważono w tej okolicy...

- Gdzie go zauważono?

- W Oplontis.

- Zatem nasz pobyt w tej obrzydliwej dziurze nie jest wcale przypadkiem! - wyciągnęła oczywisty wniosek.

Staralem się zachowywać bardzo grzecznie.

- Co zrobisz, jak znajdziesz ten statek? - drażyła.

- Popłynę łódką, żeby porozmawiać z człowiekiem na statku...

- Do tego niepotrzebny ci jest mój mąż.

- Rzeczywiście - odparłem, klnąc w duchu. Przecież potrafię wiosłować. Tyle że wyobrażałem sobie, jak Petroniusz odwala całą ciężką robotę, a ja wyskakuję sobie z łódki kiedy trzeba i steruję nią. - Chyba że - zacząłem, zerkając na nią - puścisz go ze mną do Pompejów, żeby pomógł mi wyładować ze statku sztaby, których użyję jako kamuflażu.

- Co to, to nie, Falko! - wybuchnęła Sylwia.

Petroniusz nawet nie próbował się odzywać. Unikałem jego wzroku.

Jego żona rzuciła mi spojrzenie, które mogło zatruć równie skutecznie jak tojad.

- Och, po co w ogóle mnie pytać? Obaj zrobicie, co będziecie chcieli!

Wydawało mi się, że najlepiej będzie zabrać Lariusza na górę, obejrzeć lokum i rozpakować nasze rzeczy.

Nie zajęło nam to dużo czasu. Odnaleźliśmy nasze pokoje w głębi ciemnego korytarza. Wynajmowaliśmy dwie duszne klitki z kruszącymi się ścianami z wiklinowej plecionki. Łóżka miały wstawione listwy tam, gdzie już pozrywały się sznury. Obejrzelśmy z Lariuszem swój siennik w poszukiwaniu robactwa, ale nie było tam zakątka, w którym jakieś stworzonko lubiące wygodę mogłoby się zagnieździć. Mieliśmy za posłanie zgrzebny wór, wyświechtany i sztywny od brudu, wypełniony kilkoma garściami splątanej słomy, która będzie nas uwierać w plecy niczym skalne rumowisko.

Zmieniłem buty na sandały i ruszyłem na dół, z zamiarem zaproponowania, by dzieci zostawić z Ollią i pójść coś zjeść. Lariusz grzebał cichaczem w torbie; kazałem mu iść za sobą. Na parterze zatrzymałem się, gotów wrzasnąć, jeśli ten roztargniony ptaszek zdążył zapomnieć, co miał zrobić.

Petroniusz siedział po drugiej stronie dziedzińca, tam gdzie go zostawiliśmy; z głową wspartą o pergolę, z wyciągniętymi przed siebie długimi nogami i błogim wyrazem twarzy napawał się spokojem wieczoru. Nie znosił kłótni, ale potrafił sprawić, by po nim spływały. Teraz, kiedy już nie powoził, mimo wszystko poczuł się dobrze. Jego brązowe włosy były jeszcze bardziej rozczochrane niż zazwyczaj. Już samo trzymanie w dłoni najwyraźniej opróżnionego kubka sprawiało mu przyjemność. Drugim ramieniem od niechcienia obejmował żonę.

Po pięciu latach znoszenia zagrożeń związanych z małżeństwem tym dwojgu, w prywatnym życiu, udało się zachować więcej spokoju, niż wynikałoby to z ich publicznego wizerunku. Sylwia siedziała przytulona do Petroniusza. Płakała, była już tylko rozczarowaną młodą kobietą ponad miarę zmęczoną. Petroniusz pozwalał jej chlipać na swoim potężnym ramieniu, podczas gdy sam oddawał się marzeniom.

Właśnie gdy napawałem się moją inteligentną analizą małżeństwa, Sylwia otarła łzy, a Petroniusz przygarnął ją do siebie. Znałem go od lat i

widziałem całującego więcej kobiet, niż jego żona mogłaby sobie wyobrazić; teraz zobaczyłem, jak ten stary drań bardzo się stara, i nie było to zwykle cmoknięcie dla utrzymania spokoju. Następnie coś jej powiedział, bardzo cicho, a ona mu odpowiedziała. Potem wstali oboje i objęci, Petroniusz z głową pochyloną ku jej głowie, ruszyli w kierunku drogi.

Poczułem, jak coś skręca mnie wewnątrz, wcale nie z głodu. Pojawił się Lariusz. Powiedziałem mu, że rozmyśliłem się w sprawie kolacji, i zawlokłem go z powrotem.

Jak zauważyłem, jeden z aspektów trudnego okresu mojego siostrzeńca polegał na tym, że gdziekolwiek się go zabrało, ten młody zrzęda zawsze miał minę, jakby żałował, że nie został w domu.



XXIV

Nazajutrz świeciło słońce; przy moim stanie ducha przyjąłem to ze zdziwieniem.

Wyszedłem, żeby się rozejrzeć; na prawo i lewo zatoka skrzyła się w delikatnej porannej mgiele. Na wprost Capri było kompletnie zakryte mgłą, a kiedy zerknąłem przez ramię, Wezuwiusz ledwo majaczył niewyraźnie w oddali. Jednak mimo tak wczesnej pory światło padające od morza zaczynało oślepić, a delikatna, wszechobecna mgiełka zapowiadała upalny, jasny dzień pod błękitnym niebem.

Czułem się fatalnie. Mój siostrzeniec mimo niewygód spał wyśmienicie. Petroniusz chrapał w najlepsze. Jego małżonka, jak odkryłem, też.

- Falko wygląda na znużonego. Musimy mu znaleźć dziewczynę! - świergotała radośnie Sylwia przy śniadaniu, wgrzyzając się w brzoskwinie ostrymi przednimi zębami.

Pomyślałem sobie, że przynajmniej jeszcze nie jesteśmy na tyle długo z dala od domu, żeby zacząć mieć kłopoty żołądkowe i porównywać ich objawy podczas posiłku.

- Daj mu pięć minut w Pompejach, a sam sobie podłapie... - rzucił dowcipnie mój druh.

Przez chwilę myślałem, że mówi o bólu brzucha.

Nie byłem w stanie się skoncentrować na błahych pogaduszkach. Umysł miałem zajęty czymś innym. Oto byłem w Kampanii, w pełni sezonu. Kiedy przyjechaliśmy wczoraj, zobaczyłem wokół roześmiane twarze młodych, kwitnących kobiet. Paradowały sobie beztrąsko owiane ciepłym nadmorskim powietrzem, każda skąpo odziana i tylko szukająca pretekstu, by zrzucić z siebie resztę... No więc byłem tutaj, przystojniak w prawie nowej tunice musztardowego koloru (okazja ze straganu z używaną odzieżą, przystrojona przez moją matkę dwoma rzędami marszczoną lamówki). I gdyby jakaś kobieta przypominająca Afrodytę Praksytelesa, strojna jedynie w wymyślne sandały i uśmiech, wyskoczyła z fontanny i rzuciła mi się na szyję, odtrąciłbym ją i pomaszerował dalej, żeby snuć swoje ponure rozważania w samotności.

Na śniadanie była woda i owoce. Jeśli nie przypominało to tego, do czego się było przyzwyczajonym w domu, to wystarczyło pominąć owoce.

My, mężczyźni, tego samego dnia wymknęliśmy się do Pompejów.

Tuż za miastem, przy ujściu rzeki Sarnus, znajdował się mały port, który obsługiwał również większe ośrodki: Nolę i Nucerię. Wóz zostawiliśmy w porcie; podejście do bramy Morskiej było zbyt strome. Lariusz chciał zostać, żeby poobserwować statki i łodzie, ale nie wyobrażałem sobie, bym mógł stanąć potem oko w oko z siostrą i powiedzieć, że jej pierworodnego brutalnie obudził na nabrzeżu jakiś brzuchaty bosman, więc powlekliśmy go z sobą. Petroniusz i ja weszliśmy przejściem dla pieszych po lewej stronie bramy; dla zwierząt juczych był osobny stok, po którym ostentacyjnie wspinał się Lariusz. Kiedy czekaliśmy na niego u celu, słyszeliśmy, jak mamrocze coś pogardliwie do siebie.

Pompeje miały wszystko: wino, zboże, wełnę, wyroby z metalu, oliwę, atmosferę nachalnego dobrobytu i dziesięć porządnych wież strażniczych na murach tętniącego życiem miasta.

- Oto miejsce, które przetrwa wszystko! - zawołałem. To jedna z tych moich bystrzejszych uwag.

W porządku; dobrze wiem, co się wydarzyło w Pompejach... ale to było osiem lat przed wybuchem Wezuwiusza. Każdy student nauk przyrodniczych, który zauważył, że pobliska góra ma kształt wulkanu, dochodził do wniosku, że jest on nieczynny. Tymczasem pompejańscy bogacze wierzyli w sztukę, Izydę, kampanjskich gladiatorów i gotówkę pod ręką, by kupować sobie zachwycające kobiety; niewielu z tych efekciarzy było zapalonymi czytelnikami dzieł z zakresu nauk przyrodniczych.

W tamtym czasie Pompeje znane były z dwóch wydarzeń: zamieszek w amfiteatrze, kiedy to pompejańczycy i nucerianie starli się z sobą jak bandy łobuzów, w rezultacie czego zginęło sporo ludzi, a potem z trzęsienia ziemi. Kiedy tam się znaleźliśmy, osiem lat po katastrofie, miasto nadal przypominało plac budowy.

Forum ciągle było rumowiskiem, ponieważ mieszkańcy popełnili zasadniczy błąd, pragnąc odbudować miasto w jeszcze wspanialszym kształcie. Jak zwykle, architekci wykorzystali to jako pretekst do zajęcia się mrzonkami i trwonienia honorarium, nieświadomi upływu czasu. Pewien wyzwolenc, który szukał sławy, zrekonstruował świątynię Izydy, a mieszkańcy wsparli odbudowę amfiteatru, na wypadek gdyby znowu mieli ochotę pobić się ze swoimi sąsiadami. Jednakże świątynie Jowisza i Apollina stały otoczone rusztowaniami, zbiory rzeźb tkwiły zmagazynowane w krypcie i człowiekowi trudno było przecisnąć się obok tacek murarzy, żeby minąć targi z żywnością i przeszedłszy pod jednym z łuków triumfalnych, znaleźć się wreszcie w mieście.

Wyglądało na to, że Pompeje to właściwe miejsce, w którym Petroniusz i ja będziemy mieli okazję odpowiednio przeszkolić mojego siostrzeńca. Ponieważ Wenus była patronką miasta, radcy miejscy chcieli, żeby czuła się tutaj jak u siebie. Jej odbudowana świątynia wyrośnie ponad bramę Morską, choć, prawdę mówiąc, jest to tej bogini zupełnie zbyteczne. Modną ozdobą westybulu każdego eleganckiego pompejańskiego domu było malowidło przedstawiające Priapę z nieodłączną erekcją; im

zamożniejsi mieszkańcy, tym większy wizerunek bóstwa płodności witał gości w drzwiach. Przybyszowi niełatwo było odróżnić domy rozpusty od domów prywatnych. (Sądząc po tym, że mieszkańcy miasta słynęli z rozpasania, mogło nie mieć większego znaczenia, jeśli się ktoś pomylił).

Zauważywszy mojego siostrzeńca, który rozglądał się wokół ze szczerze zdumioną miną, prostytutka stojąca przed burdelem wyszczerzyła do niego szerniałe zęby.

- Witaj, mały! Chcesz poznać ładną panienkę?

Rysunek kredą na ścianie tego przybytku, przedstawiający pana płodności, jurnego jak zwykle, demonstrował to, czego oczekuje się od młodego człowieka, choć ta akurat burdelmama nie wyglądała zachęcająco. Jej wypacykowana twarz, o powiekach pokrytych grubą warstwą antymonu, wyglądała odrażająco.

- Tylko się rozglądamy - przeprosiłem ją uprzejmie, kiedy Lariusz umknął pod moje opiekuńcze skrzydła. - Przykro nam, babciu...

Nie wiadomo dlaczego wysuszona starucha obrzuciła nas przekleństwami. Zirykowało to Petroniusza, więc schroniliśmy się w winiarni na otwartym powietrzu.

- Nie licz na to, że sprowadzę cię na złą drogę - mruknąłem do Lariusza. - Twoja mama jest przekonana, że się tobą opiekuję. Popytaj więc o wszystko ojca, kiedy wrócisz do domu.

Mąż mojej siostry Galli był leniwym przewoźnikiem na Tybrze, a jego główną zaletą było to, że nigdy nie było go w domu. Beznadziejny przypadek kobieciarza. Pogodzilibyśmy się z tym wszyscy, gdyby Galla nie miała mu tego za złe, ale ona była niezwykle drobiazgową i miała za złe. Czasami od niej odchodził; jeszcze częściej ona go wyrzucała. Czasem ustępowała „dla dobra dzieci” (ten stary wyświechtany mit); ojciec rodziny zostawał z nią przez miesiąc, jak miała szczęście, po czym znikał z kolejną krótkowzroczną handlarką girlandami, moja siostra rodziła kolejne nieszczęśliwe dziecko i cała ich gromadka była zdana tylko na siebie. Kiedy zaczynały się problemy, powierzano biedactwa mojej opiece.

Lariusz wyglądał ponuro jak zawsze. Nie mogłem zdecydować, czy chodziło o problemy, czy o moją opiekę.

- Rozchmurz się! - nakłaniałem młodzieniaszka. - Jeśli chcesz trwonić swoje skromne zasoby, spytaj Petroniusza, ile się płaci. To człowiek światowy...

- Jestem szczęśliwym małżonkiem! - zaprotestował Petroniusz... choć już po chwili ujawnił mojemu siostrzeńcowi, że z tego, co mu wiadomo, za miedziaka można być nieźle obsłużonym.

- Chciałbym - oświadczył wyniośle Lariusz - żeby ludzie przestali mi kazać się rozchmurzać! - Odmaszerował sztywno i pochylił się nad stojącą na skrzyżowaniu fontanną, żeby nabrać w dłoń wody i skromnie się jej napić.

Jakiś alfons odezwał się do niego i Lariusz popędził z powrotem do nas; obaj z Petroniuszem udawaliśmy, że niczego nie zauważyliśmy.

Pochylny nad kontuarem, z nosem w kubku, uświadomiłem sobie, że mam dziesięciu siostrzeńców, z których posepny Lariusz, syn Galli, był dopiero tym pierwszym, który zwyczajowo, w wieku czternastu lat, zrzucił

chłopięcą tunikę. Ponieważ mój ojciec był nieosiągalny, pełniłem rolę głowy rodziny. Byłem więc tutaj, mieszałem się do poważnej polityki i rozglądałem po wybrzeżu w poszukiwaniu zdrajcy, wymykałem się mordercy, zapomniany przez kobietę, do której rwało się moje serce... a jeszcze obiecałem siostrze, że w którymś momencie tej wyprawy wyjaśnię jej synowi wszystko to na temat prokreacji, czego nie zdążył jeszcze się dowiedzieć od swoich okropnych szkolnych kolegów... Na Petroniuszu Longusie zawsze można polegać w sytuacji kryzysowej; poklepał mnie po ramieniu i zapłacił za nasze wino.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, zerkąłem za siebie, sprawdzając, czy nie śledzi mnie złowrogie widmo w zielonym płaszczu.



XXV

Przybyliśmy tutaj, by się spotkać z pewnym człowiekiem. Jak zwykle w podobnych okolicznościach podejrzewaliśmy, że najpierw da nam popalić, a potem nas orźnie. Skoro był hydraulikiem, sprawy musiały się tak potoczyć.

Poszliśmy na północ, obok świątyni Fortuny Augusta, w stronę wysokiego zbiornika wodnego przy bramie Wezuwijskiej. Pompejańczycy ułożyli praktyczne, wysokie chodniki, ale kiedy się tu pojawiliśmy, sami je wszystkie pozajmowali, więc my, trzej uczciwi przybysze, szliśmy środkiem drogi pośród nieczystości. Kiedy człowiek koncentrował się na omijaniu najświeższych odchodów mułów, trudno mu było podziwiać okolicę, niemniej byliśmy w stanie dostrzec szczyty kratownic i kasztanowców wystających ponad mury ogrodów, ładne, przestronne dwukondygnacyjne domy stały frontem do głównych ulic, choć można było odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z pewnym zastojem. Wiele domów mieszkalnych przerobiono bowiem na sklepy i warsztaty albo wynajmowano po kawałku na mieszkania nad sklepami.

Do trzęsienia ziemi wodę sprowadzano akweduktem biegnącym z Serinum do Neapolu. Było to wspaniałe dzieło ludzkich rąk z odgałęzieniem dochodzącym aż tutaj, do masywnej wieży na placu, której trzy zewnętrzne ściany ozdobiono ceglanyimi łukami. Stąd wychodziły trzy grube rury, jedna do fontann publicznych, a dwie pozostałe do przedsiębiorstw i domów prywatnych, jednakże trzęsienie ziemi spowodowało pęknięcie zbiornika. Człowiek, którego szukaliśmy, dłużył przy nim bez przekonania. Ubrany był w typową roboczą tunikę z jednym rękawem, miał dwie małe brodawki przy podbródku i niezadowoloną, lekko znudzoną minę człowieka, który wie, że się marnuje, bo nie ma okazji wykorzystać swoich kwalifikacji.

- Dawno się tym zajmujesz? - spytałem, starając się ukryć zdumienie, że zabetonowanie przeciekającego zbiornika może trwać osiem lat.

- Ciągle czekam na zamówienie z rady miasta. - Postawił z łoskotem kosz z narzędziami. - Jeśli kupujecie w Pompejach dom, kopcie w ogrodzie głęboką studnię i módlcie się o deszcz.

Zawieraną właśnie znajomość zawdzięczałem swojemu szwagrowi,

tynkarzowi; jego rekomendacja przyjęła nieśmiertelną formę: „Wystarczy, że wymienisz moje imię”... Na imię miał Miko. Wymieniłem je, z największą ostrożnością.

- Wiem, że to imię nawet na najtwardszych fachowcach, z trzydziestoletnim doświadczeniem, robi takie wrażenie, że mają ochotę utopić się w najbliższej fontannie... - przyznałem - ośmielę się jednak zapytać, pamiętasz go?

- O tak. Pamiętam Mikona! - rzucił hydraulik przez zaciśnięte zęby.

- Domyślam się - zauważył Petroniusz, który znał mojego niezdarnego szwagra i gardził nim jak my wszyscy - że po tamtych zamieszkach i trzęsieniu ziemi pojawienie się Mikona to jak potwierdzenie reguły, że nieszczęścia chodzą trójkami!

Hydraulik, który miał na imię Wentrykul, był cichy i spokojny. Wyglądał na tyle uczciwie, że gdyby powiedział człowiekowi, że koniecznie musi wymienić zbiornik na nowy, mogłaby to być niemal prawda.

- Był dość kłopotliwy - przyznał.

- Horrendum! - powiedziałem i pierwszy raz podczas tej wyprawy zacząłem się uśmiechać. Ublizanie mojemu szwagrowi zawsze poprawia mi humor. - Pewien malarz w Lacjum stracił oko, kiedy jego pędzel odbił się od grudy w partacko kładzionym tynku Mikona. Nie dostał odszkodowania; sędzia powiedział, że jeśli był świadomy, że robi coś po Mikonie, to powinien być przygotowany na nierówności... - Zamilkłem i wszyscy się uśmiechnęliśmy. - Więc jesteś przyjacielem Mikona?

- A kto nie jest? - wymamrotał Wentrykul i znowu wszyscy się rozpromieniliśmy.

Miko jest przekonany, że każdy, kto go spotka, natychmiast go pokocha. W rzeczywistości wszyscy dają się złapać w pułapkę jego niesłychanej wielkoduszności, kiedy im stawia wino (a stawia nieustająco i bez końca; kiedy Miko dopadnie człowieka w tawernie, nie można się wykręcić przez całe godziny).

- Jak - drażnił się ze mną Wentrykul - kochający brat mógł oddać swoją siostrę takiemu Mikonowi?

- Wiktoryna sama się oddała!

Mogłem dodać, że oddawała się każdemu, kto miał na tyle zły gust, żeby ją chcieć, zazwyczaj za świątynią Wenus na Kapitolu, ale to by rzuciło złe światło na resztę rodziny, która sobie na to nie zasłużyła.

Myśl o krewnych wprowadziła mnie w taki kiepski nastrój, że natychmiast zacząłem mówić o tym, czego oczekuję od Wentrykula. Słuchał ze spokojem człowieka, który czeka już osiem lat, aż rada miejska przygotuje specyfikację koniecznych napraw...

- Rzeczywiście mamy takie możliwości. Mogę przyjąć ładunek...

Przeszliśmy z powrotem przez całe Pompeje, żeby znaleźć się w porcie. Hydraulik podążał w milczeniu, jako człowiek, który w wyniku częstych kontaktów z inżynierami nauczył się uprzejmości dla wariatów.

Skupiony na swoim siostrzeńcu zapomniałem sprawdzić, kiedy przyplywa mój statek, jednak kiedy cesarz oznajmia, że statek z Ostii przeniesie się na Sarnus, można założyć, że marynarze wypłyną

natychmiast i po drodze nie zatrzymają się, żeby zagrać w kości o morskie nimfy. Statek nazwany *Kirke* czekał w porcie. Była to jedna z tarenckich galer zbudowanych dla Acjusza Pertynaksa - wielki statek handlowy o prostokątnych żaglach, z ładownią głęboką na dziewięć metrów, z dwoma wielkimi wiosłami sterowymi, po obu stronach wysokiej rufy, która wznosiła się wygięta niczym smukła gęsia szyja. Był dość mocny, by móc przepłynąć Ocean Indyjski i wrócić z takimi wspaniałościami jak kość słoniowa, pieprz, tragakant używany w kosmetyce, kryształy i mieniające się morskie perły. Jednak od czasu swojego dziewiczego rejsu miał cięższe zadania; w ubiegłym roku Pertynaks kazał mu się tłuc wokół wybrzeży Galii. Teraz wyładowany był lodowatym atlantyckim towarem - długimi czworobocznymi sztabami brytańskiego ołowiu. Wentrykul zagwizdał z podziwem, kiedy władowaliśmy się wszyscy na pokład.

- Mówiłem ci, co to takiego - oświadczyłem, kiedy zdumiony oglądał sztaby.

- Mam nadzieję, że nie zginęły z państwowego skarbcza - oznajmił bez ogródek.

- Zostały tylko pominięte - wyjaśniłem.

- Skradzione?

- Nie przeze mnie.

- Jaka jest ich historia?

- Były częścią oszustwa, w sprawie którego prowadziłem dochodzenie. Wiesz, jak to jest. Mogły okazać się użyteczne jako dowód i dlatego złożono je w kącie, podczas gdy ci u góry zastanawiali się, czy wolą mieć proces, czy wszystko zatuszować.

- I jaką podjęli decyzję?

- Żadnej, zainteresowanie sprawą się po prostu rozwiało. A ja odkryłem, że wciąż sobie tam leżą... Nie ma żadnej związanej z nimi dokumentacji i skarbnik ze świątyni Saturna nie zauważy ich braku.

Cóż... prawdopodobnie nie zauważy.

- Zostało w nich jakieś srebro? - spytał Wentrykul i zrobił rozczarowaną minę, kiedy pokręciłem głową.

Petroniusz wpatrywał się w otwartą ładownię wzrokiem człowieka, który z goryczą przypomina sobie, jak wysłano go kiedyś do fortu na pograniczu prowincji leżącej na krańcu świata: w Brytanii, gdziekolwiek by się człowiek zwrócił, zawsze natrafiał na paskudną pogodę... widziałem, jak kuli ramiona, jakby nadal odczuwał tamtą dokuczliwą wilgoć. Nienawidził Brytanii niemal tak samo jak ja. Choć może nie aż tak. Ciągle pamiętał smak słynnych ostryg ze wschodniego wybrzeża i z błyskiem w oku wspominał kobiety o rudzłocistych włosach.

- Czy Wespazjan wie, że zwinąłeś ten towar? - mruknął zaniepokojony Petroniusz. Miał odpowiedzialną posadę i przyzwoitą pensję; jego żona lubiła tę jego pensję niemal tak samo, jak on lubił swoją pracę.

- Transakcja specjalna! - zapewniłem go wesole. Wespazjan lubi szybko zarobić na boku parę denarów.

- Czy poprosiłeś go, żeby się włączył?

- Nie powiedział „nie”.

- Nie powiedział też „tak” Falko, doprowadzasz mnie do rozpacz...

- Petroniuszu, przestań się zamartwiać!

- Nawet statek zwędziłeś!

- Statek - oświadczyłem stanowczo - ma zostać zwrócony temu wyrozumiąlemu bogaczowi, który kupił go dla syna. Kiedy skończę, poinformuję starego matołka, gdzie jest zakotwiczona jego morska ruchomość. Słuchaj, mamy spory ciężar do przeniesienia, lepiej się do tego zabierzmy... Och, bogowie! Gdzie się podział mój młodzian?

Pełen niepokoju wyskoczyłem na pokład i zacząłem przeczesywać wzrokiem port, wypatrując zguby. Akurat w tym momencie ten niewydarzony cymbał pojawił się na nabrzeżu; szedł sobie swoim charakterystycznym sprężystym krokiem i patrzył bezmyślnie na inne statki. Dostrzegłem go... niezbyt daleko od jakiegoś dokera, z pomarszczoną i tak opaloną twarzą, jakby wystawiał ją na słońce przez jakieś dziewięćdziesiąt lat. Siedział na pachołku cumowym i przyglądał się nam.



XXVI

To był dla nas ciężki dzień.

Spędziliśmy przedpołudnie, ładując sztaby na nasz wóz. Wentrykul wynajął warsztat w dzielnicy teatrów, w pobliżu bramy Stabiańskiej, ale podjazd był tam tak stromy, że ruszyliśmy dalej, przez nekropolię, i obłupawszy rogi kilku marmurowym grobowcom, wjechaliśmy do miasta bramą Nuceriańską. Nasz wół, którego nazywaliśmy Neron, bardzo szybko zaczął robić wrażenie chorego. Miał naturę wyrozumiąłą i życzliwą, ale najwyraźniej uznał, że ciągnięcie dużej masy ołowiu zdecydowanie wykracza poza obowiązki zwierzęcia na wakacjach.

Wentrykul niezwłocznie przystąpił do pracy. Chciałem, żeby przerobił sztaby na rury wodociągowe. To oznaczało, że trzeba je przetopić, potem rozwałkować na długie, wąskie pasy. Takie arkusze ołowiowej blachy chłodzono, po czym owijano wokół drewnianych listew, aż dwie krawędzie się złączyły i można je było zespawać roztopionym ołowiem. (Właśnie ten spaw nadaje rurom ów gruszkowaty przekrój, co widać, jeśli się w nie zajrzy od któregoś końca). Wentrykul był gotów zrobić rury o różnych szerokościach, jednak skoncentrowaliśmy się na najbardziej powszechnej średnicy: *auinariae*, mniej więcej na palec i ćwierć... taką najczęściej się instaluje w domach. Rurami do wody niełatwo manipulować: taka odpowiednio długa *auinariae* waży sześćdziesiąt funtów. Musiałem ciągle przypominać Lariuszowi, który miał kłopoty z koncentracją, że boleśnie się o tym przekona, jak upuści sobie taki kawał metalu na stopę.

Kiedy przenieśliśmy już wszystkie sztaby do warsztatu i hydraulik wykonał pierwszą partię rur, odesłaliśmy wóz z powrotem do Oplontis; Wentrykul dorzucił gratis worek kurków i zaworów z brązu, co tylko wskazuje, jaki on miał zysk z tej transakcji. Plan przewidywał, że zabawię się w domokrążcę z próbkami i będę dokonywać sprzedaży od ręki, a gdzie to możliwe, zawierać większe kontrakty na towar, który nasz hydraulik wytworzy w późniejszym terminie. Większą partię chciałem zabrać od razu do Oplontis, co oznaczało, że z ładunkiem może pojechać tylko woźnica i

nikt więcej; powozić miał Petroniusz. Był wystarczająco duży, żeby się obronić, i dobrze rozumiał się z Neronem. Poza tym, choć nigdy nie narzekał, wiedziałem, że ciągnie go tam, bo chciałby uspokoić swoją małżonkę. Czuję się jak prawdziwy dobroczyńca, kiedy go odesłałem.

Zafundowałem hydraulikowi i Lariuszowi kąpiel w łaźniach stabiańskich. Potem, tuż przed powrotem do domu, przeszliśmy z młodzianem przez port, bo chciałem jeszcze zamienić kilka słów z kapitanem *Kirke*. Pokazałem mu tabliczkę, którą przywiozłem z Krotonu, i przedstawiłem swoją teorię, według której ta lista imion i dat dotyczyła statków.

- To możliwe, Falko. Wiem, że *Partenope* i *Wenus z Pafos* przewożą zboże do Ostii...

Kiedy rozmawialiśmy, znowu straciłem z oczu siostrzeńca.

Zostawiłem go rozmarzonego na nabrzeżu. Wydrapane graffiti, przedstawiające dwóch gladiatorów, wskazywało, gdzie się ostatnio zabawiał: w przeciwieństwie do tych niepozornych obrazków, jakimi upstrzono ściany miejskich tawern, bazgroły mojego łobuza charakteryzowała mocna kreska; on naprawdę dobrze rysował. Jednak talent artystyczny nie gwarantuje rozsądku. Pilnowanie Lariusza było jak uczenie porządku kameleona. Statki miały dla niego nieodparty urok; już pomyślałem z przerażeniem, że dostał się na któryś jako pasażer na gapę...

Nagle pojawił się niespodziewanie w zasięgu mojego wzroku; stał i prowadził pogaduszki z tym ogorzałym typkiem wyglądającym, jakby spędził życie w bocianim gnieździe statku, który mi się wcześniej z takim zainteresowaniem przyglądał.

- Lariusz! Ty ptasi mózdzku, gdzieżeś się, na Hadesa, podziewał?! - wrzasnąłem. Jak gdyby nigdy nic otworzył usta, żeby mi odpowiedzieć, ale nie dopuściłem go do słowa. - Przestań mi ciągle znikać, dobrze? Mało, że człowiek musi oglądać się za siebie z obawy przed jakimś maniakałnym zabójcą, to jeszcze trzeba ciągle przeszukiwać horyzont, żeby odnaleźć ciebie!

Być może zamierzał mnie przeprosić, ale obawa o niego tak mnie rozżłościła, że skinąwszy głową zaciekawionemu dokerowi, poprowadziłem siostrzeńca za ucho. Przypomniał mi się Barnabas i znowu oblałem się zimnym potem. Obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem port, jakbym się obawiał, że wyzwoleniec nas obserwuje, ruszyłem szybkim krokiem w stronę tej nory, którą nazywaliśmy domem.

Oplontis było przystankiem na drodze do Herkulanom. Odległość nie była duża, ale taki marsz nie stanowił miłej perspektywy dla kogoś, kto przez cały dzień zajmował się dźwiganiem ołowiu. Pompeje były usytuowane na wzniesieniu (dawnym polu zastygłej lawy, jak przypuszczam, choć wtedy nie mogliśmy się tego domyślić); kiedy w nadchodzącym zmierzchu skręciliśmy na północ, zobaczyliśmy przed sobą rozległą panoramę wybrzeża. Zatrzymaliśmy się.

Był już koniec czerwca. Ciemność nadchodziła momentalnie, a nie stopniowo. Właśnie nastąpiła noc, pochłaniając stromy stożek Wezuwiusza. Wzdłuż pięknego wybrzeża, od Surrentum do Neapolu, gdzie krezusi z Kampanii oraz różne ważne osobistości w ciągu minionych pięćdziesięciu

lat wybudowali sobie nadmorskie wille, rozmigotały się latarnie oświetlające ich wyszukane portyki i piękne kolumnady. O tej porze roku większość była zamieszкана. Całe długie wybrzeże usiane było roztańczonymi żółtymi plamami ognisk rozpalonych na plażach.

- Bardzo malownicze! - zauważył cierpko Lariusz. Zatrzymałem się dla odpoczynku, pozwalając sobie przy okazji na chwilę zachwyty tym widokiem.

- Wujku Marku, to chyba dobra okazja do przeprowadzenia naszej żenującej rozmowy. Lariuszu - przedrzeźniał mnie - dla czego twoja niemądra matka mówi, że sprawiasz kłopoty?

Był o połowę młodszy, za to dwa razy bardziej posepny niż ja, ale kiedy przestawał czuć się nieszczęśliwy, wykazywał poczucie humoru. Bardzo lubiłem mojego siostrzeńca.

- No więc dlaczego? - mruknąłem zirytowany, że przerwano mi chwilę zadumy.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. - W jednej chwili, jaką zajęło mi wygłoszenie tego pomocnego pytania, zdążył się ponownie przemienić w posepnego gamonia.

Podczas kiedy mój siostrzeniec wpatrywał się w krajobraz, ja przyglądałem się jemu.

Pod strzechą rozczochranych włosów, opadających na poważne, brązowe oczy, kryło się inteligentne czoło. Od czasu ostatnich Saturnaliów, kiedy widziałem, jak rzucał orzechami w młodszych braci, urósł na pewno o jakieś trzy palce. Jego ciało wyciągało się tak szybko, że pozostawiało w tyle mózg. Stopy, uszy i te części ciała, o których nagle z powodu nieśmiałości nie chciał rozmawiać, pasowały do kogoś dużo wyższego nawet ode mnie. Kiedy one się powiększały, Lariusz doszedł do przekonania, że wygląda śmiesznie; i szczerze mówiąc, tak właśnie było. Mógł się ostatecznie pięknie rozwinąć i wypełnić... ale nie było to przesądzone. Mój cioteczny dziadek, Skaro, przez całe życie wyglądał jak przechylona amfora z nieproporcjonalnie dużymi uchwytami.

Zważywszy na jego ponurą reakcję, doszedłem do wniosku, że męska rozmowa tego wieczoru nie przyniesie żadnego pożytku. Ruszyliśmy więc w dalszą drogę, jednakże po dziesięciu krokach chłopiec westchnął ciężko i oświadczył:

- Skończmy już z tym wreszcie... obiecuję współpracę.

- O, wielkie dzięki! - ucieszyłem się. Znalazłem się w pułapce. Szukając rozpaczliwie inspiracji, zadałem mu konwencjonalne pytanie: - Jaką ma o tobie opinię twój szkolny nauczyciel?

- Nie najlepszą.

- To dobry znak! - rzuciłem.

Spojrzał niedowierzająco.

- Czym zatem zamartwia się twoja matka?

- Nie powiedziała ci?

- Była gotowa wyrzucić to z siebie, ale ja nie miałem trzech wolnych dni. Sam mi powiedz.

Szliśmy w milczeniu długą chwilę.

- Przyłapała mnie na czytaniu poezji - wyznał w końcu.

- Na bogów! - Wybuchnąłem śmiechem. - Co to było... wulgarne wersy z Katullusa? Mężczyźni o wielkich nochalach, mściwe dziwki na Forum, sprośni kochankowie, pałaszujący sobie wzajemnie intymne części ciała? Wierz mi, z jedzenia koziego sera i bułeczek jest więcej przyjemności i jest to posiłek bardziej pożywny... - kpiłem sobie. Lariusz szedł dalej, powłócząc nogami. - Twoja matka może mieć trochę racji - wymamrotałem życzliwiej. - Jedyłą znaną Galli osobą, która skrobie elegie, jest jej osobliwy braciszek Marek. Zawsze w kłopotach, bez gotówki i zazwyczaj w towarzystwie jakiejś skąpo odzianej tancerki na linie... Ona ma rację, Lariuszu, zapomnij o poezji. Również niecznie, ale o wiele bardziej opłacalnie jest sprzedawać zabarwiony na zielono eliksir miłości albo zostać architektem!

- Albo detektywem? - zadrwił Lariusz.

- Nie, ta profesja rzadko przynosi pieniądze!

Daleko na zatoce zaczęły się kołysać inne światła, kiedy nocni rybacy odkrywali latarnie, żeby zwabić swoje ofiary. O wiele bliżej, niezauważony przez nas wcześniej, pojawił się jakiś statek; musiał przyplłynąć od strony Surrentum, kryjąc się w strefie mroku, trzymał się blisko brzegu, poniżej szczytów, teraz natomiast wyłonił się dumnie pośrodku zatoki. Ledwo go widzieliśmy. Był o wiele mniejszy od *Kirke*, bardzo się różnił od tego wielkiego statku handlowego Pertynaksa. Była to taka zabawka, jaką każdy bogacz mający willę w Bajach trzyma przycumowaną na swojej przystani... jak statek, na którego pokład tak sprytnie zbiegł spiskowiec Kryspus. Zwolniliśmy kroku. Ślizgający się po falach w kompletnej ciszy statek przedstawiał uroczy, odrobinę melancholijny widok. Patrzyliśmy oczarowani, kiedy to smukłe zjawisko przemierzało wody zatoki... niewątpliwie jakiś pulchny młody adwokat, dumny ze swoich senatorskich przodków, zabierał do domu pół tuzina dziewcząt z wyższych sfer, za to bez zasad, z jakiegoś przyjęcia na wybrzeżu w okolicach Pozitanum; jego kosztowna łódź, pozostawiając za sobą srebrzysty ślad, sunęła z gracją w stronę jednej z jego nadmorskich posiadłości...

- Ciekawe, czy to *Izyda Afrykańska*? - wykrzyknął, nie mogąc ukryć podekscytowania, mój siostrzeniec.

- A czym jest niby - spytałem obojętnie - owa *Izyda Afrykańska*?

- Należy do tego Aufidiusza Kryspusa. To nazwa statku, którego szukasz... - powiedział słabym, ale pełnym nadziei głosem.



XXVII

Przyśpieszyliśmy kroku, wzrokiem śledząc statek, jednak zniknął, wtapiając się w ciemność.

- Genialnie! Zawdzięczam to temu twojemu smoluchowi z nabrzeża, jak przypuszczam? - kpiłem. Chłopak milczał. Próbowałem powściągnąć złość. - Lariuszu, trzeba było przekupić go denarem, by nie ostrzegł właściciela, że o niego pytaliśmy. - Szliśmy dalej. Spróbowałem przywrócić między nami pokój. - Przepraszam. Powiedz, że jestem niewdzięcznym, wybuchowym podlecem.

- Jesteś podlecem... To tylko sprawa jego wieku, wyrośnie z tego! - zwrócił się surowym tonem do morza mój siostrzeniec.

Roześmiałem się, mierzwiąc mu czuprynę.

- Życie detektywa - zwierzyłem mu się dwadzieścia kroków później - jest o wiele mniej atrakcyjne, niż sądzisz... to nie tylko efektowne bójki i łatwe kobiety, raczej kiepskie kolacje i obolałe stopy! - Świeże powietrze i ruch dobrze robiły chłopcu, ja natomiast byłem przygnębiony.

- Co zrobimy, jak go znajdziemy, wujku Marku? - zapytał niespodziewanie.

Nie miałem pojęcia, jak to się stało, że znowu byliśmy w przyjacielskich stosunkach.

- Mówisz o statku *Izyda Afrykańska*? Zdecyduję o taktyce, kiedy go sobie ze spokojem obejrzę. Ale ten Kryspus robi wrażenie niezgorszego cwaniaka...

- Co w nim takiego cwaniackiego?

- Ma niezłe pomysły. - Odrobiłem lekcje przed wyjazdem z Rzymu. - Prześwietny Lucjusz Aufidiusz Kryspus jest senatorem z Lacjum. Jest też właścicielem posiadłości w Fregellach, Fundi, Norbie, Formiach, Tarracinie... wszystko to dobre ziemie uprawne w świetnych okolicach... i jeszcze tej ogromnej willi w kurorcie Sinuessa, gdzie może sobie przesiadywać na słoneczku i sprawdzać rachunki. Podczas kariery w służbie publicznej załapywał robotę w samych niewłaściwych prowincjach: takie Norikum, na miłość bogów! Chodziłeś do szkoły; wiesz, gdzie jest Norikum?

- Trzeba dotrzeć do Alp i skrócić w prawo?

- Bardzo możliwe... w każdym razie, kiedy Neron umarł i Rzym został wystawiony na licytację, nikt nie słyszał ani o Norikum, ani o nim. Mimo to Kryspus dostrzega w swoim horoskopie cesarską purpurę. Cwanie byłoby przekonać Fregelle, Fundi, Norbę, Formie i Tarracinę, żeby też to zobaczyły.

- Miejscowy chłopak odnoszący sukces?

- Zgadza się! Zatem niebezpieczny, Lariuszu. Twoja matka nigdy mi nie wybaczy, jeśli pozwolę ci się w to wplątać.

Zamilkł zrażony, ale był zbyt ciekawy, by się dłużej bocyć.

- Wujku Marku, zawsze nazywałeś politykę zabawą głupców...

- Bo nią jest! Znużyło mnie jednak pomaganie nieznośnym kobietom rozwodzić się ze słabowitymi sprzedawcami materiałów piśmiennych, a praca dla sprzedawców była jeszcze gorsza... zawsze chcieli mi płacić najgorszej jakości papirusem, którego człowiek nie użyłby nawet do wypisywania przekleństw. Potem zaproponowano mi, bym poharował dla pałacu. Teraz przynajmniej, jeśli cesarz dotrzyma zobowiązań, może da się coś uskładać.

- Więc to dla pieniędzy? - zdziwił się.

- Pieniądze oznaczają wolność, młodzieńcze.

Gdyby był mniej wrażliwy i umiał radzić sobie z kobietami, mógłby być niezłym detektywem; jego dociekliwość wytrąciłaby z równowagi największego spryciarza. (Poza tym jego wielkie stopy o wiele lepiej od moich nadawały się na dłuższe wędrówki, jak ta do Oplontis; dokuczał mi

obolały paluch).

- A po co tobie pieniądze? - maglował mnie bezlitośnie.

- Na świeże mięso, dopasowane tuniki, na wszystkie książki, które wpadną mi w ręce, nowe łóżko ze wszystkimi czterema nogami tej samej długości, taki zapas falerneńskiego, żeby starczyło nam z Petroniuszem na żłobanie do końca życia...

- Na kobietę? - przerwał moją radosną wyliczankę.

- Och, raczej nie! Mówiliśmy o wolności, prawda?

W jego milczeniu wyczuwałem pewien wyrzut. W końcu wymamrotał:

- Wujku Marku, nie wierzysz w miłość?

- Już nie.

- Krążą pogłoski, że ostatnio się zadurzyłeś.

- Dama, o którą chodzi, porzuciła mnie. W związku z brakiem u mnie forsy.

- O - powiedział. - Właśnie! Jaka ona była? - Nawet nie łypał na mnie złośliwie; był naprawdę zaciekawiony.

- Cudowna. Nie zmuszaj mnie, żebym sobie przypominał. W tej chwili - zauważyłem, czując się starzej, niż wskazywałoby na to moje trzydzieści lat - zadowoliliby mnie miedziana miska wypełniona gorącą wodą, w której mógłbym pomoczyć moje obolałe stopy!

Szliśmy dalej.

- Czy ta pani... - nie rezygnował Lariusz.

- Chłopcze, chciałbym udawać, że mógłbym dla niej zzuć buty i dalej maszerować boso po rozpalonych węglach. Szczerze mówiąc, przestaję być romantyczny, kiedy mam na paluchu wielki pęcherz!

- Była dla ciebie ważna? - zadał z uporem ostatnie już, jak miałem nadzieję, pytanie.

- Nie bardzo - odparłem. (Dla zasady).

- Zatem nie taka - Lariusz nie dawał za wygraną - „która samym istnieniem daje twojemu życiu powód do trwania”... Z Katullusa - dodał, jakbym mógł tego nie wiedzieć.

Jasne, że wiedziałem; sam miałem kiedyś czternaście lat i głowę wypełnioną marzeniami o erotycznych podbojach oraz przygnębiającą poezją.

- Nie - odpowiedziałem. - Ale mogła być... i dla twojej informacji, to akurat jest z Falkona!

Lariusz wyszeptał tylko, że współczuje mi z powodu obolałego palucha.



XXVIII

Kiedy zbliżyliśmy się do gospody w Oplontis, na ciemnej plaży spostrzegłem dwie czające się postaci.

Nie powiedziałem nic Lariuszowi, poprowadziłem go tylko okrężną drogą przez stajnie. Natknęliśmy się tam na Petroniusza, który układał do snu wołu. Biedny Neron przysypiał na stojąco; po przewiezieniu mojego ołowiu był zbyt zmęczony, by zgiąć szyję do żłobu, więc Petroniusz Longus, ten twardziel ze straży awentyńskiej, wsuwał garście siana w

wielki pysk zwierzęcia, zachęcając je czule do jedzenia.

- Jeszcze troszkę, skarbie... - słyszeliśmy jego łagodny głos, jakby przemawiał do niesfornego dziecka, karmiąc je rosółkiem. Lariusz zachichotał; Petroniusz ani trochę się nie speszył. - Chcę go zabrać do domu w dobrej kondycji!

Wyjaśniłem siostrzeńcowi, że Petroniusz i jego brat (który był niestrudzonym przedsiębiorcą) razem z trzema innymi krewnymi utworzyli spółkę mającą na celu kupno tego wołu; zawsze dochodziło do niesnasek, kiedy Petroniusz zjawiał się u swoich kuzynów na wsi, żeby pożyczyć tę swoją potencjalną inwestycję.

- To oni się nim podzielią? - zainteresował się Lariusz.

- Och, tamci czterej mówią, że na każdego z nich przypadnie noga, a ja dostanę jego jaja - odparł poważnym głosem mój przyjaciel; uosobienie wielkowiejskiej niewinności. Wcisnął zwierzęciu do pyska ostatnią porcję siana i dał sobie spokój.

Lariusz, który był bystry, ale jeszcze nie dość bystry, przykucnął, żeby sprawdzić, co przypadnie w udziale Petroniuszowi, po czym zerwał się z okrzykiem:

- To wół! Wykastrowany, nie ma...

Zauważywszy nasze miny, umilkł, kiedy powoli dowcip zaczął do niego docierać.

- Tak czy owak - powiedziałem - ten wół ma już na pewno ze cztery lata. Co za wariat nazwał go Neronem jeszcze za życia cesarza?

- Ja go tak nazwałem - odparł z powagą Petroniusz - kiedy go brałem w ubiegłym tygodniu. Inni nazywają go Kropa. Poza tym, że ma kędzierzawą grzywkę i obwisłe policzki, ten, który przycinał mu wyposażenie, spaprał robotę i dlatego to zwierzę dzieli z naszym wspaniałym, nieżyjącym cesarzem niewybredną lubieżność... byczki, jałówki, furtka z żelazną kratą, głupek skoczy na wszystko...

Petroniusz Longus miał zdecydowane poglądy na temat rządzących; próby utrzymywania porządku wśród obywateli, którzy wiedzieli, że rządy sprawuje szalony grajek na lirze, wywołały u niego rozgoryczenie, choć muszę przyznać, że był to jedyny tak otwarty gest polityczny, jaki w ogóle u niego widziałem.

Neron, któremu z pyska spływała strużka śliny i który wyglądał na niezdolnego, by skoczyć na cokolwiek, przymknął bure powieki i oparł się o przegrodę; potem zmienił zdanie i ruszył, łypiąc czule ku swojemu dobroczyńcy. Petroniusz odskoczył i wszyscy trzej rzuciliśmy się do wyjścia, zatraskując wrota i próbując zachować obojętny wyraz twarzy.

- Jedna nowa informacja - powiedziałem do Petroniusza. - Nasz statek nosi nazwę *Izyda Afrykańska*... Lariusz wykazał się inicjatywą.

- Inteligentny chłopak! - pochwalił mojego siostrzeńca Petroniusz i uszczypnął go w policzek (wiedząc, że Lariusz tego nie znosi). - I ja mam coś dla ciebie, Falko. Zatrzymałem się w jednej z tych położonych wyżej wiosek...

- Po co? - przerwał mu Lariusz.

- Nie bądź ciekawski. Żeby nazrywać kwiatków. Spytałem jednego z miejscowych, kto tutaj w okolicy jest ważny. Przypominasz sobie tamtego

sędziwego ekskonsula, którym się zajmowaliśmy w związku ze spiskiem Pertynaksa?

- Kapreniusz Marcel? Jego ojciec? Ten schorowany?

Osobiście Marcela nie poznałem, ale dobrze go pamiętałem: jeden z najstarszych rzymskich senatorów, z siedmioma konsulami w swoim wspaniałym drzewie genealogicznym. Posiadał wielką fortunę i żadnego spadkobiercy, dopóki nie wpadł mu w oko Pertynaks, którego uczynił swoim przybranym synem. (Albo był bardzo krótkowzroczny, albo pochodzenie od konsulów nie gwarantowało senatorowi przenikliwości).

- Widziałem staruszkę w Setii - wspominał Petroniusz. - Dobra winna kraina! A on był bogaty jak Krassus. Ma winnice w całej Kampanii... jedną na stoku Wezuwiusza.

- Oficjalnie oczyszczono Marcela z podejrzeń o udział w spisku - zacząłem. Mimo że był właścicielem magazynu, w którym spiskowcy trzymali srebro, jego samego w znacznej mierze chroniło dobre pochodzenie oraz potężna fortuna; przeprowadziliśmy rutynowe śledztwo i wycofaliśmy się z szacunkiem. - Jest rzekomo zbyt chory, by się zajmować polityką... w takim razie go tutaj nie ma. Gdyby to była prawda, nie byłby w stanie podróżować. Natomiast jego posiadłość warto byłoby odwiedzić... - stwierdziłem.

Przyszło mi do głowy, że ta *villa rustica* mogła być schronieniem dla Barnabasa. Posiadłość na stoku Wezuwiusza, której chory właściciel przebywał gdzie indziej, byłaby wręcz idealną kryjówką. Byłem pewien, że Petroniusz myśli tak samo, choć z typową dla siebie ostrożnością milczał.

Zmieniając temat, wspomniałem te dwie tajemnicze postaci, które wcześniej zauważyłem na plaży. Kazałem Lariuszowi iść za nami, uzbroiliśmy się z Petroniuszem w latarnię i pomaszerowaliśmy, by rzecz sprawdzić.

Ciągle tam tkwili. Jeśli się na kogoś czaili, robili to zupełnie nieprofesjonalnie; dobiegł nas szmer ukradkowo prowadzonej rozmowy. Kiedy usłyszeli nasze kroki, mniejszy cień oderwał się i z piskiem pobiegł do gospody. Zmarszczyłem nos, czując ostry zapach posledniej wody różanej, a potem dojrzałem znany mi obfity biust i zaniepokojoną pyzată twarz. Zachichotałem.

- Ollia nie traci czasu! Już znalazła swojego rybaka!

I rzeczywiście. Minął nas, obrzucając pewnym siebie, osobliwym spojrzeniem, typowym dla takich uwodzicieli. Marzenie tępawego dziewczęcia. Miał wypieszczoną fryzurę, krótkie, mocne nogi i muskularne opalone ramiona, jakby stworzone do tego, by mógł, zarzucając sieci, chęłpić się nimi przed dziewczętami z miasta.

- Dobrej nocy! - zawołał Petroniusz stanowczym głosem dowódcy straży, który umie sobie radzić.

Młody poławiacz homarów oddalił się bez słowa. Rysy jego twarzy, uwzględniając awentyńskie normy nie wyróżniały się niczym szczególnym i domyślałem się, że jako pomocnik osoby wynajmującej łódzie rybackie jest dość niedbały.

Zostawiliśmy Petroniusza na podwórzu: człowiek biorący życie na serio przed udaniem się na spoczynek obchodził całą posesję, żeby sprawdzić,

czy wszystko jest w porządku.

Lariusz, idąc przede mną do naszej izdebki, odwrócił się i wyszeptał odkrywczo:

- On nie może mieć tutaj dziewczyny, skoro cała jego rodzina jest z nim. To dla kogo w takim razie zrywa kwiaty?

- Dla Arii Sylwi? - zasugerowałem, starając się, by mój głos brzmiał dość obojętnie.

Mój siostrzeniec (który z każdym dniem stawał się coraz bardziej wyrobiony) zerknął na mnie z ukosa, w taki sposób, że przez resztę drogi po schodach dławilem się ze śmiechu.

Sylwia spała. Na tle rozrzuconych w nieładzie włosów jej twarz robiła wrażenie zarumienionej. Oddychała z głębokim zadowoleniem kobiety, którą uraczono winem i kolacją, po czym letnią nocą odprowadzono do domu, a potem jej małżonek, znany ze swojej staranności, ogrzał ją przed snem. Obok łóżka, w słoju po marynowanych rybach, stał duży bukiet dzikich róż.

Jakiś czas później po schodach wchodził Petroniusz, nucąc coś sobie pod nosem.



XXIX

Każdy, kto prowadzi dom, zna to zagrożenie; mężczyzna i chłopiec u drzwi, sprzedający coś, czego się nie chce. Jeśli nie wykażesz się dostateczną stanowczością, to ta para białych nieudaczników coś ci wciśnie, od fałszywych horoskopów, przez krzywe rondle, do używanego rydwanu z kołami ozdobionymi kwiatonami z lipnego srebra i maleńką Meduzą wyrysowaną z boku, który, co wkrótce odkryjesz, miał pierwotnie szkarłatny kolor i musiał zostać całkowicie przeprojektowany, po tym jak rozleciał się na kawałki przy zderzeniu...

Lariusz i ja staliśmy się takim mężczyzną i chłopcem. Nasz ładunek czarnorynkowych elementów wyposażenia domu uprawniał nas do wchodzenia na prywatne posesje. Nikt nie posyłał po straż. Kręciliśmy się po wybrzeżu, wjeżdżając z Neronem na wykładane klinkierem podjazdy, czasami po chwili wracając tą samą drogą; jednak zaskakująco często nasze wizyty trwały dłużej i zabieraliśmy z sobą długą listę zamówień. Mnóstwo eleganckich rezydencji wokół Zatoki Neapolitańskiej wyposażonych zostało w brytańskie rury wodociągowe i większość właścicieli nie nabyła tego towaru w sposób oficjalny, jako były rządowe zasoby. Niektórzy wykorzystali nasze niskie ceny, żeby wymienić sobie całą instalację.

Nie dziwiło mnie to; stawaliśmy przecież przed domami bogaczy, pomiędzy korynckimi kolumnami. Być może ich prapradziadowie wypełnili rodzinne skrzynie, uczciwie się trudząc w swoich gajach oliwnych albo dzięki nagrodom za służbę polityczną (to znaczy łupom), jednak późniejsze pokolenia działały inaczej, na przykład targując się o cenę przy kupnie towarów pochodzących ze szmuglu.

Zarządcy ich majątków dorównywali niegodziwością pracodawcom. Te

nadęte łotry dostawały nową instalację za śmieszne pieniądze (a potem zgarniały sobie premię z rachunków swoich panów) i jeszcze próbowały, przy zapłacie, wciskać nam stare żelazne nity i zabawne macedońskie drobne.

Po kilku dniach uporczywego milczenia Lariusz odnalazł głos i trąkotał, zachwalając towar, jakby jego miejscem urodzenia był kosz pod straganem; co więcej, mogłem na nim całkowicie polegać, jeśli chodzi o liczenie. Wkrótce sprzedaż rur okazała się świetną zabawą. Pogoda była piękna, Neron zachowywał się przyzwoicie, a nam czasami udawało się trafić na jakąś przyjazną kuchnię akurat wtedy, kiedy podawano południowy posiłek.

Wyglądało na to, że łatwiej nam o kukurydziane ciasteczka niż informacje. Odwiedziliśmy już niemal wszystkie wille pomiędzy Bajami i Stabiami. Nawet w tych przyjaznych nie wiedziano nic o Kryspusie i jego łodzi. Zmarnowałem wiele długich godzin, pozwalając, by poskręcani artretyzmem odźwierni wspominali marsze przez Panonię z jakimś podrzędnym legionem, prowadzonym przez syfilitycznego legata, którego później zdegradowano. Tymczasem Lariusz przechadzał się nabrzeżem, szukając *Izydy Afrykańskiej*; w końcu jakiś młodzian z wędką mógł zacząć się obawiać niemoralnych propozycji i wepchnąć go do morza.

Handlowanie ołowiem nie przynosiło oczekiwanych efektów, zabawa w domokrążcę zaczęła mi brzydnąć. To była ta monotonia w zawodzie detektywa: zadawanie rutynowych pytań, które nigdy nie przynoszą rezultatów; przemęczanie się i ciągle dręczące uczucie, że przegapia się coś istotnego. Nie potrafiłem się ani odprężyć, ani cieszyć towarzystwem przyjaciół. Miewałem mdłości. Wszystkie moskity z okolicznych bagien Flegry zdążyły odkryć moją obecność i obrały mnie sobie za specjał w tym sezonie. Tęskniłem za Rzymem. Potrzebowałem nowej kobiety, ale chociaż były na wyciągnięcie ręki, żadna mi się nie podobała.

W obecności Lariusza starałem się okazywać dobry nastrój, choć jego zasadniczo pogodna natura wystawiona była na ciężką próbę. Któregoś dnia spadł deszcz. Nawet kiedy się już przejaśniło, wilgoć wciąż nas oblepiała. Neron zaczął mieć humory i tak trudno było nad nim zapanować, że w końcu pozwoliliśmy mu włóczyć się, gdzie zechce.

W ten sposób znaleźliśmy się na jeszcze jednej zakurzonej drodze Kampanii, prowadzącej pomiędzy bujnymi winnicami i warzywnikami. Dorodne głowy kapusty tkwiły prosto w małych zagłębieniach wykopanych wokół nich dla zatrzymania rosy. W oddali widać było pracujących, którzy dźgali czarną glebę motykami o długich styliskach. W pobliżu wygięta w łuk kratownica znaczyła wejście na posiadłość, pod nią kręciło się stado brązowych kur, a wyjątkowo urodziwe wiejskie dziewczę przechodziło górą polnej bramy, ukazując nam przy okazji całe nogi i mnóstwo z tego, co powyżej.

Neron zatrzymał się, żeby pogadać z kurami, podczas gdy Lariusz zagapił się na dziewczynę. Uśmiechnęła się do niego, kiedy podeszła bliżej.

- Czas na wizytę - oświadczył mój siostrzeniec ze śmiertelnie poważną miną.

Panna była za niska, za młoda i za różana jak na mój gust, co nie przeszkadzało, że przedstawiała widok zapierający dech w piersi.

- Taka jest twoja ocena sytuacji, trybunie?

- Zdecydowanie, legacie! - wykrzyknął Lariusz.

Dziewczyna przeszła obok nas; wyglądało na to, że jest przyzwyczajona do podziwu w oczach różnych cwaniaków na wozach.

- Jeśli tam wejdzie - powiedziałem cicho.

Weszła.

Lariusz prosił, żebym ruszył przodem; w jego trzewia wkradł się niepokój, taki, dzięki któremu pobyt z dala od domu sprawia tyle frajdy. Poszedłem więc, żeby zmiękczyć jego przyjaciółeczkę, podczas gdy on się uspokoi. Kiedy przechodziłem pod wejściowym łukiem, blade słońce skryło się za kolejną złowróżbną chmurą.

Coś mi mówiło, że wszelkie gagatki handlujące kołkami do bielizny musiały omijać tę nieruchomość. Była tak zapuszczona, że wyglądała jak wysypisko śmieci i wylęgarnia chorób. Miałem wrażenie, że składa się z samych przybudówek, które sklecono z połamanych drzwi i desek; kiedy szedłem między nimi, czułem nieznośny smród kapusty i koziego moczu. Wszędzie buczały tłuste, zadowolone muchy. Kurniki się rozpadały, obórki tkwiły w głębokim błocie. Trzy powgniatane ule opierały się o trzciniową ściankę; nie pojawiłaby się tutaj żadna szanująca się czysta pszczoła.

Dziewczyna zniknęła. W otoczeniu tego brudu i rupieci zapuszczony wiejski dom jakiegoś nieobecnego właściciela, który zapewne kupił go jako inwestycję i nigdy na oczy nie widział, rozsypywał się stopniowo z braku nadzoru.

Nie doszedłem do domu. Zdrowy rozsądek przeważał: ogromny pies ze sfilcowanym ogonem, przywiązany do rozchybotanego kołka, ujadał wściekle. Ćwieki na jego obroży były wielkie jak indyjskie szmaragdy. Każde ogniwo długiego i grubego łańcucha musiało być bardzo ciężkie, a mimo to psisko miotало tym żelastwem leciutko, jakby to była girlanda z róż, biegając z jednej strony na drugą, najwyraźniej przekonane, że następną jego wyżerką ma być moja skromna osoba. W odpowiedzi na ten hałas zza rogu wyłonił się zarośnięty obwieś z pałką. Ruszył wprost na psa, który tymczasem zdwoił wysiłki, by sięgnąć mojego gardła.

Nie czekając, aż usłyszę, że zwierzę chce się zaprzyjaźnić, wyciągnąłem but z krowiego placka i ruszyłem z powrotem w kierunku drogi. Mężczyzna zostawił psa, rzucił się natomiast za mną. Szybko mnie doganiał, ale ja wypadłem spod łuku, wrzeszcząc do Lariusza, który, jak się okazało, już zdążył zakręcić wozem, by ułatwić nam szybki odwrót. Wskoczyłem na kozioł. Neron zamuczał niespokojnie i ruszył. Lariusz, który zajął pozycję z tyłu wozu, wymachiwał jak szalony cienką ołowianą rurką. Wieśniak mógł bez trudu złapać za jej koniec i załatwić nią Lariusza, ale bardzo szybko zrezygnował z ataku.

- Odrobina szczęścia! - oświadczyłem z uśmiechem, kiedy chłopak będący dumą i radością mojej siostry dołączył do mnie na koźle.

- Przyszło mi do głowy, że być może ona ma męża - rzucił skromnie, chwytając łapczywie powietrze.

- Nie miałem okazji zapytać... Przepraszam!

- Nie szkodzi. Mnie chodziło o ciebie.

- Miły chłopiec, ten mój siostrzeniec! - rzuciłem, tak ogólnie, do otaczającego nas krajobrazu. Choć dziewczątka jak młode kurki karmione kaszą jęczmienną, z rumianymi policzkami i ze słomą we włosach, nigdy nie były w moim typie. Zrobiło mi się smutno, kiedy przypominałem sobie kobiety, które były.

Lariusz westchnął.

- Wujku Marku, znaki chyba nam nie sprzyjają. Może dajmy sobie już dzisiaj spokój?

Rozważyłem tę możliwość i rozejrzałem się wokół, żeby sprawdzić, gdzie jesteśmy.

- Niech лихо porwie tego Kryspusa! Jedźmy pod górę, znajdziemy jakiegoś poczciwego winiarza i upijmy się!

Zawróciłem Nerona z drogi ku wybrzeżu w stronę wznoszącej się nad Pompejami góry. Z tego, co powiedział Petroniusz, wynikało, że o ile nie znajdziemy wcześniej jakiejś winiarni, to natrafimy na ziemie uprawne należące do Kapreniusza Marcela, tego bogatego konsula, który popełnił kiedyś błąd, adoptując Acjusza Pertynaksa.

Zbliżało się południe, wydaje mi się jednak, że już wcześniej doszedłem do wniosku, że willa Marcela nie jest miejscem, gdzie Lariusza i mnie poczęstują darmowym posiłkiem.



XXX

Przy wjeździe do posiadłości Kapreniusza Marcela stała kapliczka poświęcona mojemu staremu druhowi Merkuremu, patronowi podróżników. Posąg boga umieszczono na czworobocznym słupie, wyciętym z zastygłej pompejańskiej lawy. Głowę tej przydrożnej hermy przystrojono wieńcem ze świeżych polnych kwiatów. Każdego ranka przyjeżdżał na osiołku niewolnik z kolejnym wieńcem; znaleźliśmy się na terytorium zamożnego człowieka.

Skonsultowałem sprawę z siostrzeńcem, który wyglądał na zadowolonego, że uniknie złego samopoczucia po przepiciu; zresztą i tak inicjatywę przejął Neron, bez wahania wybierając tę drogę. Były konsul Marcel był bajecznie zamożny; pokonywanie odległości od granicy jego posiadłości do samego domu na zboczu Wezuwiusza dawało gościom dość czasu na przetrwanie zawiści przed złożeniem gospodarzowi wyrazów szacunku. Przechodnie, którzy chcieliby poprosić o kubek wody, zmarliby z odwodnienia, zanimby doszli do drzwi domu.

Toczyliśmy się czas jakiś pomiędzy winnicami, zauważając od czasu do czasu omszałe pomniki postawione kiedyś wyzwolencom i niewolnikom rodziny. Droga rozszerzyła się w bardziej imponujący podjazd dla pojazdów kołowych; Neron wyraził aprobatę, podnosząc ogon i tryskając raz za razem fontannami płynnego nawozu. Minęliśmy gaj oliwny, gdzie pośród obsypanych kwieciami drzew spacerowały gęsi, a potem aleją cyprysów posuwaliśmy się wzdłuż ocienionych terenów jeździeckich; posągi dwóch smutnych górskich nimf, pośród nadszarpniętych zębem

czasu kamiennych draperii, strzegły rzędu ukształtowanych z roślin pawii, które spoglądały tęsknie na tarasowo położony ogród.

Tutaj, w dolnej części zbocza, gdzie klimat był najprzyjemniejszy, stało m wraz z zespołem budynków gospodarczych, który sięgał zapewne dwudziestu pokoleń wstecz; przylegała do niego wspaniała, znacznie nowsza rezydencja, zbudowana w eleganckim, charakterystycznym dla Kampanii stylu.

- Niezgorzej! - prychnął mój siostrzeniec.

- Tak, gustowna parcelka! Zostań tutaj, ja się rozejrzę. Zagwiźdź, kiedy kogoś zauważysz.

Przybyliśmy w czasie południowej sjesty. Mrugnąłem do Lariusza, zadowolony, że mam szansę powęszyć. Skradałem się cicho, jako że konsul Kapreniusz Marcel był kiedyś najwyższym urzędnikiem w Rzymie i należało przypuszczać, że po ciężkim zmartwieniu, jakim była polityczna hańba jego syna, może być przewrażliwiony.

Założyłem, że ten wielki dom będzie zamknięty, udałem się więc najpierw w kierunku starszych domostw. Wszedłem na dziedziniec. Otaczające go budynki wzniesiono ze starego szorstkiego kamienia; białe gołębie spały w promieniach słońca na dachach z czerwonej dachówki, które też świetnie znosiły stulecia, choć łagodnie się zapadły na podtrzymujących je listwach. Po lewej stronie znajdowały się izby mieszkalne, teraz zupełnie ciche. Wszystko wokół było zadbane i wyglądało kwitnąco, więc przynajmniej jeden zarządzający miał za sobą lekturę dwunastu ksiąg Kolumelli *De re rustica*.

Przez otwarte drzwi wszedłem do budynku po drugiej stronie. Krótki korytarz prowadził do niewielkich pomieszczeń, kiedyś będących częścią starego domu, ale obecnie pełniących rolę magazynu. Trafiłem na dziedziniec wewnętrzny, gdzie stały zgniatarki do oliwek i wyłaczarki oleju; były dokładnie wyczyszczone, zachowały tylko delikatny, charakterystyczny zapach. Spoglądając ponad dolną połowę dwuczęściowych drzwi na końcu korytarza, zobaczyłem wielką stodołę z polepą do omłotów; chudy, cętkowany kot ocierał się o worek z ziarnem. Gdzieś zaryczał osioł; skądś dochodził do mnie cichy odgłos pracujących żaren. Odwróciłem się.

Po unoszącej się w powietrzu woni zdążyłem się zorientować, że nie zbadane przeze mnie pomieszczenia kryją kadzie z winem... w dużych ilościach. W korytarzu, częściowo zagradzając mi przejście, leżało dwadzieścia amfor gotowych do transportu; na progu zobaczyłem plamy w głębokim śliwkowym kolorze. Pośrodku zewnętrznego pomieszczenia znajdowały się prasy, czekające na zbiory nowego sezonu; w drugim, większym, były zapewne kadzie. Usłyszałem jakiś ruch, więc skoro już naruszałem czyjś azyl, do kolejnych drzwi zapukałem, by zrobić dobre wrażenie.

Moim oczom ukazał się typowy sympatyczny obrazek przedstawiający wiadome baryłki i poczułem unoszącą się w powietrzu woń alkoholu. W grubych ścianach nie było okien, więc to mroczne pomieszczenie zachowało niską, równą temperaturę. Na nieheblowanym drewnianym stole, pośród garnuszków i kieliszczków do próbowania trunku, stał

podstawek, a na nim dopalał się szerniały ogarek. Urządzenia, które wyglądem pasowały do lazaretu, wisiały na hakach wbitych w ściany. Bardzo wysoki mężczyzna w starszym wieku za pomocą lejka napełniał domową butelkę winem z ubiegłego sezonu.

- To ci dopiero rozkosz. Winiarz uszczupła specjalną rezerwę gospodarza i jest z siebie zadowolony! - wyszeptałem.

Milcząc, pozwolił, by strużka z gąsiora nadal spływała powoli do butli. Oparłem się spokojnie o drzwi, z nadzieją, że zostanę poczęstowany.

Butelka nagle się wypełniła. Odłożył lejek, postawił prosto gąsior i wetknął w szyjkę czop, potem się wyprostował i uśmiechnął do mnie.

W kwiecie wieku musiał być jednym z najwyższych ludzi w Kampanii. Czas zgiął mu grzbiet i okropnie wyniszczył. Jego pomarszczona skóra była blada i przezroczysta, nosił tunikę z długimi rękawami, jakby zawsze było mu zimno, choć akurat w tej chwili, przy pracy, rękawy miał podwinięte. Czy miał przystojną twarz, nie było zapewne nigdy istotne, jako że i tak jej rysy przytłaczał potężny, sterczący nos. Żaloszny widok; z pochylni tego ogromnego nosa mógłby spuścić na wodę piracki trójrzędowiec.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziałem grzecznie.

- Kogo szukasz? - zapytał uprzejmie.

Cofnąłem się, przepuszczając przodem jego nos, za którym obaj wyszliśmy na dwór.

- To zależy. A kto jest na miejscu?

Jego spojrzenie nabrało ostrości.

- Sprawy związane z uprawami?

- Z rodziną - wyjaśniłem. Przeszliśmy już prawie całe podwórze. - Czy konsul jest w Setii? Ma tu może jakiegoś swojego przedstawiciela?

Mężczyzna stanął jak wryty, jakby nagle poczuł ostry ból.

- Chcesz się zobaczyć z konsulem?

- No cóż, chciałbym...

- Chcesz czy nie? - warknął.

Na Jowisza; konsul był tutaj! (Ostatnia rzecz, jakiej bym się spodziewał, to mój zwykły pech).

Mężczyzna zakołysał się lekko, z wyraźnym bólem zbierając siły.

- Podaj mi ramię! - rozkazał władczy tonem. - I chodź ze mną!

Trudno się było wycofać. Widziałem czekającego na wozie Lariusza, ale winiarz uczeplił się mocno mojego ramienia. Uwolniłem go od butli z winem, podczas gdy on człapał chwiejnym krokiem.

Mogłem zapomnieć o smakowaniu jego ognistego wezuwiańskiego trunku, pozostało tylko dyskretnie go przepytac, a potem zmykać, nim ktokolwiek się dowie, że w ogóle tam byłem...

Kiedy skręciliśmy za róg, by znaleźć się od frontu głównego budynku, zobaczyłem, że to potężna piętrowa willa z centralnie usytuowaną nadbudówką do podziwiania widoków. Ten dom z całą pewnością nie był opustoszały! W oknach na piętrze wietrzyła się w słońcu pościel, w głębokim cieniu pomiędzy kolumnami stały czteroboczne donice z roślinami, wciąż ociekającymi wodą, jakby je przed chwilą podlano. Z obu stron okazałego wejścia ciągnęły się niezwykle długie skrzydła; za tą

imponującą budowlą unosiła się w niebo strużka dymu, prawdopodobnie z pieca w łaźni. Bliższe skrzydło miało ogród na dachu; wykręcając szyję, dostrzegłem tam ukształtowane w wachlarze drzewa brzoskwiniowe i wijące się na balustradzie egzotyczne kwiaty. Inaczej niż w zwróconych ku wnętrzu miejskich domach, tutaj portyki o pięknych proporcjach dawały najlepszy w całej Italii widok, wychodząc wprost na zatokę.

Pociągnąłem za obręcz umieszczoną w spiżowym pysku grzywiastej lwiej głowy, żeby mój towarzysz mógł wejść do środka tym głównym wejściem. Przystanął w przestronnym atrium, zbierając siły. Nad prostokątnym basenem z marmurowym obrzeżem i posągami tańczącej postaci pozostawiono otwór w dachu. Panowała tu atmosfera wspaniałych tradycji. Po prawej stronie zobaczyłem skarbczyk. Po lewej niewielki ołtarzyk poświęcony larom i penatom, z bukiecikiem niebieskich i białych kwiatów.

- Powiedz mi, jak się nazywasz!

- Dydiusz Falko - odparłem. Pojawiło się kilku niewolników, ale trzymali się z dala, kiedy zauważyli, że rozmawiamy. Pod wpływem nagłego przekonania dodałem z uśmiechem: - A ty, panie, jesteś zapewne Kapreniuszem Marcelem!

Gość był zwyczajnym starym złościkiem w wełnianej tunice; mogłem się pomylić. Ponieważ jednak nie zaprzeczał, musiałem mieć rację.

Były konsul przyglądał mi się z obu stron cypla swojego nosa. Zastanawiałem się, czy o mnie słyszał; nie było sposobu, by coś odgadnąć z tej surowej twarzy.

- Jestem detektywem działającym na zlecenie cesarza...

- To żadna rekomendacja! - Teraz rozpoznałem te wyraźnie wymawiane samogłoski oraz sprawność w mówieniu, cechujące człowieka wykształconego.

- Proszę wybaczyć to najście. Jest jedna czy dwie sprawy, które musimy omówić... - tłumaczyłem się. Jego opór rósł.

Niewolnicy dyskretnie się zbliżyli; za chwilę mieli mnie wyrzucić. Brnąłem więc szybko dalej, zanim Marcel zdąży dać im znak.

- Jeśli to mogłoby pomóc - oświadczyłem pod wpływem nagłego impulsu - twoja synowa, panie, całkiem niedawno była moją klientką...

Słyszałem, że bardzo lubił Helenę, ale rezultat mojego stwierdzenia kompletnie mnie zaskoczył.

- W takim razie - odparł konsul chłodno, wyjmując mi z rąk butelkę - bądź tak dobry i pójdź za mną...

Poruszając się teraz znacznie sprawniej, minął lararium, gdzie radosne bóstwa domowe celowały obutymi w brąz stopami w wazon z kwiatami, jaki któryś z nabożnych członków rodziny postawił przed nimi. Chwilę później mogłem się już domyślić, kto to był. Weszliśmy do bocznego pokoju. Wychodził na ogród, gdzie nakryto stół do południowego wiejskiego posiłku. Zobaczyłem co najmniej dziesięciu usługujących niewolników z serwetkami przerzuconymi przez ramię, stojących pomiędzy roślinami w donicach. Nie zaproszono mnie jednak do zimnego bufetu. Tego dnia konsul miał gościa, dużo wytworniejszego ode mnie.

Przy cokole z szarego marmuru zobaczyłem stojącą do nas plecami

młodą kobietę. Wstawiała kwiaty do wazonu, a jej szybkie, pewne ruchy dłoni świadczyły o tym, że jeśli ona je ułoży, to tak pozostaną. Przymknąłem oczy, kiedy rozpoznałem delikatne wygięcie jej szyi.

Usłyszała nas. Wyćwiczyłem sobie kiedyś mięśnie twarzy, by nigdy nie pokazywać zaskoczenia, jednakże uśmiech zaczął rozciągać wysuszoną skórę moich ust, zanim jeszcze dama zdążyła się odwrócić.

Helena Justyna. Była mojego wzrostu. Mogłem patrzeć prosto w te zdumione gniewne oczy z kamienną twarzą. Całe szczęście; wystarczyło, że straciłem władzę w nogach.

Od czasu, kiedy widziałem ją ostatnio, jej gładka cera nabrała intensywniejszego odcienia pod wpływem świeżego wiejskiego powietrza, natomiast włosy - głębszej rudej barwy, z czym rzecz tak zwyczajna jak wiejskie powietrze nie miała nic wspólnego. Dzisiaj te włosy przewiązane były wstążką, w uroczym, prostym stylu, co musiało zabrać kilku niewolnicom jakieś półtorej godziny wysiłków i kilkakrotnie powtarzanych prób. Ubrana była na biało. Suknia wyglądała równie świeżo jak wspaniała lilia, która dopiero co otwarła się w porannym słońcu, a obleczona w nią postać przyciągała całą moją uwagę, tak jak bogactwo kwietnego pyłku przyciąga pszczołę.

- Na Junonę i Minerwę! - napadła na konsula. - Co to takiego, miejscowy szczurołap... czy po prostu wędrowny szczur?

Wszystkie kolory w pokoju nagle pojaśniały pod wpływem jej głosu.



XXXI

Wpadłem jak śliwka w kompot. Kiedy uczucia Heleny brały górę, jej twarz miała w sobie więcej światłości i charakteru niż te wszystkie kobiety, których urodę sławiono. Moje serce przyspieszyło gwałtownie i nie miało zamiaru się uspokoić.

- Ten intruz twierdzi, że za niego poręczysz - powiedział Marcel tonem, z którego wynikało, że ma co do tego wątpliwości.

- Och, uczyni to, panie - rzuciłem.

Jej ciemne oczy zmierzyły mnie pogardliwie. Szczęrzyłem zęby z zadowoleniem, gotów byłem położyć się u jej stóp na grzbiecie i wymachiwać kończynami jak pies domagający się pieszczot.

Nie wyglądałem na łakomy kąsek dla córki senatora. Jako domokrażca nosiłem czerwoną roboczą tunikę z jednym rękawem, a przy pasie trzymałem wygniecioną skórzaną torbę z listem Wespazjana do Kryspusa i swój posiłek; dzisiaj Sylwia dała nam jabłka, które wisząc na wysokości krocza, wyglądały zapewne intrygująco. Z każdym poruszeniem składana metalowa miarka i ekierka przywiązane do mojego pasa obijały się o siebie i wydawały kretyńsko brzmiący dźwięk. Mój tors zdobiły świeże czerwone placki oparzenia słonecznego i już nie pamiętałem, kiedy się ostatni raz goliłem.

- Nazywa się Marek Dydiusz Falko. - Wymówiła to ni czym skrzywdzona wdowa demaskująca złodzieja: wdowa, która doskonale potrafiła się sama obronić. - Opowie ci więcej bajek niż Sybilla kumańska.

Nie zatrudniaj go, jeśli nie musisz, a jeśli zatrudnisz, nie ufaj!

Nikt nigdy przedtem nie potraktował mnie tak brutalnie; uśmiechałem się do niej promiennie i bezradnie, chłonąc jej słowa. Konsul roześmiał się z pobłażaniem.

Marcel próbował dosięgnąć wyściełanego poduchami krzesła.

Niewolnicy weszli za nami - dziesięciu czy dwunastu platfusowatych ciołków, wszyscy tak pełni szacunku, że mi się na wymioty zbierało - kiedy on walczył ze słabością, oni jedynie ścieśnili szeregi, a osobą, która do niego podeszła, była Helena. Przyciągnęła krzesło bliżej, przytrzymała je, czekając cierpliwie, by na nie opadł, kiedy będzie mu to odpowiadać.

Cudownie byłoby starzeć się przy Helenie Justynie. Człowiek miałby mnóstwo czasu na pisanie wspomnień, a ona by pilnowała diety i dbała o ciszę podczas popołudniowej drzemki... żałując mi choćby jednego spojrzenia, zabrała mi butelkę z winem i wyniosła ją na zewnątrz.

- Cudowna istota! - wychrypiąłem do starca.

Uśmiechnął się z samozadowoleniem. Bezczelny, w pół nagi rzemieślnik mógł jedynie z daleka podziwiać tę damę o silnej woli; rozumiało się samo przez się, że jej życie i moje nie mogły się nigdy zetknąć.

- Tak uważamy - zgodził się ze mną. Moje słowa sprawiły mu przyjemność. - Znam Helenę Justynę od dziecka. Był to uroczysty dzień dla tej rodziny, kiedy poślubiła mojego syna...

Ponieważ rozwiodła się z Pertynaksem, który i tak już nie żył, trudno mi było coś powiedzieć. Na szczęście Heleną wróciła (strojna w szkarłatne wstążki i roztaczająca słodko-korzenną woń kosztownego pachnidła z wybrzeża malabarskiego...).

- Zatem ten złoczyńca zwie się Falko! - oświadczył konsul. - Detektyw... dobry w swoim zawodzie?

- Bardzo - odparła. Po czym, na okamgnienie, nasze spojrzenia się spotkały.

Czekałem, usiłując się zorientować w sytuacji. Wyczuwałem coś subtelnego w atmosferze i nie były to tylko wschodnie olejki. Szlachetna pani ułożyła się w pewnym oddaleniu, separując się od naszych interesów, jak przystało dobrze wychowanej młodej damie. (Była to kompletna bzdura; Helena Justyna wtrącała się we wszystko, w co jej się tylko udało).

- Sprawy do omówienia? - przypomniał mi Marcel. Przeprosiłem go za to, że nie zjawiłem się w stroju wizytowym, i złożyłem kondolencje w związku ze śmiercią jego przybranego syna. Był na to przygotowany; z jego twarzy nie potrafiłem nic wyczytać.

Tym samym obojętnym tonem oświadczyłem, że zostałem wyznaczony wykonawcą woli cesarskiej odnośnie do majątku Pertynaksa.

- Zniewaga goni krzywdę, panie! Najpierw jakiś zaniedbujący obowiązki strażnik więzienny znajduje twojego syna uduszonego. Potem pięciu kolegów senatorów, którzy jako świadkowie przypieczętowali jego testament swoimi pierścieniami, zostaje usuniętych na bok i agenci Wespazjana przejmują rolę wykonawców... niezłe marnotrawstwo wosku do pieczętowania i trójwłóknowego urzędowego sznurka! - perorowałem.

Wyraz twarzy konsula pozostawał nieodgadniony. Nie próbował się wypierać Pertynaksa.

- Znałeś mojego syna? - rzucił. Ciekawe pytanie: mogło znaczyć cokolwiek.

- Poznałem go - przyznałem ostrożnie. Lepiej nie wspominać, że ten drażliwy młody drań kazał mnie kiedyś ciężko pobić. - To wizyta kurtuazyjna. Statek *Kirke* zostaje ci zwrócony, panie. Zakotwiczony jest teraz na Sarnusie w Pompejach, gotowy do przejęcia.

Morski statek handlowy... biedniejszemu uratowałby życie. Dla bogacza, takiego jak Marcel, powinien to być tylko jeden z floty, o którego istnieniu przypominał mu czasem księgowy. A przecież słysząc moje słowa, natychmiast wykrzyknął:

- Myślałem, że zajęliście go w Ostii!

Zadrzało mi serce, kiedy zorientowałem się, jak świetnie zna stan majątku Pertynaksa. W moim zawodzie czasami najprostsza rozmowa może przynieść użyteczną informację (choć ktoś, kto łatwo się ekscytuje, może też łatwo się przeliczyć i wmówić sobie, że usłyszał coś, czego tam w ogóle nie było...).

Kiedy zobaczył, że się zastanawiam, zapewniłem go spokojnym głosem:

- Sprowadziłem go tutaj dla ciebie, panie.

- Rozumiem. Czy potrzebne mi będą dokumenty dotyczące jego ponownego przejęcia?

- Jeśli dostanę przybory do pisania, natychmiast wydam stosowne zaświadczenie - zapewniłem go.

Skinał głową, a jego sekretarz przyniósł mi papirus oraz atrament.

Użyłem własnego trzcinowego pióra. Jego ludzie przestępowali z nogi na nogę zdumieni, że taki niechluj jak ja potrafi pisać. Był to miły moment. Nawet oczy Heleny rozbliły, kiedy zobaczyła ich niepewne miny.

Podpisałem się zamasyście, potem wsadziłem sygnet w kroplę wosku, który sekretarz niechętnie dla mnie rozpuścił. (Nie miało to wielkiego znaczenia, bo w tym czasie mój sygnet był tak wytarty, że z trudem można było na nim dojrzeć jakąś kalekę z jedną nogą i połową głowy).

- Co jeszcze, Falkonie? - zapytał konsul.

- Próbuję nawiązać kontakt z domownikiem twojego syna, panie, dla którego jest osobny zapis w testamencie. To wyzwoleniec, pochodzący z posiadłości jego biologicznego ojca... niejaki Barnabas. Czy możesz mi w tej sprawie pomóc?

- Barnabas... - powiedział słabym, drżącym głosem.

- Och, przecież znasz Barnabasa! - rzuciła z drugiego końca pokoju Helena.

Milczałem i z zamyśloną miną chowałem pióro w zakamarku mojej torby.

- Jak rozumiem, Acjusz Pertynaks i jego wyzwoleniec byli z sobą bardzo blisko. To właśnie Barnabas odebrał ciało twojego syna i urządził pogrzeb. Mówisz zatem - spytałem, tonem wciąż zupełnie obojętnym - że potem nigdy się nie kontaktował?

- On nie miał nic wspólnego z nami - oświadczył chłodno Marcel.

Znałem zasady: konsulowie są niczym Chaldejczycy, którzy stawiają ci horoskopy, i jak piękne dziewczęta: nigdy nie kłamią.

- Jak mówisz, pochodzi z Kalabrii. Proponuję, byś tam zapytał! - rzucił.

Miałem już wspomnieć o zaginionym żeglarzu, Kryspusie; coś mnie jednak powstrzymało.

- Coś jeszcze, Falconie?

Pokręciłem głową, nie wdając się w dyskusję.

Rozmowa przyniosła więcej pytań niż odpowiedzi. Konfrontacja natomiast nie miałaby sensu, wydawało mi się, że najlepiej będzie, jak się wycofam. Zresztą Kapreniusz Marcel już zdążył wykluczyć mnie ze swojego kręgu. Rozpoczął bowiem żmudną walkę o zebranie swoich długich kości z krzesła. Widać było, że jest takim chorym, który lubi robić dużo zamieszania wokół swojej osoby; po niecałej godzinie w jego towarzystwie zauważyłem, że jego bóle pojawiają się i znikają w dogodnym dla niego momencie.

Podeszła służba. Helena Justyna ruszyła z pomocą; skinąłem głową, na wypadek gdyby łaskawie zechciała to zauważyć, i wyszedłem.

Nim dotarłem do atrium, usłyszałem za sobą dobrze znane, lekkie kroki.

- Mam wiadomość od mojego ojca, Falconie. Odprowadzę cię do drzwi!

Jakoś wcale nie byłem zaskoczony. Pokrzywdzone kobiety to ryzyko mojego zawodu. Nie po raz pierwszy któraś z nich pędziła za mną, by przyspilić mnie w kącie i zmusić do wysłuchania jakiejś okropnej tyrady.

Nie pierwszy też raz skryłem przebiegły uśmiezek, mając nadzieję na darmową rozrywkę.



XXXII

Pomiędzy wielkimi doryckimi kolumnami portyku z białymi schodkami zawieszono dekoracyjne tabliczki i dzwoneczki poruszane wiatrem. Ich drżące dźwięki jedynie wzmogły moje poczucie nierzeczywistości.

Lariusz, który nigdy nie pozwala, by widok wspaniałych rezydencji go onieśmiał, ulokował naszego wołu na miejscu przeznaczonym dla eleganckich powozów Marcela; siedział sobie na koźle, skubiąc pryszcze, podczas gdy Neron, który przyciągnął całą wirującą kohortę gźów, szczypał obrzeże porządnie utrzymanego trawnika.

Za nimi widać było niesamowicie błękitne półkole zatoki. Bliżej gromada ogrodników kosiła trawnik o powierzchni wystarczającej, by mógł na nim ćwiczyć cały legion; wszyscy poderwali głowy, kiedy Neron powitał mnie rykiem. Lariusz obrzucił nas tylko posepnym spojrzeniem.

Staliśmy ze szlachetną panią na szczycie schodów. Dobrze mi znany zapach tłukł moje zmysły równie precyzyjnie jak metalowy młoteczek arkusz brązu. Obawiałem się jakiejś nowej uwagi dotyczącej pochówku jej stryja. Temat ten jednak się nie pojawił, choć cały czas czułem, jak podskórnie kipi gniewem.

- Spędzasz tu wakacje? - zarechotałem.

- Po prostu staram się ciebie unikać! - zapewniła mnie pogodnie.

No i dobrze; skoro taką przyjęła postawę...

- Świetnie! Dzięki za odprowadzenie mnie do mojego wołu...

- Nie bądź taki przewrażliwiony! Przyjechałam pocieszyć teścia.

Nie była ciekawa, co ja tu robię, ale i tak jej powiedziałem.

- Usiłuję wytropić Aufidiusza Kryspusa... na zlecenie cesarza.

- Podoba ci się taka praca?

- Nie.

Przechyliła głowę, marszcząc brwi.

- Nerwowa?

- Nie rozmawiam o pracy - odparłem krótko... ale ponieważ była to Helena, od razu zmieniłem ton: - To beznadziejne. W pałacu nie lubią mnie tak samo jak ja ich. Dostaję tylko sprawy wymagające ciągłego włączenia się...

- Zrezygnujesz?

- Nie - rzuciłem. Ponieważ wiedziała, że wpakowałem się w to ze względu na nią, przynajmniej zmusiłem ją, by odwróciła wzrok. - Słuchaj, zachowasz dyskrecję i nie powiesz Marcelowi o moim zainteresowaniu jego synem?

- Och, doskonale rozumiem! - odparła buntowniczo. - Konsul to słaby starzec, ledwo się porusza...

- Spokojnie, nie zamierzam nękać biednego staruszka... - Zamilkłem. Z domu wyszedł postawny sługa i zwrócił się do Heleny, twierdząc, że przysłał go Marcel i kazał osłonić parasolem przed pałacym słońcem.

Zwróciłem mu chłodno uwagę, że stoimy w cieniu. Niewolnik ani drgnął.

Zacisnąłem opuszczone dłonie w pięści. Facet był duży, ale ciało miał miękkie, więc nosił na nadgarstkach opaski jak gladiator, żeby przekonać samego siebie, jaki to z niego twardziel. Kilka skórzanych pasków ze sprzączkami to za mało, żeby mnie przekonać. Tutaj, w posiadłości konsula, nic mu z mojej strony nie groziło. Jednak gdziekolwiek indziej dobrałbym mu się do skóry i sprzął na kwaśne jabłko.

Moja wytrzymałość sięgnęła kresu.

- Pani, może i mam maniery karalucha, ale niepotrzebna ci ochrona, kiedy ze mną rozmawiasz! - zagrzałem.

Twarz jej stężała.

- Poczekaj tam, proszę! - poleciła osiłkowi.

Zrobił zadzierzystą minę, ale oddalił się poza zasięg naszych głosów.

- Zachowujesz się jak brutal! - obruszyła się, obdarzając mnie spojrzeniem zdolnym wyrzeźbić kameę w kamieniu.

Ugryzłem się w język i zapytałem tylko:

- Czego chce twój ojciec?

- Podziękować ci za posąg.

Wzruszyłem ramionami.

Helena patrzyła na mnie z marsową miną.

- Falkonie, wiem, gdzie kiedyś stał. Powiedz mi, jak go zdobyłeś.

- Bez trudu - rzuciłem lekko. Zaczęła mnie złościć tym wścibianiem nosa gdzie nie trzeba. - To dobra robota, a twój ojciec najbardziej ją doceni.

- On nie potrafił utrzymać córki w ryzach, ale bardzo ją kochał. Człowiek z gustem.

- Spodobała mu się? - zapytałem.

- To ojciec ją zamówił. Dar dla mojego męża... - Skrzyżowała ramiona,

lekko się rumieniać. Osobiście wolałem nie wchodzić w uprzejmości wyświadczone przez rodzinę Kamila Acjuszowi Pertynaksowi, kiedy poślubiał ich młodą córkę. Helena nadal wyglądała na zakłopotaną. Wreszcie dotarło do mnie dlaczego: podejrzewała, że ukradłem tę rzeźbę!

- Przykro mi, że cię rozczaruję. Tak się zdarzyło, że przebywałem w domu twojego byłego małżonka w celach zgodnych z prawem!

Ruszyłem w dół schodów, chcąc jak najszybciej stamtąd uciec. Helena szła za mną. Kiedy dotarliśmy do wozu, szepnęła:

- Po co ci ten wyzwoleniec, Barnabas? Czy rzeczywiście z powodu testamentowego zapisu?

- Nie.

- Zrobił coś złego, Falkonie?

- Prawdopodobnie.

- Coś poważnego?

- Jeśli czymś takim jest morderstwo.

Zagryzła wargę.

- Mam tu popytać?

- Lepiej trzymaj się z dala od tego - poradziłem. Zmusiłem się, żeby na nią spojrzeć. - Pani, bądź ostrożna! Barnabas jest odpowiedzialny za śmierć przynajmniej jednego człowieka i możliwe, że ma w planie więcej. Moją na przykład, pomyślałem, ale nie powiedziałem. Mogłaby się zmartwić. Albo, co gorsza, wcale nie.

Staliśmy teraz w pełnym słońcu, co dało temu wałkoniowi z parasolem pretekst, by podejść. Udając, że się odwracam, zdążyłem powiedzieć:

- Skoro znasz Barnabasa, to muszę koniecznie z tobą porozmawiać...

- Czekaj na mnie w gaju oliwnym - wyszeptała. - Przyjdę po południowym posiłku...

Czułem, jak mnie nękają. Lariusz spoglądał w kierunku morza tak dyskretnie, że aż mnie obrzydzenie brało. Wścibski Neron obwąchiwał mnie bezwstydnie, żeby sprawdzić, co się dzieje, obśliniając przy okazji rękaw mojej tuniki. A ten bęcwał ustawił się obok Heleny, osłaniając ją parasolem - ogromnym, z żółtego jedwabiu, zakończonym falbankami, przypominającym monstrualną meduzę; w cyrku zasłaniałby widok co najmniej sześciu rzędów ludzi.

Helena Justyna stała tu w olśniewająco białej sukni przyozdobionej wstążkami, zwiewna, jaśniejąca, strojna Gracja prosto z nadruku na wazie. Wsiadłem na wóz. Obejrzałem się. Coś podkusiło mnie, żeby oświadczyć:

- A tak przy okazji... wiedziałem, że wcześniej czy później dasz mi kopa, ale sądziłem, że jesteś na tyle dobrze wychowana, żeby mnie o tym uprzedzić!

- Dam ci co?

Dobrze wiedziała co.

- Mogłaś napisać. Nie musiałaś się wysilać na dłuższy wywód. „Dzięki i słydwaj, śmieciu” zupełnie by wystarczyło. Dopisek „żegnaj” nie nadwerżyłby ci nadgarstka!

Helena Justyna wyprostowała się.

- Nie miało to sensu, Falkonie! Kiedy się zdecydowałam, ty już zdążyłeś bez jednego słowa dać nogę do Krotonu!

Spojrzała na mnie ze wzgardą, wyrwała się spod parasola, wbiegła po schodach i wpadła do domu.

Pozwoliłem Lariuszowi powozić. Obawiałem się, że ręce mogą mi się za bardzo trząść.

Wyprowadziła mnie z równowagi. Bardzo chciałem ją zobaczyć, ale teraz wszystko, co wydarzyło się podczas tego spotkania, nie pozwalało mi usiedzieć spokojnie na koźle.

Neron rwał prosto w stronę oliwnego gaju, skwapliwie popisując się świetną znajomością drogi. Lariusz siedział z jedną ręką wspartą na kolanie, nieświadomie naśladując Petroniusza. Spojrzał na mnie z ukosa.

- Wyglądasz, jakbyś oberwał miotłą w ucho.

- Nie było to tak subtelne! - odparłem.

- Wybacz, że pytam - ciągnął Lariusz bezlitośnie. - Ale kto to taki?

- Jaki? Ach, ta osoba we wstążkach? Szlachetna Helena Justyna. Ojciec w senacie, dwaj bracia służą poza granicami. Wyszła raz za męża; raz się rozwiodła. Stosownie wykształcona, twarz znośna, do tego własny majątek wartości ćwierć miliona...

- Wyglądała na bardzo miłą kobietę!

- Nazwała mnie szczurem.

- A tak, domyśliłem się, że jesteście sobie bliscy! - oświadczył mój siostrzeniec z tym swoim szczerym, wyrażanym od niechcienia sarkazmem, który ostatnio znakomicie wyszlifował.



XXXIII

Mój mózg miał ochotę poszaleć, a ja starałem się temu zapobiec. Przez całą drogę do gaju oliwnego milczałem ponuro. Lariusz pogwizdywał wesoło przez zęby.

Zamiast myśleć o Helenie, zająłem się Kapreniuszem Marcelem. Może i nie jest obecnie aktywny politycznie, ale ciągle doskonale orientuje się w sytuacji. Na pewno wiedział wszystko o spisku syna, kiedy Pertynaks żył... i prawdopodobnie go do niego zachęcał. Mogłem się założyć, że wie też, gdzie przebywa Aufidiusz Kryspus.

Zastanawiałem się, czy konsul zaprosił Helenę, by dowiedzieć się od niej, co mówią w kręgach oficjalnych po śmierci jego syna.

Nie miałem już najmniejszych wątpliwości, że ona mnie rzuciła. Nie mogłem w to uwierzyć. Sześć tygodni wcześniej wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Kiedy to sobie przypominałem, zalała mnie fala ciepła, przykuwając do miejsca... I o czym teraz sobie myśli ta bystra młoda kobieta? Zastanawia się, czy skosztować kielbasy z Lukanii, czy raczej tego tłustego owczego sera z Gór Laktaryjskich? Helena miała doskonały apetyt; na pewno spałaszuje i jedno, i drugie.

W gaju oliwnym posililiśmy się z Lariuszem naszymi jabłkami.

Przygotowałem się na długie czekanie, podczas kiedy konsul będzie się grzebał przy trwającym trzy godziny posiłku i splukiwał go winem; panisko napełniło sporą butlę jak dla staruszka i kobiety, która z tego, co zauważyłem, była wstrzemięźliwa, jeśli chodzi o alkohol. Marcel robił

wrażenie człowieka, który wykorzystuje jak może okres rekonwalescencji.

Żeby wypełnić czas, przeprowadziłem kolejną rozmowę z Lariuszem.

Mój siostrzeniec był bardziej uświadomiony niż ja, kiedy miałem czternaście lat. Współczesna edukacja najwyraźniej poszła do przodu; jedyne, czego ja nauczyłem się w szkole, to siedem zasad retoryki, kiepska greka i prosta arytmetyka.

- Udzielę ci kilku wskazówek, jak postępować z kobietami, Lariuszu... - zaryzykowałem. Kobietom byłem oddany, jednakże miałem dość cyniczny stosunek do własnych sukcesów na tym polu.

Ostatecznie doszliśmy do tego, że dzieliłem się z nim różnymi praktycznymi uwagami, kładąc nacisk na moralność. Lariusz miał niepewną minę i robił wrażenie niezbyt przekonanego.

- Znajdziesz sobie dziewczynę! Lub, co bardziej prawdopodobne, dziewczyna znajdzie ciebie - pocieszałem go. Chłopak uważał, że to sprawa beznadziejna, więc spędziłem sporo czasu, starając się przywrócić mu pewność siebie. Był wyrozumiały; wysłuchał mnie cierpliwie. - Proszę tylko, byś był rozsądny - mówiłem. - Jako głowa rodziny naoglądałem się smętnych sierot czekających na owsiankę... Istnieją sposoby, by tego uniknąć; mężnie się powstrzymując w chwilach namiętności albo jedząc czosnek, żeby odrzucać od siebie kobiety. Przynajmniej czosnek jest podobno dla nas zdrowy! Niektórzy przysięgają, że gąbka nasączona octem...

- Po co? - Lariusz wyglądał na zaintrygowanego. Wyjaśniłem. Zrobił minę, jakby brzmiało to dla niego niewiarygodnie (i miał rację, bo której młodej damie chciałoby się zastosować taką procedurę).

- Mój brat Festus powiedział mi kiedyś, że jak mężczyzna zna odpowiednie miejsca i jest przygotowany na koszty, może sobie sprawić pochewki z delikatnej cielejcej skórki, do ochrony delikatnych części ciała narażonych na choroby. Przysięgał, że sam miał taką, chociaż nigdy mi jej nie pokazał. Według niego, chroniła przed niechcianymi przypadkami pojawienia się maleństw z kędziorkami...

- Naprawdę?

- Istnienie małej Marcji jest argumentem przemawiającym przeciwko temu; ale może tego akurat dnia ten jego kaptur z cielejcej skórki oddano do pralni...

Lariusz zarumienił się.

- Jakież inne możliwości?

- Upić się do nieprzytomności. Zamieszkać na pustyni. Znaleźć dziewczynę ze skrupułami, którą często boli głowa...

- Cóż za doświadczeni cwaniacy - rozległ się cięty żeński głosik - gustują w senatorskich córkach! Udzielają darmowych usług, ale w przypadku „maleństw z kędziorkami” taka dama na pewno zna odpowiednią osobę, która wybawi ją z tego kłopotu... a jeśli jest bogata, sama jej zapłaci.

Helena Justyna pewnie trawiła posiłek pod drzewem i nas podsluchiwała. Teraz stała przed nami: wysoka dziewczyna, ostra jak hiszpańska musztarda, bez której pogardy każdy mądry detektyw nauczyłby się żyć. Twarz miała bladą jak muszelka; minę cierpką, taką

samą miała, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, a ona była tak strasznie zgnębiona po rozwodzie.

- Nie trudźcie się wstawaniem, proszę! - rzuciła.

Lariusz i ja unieśliśmy się bez przekonania, po czym opadliśmy z powrotem na kozioł. Helena usiadła na suchej trawie i udało jej się wyglądać na osobę w pełni świadomą swojej pozycji społecznej.

- Kto to taki, Falkonie?

- Syn mojej siostry, Lariusz. Jego matka uważa, że trzeba go trochę rozweselić.

Uśmiechnęła się słodko do mojego siostrzeńca, w taki sposób, w jaki nigdy nie uśmiechała się do mnie.

- Witaj, Lariuszu. - Była bezpośrednia w kontaktach z młodymi ludźmi, co jemu najwyraźniej się podobało. - Ktoś powinien był cię uprzedzić, że twój wuj to hipokryta!

Lariusz podskoczył. Ona obdarzyła mnie irytującym uśmiechem.

- Cóż, Falko oczywiście prowadzi życie pełne niebezpieczeństw. Może się zdarzyć, że pewnego dnia umrze z powodu guza mózgu, kiedy jakaś rozwścieczona kobieta rozwali mu na głowie kamienną donicę...

Teraz Lariusz wyglądał na poważnie zaniepokojonego. Poderwałem głowę, a on postarał się być niewidoczny.

Senatorska córka nie powinna się wtrącać, kiedy ja próbuję spełnić swój obowiązek jako zastępczy ojciec.

- Pani, to nie było miłe! - obruszyłem się. Patrzyłem, jak szarpie trawę, jak dławi ją wściekłość.

- Czyżby? - fuknęła. Przestała znęcać się nad kępą kostrzewy i zaatakowała mnie. - Czy detektywi wywodzą się z jakiegoś barbarzyńskiego plemienia, którego bogowie pozwalają im cudzołożyć bez narażania się na zwyczajne w takich sytuacjach ryzyko? - kipiała. Wstrząśnięty jej językiem, zacząłem coś mówić. - Twoje rady dla tego chłopca - przerwała mi zjadliwym tonem - to kompletna farsa!

- Och, to niesprawiedliwe... - mruknąłem.

- Mówisz od rzeczy, Falkonie! - ciągnęła niezrażona. - Gąbki z octem? Pochewki z cielecej skóry? Mężne powstrzymywanie się? - drwiła.

Zalała mnie fala wspomnień, które miały zenująco fizyczny charakter...

- Heleno Justyno, to, co zaszło między nami, było...

- Wielkim błędem, Falkonie!

- Cóż, było nieco niespodziewane...

- Raz! - zachnęła się. - Na pewno nie za drugim razem.

Prawda.

- Przykro mi... - wykrztusiłem. Spojrzała na mnie, unosząc mocne brwi, w sposób, który doprowadzał mnie do szału. Zmusiłem się, żeby zapytać: - Coś jest nie w porządku?

- Zapomnij, że się w ogóle odzywałam - odparła z goryczą. - Na mnie można polegać!

Żadne słowa nie wydawały mi się dobre, najbezpieczniej było milczeć, jednak w chwili rozterki i tak spróbowałem:

- Myślałem, że zrozumiałaś. To ty możesz polegać na mnie!

- Och, na Junonę, Falkonie... - W typowy dla niej rzeczowy sposób

Helena zmieniła temat. - I co takiego miałeś mi do powiedzenia, ciągnąc mnie aż tutaj?

Oparłem się o poskręcany pień oliwkowego drzewa. Czułem dziwne odurzenie; może z głodu.

- Smakowało ci śniadanko? My z Lariuszem zjedliśmy jabłka. W moim wszystko, co najlepsze, wcześniej wyżał jakiś robal - poskarżyłem się. Spochmurniała, chociaż raczej nie z powodu wyrzutów sumienia, że nie przyniosła nam koszyka z resztkami. Kiedy widzę, jak kobieta dba o mój apetyt, na ogół staję się ustepliwy. - Nie przejmuj się nami... Powiedz mi o Barnabasi!

Atmosfera w jednej chwili przestała być napięta.

- Oczywiście, że go znałam - powiedziała bezzwłocznie Helena. Zdążyła już sobie wszystko przemyśleć. Jej twarz wyrażała zaniepokojenie. Uwielbiała tajemnice. A mnie zawsze było weselej, kiedy miałem ją do pomocy. - O tej porze roku mógłby być tutaj. Często przyjeżdżał latem. Trzymali tu z Gnejuzem w stajniach konie wyścigowe... - mówiła. Nie miało to nic wspólnego z moją osobą, ale zawsze mną wstrząsało, kiedy nazywała swojego podłego byłego męża tym pierwszym imieniem. - Czego ten głupiec się dopuścił, Falkonie? Bo chyba nie mówisz poważnie o morderstwie?

- Nieprzemyślanych działań powodowanych zemstą, według pałacu, ja nazwałbym to inaczej! W żadnym razie nie zbliżaj się do niego, jest zbyt niebezpieczny - powiedziałem. Skinęła głową, co było zaskakująco miłą reakcją. Rzadko udawało mi się wpłynąć na tę panią (co jednak nigdy mnie nie powstrzymało od udzielania jej rad). - Pamiętasz, jaki był? - zapytałem.

- Och, nie znosiłam, kiedy się kręcił po domu. Gardził mną i uważałam, że to ma zły wpływ na nastawienie mojego męża do mnie. Źle wpływał na nasze małżeństwo. Nawet we własnym domu nie jadaliśmy posiłków we dwoje, zawsze był ten Barnabas. Więc on i mój mąż rozmawiali sobie o koniach, prawie nie zwracając na mnie uwagi. Wszędzie chodzili razem... czy już domyśliłeś się, dlaczego byli z sobą tacy zżyci?

- Bo dorastali razem?

- To było coś więcej.

- To nie wiem.

Patrzyła na mnie tak poważnym wzrokiem, że uśmiechnąłem się do niej. Kiedy już uznasz dziewczynę za pociągającą, trudno ci o tym zapomnieć. Odwróciła wzrok. Uśmiech ulotnił się z mojej twarzy.

- Barnabas był synem niewolnicy z posiadłości Pertynaksów, a mój mąż prawowitym synem właścicieli. Byli dziećmi tego samego ojca - poinformowała mnie Helena spokojnym głosem.

Cóż, to zdarzało się całkiem często. Człowiek trzyma niewolników, by zaspokajali jego fizyczne potrzeby, wszelkie potrzeby. Widocznie, w przeciwieństwie do Lariusza, Pertynaks senior nie miał starszego krewnego, który by go poinstruował. Bardziej jednak prawdopodobne było, że sypiając z niewolnicą, nie zwracał sobie głowy ostrożnością. Narodziny dziecka oznaczały jedynie wpisanie dodatkowej pozycji po stronie aktywów.

- Czy to ważne? - spytała mnie Helena.

- Cóż, faktów to nie zmienia... ale na pewno teraz stają się sensowniejsze.

- Tak. Innych dzieci nie było, ci dwaj wychowywali się razem od niemowlęctwa. Matka mojego męża zmarła, kiedy miał pięć lat. Podejrzewam, że potem nikt nie zwracał na niego szczególnej uwagi.

- Czy rywalizowali ze sobą?

- Nieszczególnie. Barnabas, który był starszy, stał się bardzo opiekuńczy, a Gnejusz był zawsze szalenie lojalny w stosunku do niego...

Opowiedziała mi całą historię; na pewno godzinami się nad nią zastanawiała, ale teraz chciała podzielić się tym wszystkim ze mną. Zamilkła. Ja też milczałem. Zaczęła ponownie.

- Byli jak bliźniacy. Kastor i Polluks. Żadnego prawie miejsca dla kogoś trzeciego.

Sposępniała pod wpływem dawnego smutku, żałując zmarnowanych lat. Cztery lata; nie tak znowu wiele, zważywszy na długość ludzkiego życia. Jednakże Helena weszła do tego małżeństwa jak obowiązkowa młoda kobieta; chciała, by było udane. Choć ostatecznie wybrała rozwód, wiedziałem, że poczucie porażki pozostawiło trwałe blizny.

- Pertynaks był zdolny do uczucia, Falkonie. Barnabas i konsul to właśnie te dwie osoby, które kochał.

- Zatem był głupcem - wyrwało mi się, nim zdążyłem się powstrzymać. - Mógł przecież kochać trzy!



XXXIV

Na sukni Heleny wylądowała biedronka, co dało jej pretekst, żeby wziąć ją na opuszek palca i patrzeć na owada zamiast na mnie. Zresztą biedronka była ładniejsza.

- Wybacz, proszę.

- Nie ma czego - powiedziała; ja wiedziałem, że jest.

Po krótkiej chwili milczenia spytała mnie, co ma zrobić, jeśli natrafi na jakiś ślad Barnabasa, więc wyjaśniłem, gdzie się zatrzymałem w Oplontis i że najłatwiej zastać mnie tam wieczorem podczas kolacji.

- To niedaleko, mogłabyś wysłać niewolnika z wiadomością...

- Czy w Oplontis mieszkasz sam?

- Och, nie! Mamy z Lariuszem rozkoszne damskie towarzystwo... - Zauważyłem, że podniosła wzrok. - Jest tu Petroniusz Longus. Ma z sobą grupkę małych dziewczynek - wyjaśniłem. Poznała Petroniusza; zapewne uważała go za człowieka szacownego (jakim, w obecności żony i dzieci, na ogół był).

- Aha, jesteś z rodziną! Nie czujesz się więc samotny?

- To nie jest moja rodzina - rzuciłem.

Nachmurzyła się, słysząc moją odpowiedź, ale zaraz zaczęła od nowa:

- Nie masz żadnej przyjemności ze swojego pobytu na wybrzeżu?

Pokonany przez jej uporczywość, westchnąłem.

- Wiesz, jak to jest ze mną i morzem. Pływanie po nim wywołuje u mnie chorobę. Nawet przebywanie w pobliżu powoduje niepokój, że moi weseli

towarzysze zaproponują morską wycieczkę dla przyjemności... jestem tutaj w ramach pracy.

- Aufidiusz Kryspus? Jak daleko dotarłeś?

- Na razie sprzedałem sporej grupie porządnych ludzi komplety nowych rur do wody, stąd ten okropny strój - oznajmiłem. Nie skomentowała. - Słuchaj, kiedy mogę się spodziewać jakichś wieści o Barnabasiu?

- Dzisiaj muszę pozwolić, żeby wywołane przez ciebie zamieszanie przycichło. Jutro zamierzam pojechać z teściem do Noli. - Zawahała się, potem jednak ciągnęła: - Może będę mogła ci pomóc w sprawie Kryspusa. Chyba znam ludzi, których odwiedza, kiedy schodzi na ląd.

- Na przykład twojego teścia?

- Nie, Falkonie! - odpowiedziała stanowczo, odrzucając moje podejrzenia o jakieś polityczne machlojki w posiadłości konsula.

- Och, wybacz! - Potarłem plecami o pień oliwki i posłałem jej krzywy uśmiešek. - W końcu go odnajdę - zapewniłem ją.

Helena robiła wrażenie zamyślanej.

- Wiesz co, spróbuj u sędziego w Herkulanum. Nazywa się Emiliusz Rufus, znam go od lat. Jego siostra była kiedyś zaręczona z Kryspusem. Nic z tego nie wyszło. Ona bardzo chciała, ale on stracił zainteresowanie...

- I ufaj tu mężczyznom - podsunąłem usługnie.

- Właśnie!

Westchnąłem lekko. Byłem w melancholijnym nastroju.

- Wydaje się to już tak dawno...

- Bo jest! - fuknęła.

- O co ci chodzi?

- Myślę.

- O czym?

- O tobie... O kimś, kogo wydawało mi się, że znam tak dobrze, a kogo nigdy tak naprawdę nie poznam.

Teraz zapanowało milczenie, które miało świadczyć o tym, że jeśli zamierzam być nieprzyjemny, to rozmowa dobiegła końca.

- Miałeś mnie odwiedzić, Falkonie - zaczęła po chwili.

- Wiem, kiedy nie jestem mile widziany.

Na jej twarzy odmalowało się znużenie.

- Zaskoczyła cię moja obecność tutaj?

- Nie zaskakuje mnie nic, co robią kobiety!

- Och, nie bądź taki konwencjonalny!

- Przepraszam! - Wyszczrzyłem zęby. - Gołąbeczko, gdyby mi ociupinę przemknęło przez głowę, że znajdziesz się na dzisiejszej liście zadań, wystroiłbym się odpowiednio, nim bym wtargnął do tej posiadłości. Naprawdę wolę wyglądać jak mężczyzna, którego odejścia kobieta mogłaby pożałować!

- Tak, domyślałam się, że chcesz mnie zostawić - oświadczyła nagle Helena.

Biedronka odfrunęła, wkrótce jednak Helena mogła sobie studiować kolejnego sześcionogiego przyjaciela, który wylądował na jej dłoni. Siedziała w całkowitym bezruchu, żeby nie płoszyć małego chrząszcza.

Myślałem o wszystkim, co powinienem powiedzieć, ale żadne z tych

słów nie opuściło moich ust. Udało mi się tylko zapytać:

- A co ty uważasz?

- Och... wydaje się, że tak będzie najlepiej.

Wysunąłem do przodu podbródek i wpatrywałem się w przestrzeń przed własnym nosem. Jakoś dziwnie to, że nie robiła żadnych trudności, stwarzało ich tylko więcej.

- Niektórym ludziom groziło duże niebezpieczeństwo - oświadczyłem z naciskiem. - A na dwojgu z nich zależało mi szczególnie... na tobie i na mnie.

- Nie przejmuj się tym, Falkonie... to tylko przygoda.

- Jakże wyjątkowa - oświadczyłem z galanterią przez ściśnięte gardło.

- Naprawdę? - rzuciła tym cienkim, lekkim głosem.

- Tak myślałem... czy wciąż jesteśmy przyjaciółmi?

- Oczywiście.

Uśmiechnąłem się z nieszczęśliwą miną.

- To właśnie lubię u senatorskich córek... zawsze są takie kulturalne!

Helena Justyna strząsnęła gwałtownie ze swojej dłoni okaz przyrody. Usłyszeliśmy jakieś hałasy i pod drzewa wtoczył się mój siostrzeniec.

- Przepraszam, wujku Marku! - Jego nieśmiałość nie miała sensu, skoro nic się nie działo. - Wydaje mi się, że nadchodzi ta zaraza z parasolem!

Zerwałem się błyskawicznie.

- Twój nowy opiekun wydaje się bardzo wytrwały! - Podałem jej rękę, ale ją zignorowała i wstała samodzielnie.

- Nie jest mój - odpowiedziała krótko.

Poczułem się nieswojo, jakby jakiś pijak w barze nagle zerwał się na równe nogi i patrzył mi prosto w oczy. Poszliśmy wszyscy z powrotem ku drodze.

- Wjedźcie pod osłonę drzew - powiedziała Helena, kiedy znaleźliśmy się przy wozie - i nie pokazujcie się...

Skinąłem do Lariusza, by się schował. Ciągłe nie było widać jej stróża. Chwyciłem ją raptownie za ramiona, patrząc prosto w twarz.

- Posłuchaj, moja damo, kiedy ja cię strzegłem, nie istniał konflikt interesów. Przyjmowałem rozkazy od ciebie... a kiedy chciałaś prywatności, wycofywałem się!

Między górującymi nad nami cyprysami mignęła kolorowa plama. Rzuciłem ostrzegawcze spojrzenie, po czym opuściłem ręce, uwalniając ją. Jej lewa dłoń otarła się o moją prawą... ale Helena nie odpowiedziała na mój uścisk.

Coś mnie intrygowało; teraz zdałem sobie sprawę co.

Na tym jej palcu, na którym ludzie noszą ślubne obrączki, poczułem znajomy kształt. Był to pierścień wykonany z brytańskiego srebra, który sam kiedyś podarowałem Helenie.

Musiała o nim zapomnieć. Nie odezwałem się, bo nie chciałem wprawiać jej w zakłopotanie. Mogłaby uznać, że teraz, kiedy nasz romans dobiega końca, powinna go zdjąć.

Ruszyłem w stronę drzew, ale wróciłem.

- Skoro jedziesz do Noli... nie, już nic.

- Nie bądź taki irytujący! O co chodzi?

Nola znana była ze swoich wyrobów z brązu. Moja matka spodziewała się prezentu z Kampanii, więc taktownie zasugerowała, co mam jej kupić. Powiedziałem to Helenie. Elegancka senatorska córka obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem.

- Zobaczą, co się da zrobić. Do widzenia, Falkonie!

Siedzieliśmy z Lariuszem pod drzewami oliwkowymi, podczas gdy ja obliczałem czas potrzebny wysokiej dziewczynie, maszerującej jak szalona: podejście pod górę, minięcie terenów jeździeckich i dotarcie do domu.

- Zobaczysz się z nią jeszcze?

- W pewnym sensie.

- Spotkanie?

- Zleciłem jej kupno czegoś.

- Czego? - Podejrzenie, że zrobiłem coś okropnego, już zaczynało spowijać mrokiem jego melancholijną duszę.

- Kubła z brązu - wyznałem.



XXXV

Tuż przed dotarciem do drogi minęliśmy niesioną przez tuzin niewolników arystokratyczną lektykę, posuwającą się majestatycznie w stronę posiadłości konsula. Zasunięte firanki kryły pasażera, jednak obszyte złotem tuniki tragarzy i żywy szkarłat lektyki były jednoznaczne. Na szczęście droga prowadząca do domu Marcela okazała się wystarczająco szeroka i dla nich, i dla nas, mój siostrzeniec bowiem wziął sobie za punkt honoru nigdy nie ustępować nikomu o wyższej randze.

Lariusz był tak oburzony sposobem, w jaki potraktowałem Helenę, że nie odzywał się przez całą drogę do Oplontis. A to zaprzaniec!

Bez słowa wyprzęgliśmy Nerona.

Poszliśmy zrzucić z siebie brudne łachy. Nasza gospodyni skończyła farbować swoje odzienie na jeszcze głębszy odcień czerni i cała gospoda przesiąknięta była obrzydliwym smrodem dębowych galasów.

- Nigdy już jej nie zobaczysz! - wybuchnął Lariusz, dając upust odrazie do mnie.

- Owszem, zobaczą.

Kupi mi przecież ten kubek; a potem... chłopak pewnie ma rację.

Całe potomstwo Petroniusza wyległo na podwórze. Dzieci przykucnęły w kurzu, głowa przy głowie, grały w jakieś skomplikowane gry, używając do tego gałązek mirtu i błota. Odwróciły się plecami, dając dorosłym do zrozumienia, że mają im nie przeszkadzać. Kocięta, podskakując, biegały wokół nich. Wyglądało na to, że nikt ich nie pilnuje.

Wyszliśmy na zewnątrz. Opiekunka dzieci, Ollia, leżała na plaży, podczas gdy jej młody rybak eksponował błyszczącą klatkę piersiową tuż obok. Mówił coś bez przerwy, jak to jest w ich zwyczaju; zasłuchana Ollia spoglądała na morze. Miała tęskny wyraz twarzy.

Skinałem jej głowę ponuro.

- Petroniusz? - zapytałem.

- Poszedł na spacer.

Chłopak nie był starszy od mojego siostrzeńca; miał ten rodzaj wąsika, jakiego nie znośłem... cienki, czarny robak piaskowy przyklejony nad wąskimi ustami.

Lariusz snuł się za mną.

- Powinniśmy ratować Ollię - oznajmił.

- Niech się zabawi! - rzuciłem lekkim tonem.

Mój siostrzeniec spojrział na mnie spode łba, a potem, ku memu zdumieniu, porzucił moje towarzystwo. Czując ciężar lat, patrzyłem, jak sadzi wielkimi susami do tej pary i przysiadła obok. Obaj młodzieńcy spoglądali groźnie na siebie, podczas gdy Ollia ciągle wpatrywała się w horyzont; pulchne, zbyt łatwo ulegające emocjom dziewczynisko, sparaliżowane pierwszym sukcesem towarzyskim.

Zostawiłem ten niezdatny żywy obraz i ruszyłem ostro wzdłuż brzegu. Myślałem o Pertynaksie i Barnabasie.

Myślałem o Kryspusie. Zastanawiałem się, skąd to poczucie, że Kryspus i Barnabas nieustannie zmuszają mnie, bym się zmagał z jakimiś wątkami nie mającymi nic wspólnego z prawdą...

Potem myślałem już tylko o innych sprawach, zupełnie z pracą nie związanych.

Tkwiałem poirytowany na linii przyływu, bawiąc się wyschniętą osłonką jaja rekinka, aż powoli zacząłem się czuć niczym Odyseusz w jaskini Polifema: pod obserwacją jednego ogromnego, złowrogiego oka.

Było wymalowane na statku. Szkarłatno-czarne; z owym bezwstydnym wydłużeniem charakterystycznym dla wizerunków bogów egipskich; prawdopodobnie po drugiej stronie wysokiego dziobu znajdowało się drugie, takie samo, statek stał jednak burtą do brzegu, więc bez oswojonego delfina, który by mnie tam przetransportował, w żaden sposób nie mogłem się o tym przekonać. Statek tkwił na kotwicy, poza zasięgiem ciekawskich letników. Był to typowy twór nachalnego bogactwa, który ma być podziwiany przez jak największe rzesze ludzi, robiąc przy tym wrażenie niedostępnego. Należał do zbyt cennych zabawek, by wprowadzać go do Oplontis, gdzie miałby się obijać o słomiane bele, tworzące tam prowizoryczne odbojnice przy pomoście do cumowania.

Ten, kto zaprojektował to żeglarskie cudo, miał coś do przekazania. Słowo pieniądze krzyczało z każdej części statku. Miałem przed oczyma prawdziwe dwunastometrowe dzieło sztuki. Dostrzegłem krótki, pojedynczy rząd czerwonych jak ochra wiosł, ułożonych teraz idealnie równo, ciemne żagle, maszt główny na prostokątny żagiel i drugi maszt na fok. Sama linia statku była tak wyszukanie elegancka, że aż przyprawiała patrzącego o ból. W jakiś sposób skutnikowi udało się połączyć smukły jak w okręcie wojennym kadłub z przestronną kabiną i szerokim pokładem, by uprzyjemnić życie finansisty, który dysponował takim ogromnym kapitałem potrzebnym do stworzenia tego cacka. Pod wpływem niewielkiego poruszenia, spowodowanego wieczorną bryzą, niespokojnie błysnęły złocenia rufy w kształcie ptasiego ogona oraz bogini ze szczytu masztu. Za statkiem unosiła się śliczna mała łódka aprowizacyjna z idealnie dopasowanym do niego wyposażeniem... z identycznymi wiosłami

sterowymi, identycznym żagielkiem i z tak samo wymalowanym okiem. Kiedy się tak gapiłem, łódkę przyciągnięto do burty statku i po krótkich zabiegach ruszyła w stronę brzegu, mknąc szybko i z wdziękiem.

Podniesiony na duchu tym miłym widokiem poszedłem na przystań i tam czekałem na szansę przedstawienia się, o czym byłem przekonany, domownikom Kryspusa.

Na pokładzie było dwóch nicponi; szczupły, czujny żeglarz przy wiosłach na rufie i tłuścioch odpoczywający beztrudnie na dziobie. Kręciłem się w pobliżu, gotów chwycić ich linę cumowniczą. Wioślarz dobił; chwyciłem za dziób; pasażer wysiadł, po czym marynarz niezwłocznie odpłynął. Starłem się nie czuć zbyt cennie.

Człowiek, który opuścił łódź, miał na nogach buty z miękkiej jeleniej skóry; przy ich rzemykach dzwoniły miedziane półksiężycy. Słyszałem, że marynarz zwracał się do niego imieniem Bassus. A Bassus miał najwyraźniej wielkie o sobie mniemanie. Przetaczał się przez życie jak potężna beczka, która pozostawia za sobą szeroki wygnieciony pas. Bo niby czemu nie? Zbyt wielu słabeuszy, którzy stracili siłę charakteru, kuli się na obrzeżach istnienia z nadzieją, że nikt ich nie zauważy.

Szliśmy w stronę plaży. Próbowałem go oszacować. Prawdopodobnie miał skrytki bankowe we wszystkich wielkich portach od Aleksandrii do Kartaginy i od Massilii do Antiochii, ale jako zapobiegliwy człowiek morza zawsze miał przy sobie wystarczająco dużo dobrego złota, by się wykupić od piratów czy poradzić sobie z małomiasteczkowymi urzędnikami, kiedy już schodził na ląd. Nosił kolczyki w uszach i nosie i dość amuletów, by się ochronić przed największą plagą. Drobniejszemu człowiekowi zapadłaby się klatka piersiowa pod ciężarem jego medalionu z bogiem Słońca.

Nie był nawet kapitanem. Bicz zatknięty za pas powiedział mi, że jest jedynie bosmanem... nadzorcą chłoszczącym każdego wioślarza na *Izydzie*, który chwytając kraba, zachwiał równowagę statku. Miał spokojną pewność siebie człowieka, którego gabaryty wystarczą, by mógł rządzić w tawernie, ale który wie, że pierwszy oficer na żaglowcu o tak szlachetnej linii jak *Izyda* nie będzie się z nikim cackał. Skoro to był tylko bosman, to Aufidiusz Kryspus, właściciel, prawdopodobnie uważał się za przyrodniego brata bogów.

- Przyplynałeś z *Izydą*. - zauważyłem, spoglądając z podziwem na statek, ale nie zwracając mu głowy oczywistym stwierdzeniem, że jest to pływające чудо. Bassus rzucił mi pogardliwe spojrzenie. - Muszę zobaczyć się z Kryspusem. Jest jakaś szansa na słówko? - spytałem.

- Nie ma go na pokładzie - rzucił. Związłe i uprzejmie.

- Nie bardzo w to wierzę!

- Wierz sobie, w co chcesz - odparł obojętnie.

Poszliśmy plażą aż do drogi. Zacząłem od nowa.

- Mam list dla Kryspusa...

Wzruszył ramionami. Wyciągnął rękę.

- Daj mi go, jeśli chcesz.

- To zbyt łatwe, by było prawdziwe! - Zresztą i tak zostawiłem cesarski list na piętze gospody, kiedy się przebierałem.

Bosman, który dotąd zachowywał się dość biernie, wreszcie wyrobił sobie o mnie opinię. Nie była pochlebna. Nie zawracał sobie głowy, żeby mi to powiedzieć. Po prostu zasugerował, bym zszedł mu z drogi, co będąc człowiekiem zgodnym, niezwłocznie uczyniłem.

Podczas gdy Bassus znikał za horyzontem, kazałem Lariuszowi jak najszybciej odnaleźć Petroniusza. Nie czekając, wróciłem na brzeg morza, gdzie ponownie zapatrzyłem się w nęcącą sylwetkę statku Aufidiusza Kryspusa.

Muszę przyznać, że była to jedna z tych sytuacji, kiedy nieumiejętność pływania stanowiła pewną niedogodność.



XXXVI

Na plaży w Oplontis zalegały jak zwykle morskie wodorosty, poniewierały się skorupy z rozbitych amfor, strzępy zeszywniałych sieci oraz chustki porzucone przez dziewczęta mające w tej chwili inne rzeczy w głowach. Osy zlatywały się do wygryzionych z mięszu skórek melonów. Spacerowicze ryzykowali życie, stąpając pośród walających się zardzewiałych sztyletów i brosz. Jak zawsze można było się natknąć na lewy but, pozornie w idealnym stanie i odpowiedniego rozmiaru, tyle że kiedy już się człowiek do niego pofatygował, to stwierdzał, że brak mu podeszwy. Jeśli ludziom udało się odpędzić urągliwych urwisów oferujących za wygórowaną cenę wyprawy na ryby, to poparzyła ich meduza, która tylko udawała trupa.

Był wczesny wieczór. Delikatnie zmniejszało się nasilenie światła, niemal niezauważalnie stygł lejący się z nieba żar, nedorzecznie wydłużały się cienie, a całe otoczenie nabierało jakiegoś magicznego zabarwienia, przez co pobyt nad morzem był niemal znośny. Ludzie, zmęczeni, przerywali pracę, znużone rodziny przerywały kłótnie. Małe pieski przestały obszczekiwać mastyfy i zadowalały się gwałceniem suk, na które udało im się wdrapać, a potem biegały triumfalnie w kółko, żeby uczcić swoje sukcesy.

Obejrzałem się w stronę naszej gospody. Lariusz powędrował w poszukiwaniu Petroniusza, a i Ollia też gdzieś zniknęła, razem ze swoim słonowodnym lubym. Plaża zadziwiająco opustoszała. Poza psami i mną była tam tylko grupa chłopców robiących wiele hałasu przy zabawie lotką, podczas gdy ich dziewczęta ściągały na ognisko wyrzucone na brzeg drewno. Rybacy, których zazwyczaj było tu pełno, albo odpłynęli ze swoimi latarenkami, by po ciemku dokonać nalotu na ławicę tuńczyków, albo jeszcze nie wrócili z bardziej dochodowego zajęcia, jakim było wożenie turystów, żeby popatrzyli sobie na tę skałę na wyspie Capri, z której cesarz Tyberiusz zrzucał ludzi, kiedy go obrazili. Jedyne, co mi po nich wszystkich zostało, to mała łódka, leżąca do góry dnem ponad linią przyływu, coraz bardziej srebrząca się w słońcu.

Nie jestem skończonym idiotą. Ta łupinka o szerokim dnie wyglądała, jakby leżała już tam od bardzo dawna. Mimo to przeprowadziłem dokładną inspekcję, sprawdzając, czy nie nadziała się na paliki, i szukając nie

zaczopowanych otworów. Wydawała się w porządku... przynajmniej dla jakiegoś bardzo podejrzliwego szczura lądowego.

Znalazłem wiosło stojące pod jakimś spróchniałym palem cumowniczym, potem drugie pod samą łódką, kiedy udało mi się ją odwrócić. Dopchnąłem ją na skraj wody przy pomocy dziewcząt zadowolonych, że mogą spędzić przyzwoicie czas przed nadejściem zmroku, kiedy to ich młodzieńcy zaczną mieć inne pomysły. Rzuciłem ostatnie spojrzenie, szukając wzrokiem Lariusza czy Petroniusza, ale nie było po nich najmniejszego śladu, wobec czego wsiałem, stanąłem chwiejnie na dziobie i usiłując zademonstrować odwagę, pozwoliłem, by dziewczęta odepchnęły mnie od brzegu.

Było to dość pokraczne dzieło sztuki szkutniczej. Partacz, który łódkę zbudował, musiał być wtedy w nie najlepszej formie. Podskakiwała na małych falach jak pijana mucha owocówka miotająca się wokół zgniłej brzoskwini. Zajął mi sporo czasu, nim się zorientowałem, jak utrzymywać tę szkaradę dziobem do przodu, w końcu jednak zacząłem się powoli oddalać od brzegu. Na twarzy czułem lekką bryzę, choć niewiele mi ona pomagała. Skradzionemu wiosłu brakowało kawałka pióra, a to drugie było za krótkie. Odbijające się od wody światło piekło moją już i tak spieczoną skórę, zmuszało też do nieustannego mrużenia oczu. Było mi wszystko jedno. Niechęć, jaką okazał Aufidiusz Kryspus, wymigując się od niewinnej rozmowy, wzmocniła moją determinację, by koniecznie dostać się na pokład *Izdy* i odkryć, na czym polega ta wielka tajemnica.

Zanurzałem wiosła i ciągnąłem w miarę równo do przodu, aż przebyłem połowę dystansu pomiędzy Oplontis i statkiem. Gratulowałem sobie siły ducha i inicjatywy. Wespazjan byłby ze mnie dumny. Podpłynąłem już na tyle blisko, by móc odczytać nazwę, wymalowaną wysoko na dziobie kanciastymi greckimi literami... W tej samej chwili, w której uśmiechałem się triumfalnie, doznałem pewnego nowego wrażenia. Miałem mokre stopy.

Ledwie poczułem ten chłód, zobaczyłem, że woda sięga mi do kostek, po chwili coraz wyżej. Kiedy już Morze Tyrreńskie zaczęło się przesączać przez wysuszone klepki, sprawa przybrała szybki obrót i moja łajba nieuchronnie szła pod wodę.

Jedyne, co mogłem zrobić, to zamknąć oczy, zacisnąć palcami nos i mieć nadzieję, że jakaś miła syrena wyciągnie mnie z opresji.



XXXVII

Wyciągnął mnie Lariusz. Pławienie się z nereidą byłoby zabawniejsze.

Mój siostrzeniec musiał widzieć, jak odpływam, i ruszyć za mną, zanim zacząłem tonać. Nie zapominajcie, że jego ojciec był przewoźnikiem; Lariusz pluskał się w Tybrze, zanim odstawiono go od piersi. Umiał pływać, kiedy miał dwa lata. Nigdy jednak nie pływał tym złowrogim, cichym kraulem, którego uczył w wojsku. Mój siostrzeniec miał okropny styl, za to młócił wodę w niesamowitym tempie.

Kiedy się ocknąłem z uczuciem, że po tym, jak pochłonęła mnie woda,

ciskano mną o betonową ścianę, domyśliłem się, że moje męki są rezultatem sposobu, w jaki Lariusz mnie ratował. Obolała szyja wskazywała na to, że to za nią bohatercko wyciągnął mnie z wody, ucho było rozcięte, ponieważ walnął moją głowę o pomost przystani. Czułem, że mam zdartą skórę na łydkach po tym, jak przeciągał moje bezwładne ciało po pokrywającym plażę pumeksie, i że Petroniusz Longus właśnie przywraca mi życie, wykorzystując cały swój ciężar do wypompowywania ze mnie wody. Po tym wszystkim byłem szczęśliwy, że mogę sobie leżeć bez ruchu, kontemplując ból tchawicy oraz poobijanego ciała.

- Myślisz, że przeżyje? - usłyszałem głos Lariusza; odniosłem wrażenie, że jest bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony.

- Tak sądzę - stwierdził Petroniusz.

Wydałem jęk, mający poinformować mojego przyjaciela, że może już sobie pozwolić na zabawianie się dowcipami moim kosztem. Czując uderzenie w ramię, nie miałem wątpliwości, że to jego pięść.

- Był w wojsku. Dlaczego nie umie pływać? - To znowu Lariusz.

- Och... tego tygodnia, kiedy mieliśmy sporty wodne, Marek za karę pełnił służbę w kuchni.

- Co zmalował?

- Nic poważnego. Mieliśmy tam takiego aroganckiego zastępcę trybuna, który wbił sobie do głowy, że Marek zabawia się z jego dziewczyną.

Zapadła dłuższa chwila milczenia.

- A zabawiał? - spytał w końcu Lariusz.

- Ależ skąd! W tamtych czasach był na to zbyt nieśmiały! - oznajmił Petroniusz.

Nieprawda. Jednak mój przyjaciel uważa, że nie należy gorszyć młodocianych.

Przetoczyłem się na bok, tyłem do nich. Wpatrzyłem się w morze, szukając opuchniętymi oczyma *Izdy*, ale statku nie było. Promienie niskiego wieczornego słońca, przenikając przez warstwę lekko krwawej solanki, pokrywającej moje ciało, boleśnie atakowały nogi i ramiona. Leżałem na plaży, twarzą w dół, i myślałem o śmierci przez utopienie i o innych wesołych sprawach.

Słyszałem, jak daleko ode mnie, na skraju wody, trzy córki Petroniusza piszczą z uciechy, nieustraszenie goniąc jedna drugą do wody i z wody tego okropnego morza.

- A przy okazji! - Petroniusz kpiąco zwrócił się do Lariusza. - Jak to się dzieje, że akurat ty zawsze ratujesz tego durnia, kiedy popada w tarapaty?

Lariusz wydmuchał nos. Długo zwlekał z odpowiedzią, ale kiedy wreszcie się odezwał, wiedziałem, że rozkoszuje się każdym wypowiedzianym słowem.

- Obiecałem jego matce, że będę się nim opiekował.



XXXVIII

Nazajutrz moi przyjaciele postanowili nauczyć mnie pływać.

Pewnie nie był to najlepszy pomysł - próbować uczyć kogoś, kto wciąż sztywniał na samą myśl o zanurzeniu się i o wodzie wypełniającej mu płuca. Ponieważ jednak potraktowali rzecz bardzo poważnie, starałem się z nimi współpracować.

Sprawa była beznadziejna. Petroniusz z trudem utrzymywał mnie na powierzchni za tunikę na plecach, tak jak to robił ze swoimi dziećmi. Lariusz postanowił zaopatrzyć mnie w pływaczki ze skórzanych bukłaków do wina, ale nic to nie dało, tylko mój siostrzeniec strasznie się namęczył, żeby je nadmuchać.

Muszę przyznać, że nikt się nie śmiał. I nikt mnie nie potępił, kiedy wylazłem z wody, poszedłem na plażę i usiadłem samotnie z dala od wszystkich.

Siedziałem tam ponuro, rzucając kamykami w kraba pustelnika. Posyłałem je tak, żeby go nie trafić, bo nie byłem w nastroju do jawnego okrucieństwa; krab znalazł sobie muszlę i zaczął konstruować przybudówkę do tego swojego domku.



XXXIX

Właśnie jedliśmy, kiedy przyjechała Helena.

Zostawiliśmy dzieci z Olią, poza Tadią. Zabraliśmy z sobą obolałą bidulkę, dotkliwie poparzoną przez meduzę, na której niechęć usiadła. Lariusz dotrzymywał towarzystwa Ollii; podsłuchałem, jak dyskutowali o poezji lirycznej.

Jedliśmy w winiarni na otwartym powietrzu, gdzie podawano również owoce morza. Petroniusz na żądanie małżonki dokonał inspekcji kuchni; nie powiem, żeby właściciele przyjęli go z otwartymi ramionami, on jednak lubił zaglądać w takie miejsca, które co mądrzejsi ludzie na wszelki wypadek by ominęli, i opuszczał je zapamiętany przez karczmarzy jako przyjaciel na wieki.

Helena dostrzegła nas pierwsza i wysiadła z lektyki, zanim zdążyłem do niej podejść. Usłyszałem, jak mówi sługom, że mogą odpocząć przy butli wina i przyjść po nią później. Wbili we mnie podejrzliwe spojrzenia, ale z drżącą Tadią w ramionach musiałem wyglądać zupełnie niegroźnie.

- Szlachetna pani jako dostawca?

- Tak... tryskam szaloną energią... - odpowiedziała. Wyraźnie brakowało jej tchu, ale mogło to być spowodowane wysiłkiem jednoczesnego wydobywania z lektyki siebie samej oraz nowego kubła dla mojej matki. - Gdybym była w domu, zajmowałabym się tymi pracami, których wszyscy unikają, takimi jak wiosenne porządki w spiżarni, gdzie trzymam dzbany z marynowanymi rybami. W czyimś domu natomiast niegrzecznie byłoby sugerować, że na przykład amfora w ich kuchni przecieka... - mówiła. - Była ubrana prosto, w szare kolory, ale jej oczy błyszczały intensywnie. -

Więc równie dobrze mogę uporać się z tobą...

- Och, dzięki! Jak z paskudną, lepką plamą na posadzce, którą trzeba zetrzeć? - zakpiłem. Uśmiechnęła się. - Masz piękne oczy, kiedy się uśmiechasz - wymamrotałem przez zaciśnięte zęby.

Przestała się uśmiechać. Oczy i tak pozostały piękne.

Odwróciłem wzrok. Ku morzu. Zatoce. Wezuwiuszowi... ku czemukolwiek. Musiałem jednak wrócić spojrzeniem ku niej. I wreszcie te jej oczy spojrzały prosto w moje.

- Witaj, Marku - powiedziała ostrożnie, jak ktoś, kto ustępuje klaunowi.

- Witaj, Heleno - odparłem. Na co, bardzo właściwie, zareagowała rumieńcem.

Kiedy przedstawiałem senatorską córkę, robiłem to tak, by oszczędzić jej zażenowania, tyle że ona niosła kubek, a moi przyjaciele nie należeli do ludzi, którzy przegapiliby tak dziwaczne zachowanie.

- Przyniosłaś swoje wiaderko z jedzeniem, młoda damo? - Kiedy Petroniusz żartuje, od razu można poznać, że pochodzi z Awentynu. Jednocześnie obserwował swą ciekawską żonę lustrującą Helenę.

Arria Sylwia ostrzyła już sobie pazury, gdyż zorientowała się, że mój dostojny gość jest kimś więcej niż tylko biznesową znajomością.

- Bardzo lubię matkę Falkona! - zadeklarowała majestatycznie Sylwia, gdy wyjaśniona została sprawa przyniesionego kubka, podkreślając tym samym, że ona i Petroniusz mają starsze prawa do mojej przyjaźni.

- Wielu ludzi ją lubi - rzekłem. - Ja czasami też.

Helena posłała Sylwii, blady, pełen zrozumienia uśmiech.

Helena Justyna zamykała się w sobie w hałaśliwych miejscach publicznych, więc przysiadła przy naszym stole bez słowa. Właśnie opychaliśmy się owocami morza. Niedawno odbyłem z jaśnie panią piekielną podróż przez Europę i stąd wiedziałem, że lubi dobrze zjeść. Dlatego bez pytania zamówiłem dla niej półmisek z langustą. Użyczyłem jej swoją serwetkę, a fakt, że Helena bez sprzeciwu akceptowała moje działania, dawał Sylwii wiele do myślenia.

- Co się stało z twoim uchem, Falko? - Helena również potrafiła być całkiem ciekawska.

- Za bardzo zaprzyjaźniłem się z falochronem.

Petroniusz, wyraźnie rozluźniony wyrwaniem krewetkowych odnóży, opowiedział ze szczegółami, jak się starałem utopić; Sylwia dodała kilka zabawnych spostrzeżeń dotyczących moich dzisiejszych prób utrzymywania się na powierzchni wody.

Helena zmarszczyła brwi.

- Dlaczego nie umiesz pływać?

- Kiedy powinienem był się uczyć, musiałem siedzieć w koszarach.

- Dlaczego?

Wolałem tego nie wyjaśniać, jednak pomocny okazał się jak zwykle Petroniusz, który przedstawił historyjkę wcześniej opowiedzianą Lariuszowi.

- Mieliśmy trybuna, który myślał, że Marek zabawia się z jego dziewczyną.

- Zabawiał się? - spytała i dodała z pogardą: - Domyślam się, że tak!

- Oczywiście! - potwierdził radośnie mój przyjaciel.

- Dzięki! - rzuciłem do niego.

Po czym Petroniusz, człowiek jednak z natury przyzwoity, wypił sos ze swojej miski, wsadził do ust kawałek chleba, nalał nam wina, zostawił pieniądze za posiłek, wziął na ręce zmęczoną córeczkę, puścił oko do Heleny... i ruszył z żoną do gospody.

Po tym przedstawieniu każde z nas powoli i w milczeniu opróżniało swoją miskę. Helena miała włosy ułożone tak, jak lubię, z przedziałkiem pośrodku, nad uszami zaczesane do tyłu i związane.

- Falkonie, na co się gapisz? - Rzuciłem jej spojrzenie otwarcie mówiące o tym, że zbieram odwagę, by trącić nosem jej ucho... więc odpowiedziała mi takim, które mówiło, bym nie próbował.

Na twarz wypętlł mi nie dający się opanować uśmieszek. Helena patrzyła na mnie z miną mającą dać mi do zrozumienia, że flirt z niestałym uwodzicielem to nie wakacyjna przygoda w jej guście.

Wzniosłem kubek jak w transie, ona pociągnęła ze swojego. Wzięła sobie więcej wody niż wina, kiedy nalewałem jej pierwszy raz, i niewiele upiła z kubka, po tym jak Petroniusz go dopełnił.

- Wypiłaś już swoje w *villa rustica*? - zapytałem. Wyglądała na zaskoczoną. - Czy twój teść dużo pije?

- Kielich lub dwa do posiłków, żeby wspomóc trawienie. Dlaczego?

- Tego dnia, kiedy tam byłem, butla, którą napelnił, starczyłaby na popijawę dla gladiatorów po zwycięskiej walce.

Helena zastanowiła się nad moimi słowami.

- Może lubi zostawiać trochę wina dla niewolników, którzy mu usługują przy stole?

- Może! - zgodziłem się. Żadne z nas w to nie wierzyło, o czym oboje dobrze wiedzieliśmy.

Czas przejść do konkretów, skoro flirtowanie nie wchodziło w grę.

- Zdążyłaś pojechać do Noli i wrócić, byłaś więc bardzo zajęta. Jest coś ważnego, co nie może poczekać?

Posłała mi niepewny, żaloszny uśmieszek.

- Falkonie, winna ci jestem przeprosiny.

- Sądzę, że to jakoś wytrzymam. Cóżeś uczyniła?

- Powiedziałaś ci, że Aufidiusz Kryspus nigdy nie był w tej posiadłości... po czym ledwie zdążyłaś odjechać, ten irytujący człowiek tam się pojawił.

Z ponurą miną użyłem paznokcia jako wykałaczki.

- W lektyce z wymyślnym złotym rogiem na dachu w otoczeniu niewolników w płaszczach?

- Minałaś się z nim!

- Nie ma w tym twojej winy - pocieszyłem ją. Powinna była już wiedzieć, że jeśli się zirytuję, to wystarczy, że zrobi tę poważną, pełną skruchy minę. Nie byłem zirytowany, ale sądząc po wyrazie jej twarzy, zdążyła odgadnąć, jaka mina działa na mnie rozbijająco. - Opowiesz mi, jak to się odbyło?

- Wyglądało na wizytę kondolencyjną. Powiedziano mi, że przyjechał porozmawiać z Marcelem o jego synu.

- Byli umówieni?

- Chyba tak. Myślę, że teść spieszył się, żeby zjeść ze mną wczesny posiłek, bo chciał porozmawiać ze swoim gościem w cztery oczy. - Skromne kobiety spodziewają się, że nie zostaną włączone w męskie spotkania; Helenę to wyraźnie rozzłościło. - Zabrali tę butlę - przyznała. - Rzadko co uchodzi twojej uwagi!

Uśmiechnąłem się, zadowolony z pochwały. Cieszył mnie też ten skryty błysk w jej oku, kiedy dawałem jej sobą manipulować... a potem ten nagły wybuch czarującego, szczerego śmiechu, kiedy zauważała, że robię to świadomie.

- Chyba stary Marcel nie powiedział ci, o czym rozmawiali?

- Nie. Staralam się ukrywać zaniepokojenie. Skomentował tę wizytę, mówiąc jedynie, że Kryspus stara się być miły... Spytasz mnie, dlaczego pojechałam z Marcelem do Noli?

Nachyliłem się bliżej z brodą opartą na dłoniach i posłusznie zapytałem:

- Heleno Justyno, dlaczego pojechałaś do Noli?

- Kupić ci kubek, Falkonie... a ty nawet na niego nie spojrzales!



XL

Było to w najwyższym stopniu godne pożądania naczynie - piękny kształt, dobra pojemność, brąz lśniący jak światło słoneczne na jeziorze Wolsini, mocne nity oraz ręcznie kształtowana rączka pozwalająca na mocny chwyt.

- Nadzwyczajny. Ile ci jestem winien?

- Często za dużo gorszy chcą znacznie więcej... - poinformowała mnie. Podała mi cenę, a ja zwróciłem jej pieniądze, zadowolony z okazji, jaka dzięki niej mi się trafiła.

- Niewielu ludzi potrafi kupić dobry kubek. Powiedziałem Lariuszowi, że na tobie mogę polegać.

- Skoro już o nim mowa... - Wsunęła rękę pod stół, którą trzymała w kubku, jako że wieczór był bardzo ciepły. - Kupiłam to, żeby pomóc ci go rozweselić.

Był to miniaturowy, niezwykle zgrabny jeleń, także z brązu, tak mały, że mieścił się na dłoni. Wydałem z siebie wszystkie stosowne dźwięki zachwytu; jednak Helena Justyna potrafiła wyczuć nieszczerłość na długość stadionu.

- Czy coś jest nie tak... poczułeś się urażony?

- Zazdrosny - wyznałem.

- Głuptas! - Ze śmiechem pochyliła się znowu nad kubkiem. - Twoja matka powiedziała, żebym ich dla ciebie poszukała. - Podała mi paczuszkę, długą, dość ciężką, owiniętą w płótno.

Był to komplet łyżek. Dziesięć sztuk. Z brązu. Sprawdziłem ich wyważenie: znakomite. Miały ładne nieco wydłużone jajowate czerpaki. Sześciokątne rączki zaczynały się prosto, potem wyginały i przechodziły u góry czerpaka w cienki zawijas; w miejscach zwężeń rączki zdobiły zwieńczone dekoracyjnie guzy.

- No cóż, teraz moja owsianka będzie o wiele smaczniejsza!
- Po umyciu wytrzyj je ściereczką, to nie będzie plam po wodzie...
podobają ci się?

Były wspaniałe. Powiedziałem jej to. Nie wiem, ile kosztowały, ale na pewno mojej matki nie było na nie stać. Sięgnąłem więc znowu po fundusze, odczuwając ostry ból w okolicy sakiewki, kiedy szepnęła:

- To ode mnie. - Cała ona.

Jeszcze nikt w rodzinie Dydiuszów nie posiadał pełnego kompletu łyżek. Byłem poruszony.

- Heleno...

- Niech ci twoja owsianka smakuje.

Bawiła się miseczką do obmywania palców. Podniosłem jej wolną dłoń - lewą - ucałowałem - i puściłem. Bransoletka z niebieskich fajansowych paciorków w kształcie wrzecionek zdrząła na jej nadgarstku. Poza nią nie zobaczyłem żadnych ozdób. Niczego. Srebrnego pierścienia nie było.

A więc to tak.

Tuliłem czule swoje łyżki, choć czułem się jak igraszka w rękach szlachetnej pani i miałem wrażenie, że mnie właśnie przekupiono. Nie próbowałem kontrolować wyrazu twarzy. A powinienem. Bo kiedy siedziałem w pełnym urazy milczeniu, senatorska córka odwróciła się, by na mnie spojrzeć. I natychmiast uświadomiła sobie, co uznałem za powód tego prezentu. Popeniłem błąd.

To jedna z takich chwil, które niszczą związek. Jeden głupi, niewłaściwy wyraz twarzy, który druzgocze ci życie.



XLI

Przez długą chwilę obserwowałem, jak zatrząskuje mi się przed nosem więcej drzwi, niż sądziłem, że w ogóle było otwartych.

- Mam dwie informacje, Falkonie. - Jej obojętny ton potwierdzał, że udzielana mi pomoc przybrała formę nienawistnej powinności obywatelskiej. - Po pierwsze, mój teść pojechał do Noli, ponieważ Aufidusz Kryspus zaprosił go jako swojego osobistego gościa na tamtejsze igrzyska. - Miała minę kobiety, która zmarnowała godzinę, robiąc sobie manikiur na ważne przyjęcie, po czym wychodząc z domu, złamała na zamku drzwi paznokieć. - Kryspus był gospodarzem w najszerszym znaczeniu tego słowa; zapłacił za te igrzyska - dodała.

- Dobre przedstawienie? - spytałem ostrożnie. To nie był pierwszy raz, kiedy obraziłem przyjaciela - czy kobietę - jednak na ogół starałem się zminimalizować szkody, jakie sam sobie przy okazji poczyniłem.

- Sportowcy, wyścigi rydwanów, trzydzieści par gladiatorów. Walki byków...

- Zatem mogę się spodziewać, że znajdę Kryspusa w Noli?

- Nie, igrzyska były jednodniowe.

- O! Czy wykazywał się szlachetnym zachowaniem... a może wystąpił jako sędzia?

- Ani jedno, ani drugie.

- Ale zabiegał o poparcie?

Wyciskanie informacji z Heleny nigdy nie było trudniejsze. Na szczęście możliwość pokazania mi, gdzie jest moje miejsce, czyniła ją nieco bardziej rozmowną.

- To oczywiście, Falkonie. Kampania, w szczycie kanikuły. Czy może być lepsza sposobność dla ambitnego człowieka, żeby dotrzeć do wpływowych Rzymian... zupełnie prywatnie? Połowa członków senatu znajdzie się tutaj wcześniej czy później w ciągu lata...

- Zatem Kryspus może zabawiać, przymuszać, manipulować... i wszystko to bez wzbudzania najmniejszych podejrzeń. W Rzymie, gdyby bawił gości publicznie, połowa ludu na Forum zakładałaby się, że o coś mu chodzi...

- Właśnie.

- Tymczasem tutaj robi jedynie wrażenie szczodrego, towarzyskiego typka, który potrafi się cieszyć wakacjami! - powiedziałem. Tym razem, skinęła jedynie głową. - Cóż! To wyjaśnia, dlaczego Kryspus nie chce się wkładać w łaski nowego cesarza... gość sam planuje przynoszące władzę posunięcia. Zapewne Wespazjan nie jest jedynym człowiekiem w Rzymie, któremu to nie odpowiada...

- Och, chciałabym w to wierzyć... - Przewyciężając powściągliwość, Helena Justyna uderzyła dłonią o stół. - Dlaczego ludzie mają tak mało wiary we Flawiuszów?

- Wespazjan i Tytus są chlubą Rzymu. Nie wywołują skandali, a to jest nudne.

- Nie gadaj głupstw! - zaatakowała mnie z goryczą. - Jedyne przyzwoite cesarstwo za naszego życia! Ale się go pozbędą, prawda? Zanim zdąży zacząć, zanim będzie miał szansę pokazać, co potrafi...

- Nie rozpaczaj zawczasu. - Z natury Helena była wojowniczką i optymistką; opuściłem rękę na dłoń, którą uderzyła w stół. - To do ciebie niepodobne!

Nerwowym ruchem cofnęła dłoń.

- Aufidiusz Kryspus jest niegodziwie potężny. Ma zbyt wielu dobrze ulokowanych przyjaciół, Falkonie, musisz go powstrzymać!

- Kiedy ja nie mogę go nawet znaleźć!

- Bo się nie starasz.

- Dzięki za komplement!

- Nie muszę dodawać ci pewności siebie, masz o sobie wystarczająco dobrą opinię!

- Dzięki raz jeszcze!

- Cóżeś uzyskał, goniąc za Kryspusem? Obijasz się w słońcu, zarządzasz tę hecę z ołowiem... bawi cię udawanie przedsiębiorcy! Podejrzewam, że puszyłeś się przed wszystkimi kobietami, które prowadzą przydrożne winiarnie...

- Człowiekowi należą się jakieś przyjemności!

- Och, zamknij się, Falkonie! Musisz odkryć, co Kryspus zamierza, i temu zapobiec...

- Zrobię to - odparłem krótko, ale to jej nie powstrzymało.

- Jeśli nie chcesz robić tego dla cesarza, to przynajmniej pomyśl o

własnej karierze...

- Ta jest do bani! Zrobię to dla ciebie.

Za późno zauważyłem, że się wzdrygnęła.

- Nie jestem dziewczyną twojego trybuna, gratką dla nowej fali rekrutów, Falkonie, oszczędź mi więc tej beznadziejnej gadaniny!

- Uspokój się. Staram się jak mogę. To, co nazywasz obijaniem się, jest w rzeczywistości metodycznym szukaniem...

- I co, znalazłeś już coś?

- Aufidiusz Kryspus nigdzie nie jeździ i z nikim się nie widuje... według nich. Wśród nadzianych amatorów morskiego powietrza panuje zмова milczenia... - Obserwowałem ją niespokojnie; kobiety z jej pozycją były doskonale zadbane, a przecież jej oczy były podkrążone, czego dyskretne przypudrowanie sproszkowaną kredą nie ukryło. Nie wszystko daje się zatuszować. Zaryzykowałem i ponownie ująłem jej dłoń. - Czym się trapisz, skarbie? - zapytałem. Wyrwała się ze złością. - Heleno... o co chodzi?

- O nic.

- Och, bzdura! No dobrze, czym jest to drugie, co miałaś mi powiedzieć?

- Nieważne.

- Grzeczne dziewczęta nie kłóca się z mężczyznami, którzy kupują im langusty!

- Nie musiałeś! - zawołała. Twarz jej zastygła, nienawidziła mnie za to, co uważała za fałszywe zatroskanie. - Ty i twoi przyjaciele jedliście krewetki. Nie oczekuję specjalnych względów...

- Gdybyś oczekiwała, to nie zechciałabyś jeść razem z moimi przyjaciółmi...

- Lubię krewetki...

- Dlatego lubisz mnie... Moja pani, myślałem, że rozmawiamy o pokoju w cesarstwie... powiedz wszystko, co wiesz!

Wzięła głęboki wdech i dała spokój kłótniom.

- Kiedy Aufidiusz Kryspus opuścił posiadłość po spotkaniu z Marcelem, przechodziłam przypadkowo przez pokój, w którym rozmawiali, zanim go jeszcze uprzątnięto. Butla była pusta. A na tacy stały trzy kielichy do wina.

- Wszystkie użyte?

- Wszystkie użyte.

Zastanowiłem się.

- Może Kryspus kogoś z sobą przywiózł. Jego lektyka była zasłonięta...

- Byłam w ogródku na dachu, kiedy odjeżdżał, sam.

Słodziutka myśl: senatorska córka szpiegująca zza balustrady i cichaczem licząca kieliszki!

- Czy mógł to być Barnabas?

- Wątpię. Teść nigdy nie pozwalał Barnabasowi kręcić się po domu. Podczas mojego małżeństwa ten czas, jaki spędzałam u Marcela, był jedynym, kiedy cieszyłam się normalnym rodzinnym życiem. On wykluczał obecność tego wyzwolenca i pozwalał mi zajmować stosowne miejsce... wciąż zresztą tak jest. Mógłby udzielić Barnabasowi schronienia, jednak nigdy nie pozwoliłby, by brał on udział w prywatnym spotkaniu z senatorem.

- Nie odrzucaj takiej możliwości - ostrzegłem ją. - Czy Marcel mógł podejmować jakiegoś gościa incognito? - Pokręciła głową. - Heleno Justyno, muszę uzyskać dostęp do *villa rustica*, żeby ją przeszukać...

- Najpierw znajdź Aufidiusza Kryspusa! - przerwała mi gwałtownie. - Znajdź Kryspusa... zrób to, za co ci Wespazjan płaci!

Zapłaciłem z nachmurzoną miną, a potem opuściliśmy winiarnię. Ruszyliśmy powoli drogą wzdłuż brzegu, czekając na pojawienie się tragarzy z lektyką. Jej głos wciąż pobrzmiwał twardą nutą.

- Chcesz, bym cię zarekomendowała Emiliuszowi Rufusowi z Herkulanum?

- Nie, dzięki.

- Więc się tam nie wybierasz!

- Wybiorę się, jeśli uznam, że powinienem! - oświadczyłem. Wydała okrzyk zniecierpliwienia, a ja próbowałem ją uspokoić. - Słuchaj, nie kłóćmy się... O, są już twoi ludzie. Chodź już, wisienko...

- Wisienko? - To ją rozbawiło, bo wybuchnęła tym swoim wyjątkowym, czarującym śmiechem.

- Czy Pertynaks nazywał cię jakimś specjalnym pieśczołliwym imieniem?

- Nie. - Jej śmiech zgasł raptownie. Niepotrzebny był żaden komentarz. Potem odwróciła się do mnie ze zdecydowanym spojrzeniem. - Powiesz mi coś? Czy to wtedy, kiedy pracowałeś w tamtym domu, zmieniłeś zdanie co do ciebie i mnie?

Odpowiedź musiała wyczytać z mojej twarzy.

Przypomniała mi się elegancja połączona z wygodą w domu na Kwirynale, który, jak wiedziałem, był prezentem ślubnym Marcela dla Heleny i Pertynaksa. Tylko bogowie wiedzieli, jakimi jeszcze luksusami obsypali młodą parę krewni i przyjaciele. Musieliśmy z Geminusem skatalogować część z nich. Szykretowe wezłowania łóż. Salaterki z mozaikowego szkła. Złote talerzyki z misternym ażurowym ornamentem. Egzotyczne, haftowane nakrycia godne królowej Dydony. Stoły z politurowanymi klonowymi wierzchami. Krzesła z kości słoniowej. Lampy stojące i kandelabry. Skrzynie z drewna kamforowego... i niezliczone idealne komplety łyżek.

- Marku, chyba nawet ty jesteś w stanie pojąć, że gdyby to dom był tym, na czym mi zależy, to nigdy bym nie doprowadziła do rozwodu z Pertynaksem?

- Staram się patrzeć realistycznie!

Helena odsunęła się ode mnie i wsiadła do lektyki, nim zdążyłem pomyśleć, jak mam się z nią pożegnać. Sama zamknęła za sobą połówkowe drzwiczki. Tragarze schylali się, by ująć drażki; chwyciłem za drzwiczki, chcąc ją zatrzymać.

- Przestań! - rzuciła rozkazująco.

- Poczekaj... zobaczę cię znowu?

- Nie, nie ma sensu.

- Jest! - rzuciłem z mocą. Musiał być.

Gestem nakazałem tragarzom, żeby się zatrzymali, ale oni przyjmowali polecenia wyłącznie od niej. Kiedy lektyką szarpnęło przy podnoszeniu,

dostrzegłem przez moment wyraz jej twarzy. Porównywała mnie z Pertynaksem. Odrzucenie przez męża, który był zbyt prostacki, by wiedzieć, co czyni, było już wystarczającym złem; choć żadna z senatorskich córek nie ma wiele do powiedzenia, jeśli chodzi o wybór małżonka, to jednak Pertynaks był niewłaściwym zapisem w rozrachunkowej księdze życia, takim, który należy przekląć i skreślić. Pójście wprost od niego do cynicznego kochanka, który zostawia ją, najpierw wykorzystawszy od niechcienia, było wyłącznie jej błędem.

Oczywiście mogłem jej powiedzieć, że takie rzeczy dzieją się codziennie. Kobiety, którym się wydaje, że swoje wiedzą, często wiążą się ze zdradzieckimi mężczyznami, których zaangażowanie trwa tylko, dopóki trwa łobuzerski uśmiezek, który doprowadza ich do łoża...

W przeciwieństwie do Heleny Justyny większość kobiet sobie wybacza.

Dokładnie w tej chwili, w której byłem już gotów wykazać się całkowitą szczerością, by ją zatrzymać, zaciągnęła zasłonkę, odcinając mnie od siebie. Nie musiałem zasięgać rady Sybilli kumańskiej, by zrozumieć, że Helena zamierzała usunąć mnie ze swojego życia na zawsze.

Nie zdążyłem powiedzieć, że ją kocham, stałem tam z otwartymi ustami, podczas gdy tragarze, szczerząc się szyderczo, ponieśli swoją panią.





CZEŚĆ 4

MUZYKOWANIE W HERKULANUM

ZATOKA NEAPOLITAŃSKA

lipiec

*Być może oczekujesz trupy hiszpańskich tancerek, dziewcząt egipskich,
z ich swawolnymi piosenkami i zachowaniem (...).*

Juvenalis, Satyra XI



XLII

Herkulanum było bardzo małe, bardzo senne i jeśli mieszkały tam jakiegokolwiek interesujące kobiety, to ukrywały się za zamkniętymi drzwiami.

Ulice były czyste. W Pompejach rada miejska kazała ułożyć kamienie, żeby piesi nie musieli brodzić w nieczystościach zalewających ulice; radcy w Herkulanum wierzyli w szersze chodniki - wystarczająco szerokie, by pomieścić zgromadzenie handlarzy gorącymi plackami, tyle że było to akurat takie miejsce, w którym za plackami nie przepadano. I w Herkulanum brudy nigdy nie wychodziły na światło dzienne.

Nie znosiłem tego miasta. Miało gustowne, porządnie wyszorowane domy, będące własnością ludzi bez charakteru, którzy mieli o sobie wysokie mniemanie. Mieszkali przy małych zadbanych uliczkach. Mężczyźni spędzali dni na liczeniu pieniędzy (mieli ich mnóstwo), podczas gdy ich poczciwe żony noszono w zakrytych lektykach od progu ich własnych bezpiecznych domów do domów innych szacownych kobiet, gdzie przy talerzykach z migdałowymi ciasteczkami paplały o niczym, dopóki nie przyszła pora wracać do siebie.

Inaczej niż w Pompejach, gdzie musieliśmy krzyczeć, żeby się nawzajem słyszeć, w Herkulanum człowiek mógł stanąć na forum, w samym środku miasta, i wciąż słyszeć mewy w porcie. Jeśli tutaj zapłakało dziecko, opiekunka biegła, by je uciszyć, zanim zostało oskarżone o zakłócanie spokoju. W tutejszym amfiteatrze gladiatorzy musieli mówić „Proszę o wybaczenie!” za każdym razem, kiedy ośmielili się być tak nieuprzejmi, by drasnąć przeciwnika.

Mówiąc szczerze, tutaj miałem ochotę wskoczyć na fontannę i wrzasnąć coś sprośnego.

Zostawiliśmy sobie ten ul przeciętności na koniec, bo tak serdecznie tego miejsca nie znosiłem. Nasz przyjaciel Wentrykul z Pompejów zdążył mnie

poinformować, że zużyje większość mojego ołowiu, realizując zamówienia, które już u nas złożono. (Stało się to wcześniej, niż oczekiwałem, choć nie byłem tym specjalnie zaskoczony; spodziewałem się, że hydraulik nieco mnie oszukał, zgodnie z obyczajem swojego fachu). Zatem nadeszła moja ostatnia szansa. Byliśmy tutaj z Neronem i ostatnim ładunkiem próbek, z nadzieją, że wywiem się bliżej, jakie są zamiary Aufidiusza Kryspusa (czy nawet, jeśli szczęście by mi tym razem wyjątkowo dopisało, odkryjemy, gdzie ten nieuchwytny osobnik zamelinował swój piękny statek).

Nie zamierzałem odwiedzać sędziego, którego wspomniała Helena Justyna. Byłem bystry; byłem twardy; byłem dobry w swojej robocie. Nie potrzebowałem samozwańczego nadzorcy. Sam sobie znajdę potrzebne mi informacje.

Kiedy więc weszylem wokół Herkulanum, poszukując ich, przyznałem się Lariuszowi, że osiągnęliśmy już tę granicę wydatków, do jakiej Wespazjan był skłonny je pokryć.

- Czy to znaczy, że nie mamy pieniędzy?
- Tak... on jest bardzo skąpy w wypadku porażki.
- A zapłaciliby ci więcej, gdybyś coś wykrył?
- Gdyby uważał, że warto.

Niektórzy w tej sytuacji wpadliby w panikę; ja sam czułem się niepewnie. Tymczasem Lariusz oświadczył ze stoickim spokojem:

- W takim razie lepiej coś szybko wykryjmy!

Podobało mi się podejście mojego siostrzeńca. Postrzegał życie w prostych kategoriach. Znowu zacząłem się zastanawiać, w jakiej mierze to nieustraszone podejście najstarszego syna Galli może okazać się atutem w takiej jak moja robocie. Wspomniałem to, kiedy Neron zbliżał się do szerokiej głównej ulicy (nosiła nazwę Decumanus Maximus, czyli taką samą jak w każdej innej dziurze). Na moje rady dotyczące jego zawodowej kariery Lariusz odpowiedział, że Wentrykul przedstawił go pewnemu malarzowi, który zaproponował mu na lato zajęcie przy malowaniu postaci na fryzach...

Nie miałem o tym pojęcia i bardzo mnie to rozdrażniło. Powiedziałem siostrzeńcowi, co myślę o artystach. Wysunął podbródek z irytującą nieustraszczością, którą przed chwilą podziwiałem.

Ta konkretna ulica Decumanus Maximus była najczystsza i najcichsza, jaką w życiu widziałem. Częściowo za sprawą nieskazitelnie ubranego miejskiego strażnika, który patrolował ją tak regularnie, że szanowni obywatele, jeśli chcieli wiedzieć, czy już pora na kolację, mogli go pytać o godzinę. Służył też swojej społeczności, informując takich jak my wałkoni, że ruch kołowy na głównym bulwarze Herkulanum jest zabroniony.

Tuż przed tym, kiedy wyrzucił to z siebie, zauważyłem słupki stojące niczym kamienie milowe i blokujące nam drogę. Zdążyliśmy w stronę sądu (już widziałem, jak promienie słońca odbijają się od spiżowego woźnicy rydwana przed elegancką budowlą). Kawałek dalej ulica kończyła się łukiem, pod którym zapewne przechodziło się na forum. Stanęliśmy obok rzędu sklepów, przy fontannie, którą Neron ostrożnie obwąchiwał.

Nie cierpię zwolenników surowej dyscypliny. Ten kazał nam zjeżdżać z

Decumanus, wykazując się manierami typowymi dla prowincjonalnych urzędasów, to znaczy - okropnymi. Miałem wielką ochotę powiedzieć mu, gdzie sobie może wsadzić swoją łaskę, nawet gdyby miało to oznaczać wyrzucenie nas z miasta... kiedy zauważyłem spojrzenie Lariusza.

- Powiedz mu tylko, że przepraszamy i już nas nie ma! - doradził.

Nie mogłem zwać na gościa całej winy za to, że nas zbluzgał. Popelniliśmy z siostrzeńcem błąd, fundując sobie tanie wakacyjne strzyżenie z okropnym, jak się należało spodziewać, skutkiem. W Pompejach poszliśmy do fryzjera pracującego na świeżym powietrzu obok koszar gladiatorów, któremu doprowadzenie nas do wyglądu morderców zabrało aż trzy godziny. Poza tym jedliśmy akurat sardynki zawinięte w winogronowe liście, czego żaden mieszkaniec Herkulanum nigdy by nie śmiał robić na ulicy.

Skierowaliśmy się w dół wzgórza, w stronę portu. W obie strony odchodziły boczne uliczki; miasteczko zbudowano na pedantycznym greckim planie. Żeby oszczędzić mi kłopotów, Neron sam wybrał kierunek. Pośród malowniczych domów z wysuniętymi balkonami i pilastrami, rzucającymi cień na chodniki, rozgrywały się scenki rodzajowe; mężczyzna wyplatający koszyki zdrzemnął się na stołku, stara kobieta, która wyszła po sałatę, wyrzekała na współczesne społeczeństwo do jakiejś innej jędzy, która wyszła po chleb. W taki właśnie wir życia wyższych sfer Herkulanum rzucił się gorliwie nasz szalony wół.

Katastrofa nastąpiła błyskawicznie, jak to one mają w zwyczaju.

Neron gwałtownie skręcił w prawo. Przed noclegownią stał uwiązany osiołek handlarza, młody silny samiec z kształtnymi uszami i zawadiackim zadem. Neron dojrzał wielką namiętność swojego życia.

Skręciwszy, walnął wózką w portyk piekarza. Waga ołowiu utrzymała wóz w miejscu, więc wół się uwolnił. Wibracje wywołane jego radosnym rykiem strąciły cztery rzędy dachówek. Wyroby ceramiczne fruwały mu spod kopyt, kiedy pozbywszy się nas, ruszył między towary jakiegoś garnarza owym szczególnym drobnym kroczeniem z wyrzucaniem nóg, charakterystycznym dla byka, który zerwał się z uwięzi i tylko czeka z gotowymi rogami, by ktoś się do niego zbliżył. Te jego części, które rzekomo uległy rozbrojeniu, kołysały się ciężko, z groźnymi implikacjami dla osła.

Kobiety wypadły na balkony. W kolumnadach na poziomie ulicy dzieci piszczwały z przerażenia, po czym zamilkły, zafascynowane widokiem. Uchwyciłem powróż, który trzymaliśmy, by owijać nim rogi wołu, i rzuciłem się za nim, dosięgając go w chwili, kiedy właśnie stawał dęba i opadał na swojego nowego przyjaciela. Kłapouch rzeził i wrzeszczał o gwałcie. Jakiś niezorientowany chłopak z piekarni uwiesił się Neronowi na ogonie. Po chwili mnie samemu wyparło dech z piersi, kiedy ten kawał kopulującego wołu wykonał zwrot, żeby uwolnić zad, przy okazji ciskając mną o ścianę noclegowni.

Ściana, wykonana ze zwykłego gruzu w wiklinowej ramie, ugięła się pode mną, co zapobiegło złamaniu żeber.

Odbiłem się od niej w chmurze z kawałków tynku i pyłu. Lariusz biegał tymczasem po linii bocznej i wywrzaskiwał bezużyteczne rady. Tak

naprawdę potrzebny był mi portowy żuraw. Uciekłbym i ukrył się gdzieś, tyle że jedna piąta tego ogarniętego obsesją bydłęcia należała do Petroniusza Longusa, mojego najlepszego przyjaciela.

Ludzie starali się ratować kłapoucha wszystkim, co mieli pod ręką. Często jednak niechcący trafiali Lariusza i mnie. Moja twarz natknęła się na pospiesznie wylaną z kubła wodę (czy coś tam), a mój siostrzeniec oberwał mocno kabaczkim we wrażliwą część szyi. Osioł usiłował wierzgać tylnymi nogami, wykazując charakter, ale ponieważ utknął już pod spodem, mógł się jedynie przygotować na przykrą niespodziankę.

W tej chwili Neronowej chwały uratował nas los. Nogi jego ofiary nie wytrzymały (obawiałem się raczej o serce). Osioł i wół zwałili się na ziemię. Kłapouch zerwał się, drżąc cały, z dzikim spojrzeniem w oku. Szybkim ruchem zarzuciłem Neronowi pętlę na tylną nogę, Lariusz usiadł mu na głowie; nasz moczarsz szarpał się jak szalony... po czym nagle się poddał.

Powinniśmy zostać bohaterami chwili. Owszem, nie wątpię, że pojawi się problem dotyczący rekompensaty za uszkodzony fronton sklepu i być może roszczeń związanych z jakimiś mało znanymi prawami małżeńskimi cesarza Augusta, za pozwolenie zwierzęciu pociągowemu cudzołożenia z osłem. Natomiast to, co się wydarzyło, było o wiele bardziej interesujące. Strażnik z Decumanus Maximus zauważył, że wykrzykując do naszego wołu, używamy cesarskiego imienia. Zapewniliśmy go, że się przesłyszał. Zawołaliśmy do Nerona „Kropa”; głupek nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Wołaliśmy więc do niego „Neron” i też nie reagował, ale to się najwyraźniej nie liczyło. Aresztowano nas obu. Za bluźnierstwo.



XLIII

Więzieniem dla włóczęgów był przystosowany do tego celu sklepik obok świątyni.

- No tak, to mamy coś nowego! - zachichotałem.

Mój siostrzeniec znowu przybrał swoją dawną markotną minę.

- Wujku, jak powiesz mojej matce, że trafiłem do więzienia?

- Myślę, że to nie będzie łatwe.

Dozorcą więziennym był zyczliwy matolek, który podzielił się z nami swoim południowym posiłkiem. Miał na imię Roscjusz, siwą brodę w kształcie łopaty i bokobrody. Z jego miłego obejścia domyśliliśmy się, że Herkulanum należy do tej kategorii poślednich miast, w których dość często aresztuje się niewinnych przybyszów. Była tu piwnica, do której wrzucał każdego, kto wyglądał odrobinę obco, ale my dwaj dostąpiliśmy zaszczytu przykucia do ławki, gdzie mógł z nami pogawędzić.

- Znasz senatora Kryspusa? - spytałem, głównie po to, żeby swoją niewzruszoną fachowością zrobić wrażenie na Lariuszu.

- Nie, Falko. - Strażnik był człowiekiem, u którego mówienie wyprzedzało myślenie. - Chyba nie Aufidiusza Kryspusa? Miał dom w Herkulanum. Sprzedał go, żeby kupić statek...

- Widziałeś go ostatnio?

- Nie, Falko. - Pomyślał i tym razem wybrał wariant ostrożność. Lariuszowi wydawało się, że to do niczego nie prowadzi.

- Pokaż Roscjuszowi swój dokument! - poradził.

Dozorca przeczytał i zwrócił mi go. Zdesperowany Lariusz zamknął oczy. Ponownie podsunąłem dokument pod nos Roscjuszowi.

- Aha! - skonstatował, nie chwytając, o co chodzi, ale dochodząc do wniosku, że może o coś chodzić.

- Roscjuszu, mój przyjacielu, czy mógłbyś przekazać to jakiemuś sędziemu? Jeśli jest taki, który nazywa się Emiliusz Rufus, to najlepiej żebyś wybrał właśnie jego - odezwałem się łagodnym tonem.

Było to co prawda wbrew moim wcześniejszym zamierzeniom, jednakże kimkolwiek była ta osoba, która szykowała jedzenie dozorczy, użyła wędliny, której krawędzie zdążyły już przybrać złowieszczo ciemny odcień. Nasi krewni znajdowali się zbyt daleko, by dostarczyć nam prowiant. Oceniałem, że mam jakieś trzy godziny, nim wygłodzony żołądek mojego siostrzeńca doświadczy bardzo nieprzyjemnych skutków ubocznych.

Roscjusz posłał moje dokumenty do przyjaciela Heleny. Popijaliśmy z jego butli na zmianę i wszyscy się lekko wstawiliśmy.

Pod koniec spokojnego popołudnia pojawiło się dwóch niewolników z informacją, że jeden z nas, złoczyńców, będzie musiał pozostać pod kluczem, ale drugi może udać się z nimi. Wytłumaczyłem Lariuszowi, że to on musi zostać jako zakładnik, skoro Rufus jest przyjacielem mojej przyjaciółki.

- Tylko się pospiesz, dobrze? - warknął skarb mojej siostry Galii. - Mógłbym zjeść konia z kopytami!

Dom Emiliusza Rufusa był skromny, bo jego właściciel miał pewnie w innym miejscu jakieś architektoniczne cudo. W tym panowała atmosfera rzadko odwiedzanego muzeum. Urządzony był w ciężkim stylu, z fryzami przedstawiającymi sceny bitewne i wytwornymi kanciastymi meblami, ustawionymi tak precyzyjnie, że bałbym się na czymś usiąść, żeby nie przesunąć nóżki mebla z przypisanego jej miejsca. W tym domu nie było dzieci, zwierzątek, szmeru fontanny ani żywych roślin. Jeśli jakiś gekon mieszkał na ponuro malowanych sufitach, to starał się nie wychylać.

Jego Sędziowska Mość przebywał na tarasie, gdzie przynajmniej panował nieporządek charakterystyczny dla większości takich miejsc. Rozłożeni tam ludzie rozmawiali uprzejmie półgłosem, chociaż kiedy ja się pojawiłem w słonecznym świetle, wykorzystali tę okazję, żeby zamilknąć. Po ciężkim dniu walki z ogarniającą go sennością w sali sądowej Rufus odpoczywał wyciągnięty na całą długość, z wielkim pucharem przyciśniętym do piersi: widok napawający nadzieją.

Był w towarzystwie szczupłej szlachetnie urodzonej kobiety, zapewne siostry, i jakiejś młodszej pannicy. Na wiklinowym stoliku dojrzałem nieodłączny półmisek ze słodyczami. Siostra sędziego sięgała po nie od czasu do czasu, podczas gdy jej gość beztrąsko się nimi zajadał. Gościem była Helena Justyna. Uczyniła mi wielki zaszczyt, przerywając jedzenie na chwilę, kiedy się pojawiłem.

Tego się nie da uniknąć. Ledwie jej powiesz: żegnaj na zawsze,

natychmiast, gdziekolwiek pójdziesz, natkniesz się na nią. Zatem teraz moja pani siedziała sobie na tarasie w Herkulanum, zlizując z palców mielone migdały; na brodzie miała nęcącą plamkę miodu, którą sam chętnie bym zlizał.

Była ubrana na biało, jak lubiłem, i siedziała bardzo cicho, za czym nie przepadałem. Zignorowała mnie, ale nie dałem się zniechęcić.

Znamienity Sekstus Emiliusz Rufus Klemens, syn Sekstusa, wnuk Gajusza, z okręgu Falernia, trybun, edyl, honorowy kapłan kolegium kierującego sprawami kultu Augusta, a obecnie znaczący pretor, wychylił się nad oparciem łoża, a ja zamarłem z wrażenia. Witła mnie bowiem niezłej jakości kopia posągu Apollina, stworzonego przez Praksytelesa. Gdybym postawił go na cokole bez ubrania i z zamyślonym wyrazem twarzy, Geminus kupiłby go bez chwili wahania. Klasyczne rysy; malująca się na twarzy inteligencja; zaskakująco jasna karnacja w tym rzadkim, doskonałym połączeniu z wyjątkowo ciemnymi, brązowymi oczyma. Przyjaciel Heleny Justyny był tak przystojny, że aż się chciało potrzeć go poślinionym palcem i sprawdzić, czy nie zejdzie z niego trochę tego piękna.

Jego publiczna kariera przebiegała bardzo szybko. Nie dawałem mu wiele ponad trzydziestkę. Za pięć lat będzie dowodził legionem w jednej z lepszych prowincji, a za dziesięć bez trudu zostanie konsulem. Ponieważ mieszkał z siostrą, domyślałem się, że jest kawalerem, choć nie przeszkodziło mu to w zbieraniu głosów wyborców. Powodem, dla którego pozostał osobą samotną, było pewnie to, że miał w kim wybierać i nie mógł się zdecydować.

Podniósł moje dokumenty ze srebrnego stolika, przeczytał, potem spojrzał mi prosto w oczy.

- Dydiusz Falko? Witamy w Herkulanum! - Obdarzył mnie szczerym, otwartym uśmiechem, jak człowiek, który zachowuje się uczciwie, choć przypuszczałem, że nie jest lepszy od całej reszty. - Jak rozumiem, ktoś musi pocieszać swojego wstrząśniętego osiołka, który nigdy już nie będzie taki jak przedtem... Zatem, jak właściwie brzmi imię twojego wołu?

- Kropa! - oświadczyłem zdecydowanym głosem.

Uśmiechnął się. Ja też. Ta przyjacielskość nie mogła potrwać długo.

- Mój siostrzeniec i ja - powiedziałem z naciskiem, dbając o nasze sprawy - spędziliśmy upokarzający ranek i zamierzamy wnieść oskarżenie o bezpodstawne aresztowanie. Neron był jednym z niewielu cesarzy, którym udało się uniknąć zaszczytu ubóstwienia.

- W Kampanii jest święty, Falkonie. Ożenił się z tutejszą dziewczyną!

- Brednie! Czy Poppei Sabinie nie przydarzyło się nieszczęście, kiedy kopnął ją w brzuch, choć była brzemienna?

- Rodzinna sprzeczka, o której porządni mieszkańcy Kampanii wolą zapomnieć! - Piękny herkulański sędzia posłał mi kolejny uśmiech, błyskając bielą nieskazitelnych zębów. - Zgadzam się. Błuznierstwo wydaje się oskarżeniem przesadnym. A gdybym tak zamiast tego zapytał cię o niezbyt konwencjonalne dostawy ołowiu?

Jego przeprasający ton był wysoce denerwujący. Wołę bezpośrednio pytania, którym towarzyszy żołnierskie kolano wbite w moje kruche ciało.

- Jakiś problem, panie? Jak mogę pomóc?

- Były przypadki - zaczął Rufus, z łagodnością, od której skręcała mi się wątroba - skarg.

- O, tego to już nie pojmuję! - zaprotestowałem oburzony. - Sprzedajemy towar najwyższej jakości, z Brytanii, i dokładamy wszelkich starań, by robota była fachowa!

- To nie twoi klienci narzekają - oświadczył Rufus. - To oficjalni przedsiębiorcy, którym zbijasz ceny.

- Trudno - oświadczyłem. Przegrywałem bitwę, nad którą nie miałem kontroli; bardzo męczące zajęcie. Sędzia wzruszył ramionami.

- Jest więcej tego ołowiu?

- Nie, panie, to była reszta.

- Świetnie. Możesz zabrać swojego wołu ze stajni, ale ołów będę musiał skonfiskować, jeśli nie pokażesz świadectwa własności.

Jak na człowieka z takim wspaniałym profilem jego przedsiębiorczość była godna podziwu.

Teraz, kiedy już było jasne, że zwędził mi moje próbki, zostaliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Gestem wskazał, bym usiadł na stołku i poczęstował się winem, które sam popijał: był to gładko spływający w gardło trunk, który mój przyjaciel Petroniusz, specjalista w tej materii, w pełni by docenił.

- To bardzo uprzejme... czy panie do nas dołączają?

Jego dwie wytworne towarzyszkę trzymały się na uboczu, chociaż dobrze wiedzieliśmy, że wsłuchują się w naszą rozmowę. Rufus konspiracyjnie zasłonił oczy w męskim, porozumiewawczym geście, kiedy panie łaskawie odwróciły się w naszą stronę, pobrzękując bransoletami i pokazując, jaki robimy im kłopot.

- Moja siostra Emilia Fausta... - powiedział sędzia. Złożyłem głęboki ukłon; jej przyjaciółka poznała się na sztuczce. - Helenę Justynę, jak wiem, znasz. Właśnie nam mówiła, co o tobie myśli...

- Och, jest typowym mężczyzną! - kpiła sobie Helena, nigdy nie tracąc okazji. - Ma okropnych przyjaciół, niemądre przyzwyczajenia, a jego błazeństwa mnie rozśmieszają!

Rufus rzucił mi bystre, zaciekawione spojrzenie.

- Córnka Kamila Werusa jest osobą, którą darzę najwyższym szacunkiem! - oświadczyłem z pełną powagą. Zabrzmiało to nieprzekonująco; prawda często tak brzmi.

Helena mruknęła coś pod nosem i Rufus się roześmiał. Zwinął serwetkę i rzucił w nią; odrzuciła mu z lekkością charakterystyczną dla starych przyjaciół rodziny. Wyobrażałem sobie ich wczesną młodość spędzaną tutaj podczas długich letnich wakacji, wspólne pływanie, żeglowanie i zabawy. Rejsy do Surrentum. Wyprawy na Capri. Do Bajów. Nad jezioro Awernus. Ukradkowe pocałunki w jaskini Sybilli w Kume... Potrafiłem sobie wyobrazić, jakie wrażenie taka jaśniejąca męska uroda musiała robić na Helenie Justynie, kiedy była dorastającym dziewczęciem. Może wciąż robiła.

Cierpkie wino w więzieniu i to łagodne na słonecznym tarasie nappełniły mnie przyjemnym uczuciem bez troski. Uśmiechałem się promiennie do

pań, a potem rozsiadłem wygodnie, by się delektować trunkiem.

- Pracujesz dla Wespazjana - odezwał się sędzia. - W takim razie co sprowadza cię tutaj? - Odgrywał rolę niewinnego gospodarza o doskonałych manierach, zarazem starając się szybko dojść do tego, co może mnie interesować na jego terenie.

Polegając na rozsądku Heleny, która mnie przecież tu posłała, odpowiedziałem:

- Cesarz chce odnaleźć senatora Kryspusa. Jest gdzieś tutaj, choć ludzie najwyraźniej nie mają ochoty się przyznać, że go widzieli...

- Och, ja go widziałem!

- Nic mi nie powiedziałeś! - To siostra sędziego odezwała się po raz pierwszy; ostrym, niemalże rozdrażnionym głosem.

Rufus spojrział na nią.

- Rzeczywiście. - Ton jego głosu nie był kłótniwy, nie było też w nim przeprosin.

Przypomniałem sobie, jak Helena mówiła, że Emilia Fausta miała wyjść za Kryspusa, ale on nie dotrzymał zawartej umowy. Takie zachowanie oblubieńca mogło zostać uznane za obrazę w stosunku do jej rodziny; brat na pewno nie pochwałałby jej dalszego zainteresowania tym mężczyzną.

- Aufidiusz Kryspus skontaktował się niedawno ze mną. Spotkaliśmy się w łaźniach w Stabiach - powiedział, zwracając się do mnie.

- Był jakiś konkretny powód tego kontaktu?

- Nie. Nic szczególnego - odparł sędzia spokojnie. Rzeczywiście, co taki wymuskany młody patrycjusz mógłby mieć do powtórzenia takiemu obwiesiowi jak ja.

- To twój szczególny przyjaciel, panie?

- Przyjaciel, owszem. Szczególny, nie.

Uśmiechnąłem się do niego uprzejmie.

- Nie chcę się wydać wścibski. Wiem, że ma pewne związki z twoją rodziną. Małżeństwa planowane w wyższych sferach są wydarzeniami publicznymi.

Prawdę mówiąc, współczułem mu; sam miałem siostry. Poza tym było mi gorąco i znowu znajdowałem się o krok od upicia. Zesztywniał, po czym potwierdził moje słowa.

- Moją siostrę spotkało rozczarowanie. Musimy jej to jakoś wynagrodzić. Emilia Fausta miała nadzieję zająć się tego lata muzyką, niestety, nie udało mi się dotąd znaleźć dla niej odpowiedniego nauczyciela...

- A to pech! - wymamrotałem niewinnym tonem.

- Słyszałem, Falkonie, że masz wiele różnych talentów. Chyba nie grasz, co? - zainteresował się. Skonfiskowawszy moje źródło utrzymania, Rufus musiał dojść do logicznego wniosku, że potrzebne mi jest jakieś inne.

Popatrzyłem zamyślonym wzrokiem na jego siostrę, po czym spróbowałem ukryć pesymizm.

Emilia Fausta wyglądała na przygnębioną i trudno ją było za to winić; wyobraziłem sobie, jak przykra musi być sytuacja, kiedy jest się całkiem zwyczajną siostrą jakiegoś bajecznie pięknego dzieła sztuki, które przyciąga uwagę wszystkich, gdziekolwiek się pojawi. Pasowała do ich

domu - staroświecka i nieporuszona, niczym zabytkowy wyniosły grecki posąg, który od lat zbiera kurz w galerii. Nie miała okazji nauczyć się sprawiania innym przyjemności i nie było w tym jej winy. Nosiła szaty w kolorach tych mniej cenionych klejnotów - brudnej żółci turmalinu albo tej mdłej, oliwkowej zieleni chryzolit. Pod warstwą bieli ołowiowej, marszczącej się w ciepłe niczym maska marionetki, kryła się niezdrowa cera. Nawet tutaj, na wysoko usytuowanym tarasie, gdzie wiała przyjemna bryza od morza, na jej gładkiej, jasnej głowie nie śmiał drgnąć żaden włos, a ona na pewno by się zirytowała, gdyby spróbował. Jej włosy miały akurat ten najmniej ciekawy odcień miodu.

Mimo wszystko była młodą kobietą. Zbyt dojrzałą, by pozostawać niezamężną bez poważnego powodu, choć miała przecież co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Jej brat zgarnął wszystko co najlepsze, jeśli chodzi o rodzinne rysy, ale ona na pewno jest wykształcona i bogata i, inaczej niż w wypadku jej przyjaciółki Heleny, można iść z nią w gości bez obawy, że pochłonie wszystkie ciasteczka migdałowe, jakie znajdą się w zasięgu jej ręki. Gdyby jeszcze odważyła się uśmiechać, byłaby może nawet na swój sposób atrakcyjna, dla mężczyzny w odpowiednim nastroju. Zdmuchnąć z niej ten puder, pogonić po świeżym powietrzu, poszczypać we właściwe miejsca, aż zacznie podskakiwać i popiskiwać... i można by ze szlachetnej Emilii zrobić w miarę smaczny kasek...

Oczy Heleny Justyny miały błyskawice, więc natychmiast oświadczyłem, że z radością podejmę się tego zadania.



XLIV

Miałem lepsze rzeczy do roboty, niż kręcić się w pobliżu z nadzieją, że usłyszę choć jedno słówko od kobiety, skoro i tak tym słówkiem byłoby „żegnaj”. Popędziłem z powrotem do więzienia, żeby uwolnić Lariusza. Zabrałem go do jadalni, a potem obaj odzyskaliśmy skompromitowanego Petroniuszowego wołu. W stajni Neron zaprzyjaźnił się z końmi i mułami. Był jak dziecko na przyjęciu; nie chciał iść do domu.

- Wygląda na zmęczonego - zauważył Lariusz, kiedy wypchnęliśmy bestię na dwór, żeby założyć mu uprząż. - Nie dziwota!

Wysłałem Lariusza z wozem do Oplontis. Skoro żaden mężczyzna nie chce, by jego uczeń kręcił się w pobliżu, kiedy on udziela damie lekcji gry na kitarze, zgodziłem się, by malował ściany. Podkreśliłem, że tymczasowo; Lariusz bez przekonania skinął głową.

Jako nauczyciel muzyki zamieszkałem w domu sędziego. Pozwoliło mi to oszczędzić na wynajmie lokum, ale miejsce to miało nieprzyjemną zimną atmosferę opustoszałego domostwa. Przejścia pomiędzy pokojami, które ja bym zostawił otwarte, żeby widać było toczące się w nich życie, zasłonięto kotarami, co robiło ponure wrażenie. Wszystkie łoża miały ostre kanty, jakby czatowały na nasze piszczele. W ciągu dnia w kuchni panował nieustanny chaos, a wieczorami zawsze brakowało lamp. Rufus na ogół jadał poza domem; najwidoczniej zauważył, że jego kucharz nie ma pojęcia o gotowaniu.

W związku z moim nowym zajęciem uzbroiłem się w takie muzyczne zapisy, jakie udało mi się znaleźć w mieście. Emiliusz Rufus miał rację, twierdząc, że ludzie są tu ciągle lojalni wobec cesarza Nerona. W tydzień po jego samobójstwie wszystkie rzymskie sklepy wymiotły ze swoich półek papyrusy z zapisem wymyślonych przez cesarza melodyjek, śląc je na targowisko, by posłużyły do zawijania ryb. W Kampanii natomiast zostało ich mnóstwo. Dla początkującego te Neronowe bzdury wydawały się idealne. Jego utwory były niewiarygodnie długie, co pozwalało Fauście ćwiczyć bez końca, były też powolne, to znów mogło dodać jej pewności siebie, i co więcej, były bardzo łatwe do grania.

Zwykła lira byłaby łatwiejsza, ale z typowym dla siebie uporem Emilia Fausta zdecydowała się stawić czoło profesjonalnemu wyzwaniu za pośrednictwem kitary. Uroczy instrument; z owalnym pudłem rezonansowym ozdobionym macicą perłową, którego ramiona elegancką linią wznosiły się ku górze, a wykonana z kości słoniowej poprzeczka podtrzymywała siedem strun. Jak dobrze ja sam umiałem grać na kitarze, pozostawiam tu sprawą otwartą (choć kiedy byłem w wojsku, miałem własny flet, za pomocą którego potrafiłem wywołać sporo zamętu). Emilia Fausta nie zamierzała uciekać z domu, by dołączyć do grupy wędrownych grajków; uważałem więc, że potrafię dać jej wystarczające podstawy, by mogła się popisywać przed podpitymi gośćmi na ucztach. I nie byłby to pierwszy raz, kiedy nauczyciel udziela lekcji, opierając się na informacjach zdobytych poprzedniego dnia podczas pospiesznej lektury.

Dama nie była jednak pozbawiona pewnej dozy sceptycyzmu, jakiej należało się spodziewać po przyjaciółce Heleny. Raz spytała mnie, czy dużo grywałem.

- Pani. Lekcje muzyki to jak uprawianie miłości. Nieważne, jak dobrze to robię, ale czy potrafię wydobyć z ciebie to, co najlepsze! - oświadczyłem bez zmrużenia oka.

Nie miała poczucia humoru. Jej sowie oczy wpatrywały się we mnie z niepokojem.

Nauczyciele, którzy sami dobrze grają, są dość egocentryczni. Jej był potrzebny ktoś taki jak ja; łagodne dłonie, wrażliwa natura... i umiejętność wyjaśnienia prostym językiem, w jakim miejscu popełnia błąd. Właśnie tak: jak przy uprawianiu miłości.

- Jesteś żonaty, Falkonie? - spytała. Większość z nich o to pyta.

Obdarzyłem ją swoim niewinnym kawalerskim uśmiechem.

Kiedy to już zostało wyjaśnione, Emilia Fausta pociągnęła dalej cesarską melodyjkę, podczas gdy ja objąłem się, przygotowując kolejny wykład na temat skali diatonicznej. (Przyznaję, że na ten temat z wielką biegłością wypowiadać się nie mogłem).

Lekcje odbywały się w domu. Żeby nie drażnić sąsiadów. (Nie zapłacili za bilety. Dlaczego dostarczać im darmowej rozrywki?) Siedziała z nami pokojówka, dla przyzwoitości, co przynajmniej podczas nudnych pasaży pozwalało mi przyglądać się tej dziewczynie w niestosowny sposób.

- Wydaje się, żeś to, pani, opanowała. Spróbuj jeszcze raz, pomijając powtórzenia...

W tym momencie pokojówka, która zszywała boki tuniki, wydała

okrzyk, bo przewróciło jej się naczynie ze szpilkami. Opuściła się na czworaki, żeby je pozbiierać, wobec czego ja też znalazłem się na podłodze, jako osoba zawsze pomocna. Ludzie, którzy chodzą do teatru, mogliby przypuszczać, że pokojówka wykorzysta ten moment, żeby wsunąć mi do ręki liściki. Nie grała w komedii, więc nie wsunęła i wcale mnie to nie zdziwiło. Ja żyję w świecie realnym. Gdzie, możecie mi wierzyć, pokojówki bardzo rzadko przekazują detektywom liściki.

Niemniej w kolanach dziewczęcia dojrzałem słodkie dołeczki, zauważyłem też czarne, trzepoczące rzęsy i drobne dłonie... więc nie miałem nic przeciwko temu, by spędzić z nią na podłodze kilka chwil. Emilia Fausta grała energicznie na swojej kitarze, a nam udało się odnaleźć większość szpilek.

Kiedy się podniosłem, szlachetna pani odesłała dziewczynę.

- Nareszcie sami! - zawołałem wesoło.

Fausta rzuciła mi zdziwione spojrzenie. Przerwałem jej w połowie akordu i ze znaczącą, zatroskaną miną, będącą częścią mojego zawodowego wyposażenia, odstawiłem instrument. Robiła wrażenie zaniepokojonej. Celowo zajrzałem jej głęboko w oczy (mówiąc szczerze, nie najpiękniejsze, jakie w życiu oglądałem w ramach swojej pracy).

- Emilio Fausto, powiedz mi, proszę, dlaczego zawsze jesteś taka smutna - spytałem.

Doskonale wiedziałem dlaczego. Siostra sędziego spędzała zbyt dużo czasu, rozmyślając nad utraconymi możliwościami. Brakowało jej pewności siebie; prawdopodobnie zawsze tak było. Naprawdę irytujące było to, że garderobiane malują na jej dwudziestoletnich rysach twarz czterdziestolatki. Mimo tych wszystkich srebrnych lusterek, jakie niewątpliwie posiadała, nigdy się sobie dobrze nie przyjrzała.

- Bardzo chętnie posłucham - zachęcałem ją lekkim głosem. Moja uczennica pozwoliła sobie na znaczące westchnięcie, które było bardziej obiecujące. - Gość jest niewiele wart, jeśli cię unieszczęśliwia... Czy miałabyś ochotę o tym porozmawiać, pani?

- Nie - odparła. Typowa dla mnie miara sukcesu.

Siedziałem w milczeniu, z miną osoby, którą zlekceważono, po czym znaczącym ruchem wręczyłem jej instrument. Wzięła go ode mnie, ale nie zamierzała grać.

- Przydarza się każdemu - zapewniłem ją. - Ci, którzy się kręcą w pobliżu, to żalosne kundle, podczas gdy ci, których się chce, w ogóle na człowieka nie spojrzą!

- To samo mówi mój brat.

- Więc jak brzmi imię naszego bohatera? - zapytałem.

- Lucjusz - rzuciła. Utrzymywanie mnie w niepewności, podczas kiedy udawała, że nie rozumie mojego pytania, prawie ją rozśmieszyło. Czekałem, kiedy pęknie ta gruba warstwa pokrywającej usta czerwonej ochry, jednak górę wzięły jej normalna drażliwość i melancholia. - To Aufidiusz Kryspus. Przecież dobrze wiesz! - rzuciła ze złością.

Zignorowałem ten wybuch i poczekałem, aż się uspokoi.

- Więc co się stało? - zapytałem.

- Mieliśmy się pobrać. Ale on zwlekał i zwlekał. W końcu nawet ja

musiałam przyznać, że to odwlekanie nigdy się nie skończy.

- To się zdarza. Jeśli nie był pewien...

- Doskonale rozumiem wszystkie powody! - oświadczyła zbyt pośpiesznie.

- Nie wątpię! Jednak życie jest za krótkie, by cierpieć...

Emilia Fausta popatrzyła na mnie ciemnymi, znużonymi oczyma kobiety, która przez większość swojego życia była niepotrzebnie nieszczęśliwa. Nie znoszę widoku tak smutnych kobiet.

- Pozwól, że ci ulżę w kłopotach, pani. - Posłałem jej długie, smutne, wymowne spojrzenie.

Przybrała cierpko-kpiący wyraz twarzy, mający świadczyć o tym, że nie ma żadnych złudzeń co do własnych powabów.

- Wiesz, gdzie jest Kryspus? - spytałem, przerywając ciszę.

Każda rozsądna kobieta w tym momencie rozbiłaby mi kitarę na głowie.

Dramatyczne gesty były zupełnie zbędne; widziałem, że rzeczywiście nie ma pojęcia, gdzie się podziewa nasz żeglarz.

- Nie wiem. Też bym chciała wiedzieć! Jak go znajdziesz, powiesz mi? - poprosiła.

- Nie.

- Muszę go zobaczyć...

- Musisz go zapomnieć! Graj na kitarze, pani!

Posłuchała.

Wciąż jeszcze grała i nadal panował ten szczególny nastrój, który ktoś obcy mógłby kompletnie opacznie zinterpretować, kiedy usłyszeliśmy radosny głos.

- Sama trafię - zawołała Helena Justyna i wkroczyła do pokoju.

Demonstrowałem właśnie palcówki. Najlepiej robić to, usiadłszy obok uczennicy na podwójnym taborecie i objąwszy ją ramionami.

- Och, ślicznie! Nie przerywajcie! - zagruchała Helena swoim ironicznym tonem, od którego omal się nie zakrztusiłem.

Emilia Fausta z niezmałym spokojem grała dalej.

Dzień był ciepły, więc zarówno ja, jak i moja uczennica mieliśmy na sobie dość skąpe stroje. Do swojej muzycznej roli zawsze nakładałem wieniec laurowy; miał on tendencję do opadania na jedno oko, kiedy nachylałem się ku uczennicy (do czego nauczyciel gry na kitarze jest zobowiązany). Helena Justyna była ubrana praktycznie, w kilka warstw, a na głowie miała dość dziwny kapelusz przeciwsłoneczny (przypominał zwiedłą kapustę). Kontrast pomiędzy jej wyglądem a naszym był wiele mówiący.

Oparła się o ścianę wyłożoną marmurem, emanując monarszym niesmakiem.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki muzykalny, Falconie!

- Wywodzę się z długiej linii samouków brzdąkaczy i piskaczy. Ale tak naprawdę, to nie jest mój instrument.

- Pozwól, że zgadnę... fletnia Pana? - szydziła.

Czując się wyłączona z tej konwersacji, Emilia Fausta zaczęła brzdąkać dość majestatyczną wersję jakiegoś szalonego, bachicznego tańca.

Podejrzywałem, że panie mają ochotę poplotkować, więc odczekałem

tylko chwilę, by pokazać, czyja to decyzja, i wyszedłem. Wróciłem do swojej klitki i bez entuzjazmu oddałem się lekturze mającej mnie przygotować na kolejną lekcję z Faustą. Nie mogłem się skupić, wiedząc, że Helena jest w domu.

Nabrałem ochoty na zjedzenie czegoś i wyruszyłem na poszukiwanie jakiejś przekąski. Jedzenie było tu skromne i niezbyt smaczne. Z drugiej wszakże strony, było darmowe i jeśli tylko twój żołądek to znosił, mogłeś jeść, co chciałeś. (Sędzia trzymał osobistego medyka, na wypadek naprawdę poważnych komplikacji).

Wyszedłem na korytarz, pogwizdując donośnie, skoro zatrudniono mnie, bym wniósł do tego domu muzykę. Jakaś starsza, przerażona i oburzona kobiecina ze ścierką w ręku pobięła poskarżyć się Fauście. Panie przebywały w wewnętrznym ogrodzie; słyszałem pobrzękiwanie łyżeczek w wytwornych miseczkach. Nie było tam dla mnie miejsca. Postanowiłem wyjść.

Życie nigdy nie jest do końca beznadziejne. Kiedy przechodziłem obok korytarza odźwiernego, pokojówka Emilii Fausty wysunęła dłoń przez szparę w kotarze i wetknęła mi do ręki liścik.



XLV

Stałem na ulicy i ze słabym uśmiezkiem czytałem wiadomość.

- Wyglądasz podejrzanie! - oświadczyła za moimi plecami majestatyczna córka Kamila Werusa.

- To gra świateł... - wyjaśniłem. Ustawiłem się tak, żeby nie mogła mi czytać przez ramię, po czym udało mi się zmiąć kawałek papirusu i upuścić, jakby cały czas to właśnie było moim zamiarem. Uśmiechnąłem się do niej. - Pokojówka Emilii Fausty złożyła mi właśnie propozycję, którą muszę odrzucić.

- Och, jaka szkoda! - oświadczyła łagodnym tonem Helena.

Wsadziłem kciuki za pasek i powoli ruszyłem przed siebie, pozwalając, by do mnie dołączyła, jeśli zechce. Zechciała.

- Myślałem, że jesteśmy sobie obcy. Nie możesz zostawić mnie w spokoju?

- Nie pochlebiaj sobie, Falkonie. Chciałam zobaczyć Rufusa...

- A to pech. Właśnie prezentuje swój bajeczny apolliński profil w sądzie. Dwóch złodziei owiec i sprawa o zniesławienie. Domyślamy się, że złodzieje owiec dokonali tego czynu, natomiast oszczerstwo to wymysł. Bratanek skarżącego jest prawnikiem, który koniecznie musi się popisać...

- Nieźle się tutaj zadomowiłeś - przerwała mi. - Nigdy bym nie przypuszczała, że Emilia Fausta jest w twoim typie - uważała za konieczne dodać.

Szedłem dalej, odpowiadając jej ze spokojem:

- Ma w sobie jakiś urok. Lubię blondynki... No i zawsze jest jeszcze ta pokojówka.

- Och, już jej więcej nie zobaczysz! - zachichotała Helena. - Jeśli Fausta zauważy, że dziewczę coś kombinuje, sprzeda ją, nim zdążysz wrócić z tej

przechadzki - uświadomiła mi. Podałem jej rękę, żeby zeszła z drogi pod kolumnadę, kiedy mijał nas skrzypiący wóz załadowany marmurem. - Nie marnuj czasu, Falkonie - ciągnęła. - Emilia Fausta nie zauważa twardzieli ze złośliwym uśmiechem. - Zniecierpliwiona okręciła się w miejscu i zeskoczyła z chodnika. - Fauście podobają się wyłącznie wypomadowani patrycjusze ze słomą w miejscu mózgu.

- Dzięki. Spryskam się olejkiem z płatków kwiatów... - zaćwierkałem. Zeskoczyłem za nią, rozweselony tym słownym pojedynkiem. - Współczuję tej damie... - dodałem.

- W takim razie daj jej spokój! Łatwo ją zranić. Ostatnia rzecz, jakiej jej trzeba, to ty, z tym łagodnym, kłamliwym spojrzeniem, udający, że nie potrafisz utrzymać rąk z dala od niej...

Staliśmy na rogu, spoglądając gniewnie na siebie. Sięgnąłem po pasemko jej nowych włosów.

- Wykąpałaś się w płynie odkażającym czy zaczynasz rdzewieć?

- To się nazywa „Egipska rudość”. Nie podoba ci się?

- Ważne, że ty jesteś zadowolona - powiedziałem. Okropnie mi się nie podobało; miałem nadzieję, że o tym wie. - Chcesz zrobić na kimś wrażenie?

- Nie, to część mojego nowego życia.

- Co było nie tak ze starym?

- Ty, głównie.

- Lubię, jak dziewczyna jest szczerą... ale nie aż tak szczerą! No i mamy już sąd - rzuciłem. - Wpadnę i szepnę sędziemu, że czeka na niego egipska marchewka, potem pobiegnę, by schlebiać jego siostrze lidyjskimi ozdobnikami.

Helena Justyna westchnęła. Położyła mi dłoń na ramieniu, by mnie powstrzymać, zanim się odwrócę.

- Nie przeszkadzaj Emiliuszowi Rufusowi. Przyjechałam, żeby zobaczyć się z tobą.

Poczekalem, aż puści moje ramię, i dopiero się do niej obróciłem.

- Tak? W jakiej sprawie?

- Trudno to dokładnie wyjaśnić - powiedziała. Strapienie, jakie dostrzegłem w tych pięknych, jasnych, szeroko osadzonych oczach, raptownie mnie otrzeźwiło. - Ktoś ukrywa się przede mną w posiadłości Marcela...

- Skąd to podejrzenie?

- Rozmowy prowadzone męskimi głosami w czasie, kiedy Marcel już podobno śpi, ukradkowe spojrzenia rzucane przez służbę...

- Zaniepokoiło cię to? - spytałem. Wzruszyła ramionami. Znając ją, domyślałem się, że raczej rozzłościło, bo ktoś starał się ją nabierać. Mnie jednak zaniepokoiło. Miałem wolne popołudnie, więc natychmiast zapytałem: - Wracasz tam?

- Przyjechałam z zarządcą, który załatwia różne sprawy dla Marcela...

- Nie ma mowy. Ja cię zabiorę.

Tego właśnie oczekiwała; doskonale o tym wiedziałem.

Wzięliśmy muła zarządcy, zostawiając wiadomość, że go zwrócę. Wolę, kiedy panie jadą przede mną, ale to ziółko uparło się, że usiądzie za mną.

Muś szedł rozkołysanym krokiem, na co mu pozwalałem, bo wtedy Helena musiała ścisnąć mnie mocno w pasie. Ledwie skręciliśmy do posiadłości byłego konsula, moja pomysłowość okazała się fatalna. Czułem, że Helena staje się coraz bardziej niespokojna, więc ściągnąłem wodze, ale nim zdążyłem zdjąć ją z grzbietu zwierzęcia, sama błyskawicznie zsunęła się na ziemię wzdłuż jego boku, miętosząc suknię osłaniającą najdłuższe nogi w Kampanii... po czym bezsilnie zwymiotowała, przechylając się przez barierkę.

Miotany wyrzutami sumienia szybko zeskoczyłem z muła. Pośród dzwoneczków i skórzanych frędzli odnalazłem pospiesznie bukłak z wodą.

- Och, nienawidzę cię, Falkonie! Zrobiłeś to celowo...

Nigdy wcześniej nie widziałem jej w takim stanie. Byłem przerażony. Posadziłem ją na kamieniu i podałem bukłak.

- Poczujesz się znacznie lepiej, jeśli tylko przestaniesz się kłócić...

- Na pewno nie! - rzuciła mi w twarz, ze szczerym uśmiechem. Przeklinając sam siebie, zdjąłem z szyi chustkę, zmoczyłem i wytarłem nią jej rozpaloną twarz i szyję. Widok tej wycieńczonej twarzy o chorobliwej bladości i suchych ustach nie był dla mnie niczym nowym, bo sam byłem kiepskim podróżnikiem. Nachylałem się zatroskany nad nią, a ona siedziała z głową opartą na rękach.

Kiedy oddech jej się uspokoił i podniosła na mnie pełen żalu wzrok, dałem chłopakowi z winnicy miedziaka, żeby ruszył z mułem przodem do domu.

- Pójdziemy pieszo, jak poczujesz się lepiej.

- Spróbuję... - zaczęła.

- Nie, na razie siedź tylko spokojnie! - powiedziałem.

Uśmiechnęła się słabo i ustąpiła.

Nadal była w kiepskim stanie. Gdybym był mniej twardy, objąłbym ją teraz. Starąłem się nie wyobrażać sobie, że to robię lub że ona może tego chcieć.

- Falkonie, przestań mieć minę jak mała zagubiona kaczuszka! Porozmawiaj ze mną. Powiedz, jak ci się podoba życie w Herkulanum.

Cofnąłem się i posłusznie przybrałem inny wyraz twarzy.

- Nie podoba. W tym domu panuje atmosfera nieszczęścia.

- Rufusa za często tam nie ma, Fausta siedzi w domu i rozczuła się nad sobą. A w ogóle po co tam pojechałeś?

- Zarobić trochę gotówki. A i Emilia może okazać się kluczem do odnalezienia Kryspusa.

- Uwodzenie i szpiegowanie... to niemoralne! - wybuchnęła nagle.

- Uwodzenie to męczący sposób załatwiania spraw, nawet jeśli chodzi o bezpieczeństwo państwa!

- Kiedy uwiodłeś mnie - zapytała Helena jadowitym tonem - to czy było to dla bezpieczeństwa państwa?

Jak przystało na prawdziwych przyjaciół, doprowadziliśmy umiejętność ranienia się do doskonałości.

- Nie - odparłem ponuro i pozwoliłem jej się nad tym zastanowić. Zacerwieniła się. Zmieniłem temat. - Emilia Fausta wie o mojej pracy.

- Och, przyznawanie się do swojego statusu stanowi część twojego

podejrzanego uroku! - rzuciła obraźliwie Helena, ponownie mobilizując swoje siły. - Z jej przystojnym bratem też się przyjaźnisz?

Wyszczrzyłem się do niej szelmowsko.

- Czy Rufus byłby bardziej wrażliwy na moje łagodne kłamliwe oczęta?

Popatrzyła na mnie dziwnie i ciągnęła:

- Nie rozumiesz, że Emiliusz Rufus pozwolił ci się rozgościć w domu, by mieć cię na oku?

- Jaki miałby w tym interes?

- Udział w pogodzeniu się cesarza i Kryspusa... dla własnej kariery.

- Wydawało mi się, że daje wymijające odpowiedzi, ale przecież jego przyszłość wygląda całkiem optymistycznie...

- Za długo żyje z dala od Rzymu. Jest bardzo ambitny, ale nie dość znany.

- Dlaczego trzymał się z daleka?

- Neron. Każdy, kto był tak przystojny, mógł zepsuć cesarzowi samopoczucie. Zatem albo dobrowolne wygnanie, albo...

- Wycieczka do lwów na arenie, na koszt państwa? A właściwie to dlaczego on tak wygląda? - zakpiłem. - Czy jego matka spotkała gdzieś za krzakiem macedońskiego handlarza wazami?

- Byłbyś szczęśliwy, gdyby to jego siostra miała tę urodę!

Roześmiałem się.

- Gdyby to jego siostra miała tę urodę, ona sama byłaby szczęśliwa!

Helena wciąż siedziała na kamieniu, ale wyglądała już znacznie lepiej. Rozciągnąłem się na brzuchu u jej stóp. Czułem się szczęśliwy. Leżąc sobie tutaj, w słońcu, na żyznej glebie Wezuwiusza, oddychałem czystym powietrzem, rozmawiałem z miłą osobą, a w dole, w sianej mgłę, rozciągała się zatoka...

Milczenie Heleny spowodowało, że podniosłem na nią wzrok.

Najwyraźniej pograżyła się w jakimś własnym nastroju. Siedziała, spoglądając daleko w morze, potem przymknęła na moment oczy, z wyrazem twarzy bolesnym i zarazem zadowolonym.

Nie miało to żadnego związku z moim zadaniem. Powiedziałyby mi, gdyby tak było. Może myślała o swoim przystojnym przyjacielu.

- Robi się gorąco. - Wstałem. - Powiniennem zabrać cię pod dach. Chodźmy.

Ruszyłem zbyt pośpiesznie, bo Helena musiała wsunąć dłoń w moją, żeby mnie trochę przyhamować. Zacisnąłem rękę, czy jej się to podobało czy nie, żeby sobie poprawić humor.

Było rzeczywiście gorąco, ale szło się miło. Miałem ogromną ochotę pomaszerować szybko naprzód i zbadać tę posiadłość, jednak męczyzna spacerujący sobie na wsi z dziewczęciem nie powinien się spieszyć. Nigdy nie wiadomo, kiedy niespokojne miejskie życie da mu kolejną taką szansę. Nigdy nie wiadomo, kiedy dziewczę wyrazi zgodę.

Szliśmy przez winnicę, gdzie gałązki już się uginały pod na wpół dojrzałymi zielonymi gronami. Droga zakręcała z powrotem. Kiedy weszliśmy jeszcze wyżej, zobaczyliśmy przed sobą willę. Na terenach jezdzieckich jakiś człowiek ćwiczył dwa konie, nieustanne zwroty, jeden za drugim.

- To konie wyścigowe? A to ich trener?
- Bryon... tak, to on. - Zamilkła.
- Może warto byłoby obejrzeć sobie te stajnie...

Wskoczyłem na otaczającą teren barierkę, przytykającą do figowca stojącego w narożniku pola. Senatorska córka, która nie przejmowała się stosownością, postawiła jedną obutą w sandałek stopę na barierce, po czym czepiając się mnie, podciągnęła do góry. Patrzyliśmy, jak trener popędza konia, przed końcem toru zwalnia, zawraca, rusza do przodu i pędem pokonuje kolejną długość toru. Nie interesowały mnie wyścigi konne, ale ta sytuacja dostarczała mi pretekstu, żeby pomagać Helenie utrzymać równowagę...

Obróciliśmy się ku sobie w tym samym momencie. Patrzyliśmy na siebie z tak niewielkiej odległości, że z całą intensywnością napłynęły wspomnienia. Puściłem ją, nim ta bliskość stała się nazbyt trudna. Zeskoczyłem na ziemię i pomogłem jej zejść.

Uniosła wyzywająco podbródek.

- Pewnie wyrzuciłeś te łyżki do morza?

- Skądże! Mój ojciec był licytатorem, znam cenę łyżek... - oznajmiłem.

Byliśmy przyjaciółmi. Nic tego nie mogło zmienić. Przyjaciółmi, sojusznikami z zamiłowaniem do intrygi; ciągle się spierającymi, a przecież nie aż tak działającymi sobie na nerwy, jak oboje utrzymywaliśmy. A istniejące pomiędzy nami napięcie, zarówno emocjonalne, jak i zmysłowe, nadal wydawało mi się niezmiennie.

- O czym myślałaś teraz? - ośmieliłem się spytać.

Helena odsunęła się ode mnie spokojnie, kręcąc głową.

- O czymś, czego nie jestem pewna. Nie pytaj - odparła.



XLVI

Nim zdążyliśmy dotrzeć do domu, Helena znowu pobladła. Zazwyczaj cieszyła się tak dobrym zdrowiem, że obecna sytuacja martwiła mnie w takim samym stopniu, jak ją najwyraźniej zawstydziała. Uparłem się, że będę jej towarzyszyć, aż spocznie na sofie w długim portyku z gorącą herbatką z ogórecznika pod ręką.

Kiedy zamęt związany z naszym przybyciem dobiegał końca, zacząłem odgrywać rolę gościa. Helena odesłała niewolników. Siedziałem przy niej, popijając z miseczki, którą trzymałem pomiędzy kciukiem i dwoma palcami jak każda inna szacowna osoba. (Nawet dość lubię herbatkę z ogórecznika, jeśli nie jest za mocna).

Kiedy już poparzyłem sobie wargi, odstawiłem miseczkę, przeciągnąłem się i rozejrzałem wokół. Ani śladu Marcela i tylko niewielu jego ludzi. Ci sami co zwykle ogrodnicy, z nisko pochylonymi głowami, pelli chwasty na dużej skarpie porośniętej mimozą. Gdzieś z wnętrza domu dochodziły odgłosy szorowania, którym towarzyszył chrapliwy kobiecy śpiew. Dolałem szlachetnej pani herbatki przez wydłużone sitko i stanąłem obok niej, obserwując leniwie snujące się pasemko pary...

Wydawało się, że w wielkim domu panuje atmosfera odprężenia i

spokoju. Zwykli ludzie zajmowali się zwykłymi zajęciami. Dotknąłem leciutko ramienia Heleny, po czym odszedłem jak ktoś nieśmiały, kogo wzywa potrzeba naturalna.

Trener, którego widzieliśmy na terenie jeździeckim, wzbudził moje zaciekawienie. Obszedłem budynki gospodarskie w nadziei, że go tam znajdę. Stajnie znajdowały się po lewej stronie, jeśli stało się twarzą do morza. W starej części trzymano juczne muły i pojazdy. W nowej, wybudowanej jakieś pięć lat wcześniej, widoczne były ślady czyjejś niedawnej działalności. Z dyskrecją, nabytą wraz z doświadczeniem połowy życia, udało mi się przeniknąć niezauważenie do środka.

Nie miałem wątpliwości, że właśnie tutaj Pertynaks i Barnabas trzymali kiedyś swoje wierzchowce. W siodłami stała jedna z końskich figurek, jakie widziałem w rzymskim domu Pertynaksa. Większość boksów była teraz pusta, zapewne od jego śmierci. Ale te dwa konie, które widziałem tego ranka, stały teraz, parując potem, w dwu sąsiednich boksach. Krzepki stajenny, który przed chwilą je wytarł, sprzątał właśnie przejście pomiędzy rzędami boksów.

- Halo! - zawołałem, jakbym miał prawo tam się znaleźć.

Mężczyzna wsparł się na miotle i obrzucił mnie bystrym spojrzeniem. Podszedłem do koni i udawałem zainteresowanie.

- To te dwa, które Pertynaks miał w Rzymie?

Nie znoszę koni. Mogą na człowieka nadepnąć, kopnąć albo przygnieść go i połamać mu nogi, zmiażdżyć żebra. Jeśli podasz im smakołyk, to pożrą ci go razem z palcami. Traktuję je z taką samą ostrożnością jak homary, osy i kobiety, które uważają się za pełne wigoru mistrzynie w sferze erotycznej; konie, jak każde z powyższych, mogą nas boleśnie uszczypnąć.

Jeden był bez zarzutu. Naprawdę wyjątkowy, nawet ja to widziałem. Z dumnym wygięciem szyi, dziarski ogier o maści koloru morwy. - Cześć, mały... - Kiedy głaskałem to piękne zwierzę, rzuciłem okiem na jego towarzysza.

Stajenny potrząsnął głową, wyrażając niesmak, który ja również odczuwałem.

- To jest Czarus - powiedział.

Ktoś miał poczucie humoru. Czarus był beznadziejny. Wyciągnął do mnie szyję, zazdrosny o zainteresowanie okazywane koledze, chociaż wiedział, że w tym przyprawiającym o zawrót głowy towarzystwie hultaj, który wyglądał jak zużyta szczotka do mycia butelek, nie ma najmniejszej szansy.

- Charakternik, co? Jak ten się zowie?

- Śmiałek. Łatwo się denerwuje. Czarus go uspokaja.

- Śmiałek jest czempionem?

- Mógłby być - przyznał. Stajenny wyglądał na przebiegłego profesjonalnego koniarza. - Ma teraz pięć lat i niezłe warunki... Masz coś wspólnego z wyścigami? - rzucił.

Pokręciłem głową.

- Mam coś wspólnego z wojskiem. Kiedy legiony chcą gdzieś dotrzeć, idą tam pieszo. Jeśli konie są konieczne ze względów strategicznych,

bierze się owłosionych, krótkonogich obcokrajowców, którzy podczas bitwy jeżdżą konno jak szaleńcy, wiedzą, jak leczyć kołowaciznę i jak dyskretnie się pozbyć łajna. Działa to znakomicie. Według mnie, każdy system, który jest odpowiedni dla legionów, jest też dobry dla obywatela w codziennym życiu!

Wybuchnął śmiechem.

- Jestem Bryon - przedstawił się.

- Falko. - Nadal głąskałem Śmiałka, żeby podtrzymać rozmowę. - Jesteś trenerem? Dlaczego więc tu sprzątasz? Nie ma chłopców stajennych? - zdziwiłem się.

- Niczego nie ma. Wszystko sprzedane.

- Po tym, jak Pertynaks wsiadł na łódź do Hadesu?

Skinął głową.

- Konie były jego pasją. Pierwsze, co zrobił stary pan... wszystkie zwierzęta, cały personel... pozbył się tego z dnia na dzień. Nie mógł znieść ich obecności tutaj.

- Tak, słyszałem, że bardzo przeżył to, co się stało. A te dwa?

- Może później żałował tego, co zrobił. Śmiałka i Czarusia przysłali mu z Rzymu - powiedział. Wiedziałem o tym. Kiedy opróżnił dom na Kwirynale, znaleźliśmy akt kupna-sprzedaży tych dwóch wystawiony na imię Marcela. Sam ich nigdy nie widziałem, ale podpisałem polecenie przeniesienia koni do tej posiadłości. - Więc co chcesz wiedzieć, Falko? - zmienił temat. Zachowywał się przyjaźnie, ale czułem, że ma wątpliwości co do mojej osoby.

- Znasz Barnabasa? - rzuciłem.

- Znałem - odparł krótko, niezobowiązująco.

- Mam dla niego trochę gotówki. Pokazywał się tutaj ostatnio? - spytałem.

Bryon popatrzył na mnie, po czym wzruszył ramionami.

- Domyślam się - ciągnąłem ostrzegawczo - że musiałbyś go widzieć... z uwagi na te konie.

- Być może... Z uwagi na te konie! - Potwierdził tę hipotezę, nie ustępując przy tym ani o krok. - Jak go zobaczę, powiem mu, że byłeś.

Odsunąłem łeb Czarusia, który trącał mnie natrętnie, i udawałem, że zmieniam temat.

- Spokojnie tutaj jak na okres letni w posiadłości w takiej okolicy. Nie ma gości?

- Wyłącznie rodzina - oznajmił z pełną powagą w głosie i z kamienną twarzą.

- A ta młoda dama?

- Och, ona jest jedną z nich!

Mężczyzna zdążył się zorientować, że działałem na własną rękę; wyciągnął mnie więc stanowczo za drzwi i zaczął prowadzić w stronę domu. Kiedy szliśmy przez stajnie, zaglądałem do każdego boksu. Bryon miał już dość tego uprzejmego udawania.

- Jeśli mi powiesz, czego szukasz, Falko, to ja ci powiem, czy to tutaj jest!

Uśmiechnąłem się, ani trochę niespieszony. Szukałem tych dwóch koni,

które podążały za mną z Rzymu do Krotonu... by już nie wspomnieć tamtego tajemniczego jeźdźca, którym, doszedłem do wniosku, musiał być Barnabas.

- Co powiesz na to. Znakomite wierzchowce... duży deresz, któremu bardzo niewiele brakuje do konia wyścigowego, i przysadzisty gniadosrokaty koń juczny...

- Nie - rzucił krótko Bryon.

Miał rację; nie było ich tutaj. Jednak gwałtowność jego odpowiedzi przekonała mnie, że musiał kiedyś widzieć tę dwójkę, o którą pytałem.

Doprowadził mnie do kolumnady, po czym się wycofał, a na jego twarzy odmalowały się zarówno rozczarowanie, jak i ulga, kiedy Helena Justyna, młoda dama należąca do rodziny, powitała mnie tym swoim sennym, niewzruszonym uśmiechem.



XLVII

Kiedy podchodziłem do Heleny, pogwizdując wesołą melodyjkę nauczyciela muzyki, zobaczyłem, że zdążył dołączyć do niej teść. Nie odnosząc się ani słowem do oddalającego się trenera koni, przeprosiłem za najście, dość niejasno przedstawiając Kapreniuszowi Marcelowi przebieg zdarzeń.

- Natknąłem się na Helenę Justynę, którą zbyt mocno przypieкло słońce...

Pojawienie się Marcela położyło kres moim wyprawom odkrywczym. Nie było rady; pożegnałem się oficjalnie, spokojnym skinieniem głowy w stronę szlachetnej pani... jedynym, czym mogłem odpowiedzieć na nieme pytanie w jej zaciekawionych, ciemnych oczach.

Marcel przyjął moją historyjkę za wiarygodną. Helena wyglądała na wykończoną. Miałem uczucie, że potrzebne jest jej coś więcej niż tylko odpoczynek pod kocykiem i gorący napój. Potrzebowała kogoś, kto się nią zaopiekuje, kto o nią zadba. A najgorsze w tym wszystkim było to, że moja tak zazwyczaj zaradna pani robiła wrażenie, jakby była tego samego zdania.

Kiedy na grzbiecie muła zarządcy wracałem drogą wzdłuż zbocza, nie pamiętałem ani jednego słowa, jakie padło z jej ust, w czasie pomiędzy tym, kiedy ją tam przywiozłem, i moim odjazdem. Widziałem tylko spoczywające na mnie spojrzenie nieruchomych oczu, które powodowało, że tak bardzo nie chciałem jej zostawiać.

Coś było nie tak. Jeszcze jeden problem. Coś do rozwikłania, kiedy tylko znajdę trochę czasu.

Niech licho porwie zarządcę czekającego w Herkulanum na swojego muła; zatrzymałem się w Oplontis i zjadłem kolację z przyjaciółmi. Mówiąc szczerze, teraz, kiedy się od nich wyprowadziłem, wyglądali na bardziej wypoczętych.

Przewidywania Heleny co do pokojówki okazały się słuszne. Niemądrą smarkulę odesłano na targ niewolników! Coś niewiarygodnego. Miałem nadzieję, że znalazła się u bardziej wyrozumiałej pani; nigdy już jej nie

zobaczyłem.

Mnie o niczym nie poinformowano. Następnego dnia sam podniosłem tę sprawę z Emilią Fausta. Wysłuchała, co miałem do powiedzenia, po czym zagroziła likwidacją mojego nauczycielskiego stanowiska. Poradziłem jej, żeby tak zrobiła; skruszała; zostałem.

Mój niesmak nie wynikał jedynie z tego, że dziewczę było atrakcyjne. Po połowie dnia spędzonego z Heleną ledwo pamiętałem, jak wyglądało. Uważałem jednak, że są lepsze metody utrzymywania dyscypliny.

Nie pozwoliłbym jednak, by ta sprzeczka z Fausta wpłynęła na nasze profesjonalne relacje. Jej bardziej niż kiedykolwiek zaczęło zależeć na postępach w muzykowaniu. Znalazła nową motywację; powiedziała mi, że Aufidiusz Kryspus szykuje wielką ucztę dla wszystkich swoich przyjaciół z tej części wybrzeża.

Rufus się wybierał. Nie zgodził się jednak zabrać z sobą siostry; powiedział jej, że towarzyszy pewnej swojej znajomej. Fausta była tym zaniepokojona. Mogło to oznaczać, że znajome dziewczęta jej brata należą do osób nieodpowiednich; zapowiadało to lepszą zabawę.

Wiązałem wielkie nadzieje z tym przyjęciem. Po części ze względu na Emilię Faustę, która była zdecydowana zjawić się na nim bez zaproszenia. I po części dlatego, że zamierzała zabrać z sobą gitarę. Zatem, aby dyskretnie poddawano jej takt (i - gadatliwością - przepchnięto przez barierę nieprzyjaźnie nastawionych odźwiernych), szlachetna Emilia zabierała z sobą mnie.



XLVIII

Tego wieczoru go zobaczę. Czasami człowiek wie takie rzeczy.

Mój dowcipny krewny powiada, że zawsze, kiedy kobiety mają podobny nastrój, to w rezultacie się okazuje, że bohater ma mdły uścisk dłoni, jędzowatą matkę i kłopoty z pęcherzem moczowym, co znacząco wpływa na jego życie intymne. Na szczęście nie wiedziałem o Aufidiuszu Kryspusie tyle, by usłyszeć coś o jego rodzinie czy o jego własnych problemach zdrowotnych.

Zaanektował willę w Oplontis (wynajął ją, wydzierżawił, wypożyczył, po prostu ukradł ją na jeden wieczór, kto to wie?... kogo to obchodziło, skoro otoczenie było urocze, wina nie brakowało, a piękne występujące po uczcie tancerki były praktycznie nagie?). Zgodnie z miejscowym przekazem, willa ta należała do Poppei Sabiny, drugiej żony Nerona. Te cesarskie powiązania dawały do myślenia i mogły świadczyć o ambicjach naszego gospodarza.

Rezydencja Poppei była dominującym elementem krajobrazu. Możliwe, że ci, którzy kiedyś w niej mieszkali, potrafili nie zauważać istnienia skupiska nędznych rybackich chat i uważali, że ich willa to już całe Oplontis. Ludziom żyjącym w takim dobrobycie wygodnie jest nie zauważać biedaków.

Przez większą część naszego pobytu ten wspaniały zespół budynków pozostawał zamknięty i nieoświetlony. Sylwia próbowała kiedyś tam

zajrzeć, ale odpędził ją strażnik. Z tego, co się dowiedzieliśmy, kiedy Poppea wyszła za Nerona, willa została włączona do posiadłości cesarskich i po jej śmierci pozostała niezamieszкана. Jakoś nikt nie miał ochoty czegoś z nią zrobić, jakby uśmiercenie tak pięknej kobiety przez Nerona nawet cesarskich zarządców napawało wstydem.

Większą część rezydencji stanowił dwukondygnacyjny budynek, otoczony ze wszystkich stron kolumnadami i ogrodami. Od strony morza znajdował się szeroki taras z wejściem do wspaniałych centralnych pomieszczeń. Skrzydła boczne mieściły zapewne ponad setkę pokoi, każdy urządony z tak wykwintnym smakiem, że z całą pewnością, zanim ktoś tam się wprowadzi, najpierw dom opróżni ze wszystkiego i wyremontuje. Rezydencja dojrzała już bowiem do przemeblowania; chcę przez to powiedzieć, że była urocza w tym stanie, w jakim była.

Nie mógłbym mieszkać w czymś tak ogromnym. Niemniej człowiekowi parającemu się w wolnych chwilach poezją dostarczała mnóstwa materiału do fantazjowania.

Uczta zaczynała się jak należy, o godzinie dziewiątej. Przybyliśmy na czas. Sądząc po liczbie lektyk tarasujących prowadzącą do Herkulanum drogę, zapowiadało się na jedno z największych przyjęć, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem. Sędzia wyruszył wcześniej, by zabrać swoją wytworną towarzyszkę, natomiast Emilia Fausta, która uważała, że inni ludzie płacą podatki dla jej osobistej wygody, zamówiła eskortę złożoną z niewolników jej brata; ci przeprowadzili nas szybko przez tłumy, wpychając się bez kolejki na koszt publiczny.

Większość lokalnych osobistości i sporo zwyczajnej hałastry ucztowało tutaj dzisiejszego wieczoru na koszt hojnego Kryspusa. Pierwszymi ludźmi, których zauważyłem, byli Petroniusz Longus i Aria Sylwia. Najwyraźniej dali się złapać w sieć, mającą świadczyć o ogarnięciu przez tego wielkiego człowieka publiczną gościnnością wszystkich warstw społecznych. Prawdziwy mecenas. Ojcowska postać dla zagłodzonych klientów wszelkich warstw. (Kupowanie poparcia w okręgach wyborczych od szczytów do samego dna).

Petroniusz zapewne najchętniej wzięłby darmowe bochenki chleba i czmychnął. Dowiedziałem się przypadkiem, że odkąd wybrano go do straży, ani razu nie brał udziału w wyborach. Uważał, że człowiek pobierający pensję od państwa powinien być bezstronny. Nie zgadzałem się z nim, ale podziwiałem jego upór w trwaniu przy dziwactwach. Aufidiusz Kryspus byłby doprawdy niezwykłym politykiem, gdyby przypuszczał, że wśród wyborców, do których się umizgiwał, mogą znaleźć się też ludzie o takiej etyce.

Petroniusz i Sylwia nie mogli się do mnie odezwać. Oboje byli już w środku i tylko z rozbawionymi minami obserwowali moje postępy. Ciągłe znajdowałem się na zewnątrz. Podskakiwałem w miejscu, ubrany w swoją najlepszą musztardową tunikę, podczas gdy moja onieśmielająca towarzyszka spierała się przy drzwiach z szambelanem. Mężczyzna sprawdzający listę gości znał się na swoim fachu. Przyjęcie zostało dobrze zorganizowane. Nigdy nie brałem pod uwagę wejścia na siłę; gdybym spróbował czegoś takiego, zgąrają osiłków w nabijanych ćwiekami

opaskach na nadgarstkach, czająca się za roślinami w donicach, chwyciłaby nas pod ramiona i posłała w odwrotnym kierunku.

Emilia Fausta nie była zbyt błyskotliwa, kiedy więc już wpadła na jakiś pomysł, widziała w nim skarb, jaki może się jej więcej nie trafić, i twardo się go trzymała. Zaimponowała mi, wkraczając do akcji. Spowijały ją fioletowo-różowe muśliny, a jej niewielkie blade piersi wyglądały jak wyrosłe w piwnicy grzyby wyłożone w koszu handlarza. Na kolumnie ufryzowanych, jasnych włosów tkwił nieruchomo zębaty diadem. Na jej policzkach płonęły jaskrawe plamy, częściowo naturalne. Determinacja, by zobaczyć Kryspusa, spowodowała, że była niezłomna i bezwzględna jak rekin, który wyczuł krew; po chwili zdyszany szambelan szarpał się desperacko niczym rozbitek na widok ciemnej płetwy grzbietowej.

- Jaki to gospodarz - drwiła Emilia Fausta (mała kobietka, podskakująca na palcach) - sporządza dla zarządcy listę gości, która zawierałaby nazwisko jego samego czy pani jego serca? Lucjusz Aufidiusz Kryspus spodziewa się, że będziesz to wiedział: ja - oświadczyła z niewiarygodnym wręcz tupetem - jestem jego narzeczoną!

Jedyne, co w moich oczach odbierało nieco arogancji temu posunięciu, to fakt, że dla tej kobiety była to oczywista prawda.

Pokonany nieszczęśnik wprowadził nas do środka. Pozdrowiłem Petroniusza, unosząc pięść, przyjąłem wieniec od prześlicznej dziewczyny z kwiatami, po czym z kitarą ruszyłem za rwącą do przodu siostrą sędziego. Schludny mistrz ceremonii szybko się zorientował w sytuacji, zaopatrując Faustę w miseczkę z bityńskimi migdałami, a sam odpłynął, by skonsultować się ze swoim panem.

Wrócił zaskakująco szybko. Zapewnił Emilię Faustę, że jej miejsce czeka na nią w prywatnej jadalni, eleganckim tryklinium, gdzie Kryspus osobiście podejmuje najbardziej znamienitych gości.

Nie jestem pewien, czego się spodziewałem, jednak ta błyskawiczna reakcja i nienaganny styl, w jakim powitano odrzuconą osobę, oznaczały, że Aufidiusz Kryspus niebezpiecznie umiejętnie dostosowuje się do sytuacji.



XLIX

Mistrz ceremonii zaczął się kajać.

- Daj spokój. Jestem tylko jej nauczycielem muzyki. Nie ma powodu znowu grzebać przy tym, jak i gdzie kogo umieścić... - pocieszałem go.

Obiecał, że mnie wciśnie, ale mu powiedziałem, że jak będę miał na to ochotę, to wcisnę się sam.

Była już prawie pora na biesiadę, ja jednak prześlizgnąłem się przez gromadę spóźnionych gości, żeby obejrzeć flotyllę bajecznych barek, skupionych przy przestronnym pomoście, po nabrzeżnej stronie willi. W kilka chwil znalazłem *Izydę Afrykańską*; cumowała z dala od tego tłoku, samotna. Nie paliły się tam żadne światła, zupełnie jak gdyby wszyscy zeszli na ląd.

Nie było to przyjęcie, na którym gospodarz kręci się przy wejściu w

swoim najlepszym obuwiu, by ścisnąć dłonie gościom; niektórzy z zaproszonych mieli ręce zbyt lepkie, żeby mógł mieć na to ochotę. Ale Kryspus na pewno był już w domu. Wróciłem z tarasu do wnętrza, żeby, jeśli nadarzy się okazja, rzucić na niego okiem.

Przeszedłem przez atrium. Dominującym kolorem była tam czerwień, ściany pomalowano we wzór imitujący kanelowane żółte kolumny, potężne podwójne drzwi pokryto dekoracjami figuralnymi; błękitne ćwieki tkwiły pośród odległych fantazyjnych widoków, obiektów kultu i triumfalnych tarcz. Znalazłem się w cichym zamkniętym ogrodzie; nie ograniczono się tam do posadzenia roślin, również mury ozdobiono ogrodowymi krajobrazami. Dalej wielka sala pomiędzy dwiema majestatycznymi kolumnami otwierała się na główne ogrody - cudowne, typowe dla Kampanii rozwiązanie. Większość łóż biesiadnych dla ważniejszych gości ustawiono w tym właśnie pomieszczeniu. Zgiełk wraz z nagrzanym powietrzem, przesyconym kwietną wonią dziesiątków świeżych girland, zalewał pogrążony w ciemności nocy perystyl. W skromniejszych pokojach zadbano o miejsca dla tych mniej ważnych. Nie odpowiadało mi ani jedno, ani drugie. Przepychając się z powrotem przez hałastę, przypadkiem natrafiłem na rozległe pomieszczenia kuchenne; z główną jadalnią, czego się spodziewałem, usytuowaną tuż obok.

Do tryklinium w Willi Poppei wchodziło się pomiędzy dwoma czterościennymi filarami z przycupniętymi na ich szczycie skrzydlatymi centaurami. Pokój był niewielki, pomalowany w tym samym eterycznym architektonicznym stylu, jaki charakteryzował resztę willi, z pięknym freskiem przedstawiającym bramę na dziedziniec, ze skrzydlatymi konikami morskimi wijącymi się na epistylu pod kapliczką poświęconą jakiemś bóstwu opiekuńczemu. Na tylnej ścianie moje oko przyciągnął szczególnie realistycznie ujęty koszyk z figami.

Dzisiejszego wieczoru powietrze w tryklinium przesycone było pięknym zapachem perfumowanej oliwy. Zwyczajowe miejsca dla dziewięciu osób przygotowano na trzech łóżach, ustawionych pod wdzięcznie opadającymi draperiami z haftowanej tkaniny, pod pawimi piórami wygiętymi w łuk nad aranżacjami kwietnymi; pawie w pełnej krasie również stanowiły motyw dekoracyjny tego domu. Zanotowałem sobie w pamięci kilka subtelnych pomysłów, na wypadek gdybym kiedyś sam wydawał wielkie przyjęcie w swojej kwaterze.

Przyszedłem za wcześnie; Kryspusa jeszcze nie było. Honorowe miejsce na centralnie usytuowanym łóżu pozostawało wolne.

Zobaczyłem natomiast, jak Emilia Fausta, zadowolona z siebie, choć nieco zdenerwowana, na łóżu ustawionym po lewej stronie - miejscu niezbyt zaszczytnym - odrywa z kiści pojedyncze winogrona. Dwóch senatorów, których nie rozpoznałem, ułożono lepiej, po obu stronach nieobecnego gospodarza. Kilka kobiet świeciło dużą ilością biżuterii, było też dwóch młodszych mężczyzn, odzianych w modne koliste wieczorowe szaty z delikatnego płótna. Jednym był nasz blond bożek Rufus, który stał w głębi pokoju i rozmawiał z jakimś senatorem. Zostawił tę swoją znajomą pannicę samą na końcu stołu, akurat na wprost mnie.

Rozpoznałem ją natychmiast. Napawałem się jej widokiem przez dłuższą

chwilę, zanim się odwróciła i mnie zauważyła: zaniedbana przez sędziego, pocierała niespokojnie jedną wąską, bladą stopą o drugą; jej smukłe, lecz pełne ciało spowijała jakaś przetykana srebrem materia; jak sobie wyobrażałem, okazałaby się cudownie śliska pod dłońmi mężczyzny, gdyby jakiś powążył się ją objąć. Jej szyję okalał naszyjnik z lazurytów, który musiał kosztować fortunę. Ciemne, błyszczące włosy kręciły się nad czołem, a pozostałe ich bogactwo zebrano pod okrągłą złotą siateczką. Ten szykowny niebieski naszyjnik i złociste nakrycie głowy podkreślały jej młodość i słodycz; w porównaniu z bezwstydną, krzykliwą ekstrawagancją wszędzie wokół prezentowała prostą, niewyszukaną elegancję. Tego wieczoru była najlepiej wyglądającą kobietą w Kampanii, ponieważ jednak Kampanczycy mają niewybredny gust, ja byłem prawdopodobnie jedynym człowiekiem, który to widział. Niewolnik poprawił ustawienie jej sandałów przy łożu, odwróciła się, żeby mu podziękować, i wtedy mnie zobaczyła. Kiwałem się w wejściu z instrumentem Fausty pod lewą pachą i prawą ręką zanurzoną w porzuconej przez nią miseczce z migdałami. Dopóki Helena się nie odwróciła, metodycznie je pożerałem.

Brwi, które rozpoznałbym na drugim końcu Circus Maximus, uniosły się, kiedy towarzyszka sędziego wlepiła we mnie swoje śliczne brązowe oczęta. Gwizdnałem bezgłośnie. Senatorska córka w złocistej czapeczce odwróciła się wyniośle, prezentując swoje piękne ramię, co miało być wyrazem jej głębokiej pogardy.

Zmarnowała cały efekt, wcześniej puszczając do mnie figlarnie oko.

Zapanował nagły ruch, który zwiastował przybycie Kryspusa, po czym mnie wyproszono. Odchodząc, oddałem kitarę niewolnikowi z poleceniem, by złożył ją za sofą Fausty. Nie miałem zamiaru przez całą noc włóczyć się z cudzym instrumentem pod pachą. Godząc się z zaistniałą sytuacją, pozwoliłem się wypchnąć do pomieszczeń bardziej publicznych. Chciałem naturalnie zidentyfikować Kryspusa, ale wyczucie chwili w mojej robocie jest sprawą kluczową. Teraz, kiedy faworyzowani przez niego goście zażerali się jadłem, ta akurat chwila nie była odpowiednia, by zaprzętać uwagę ważniaka tym, co miałem mu do przekazania od cesarza.

Zajrzałem do dużej sali, ale przekąskę już podano i chociaż zauważyłem ze dwa wolne miejsca, znajdowały się one w sąsiedztwie niezbyt przyjaźnie wyglądających mężczyzn oraz kobiet z tłustymi paluchami i sztucznymi włosami. Ominąłem więc szereg usługujących niewolników z tacami polanych sosem endywii, po czym pokręciłem się pośród ostatnich gości, by ostatecznie klapnąć z ulgą pomiędzy Petroniuszem i jego małżonką.

- Unikaj pulpecików z małżami! - poradziła mi Sylwia, nie zwracając sobie głowy powitaniem. - Lucjusz widział pół godziny temu, jak tężały. - Miała takie same poglądy na podawanie jedzenia jak moja matka. I nie zdziwiło mnie, że nawet tutaj kazała mojemu przyjacielowi dokonać inspekcji w kuchni. - Przy głównym stole jedzą strusia, ale dla nas nie starczy...

- Zatem co będziemy jedli, Lucjuszu? - spytałem z rozbawieniem. Wiedziałem, że ma na imię Lucjusz, ale sam zwracałem się tak do niego tylko wtedy, kiedy mieliśmy mocno w czubie. - Jedno z tych dań

przygotowanych przez zdolnego kucharza z zębacza na tyle sposobów, że wyglądają na czterdzieści różnych rodzajów mięsiwa?

Petroniusz zachichotał, zanim otworzył usta, żeby wrzucić do nich garść oliwek; były wyśmienite - ogromne owoce z Ankony, trzymane w zalewie z oliwy i ziół, aż przeszły aromatem, jakiego nie uświadczysz w małych, twardych, przesiąkniętych solanką oliwkach, którymi ludzie na ogół się żywią.

Petroniusz zapewnił mnie, że z powodu ogromnych ilości złowionych homarów i morskich okoni poziom wody w zatoce obniżył się o palec. Dwóch irytujących hulaków z Kampanii zaczęło się chełpić ostrygami z Bajów; patrzyliśmy na nich w milczeniu, przypominając sobie ostrygi wyciągane w Brytanii z zimnych, mętnych wód kanału pomiędzy Rutupiami i Tanet oraz ich ciemnych krewniaków z północnych brzegów ujścia Tamizy... Petroniusz z kwaśną miną skosztował wina. Mnie wydało się niezłe, widziałem jednak, że jemu musiało nie smakować. Wypróbowywał miejscowe wina, kiedy nie było mnie w Oplontis, i z entuzjazmem opowiadał o musujących białych i mocnych czerwonych, podczas kiedy ja jadłem przystawki i żałowałem, że nie dotrzymałem mu wtedy towarzystwa.

Naprawdę mi go brakowało. To ukłucie smutku przypomniało mi, że mam robotę do wykonania. Im prędzej ją wykonam, tym szybciej będę mógł uciec z Herkulanum i wrócić do przyjaciół...

Jeśli wynajęci kelnerzy mieli nadzieję urwać się wcześniej, to się przeliczyli. Zaproszeni goście zamierzali posiedzieć tu dłużej. Plebejusze zachowywali się powściągliwie, ale senatorowie i ekwici oraz ich damy obżerali się mięsiwem, jedząc dwa razy tyle, ile zjedliby w domu, a to dlatego, że dostawali to za darmo. Skwierczenie i zapach winnych sosów musiały dolecieć z wiatrem aż do Pompejów. Niewolnicy roznoszący trunki uwijali się jak w ukropie, ślizgając się bosymi, spoconymi stopami po posadzce, i już przestali zawracać sobie głowę dokładaniem węgla drzewnego do metalowego kosza pod podgrzewaczem wina czy precyzyjnym odmierzaniem przypraw korzennych. Nie ulegało wątpliwości, że Kryspus dopiął celu. Było to tego rodzaju koszmarne towarzyskie spotkanie, które później wszyscy będą pamiętać jako cudowną zabawę.

Po kilku godzinach zjawiała się hiszpańska trupa taneczna. Ci z nas, którzy mieli miejsca przy najdalszym stole, zdwoili radosne okrzyki, wydawane już przy głównym daniu. Kelnerzy starali się robić dobrą minę do złej gry, ale nakarmienie takiej liczby ludzi było nie lada wyczynem, nie mówiąc o tym, że zawsze znalazły się jakieś nieznośne kobiety, które zamawiały medalion cielecy w sosie z fenkułów... bez fenkułów, proszę!

Domyśliłem się, że występujących zamówiono na godzinę odpowiadającą szlachetnie urodzonym z tryklinium, którzy mieli własną armię niewolników tnących i roznoszących mięsiwa pod czujnym okiem szambelana. No i rzeczywiście, kiedy poszedłem spytać skrzydlatych centaurów, jak przebiegają sprawy, właśnie wnoszono stamtąd wielką srebrną tacę z jedną samotną cynamonową gruszką, pozostałość po deserze, a wnoszono tacę z miseczkami do obmywania palców. Usłyszałem szaleńczy klekot hiszpańskich kastanietów, podczas gdy jedna ze

śpiewaczek marnym głosem, ale brawurowo, w gwałtownym hiszpańskim stylu, wykrzykiwała swój smutek i żal. Dostrzegłem z dala ogniste dziewczę, okryte kruczoczarnymi, długimi do podłogi włosami i prawie niczym więcej, przybierające pozy, które niezwykle atrakcyjnie ukazywały jej nagość. Byłem tak zajęty oglądaniem niesamowitego tańca w jej wykonaniu, że zapomniałem rozejrzeć się za Kryspusem. Słudzy minęli mnie ciężkim krokiem pod brzemieniem rogów obfitości wypełnionych świeżymi owocami - niektóre były tak egzotyczne, że nie byłem pewien, jak się nazywają - po czym drzwi zatrzaśnięto i ponownie dano mi do zrozumienia, że mam się wynosić.

Popędziłem z powrotem i szeptem powiedziałem Petroniuszowi o tancerce; zagwizdał, zazdroszcząc mi dobrodziejstw, jakie przynosi moje zajęcie.

Sylwia przygotowała mi danie główne. Szybko pochłonałem przyprawione imbirem kacze skrzydło, miseczkę sałatki i nieco pieczonej wieprzowiny w śliwkach, po czym pospiesznie wróciłem do tryklinium. Sprawy toczyły się szybciej, niżbym sobie tego życzył. Gospodarz i większość jego gości zniknęli. Te dwie kobiety obwieszane biżuterią rozmawiały o swoich dzieciach, nie zwracając uwagi na jakiegoś młodszego mężczyznę, przed którym wiła się kolejna piękność, hipnotyzując go tańcem brzucha.

Sądząc po tym, z jaką troską podawano jadło i napoje, doszedłem do wniosku, że gospodarz wyszedł stąd właśnie, żeby poobracać się wśród gości. Stara się być miły, jak ujęła to Helena Justyna. Kiedy już najedli się za jego pieniądze, będą jeszcze lepiej przyjmować pochwały dotyczące gustownych ubiorów i zainteresowanie przebiegiem kariery starszego syna. Wykona rundkę, która mu wyjdzie na dobre; Aufidiusz Kryspus działał wedle ustalonego planu.

Wymknąłem się i zacząłem przeszukiwać kolejne sale, prosząc zabieganych kelnerów, żeby pokazali mi Kryspusa, jeśli jest gdzieś w zasięgu wzroku. Sługa rozpylający perfumy poradził, żebym poszukał go w wewnętrznym perystylu, ale nie miałem szczęścia.

Nie było tam nikogo... poza cichą samotną kobietą siedzącą na kamiennej ławce, sprawiającą wrażenie, jakby na kogoś czekała. Młoda kobieta w dość wąskiej sukni, z niewielką ilością biżuterii i z ciemnymi włosami ujętymi okrągłą złotą siateczką...

Miała prawo się zabawić. Nie zamierzałem się wtrącać i psuć jej spotkania. Nie wycofałem się natychmiast tylko dlatego, że pojawił się jakiś mężczyzna. Najwyraźniej uważał, że ona czeka na niego, ja zresztą myślałem tak samo. Więc się zatrzymałem, żeby zobaczyć któż to może być.

Nie znałem go. Ale kiedy już doszedłem do tego wniosku, i tak zostałem, ponieważ Helena Justyna sprawiała wrażenie, jakby ona też go nie znała.



L

Wynurzył się z kępy krzewów hibiskusa, jakby robił tam coś, o czym dobrze wychowana młoda kobieta wolałaby nie wiedzieć. Był na tyle pijany, by powitać Helenę jako cudowne odkrycie, jednak nie wystarczająco, by dać się zniechęcić lodowatym przyjęciem. Założyłem, że ona sobie poradzi; ten chwiejący się na nogach zbereźnik nie stanowił większego towarzyskiego zagrożenia niż niejaki Falko, pożerający ją czułym wzrokiem... a przecież mnie zazwyczaj odstraszało kilka ostro rzuconych obelg.

Ten ogród utrzymany był w prostym wiejskim stylu. Stałem przyciśnięty do filaru pomalowanego w ciemne skośne pasy; był zmierzch, więc żadne z nich nie zauważyło mojej obecności. Gość powiedział coś, czego nie dosłyszałem, ale dotarła do mnie jej odpowiedź:

- Nie. Siedzę sama, bo mam na to ochotę!

Mężczyzna podszedł bliżej, pusząc się po pijacku. Helena powinna była natychmiast wmieszać się w tłum, ale ona była uparta, a możliwe też, że tamten, na którego rzeczywiście czekała w ogrodzie, wart był ryzyka. Odezwała się ponownie, tym razem z naciskiem:

- Nie. Wolałabym, żebyś sobie poszedł!

Roześmiał się. Wiedziałem, że tak zareaguje.

Helena wstała. Biała, miękka tkanina jej szaty spłynęła od zapinek na ramionach do dołu, układając się prosto... podkreślając w ten sposób te linie, które pod materią proste nie były.

- Na bogów! - zawołała. Prócz złości wyczułem gorycz w jej głosie. Facet jednak był zbyt pijany.

- Głowa mnie boli - wściekała się Helena - czuję smutek, kręci mi się w głowie od hałasu i mdli mnie od jedzenia! Siedziałam sobie sama, bo niczyja obecność nie jest mi potrzebna... a już na pewno nie twoja!

Chciała się przemknąć obok niego, ale nie udało jej się. Już byłem w ruchu, kiedy chwycił jej ramię. Pijany czy nie, gość był szybki; drugą ręką sięgał bez wahania pod jej szatę, kiedy przeskakiwałem niski murek łączący rustykalne kolumny i wrzeszcząc, pokonywałem dzielącą nas odległość. Chwyciłem go za ramiona i odciągnąłem.

Rozległ się trzask zderzających się głów, jedna z nich należała do mnie. Był dość wysportowany; niespodziewanie zebrał siły i wyprowadził kilka ciosów. Odbiło mi się słabo imbirem, ale byłem zbyt wściekły, by poczuć coś więcej. Kiedy przestał we mnie trafiać, ustawiłem go sobie i zademonstrowałem swoją dezaprobatę serią uderzeń w te partie ciała, w które mój trener radził nigdy nie godzić. Potem wsadziłem sobie jego głowę pod pachę, pociągnąłem go do fontanny i ustawiłem tak, że strumień wody chlustał mu prosto do płuc.

Kiedy był bliski utopienia, usłyszałem cichy, ostrzegawczy głos Heleny:

- Przestań, Falconie, zabijesz człowieka!

Wobec czego zanurzyłem go jeszcze kilka razy i dałem spokój.

Zaciągnąłem go do korytarza, gdzie posłałem w dalszą drogę za pośrednictwem mojej stopy w wizytowym sandale wycelowanej poniżej

jego pleców. Rozciągnął się jak długi. Poczekalem, aż zacznie się zbierać, po czym wróciłem do Heleny.

- Dlaczego się podkradałeś? - spytała w formie podziękowania.

- Przypadek.

- Nie szpieguj mnie!

- A ty się nie spodziewaj, że pozwolę cię zaczepiać!

Siedziała na obramowaniu basenu fontanny, w geście obronnym obejmując się ramionami. Wyciągnąłem rękę w stronę jej policzka, ale cofnęła się przed kolejnym atakiem ze strony mężczyzny; zresztą sam się wzdragalem przed dotknięciem jej. Po jakimś czasie przestała się trząść.

- Jeśli chcesz posiedzieć w ogrodzie, stanę na straży.

- Zrobił ci jakąś krzywdę? - spytała, ignorując moje pytanie.

- Nie taką jak ja jemu - rzuciłem. Zmarszczyła brwi. - Zdenerwował cię.

Potrzebujesz towarzystwa. - Wydała okrzyk; zagryzłem wargę. - Przepraszam, to było grubiańskie. Słyszałem, co powiedziałaś...

Helena wyszeptała coś, co zabrzmiało jak moje pierwsze imię, chwyciła dłoń, przed którą się chwilę wcześniej cofnęła, i skryła w niej twarz.

- Marku, Marku, ja tylko chciałam posiedzieć w jakimś spokojnym miejscu, żeby pomyśleć.

- O czym?

- Wszystko, co robię, źle się kończy. Wszystko, czego chcę, okazuje się niemożliwe...

Kiedy szukałem słów, żeby coś powiedzieć, podniosła na mnie raptownie oczy.

- Wybacz... - wyszeptała, po czym, wciąż ściskając mi rękę, żebym nie mógł umknąć, zapytała swoim zwyczajnym, zdecydowanym głosem, jakby nic się nie wydarzyło: - Jak ci idzie z Kryspusem? Rozmawiałeś już z nim?

Przyznałem, że jeszcze go nie znalazłem. Wtedy szlachetna młoda pani zeskoczyła z fontanny i oświadczyła, że najlepiej będzie, jak pójdzie ze mną i mi pomoże. Wspomniałem oczywiście o tym, że jestem wystarczająco bystry i twardy, i dobry w swoim fachu (i tak dalej). Zanim zdążyłem dotrzeć do tej części, w której miałem oświadczyć, jak nie znoszę, kiedy mnie nadzorują, pospiesznie wyprowadziła mnie z ogrodu.



LI

Nie powinienem był na to pozwolić. Jej ojciec nie byłby zachwycony, gdyby wiedział, że jego kwiatuszek lata po cudzym domu, a poza tym mam taką pracę, którą najlepiej wykonuje się w pojedynkę.

Z drugiej strony, Helenie Justynie zawsze udawało się znaleźć sensowny powód, by lekceważyć towarzyskie konwenanse. Kiedy przeczesywaliśmy wielkie sale biesiadne, na pewno oszczędzałem czas, mając przy sobie kogoś, kto mógł mi wskazać człowieka, którego szukałem, a raczej stwierdzić jego nieobecność, bo Kryspusa nigdzie nie było.

- Czy on jest przyjacielem rodziny?

- Nie, mój ojciec ledwie go zna. Ale Pertynaks go znał. Kiedy byliśmy małżeństwem, przyszedł kilka razy na kolację... - powiedziała.

Turbot w sosie kminkowym, bez wątpienia.

Kiedy wyszliśmy do rozległego, tradycyjnego ogrodu, który ciągnął się poza centralne partie domu, wsunęła mi rękę pod ramię. Widziałem ją już taką. Helena nienawidziła tłumów. Im były liczniejsze, tym bardziej się czuła samotna. Dlatego przyłgnęła do mnie; i tak miała mnie dość, ale przynajmniej miałem przyjazną twarz.

- Hmm! - zastanawiałem się, kiedy stanęliśmy na końcu ogrodu pośród pięknie pachnących róż, spoglądając w kierunku wspaniałych kanelowanych filarów wielkiej sali. - Byłaby to przyjemna praca, gdybyśmy mieli czas się nią nacieszyć... - Przesunąłem wieniec na głowie.

- Niestety, nie mamy czasu! - rzuciła surowo Helena. Wciągnęła mnie z powrotem do środka i rozpoczęliśmy przegląd mniejszych pokoi. Kiedy przechodziliśmy przez wysokie atrium, minęliśmy jednego z senatorów, wraz z małżonką opuszczającego przyjęcie. Skinął Helenie głową na pożegnanie, przesunął po mnie ponurym spojrzeniem, które mówiło, że jest to ten rodzaj przyjęcia, na którym senatorska córka owija się wokół nikczemnego plebejskiego rozpustnika.

- To Fabiusz Nepos - szepnęła Helena, nie puszczając mojego łokcia, czym mogłaby oszczędzić starszemu panu skoku ciśnienia. - Bardzo wpływowy w senacie. Jest starym tradycjonalistą, nie mającym skłonności do rozważań teoretycznych...

- Możemy go uznać za potencjalnego spiskowca, który idzie do domu wcześniej, nieprzekonany!

Zachęceni, weszliśmy do mniejszego korytarza ozdobionego iluzjonistycznym widokiem korynckich kolumn, teatralnych masek, pawiem mającym zadowolić bardziej przyziemne gusta i podniosłym trójnogiem delfickim, mającym służyć jako kulturalny akcent dla bardziej wymagających. Jakiś niezwykle poważny brodaty mężczyzna rozprawiał o filozofii. Wyglądał, jakby święcie wierzył w to, co mówi. Ludzie, którym trafiła się okazja wysłuchania jego wizjonerskich wywodów, mieli miny wskazujące na to, że uwierzyliby w jego słowa... tyle że natura nie dała im środków, by byli w stanie pojąć sens jego wypowiedzi.

A ja pojąłem. I uważałem, że to brednie.

Kiedy zajrzeliśmy do tryklinium, zobaczyliśmy tam ponura samotną Emilię Faustę, trącającą struny swojej gitary. Umknęliśmy, nim nas zauważyła, chichocząc niegodziwie. Potem odkryliśmy długi korytarz z kamiennymi ławami dla oczekujących klientów, gdzie brat Fausty stał z grupą podobnie jak on wymuskanych patrycjuszów. Wszyscy trzymali puchary z winem i przyglądali się młodziutkim kelnerom, którzy klęcząc na podłodze, grali w kości. Rufus wyglądał na zaskoczonego, kiedy nas zobaczył, ale ponieważ nie uczynił najmniejszej próby, by odzyskać swoją towarzyszkę, pomachałem mu i pospieszyliśmy dalej.

Helena nie była w nastroju, żeby wrócić do niego. Humor jej się poprawił. Parła do przodu przede mną, otwierała drzwi i błyskawicznie omiatała wzrokiem obecnych, zupełnie nie zwracając uwagi na sprośności pijanych czy zaskakujące kombinacje ludzi splecionych ze sobą dla przyjemności. Nie było to, jak zauważyłem wtedy, przyjęcie, na które zabrałoby się cioteczna babkę Febe.

- Uważam, że ciotka by sobie z tym poradziła - nie zgodziła się ze mną Helena. (Kiedy pomyślałem o własnej cioteczce Febe, doszedłem do wniosku, że pewnie miała rację). - Ale miejmy nadzieję, że twoja matka się nigdy nie dowie, że ty tu przyszedłeś!

- Powiem, że to ty mnie przyciągnęłaś... - Uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Dostrzegłem bowiem mile widzianą zmianę w jej wyglądzie. - Umyłaś włosy!

- Żeby to raz! - przyznała Helena, rumieniąc się.

W jednej z kolumnad muzycy, którzy przybyli z hiszpańskimi tancerkami, grali teraz sobie dla własnej uciechy... jakieś sześć razy lepiej niż wcześniej, gdy akompaniowali dziewczętom.

Fontanny nie miały szczęścia tej nocy. Obok jednej z nich, w niewielkim atrium tetrastylowym, zobaczyliśmy drugiego senatora z tryklinium, który rozkraczony i podtrzymywany przez dwóch niewolników, wymiotował beztrosko i spektakularnie.

- Nie wiem, jak się nazywa - powiedziała Helena. - Mnóstwo wypił. Jest dowódcą floty stacjonującej w Mizenum...

Kiedy tak zwisał pomiędzy niewolnikami, patrzyliśmy przez chwilę, podziwiając całkowite zapamiętanie się dowódcy floty.

Po długotrwałych bezowocnych poszukiwaniach zatrzymaliśmy się wreszcie zde gustowani i nachmurzeni.

- Och, to beznadziejne! - jęknąłem.

- Nie rezygnuj, znajdę ci go... - rzuciła.

Ta część mnie, która miała ochotę warknąć, że znajdę go sobie sam, wycofała się radośnie przed tą drugą, którą dopadło najuczciwsze w świecie pożądanie. Kiedy oczy Heleny połyskiwały determinacją, wyglądała zachwycająco...

- Przestań, Falkonie!

- Co?

- Przestań patrzeć na mnie - wycodziła przez zęby - tak, że aż wprawia mnie to w zakłopotanie!

- Kiedy już na ciebie patrzę, moja pani, to mogę tylko w ten sposób!

- Mam wrażenie, jakbyś zamierzał wepchnąć mnie w krzaki...

- Znam lepsze miejsca - odparłem. I popchnąłem ją w stronę pustego łoża.

Nieznośna szelma wywinęła mi się akurat wtedy, kiedy wreszcie trzymałem ją w stosownym uścisku. Wylądowałem na łożu w tej wdzięcznej pozie, w jakiej lubią oglądać mnie Mojry: na twarzy.

- Oczywiście! - wykrzyknęła. - Ma tutaj pokój! Powinam była o tym pomyśleć!

- Co? Coś przeoczyłem?

- Och, pospiesz się, Falkonie! Wstawaj i popraw wieniec!

Pobiegliśmy do atrium, gdzie błyskawicznie wydobyła od szambelana informację, jak dotrzeć do garderoby jego pana. Chwilę później staliśmy w drzwiach sypialni z pomalowanym na ciemnoczerwony kolor sufitem, usytuowanej tuż przy wychodzącej na morze stronie domu.

W tej krótkiej chwili, jaka minęła, odkąd znaleźliśmy się w tym wynajętym pokoju, dowiedziałem się dwóch rzeczy. Aufidiusz Kryspus

nosił strój, który jednoznacznie świadczył o jego ambicjach: do ufarbowania bankietowej szaty użyto wydzieliny z tysiąca muszli tyryjskich ślimaków i miała pyszny, ciepły kolor purpury, który w opinii cesarzy najbardziej pasuje do ich cery. Nadto miał więcej szczęścia ode mnie: kiedy weszliśmy, na jego łożu leżała najładniejsza z tancerek z różą zatknietą za ucho i z połową piersi w jego ustach, podczas gdy on z imponującym zapałem walił w jej hiszpański bębenek.

Odwróciłem Helenę twarzą ku sobie, by zaoszczędzić jej zażenowania.

Poczekaj, aż skończy. W moim fachu zawsze opłaca się być uprzejmym.



LII

Tancerka prześlizgnęła się obok nas, unosząc różę, która mogła się jej jeszcze przydać gdzie indziej. Najwyraźniej incydent ten był krótki i rutynowy.

- Proszę o wybaczenie, panie. Czy zbiłem cię z pantaląku?

- Szczerze mówiąc, nie!

Helena Justyna przysiadła szybko na stołku, z plecami jeszcze bardziej wyprostowanymi niż zazwyczaj. Mogła poczekać na zewnątrz, ale byłem zadowolony, że została, by pomóc mi przetrwać tę rozmowę. Kryspus zerknął na nią bez szczególnego zainteresowania, potem usiadł, doprowadził do porządku fałdy purpurowej szaty, wetknął głowę z powrotem w wawrzynowy wieniec i postanowił udzielić mi posłuchania.

- Panie! Podziękowałbym ci za zaproszenie do grona wybrańców, ale przybyłem tutaj z Emilią Fausta, zatem zaproszenie nie wydaje się słowem stosownym! - oświadczyłem.

Uśmiechnął się słabo.

Miał pięćdziesiąt kilka lat i niezmiennie chłopięcy wygląd. Jego cera była ogorzała, rysy nieco przyciężkie, lecz atrakcyjne (czego był aż nadto świadomy), zęby wspaniałe, regularne, na pewno wybielane sproszkowanym rogiem; pokazywał je chętnie, żeby móc się pochwalić ich urodą i pełnym garniturem. Pod wieńcem, który nosił, jakby się z nim urodził, mogłem podziwiać rezultat zabiegów jego balwierza, w postaci starannie ułożonej fryzury. (Dokonanych zapewne tego samego popołudnia, sądząc po wiszącym w powietrzu, ciężkim zapachu galińskiej pomady).

- Z czym przychodzisz, młodzieńcze? Przede wszystkim, kim jesteś?

- Marek Dydiusz Falko.

W zamyśleniu oparł brodę na dłoni.

- Ten Falko, który odesłał do domu mojego przyjaciela Meniusza Celera z malowniczymi siniakami i bólem brzucha?

- Możliwe. Albo ten Celer zatrzał się nieświeżą ostrygą i wpadł na ścianę... Jestem detektywem. Takim chłopcem na posyłki, który próbował dostarczyć ci list od Wespazjana.

Atmosfera stała się nagle bardziej napięta, a on bardziej czujny.

- „Nie podobasz mi się, Falkonie!” Czy nie to właśnie powinienem

powiedzieć? A ty odpowiedziałbyś coś w stylu: „Nie szkodzi, panie, ja też za tobą nie przepadam!” - pokpiwał.

Od razu się zorientowałem, że w niczym nie będzie to przypominało przekonywania kapłana Gordiana. Kryspus miał zamiar bawić się tą rozmową.

- Przypuszczam, panie, że mnie teraz wyrzucisz.

- Niby dlaczego? - Przyglądał mi się z pewnym zaciekawieniem. - Mówiłeś, że jesteś detektywem! Jakie umiejętności są do tego potrzebne?

- Och, zdolność osądu, przewidywania, pomysłowość, branie na siebie odpowiedzialności, niezawodność w sytuacjach kryzysowych... a także umiejętność wrzucania łajna do ścieku, zanim przyciągnie ono publiczną uwagę.

- Podobnie jak w przypadku administratora! - westchnął. - No cóż, Falkonie, jakie jest twoje zadanie?

- Odkrycie twoich zamierzeń... które są mniej więcej oczywiste!

- Czyżby?

- Jest wiele stanowisk publicznych, które mógłbyś zechcieć uzyskać. Do każdego potrzebne jest ci poparcie cesarza... każdego z wyjątkiem jednego.

- Cóż za paskudna sugestia! - powiedział miłym tonem.

- Przykro mi, mam paskudną robotę - odparowałem.

- Może mógłbym zaoferować ci lepszą? - spróbował, choć jego ton był żartobliwy, jakby kpił z własnych słów.

- Zawsze jestem otwarty na sugestie - oświadczyłem, nie patrząc na Helenę.

Posłał mi kolejny uśmiech, choć nie zauważyłem, by za tym szły jakieś wspaniałe oferty zatrudnienia.

- Cóż, Falkonie! Wiem, co Flawiusz Wespazjan wcisnął Gordianowi. Co więc oferuje mi? - Sposób, w jaki określił cesarza, jakby ten nadal był zwykłym obywatelem, wyraźnie świadczył o jego braku szacunku.

- Skąd wiesz, panie, o Gordianie?

- Przede wszystkim, jeśli wieniec, który nosisz dzisiejszego wieczoru, dostarczyłem ja, to znaczy, że przybył tutaj drogą morską z Pestum.

- Pestum, hę? Poza jakimś gadatliwym sprzedawcą wieńców kto jeszcze rozsiewa pogłoski, że Gordian przenosi się do Pestum?

W reakcji na moją nieustępliwość zobaczyłem błysk w jego oku (oczy miał wystarczająco ciemnobrązowe, by przywabić kobiety, choć osadzone zbyt blisko, by odpowiadały klasycznym kryteriom).

- Sam mi to powiedział. Napisał do mnie o śmierci brata... - zamilkł.

- Ostrzegając cię! - dodałem. Przed Barnabasem, to jasne.

- Ostrzegając mnie - przyznał łagodnym tonem. - Przybyłeś w tym samym celu?

- Po części, panie, a także negocjować.

- Z czym w garści? - prychnął pogardliwie. (Pamiętałem, że poza eleganckim strojem wieczorowym i wytwornym żaglowcem Kryspus posiada połowę Lacjum). - Wespazjan nie ma pieniędzy. Nigdy nie miał pieniędzy, wszyscy to wiedzą! Przez całą swoją karierę był po uszy zadłużony. Jako namiestnik Afryki... a to najprzyjemniejsze stanowisko w cesarstwie... tak zbiedniał, że musiał zabrać się do handlu świeżymi rybami

w Aleksandrii... Ile on ci płaci, Falko nie?

- Za mało! - Wyszczrzyłem zęby.

- To dlaczego go popierasz? - powiedział miękkim głosem.

Stwierdziłem, że łatwo mi się z nim rozmawia, być może dlatego, że zapewne trudno byłoby go obrazić.

- Nie żeby jakoś szczególnie. Choć prawdą jest, że wolę, gdy Rzymem rządzi gość, który kiedyś musiał zadawać swojemu księgowemu trudne pytania, zanim zarządca mógł zapłacić rachunek rzeźnikowi, niż jakiś szaleniec, taki jak Neron, któremu wmówiono, że jest synem i wnukiem bogów i który uważał, że noszenie purpury pozwala mu zaspokajać wszelkie kaprysy, zabijać ludzi naprawdę utalentowanych, ogałacać skarbiec, spalić połowę Rzymu... i zanudzać na śmierć płacących za wejście widzów w teatrach!

Kryspus się zaśmiewał. Nigdy nie podejrzewałem, że mogę go polubić. Zaczynałem rozumieć, dlaczego wszyscy mi mówili, że jest niebezpieczny; cieszący się popularnością ludzie, którzy śmieją się z twoich dowcipów, są dużo groźniejsi niż jawni złoczyńcy.

- Nigdy nie śpiewam publicznie! - zapewnił mnie uprzejmie Kryspus. - Dystyngowany Rzymianin wynajmuje do tego celu profesjonalistów... Bo widzisz, z mojego punktu widzenia - wyjaśniał, nie spiesząc się, żeby mnie przekonać - po śmierci Nerona oglądaliśmy Galbę, Othona, Witeliusza, Wespazjana... żeby już nie wspomnieć przeróżnych pretendentów, którym nigdy nie udało się wcisnąć pośladków na tron... i jedyną rzeczą, jaka czyniła ich lepszymi od innych... na przykład ode mnie!... było to, że w dogodnej sytuacji mieli szczęście zajmować jakieś publiczne stanowisko, które pociągało za sobą poparcie armii. Othon przeciągnął na swoją stronę gwardię pretoriańską, pozostali natomiast stacjonowali w różnych prowincjach, gdzie ich legiony musiały wychwalać swoich namiestników pod niebiosa. Zatem gdybym to ja był w Palestynie w roku czterech cesarzy...

Zamilkł. I uśmiechnął się, sprytnie zawiesiwszy głos, tak że nie mogło być mowy o jakimkolwiek podejrzeniu zdrady.

- Mam rację, Falkonie?

- Tak, panie... do pewnego punktu.

- Do jakiego? - spytał, wciąż bardzo życzliwym tonem.

- Do takiego, w którym twoja polityczna ocena rzeczywistości, która wydaje się całkiem wnikliwa, powinna ci podpowiedzieć to, co wszyscy musimy zaakceptować, mianowicie, że cykl gwałtownych wydarzeń osiągnął naturalny kres. Rzym i Italia, i imperium są wyczerpane wojną domową. Za powszechną zgodą Wespazjan jest tym kandydatem, który przetrwał. Zatem to, czy ktokolwiek inny mógł, teoretycznie, rzucić mu wyzwanie, przestało być istotne. Z całym dla ciebie, panie, szacunkiem! - oświadczyłem.

W tym momencie Aufidiusz Kryspus wstał i podszedł do stolika, żeby nalać sobie wina. Ja się nie skusiłem, podałem wobec tego kielich Helenie, nie pytając nawet, czy sobie tego życzy.

- To wcale nie ta kobieta, z którą przyszedłeś! - zauważył uszczypliwie.

- Nie, panie. To życzliwa osoba, która zgłosiła się na ochotnika, żeby mi

pomóc do ciebie dotrzeć. Jest dobra do zabawy w ciuciubabkę.

Helena Justyna, która dotąd się nie odezwała, odstawiła kielich, nie spróbowała wina.

- Dama, z którą przyszedł Dydiusz Falko, jest moją przyjaciółką. Nie wspomnę nigdy Fauście o tej rozmowie, ale martwię się tym, co może ją spotkać z twojej strony.

Kryspus osłupiał na taki przejaw inicjatywy ze strony kobiety, jednak dość szybko się opanował i odpowiedział z tą samą szczerością, jaką okazał w stosunku do mnie:

- Może warto byłoby rozważyć zmianę mojej postawy!

- Rozumiem! Oczywiście hipotetycznie - rzuciła wyzywająco Helena.

- Oczywiście! - rzucił układowym, rozbawionym tonem. - Człowiek stawiający sobie za cel Palatyn mógłby wziąć pod rozwagę, że Emilia Fausta pochodzi z dobrej rodziny, ma konsula wśród przodków i brata, który jest na najlepszej drodze, by dostąpić tego samego zaszczytu. Jej twarz wyglądałaby dystyngowanie na rewersie denara. Jest dość młoda, by zapoczątkować dynastię, wystarczająco oddana, by nie dopuścić do żadnego skandalu...

- Zbyt oddana! - wykrzyknął.

- Czy to dla ciebie problem, panie? - wtrąciłem się.

- Był. Nadal jest.

- Dlaczego pozwoliłeś, by ucztowała z tobą? - zaatakowała go Helena.

- Bo nie widzę powodu, by ją upokarzać. Jeśli jesteś jej przyjaciółką, spróbuj jej wytłumaczyć, że mógłbym się z nią ożenić z powodów politycznych... ale nie przy tak intensywnym uczuciu z jej strony i jego braku z mojej. - Starał się nie wzdrygnąć. - Nasze małżeństwo byłoby katastrofą. Dla własnego dobra brat Emilii Fausty powinien ją wydać za kogoś innego...

- Byłoby to nie w porządku wobec jakiegoś nieszczęśnika - stwierdziła Helena. Najwyraźniej uważała go za egoistę. Może nim był; może powinien był spróbować... i pogrążyć oboje w małżeńskim nieszczęściu, jak to bywa u innych. - Co zrobisz, panie? - spytała poważnym głosem.

- Na koniec wieczoru zabiorę ją do jej domu w Herkulanum swoim statkiem. Powiem jej uczciwie, w cztery oczy, że nie mogę zrobić tego, czego ode mnie oczekuje. Nie martw się. Wcale się nie przejmie. Nie uwierzy mi. Nigdy nie wierzyła.

Żywy ton jego wypowiedzi zamknął ten temat, zresztą nikt z nas nie miał nic przeciwko temu. Kłopotliwe położenie Emilii Fausty było żenujące dla nas wszystkich.

Wstałem i wyjąłem z zanadza list, który nosiłem przy sobie tyle tygodni. Kryspus uśmiechnął się; wyglądał na zupełnie odprężonego.

- Liścik miłosny od Wespazjana?

- Tak. - Podałem mu rulonik. - Przeczytasz go, panie?

- Zapewne.

- On chce, bym przyniósł mu twoją odpowiedź.

- Niech będzie.

- Możesz potrzebować trochę czasu, żeby się zastanowić...

- Albo nie będzie żadnej odpowiedzi, albo udzielię ci jej jeszcze dzisiaj.

- Dziękuję, panie. Zatem, jeśli można, poczekam na zewnątrz.

- Oczywiście.

Zachowywał się rzeczowo. Miał talent. W sprawie Fausty pokazał, że potrafi współczuć, co jest dość rzadkie. Miał też dużą dozę zdrowego rozsądku, poczucie humoru, umiejętności organizacyjne i naturalny, przystępny styl bycia. To prawda - dorównywał Flawiuszom. Ród Wespazjana miał za sobą wiele lat w służbie publicznej, mimo to jego przedstawiciele wciąż wydawali się na swój sposób ograniczeni i prowincjonalni, czego żadną miarą nie da się powiedzieć o tym wytwornym i sympatycznym patrycjuszu.

Naprawdę mi się podobał. Głównie dlatego, że w gruncie rzeczy nie traktował siebie poważnie.

- Chcę cię o coś zapytać, Falkonie.

- Słucham.

- Nie - powiedział Aufidiusz Kryspus, spoglądając zimnym wzrokiem na Helenę. - Nie przy tej damie.



LIII

Helena Justyna obrzuciła nas obu lekceważącym spojrzeniem, po czym wyszła z pokoju... jak tamta tancerka, tyle że bardziej energicznie i bez róży.

- Nienawidzi tajemnic - wyjaśniłem.

- Masz na nią chrapkę? - spytał. Zmrużył oczy rozświetlone tym półzartobliwym błyskiem, który pojawiał się w nich, kiedy z przyjemnością manipulował ludźmi. - Możliwe, że potrafię to załatwić...

- Sympatyczny gest, tyle że ta pani nie chce na mnie patrzeć!

Uśmiechnął się.

- Falkonie, jesteś dość osobliwym człowiekiem jak na posłańca z pałacu! Skoro Wespazjan osobiście do mnie napisał, to dlaczego na dodatek przysłał ciebie?

- Wynajmuje profesjonalistów! O co chciałeś mnie spytać? I dlaczego nie przy damie?

- Bo dotyczy to też jej męża...

- Byłego męża - oświadczyłem.

- Pertynaksa Marcela, rozwiedzionego z nią, jak powiadasz... Co wiesz o Pertynaksie?

- Zbyt ambitny i za mało inteligentny.

- Nie w twoim typie? Ostatnio przeczytałem o jego śmierci - mruknął, spoglądając na mnie badawczo.

- To prawda.

- Rzeczywiście?

- Cóż, sam, panie, czytałeś!

Wpatrywał się we mnie, jakbym powiedział coś, co nie bardzo odpowiada prawdzie.

- Pertynaks był zaangażowany w sprawę, o której co nieco wiem, Falkonie - oznajmił. Nigdy nie udowodniono roli Kryspusa jako spiskowca

i w żadnym razie nie mogłem przewidzieć, że się do tego przyzna. - Pewni ludzie zebrali poważne fundusze... zastanawiam się, gdzie one teraz są.

- Tajemnica państwowa, panie.

- Czy to znaczy, że nie wiesz czy że nie chcesz powiedzieć?

- Albo jedno, albo drugie. Może najpierw ty, panie, powiesz mi - zaproponowałem otwarcie - dlaczego koniecznie chcesz to wiedzieć.

Roześmiał się.

- Och, daj spokój!

- Wybacz, panie, mam ciekawsze zajęcia niż siedzenie na stołku, w słońcu, i obserwowanie, jak dojrzewają winogrona. Bądźmy szczerzy! Ta gotówka została ukryta w magazynie pieprzu przez człowieka, który najwyraźniej gdzieś zniknął... przez stryja Heleny Justyny.

- Pomyłka! - rzucił ostro Kryspus. - On nie żyje, Falkonie.

- Naprawdę? - Głos uwiązał mi w gardle, kiedy znowu poczułem odór tego rozkładającego się ciała, które wrzuciłem do ścieku.

- Nie żartuj sobie. Wiem, że nie żyje. Nosił pierścień, monstrualnie wielki szmaragd, w nie najlepszym guście - skrzywił się. Nawet na to własne przyjęcie Kryspus nie założył biżuterii, poza jednym sygnetem z płaskim onyksiem, doskonałej jakości, ale dyskretnym. - Nigdy go nie zdejmował. Tymczasem ja ten przedmiot widziałem, Falkonie, pokazano mi go tutaj, tego wieczoru.

Nie wątpiłem w jego słowa. Mówił o jednym z pierścieni, które Juliusz Frontyn, dowódca pretorianów, ściągnął z opuchniętych palców nieboszczyka w magazynie.

O kamei, którą zgubiłem.

Kiedy byliśmy jeszcze w Rzymie, Barnabas ją znalazł.

I na pewno to on był dzisiaj wieczorem w Oplontis.

Myśląc szybko, doszedłem do wniosku, że Kryspus wciąż ma nadzieję położyć łapę na tym kuszącym stosie kruszcu, który spiskowcy zebrali, i że zamierza go użyć, by przeprowadzić własne plany. Połowa Lacjum i wytworna łódź to za mało, żeby zapewnić sobie przychylność wszystkich prowincji, senatu, gwardii pretoriańskiej i krzykliwej tłuszczy z Forum...

Z nadzieją, że uda mi się go przekonać, by porzucił swoje zamiary, zapytałem o to, co już i tak odgadłem:

- Kurcjusz Gordian napisał, by cię ostrzec, że wyzwoleniec Pertynaksa, Barnabas, zmienił się w działającego na własną rękę zabójcę? Ten człowiek był tutaj dziś wieczorem, prawda?

- Owszem, był.

- Czego chciał? - zapytałem, starając się, by ton mojego głosu brzmiał obojętnie. - Próbował zyskać twoje poparcie dla tej swojej hecy rzekomych dostaw dla statków?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Falkonie - zauważył Kryspus, w ten swój ujmujący sposób. Wpatrywał się we mnie. Porzuciłem ten temat, niczym głupiec, który przypadkowo wpadł na jakiś trop, nie pojmując jego znaczenia.

To prawda, nie pojmowałem. Tyle że nigdy nie byłem amatorem, który własną niepewność potraktowałby jako pretekst, by dać czemuś spokój.

Zacząłem podejrzewać, że wszędzie tam, gdzie import zboża pasował do

tej zagadki, Aufidiusz Kryspus znajdował się na pierwszym planie. Zastanawiałem się, czy to on i być może Pertynaks przed swoją śmiercią wymyślili jakieś prywatne okraszenie pierwotnego spisku... dodatkową pomyslową sztuczką, już całkowicie ich własną. Czy Kryspus miał nadzieję pociągnąć ją dalej? Czy Barnabas przybył tu dzisiaj, by podjąć te działania, które Kryspus zamierzał przeprowadzić z jego panem? I czy szczerzy, pomocny, bezstronny mediator, Kryspus, postanowił, że lepiej będzie, jeśli Barnabas zajmie się opowiadaniem mi historii swojego życia w jakiejś wilgotnej celi więziennej?

- Wiesz, panie, że Barnabas jest teraz poszukiwany w związku z zamordowaniem Longina? Wydasz go?

Wiedziałem, że pod tą życzliwą powłoką zewnętrzną ukrywa się człowiek niebezpieczny i jak większość takich ludzi równie szybko pozbywa się kłopotliwej postaci spośród własnych współpracowników, jak i unicestwia przeciwnika. W rzeczywistości szybciej.

- Spróbuj w willi Marcela - zasugerował bez chwili wahania.

- Tak myślałem! Brakowało mi pretekstu, by przeszukać tę posiadłość, ale jeśli to jest pewna wskazówka, to mogę tam dopaść wyzwoleńca...

- Moje wskazówki zawsze są pewne - oświadczył gładko i z uśmiechem Aufidiusz. Po czym jego śniada twarz stężała. - Choć radzę ci, Falkonie, byś przygotował się na niespodziankę!

Skończył już rozmowę ze mną. Trzymał w ręku zapieczętowany list Wespazjana, a ja chciałem zostawić go samego, żeby odczytał, co napisano na tym starym kawałku papirusu, nim atrament zblednie i zjedzą go żuki. Zacząłem już otwierać drzwi, jednak się zatrzymałem.

- A jeśli chodzi o twojego, panie, przyjaciela, Meniusza Celera. Uderzyłem go, bo napastował damę.

- Cały Meniusz! - wrzucił ramionami. - On jest niegroźny.

- Powiedz to, panie, tej damie! - rzuciłem zgrzytliwie.

Kryspus zrobił zdziwioną minę.

- Córce Kamila? Wyglądała...

- Nieskazitelnie... zawsze tak wygląda.

- Czy to oficjalna skarga?

- Nie - burknąłem, zachowując cierpliwość. - To tylko wyjaśnienie, dlaczego sponiewierałem twojego szlachetnego przyjaciela!

- W takim razie w czym rzecz, Falkonie?

Nie potrafiłbym mu tego wyjaśnić.

Był bystrym, zdolnym kombinatorem. W rywalizacji z Flawiuszami mógłbym bez trudu udzielić mu poparcia. Wiedziałem jednak, że surowy, staroświecki Wespazjan (który podzielał mój pogląd, że kobietę godzi się brać do łóżka tylko za jej jednoznacznym przyzwoleniem) nie patrzyłby pobłaźliwie na swawolnego Meniusza Celera i jego tak zwane niegroźne eskapady. Odkryłem, że ludzie, którzy dzielili moje poglądy na temat kobiet, sprawdzali się też najlepiej w działalności politycznej. Co oznaczało, że Aufidiusz Kryspus właśnie stracił jeden głos wyborczy.

Nie miałem już po co przedłużać tej rozmowy, więc wyszedłem.

Helena zniknęła. Chciałem jej poszukać, ale przecież powiedziałem Aufidiuszowi Kryspusowi, że poczekam tu, w perystylu.

Bez celu ruszyłem wzdłuż kolumnady, oddalając się od centralnej części budynku. Zatrzymałem się dopiero, kiedy przestały do mnie dochodzić ludzkie głosy, a mrok rozpraszało kilka ledwo tłących się lamp.

Stałem bez ruchu, słuchając plusku fal uderzających o wychodzące w zatokę niewielkie molo. Po tym, że Kryspus nazwał mnie osobliwym posłańcem, domyślałem się, że niezależnie od tego, jaki przystępny wydawał się podczas rozmowy, gardził mną. Dopóki Wespazjan będzie mnie zatrudniał, nim też będzie pogardzał.

Ugiąłem się nagle pod brzemieniem nieumiejętności wpłynięcia na niego. Straciłem całą wiarę w siebie. Potrzebowałem przyjaciela, który by mnie pocieszył, tymczasem teraz, kiedy Helena gdzieś sobie poszła, poczułem się zupełnie osamotniony.

W oddali usłyszałem energiczne kroki. Pojawił się Kryspus. Znieruchomiał przed głównym budynkiem; ja stałem w jednym ze skrzydeł, cofniętym od morza. Był zbyt daleko, bym go dogonił, zanim odszedł.

Mogłem zawołać. Nie miało to jednak sensu. Nie szukał mnie. Podjął już decyzję: nie będzie odpowiedzi na list Wespazjana. Przedtem wierzyłem, że można go zawrócić z obranej drogi; teraz stało się oczywiste, że nie ja będę tym posłańcem, który dokona tej trudnej sztuczki. Nigdy jednak łatwo się nie poddaję. Ruszyłem za nim.

Podczas mojej nieobecności w domu zapanował chaos. Nie znalazłem nikogo na tyle trzeźwego, kto mógłby mi powiedzieć, w jakim kierunku udał się gospodarz przyjęcia. Pomyślawszy sobie, że być może poszedł po Emilię Faustę, zawróciłem do tryklinium, gdzie ją ostatnio widziałem. Była tam, wciąż osamotniona; jego ani śladu.

Tym razem mnie zauważyła.

- Dydiuszu Falkonie!

- Pani... - zacząłem. Przeszedłem ponad kilkoma rozciągniętymi na podłodze młodymi szlachetnymi panami, którzy tego wieczoru pozwolili sobie na więcej, niż ich arystokratyczne organizmy były w stanie znieść. - Widziałaś Kryspusa?

- Ostatnio nie - przyznała Fausta, patrząc na mnie znacząco, co sugerowało podejrzenia związane z tancerkami. Ponieważ sam czułem się zawiedziony, usiadłem z nią, by okazać jej życzliwość. - Wyglądasz na przygnębionego, Falkonie!

- Bo jestem! - Oparłem łokcie na kolanach i tarłem oczy. - Należy mi się odpoczynek. Chcę do domu. Potrzebuję czulej kobiety, która zapakowałaby mnie do łóżka z kubkiem mleka!

Fausta wybuchnęła śmiechem.

- Gałka muszkatołowa czy cynamon? W mleku?

Też się roześmiałem, niechętnie.

- Chyba gałka.

- Prawda, cynamon się zbryła, kiedy postoi...

Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego. Uprzejmości się wyczerpały.

- Widziałaś Helenę Justynę? - Byłem niespokojny. Chciałem porozmawiać z Heleną o tym, co się wydarzyło po jej wyjściu.

- Och, Helena poszła z moim bratem. W sprawie na tyle prywatnej, że wykluczającej obecność świadków! - ostrzegła mnie Fausta filuternym tonem, kiedy zacząłem się podnosić. Poczulem, jak ścisza mi się gardło; spróbowałem to zignorować. Siostra sędziego posłała mi uśmiech, dobrodusznie dając do zrozumienia, że to ona jest wygłodniałym ukwiałem, a ja unoszącą się w wodzie krewetką. - Helena Justyna nie ucieszy się, jeśli wtargniesz...

- Jest do tego przyzwyczajona. Kiedyś dla niej pracowałem.

- Och, Falkonie, nie udawaj, że nie wiesz!

- Czego nie wiem? - wydusiłem z siebie, usiłując utrzymać konwersacyjny ton. - Jaką ona może mieć tajemnicę?

- Sypia z moim bratem - oświadczyła Fausta.

Nie uwierzyłem jej. Znałem Helenę Justynę. Było wielu mężczyzn, których mogłaby obdarzyć uwagą, ale byłem całkowicie pewien, że błyskotliwi, smukli, jasnowłosi, odnoszący sukcesy sędziowie - nie zwracający uwagi na osoby, z którymi przyszli na przyjęcie - nie byli w jej typie.

W tym właśnie momencie Helena i Emiliusz Rufus wkroczyli razem do pokoju.

Wtedy uwierzyłem.



LV

Obejmował ją mocno w pasie. Albo Helenie z jakiegoś powodu potrzebna była podpora, albo sędzia lubił ją obejmować. Nic dziwnego; sam lubiłem obejmować Helenę.

Kiedy Rufus wpływał przez drzwi, niczym olśniewający krokus w swojej szafranowej wieczorowej szacie, nachylił ku niej głowę i wyszeptał coś w sekrecie. Mogłem stamtąd uciec, jedynie przepychając się obok nich, wobec czego stałem z odrzuconą do tyłu głową. Potem Helena szepnęła coś Rufusowi, który przywołał mnie gestem.

Podszedłem do niego jak gdyby nigdy nic.

Emiliusz Rufus obdarzył mnie swoim spokojnym, nic nie znaczącym uśmiechem. Nie pofatygowałem się, żeby przefasonować mu gębę. Po co uszkadzać sobie pięść? Jeśli tego właśnie dama chciała, nie było sensu robić scen. Gość miał wysoką rangę (co mi nie przeszkadzało), ale miał też tę panią. Nic bym nie zyskał.

Helena milczała z opuszczoną głową, Rufus natomiast przejął inicjatywę: silna kobieta pozwoliła, żeby przeciętny typek ją sobie podporządkował. Szkoda jej było dla niego. Ale przecież większość z nich tak się właśnie marnuje.

- Rozumiem - odezwał się Rufus - że od czasu do czasu pełnisz rolę

opiekuna Heleny. Właśnie teraz możesz się przydać. - Mówił lekkim tonem, jakby chciał zamaskować przede mną, osobą zbyt mało ważną, jakieś istotne wydarzenia. Nie znoszę, kiedy traktuje się mnie protekcjonalnie.

- Mam już zbyt wiele wcześniejszych zobowiązań - odmówiłem stanowczym głosem.

Helena zawsze wiedziała, kiedy się złościę, szczególnie jeśli to jej dotyczyło.

- Dydiuszu Falconie - zwróciła się do mnie oficjalnie. - Dzisiejszego wieczoru coś usłyszeliśmy. Jeśli się nie mylimy, jest to coś zupełnie niewiarygodnego. Muszę z tobą porozmawiać... - Nagle do pokoju wbiegł korowód rozbawionych gości, odrzucając na bok naszą trójkę. - Nie tutaj... - Zmarszczyła bezradnie brwi, usiłując przekrzyczeć hałas.

Wzruszyłem ramionami. I tak zamierzałem wyjść. Skoro Kryspus chciał zabrać Faustę na swój statek, nie miałem tu już nic do roboty. Rufus puścił Helenę.

- Przywołam ci lektykę - powiedział. Wyszedł z pokoju przed nami.

- Widzę, że znalazłaś sobie pocieszyciela! - zakpiłem.

W świetle lampy jej oczy były ciemne jak oliwki; kiedy utkwiała je w moich, był w nich ból wywołany moim bezlitosnym tonem. Ten niemy wyrzut niespodziewanie mnie zaniepokoił.

Ruszyła szybkim krokiem za sędzią; poszedłem z nią. Kiedy weszliśmy do atrium, Rufus pomachał do nas, dając do zrozumienia, że stosowne polecenia już wydał, po czym dołączył do jakiejś grupy gości. Musi to być wieloletni pospolity romans, pomyślałem z goryczą. Na zewnątrz owiewała nas lekka bryza i otaczał spokój.

Było chłodno, choć wciąż przyjemnie. Nawet ja musiałem przyznać, że Zatoka Neapolitańska jest jednym z najbardziej eleganckich wybryków natury w całym cesarstwie. Wyglądała nadzwyczaj cywilizowanie w świetle gwiazd. Była rzeczywiście bajecznie pociągająca. Kiedy o kilka kroków ode mnie pluskały niewielkie fale, mogłem nawet sobie wyobrazić, dlaczego inni zwariowani ludzie kochają morze.

Noc była niezmacona, piękna, i jedyne, co mi pozostało, to dzielić ten spokój i oświetlony gwiazdami krajobraz z dziewczyną u boku... która kiedyś była taka słodka i łagodna, i tajemniczo przyjazna, a teraz stała się sobą: córką senatora i kochanką sędziego, całkowicie odizolowaną od takiego nędznego robaka jak ja.

Coś za długo nie było jej lektyki.

- Jak ci poszło z Kryspusem? - spytała bezbarwnym głosem, kiedy cisza zaczynała być już niezręczna.

- Nie udało mi się go przekonać.

- Co zrobi?

- Trudno powiedzieć.

- Możliwe, że sam jeszcze nie wie. - Mówiła cicho, nachmurzona. Pozwoliłem jej mówić. - Taki właśnie jest. Podejmuje decyzję pod wpływem kaprysu, po czym nagle ją zmienia. Pamiętam, jak rozmawiał z Pertynaksem o koniach. Po długich rozważaniach, kiedy już wszystko ustalili, Kryspus nagle stawiał na jakiegoś innego konia... - Zamilkła.

- Wygrywał? - mruknąłem, patrząc w morze.
- Nie, na tym polegała ta głupota. Na ogół przegrywał pieniądze. Nie zauważył nawet, jak świetnie Pertynaks zna się na koniach.

Wbrew sobie dałem się wciągnąć w tę opowieść.

- Irytowały go przegrane?

- Nie. Utrata pieniędzy czy utrata twarzy nigdy go nie przerażają.

- To też jest pewnego rodzaju hazard. W każdym razie jakieś zajęcie. On nie ma poczucia niesprawiedliwości czy ambicji, które by go napędzały. Gordian przynajmniej przejawiał pewną intensywność uczuć! Jeśli najgorsze, na co może narzekać Kryspus, jest to, że Wespazjanowi zabrakło w Afryce funduszków, to gościem rzeczywiście nie powoduje chorobliwa zazdrość... - mówiłem. Milczenie Heleny pomagało mi sprecyzować myśli. - Można by go pozyskać. Jest utalentowany, zasługuje na wysokie stanowisko. Jednakże cesarz wysłał niewłaściwego człowieka, żeby go zjednać. Kryspus uważa, że jestem tak ważny jak kłębek sierści z ogona jagnięcia, i ma rację...

- Nie ma racji! - Helena zmarszczyła czoło, tylko w części skoncentrowana na moich słowach. - Potrafisz to przeprowadzić. - Nagle przysunęła się i przytuliła do mojego boku. - Och, Marku, nie mogę tego wszystkiego znieść... obejmij mnie! Proszę, tylko na jedną chwilę...

Odsunąłem się gwałtownie.

- Kobiety innych mężczyzn mają w sobie coś atrakcyjnego... ale wybaczone, nie jestem dzisiaj w nastroju!

Wyprostowała się jak struna i wstrząśnięta wciągnęła głęboko powietrze. Sam byłem wstrząśnięty.

Czas ruszać. Lektyka w barwach Marcela pojawiła się nieopodal. Rufusa nigdzie nie było widać.

- Miałam ci do powiedzenia dwie rzeczy - wyszeptała gwałtownie Helena. - Z jedną muszę uporać się sama! Jednak proszę cię, byś udał się ze mną do rezydencji...

- A czemu nie twój przystojny przyjaciel?

- Bo chcę ciebie.

- Dlaczego miałbym dla ciebie pracować?

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Bo jesteś zawodowcem i zapewne widzisz, że się boję!

Rzeczywiście byłem zawodowcem. Nigdy o tym nie zapomniała. Czasami wołałbym, żeby zapomniała.

- Zgoda. Stawki jak zwykle - odparłem cicho. - Takie same zasady jak poprzednio. Jeśli ja udzielam ci poleceń, nie spierasz się, po prostu postępujesz zgodnie z nimi. I żeby wykonać dobrze robotę, muszę wiedzieć, co cię wystraszyło...

- Duchy! - odparła Helena.

Po czym, nie oglądając się, ruszyła w stronę lektyki, wiedząc, że pójdę za nią.

Lektyka była jednoosobowa. Musiałem dreptać za nią przez dwie mile, przez całą drogę kipiąc z gniewu na Rufusa.

Helena miała czterech tragarzy i dwóch tłustych chłopczyków z pochodniami. Wszyscy oni gapili się na mnie, jakby dokładnie wiedzieli, w

jakim celu pani ciągnie mnie ze sobą. Po drodze mijaliśmy mnóstwo miejsc, gdzie moglibyśmy się zatrzymać, żeby podziwiać panoramę, a ja zgrzytałem zębami, wyczuwając pogardę tragarzy, kiedy szliśmy naprzód bez zatrzymywania, a oni zorientowali się w swojej pomyłce.

Dom był pogrążony w kompletnej ciszy.

- Pozwól, że ja pierwszy... - Znowu jej strzegłem, trzymałem blisko siebie, kiedy pomagałem wysiąść z lektyki, obrzucałem spojrzeniem teren za nami, kiedy szliśmy ku portykowi, po czym pierwszy przekroczyłem drzwi domu, zanim przeprowadziłem przez nie Helenę. Ponieważ byliśmy na wsi, nie było potrzeby wzywania odźwiernego, wielkie drzwi bez rygli i krat otwierały się bez trudu pod naciskiem dłoni.

- Chodź, Falkonie. Koniecznie musimy porozmawiać...

Wzdłuż korytarza, w równych odstępach, paliły się ceramiczne lampki, choć wokół nikogo nie było. Helena Justyna pospieszyła na piętro. Podeszliśmy do ciężkich dębowych drzwi, prowadzących, jak się domyślałem, do jej sypialni. Kiedy wyciągnąłem rękę, by je otworzyć, popatrzyłem na jej zaciętą twarz.

- Nie potrafię pracować w niedobrej atmosferze - oświadczyłem w krótkich słowach. - Nieuprzejmość wobec klientki to zachowanie nieprofesjonalne, przepraszam. - Po czym, nie czekając na reakcję, otworzyłem drzwi i wpuściłem ją do środka, dotykając lekko jej pleców.

Był tam mały przedpokój, gdzie mógł spać niewolnik, choć Helena nie należała do osób, które by nocą trzymały przy sobie służbę. Za zasuniętą kotarą sypialnia była oświetlona, kiedy jednak zamknąłem drzwi, ten odcinek sześciu kroków dzielący nas od niej pogrążył się w ciemności. Powiedziałem coś konwencjonalnego, w stylu, „Trafisz jakoś?”, po czym poczułem, jak się odwraca, żeby mi odpowiedzieć, więc musiałem podjąć błyskawicznie decyzję, czy cofnąć się z szacunkiem o krok... czy nie. Decyzja podjęła się sama. Był to długi pocałunek, z mnóstwem tłumionej frustracji z mojej strony, a jeśli rzeczywiście uważałem, że ona sypia z tym sędzią, to możecie się zastanawiać, dlaczego to zrobiłem.

Sam się nad tym zastanawiałem. Miałem jednak ochotę pokazać tej młodej damie, że cokolwiek otrzymywała gdzie indziej, to znajdzie lepszą tego odmianę w szorstkim uścisku swojego stróża...

Właśnie gdy dochodziłem do wniosku, że już ją przekonałem, w sypialni z trzaskiem przewróciła się metalowa lampa.



LVI

Helena, kipiąc oburzeniem, pierwsza tam dotarła. Zobaczyłem, jak ktoś się rzuca do składanych drzwi: wąska klatka piersiowa, cienkie nogi, jasne włosy i wąska bródka na linii żuchwy, ktoś w białej tunice. Kogoś mi przypominał. Powinienem był go schwytać: byliśmy w równym stopniu zaskoczeni, choć to, że czaił się na Helenę, wzbudziło moją wściekłość.

Musiałem pozwolić mu umknąć. Musiałem, bo Helena, kiedy już wpadła do sypialni, wydała stłumiony okrzyk i szczęśliwie udało mi się ją pochwycić, zanim osunęła się na podłogę.

Położyłem ją na łóżku, chwyciłem dzwonek i potrząsałem nim dziko, po czym wybiegłem na zewnątrz, żeby się rozejrzeć. Przez całą długość budynku ciągnął się balkon, od którego w kilku miejscach prowadziły stopnie na dół, a co kawałek były drzwi prowadzące do wszystkich pomieszczeń na piętrze. Mężczyzna zniknął. Pobiegłem z powrotem do przedpokoju i ryknąłem z całych sił, żeby wszcząć alarm.

Helena już dochodziła do siebie. Mamrocząc słowa otuchy, nachyliłem się nad nią, rozwiązałem jej pasek i rozpiąłem niebieski naszyjnik; zdezorientowana zaczęła protestować. Miała też elegancki łańcuszek, który okręcił się jej na szyi. Rozplatałem go, spodziewając się amuletu.

Niemądra myśl: Helena sama odpędzała złe uroki. Na łańcuszku znajdował się mój srebrny pierścień. Natychmiast wyciągnęła rękę, żeby mi go odebrać.

W odpowiedzi na mój wrzask ludzie zaczęli wpadać do pokoju. Przepchnąłem się przez przybyłych, pozwalając Helenie na wyjaśnienia, a sam ruszyłem za intruzem; nie miałem wątpliwości, że był nim Barnabas.

Pobiegłem do stajni, przekonany, że tam właśnie się przyczaił. Pojawił się Bryon, z przestraszoną miną. Był muskularny i sporo ważył, ale zanim zdążył się zorientować, chwyciłem go za ramiona i przycisnąłem mu głowę do drewnianego słupa.

- Gdzie on jest?

Jego wzrok pobiegł automatycznie w kierunku boksów, w których trzymano konie wyścigowe. Ruszyłem w tamtą stronę, biegnąc lekkim truchtem przez dziedziniec. Ten nerwowy czempion, Śmiałek, na mój widok stanął dęba i walnął kopytami w drewnianą przegrodę, podczas gdy jego przypominający szczotkę do mycia butelek towarzysz przywitał mnie, rżąc przyjaźnie. Rozglądałem się wokół jak szaleniec. I już wiedziałem: krótkie drewniane schody prowadziły obok rozklekotanego boksu chabety na stryszek. Ruszyłem nimi bez chwili zastanowienia. Wyzwoleniec mógł bez trudu roztrzaskać mi czaszkę, kiedy otwierałem kłapę; na szczęście go tam nie było.

- Och, co za urocze miejsce!

Był to najlepiej urządzonego stryszek, jaki w życiu widziałem: ozdobione geometrycznym ornamentem łoże, stolik z kości słoniowej, kupidyn z doskonale spatynowanego brązu trzymający lampę w kształcie muszli, półka z butlami, resztki złożonego z trzech dań posiłku na srebrnej tacy, pestki oliwek porzucane niczym królicze bobki - nieporządny gość... Lokatora nie było. Na kołku tuż przy łóżku wisiał paskudnie zielony płaszcz.

Kiedy schodziłem na dół, Bryon uspokajał Śmiałka.

- Cóż, wciąż szukam Barnabasa... teraz przynajmniej wiem, że tu jest.

Nie ulegało wątpliwości, że domownikom zakazano mówić o istnieniu wyzwolenca. Bryon spoglądał na mnie z kwaśną miną.

- Przychodzi i odchodzi. Przeważnie go nie ma, tak jak teraz.

Śmiałek zaczął znów szaleć i Bryon mruknął, że straszę konia.

- Możemy to zrobić łagodnie, trenerze... albo nie!

- Nie wiem, gdzie on jest... może rozmawia ze starszym panem. Rozmowa o nim nie jest warta ryzykowania życia...

- Z tego, co wiem o Barnabasiu, to by się zgadzało!

Wpadłem stamtąd.

Wiedziałem, że nie ma nadziei na jego znalezienie, ale jeśli konsul pozostawał z nim w otwartym sojuszu, to na pewno wyzwoleniec czuł się na terenie posiadłości bezpiecznie.

Przeczesałem budynki gospodarcze, strasząc kury, a potem przeszukałem dom. Tym razem chodziło mi o to, by wszyscy uświadomili sobie, że o nim wiem. Wpadałem do pustych pokoi, zaglądałem na poddasza, dokonałem najazdu na bibliotekę. Buszowałem po sypialniach, niuchałem, żeby sprawdzić, czy ktoś z nich ostatnio korzystał. Macałem gąbki w latrynie, licząc, ile jest mokrych. Sprawdzałem, czy łoża biesiadne są zakurzone czy nie. Żaden z niewolników o zapuchniętych oczach, wyrwanych przeze mnie z ich klitek, nie mógł już dłużej utrzymać, że nie zna szczupłego mężczyzny z bródką, który był w domu ich pana, i nie wie, że chce go dostać w swe ręce ten wściekły cesarski agent. Wysypali się na zewnątrz i stali półnaczy, aż cała willa rozbłysła światłem lamp: gdziekolwiek się krył, to teraz tam utkwiał na dobre.

Kazałem im wyciągać skrzynie z kątów i odwracać dnem do góry stojące po rogach puste beczki po winie. Po tych moich wysiłkach tydzień zajmie im uporządkowanie tego miejsca. Nie było stosu brudnej bielizny, którego bym nie rozbebeszył, czy worka z ziarnem, którego bym nie kopał, aż pękł. Torba z kurzymi piórami, które składali, żeby wypchać nimi materac, spowodowała piramidalny bałagan. Koty umykały z wrzaskiem z mojej drogi. Gołębie na dachu przestępowały w ciemności z łapki na łapkę i gruchały żałośnie.

W końcu wpadłem do pokoju, gdzie Helena i Marcel siedzieli w milczeniu, zdruzgotani zniszczeniem, do jakiego doprowadziłem. Helena miała na ramionach długi wełniany szal. Rzuciłem jej na kolana dodatkową pałkę.

- Znalazłeś go? - spytał konsul, który zaprzestał udawania.

- Oczywiście, że nie. Jestem tu obcy. Za to on na pewno zna twoją posiadłość na wylot. Na pewno tu jest! Mam nadzieję, że kuli się w piecu do chleba z twarzą w popiele i łopata wciśniętą w ucho! Skoro on zagraża twojej synowej, to mam nadzieję, że ktoś zapali w tym piecu, kiedy w nim będzie siedział!

Opuściłem się na jedno kolano przy Helenie Justynie. Marcel już na pewno zdążył zobaczyć, w jaki sposób na nią patrzę. Przestałem się tym przejmować.

- Nie martw się, nie zostawię cię!

Wyczuwałem jej tłumiony gniew, kiedy ponad moją głowę zwracała się do Marcela, głosem drżącym z oburzenia:

- To niewiarygodne! - Odniosłem wrażenie, że czekała na moją pomoc, nim go zaatakowała. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć... co on robił w moim pokoju?

- Czysta głupota. Rozpoznałaś go? - spytał ostrożnie konsul.

- Jakżeby mogła go nie rozpoznać? - oburzyła się. Miałem dziwne uczucie, że to, co mówi, znaczy coś więcej dla Marcela niż dla mnie. - Przypuszczam, że chce ze mną porozmawiać. Ja jednak dzisiejszej nocy,

kiedy jestem zmęczona i przytłoczona tym wszystkim, nie spotkam się z nim. Niech przyjdzie jutro, właściwie zapowiedziany...

Zerwałem się gwałtownie na równe nogi.

- Moja pani, tak nie może być!

- Nie wtrącaj się, Falkonie! - wrzasnął na mnie konsul, nie będąc w stanie pohamować gniewu. - To nie twoja sprawa. Chcę, żebyś odszedł!

- Nie. Falko zostaje - oświadczyła Helena w ten swój zrównoważony sposób. - Pracuje dla mnie. - Pasowali się z sobą w milczeniu, jednak ona wypowiedziała to tak spokojnie, że starzec wiedział, iż nic nie wskóra.

Wiercił się poirytowany.

- Helenie nie grozi tu żadne niebezpieczeństwo, Falkonie. Nikt już nie naruszy jej prywatności.

Miałem ochotę wrzeszczeć, że Barnabas to zabójca, ale doszedłem do wniosku, że lepiej go bardziej nie pogńębiać, dając do zrozumienia, że wiem.

Helena uśmiechnęła się do mnie słabo.

- Dzisiaj to była pomyłka, a nie zagrożenie - powiedziała.

Przestałem się spierać. Zadaniem osoby ochraniającej jest obrona przed napastnikami; wyjaśnianie ich brudnych motywów należy do filozofów.

Zwróciłem Marcelowi uwagę, jak bardzo Helena jest zmęczona, i w kontekście wcześniejszych wydarzeń nie ukrywałem, że zamierzam odprowadzić ją do jej pokoju.

W sypialni roilo się od służby. Ze względu na jej bezpieczeństwo ucieszyło mnie to. Poza tym sprawy obecnie przybrały tak poważny obrót, że najlepiej było nie bawić się w całowanie jej po korytarzach.

Wprowadziłem ją do środka, potem puściłem do niej radośnie oko. Sprawianie, by czuła się bezpieczna, stanowiło część usługi pierwszej klasy, którą zamierzałem dostarczyć.

- No cóż, zupełnie jak w starych czasach! - rzuciłem.

- Czuję taką ulgę, że tutaj jesteś!

- Daj spokój. Przecież ktoś musi cię chronić. Jutro pogadamy. Spodziewaj się jednak mojego sprzeciwu wobec sugestii, że mogłabyś się spotkać z Barnabasem.

- Zrobię to, jeśli będę musiała... - Zawahała się. - Jest jeszcze coś, Marku, co go dotyczy, a czego ty jeszcze nie wiesz...

- Powiedz mi.

- Po spotkaniu z nim.

- Nie spotkasz się z nim. Nie zamierzam pozwolić ci jeszcze raz tak się narażać! - Byłem kategoriyczny. Wciągnęła ze złością powietrze, po czym opamiętała się, kiedy jej błyszczące oczy natrafiły na mój wzrok. Pokręciłem z czułością głową. - Ach, moja pani! Za nic nie potrafię zdecydować, czy jesteś moją ulubioną klientką... czy tylko najbardziej kłótniwą!

Przytknęła mi zwiniętą pięść do nosa, jak zwierzątku, które było niegrzeczne. Uśmiechnąłem się i odszedłem, zostawiając ją w tej złocistej siateczce na włosach, w której wyglądała tak młodo i bezbronne. Otoczyły ją pokojówki, by pomóc jej przygotować się do snu, a mnie udało się uwierzyć, że znowu jesteśmy w tak dobrych stosunkach, iż Helena Justyna

chętnie pozbyłaby się tych kobiet i zatrzymała mnie przy sobie.

Krażyłem tam i z powrotem przez całą noc. Tego by po mnie oczekiwała.

Barnabas już się więcej nie pokazał, choć wypatrując go, chodziłem niezamordowanie, z nadzieją, że słyszy moje kroki i wie, że nie przestaję rozglądać się za nim.



LVII

Nazajutrz zabrałem Helenę do Oplontis i zostawiwszy ją z Petroniuszem i Sylwią, wróciłem do Herkulanum po swoje rzeczy.

- Wyglądasz na niezadowolonego. Mam nadzieję, że to nie z mojego powodu! - zaćwierkała Emilia Fausta z dziewczęcym sarkazmem.

Całą noc byłem na nogach a godzina snu, jaką złapałem, kiedy Helena jadła śniadanie, tylko pogorszyła sytuację. Podwiózł mnie jakiś gość na wozie z łajnem; byłem pocięty przez muchy i czułem się zbyt paskudnie, żeby dać radę południowemu posiłkowi w stylu Emiliuszów, złożonemu z ociekających marynowanych jaj.

Emilia Fausta, która chciała, by cały świat wiedział, że ubiegłej nocy została odholowana do domu przez wielkiego Aufidiusza Kryspusa, udawała, że przeprasza mnie za pozostawienie na lodzie.

- Nie mogłam cię znaleźć, Falkonie, żeby ci powiedzieć o moich planach...

- Znałem twoje plany. Kryspus powiedział mi o swoich. - Nie był to odpowiedni moment, żeby chciała się bawić w przekomarzenia. - Nie przejmuj się - burknąłem. - Pełno tam było kobiet, które na mnie nastawały... Pożegłowałaś do domu na *Izydzie*, he? Mam nadzieję, że nie zdarzyło się tam nic skandalicznego.

Fausta gorąco zaprzeczyła (co pozostawiło niezatarte wrażenie, że jednak się zdarzyło). Nie mogłem sobie wyobrazić, by jakikolwiek kawaler sam na sam z nią na wytwornym statku przegapił taką okazję.

- Pani, uczyni to na przyszłość swoją zasadą... rób to, co wydaje się naturalne, i dopiero potem przepraszaj muzyków!

Na szczęście w tej właśnie chwili z kuchni dobiegł charakterystyczny, ogłuszający brzęk naczyń i Fausta musiała odpłynąć, żeby zagrać rolę pani domu. Miała wygląd kobiety, która potrafi wrzeszczeć na pomoc kuchenną. Patrzyłem za nią nachmurzony, myśląc o Helenie Justynie, która wyglądała mi na kogoś, kto widząc, jak jakaś głupia dziewczyna nie daje sobie rady z oczyszczeniem kalafiora, sama chwyta spokojnie za nóż i pokazuje, jak powinno się to robić... Potem pomyślałem, że może Emiliusz Rufus chciał się ożenić z Heleną, żeby przeskoliła mu kucharza.

Odczuwając ogromną niechęć do Rufusa, wyciągnąłem należne mi honorarium od zarządcy domu, a potem ponownie odnalazłem Faustę, żeby się pożegnać.

- Będzie mi brakowało lekcji muzyki! - wyznała wesoło. Pochwyciła kitarę (którą Kryspus najwyraźniej dostarczył wraz z właścicielką, uprzejmy człowiek) i zaczęła szarpać struny plektronem niczym Muza,

której sam Apollo udzielił lekcji na temat potrzeby trzymania wysokich lotów. Skomentowałem tę jej działającą na nerwy żywiołowość.

- Czy to znaczy, że Aufidiusz Kryspus wywiązał się z obietnic? - zapytałem. Ciągle miałem nadzieję, że próbował pozbyć się Fausty, ale pewności nie miałem żadnej; jego zachowanie wobec kobiet było najwyraźniej równie kapryśne co wobec koni, o czym wspominała mi Helena, i takie samo mogło też się okazać w wypadku polityki.

- Gdyby Aufidiusz miał dojść do najwyższych zaszczytów - szepnęła Fausta z powagą - naturalnie u jego boku byłoby miejsce dla cesarzowej...

- Och, naturalnie - wychrypiałem. - Osoby tak wspaniałomyślnej, że nie przyjdzie jej do głowy protestować, kiedy on będzie dźgał tancerki swoim cesarskim berłem! On jednak tego nie osiągnie, bo prędzej Furie rozerwą mnie na strzępy, niż ja do tego dopuszczę. Emilio Fausto, jeśli pragniesz zaszczytnej pozycji, to postąpisz najmądrzej, poślubiając kogoś takiego jak Kapreniusz Marcel i obdarzając go dzieckiem...

To dobrze ilustruje niski poziom, jaki prezentowały klientki, dla których na ogół pracowałem. Zamierzałem pozostawić wyobraźni Fausty ocenę, w jaki sposób mogłaby wejść w szlachetną rolę macierzyństwa, zważywszy na słabe zdrowie i zaawansowany wiek konsula, ale ona była tak pełna samozadowolenia, że mściwie wyraziłem rzecz bez ogródek:

- Jak już będziesz miała jego podpis na kontrakcie ślubnym, znajdź sobie woźnicę rydwanu albo masażystę z łaźni, który pomoże ci starca uszczęśliwić... i przygotuj się na długie, opływające w dostatki wdowieństwo!

- Jesteś obrzydliwy!

- Tylko praktyczny.

Rozmowa o Kryspusie naruszyła jej równowagę. Ponownie zalała ją fala niepewności. Pochyliła głowę nad kitarą, a jej jasne włosy uczesane w nieskazitelny kok wyglądały jak twardy, świeży lakier na kamiennym popiersiu.

- Więc mnie opuszczasz... Mój brat mówi, że pracujesz teraz dla Heleny Justyny.

Patrzyliśmy na siebie, pamiętając oboje ten ostatni raz, kiedy Fausta jednym tchem wspomniała swojego brata i Helenę.

- Uważam, że się pomyliłaś - oświadczyłem ostrożnie.

- Niby dlaczego?

- Twój brat - odpowiedziałem spokojnie - nie zadaje się z twoją przyjaciółką. - Byłem tego pewien. Sędzia pozwolił Helenie opuścić przyjęcie, żegnając się z nią machnięciem ręki z daleka. Takim był właśnie typem. Ja natomiast wiedziałem, że jeśli Helena miała kochankę, to całowała go na do widzenia.

- W takim razie musi to być ktoś inny! - Emilia nie utraciła nic ze swojej złośliwości. - A może - zasugerowała - ten człowiek, przed którym masz ją chronić?

Ta kobieta była żalсна. Nie chciało mi się wysilać na spory z nią.

Zresztą mniej więcej w tym czasie dotarło nagle do mnie, że moja nowa klientka zbyt ochoczo udała się ze mną do Oplontis; nie zwlekając, pospieszyłem tam z powrotem. Miałem rację. Helena Justyna sama

decydowała o sobie. Ledwie zniknąłem, udając się do Herkulanum, znalazła jakiś pretekst, którym posłużyła się wobec Sylwii, i samotnie wyruszyła z powrotem do posiadłości Marcela.

Nie miałem najmniejszych wątpliwości: zamierzała się spotkać z Barnabasem.

Odnalazłem ją tam; leżała sobie w cieniu na ogrodowej sofie i udawała, że śpi. Połaskotałem ją kwiatkiem pod stopą. Otworzyła potulnie oczy.

- Albo będziesz robić, co każę, albo rezygnuję z tej pracy.

- Zawsze robię, co każesz, Falkonie.

- Rób tak... i nie kłam! - Nie zamierzałem jej wypytywać, czy widziała wyzwolenca, ona sama też nic nie powiedziała. Poza tym wokół było zbyt wielu służących, by można było swobodnie porozmawiać. Rozciągnąłem się pod bukszpanowym żywopłotem. Poczulem ogromne zmęczenie. - Muszę się przespać. Obudź mnie, jeśli będziesz miała ochotę gdzieś się stąd przenieść.

Kiedy się obudziłem, stwierdziłem, że, oczywiście nic mi nie mówiąc, poszła do domu. Spomiędzy rzemieni mojego lewego buta sterczał wpleciony tam kwiatek.

Poszedłem do domu i odszukałem ją.

- Moja pani, jesteś niemożliwa! - Upuściłem kwiatek na jej kolana. - Jedyna korzyść z tego zlecenia to fakt, że wreszcie mogę zapomnieć o moich wykładach na temat skali diatonicznej.

- Ty wygłaszasz wykłady na każdy temat. Nie wolałbyś być teraz w Herkulanum i udzielać lekcji gry na kitarze?

- Nie. Wolę być tutaj i ochraniać ciebie... przed tobą samą, jak zwykle.

- Och, Falkonie, przestań suszyć mi głowę - mruknęła wesoło.

Uśmiechnąłem się do niej. To było cudowne: moje ulubione zajęcie.

Usiadłem w pobliżu i przybrałem stosownie nieśmiały wyraz twarzy, a jednocześnie gotowy byłem odpędzać wszelkich łajdaków, jeśli jacyś czatowali tu tego popołudnia.

Praca nauczyciela gry na kitarze miała tylko jedną zaletę, a mianowicie, że aby pokazać palcówki, należało usiąść tuż przy młodej uczennicy i otoczyć ją ramionami. Będzie mi tego brakować.

Być może.





CZĘŚĆ 5

CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE ISTNIAŁ

ZATOKA NEAPOLIŃSKA

lipiec

*Pozwól tu do mnie, moja Galateo.
Cóż takiego kuszącego znajdujesz w morskiej toni? (...)
Tu, nad strumieniem, ziemia pokryła się wielobarwnymi kwiatami.
Połyskująca topola pochyła się nad wejściem do mojej pieczary,
girlandy splecionych pnączy rzucają cienie.
Przyjdź tutaj, a morskie fale niech dalej z hukiem zalewają plażę.*

Wergiliusz, Ekloga IX



LVIII

Gdyby nie jeden minus, posiadłość Marcela można by polecić jako idealne miejsce na spędzanie wakacji. Była świetnie rozplanowana, z najwspanialszymi w cesarstwie widokami, a jeśli miało się odpowiednie koneksje, darmowa. Jedyne, co mogło człowiekowi przeszkadzać, to fakt, że dzieli tę elegancką przestrzeń z przebiegłym zabójcą; choć pod tym akurat względem willa nie była gorsza od którejkolwiek nędznej noclegowni na wybrzeżu, gdzie jakiś przypadkowy klient gotów był pchnąć cię nożem podczas snu. Nie zamierzałem pozwolić, by Barnabas pałętał się na wolności. Pierwszego dnia poszedłem do stajni, podczas kiedy Helena i konsul otoczeni zastępem niewolników bezpiecznie spożywali drugie śniadanko. Bryon nie robił tajemnicy.

- Gdzieś sobie poszedł - poinformował mnie od razu. Rzut oka na luksusowy stryszek potwierdził jego słowa: w kryjówce wyzwoleńca nie zaszły żadne zmiany, nawet pestki oliwek po wczorajszej kolacji dalej obsychały na talerzu. Zniknął tylko płaszcz z kołka.

- Dokąd się wybierał?

- Nie mam pojęcia. Ale wróci. Co innego może zrobić?

- Coś niebezpiecznego! - wykrzyknąłem ostrzej, niż zamierzałem.

Tę drugą noc spędziłem na ławce balkonu przed pokojem Heleny. Nie uprzedziłem jej o tym, jednak pokojówka przyniosła mi poduszkę; Helena wiedziała.

Rano zjedliśmy na balkonie wspólne śniadanie, jak krewni spędzający wakacje na wsi; było to bardzo dziwne. Potem znowu wybrałem się do stajni.

Tym razem Bryon wyszedł mi naprzeciw; minę miał zatroskaną.

- Nie wrócił... to niezwykcyjne.

Rzuciłem przekleństwem.

- To znaczy, że dał nogę!

Trener pokręcił głową.

- To do niego niepodobne. Słuchaj, nie jestem głupi. Najpierw on tutaj jest, ale nikt nie ma o tym wiedzieć. Potem zjawiasz się ty. Sądzę, że on jest teraz zdesperowany...

- Och, na pewno! Muszę znać prawdę, Bryon...

- No to bądź cierpliwy. Wróci.

- Zapłacił ci, żebyś to powiedział? Osłaniasz go?

- Niby dlaczego? Urodziłem się tutaj, myślałem, że należę do rodziny. Pomyliłem się! Sprzedali mnie z dnia na dzień. Potem odkupili, ale tylko ze względu na konie. Przeżyłem dwa wstrząsy, jeden po drugim, i nikt nie uważał za stosowne powiedzieć mi o tym choć jedno słowo. Och, zawsze mi się nie najgorzej z nim układało - oświadczył Bryon. - Ale już nigdy nie będzie tak jak przedtem. Więc uwierz mi, on się zjawi.

- Bo potrzebuje starego?

Bryon uśmiechnął się ponuro.

- Nie, ponieważ stary tak bardzo potrzebuje jego!

Nie wyjaśnił dlaczego.

Rzeczywiście wrócił. I go znalazłem. Ale wcześniej wydarzyło się mnóstwo innych rzeczy.

Tamtego ranka Helena Justyna wyszła się przewietrzyć, towarzysząc chłopcu, który zanosił świeży wieniec Hermesowi przy granicy posiadłości. Asystowałem im jako ochrona. Potem pojawiły się dwa osiołki, niosące na grzbietach Petroniusza Longusa, Sylwię oraz kosz, który, jak zauważyłem, wypełniony był prowiantem: najwyraźniej mieli w planie dłuższe spotkanie.

Od samego przyjazdu Petroniusz marzył o tym, by zabrać mnie na kielicha. Teraz widocznie zwierzył okazję. Wymyślił sobie, że wakacyjna zabawa dobrze mu zrobi.

Rozzłościł mnie.

- Nie bądź śmieszny! Jestem przecież na tropie mordercy, w każdej chwili może się tutaj pojawić. Jak mógłbym szwendać się po tej górze...

- A ty nie bądź taki nadęty! Skoro ja idę, to ty też musisz - straciła cierpliwość Helena.

Zanim się zorientowałem, odesłała chłopca do domu, nakłoniła mnie, bym wsiadł na osiołka, i sama usadowiła się za mną. Trzymała się mocno mojego paska, a ja z wielkim trudem trzymałem nerwy na wodzy.

Dzień był spokojny, powietrze zasnuwane smugami oparów, co na wybrzeżu Kampanii jest zapowiedzią skwaru. Petroniusz wybrał trasę. Mój osiołek był niezdarą, co wszystkim bardzo bawiło.

Minęliśmy żyzne pola uprawne, ciągnące się na niższych partiach zbocza, a potem bujne winnice, które w tamtym czasie pokrywały górę niemal po sam szczyt, w sposób naturalny czyniąc Bachusa jej bogiem i patronem. Pośród kwitnącego żarnowca wspinaliśmy się zakosami wyżej i wyżej, w coraz bardziej rozrzedzone powietrze. Wezuwiusz wyglądał

wtedy o wiele bardziej majestatycznie niż teraz. Przede wszystkim był dwa razy większy - cicha, bujnie porośnięta, pokryta żyzną glebą góra, choć na szczycie znajdowały się też różne tajemne miejsca, w które jedynie myśliwi odważali się zapuszczać.

Petroniusz Longus zatrzymał się na łycech u winiarza przy drodze. Nie miałem ochoty na wino. Powiedziałem, że zawsze chciałem się tutaj wspiąć, by zobaczyć rozpadliny na szczycie góry, gdzie Spartakus, zbuntowany niewolnik, bronił się przed armią konsula Krassusa i omal nie wyrócił ustalonego porządku; sam byłem w tym znajomym nastroju, gotów wywracać ustalony porządek.

Helena została na osiołku.

Podjechaliśmy wysoko, pomiędzy splątanymi zaroślami, gdzie, o czym wiedziałem, pojawiały się dziki. Dalej droga była już za trudna dla zwierzęcia, więc zsiadliśmy, uwiązaliśmy je i ruszyliśmy pieszo. Nie było to łatwe; Helena przystanąła.

- Zmęczyłaś się?

- Nie najlepiej sobie radzę... Idź dalej sam, poczekam na ciebie przy osiołku.

Zawróciła. Poszedłem dalej. Myślałem, że chcę być sam, ale ledwie odeszła, poczułem się samotny. Szybko dotarłem do szczytu, rozejrzałem się, doszedłem do wniosku, że szkoda mojego wysiłku na badania historyczne, i ruszyłem z powrotem.

Helena, jak się okazało, siedziała zamyślona na rozłożonym płaszczu, z rozwiązanymi sandałkami. Kiedy się obejrzała, nie ukrywałem, że właśnie ją sobie oglądam. Bładozielona szata wyraźnie ukazywała, jak bardzo ta kobieta warta jest ukazywania. Włosy miała uczesane z przedziałkiem pośrodku i związane tak, jak lubiłem, uszy zdobiły skromne, złote kolczyki. Nawet jeśli pomalowała twarz, to tak delikatnie, że nie było widać. Gdybym jeszcze umiał sobie wmówić, że zrobiła to wszystko dla mnie...

- Dotarłeś do samej góry? Jak tam jest?

- Och, szczyt w kształcie stożka, z ogromną skalistą niecką i głębokimi szczelinami porośniętymi pnączem. Zapewne tędy uciekali buntownicy, kiedy Krassus ich stąd wypierał...

- Czy Spartakus to twój bohater?

- Każdy, kto walczy z rządzącymi, jest moim bohaterem - zapewniłem ją. Nic z tych rzeczy nie stanowiło punktu spornego, byłem więc oszczędny w słowach. - No dobrze, po co ta cała wesoła wyprawa?

- Po to, żebym mogła porozmawiać z tobą w cztery oczy...

- Barnabas?

- Tak i nie. Spotkałam go wczoraj - przyznała się Helena, powściągliwością upominając mnie za moją szorstkość. - Wszystko przebiegało nadzwyczaj kulturalnie. Siedzieliśmy w ogrodzie, a ja pojadałam miodowe ciasteczka. To on chciał się ze mną spotkać. Przede wszystkim nie ma pieniędzy...

Rozzłościło mnie to.

- Rozwiodłaś się z jego patronem. Nie ma prawa cię naciągać!

- Nie ma - powiedziała po chwili dość dziwnego milczenia.

- Chyba nie dałaś mu żadnych pieniędzy? - spytałem oskarżycielskim tonem.

- Nie - odrzekła. Czekalem. - Sytuacja jest skomplikowana - powiedziała, nadal tym bezbarwnym tonem, z odwróconym wzrokiem. - Ale mnie samej może brakować pieniędzy...

Nie potrafiłem sobie wyobrazić Heleny w finansowych kłopotach. Odziedziczyła ziemię po krewnej, potem, po rozwodzie, ojciec przekazał jej część posagu, który zwrócił mu Pertynaks. Zresztą były mąż też pozostawił jej sporą fortunę w bezcennych przyprawach korzennych. Była zatem bogatsza od większości kobiet, a przecież nie należała do takich, które roztrwonią wszystko na błyskotki, czy oddadzą grube tysiące jakiejś podejrzaney sekcji religijnej.

- Jeśli nie zamierzasz flirtować z jakimś bardzo wymagającym tancerzem baletowym, to nie rozumiem, jak mogłoby ci zabraknąć pieniędzy!

- Ach, cóż... - Wykręciła się od dalszej rozmowy na ten temat. - Teraz ty mi coś powiedz. Co takiego zaszło w willi Poppei, co cię tak bardzo rozsierdziło?

- Nic ważnego.

- Czy to mnie dotyczyło? - nie dawała za wygraną.

Nigdy nie potrafiłem się oprzeć powadze Heleny; gwałtownie wyrzuciłem z siebie pytanie:

- Sypiasz z Emiliuszem Rufusem?

- Nie - odparła.

Mogła odpowiedzieć: „Oczywiście, że nie, nie bądź niemądry”. Brzmiałoby to o wiele bardziej przekonująco, ale dużo mniej wiarygodnie. Wierzyłem jej.

- Zapomnij, że pytałem. Słuchaj, następnym razem, kiedy będziesz jadła miodowe ciasteczka, ja będę siedział za pergolą - obiecałem. Jej milczenie było zdumiewające. - Moja pani, to człowiek poszukiwany...

- Poczekaj. Pozwól, że ja się nim zajmę. Ktoś musi sprowadzić go z powrotem do rzeczywistości...

Wprost przepadałem za tym jej pełnym uporu sposobem załatwiania spraw.

- Heleno Justyno, nie możesz brać na siebie wszystkich problemów cesarstwa...

- Czuję się odpowiedzialna... - Spierała się ze mną nadal, z tym dziwnie nieobecny wyraz twarzy. - Chociaż ty mnie nie dręcz. Mam dość kłopotów...

- Jakich kłopotów?

- Nic takiego. Wykonaj swoją robotę dla cesarza, a potem możemy się zająć Barnabasem.

- Moja robota może poczekać. Teraz pilnuję ciebie...

- Sama sobie radzę! - wybuchnęła nagle, zaskakując mnie. - Zawsze. Będę zresztą musiała... z czego w pełni zdaję sobie sprawę!

Poczułem, jak zaciskają mi się szczęki.

- Bzdury opowiadasz.

- Nie, mówię prawdę! Nic o mnie nie wiesz, nigdy nie chciałeś wiedzieć.

Żyj sobie tak, jak ci się podoba... ale jak mogłeś powiedzieć to o Rufusie i o mnie? Jak w ogóle mogłeś to pomyśleć?

Nigdy nie widziałem jej tak urażonej. Przyzwyczajony do obrażania Heleny nawet nie zauważyłem, że tym razem jej wytrzymałość się skończyła.

- Posłuchaj, to nie była moja sprawa... - zacząłem się tłumaczyć.

- Nic, co mnie dotyczy, nie jest twoją sprawą! Odejdź, Falkonie!

- Cóż, to brzmi jak polecenie, które jestem w stanie pojąć! - Czułem się tak bezradny, że też straciłem panowanie nad sobą. - Wynajęłaś mnie, bo jestem dobry... za dobry, by marnować czas na klientkę, która mi nie zawiera - grzmiałem ponuro. Helena milczała. Podeszedłem do osiołka. - Wracam - oświadczyłem. - Zabieram osła. Jedziesz ze mną, jak nakazuje rozsądek, czy zostajesz sama na tej górze?

Odpowiedziało mi milczenie.

Odwiązałem zwierzę i dosiadłem go.

- Nie martw się - rzuciłem zjadliwie. - Jeśli z zarośli wyjdzie dzik, wystarczy wrzasnąć na niego, tak jak wrzeszczysz na mnie.

Helena Justyna ani się nie poruszyła, ani nie odezwała, wobec czego nie oglądając się za siebie, ruszyłem w dół stoku.



LIX

Jechałem równym tempem w dół dobrą chwilę. Kiedy droga się rozszerzyła, ściągnąłem wodze i zawróciłem.

Helena Justyna tkwiła w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem, z twarzą odwróconą i niewidoczną. Nic jej nie zaatakowało, tylko ja.

Kiedy serce przestało mi się tłuc, podeszedłem do niej, wyciągnąłem rękę i kciukiem potarłem delikatnie czubek jej głowy.

- Myślałam, że mnie zostawiłeś - powiedziała zduszonym głosem.

- Czy to prawdopodobne?

- Skąd mam wiedzieć?

- Myślałem, że rzeczywiście cię zostawiłem - przyznałem. - Jestem takim głupcem, który mógłby coś takiego pomyśleć. Jeśli tylko będziesz tam, gdzie mogę cię odnaleźć, to zawsze wrócę.

Chciała coś powiedzieć, ale jej głos zdławiło łkanie. Przykucnąłem obok niej i przygarnąłem do siebie. Trzymałem ją w ramionach i po tym, jak kilka gorących łez spłynęło mi po szyi pod tunikę, uspokoiła się. Siedzieliśmy tam w całkowitym bezruchu, podczas gdy ja przekazywałem jej moją siłę, pozbywając się napięcia, które odczuwałem już tak długo, że zaczęło wydawać się czymś naturalnym.

Ostatecznie Helena zapanowała nad sobą i podniosła wzrok. Zaczepiłem dwa palce o jej łańcuszek i wyciągnąłem swój stary srebrny pierścień. Zarumieniła się lekko.

- Nosiłam go kiedyś... - Zamilkła zakłopotana.

Rozerwałem łańcuszek; zaskoczona wciągnęła powietrze i pochwyciła srebrne kółeczko, kiedy spadało na jej podolek. Błysnął napis: *anima mea*, „moja dusza”. Ująłem jej lewą dłoń i włożyłem pierścień na palec.

- Noś go! Dałem ci go, byś go nosiła!

Helena się zawahała.

- Marku, kiedy dałeś mi swój pierścień, bym go nosiła... to mnie kochałeś?

W tym momencie uświadomiłem sobie, jak poważnie mają się sprawy.

- Przyjąłem kiedyś taką zasadę: nigdy nie zakochuj się w klientce... - zacząłem. Odwróciła się ku mnie zrozpaczona, po czym zobaczyła moją twarz. - Skarbie, przyjąłem wiele zasad i większość z nich złamałem! Nie znasz mnie? Boję się, że mną wzgardzisz i że inni to zobaczą... ale bez ciebie jestem zgubiony. Jak mógłbym to udowodnić? Pokonać lwa? Spłacić swoje długi? Przeplłynąć Hellespont jak jakiś wariat? - bredziłem.

- Przecież nie umiesz pływać - zauważyła trzeźwo.

- Nauczenie się to ta trudna część sprawdzianu.

- Ja cię nauczę - szepnęła Helena. - Jeśli wpadniesz do jakiejś głębokiej wody, chcę, byś się na niej utrzymał!

Tutaj miałem do czynienia z całkiem głębokimi wodami. Wpatrywałem się w nią. Ona wpatrywała się w ziemię. A potem wyznała:

- Tego dnia, którego wyjeżdżałeś do Krotonu, tak bardzo za tobą tęskniłam, że poszłam do twojego mieszkania. Musieliśmy się minąć na ulicy...

Przejęta znów opuściła głowę. Roześmiałem się gorzko.

- Powinnaś mi była powiedzieć.

- Chciałeś mnie zostawić.

- Nie - zaprzeczyłem. Prawą dłoń wtuliłem w zagłębienie tuż nad jej szyją. - Nie, najmilsza. Nigdy tego nie chciałem.

- Powiedziałeś, że chcesz.

- Jestem detektywem. Gadam bez przerwy. Na ogół mało precyzyjnie.

- Tak - zgodziła się, po chwili zastanowienia ponownie podnosząc głowę. - Dydiuszu Falkonie, ty rzeczywiście opowiadasz bzdury!

Uśmiechnąłem się i powiedziałem ich jeszcze kilka.

Nad zatoką słońce przebiło snujące się opary i snop światła przepłynął przez nadbrzeżną równinę, aż dotarł w górę, do miejsca, w którym siedzieliśmy. Obmyła nas fala ciepła. Wygięta linia brzegu pojaśniała; w oddali wyłoniła się wyspa Capri niby ciemna smuga, będąca przedłużeniem Gór Laktaryjskich. Pod nami przycupnęły przy brzegu małe, białe, pokryte czerwonymi dachami domy Herkulanum, Oplontis i Pompejów, na pofałdowanych zboczach dalekich wzgórz zaś przyciągały wzrok rozrzucone pośród skał wioski...

- Hmm! To właśnie takie malownicze miejsca, gdzie przyprowadza się piękną kobietę i ani razu nie spojrzy na widoki... - zauważyłem.

Kiedy słońce dotarło do nas, ułożyłem Helenę na wznak, a sam, rozpromieniony, rozciągnąłem się obok. Zaczęła delikatnie głaskać mnie po ucho, jakby było czymś cudownym. Moje ucho mogło poddawać się temu w nieskończoność; ustawiłem więc głowę tak, by mogła wygodniej sięgać, i rozkoszowałem się jej zainteresowaniem.

- Czemu się tak przyglądasz? - zapytałem.

- Och, tej strzesze czarnych loków, która wygląda, jakby nie znała grzebienia... - odpowiedziała. Dobrze wiedziałem, że Helenie podobają się

moje kędziory. - Temu długiemu, prostemu, niezwykle mu nosowi, jak z malowidła w etruskim grobowcu... Przenikliwym oczom w twarzy, która nigdy nie ujawnia tego, co zobaczyły. Dołączkom! - zakpiła (wciskając paluszek w jeden z nich).

Szarpnąłem głową, chwytając jej palec zębami i udając, że go zjadam.

- Wspaniałym zębom! - dodała nachmurzona po chwili namysłu.

- Cóż za cudowny dzionek! - Zawsze lubiłem ciepłą pogodę. Zawsze też lubiłem Helenę. Aż trudno było sobie przypomnieć, jaki był sens kiedykolwiek udawać, że tak nie jest. - Mój najlepszy przyjaciel upija się zadowolony w towarzystwie żony, więc nie muszę zawracać sobie nim głowy. Leżę tutaj na górze, w słoneczku, mam cię wyłącznie dla siebie i za chwilę zacznę całować... - Rozmarzyłem się. Popatrzyła na mnie z uśmiechem. Dreszcz przebiegł mi po karku. Teraz, tylko ze mną, wydawała się uosobieniem spokoju. Ja też się odprężyłem, ale tylko do pewnego momentu... Helena oplotła mnie ramionami, kiedy przygarnąłem ją do siebie i wreszcie zabrałem się do całowania.

Trochę później spojrzałem z powagą w niebiosa.

- Dzięki ci, Jowiszu!

Helena roześmiała się.

Było oczywiste, że pod tą leciutką i zwiewną szatą nie ma na sobie nic więcej. Rękawki sięgały łokci i miały po pięć czy sześć zapinek z mozaikowego szkła przewleczonych przez haftowane pętelki. Odpiąłem jedną, żeby zobaczyć, co się stanie; Helena z uśmiechem przeczesywała moje włosy palcami.

- Pomóc ci? - zapytała.

Pokręciłem głową. Zapinki były sztywne, jednakże upór oraz inne czynniki wzięły już wówczas górę, więc odpiąłem trzy, poczynając od dolnych; potem sięgnąłem ku jej ramieniu, a ponieważ wyglądała na zadowoloną, kontynuowałem odpinanie aż do samej góry rękawa.

Przesunąłem dłonią od nadgarstka do ramienia, a potem w dół, tym razem już nie po ramieniu. Pod dotykiem słońca i moim dostała gęsiej skórki; bardzo się starałem, by nie trzęsły mi się palce.

- Czy to dokądś prowadzi, Marku?

- Mam nadzieję! Nie wyobrażasz sobie chyba, że mogłem dopaść cię samą pod szczytem góry i nie wykorzystać tej sposobności?

- Och, wcale tak nie myślałam! - zapewniła mnie spokojnie Helena. - Jak myślisz, dlaczego chciałam, żebyś się tu wybrał?

Następnie, będąc kobietą praktyczną, sama rozpięła drugi rękaw. Długo potem, kiedy byłem zupełnie bezbronny, z zarośli wynurzył się dzik.

- Wrr! - odezwała się uprzejmie senatorska córka ponad moim nagim ramieniem.

Dzik sapnął, odwrócił się z pełnym dezaprobaty chrząknięciem i odmaszerował w gąszcz.



LX

Kiedy Petroniusz Longus przestał chrapać i wstał, jego twarz odzwierciedlała zmagania przeciwstawnych uczuć. Zauważył, że wróciliśmy z góry w całkowicie odmiennym nastroju od tego, w jakim tam jechaliśmy. Podczas gdy on spał w najlepsze, wykończyłem z Heleną jego wino (choć przy tutejszych cenach nie miało to większego znaczenia); a teraz leżeliśmy sobie jak dwa splecione ze sobą w cieniu szczeniaczki. Będąc człowiekiem znajdującym się na regułach życia społecznego, Petroniusz był najwyraźniej rozdarty.

- Falko, tylko bądź ostrożny! - oznajmił.

Staralem się utrzymać powagę. W ciągu dziesięciu lat przyglądania się moim pokrętnym związkom był to pierwszy raz, kiedy Petroniusz udzielał mi braterskiej rady.

- Zaufaj mi - odparłem. (Właśnie to samo powiedziałem Helenie. Wyrzuciłem z pamięci, jak to w kluczowym momencie, kiedy próbowałem zapanować nad sobą, ona wykrzyknęła i mnie przytrzymała...)

- Na bogów, Marku! - grzmiał Petroniusz. - Co zrobisz, jeśli zdarzy się wpadka?

- Przeprzę jej ojca, przyznam się swojej matce i znajdę kapłana, który ma niski cennik... Za kogo mnie bierzesz?

Zdrętwiało mi ramię, ale za nic w świecie nie zmieniałbym pozycji. Radość mojego życia spała głębokim snem z głową na mojej piersi.

Wszystkie jej kłopoty odpłynęły; jej opuszczone rzęsy nadal były nastroszone od łez, których nie mogła powstrzymać. Sam byłem bliski płaczu.

- Ta pani może postrzegać sprawy inaczej. Powinieneś z tym skończyć! - doradzał Petroniusz przewrotnie, biorąc pod uwagę, że to właśnie ta jego wyprawa na górę zagwarantowała, że już nigdy nie byłbym w stanie tego uczynić.

Obudziła się spoczywająca na ławie u jego boku Sylwia. Teraz obserwowałem, jak ona interpretuje tę scenę: Helena Justyna przytulona do mojego boku, z kolanami wsuniętymi pod moje kolana; jej dłoń zaciśnięta na mojej ręce; piękne potargane włosy rozrzucone na moim ramieniu; jej głęboki sen; mój pełen powagi spokój...

- Marku! Jakie są twoje zamiary? - zapytała z z troskaniem. Sylwia lubiła, kiedy wszystko było jasne.

- Zamierzam wykonać zlecenie i jak najszybciej zażądać zapłaty... - Przymknąłem oczy.

Jeśli Sylwia uważała, że doszło do czegoś skandalicznego, to na pewno obarczała mnie za to winą, ponieważ kiedy Helena się obudziła, poszły razem odświeżyć się i doprowadzić do porządku. Kiedy wróciły, ich twarze wyrażały sekretne zadowolenie kobiet, które miały okazję poplotkować. Włosy Sylwii były uniesione na karku w taki sposób, w jaki Helena na ogół nosiła swoje, a Heleny związane wstążką. Ładnie to wyglądało. Mogłaby być przedstawioną w ruchu postacią na czarnofigurowej wazie greckiej. A

ja chętnie zostałbym drugą namalowaną postacią; beztroskim czającym się na nią tuż za rączką naczynia...

- Jestem w kropce - zażartował Petroniusz. - Która była moja?

- Och, wezmę tę ze wstążką we włosach, jeśli pozwolisz.

Wymieniliśmy spojrzenia. Kiedy jeden z dwóch przyjaciół jest żonaty, a drugi wciąż kawalerem, słusznie czy niesłusznie, zakłada się, że postępują oni według różnych reguł. Już dawno nie dogadywaliśmy się z Petroniuszem tak łatwo.

Każdy, kto znał Petroniusza i jego zainteresowanie winem, wiedział, że wykorzysta każdą nadarzającą się okazję, by poczynić trochę zapasów na użytek domowy. Wierny swojej akuracności, kiedy już znalazł orzeźwiająco białe po kilka miedziaków za amforę (subtelnie musujące, jak to określił czule w rozmowie ze mną, co koneserzy mają w zwyczaju), Petroniusz Longus nabył go tyle, ile tylko mógł: kiedy zostawiłem go samego, kupił *culleus*. Poważnie. Wielki skórzany wór, wysoki jak jego małżonka. Pojemności co najmniej dwudziestu amfor. Dość, by postawić na stole tysiąc butelek, gdyby miał gospodę. (Więcej, gdyby rozcieńczył wino wodą).

Sylwia miała nadzieję, że odwiode go od tego szalonego pomysłu, tymczasem on już zapłacił. Musieliśmy poczekać, aż wypalą jego imię na tym wielkim worze, a wreszcie wróci tu z Neronem i wozem, bo był to jedyny sposób, żeby zabrać stąd ten jego skarb. Usiłowaliśmy się z Sylwią dowiedzieć, jak zamierza przetransportować teraz do domu swoją rodzinę (by już nie wspomnieć, gdzie ta rodzina będzie mieszkać, jeśli dom zajmie wino), ale on popadł w euforyczny nastrój. Zresztą i tak wiedzieliśmy, że sobie poradzi. Petroniusz Longus już wcześniej wyczyniał dziwne rzeczy.

Ostatecznie pojechaliśmy na osłach.

Miałem za towarzyszkę tę ze wstążką. Siedziała przede mną, niezwykle spokojna. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, nie mogłem się z nią rozstać. Powtórzyłem znów, że ją kocham, po czym wreszcie puściłem i patrzyłem za nią, aż weszła do domu.

Petroniusz i Sylwia czekali taktownie przy wjeździe do posiadłości, gdy ja zabierałem Helenę pod drzwi domu. Kiedy odprowadziłem im wynajętego osiołka, taktownie milczeli.

- No to do zobaczenia, Petroniuszu. - Musiałem mieć niewyraźną minę.

- Na Jowisza! - wykrzyknął mój przyjaciel, zeskakując z grzbietu swojego kłapouchego rumaka. - Golnijmy sobie jeszcze po jednym, zanim cię tu zostawimy!

Tym razem nawet Sylwia nie próbowała zrzędzić. Dorwaliśmy się do bukłaka z winem, zasiadłszy pod pinią w zapadającym zmierzchu. Piliśmy wszyscy troje, niezbyt dużo, ale teraz, kiedy nie było z nami Heleny, z pewną determinacją.

Potem ruszyłem pieszo w stronę domu, rozmyślając, jak to jest, że miłość jest równie dokuczliwa dla stóp i sakiewki, jak i dla serca. Dostrzegłem teraz coś, co poprzednio uszło mojej uwagi: brzęk upręży doprowadził mnie do dwóch mułów ze zmierzwioną sierścią i otartymi od siodeł grzbietami, uwiązanych w pewnej odległości od drogi, z pyskami w workach na obrok. Zacząłem nasłuchiwać, ale nie zauważyłem żadnego

innego śladu życia. Jeśli jacyś hulacy - albo kochankowie - wjechali na zbocze od strony wybrzeża, dziwne było, że odważyli się zapuścić tak daleko na teren prywatny. Poklepałem zwierzęta i w zamyśleniu podążyłem dalej.

Nim ponownie dotarłem do willi, minęła godzina od czasu, kiedy odstawiłem tam Helenę.

Do tego domu mógł się dostać każdy, kto chciał, morderca czy złodziej. Służący, którzy powitali Helenę, już gdzieś się rozproszyli. Nie zobaczyłem nikogo. Poszedłem na piętro przekonany, że przynajmniej w jej sypialni będzie się roić od służby, tak jak zalecałem. Oznaczało to, że najwyżej chwilę będę jej prawić uprzejmości, i już się cieszyłem na myśl o udawaniu przed wszystkimi, jakim to jestem gburowatym twardzielem o wisielczym humorze...

Dotarwszy do ciężkich drzwi prowadzących do pokoi Heleny, otworzyłem je i zamknąłem bezszelestnie za sobą. Toż to jawne zaproszenie dla jakiegoś złoczyńcy; koniecznie trzeba założyć tu wewnętrzną zasuwę, pomyślałem. Przedpokój pogrążony był w ciemnościach, natomiast za kotarą paliły się te same światła co ostatnio.

Miała towarzystwo. Ktoś coś mówił i nie była to ona. Powinienem był się wycofać. Sam się prosiłem o przykre niespodzianki, ale tak bardzo chciałem ją zobaczyć, że nogi same poniosły mnie za kotarę.

Zielona szata leżała złożona na skrzyni; sandałki poniewierały się na dywaniku obok łoża. Helena zdążyła się przebrać w coś ciemniejszego i cieplejszego, z rękawami do samych nadgarstków, włosy splecione w warkocz spoczywały na jednym ramieniu. Wyglądała schludnie, poważnie i miała nieskończenie znużony wyraz twarzy.

Wróciła do domu późno i kolację przyniesiono jej na tacy. Siedziała twarzą do wejścia, tak że miała świetny widok na moją głupią minę, kiedy gorączkowo usiłowałem pojąć rozgrywającą się przede mną scenę.

Był z nią mężczyzna.

Siedział rozwalony na krześle, z nogą przewieszoną przez poręcz, i od niechcenia wrzucał w siebie orzeszki. Helena z ponurą miną wgrzyzała się w udko kurczęcia, choć robiła to tak, jakby obecność tamtego człowieka w jej sypialni była czymś normalnym.

- Witam - rzuciłem gniewnie. - Ty jesteś zapewne Barnabas! Mam dla ciebie pół miliona sztuk złota...

Podniósł wzrok.

Był to bez wątpienia ten człowiek, który zaatakował mnie w magazynie, i prawdopodobnie ten, którego zauważyłem, jak zaczepiał Petroniusza na wozie w drodze do Kapui. Potem przyjrzałem mu się baczniej. Po trzech miesiącach ugania się za mężczyzną w zielonym płaszczu teraz dopiero odkryłem, kim naprawdę jest. Stara matka wyzwoleńca w Kalabrii miała rację: Barnabas nie żył.

Znałem tego człowieka. Miałem przed sobą byłego męża Heleny Justyny, niejakiego Acjusza Pertynaksa.

Według „Gazety Codziennej” on też nie żył.

Wyglądał zdrowo jak na człowieka, którego trzy miesiące wcześniej zamordowano. Jeśli jednak miałem w tej sprawie coś do powiedzenia, to Acjusz Pertynaks powinien być wkrótce trupem. I tym razem na zawsze.

Ubrany był w prostą tunikę, wyhodował sobie wąską bródkę, ale to na pewno był on. Miał jakieś dwadzieścia osiem czy dziewięć lat, jasne włosy i szczupłą budowę ciała. Zapomniałem te blade oczy, ale dobrze zapamiętałem kwaśny wyraz twarzy. Nieustannie zły humor kazał mu mrużyć oczy i zaciskać szczęki.

Spotkałem go kiedyś. Nie wtedy, gdy śledziłem go aż na Zatybrze; rok wcześniej. Ciągle czułem, jak jego żołnierze dawali mi wycisk, i miałem w pamięci jego głos, kiedy obrzucał mnie najgorszymi wyzwiskami. Pamiętałem te blade nogi poniżej brzegu senatorskiej togi, kiedy wychodził z mieszkania, gdzie zostawił mnie obok połamanej ławy, bezradnie spluwającego krwią na podłogę.

Był zdrajcą i złodziejem; okrutnikiem; mordercą. A przecież Helena Justyna pozwalała mu rozgościć się w swojej sypialni. No cóż, pewnie tysiąc razy przesiadywał z nią w ten sposób, w tym wspaniałym, gustownym, błękitnoszarym pokoju, który przydzielił jej w ich wspólnym domu...

- Pomyliłem się. Nie masz na imię Barnabas!

- Nie? - rzucił wyzywająco. Widziałem, że wciąż się zastanawia, jak zareagować na moje nagłe przybycie.

- Nie - odparłem cicho. - Tyle że oficjalnie Gnejusz Acjusz Pertinaks Kapreniusz Marcel jest prochem w swojej urnie...

- Teraz rozumiesz, w czym problem! - wykrzyknęła Helena.

Byłem zdumiony, że ona je sobie kolację jakby nigdy nic, dopóki nie zauważyłem, jak gorliwie zabiera się do obgryzania kostki kurczaka. Widać było, że zbyt mało obchodzi ją los Pertynaksa, by mogła dać sobie popsuć apetyt.

Podszedłem bliżej. Poza tym, że bardzo chciałem go aresztować, było starym dobrym rzymskim obyczajem, że w obecności osoby stojącej moralnie wyżej od ciebie zrywałeś się na równe nogi. Pertynaks zeszywniał, ale siedział nadal.

- Kimże ty, na Hadesa, jesteś? - zawołał. Kiedyś też robił za dużo hałasu. - I kto ci pozwolił wchodzić do sypialni mojej żony?

- Nazywam się Dydiusz Falko. Wchodzę, gdzie mi się podoba. A tak przy okazji... ona nie jest twoją żoną!

- Słyszałem o tobie, Falkonie!

- Och, ty i ja jesteśmy starymi kumplami. Aresztowałeś mnie kiedyś dla rozrywki - przypomniałem mu - choć chyba dam radę się wznieść ponad to. Zniszczyłeś mi mieszkanie... ale ja z kolei pomogłem zlikwidować twój dom na Kwirynale. Twoim greckim wazom się udało. - Rzuciłem mu złośliwy uśmiech. - Wespazjan był z nich zadowolony. *Eros* Praksytelesa był natomiast źródłem pewnego rozczarowania... - Wiedziałem, że

Pertynaks mnóstwo za niego zapłacił. - Kopia. Sądę, że zdawałeś sobie sprawę...

- Zawsze uważałam, że ma za duże uszy! - oświadczyła Helena konwersacyjnym tonem.

Pertynaks wyglądał na zdrowo rozzłoszczonego.

Stopą przesunąłem stółek i usiadłem tak, żeby widzieć Helenę i mieć jego na oku. Zarumieniła się lekko pod moim spokojnym, przenikliwym spojrzeniem; zastanawiałem się, czy Pertynaks zgaduje, że byłem jej namiętym (co napawało mnie dumą) kochankiem zaledwie kilka godzin wcześniej. Rzut oka na niego przyniósł mi odpowiedź: nawet mu to przez myśl nie przeszło.

- Zatem jak to było? - zastanawiałem się na głos. - W kwietniu tego roku pretorianie wpadli, żeby cię przesłuchać... - Pertynaks słuchał z teatralnie znużoną miną, jakbym opowiadał banały. - Barnabas był w twojej todze z senatorskimi paskami. Krótkowzroczni pretorianie powlekli go do więzienia. Spodziewał się niezłego lania, kiedy odkryją pomyłkę, ale niczego gorszego. Tego dnia biedaczysko Barnabas zrobił zdecydowanie zły interes. Jeden z twoich kolegów spiskowców postanowił uciszyć nieszczęsnego więźnia...

Pertynaks zgarbił się, skulił chude ramiona.

- Dość tego! - rzucił.

Patrzyłem zafascynowany na te orzeszki. Część łupin upadła na stół, kiedy spluwał nimi niecelnie do miseczki; większość wylądowała na pasiastym egipskim dywaniku.

- Szybko się zorientowałeś - dodałem niezrażony - że koledzy spiskowcy są kolejno wyłapywani przez pałac. - Zrobiłem przerwę, żeby sobie przetrawił moje słowa, obserwując go uważnie. Bryon mówił, że jest zdesperowany, tymczasem dla mnie wyglądał jedynie nieprzyjemnie. Prawdę mówiąc, był tak odrażający, że samo przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu przyprawiało mnie o gęsią skórkę. Należał do ludzi, którzy nie zdają sobie zupełnie sprawy z tego, jacy są odpychający. - Gdybyś się pojawił, ściągnąłbyś na siebie niebezpieczeństwo - mówiłem dalej. - Twój brat przyrodni nie żył. Podałś się za niego, by zabrać jego ciało z więzienia. Pochowałeś go i oddałeś mu ostatnią posługę, mówiąc prawdę jego matce, choć jedno niewłaściwe słowo od tego stukniętego babsztyla z Tarentu mogło cię zdemaskować. Potem uzmysłowiłeś sobie, że ty i Barnabas jesteście tak do siebie podobni, że zyskałeś pierwszorzędny kamuflaż, może nawet na stałe. W ten sposób utknąłeś niemądrze, na własne życzenie, znamienity panie, jedynie o stopień wyżej od pozycji niewolnika!

Pertynaks, którego manieri były nieokrzesane, jak należało oczekiwać u Kalabryjczyka, ale poszczyściło mu się w hierarchii społecznej bardziej, niż na to zasługiwał, sięgnął po kolejny orzeszek. Gdyby był plebejuszem, wyjawienie przeze mnie tej historii byłoby równoznaczne z wyrokiem; wiedział równie dobrze jak ja, że będąc człowiekiem usynowionym przez konsula, może patrzeć na mnie z pogardą w oczach. Z kilku powodów, wyłącznie osobistych, najchętniej rozgniółbym pięścią te pistacje... po tym jak już je połknął.

Helena Justyna skończyła posiłek i sprzątnęła tacę. Uklękła i zaczęła zbierać łupiny orzeszków z podłogi, jak typowa żona, która nie chce, by służba widziała, że jej mąż jest prostakiem. Pertynaks, jak typowy mąż, nie miał nic przeciwko temu, by to robiła.

- Ty w ogóle nie istniejesz! - wycodziłem w jego stronę, najokrutniej jak umiałem. - Twoje imię wymazano z listy senatorów. Jesteś wyłącznie duchem. - Zobaczyłem, że poruszył się niespokojnie. - Wszystkie wysiłki twoich kolegów spiskowców kończą się fiaskiem. Powiedz mi, czy Kurcjusza Longina spotkał marny koniec dlatego, że kiedy zobaczył cię w Rzymie żywego, zagroził ci zdemaskowaniem, by zyskać przychyłność Wespazjana dla siebie i brata? - zapytałem. Nie próbował odrzucić oskarżenia. Ale to mogło poczekać. - Kryspus też ma teraz własne plany, w których nie ma miejsca dla ciebie - pastwiłem się nad nim, a moja złość narastała. - Spotkałeś go w Oplontis. Próbowałeś wywrzeć na niego nacisk, ale cię zbył, mam rację? Twoje łóżko w jadalni zostało przydzielone Emilii Fauście, której nawet wtedy nie zaproszono, potem Kryspus nakierował moje myśli bezpośrednio na ciebie w nadziei, że sprzątnę cię z jego drogi. Aufidusz Kryspus - oświadczyłem z naciskiem - to kolejny gość prowadzący podwójną grę, który z radością oglądałby cię uduszonego, Pertynaksie!

Helena nie wstała jeszcze z podłogi, przysiadła tylko na piętach.

- Wystarczy - przerwała cichym głosem.

- Na granicy przyzwoitości, szlachetna pani? - zadrwiłem.

- Zbyt mocno, Falkonie. Co zamierzasz?

Dobre pytanie. Były konsul zapewne nie pozwoli mi wywlec bezcennego synalka ze swojej posiadłości.

- Zaproponuj coś - powiedziałem, unikając odpowiedzi.

Helena Justyna splótła ręce na podołku. Zawsze miała jakiś plan w pogotowiu.

- Najprostszym rozwiązaniem jest pozostawienie spiskowca Pertynaksa w spokoju w tym Marcelowym mauzoleum. Według mnie, mój mąż powinien zapomnieć o dawnych błędach i rozpocząć życie od nowa.

Mimo że Helena próbowała mu pomóc, Pertynaks siedział i z pogardliwą miną gryzł kciuk. Sam nie miał żadnych propozycji.

- Jako Barnabas? - spytałem. - Świetnie. Jego dzieci zostaną potraktowane jako pełnoprawni obywatele, jego potomkowie mogą zostać senatorami. Wyzwoleniec może wykorzystać swoje zdolności, zgromadzić fortunę, nawet odziedziczyć po Marcelu, jeśli tylko on zdobędzie się na wywołanie towarzyskiego skandalu, czyniąc go swoim spadkobiercą. Jesteś, pani, cudowna. To wspaniałe rozwiązanie, a on jest szczęściarzem, że ma w tobie taką podporę. Jest tylko jeden problem! - wycodziłem zupełnie innym tonem. - Pertynaks konspirator nie żyje... ale Barnabas jest poszukiwany za podpalenie i umyślne doprowadzenie do śmierci senatora.

- O czym ty mówisz, Falkonie? - Helena obrzuciła szybkim spojrzeniem nas obu.

- Aulus Kurcjusz Longin zginął w pożarze świątyni Herkulesa. Mówię, że to Barnabas jest podpalaczem.

Nie opowiedziałem wcześniej Helenie żadnych szczegółów. Była

wstrząśnięta, ale to nie przeszkadzało jej myśleć.

- Możesz to udowodnić? - zapytała.

W końcu Pertynaks wysilił się i rzucił niezbyt przyjemnie:

- Nie może, kłamliwy drań.

- Ależ, Falkonie, gdybyś chciał tę sprawę pociągnąć dalej, to musiałoby dojść do procesu... - dowodziła Helena. Można było odgadnąć, że tych dwoje to dawniejsze małżeństwo, po sposobie, w jaki nie zwracała na niego uwagi. - Proces ujawniłby te najświeższe wydarzenia...

- Och, pojawi się mnóstwo niepożądanych plotek! - zgodziłem się.

- Kurcjusz Gordian będzie skompromitowany w związku z tym swoim kapłaństwem w Pestum. Aufidiuszowi Kry-spusowi obiecano, że przeszłość pozostanie nieujawniona...

Roześmiałem się cicho.

- Tak... oni tracą szansę na dyskretne wycofanie się ze spisku! Heleno Justyno, jeśli twój były mąż przyjmie twoją propozycję, to może poprę jego sprawę u cesarza - oznajmiłem. Prędzej przygotowałbym na niego wojskową zasadzkę: rów na ścieżce ciemną nocą, z wbitymi w dno ostrymi palami, groźnie rozchylonymi niczym lilie... choć z drugiej strony, sprowadzając go jako człowieka skruszonego, zyskałbym większą przychylność władcy. - Więc teraz on musi zdecydować, czego chce.

- Tak, musi.

Odwróciła wzrok ode mnie i raczej lekceważącym spojrzeniem obrzuciła Pertynaksa. Patrzył na nią całkowicie obojętnie. Poznawszy jego prawdziwą tożsamość, zrozumiałem, jaki kłopot miała Helena. Były małżonek żył i nie miał majątku. Domagał się więc zwrotu tego, co jej zapisał. Co najmniej tego; możliwe, że znacznie więcej.

Czułem, że tych dwoje zмага się z sobą, choć może była to tylko moja wyobraźnia.

Helena Justyna podniosła się ostrożnie, jedną rękę trzymała z tyłu, jakby ją bolały plecy.

- Chciałabym, żebyście obaj już sobie poszli - oświadczyła. Zadzwoiła. Natychmiast pojawiła się niewolnica, zupełnie jakby oczekiwano błyskawicznej obsługi, kiedy był tu Pertynaks.

- Pójdę z tobą - powiedziałem do niego. Nie miałem zamiaru spuszczać go z oczu.

- To zbyt cenne! - szepnęła szybko Helena. - On nie może opuścić posiadłości - mówiła z przekonaniem. - Nie ma tożsamości... nie ma dokąd pójść.

- Poza tym - dorzucił Pertynaks, starając się, żeby jego słowa brzmiały nonszalancko - twoi obrzydliwi współpracownicy nękają mnie, gdziekolwiek się zwrócę!

- Co to znaczy?

- Nie wiesz?

Oświeciła mnie Helena, tym swoim zakłopotanym głosem.

- Dwóch mężczyzn podąża wszędzie za Gnejuszem. Wczoraj wybrał się na przejażdżkę i przez nich do rana nie mógł wrócić do domu.

- Jak wyglądają? - spytałem go z zaciekawionym.

- Jeden zbudowany jak gladiator, drugi chuchrowaty.

- Nic mi to nie mówi. Udało ci się im wymknąć?

- Jechali na wypożyczonych mułach, ja miałem dobrego konia.

- Naprawdę? - Nie powiedziałem mu, że tego wieczoru natknąłem się na dwa muły tutaj, w granicach posiadłości jego ojca. - Ja pracuję sam - oświadczyłem. - Nie miałem z tym nic wspólnego.

Jeśli Helena sądziła, że zostawię w jej pokoju mężczyznę, to bardzo się myliła. Jednakże Pertynaks niemal natychmiast kiwnął jej głową na dobranoc, wyszczerzył się szyderczo do mnie i wyszedł na balkon.

Poszedłem za nim do drzwi i patrzyłem, jak schodzi do ogrodu, krokiem człowieka zbyt pewnego siebie. Kiedy był na drugim końcu ogrodu, obejrzał się. Musiał mnie widzieć, moją ciemniejszą postać w drzwiach, obrysowaną światłem palących się w sypialni lampek.

Wszedłem do środka, zamykając drzwi na zasuwkę. Nie mogliśmy rozmawiać swobodnie w obecności służby, widziałem jednak jej wielką ulgę, że wreszcie dzieli ze mną tę tajemnicę.

- Mogłem się domyślić, że będzie to ktoś, kto bałagani przy jedzeniu i nie zamyka za sobą drzwi! - skomentowałem jedynie.

Zareagowała znużonym uśmiechem.

Powiedziałem dobranoc i wróciłem do swojego pokoju. Miała przy sobie służbę. Dzisiejszej nocy Helena była bezpieczna.

Nie dotyczyło to natomiast Pertynaksa. Kiedy obejrzał się w stronę domu i na pewno skrzywił na mój widok, nie zauważył czegoś innego: dwóch ciemnych postaci, które wynurzyły się z mroku pod balkonem.

Jeden zbudowany jak gladiator, drugi chuchrowaty... Musieli słyszeć, że jestem tuż nad nimi. Kiedy przemykali się przez ogród niczym dwa skrócone cienie na kiepsko wypolerowanym lusterku, dobrze wiedzieli, że ich widzę.

Podążyli cicho za Pertynaksem.



LXII

Nie zaszło już nic więcej, a mimo to noc wydawała się wyjątkowo długa.

Ten pełen urazy robał łatwo się nie podda. Helena Justyna miała ogromne poczucie obowiązku i on to wykorzystywał, doprowadzając do tego, że ona nie umiała patrzeć obojętnie na jego trudną sytuację. Zatem wcześniej czy później Pertynaksa i mnie czeka osobista rozgrywka.

Kiedy już początkowy wstrząs osłabł, przypomniałem sobie, co wiem o ich małżeństwie. Helena wiodła bardzo samotne życie. Spała sama w tamtej pięknej komnacie, podczas gdy Pertynaks zajmował przestronne apartamenty w innym skrzydle, z Barnabasem jako swoim zaufanym człowiekiem. Dla młodego ambitnego senatora wzięcie sobie małżonki stanowiło akt służby państwu, który musiał znieść, by zyskać głosy głupców. Dokonawszy tego, Pertynaks oczekiwał możliwości korzystania z praw małżeńskich, lecz żałował jej swojego czasu.

Nie dziwota, że senatorskie małżonki uganiają się za gladiatorami i innymi niskimi formami życia. Pertynaks powinien uważać się za szczęśliwca, że jego żona miała tak dobre maniery, by najpierw się z nim

rozwieść...

Nazajutrz krążyłem po willi, nastawiony na to, że coś się wydarzy. Znalazłem konsula w dużym ogrodzie na tyłach domu, rozprawiającego z jednym ze swoich ogrodników o szparagach.

- Widziałeś, panie, dziś rano syna? - spytałem. Miałem nadzieję, że w nocy ci dwaj intruzi spuścili coś ciężkiego na głowę Pertynaksa.

Jednakże Marcel mnie rozczarował.

- Owszem, widziałem. Falkonie, koniecznie musimy porozmawiać...

Rzucił jeszcze ogrodnikowi kilka słów o chorobach powodujących więdnienie roślin, po czym ruszyliśmy, powoli, ze względu na słabość konsula, pomiędzy konwencjonalnie zaprowadzonymi kwietnikami. Było tam typowe zatrzęsienie donic, fontann, poidełek dla ptaków i posągów kupidynów z pełnymi skruchy minami, choć ogrodnik odpowiedzialny za ten krajobraz był w głębi serca wielbicielem krzewów. Posadził podwójną liczbę bukszpanów i rozmarynu, które tworzyły szpalery w kształcie zwojów; treliaże i kamienne ograniczniki niemal zniknęły pod rozrastającymi się nieustannie wawrzynkami i rozszalałymi pigwocami. Wszędzie drewniane kraty ugięły się pod jaśminem; rozłożyste, zadbane morwy były ozdobą trawników. Z dwunastu znanych mi gatunków róż naliczyłem co najmniej dziesięć.

- Co zamierzasz? - spytał Marcel bez owijania w bawełnę.

- Moje instrukcje nie obejmują takiej sytuacji. Cesarz życzyłby sobie, żebym przed podjęciem działań skonsultował się z nim - wyjaśniłem. Zatrzymaliśmy się i spoglądaliśmy w oświetloną słońcem głębię podłużnego basenu z rybami, który łagodnie odbijał jego długą, wychudłą postać i moją krótszą, masywniejszą. Przykucnąłem, podziwiając niezwykle pstrokatego barwinka. - Mogę wziąć sobie odnóżkę z tego?

- Bierz, co chcesz.

Uszczknąłem kawałek pędu, dającego nadzieję na samodzielne ukorzenie; konsul przyglądał się temu z rozbawieniem.

- Rodzinna przypadłość, panie! A jeśli chodzi o twojego syna, to nie sądzę, że pozwolisz, bym go sobie przywiązał do oślego ogona. Nawet gdybym tak zrobił, nie miałoby to sensu, jeśli cesarz miałby mi potem powiedzieć, że nie zamierza urazić tak prominentnej osoby jak ty, panie, zamykając pod kluczem twojego sukcesora. Domicjan też spiskował. Potraktowanie twojego syna mniej pobłaźliwie wyglądałoby nielogicznie.

Blefowałem, jednak cesarz rzeczywiście wolał łatwe rozwiązania, a oferta amnestii mogłaby skłonić Marcela do współpracy.

- A czemu niby - drażył mój rozmówca, spoglądając na mnie przebiegle wzdłuż swojego masywnego nosa - podajesz w wątpliwość wypadek w świątyni Herkulesa?

- Bo to nie był wypadek! Ale wiem, jak by to wyglądało. Każdy przyzwoity prawnik byłby w stanie doprowadzić do skazania Barnabasa, trudno jednak będzie znaleźć oskarżyciela zdolnego stawić czoło młodym bystrym adwokatom, którzy chcieliby wyrobić sobie markę, broniąc syna konsula.

- Mój syn jest niewinny! - zachnął się Marcel.

- Jak większość morderców... jeśli ich o to spytać! - rzuciłem. Konsul starał się nie pokazywać po sobie irytacji. - Panie, sugestia Heleny Justyny wydaje mi się najlepszym planem...

- Nie; to wykluczone! Mój syn musi odzyskać swoje własne imię oraz status... musi się znaleźć jakiś sposób.

- Zamierzasz, panie, stać przy nim niezależnie od rezultatu?

- Jest moim dziedzicem.

Skręciliśmy pod pergolą.

- Panie, rehabilitacja może być trudna. Bo co, jeśli Wespazjan uzna, że przywracanie zmarłego do życia wywoła zbyt wiele pytań? Ponieważ twój majątek stanowi pokusę do oszustwa, może uznać, że praktyczniej będzie oświadczyć: „Oto podły wyzwoleniec, który ma nadzieję zyskać na śmierci swojego patrona”!

- Ja poświadczę jego tożsamość...

- No cóż, panie! Jesteś człowiekiem w podeszłym wieku, słabego zdrowia, który stracił hołubionego syna. To naturalne, że nie chcesz wierzyć w jego śmierć...

- Helena poświadczy! - fuknął konsul.

Uśmiechnąłem się.

- No rzeczywiście. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności dla niego.

Uśmiechnęliśmy się obaj na myśl o Helenie, która widząc jakiś zamęt, zawsze biegnie, by dać świadectwo prawdzie.

- Nie powinni się byli rozchodzić! - poskarżył się gorzko. - Wiedziałem, że nie wolno mi było na to pozwolić. Helena nie chciała rozwodu...

- Helena Justyna - przyznałem chłodno - wierzy w małżeństwo jako kontrakt zakładający codzienną bliskość dwojga osób, trwającą czterdzieści lat. Wiedziała - oświadczyłem beznamiętnym tonem, skręcając się wewnątrz - że z twoim synem to nie jest możliwe.

- Och, poradziliby sobie! - zbył mnie Marcel. - Mojego syna czeka wspaniała przyszłość. Trzeba coś dla niego zrobić...

- Twój syn jest pospolitym przestępcą! - upierałem się. Była to prawda, choć zupełnie niepomocna. - Sądzę, że staromodny szacunek Wespazjana dla patrycjuszowskiego imienia - dodałem łagodniejszym tonem - uchroni Pertynaksa Marcela. Przeżyje, by dbać o pośmiertne maski twoich przodków. W końcu jeden więcej przestępca w senacie nie zrobi różnicy!

- Podlana żółcią opinia! - zauważył.

- Mówię, co widzę. Konsulu, miałem przyjemność sprawdzić celę aresztu w Herkulanum... jest prymitywna. Jeśli pozostawię Pertynaksa pod twoją pieczę, czy dotrzymasz warunków i nie wypuścisz go ze swojej posiadłości?

- Oczywiście - odparł chłodno.

Nie byłem przekonany, że Pertynaks będzie się tego trzymał, ale nie miałem wyboru. Marcel mógł liczyć na dziesiątki niewolników, którzy zapobiegą aresztowaniu. Ten groźny zastęp jezdnych, jakim Pertynaks dysponował, kiedy chciał mnie zatrzymać w Kapui, składał się zapewne z wystrojonych w żelazne hełmy kowali i woźniców pracujących w posiadłości.

- Będzie musiał odpowiedzieć na przedstawione mu zarzuty -

ostrzegłem.

- Być może - odparł bezceremonialnie konsul.

Poczułem ogromne zniechęcenie, widząc jego pewność siebie; rozmawialiśmy o zdradzie i morderstwie, tymczasem mnie nie udało się uświadomić mu, jak poważna jest sytuacja.

Domyśliłem się, że to koniec rozmowy.

Helenę znalazłem na balkonie. Pobiegnę na górę i powitałem promiennym uśmiechem. Spoczywała w półleżącej pozycji i niepewnie popijała wodę z kubka małutkimi łyżkami.

- Kiepsko się czujesz? - zapytałem.

- Wolno się rozbudzam... - Jej twarz rozjaśnił znany mi blask, od którego załaskotało mnie w gardle.

- Posłuchaj, problem Pertynaksa zależy teraz od przesyłanych instrukcji i wiadomości. Nie spodziewaj się szybkich orzeczeń po bandzie urzędników z pałacu... - zacząłem.

Helena przyglądała mi się, oceniając moją reakcję na to odkrycie z poprzedniego wieczoru.

- Od jak dawna wiedziałeś? - spytała po chwili milczenia.

- Od przyjęcia.

- Nic nie powiedziałaś! Jesteś zazdrosny o Pertynaksa?

- Ależ skąd...

- Marku! - przywołała mnie łagodnie do porządku.

- No cóż, czego się spodziewasz? Kiedy wszedłem wczoraj wieczorem, założyłem, że przyszedł z tego samego powodu co ja.

- Och, bardzo wątpię! - roześmiała się oschle.

Siedziałem wciąż na balustradzie balkonu, przetrawiając sobie to wszystko, kiedy przyproszono do mnie posłańca.

Był nim niewolnik z Herkulanum; Emiliusz Rufus chciał się ze mną spotkać. Domyślałem się, że chodzi o Kryspusa, ale on już mnie nie interesował... tyle że był tą jedyną zwierzyną łowną, za którą Wespazjan zgodził mi się zapłacić, a ja wręcz rozpaczliwie potrzebowałem gotówki.

Odesłałem służących i próbowałem podjąć jakąś decyzję.

- To może być coś ważnego, powinieneś pojechać - zachęcała mnie Helena.

- Jedynie pod warunkiem, że do mojego powrotu będziesz razem z Petroniuszem i Sylwią.

- Gnejusz by mnie nigdy nie skrzywdził.

- Tego nie wiesz. - Skrzywiłem się z irytacją, słysząc, jak używa jego pierwszego imienia.

- On mnie potrzebuje.

- Mam nadzieję, że nie. Niby do czego?

W tej chwili byłem już tak wzburzony, że wyciągnąłem z niej prawdę.

- Na pewno się zdenerwujesz. Bo widzisz, konsul przekonał go, że powinien mnie ponownie poślubić - powiedziała z wahaniem. Miała rację. Zdenerwowałem się. - Ale skoro koniecznie musiałeś wiedzieć! Kapreniusz Marcel ma dwa wielkie cele: uratować dla Gnejusza karierę publiczną i zyskać spadkobiercę. Wnuk przejąłby posiadłość...

- Nie chcę tego słuchać. Czasami mnie przerażasz. Jak możesz o tym

mówić?

- Och, każda dziewczyna potrzebuje męża! - rzuciła Helena z ironią. To było zwyczajnie nieuczciwe. Wzruszyłem ramionami, zawierając w tym geście swój brak pozycji i znajomości, i pieniędzy. Pozostała mi już tylko wściekłość.

- Cóż, dobrze wiesz, czego się po nim spodziewać! Zaniedbania, braku zainteresowania... a teraz prawdopodobnie czegoś gorszego! Bił cię? Nie martw się, zacznij! - wykrzykiwałem.

Helena słuchała ze stężałą twarzą.

- Cóż, jesteś mężczyzną. Musisz to wiedzieć! - odgryzła się chłodno.

Zeskoczyłem wreszcie ze swojej grzędy.

- Rób to, na co masz ochotę, najmilsza! Jeśli musisz być osobą szacowną i uważasz, że to jest akurat ten właściwy sposób, wracaj sobie do niego... - Zniżyłem głos, hamując się, bo chciałem, żeby to zapamiętała: - Ale jeśli kiedykolwiek będziesz miała tego dość, przyjdę i cię z tego wyciągnę. To się nazywa lojalność! - rzuciłem przez ramię obraźliwie.

- Marku! - zawołała błagalnym tonem. Wyprostowałem plecy i wyszedłem bez słowa.

W połowie drogi prowadzącej przez posiadłość zobaczyłem Pertynaksa.

Ćwiczył swoje konie na torze; nawet z daleka wyglądał na całkowicie pogrążonego w tym zajęciu. Wyprowadzono oba wyścigowe wierzchowce. Jednego trzymał w cieniu, na drugim galopował. Miało to o wiele bardziej celowy charakter niż tylko zwykła rozrywka dla młodych ludzi, czemu pierwotnie ten teren miał służyć. Postępował z końmi fachowo. Dokładnie wiedział, co robi; przyjemnie było oglądać te działania.

Czaruś niuchał trawę, żeby uniknąć trujących roślin, od których rozbolełby go brzuch. Pertynaks dosiadał czempiona, Śmiałka. Gdyby był sam, doprowadziłbym tam wtedy do konfrontacji i wszystko od ręki załatwił, ale towarzyszył mu Bryon.

Trener, który stał oparty o słupek i pojadał figi, wpatrywał się we mnie z zaciekawieniem, ale nie odezwałem się do niego przy panu. Pertynaks ignorował moją obecność. Złowróżbna wprawa, z jaką kierował galopującym Śmiałkiem, zdawała się podkreślać przewagę, jaką zawsze będzie miał nade mną.

Pod cyprysami zobaczyłem świeże łajno mułów, ale zwierząt, które tam ubiegłej nocy widziałem, teraz nie było. Miałem przecucie, że wkrótce je znowu zobaczę.

Prawie już doszedłem do głównej drogi, kiedy dogonił mnie młodziutki służący.

Wystarczyło, że dobiegł do hermy. Siedziałem tam na kamieniu, przeklinając się za kłótnię z Heleną, przeklinając ją, przeklinając jego... straszliwie się zamartwiając.

- Dydiuszu Falkonie!

Chłopiec miał na tunice plamę po marynowanej rybie, problemy skórne, o jakich lepiej nie myśleć, i mocno otarte, brudne kolana. Jednak gdyby omdlewał na targu niewolnikami, zastawiłbym własne życie, by uchronić go przed okrucieństwem.

Podał mi woskową tabliczkę. Pismo było świeże i moje serce

podskoczyło na jego widok. W każdym ze słów słyszałem rozdrażniony ton głosu Heleny.

Nigdy mnie nie uderzył, choć zawsze czułam, że może to zrobić. Skąd ten pomysł, że mogłabym wybrać kogoś takiego po tym, jak poznałam Ciebie?

Tylko nie wpadnij do żadnej wody. HJ

W domu, na Awentynie, znajdowałem czasami listy miłosne pod drzwiami. Nigdy nie przetrzymałem tego rodzaju obciążającej nadawcy korespondencji. Miałem jednak przecucie, że za jakieś czterdzieści lat, kiedy bladolicy wykonawcy mojej ostatniej woli będą przeglądać to, co po mnie zostanie, odnajdą ten właśnie list zawinięty w płótno, w mojej skrzyneczce na materiały piśmienne, ukryty głęboko, pośród wosku do pieczętowania.



LXIII

To, że zaprosił mnie, bym złożył mu wizytę, nie oznaczało, że uważał za stosowne być w domu, kiedy tam dotarłem. Tkwił w sądzie. Zjadłem w jego domu drugie śniadanie, grzecznie czekając, aż wróci. Rufus, całkiem rozsądnie, jadał poza domem. Przysiadłem na jednym ze srebrnych krzesel, o ostrych jak nóż brzegach, opierając się o twarde poduszki z końskiego włosia, z nonszalancją człowieka, który nie ma gdzie wygodnie umiejscowić pośladek. Wierciłem się pod freskiem, na którym bachantki rozszarpują na kawałki króla Penteusza (miła, odprężająca tematyka do westybulu). Słyszałem Emilię Faustę za drzwiami, nie wyściubiałem więc nosa z mojego dusznego kąta, byle tylko uniknąć spotkania.

W końcu Rufus łaskawie wrócił. Wystawiłem głowę na zewnątrz. Stał i rozmawiał z chłopcem od noszenia pochodni, przystojnym niewolnikiem z Ilirii, który przycupnięty na schodku przed wejściem czyścił obejmę knota ciekawie skonstruowanej latarni; do jej noszenia służyły brzęczące łańcuchy z brązu, boki chroniące płomień wykonano z matowego rogu, a góra, w której wywiercono otworki wentylacyjne, była zdejmowana.

- Witam cię, Falkonie! - zawołał. Po dobrym najwyraźniej posiłku Rufus był zdumiewająco sympatyczny. - Podziwiasz mojego niewolnika?

- Nie, panie, podziwiam lampę.

Wymieniliśmy zagadkowe spojrzenia. Przeszliśmy do jego gabinetu. Ten miał przynajmniej jakiś charakter, obwieszony pamiątkami, które właściciel zebrał w służbie w prowincjach: dziwaczne tykwy, plemienne oszczepy, bandery okrętów, nadgryzione przez mole bębny - były to takie rzeczy, do jakich z Festusem wzdychaliśmy, kiedy byliśmy nastolatkami, zanim przenieśliśmy swoje zainteresowania na kobiety i trunki. Podziękowałem za wino; Rufus też z niego zrezygnował i miałem okazję zaobserwować, jak stopniowo trzeźwieje pod wpływem spożytego posiłku. Ułożył się bokiem na łożu, pozwalając mi podziwiać swój profil i połyskujące złociste włosy, rozświetlone wpadającymi przez okno promieniami słońca. Myśląc o kobietach i o tym, w jakich mężczyznach się zakochują, przysiadłem na niskim stołku z niewesołą miną.

- Chciałeś mnie widzieć, panie - przypomniałem mu cierpliwie.

- Oczywiście! Dydiuszu Falkonie, atmosfera naprawdę się ożywia, kiedy ty jesteś w pobliżu! Ludzie często mi to mówią. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje.

- A może, panie, jednak coś o Kryspusie?

Chyba ciągle chciał wykorzystać Kryspusa dla siebie, bo zbył moje pytanie milczeniem. Odpędziłem kolejne podejrzenia, że jego siostra złożyła na mnie jakąś wstrętną skargę.

- Miałem wizytację! - poskarżył się ponurym głosem. Sędziowie w takich nudnych miścinach jak Herkulanum oczekują spokojnego życia. - Czy imię Gordian coś ci mówi?

- Kurcjusz Gordian - uściśliłem ostrożnie - jest obecnie kapłanem elektem świątyni Hery w Pestum.

- Jesteś na bieżąco!

- Dobrzy detektywi studiują pilnie wiadomości na forum. Poza tym poznałem go osobiście. Więc dlaczego zwrócił się do ciebie?

- Chce, żebym kogoś aresztował.

Poczułem przenikliwy chłód napływający do środka mojej klatki piersiowej.

- Acjusza Pertynaksa?

- Więc to prawda? - zapytał podejrzliwie Rufus. - Pertynaks Marcel żyje?

- Niestety tak. Kiedy Parka przecinała nić jego żywota, jakiś głupiec trącił ją w łokieć. To właśnie usłyszałeś na przyjęciu?

- Kryspus zrobił taką aluzję.

- To w jego stylu! Miałem nadzieję napuścić Kryspusa i Pertynaksa na siebie... Ty zapewne też!

Uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że Gordian uparł się, by wszystko skomplikować.

- Tak. Mogłem się tego spodziewać - przyznałem. To najnowsze posunięcie naczelnego kapłana pasowało do jego nieznośnego uporu. Wyobraziłem sobie, jak po moim wyjeździe z Krotonu kipiał emocjami po śmierci brata. A teraz, kiedy sędzia wspomniał Gordiana, przysły mi do głowy te dwie przemykające postaci, które obserwowałem minionej nocy... i je rozpoznałem. - Ma tutaj dwóch wywiadowców, którzy dzień i noc trzymają Pertynaksa na oku.

- Czy to znaczy, że go widziałeś?

- Nie. Ich widziałem.

Sędzia przyglądał mi się, nie całkiem pewien, ile naprawdę wiem.

- Gordian opowiedział mi dziwaczną historię. Mógłbyś rzucić na nią jakieś światło, Falkonie?

Mogłem. I rzuciłem.

Kiedy skończyłem, Rufus zagwizdał cichutko. Zadał mi serię rozsądnych prawniczych pytań, po czym zgodził się ze mną: twardych dowodów nie ma, same poszlaki.

- Gdybym aresztował Pertynaksa Marcela, może wyszłoby na jaw więcej faktów... - zaczął.

- Byłoby to jednak ryzykowne. Gdyby jakaś wdowa z pustym trzosem przedstawiła ci tę sprawę, zapewne nie zechciałbyś wdrożyć postępowania.

- Och, prawo jest bezstronne, Falkonie!

- Tak, i prawnicy nienawidzą zgarniania honorariów! Skąd Gordian wiedział, że Pertynaks jest w tej okolicy?

- Kryspus mu powiedział. Posłuchaj, Falkonie, będę musiał potraktować Gordiana poważnie. Ty jesteś agentem cesarza. Jakie jest oficjalne stanowisko?

- Moje jest takie, że jeśli Gordian na siłę doprowadzi do procesu, narobi smrodu stąd do Kapitolu. Jednak może mu się udać, pomimo braku dowodów. Obaj wiemy, że widok pogrążonego w bólu brata, wołającego o sprawiedliwość, jest właśnie wzruszającym obrazkiem, który powoduje, że ławnicy szlochają w togi i wydają wyrok skazujący.

- Powinienem więc aresztować Pertynaksa?

- Moim zdaniem zabił Kurcjusza Longina, który być może groził mu zdemaskowaniem, a potem próbował też zabić Gordiana. To poważne oskarżenia. Darowanie mu tego tylko dlatego, że jest przybranym synem konsula, staje mi ością w gardle.

Emiliusz Rufus wysłuchał moich argumentów za aresztowaniem z ostrożnością, jakiej się spodziewałem po prowincjonalnym sędzi. Gdybym ja był ofiarą złośliwego oskarżenia na podstawie słabych dowodów, mógłbym pochwalać jego skrupulatność. Jednak w tej sytuacji uważałem, że marnujemy czas.

Przez kolejną godzinę krążyliśmy wokół tego problemu. Ostatecznie Rufus postanowił przerzucić decyzję na Wespazjana; był to kompromis, jakim gardziłem. Zatrzymaliśmy najbliższego cesarskiego kuriera, który przejeżdżał przez miasto. Rufus ułożył elegancki list; ja skreśliłem zwięzły raport. Kazaliśmy kurierowi jechać bez przerwy. Nawet przy ich szybkości najwcześniej mógł dotrzeć do Rzymu następnego dnia o świcie, ale Wespazjan lubi czytać korespondencję przy pierwszym świetle dnia. Kiedy pomyślałem o Rzymie, załała mnie fala nostalgii i żałowałem, że sam nie mogę popędzić z wiadomościami na Palatyn.

- No cóż. Teraz nic więcej nie możemy zrobić - westchnął sędzia, unosząc swój atletyczny tors, by sięgnąć do trójnożnego stolika i nalać nam obu wina. - Należy nam się trochę przyjemności...

Nie był człowiekiem, którego bym sobie wybrał na towarzystwo, więc miałem ochotę odejść, ale pisanie raportu zawsze powodowało u mnie mocną potrzebę upicia się. Szczególnie na koszt jakiegoś senatora.

Omam nie zaproponowałem, byśmy udali się razem do łaźni, ale na szczęście się nie odezwałem. Podniosłem się, rozprostowałem kości i podszedłem po swój kielich; kiedy już miałem go w ręku, raczyłem przysiąc na jego łożu, by ułatwić stukanie się kielichami, jak czynią to kompani, którymi zresztą nie byliśmy. Emiliusz Rufus obdarzył mnie swobodnym, wspaniałym uśmiechem, a ja delectowałem się jego wybornym falernem.

- Przykro mi - powiedział mój gospodarz - że niewiele się widywaliśmy, kiedy uczyłeś moją siostrę. Miałem nadzieję, że to naprawię...

W tym momencie poczułem, że prawą dłonią pieści moje udo, i usłyszałem, jak zachwyca się moimi oczami.



LXIV

Mam tylko jeden sposób reagowania na podobne zachowanie. Zanim jednak zdążyłem przyłożyć mu w tę pięknie zarysowaną szczękę, cofnął dłoń. Do pokoju wszedł ktoś zupełnie niespodziewany.

- Dydiuszu Falkonie, tak się cieszę, że cię złapałam! - wykrzyknęła Helena Justyna; jasny wzrok, gładka skóra i szybki, lekki krok: wybranka mojego serca we własnej osobie. - Wybacz, Rufusie, przyszłam zobaczyć się z Faustą, ale jak rozumiem, wyszła gdzieś na kolację poza domem... Falkonie, zrobiło się już późno, zatem jeśli wybierasz się do willi - stwierdziła pogodnie - czy mogłabym wrócić pod twoją eskortą? Jeśli to odpowiada twoim planom i nie sprawi zbyt wiele kłopotu...

Ponieważ trzymałem kielich z winem najwyższej jakości, zanim się odezwałem, najpierw go osuszyłem.

- Jeśli tylko mogę służyć damie, nigdy nie będzie to kłopotem - odparłem.



LXV

- Mogłaś mnie ostrzec!

- Sam się o to prosiłeś!

- Wydawał się tak dobrze wychowany... kompletnie mnie zaskoczył...

Helena zachichotała. Przerzywała mi ciągle, mówiąc do mnie przez okienko jednoosobowej lektyki, obok której siedłem, nie przestając marudzić.

- Popijanie z nim wina na tej samej sofie, z tuniką zadartą nad kolana i to spojrzenie bezbronnej łani... - naigrawała się.

- Nie podoba mi się to - oświadczyłem. - Obywatel powinien móc pić, gdzie chce, i nikt nie powinien tego interpretować jako otwartego zaproszenia do zalotów ze strony mężczyzn, których prawie nie zna i których nie lubi...

- Byłeś pijany.

- To nieistotne. A poza tym, nie byłem! Co za szczęście, że wybrałaś się do Fausty...

- Szczęście nie miało z tym nic wspólnego! Tak długo cię nie było, że zaczęłam się martwić. W rzeczywistości minęłam się po drodze z Faustą. Ucieszyłeś się na mój widok? - Uśmiech rozpromienił jej twarz.

Zatrzymałem lektykę, wyciągnąłem Helenę na zewnątrz i kazałem tragarzom ruszać przodem. Szliśmy za nimi w zapadającym zmierzchu, a ja cały czas demonstrowałem jej, jak bardzo się cieszę.

- Marku, domyślasz się, dlaczego Fausta zmierzała w stronę Oplontis? Odkryła, że pewna osoba będzie w willi Poppei, podejmując raz jeszcze dowódcę floty kolacją.

- Kryspus? - jęknąłem tylko i wróciłem do bardziej interesujących spraw.

- Cóż jest takiego szczególnego w prefekcie z Mizenum? - zastanawiała się Helena, na której najwyraźniej nie robiły wrażenia moje starania.

- Pojęcia nie mam...

- Marku, zgubię kolczyk. Pozwól, że go zdejmę.

- Zdejmuj wszystko, co chcesz - zgodziłem się. Po czym stwierdziłem, że zaczynam się zastanawiać nad jej pytaniem. Przeklęty dowódca floty z Mizenum wcisnął się zrećcznie pomiędzy mnie i mój romantyczny nastrój.

Nie biorąc pod uwagę floty brytyjskiej, której właściwie nikt cywilizowany by nie uwzględnił, rzymska flota wojenna rozmieszczona jest w jedyny możliwy sposób jak na takie długie i wąskie państwo: część okrętów stacjonuje w Rawennie, by chronić kraj od wschodu, a druga część w Mizenum, od zachodu.

Teraz zaczęły mi świtać w głowie odpowiedzi na niektóre pytania.

- Powiedz mi - odezwałem się po chwili namysłu - nie licząc Tytusa i legionów, co stanowiło kluczowy element kampanii Wespazjana, by zostać cesarzem? Co było w Rzymie najgorsze?

Helena wzdrygnęła się.

- Wszystko! Żołnierze na ulicach, morderstwa na Forum, pożary, choroby, głód...

- Głód - powtórzyłem. - Podejrzewam, że w senatorskim domu udawało się żyć normalnie, ale mojej rodzinie brakowało chleba.

- Zboże! - powiedziała. - Tu sytuacja była krytyczna. Egipt zaopatruje całe miasto. Wespazjan miał poparcie prefekta Egiptu, więc przesiedział całą zimę w Aleksandrii, dając Rzymowi do zrozumienia, że to on kontroluje statki z ziarnem i bez dobrej woli z jego strony mogą nie przypląć...

- A teraz przypuśćmy, że jesteś senatorem z ogromnymi ambicjami politycznymi, ale twoi zwolennicy znajdują się jedynie w takich nędznych prowincjach jak Norikum...

- Norikum! - zachichotała.

- Właśnie. Beznadziejne. Tymczasem prefekt Egiptu nadal mocno popiera Wespazjana, więc dostawy są pewne... ale założmy, że w tym roku, kiedy statki ze zbożem pojawią się w pobliżu półwyspu Puteoli...

- Flota wojenna je zatrzyma! - Helena była wstrząśnięta. - Marku, musimy powstrzymać flotę! (Miałem dziwaczną wizję Heleny wypływającej z Neapolu niczym bogini na dziobie statku, wznoszącej ramię, by powstrzymać idące pod pełnymi żaglami okręty). Po chwili zastanowienia spytała: - Mówisz to wszystko poważnie?

- Raczej tak. I nie mówimy o kilku workach transportowanych na grzbiecie osiołka.

- A o jakich ilościach?

- Cóż, trochę pszenicy importujemy z Sardynii i Sycylii. Nie jestem pewien, jak wyglądają dokładne proporcje, ale urzędnik w biurze prefekta dostaw powiedział mi kiedyś, że roczne zapotrzebowanie Rzymu wynosi piętnaście miliardów buszli...

Senatorska córka zagwizdała przez zęby. Uśmiechnąłem się.

- Kolejne pytanie brzmi, czy to Pertynaks czy też Kryspus jest teraz siłą napędową tego strasznego planu?

- Och, odpowiedź na to jest już znana! - zapewniła mnie Helena w ten swój ostateczny sposób. - To Kryspus podejmuje i zabawia dowódcę floty.

- Rzeczywiście. Sądzę, że tkwili w tym obaj, ale teraz, kiedy Pertynaks zajął się napadami, dla Kryspusa stał się obciążeniem... Statki wypływają po zboże do Egiptu w kwietniu... - Zastanawiałem się: nony kwietniowe, *Galatea* i *Wenus z Pafos*; cztery dni przed idami, *Flora*; dwa dni przed początkiem maja, *Luzytania*, *Konkordia*, *Partenope* i *Gracje*... - Dotarcie tam zabiera trzy tygodnie i aż dwa miesiące powrót pod wiatr. W tym roku te pierwsze muszą być już spóźnione...

- W tym szkopu! - wyszeptała Helena. - Jeśli flota wypłynie w morze, to ty będziesz miał problem!

Podziękowałem jej za zaufanie (wiarę w moją osobę) i przyspieszyłem kroku.

- Marku, jak sądzisz, co oni zamierzają teraz zrobić? - zapytała.

- Może zatrzymać statki, kiedy tutaj przyplyną, potem zagrozić, że odprowadzą je do jakiegoś sekretnego miejsca. Gdybym ja to robił, poczekałbym, aż senat wyśle w roli negocjatora jakiegoś nieustępliwego pretora, po czym zacząłbym opróżniać worki do wody. Wizja Zatoki Neapolitańskiej przemienionej w jedną ogromną misę owsianki wywarłaby zapewne pożądany skutek.

- Biorąc to wszystko pod uwagę - oświadczyła z naciskiem Helena - cieszę się, że jednak nie ty to robisz! Kto ci powiedział, żebyś przeszedł import zboża? - spytała zaciekawionym tonem.

- Nikt. Sam na to wpadłem.

Przytuliła mnie mocno i roześmiała się.

- A to z jakiej okazji? - spytałem.

- Och, lubię sobie pomyśleć, że powierzyłam przyszłość człowiekowi, który jest dobry w swoim fachu!



LXVI

Postanowiłem dokonać najazdu na willę Poppei w czasie, kiedy przebywał tam Kryspus. Idealnym rozwiązaniem byłoby, gdybym wślizgnął się do środka sam. Moje doświadczenie detektywa doprowadziłoby mnie prosto do uczujących w momencie, w którym ustalali ostatnie odrażające szczegóły swojego planu; potem uzbrojony w twarde dowody Marek Dydiusz Falko, nasz półboski bohater, stanąłby przed nimi, udaremnił ich nieczne zamiary i własnoręcznie założył im wszystkim żelazne obrcze na szyje...

Większość detektywów chełpi się takimi doskonałymi akcjami. Moje życie przebiegało zgodnie z własnymi, zdecydowanie bardziej zbytkowanymi regułami.

Pierwszy problem polegał na tym, że Helena, Petroniusz i Lariusz, wszyscy okropnie ciekawscy, też się tam ze mną wybrali. Zjawiliśmy się niczym drugorzędni świątynni dobosze, za głośni i za powolni. Kiedy staliśmy na tarasie, rozprawiając o tym, jak najlepiej dostać się do środka, goście wysypali się na zewnątrz. Nie było szansy, żeby wycisnąć z kogoś przyznanie się do winy... ani w ogóle cokolwiek sensownego.

Sam gospodarz, Kryspus, przewodził grupie, stopami do przodu, twarzą

do ziemi, nie mając najmniejszego pojęcia, co się wokół dzieje. Niewolnicy obojętnie podnieśli po prostu stół, na który padł, podparłszy się pod boki, po czym wynieśli go na zewnątrz niczym skończone danie deserowe, z przywiedłym wieńcem zwisającym z końca jednego z drążków, jakie podłożyli pod blat, rzemykami od sandałów z drugiego. Minie dużo czasu, nim jego dostojność się zbudzi, a i wtedy nie będzie nadawał się do rozmowy.

Jego gośćmi byli: dowódca z Mizenum oraz grupa kapitanów trójzędowców. Flotę rzeczywiście tworzyli twardziele. Podczas niedawnych wojen domowych mieliśmy poważną epidemię piractwa na Morzu Adriatyckim, jednak tutaj, na zachodnim wybrzeżu, od czasów Pompejusza panował spokój. Załoga floty z Mizenum miała niewiele do roboty poza radzeniem sobie z wymaganiami życia towarzyskiego. Wokół Zatoki Neapolitańskiej co noc odbywały się przyjęcia, zatem oficerowie w większość wieczorów wciskali się na prywatne uczy w pogoni za darmowymi trunkami i po każdej libacji, nie zbacząc z kursu, bezbłędnie odnajdywali drogę do siebie, a wesołe, niezwykle sprośne pioseneczki przez nich wyśpiewywane wywoływały bladeść lic u trzeźwych obywateli.

Patrzyliśmy, jak kilku trierarchów wynurza się z domu, udając psy myśliwskie. Podgryzali się wzajemnie, wyli, szczekali, wymachiwali rękoma jak przednimi łapami, dyszeli z wywieszonymi jęzorami, unosili nosy do księżycy i węszyli za zadkami tych, których akurat mieli przed sobą. Aż miło było patrzeć, jak rozkoszują się własnymi wygłupami. Ich dowódca okrążał tych świetnych mężów, sam też na czworakach, becząc jak owca. Kręcili się wszyscy w kółko niczym aktorzy greckiej komedii, którym nie powiedziano, jak się mają poruszać na scenie, po czym sytuacja wyklarowała się sama; położywszy ciężkie ręce na ramionach poprzednika, utworzyli rozczulający łańcuch niczym rodzeni bracia, i roztańczonym krokiem, podnosząc wysoko kolana, ruszyli w górę trapem. Jeden z nich o mało co nie wypadł za burzę, ale kiedy już zawisł nad wodą, kompani wciągnęli go z powrotem, wydając chóralny okrzyk zachwytu. Po chwili i trap, i oni zniknęli.

Wieczór wydawał się smutniejszy, kiedy ich zabrakło. Petroniusz oświadczył, że jego szacunek dla floty wojennej z punktu wzrósł trzykrotnie.

Odchodziliśmy już, kiedy Helena Justyna przypomniała sobie o przyjaciółce. Byłem za tym, żeby Faustę zostawić, ale odrzucono mój pomysł. (Jeden z powodów, dla których detektyw powinien pracować sam: nikt go nie wciąga w spełnianie dobrych uczynków).

Pani zaszyła się w atrium i zalewała łzami. Najwyraźniej przypięła się wcześniej do amfory. Mogłoby się to spodobać jedynie handlarzowi win, któremu spadają zyski (jeśli takowy w ogóle istnieje).

Wokół niej dostawcy dań zajęci byli sprzątaniem i nie zwracali najmniejszej uwagi na rozmamłane, szlochające na posadzce straszdyło. Widziałem, że Helena zeszywniała.

- Pogardzają nią! Niemądrze postępuje, a co gorsza, nie ma obok siebie mężczyzny, który by się o nią zatroszczył...

Petroniusz i Lariusz wycofali się onieśmieleni, ale Helena już zdążyła

zatrzymać jakiegoś niewolnika i domagała się, by wyjaśnił całą tę sytuację. Powiedział, że Fausta po raz kolejny nieustraszenie wdarła się do willi, tym razem w połowie uczty. Przyjęcie miało pikantny charakter: gośćmi byli wyłącznie mężczyźni, w występach brały udział same kobiety...

- Domyślam się, że Aufidiusz Kryspus - zawołała Helena surowo - leżał spleciony w uścisku z hiszpańską tancerką?

- Nie, pani... - Niewolnik zerknął z ukosa na mnie i Petroniusza. Wyszczrzyliśmy zęby. - Tak naprawdę, z dwiema! - Miał wielką ochotę opowiedzieć szczegóły, ale Helena uciszyła go syknięciem.

Wyglądało na to, że Fausta porażona tym widokiem wycofała się stamtąd, pograżając w beznadziejnej żalości, co od dawna było jej specjalnością; Kryspus zapewne w ogóle jej nie zauważył. Teraz utknęła w tej niezamieszkannej willi, podczas gdy dostawcy zdążyli już spuścić wszystkie puste amfory z pomostu do morza i zamierzali odpłynąć.

Helena narobiła szumu i ktoś sprowadził dla damy lektykę. Tego wieczoru tragarzami Fausty byli kiepsko dobrani niewolnicy z Liburnii: jeden z nich kulał, a drugi miał jątrzące się czyraki na karku.

- Och, przecież nie można jej zostawić tym durniom! - denerwowała się Helena.

Nie biorąc na siebie żadnej odpowiedzialności, Lariusz i ja zdołaliśmy umieścić Faustę w lektyce. Niewolnicy nierównym krokiem ponieśli ją do gospody w Oplontis, a w czasie kiedy my dyskutowaliśmy, co zrobić z tym fantem, ona wyslizgnęła się cichaczem i powędrowała na plażę, gdzie przeklinała cały męski ród, wykrzykując po kolei te części męskiego ciała, którym życzyła szybkiej zagłady, a robiła to tak szczegółowo, że ja sam poczułem się nieswojo.

Miałem już serdecznie dosyć całej tej rodziny. Jednak by zadowolić Helenę, zgodziłem się zmarnować jeszcze więcej z tego, co mogło być takim miłym wieczorem, i coś zrobić z nieszczęsną Faustą...

W głębi serca liczyłem na to, że może zdąży porwać ją jakiś bandyta, który rozpaczliwie potrzebuje kuchty do podgrzania rosółku.

Uparłem się, by Helena ruszyła w swojej lektyce z powrotem do posiadłości. Zajął to sporo czasu z powodów, które prócz mnie nikogo nie powinny interesować.

Teraz już większość wybrzeża spowijała ciemność. Kiedy wróciłem do gospody, okazało się, że Fausta zniknęła. Mimo tak późnej pory na ławce stojącej przed gospodą Lariusz dawał wykład o poezji niani dziewczynek; zdążył już przynajmniej przejść od Katullusa do Owidiusza, który ma lepsze poglądy na miłość i co najważniejsze, również na tę zmysłową.

Przysiadłem się do nich.

- Łajdaczyłeś się, wujku?

- Nie bądź niemądry. Żadnej senatorskiej córki nie bawiłoby obłapianie się na gołej ziemi pośród zaciekawionych pajaków, z szyszką wbijającą się w plecy.

- Naprawdę? - spytał Lariusz.

- Naprawdę - skłamałem. - Co nakłoniło Emilię Faustę do ucieczki przed pchłami piaskowymi?

- Uczynny dowódca straży po służbie. Gość nie znosi widoku

przesiadujących na plaży pijanych sióstr nobilów.

Jęknąłem. Petroniusz Longus zawsze był wrażliwy na dziewczęcy szloch.

- Zrzucił ją sobie na ramię, wcisnął do lektyki, podczas kiedy ona powtarzała bez przerwy, jaki to z niego miły człowiek, a potem osobiście odprowadził jej żaloszny orszak do Herkulanum? - zgadywałem.

Lariusz roześmiał się.

- Świetnie znasz Petroniusza!

- Nawet nie poprosi o nagrodę. Co powiedziała Sylwia?

- Nic... bardzo znacząco!

Noc była piękna. Zaprząłem Nerona i wyjechałem przyjacielowi naprzeciw, oszczędzając mu pieszej wędrówki przez całą powrotną drogę. Lariusz postanowił dotrzymać mi towarzystwa; po czym, ponieważ oboje byli młodzi i beztroscy, Ollia pojechała, by jemu dotrzymać towarzystwa.

Kiedy dotarliśmy do domu sędziego, odźwierny powiedział nam, że Petroniusz przybył z panią, a ponieważ w wizytowych pantoflach nie czuła się zbyt pewnie na nogach, udzielił jej wsparcia i zaprowadził do środka. Nie ryzykując narażania się na to, co Emiliusz Rufus mógłby uznać za świętą rozrywkę, woleliśmy poczekać w wozie.

Petroniusz, kiedy już wreszcie wyszedł, zdziwił się na nasz widok. Wszyscy troje drzemaliśmy, więc wskoczył na kozioł i ujął lejce. Zresztą to on był najlepszym woźnicą.

- Uważaj na sędziego! - zaszczebiałem. - Jego falern jest przyzwoity, ale nie chciałbym wpaść na niego po ciemku za filarem w łaźni... Jego siostrzyczka sprawiła ci dużo kłopotu?

- Niespecjalnie, jeśli machnąć ręką na typowe odzywki w stylu: „Mężczyźni są obrzydliwi. Dlaczego ja nie mogę jakiegoś złapać?” - oświadczył.

Powiedziałem kilka przykrych słów o Fauście, choć on twierdził, że ta bidulka jest całkiem miła.

Głowa pogrążonego we śnie Lariusza podskakiwała na miękkim ramieniu Ollii. Ponieważ mogłem skupić myśli na ciekawszej kobiecie niż jakaś tam durna siostra wszawego sędziego, wcisnąłem się w kąt i też zasnąłem spowity ciepłym nocnym powietrzem Kampanii, ukołyszany skrzypieniem i łagodnym ruchem wozu.

Dobroduszny jak zawsze Petroniusz Longus nucił sobie pod nosem, wioząc nas wszystkich do domu.



LXVII

Dwa dni później sędzia próbował aresztować Acjusza Pertynaksa. Był to dzień urodzin córki Petroniusza, więc wymknąłem się do Oplontis z prezentem. Po tym, jak go odtrąciłem, Rufus nie zechciał mnie o niczym uprzedzić. Przegapiłem więc całą akcję.

Zresztą niewiele było do przegapienia. Sędzia powinien postąpić zgodnie z moją radą: skoro willa Marcela zwrócona była ku morzu, można było dotrzeć do niej dyskretnie od góry. Kiedy jednak przyszedł rozkaz

Wespazjana, by zatrzymać Pertynaksa, Emiliusz Rufus zabrał szybko oddział wojska i popędził do posiadłości główną drogą, z daleka widoczny jak na dłoni dla wszystkich domowników.

Marcel powitał go lodowato i zezwolił na przeszukanie, potem usiadł w cieniu, by poczekać, aż ten idiota odkryje to, co oczywiste: Pertynaks dał nogę.

Kiedy zamieszanie się skończyło, Helena Justyna przyjechała do Oplontis, żeby mi wszystko opowiedzieć.

- Gnejusz odjechał konno z Bryonem. Ten, najwyraźniej niczego nieświadom, wrócił później z obydwoma końmi i oświadczył, że młody pan postanowił wybrać się w rejs...

- On ma łódź?

- Bryon zostawił go na statku Aufidiusza Kryspusa.

- Czy Kryspus wie, że jest nakaz aresztowania?

- To nie jest całkiem jasne.

- Gdzie był ten statek?

- W Bajach. Bryon widział jednak, jak odpływa.

- Genialne! Zatem nasz znakomity Emiliusz Rufus wypłoszył Pertynaksa na najszybszy statek pomiędzy Sycylią i Sardynią...

Rufus był bezużyteczny. Będę musiał wynająć statek, żeby samemu poszukać *Izdy Afrykańskiej*. Dzisiaj już było na to za późno, więc przynajmniej mogłem nacieszyć się jeszcze jednym wieczorem z moją panią.

Były urodziny Sylwany (średniej córki Petroniusza; skończyła cztery lata) i tego wieczoru dzieci brały udział we wspólnym obiedzie, spóźnionym trochę, bo przydarzył się nam jeden z tych radosnych rodzinnych kryzysów, bez których żadne wakacje nie są w pełni zrealizowane. Sylwia znalazła nianię Ollię zalaną łzami.

Dwa krótkie pytania dotyczące osobistego kalendarza dziewczyny ujawniły, że moja przepowiednia dotycząca młodego rybaka najwyraźniej się sprawdziła. (Nie przestawał kręcić się w pobliżu). Ollia zaprzeczyła, co tylko potwierdzało werdykt. Sylwia dała Ollii po głowie, żeby sobie ulżyć, po czym kazała Petroniuszowi i mnie dorwać tego uciążliwego łowcę homarów, kiedy już i tak było za późno.

Odnaleźliśmy młodego podrywacza muskającego wąsiki przy starej kotwicy; Petroniusz potraktował go trochę ostrzej, niż zamierzał. Oczywiście chłopak twierdził, że nawet nie dotknął dziewczęcia; tego się zresztą spodziewaliśmy. Poprowadziliśmy go do lepianki, w której mieszkał z rodzicami, i podczas kiedy młodzian się dąsał, mój przyjaciel przedstawił im cały problem moralny w zrozumiałym dla nich języku: ojciec Ollii to legionista weteran, który służył ponad dwadzieścia lat w Egipcie i Syrii i zakończył służbę z podwójnym żołdem, trzema medalami i świadectwem potwierdzającym, że Ollia jest jego prawowitym dzieckiem; teraz natomiast prowadzi szkołę pięściarzy i znany jest ze swojej wspaniałomyślności, a jego zawodnicy z lojalności wobec niego...

Stary rybak był żalonym bezzębnym gościem, którego nie dopuściłbyś blisko siebie z nożem do filetowania w garści, ale czy to ze strachu, czy z prostej przebiegłości ochoczo z nami współpracował. Młodzik zgodził się

ożenić z dziewczyną, a ponieważ Sylwia nigdy by tutaj Olli nie zostawiła, postanowiliśmy zabrać młodego rybaka do Rzymu. Jego krewni wydawali się pod dużym wrażeniem rezultatu spotkania. My uznaliśmy to rozwiązanie za najlepsze, do jakiego mogliśmy doprowadzić.

Wiadomość, że uczciwą kobietę ma z niej zrobić przebiegły nicpoń z wąsem przypominającym morskie wodorosty, ponownie wywołała szloch Olli, czemu nie należało się dziwić. Lariusz, któremu, ze względu na jego artystyczną duszę, oszczędziliśmy szczegółów, rzucał mi rozpaczliwe spojrzenia spode łba.

- Ollia popełniła gruby błąd - oświeciłem go. - Teraz już wie, dlaczego matka ją przestrzegała: następne pięćdziesiąt lat spędzi, płacąc za ten błąd. Kiedy nie będzie latał za kobietami, uwali się na łóżku, domagając się obiadu i wymyślając jej od tępych wycieruchów. Teraz zrozumiesz, dlaczego te, które na to stać, gotowe są oddać się w ręce kobiety znającej się na przerywaniu ciąży...

Lariusz wstał bez słowa i poszedł towarzyszyć Petroniuszowi przy zamawianiu wina.

Helena Justyna, gawędząca z dziećmi w czasie, kiedy Sylwia uspokajała Ollię, obdarzyła mnie przeciągłym, chłodnym spojrzeniem senatorskiej córki, która zdążyła już zobaczyć życie od tej ciemniejszej strony i dojść do wniosku, że aby uniknąć czegoś takiego, żadna kobieta, którą tylko na to stać, nie powinna żałować pieniędzy.

W sumie udało nam się jednak spędzić miły wieczór w ten rozpaczliwy sposób, w jaki ludzie postępują, kiedy mają do wyboru: uparcie trzymać się życia albo ugrzęznąć w bagnie.

Kiedy tylko Petroniusz pojawił się ponownie z tacami pełnymi chleba i dzbanami wina, napięcie zaczęło ustępować. Serdeczność, z jaką swoimi wielkimi łapami rozsadzał nas wokół stołu, uspokoiła wszystkich. Znalazłszy się blisko Sylwii, która tego wieczoru miała więcej niż zazwyczaj powodów do zmartwień, zabawiałem ją z ręką na jej kolanie (stół był taki wąski, że ludzie siedzący po przeciwnych stronach stykali się kolanami). Sylwia wymierzyła kopniaka Petroniuszowi, sądząc, że to on, więc mój przyjaciel, nie odrywając nawet oczu od barweny, rzucił:

- Falko, trzymaj łapy z daleka od mojej żony.

- Dlaczego jesteś taki nieznośny? - zrzędziła otwarcie Helena. - Połóż ręce na stole i jeśli już musisz być ordynarny, to możesz przynajmniej pożerać mnie wzrokiem.

Zastanawiałem się ponuro, czy przypadkiem Helena nie napada na mnie tak ostro dlatego, że martwi się o zbiegłego Pertynaksa. Obserwowałem ją, ale ona wiedziała, że to robię, i postarała się, żeby jej twarz niczego nie wyrażała.

Tego wieczora pojawiła się grupa wiejskich tancerzy i bardzo szybko nas rozweseliła występami, z których można było pokpiwać. Wszędzie widuje się takich zmęczonych komediantów; dziewczęta ze szkarłatnymi wstążkami i tympanonami, jak zwykle po bliższej inspekcji okażą się odrobinę starsze, niż to wyglądało na początku; jakiś żwawy człowieczek z diabelskim uśmieszkiem i haczykowatym nosem dmie bez opamiętania we fletnię Pana; wyniosły, łysawy jegomość gra dostojnie na flecie z rodzaju

zupełnie nieznanego muzykom. Pasterze ze wzgórz, krewni właściciela gospody, któż to wie? Była to praca na okres letni - trochę pieniędzy i darmowego wina, skąpe oklaski, gwizdy miejscowych, a dla nas pouczający dodatek, kiedy w drodze do latryny natykaliśmy się na którąś z tancerek, gdy oparta o ścianę, posilając się kiełbasą salami, wyglądała już wtedy nie tak wesoło i zdecydowanie nie tak czysto.

Ci byli równie dobrzy albo równie kiepscy jak zawsze. Wirowali i szybowali, wymachiwali obutymi stopami z odrobiną przesadnym brakiem zaangażowania (zważywszy na to, że spodziewali się od nas zrzutki do kapelusza), choć dziewczętom uśmiech nie schodził z twarzy, kiedy potem krążyły z koszykami róż, klnąc pod nosem postawnego, czarnowłosego młodego człowieka, który miał za zadanie wycisnąć od nas pieniądze. Ten wyjątkowo ochoczo przysiadł się, by popijać z czyjejś butli, odciążając w ten sposób swoje osobliwe balerinki. Kiedy rozmawiał z Petroniuszem, objąłem ramieniem Helenę i wspominałem, jak to w dawnych czasach zawsze się okazywało, że mój starszy brat Festus zna osobiście flecistę...

Petroniusz nachylił się ku Helenie.

- Kiedy tylko zaczniesz mówić o swoim bracie, natychmiast odbierz mi kubek z winem! - wyszeptał.

Posłuchała go. Pozwoliłem jej, bo uśmiechnęła się do mnie tak czule, że zrobiło mi się miękko na sercu. Mój przyjaciel uprzejmym gestem podał jej orzech. Potrafił tak zręcznie zgnieść jego skorupę, że jądro pozostawało nienaruszone: obie połówki nadal przemyślnie utrzymywała razem cienka i sucha błonka. Kiedy go zjadła, opuściła mi głowę na ramię i wzięła mnie za rękę.

Siedzieliśmy więc do późnego wieczora pod oplecioną winoroślą pergolą, z za skalnej skarpy pobłyskiwało morze, a mężczyźni w skąpych tunikach, tupiąc nogami, wzniecali unoszące się nad liśćmi hibiskusa obłoczki drobnego kurzu. Olię rozboleł brzuch, a mojego biednego Lariusza serce. Myślałem o tym, że jutro muszę się zabrać do poszukiwań Pertynaksa. Helena uśmiechała się marzycielsko. Petroniusz i Sylwia doszli do zgodnego wniosku, że wakacje były udane i czas wracać do domu.

Zaden z nowych fletów nie chciał grać. Zawsze tak jest, ale Petroniusz i ja niezmiennie dajemy się nabrać.

Wróciliśmy powoli do gospody, a ponieważ były to urodziny Sylwany, z układania dzieci do snu zrobiła się cała ceremonia. Nie wiedziałem, kiedy znów zobaczę Helenę, więc teraz odciągnąłem ją na bok, żeby się z nią pożegnać sam na sam. Z dołu ktoś zawołał, że mam gościa. Petroniusz puścił do mnie oko i zszedł sam się tym zająć.

Jedna z rozbrykanych dziewczynek pobiegła za nim. Chwilę później, pomimo panującego wokół harmidru, usłyszeliśmy jej przeraźliwe krzyki.

Byłem pierwszy na schodach. Petronilla stała jak skamieniała w drzwiach, nie przestając krzyczeć. Wzięłem ją na ręce. Nic innego nie mogłem zrobić.

Petroniusz Longus leżał przed gospodą, twarzą ku ziemi, z rozkrzyżowanymi ramionami. Powaliło go brutalne uderzenie wymierzone w podstawę czaszki. Krew wypływająca powoli z rany mówiła wszystko.

Przez dłuższą chwilę po prostu stałem, z tym dzieckiem na rękach,

niezdolny się poruszyć. Nic nie mogłem zrobić. Wiedziałem, że nie żyje.



LXVIII

Wśród tupotu stóp zbiegających za mną ludzi sandały Sylwii jedynie zaszemrały i w następnej chwili żona Petroniusza przemknęła obok mnie niczym oddech i rzuciła się do niego, nim zdołałem ją powstrzymać. Wydawało mi się, że słyszę: „Och, mój najdroższy”, ale musiałem się przesłyszeć.

Wcisnąłem dziewczynkę w czyjeś ramiona i wybiegłem na zewnątrz, starając się odciągnąć Sylwię od niego. Helena Justyna przecisnęła się obok mnie, uklękła przy jego głowie, żeby ostrożnie poszukać oddechu czy pulsu.

- Marku, pomóż mi... on żyje!

Po tych słowach pracowaliśmy jak dwoje partnerów. Życie znowu dawało jakąś nadzieję. Były sprawy do zrobienia.

Lariusz natychmiast wyruszył na osiołku poszukać medyka. Ollia, wykazując zadziwiający rozsądek, zajęła się Sylwią. Nie chciałem ruszać Petroniusza, ale z każdą chwilą robiło się coraz ciemniej i nie mogliśmy go zostawić na dworze. Helena zarekwirowała dla niego pokój na parterze - zapłaciła, jak sądzę - dokąd przenieśliśmy go na kawałku płotu.

Ten cios miał go zabić na miejscu. Mężczyzna drobniejszej budowy byłby już martwy. Ja byłbym martwy. Można założyć, że ten łotr, który spaprał robotę, był pewien, że nie żyję.

Mój przyjaciel nie dawał najmniejszego znaku życia, był tak głęboko nieprzytomny, że już samo to było wielce niebezpieczne. Nawet jeśli się kiedyś ocknie, może już nigdy nie być sobą. Z drugiej jednak strony Petroniusz był dużym, sprawnym mężczyzną, o wielkiej sile fizycznej; we wszystkim, co robił, była wytrwałość i determinacja. Lariusz znalazł medyka, który opatrzył ranę i powiedział, że Petroniusz nie stracił zbyt wiele krwi. Pozostaje tylko zapewnić mu ciepło i czekać.

Helena uspokajała dzieci. Ułożyła Sylwię w pokoju męża, obkładając ją kocami i poduszkami. Pilnowała medyka, odegnała gapiów i pocieszyła Ollię oraz Lariusza. Widziałem nawet, jak razem z Ollią karmi należące do dzieci kocięta. Potem wysłała do posiadłości wiadomość, że zostaje tutaj.

Obszedłem gospodę, tak jak robił to co wieczór Petroniusz.

Stałem na drodze i wsłuchiwałem się w ciemność, czując nienawiść do człowieka, który to zrobił, i planując zemstę. Wiedziałem, że winowajcą był Acjusz Pertynaks.

Zajrzałem do stajni i z ręki nakarmiłem Nerona. Gdy wróciłem do Petroniusza, Sylwia kołysała się delikatnie z Tadią w ramionach. Uśmiechnąłem się do niej, ale nie rozmawialiśmy, bo dziewczynki już spały. Wiedziałem, że mnie wini. Przynajmniej ten jeden raz nie było się o co kłócić: sam siebie obwinałem.

Zgasiłem wszystkie świece poza jedną, po czym usiadłem przy nim. Tej nocy jego rysy straciły wyrazistość. Poza siniakami od potłuczenia przy upadku nie było tam nic, ani koloru, ani charakteru, nie była to jego twarz.

Znałem go od dziesięciu lat; dzieliliśmy barak w koszarach na końcu świata w Brytanii i namiot podczas forsownych marszów w czasie buntu Icenów. Po powrocie do Rzymu wypiliśmy razem niezliczoną liczbę dzbanów wina, żartowaliśmy nawzajem ze swoich kobiet, naśmiewaliśmy się ze swoich nałogów, opowiadaliśmy sobie dowcipy i wyświadczaaliśmy przysługi, rzadko się sprzeczaaliśmy, właściwie jedynie wtedy, kiedy jego praca kolidowała z moją. Był mi jak brat, podczas gdy mój własny był postacią tak barwną, że niemal nie do wytrzymania.

Nie wiedział, że jestem przy nim. W końcu pozostawiłem go z dwiema starszymi córkami, które spały przytulone do niego.

Poszedłem na górę, czujnie i zbierając siły na później. Uniosłem materac na łóżku Petroniusza i znalazłem, jak się spodziewałam, jego miecz. Postawiłem go obok swojego łóżka.

W drugiej naszej izdebce Helena rozmawiała z Ollią i Lariuszem. Zajrzałem, żeby powiedzieć dobranoc; musiałem jeszcze rzucić na nich okiem.

- Wiem, że słowa są niewystarczające, ale dzięki z to, że zostałam - zdołałem wykrztusić dość pompatycznie do Heleny. - Bez ciebie zapanowałby tutaj chaos. Nie chciałbym jednak obarczać cię naszymi kłopotami...

- Wasze kłopoty są moimi kłopotami - odparła spokojnie.

Uśmiechnąłem się, nie wiedząc, co mam jeszcze powiedzieć, potem kiwnąłem głową do Lariusza.

- Pora spać.

Lecz najwyraźniej Helena właśnie przekonywała Ollię, by się jej zwierzyła, a Lariusz był uczestnikiem tego seminarium, więc zostawiłem ich samych, po czym jeszcze długo w noc słyszałem ich szepty.

Była trzecia godzina ciemności. Leżałem na wznak ze skrzyżowanymi ramionami, wpatrując się w okno, czekając na nadejście dnia i szansę zemsty. Zaskrzypiała deska w podłodze; spodziewałem się Lariusza, ale była to Helena.

Znaliśmy się tak dobrze, że słowa były zbędne. Wyciągnąłem do niej rękę i zrobiłem miejsce na tym okropnym łóżku. Zdmuchnęła swoją lampkę, a ja ścisnąłem palcami knot, żeby nie dymił, po czym zgasłem też swoją.

Leżałem na boku i ciasno obejmowałem Helenę. Jej zimne stopy znalazły sobie miejsce pod moją, gdzie mogły się ogrzać. Doskonale pamiętam, jak w tym momencie oboje wydaliśmy westchnienie, choć nie wiem, które z nas zasnęło pierwsze.

Nic się nie wydarzyło. Jest więcej niż tylko jeden powód, by dzielić z kimś łożę. Helena chciała być ze mną. A ja jej potrzebowałem.



LXIX

Przez następne trzy dni przeszukiwałem zatokę na wynajętym w Pompejach statku, powolnym i prowadzonym przez nierozgarniętego kapitana, który nie potrafił albo nie chciał pojąć, dlaczego jest to takie

pilne. Znowu uganiałem się za *Izydą Afrykańską* i znowu wyglądało mi to na stratę czasu. Co wieczór wracałem do gospody wyczerpany i ponury. Petroniusz zaczął odzyskiwać przytomność pod koniec pierwszego dnia, był bardzo spokojny i zdumiony swoim stanem, ale w zasadzie pozostał sobą. Nawet jednak ten jego stopniowy powrót do zdrowia nie rozpraszał mojego posepnego nastroju. Jak się spodziewałem, nie pamiętał nic z napaści.

Trzeciego dnia napisałem do Rufusa, proponując połączenie sił. Powiedziałem mu, co się stało, dodając kolejny punkt do listy zbrodni Pertynaksa: próbę zamordowania dowódcy rzymskiej straży, Lucjusza Petroniusza Longusa. Chłopiec, którego posłałem z listem, wrócił z zaproszeniem do domu Emiliusza. Zawiózł mnie Lariusz wozem zaprzężonym w Nerona.

Rufusa nie było. To jego siostra chciała mnie zobaczyć.

Spotkałem się z Emilią Fausta w zimnym pokoju, gdzie na okno z otwartą okiennicą padał cień dużego drzewa orzechowego. Wyglądała na mniejszą i chudsza niż kiedykolwiek przedtem. Szata w mdłym, nietwarzowym odcieniu akwamaryny tylko podkreślała jej bladość. Byłem zły.

- Spodziewałem się twojego brata, pani. Czy dostał mój list? - rzuciłem. Przewidując moją reakcję, zawstydzona skinęła głową. - Rozumiem! Ale uważa, że polowanie uda mu się beze mnie, tak?

- Mój brat mówi, że detektywi nie biorą udziału w życiu obywatelskim...

- Twój brat za dużo mówi! - Dałem jej do zrozumienia, że jestem wściekły; zmarnowałem czas na jazdę tutaj i straciłem dzień, który mógłbym poświęcić na dalsze poszukiwania.

- Przykro mi - wtrąciła ostrożnie Emilia Fausta - z powodu tego, co przytrafiło się twojemu przyjacielowi. Czy jest ciężko ranny?

- Ten cios miał roztrzaskać głowę.

- Jemu?

- Mnie.

- Wyzdrowieje?

- Mamy taką nadzieję. Więcej nie potrafię powiedzieć.

Siedziała sztywno wyprostowana, na jej kolanach leżał poskręcany długi szal z frędzlami. Miała apatyczny wyraz twarzy i bezbarwny głos.

- Falkonie, czy to pewne, że napastnikiem był Pertynaks Marcel?

- Nikt poza nim nie miał motywu. Wielu mnie nie lubi, ale nie do tego stopnia, by życzyć mi śmierci!

- Mój brat - ciągnęła - uważa za korzystne to, że Kryspus i Pertynaks są teraz razem...

- Twój brat się myli - przerwałem jej. - Pertynaks utracił wszelkie poczucie moralności, te szaleńcze ataki... a były też inne... ukazują rozmiar jego upadku. Kryspusowi natomiast wystarczy troszkę ograniczyć jego wielkie zamysły.

- Tak, Falkonie - zgodziła się ze mną potulnie.

Przyglądałem jej się bacznie i zastanawiałem.

- Wespazjan - powiedziałem - nie zgadza się z jego polityką, tobie zaś nie podoba się jego życie prywatne... co jednak nie zmniejsza tkwiącego w

nim potencjału dla służby publicznej.

- To prawda - przyznała, uśmiechając się smutno.

Poczułem znajome mrowienie skóry na głowie.

- Masz dla mnie, pani, jakąś informację?

- Być może. Mój brat zaaranżował spotkanie z Kryspusem, mając na widoku aresztowanie Pertynaksa. Obawiam się o wynik tego spotkania. Sekstus potrafi być bardzo impulsywny...

- Sekstus? Aha, twój brat! Domyślam się, że Pertynaks nic nie wie o tym przyjacielskim spotkaniu? - Zastanawiałem się, czy Aufidiusz Kryspus dokonał już wyboru i zamierza zapewnić sobie przychyłność Wespazjana przez przekazanie mu zbiega. Czy też chce zwyczajnie pozbyć się kłopotu, zanim sam zgłosi swoje roszczenia do tronu. Prawdopodobnie i tak całą rzecz spartaczy, bo Emiliusz Rufus będzie próbował pochwycić Pertynaksa, żeby móc wjechać do Rzymu okryty chwałą... Zauważyłem, że w tym wymyślnym planie nikt nie przewidział dla mnie żadnej aktywnej roli.

- Emilio Fausto, gdzie jest to spotkanie?

- Na morzu. Mój brat wyruszył przed południem do Mizenum.

Zmarszczyłem brwi.

- Mądrze by postąpił, nie ufając flocie. Kryspus ma bliskich sojuszników wśród dowódców...

- Podobnie jak mój brat - oznajmiła Emilia Fausta sucho.

- No tak!

Zmieniając temat, spytała nagle:

- Czy jest coś, co mogłabym posłać, by pomóc twojemu przyjacielowi i jego rodzinie?

- Nie sądzę. Dzięki jednak za dobre chęci...

Jak zwykle, Faustynie zaskoczyło odrzucenie jej oferty.

- Uważasz, że to nie moja sprawa - zauważyła.

- Zgadza się - odparłem. Pewna myśl zaświtała mi w głowie, ale odsunąłem ją od siebie, uważając za nielojalną wobec Petroniusza.

Wiedziałem, że Emilia Fausta jest właśnie tego typu kobietą, która może łatwo przejść od namiętnego zauroczenia Kryspusem do entuzjastycznego oczarowania kimś na tyle niemądrym, by wysłuchiwać jej skarg. Nie było to nic nowego. Mój towarzysz z namiotu był człowiekiem tolerancyjnym (lubił też trzymać na kolanie coś kruchego i przytulnego), gorące, filigranowe kobietki zawsze lgnęły do Petroniusza i widziały w nim zbawcę, dla powodów, jakich z racji skrepowania nie zamierzałem dociekać. Zazwyczaj potem pozostawał z nimi w przyjaźni. Więc zapewne nie życzyłyby sobie, bym przez niego kłócił się z Fausta.

- Jest coś - zacząłem - co mogłabyś zrobić. Jeśli Petroniusz jest w stanie znieść podróż, trzeba go będzie zabrać do domu. Czy mogłabyś pożyczyć jego rodzinie ze dwie przyzwoite lektyki, w których dałoby się wygodnie podróżować? A jeszcze lepiej, przekonać brata, by wyznaczył uzbrojonego strażnika? On zrozumie dlaczego. Odesłałbym wówczas bezpiecznie Helenę Justynę z powrotem do miasta - powiedziałem.

Fausta skinęła z radością głową.

- A teraz muszę się pospieszyć. Na morzu, powiadasz. Czy możesz

określić to trochę dokładniej?

- Obiecasz mi, że Aufidiusz Kryspus będzie bezpieczny?

- Nigdy nie składam obietnic w sprawach, które znajdują się poza moją kontrolą. Moim zadaniem było zachować go dla Rzymu... Więc gdzie jest to spotkanie?

- Capri - odpowiedziała. - Dziś po południu. Poniżej cesarskiej Willi Jowisza.



LXX

Potrzebowałem statku, i to jak najszybciej.

Wybiegłem z domu. Na dworze Neron bezwstydnie zaprzyjaźniał się z parą nędznych mułów, stojących pod portykiem w obłoku much. Znałem te muły. Lariusz, oparty o ścianę w cieniu, rozmawiał z ich jeźdźcami: złowieszczym osiłkiem, który mógł siać postrach na ulicach, i wąsatym konusem o ukradkowym spojrzeniu. Obaj ubrani w białe tuniki z zielonym oblamowaniem, dobrze mi znane stroje: zarządca Gordiana i jego niewyrośnięty pomagier.

- Lariusz, nie zadawaj się z obcymi!

- To jest Milo...

- Od Milona lepiej trzymać się z daleka. Chodź, musimy się spieszyć. Pognaj Nerona na nabrzeże, żebym mógł zarekwirować jakąś łódź...

- Och, Milo ma statek przy brzegu...

- Naprawdę? - Zmusiłem się, by mój głos zabrzmiał uprzejmie.

Osiłek uśmiechnął się do mnie z wyższością. Gość mnie wkurzał; jedyną pociechą było to, że nie tak bardzo jak ja wkurzyłem jego, dając mu po łbie urną z porfiru.

- To sam się przekonaj! - rzucił groźnie z krzywym uśmieszkiem: znów ta ujmująca krotńska etykieta.

- Pozwól, że grzecznie ci powiem: pokażesz mi swój statek, a ja obiecuję nie mówić Gordianowi, że odmówiłeś współpracy! Idziemy... siostra sędziego dała nam pewne wskazówki co do miejsca pobytu Pertynaksa...

Nadmorskie mury miasta poprzerywane solidnymi sklepionymi przejściami dostarczały w południowej części punktów obserwacyjnych mieszkańcom Herkulanum. W drodze do podmiejskich łaźni mogli podziwiać z góry te wszystkie statki i łodzie, które przedarły się przez gąszcz formalności portowych, cumowały malowniczo przy nabrzeżu. Port nie tętnił specjalnie życiem, nie pracowały żurawie ani kołowroty, dostarczał jedynie miejsca dla odwiedzających go z rzadka statków. Mikrus Milona zajął się Neronem i mułami.

- Nieźle sobie radzi ze zwierzętami...

- To pewnie dlatego trzyma się ciebie!

Statek wskazany przez Milona był solidną łajbą, noszącą nazwę *Morski Skorpion*. Czujna załoga widziała, że się zbliżamy; marynarz wciągnął trap, jak tylko nasza trójka weszła na pokład. Tam zobaczyłem dobrze mi znaną, niechlujną, ociężałą postać naczelnego kapłana Gordiana. Mężczyzna opatulił się długim płaszczem, aż po same wielkie, błoniaste uszy, zupełnie

jakby od śmierci brata nie mógł się rozgrzać. Miał tę samą niezdrową, szarą cerę, choć jego łysina była zaróżowiona od słońca.

Wymieniliśmy uścisk dłoni niczym dowódcy wojskowi w trakcie działań wojennych; to samo uczucie, że tak wiele się wydarzyło od ostatniego spotkania, i to samo delikatne ukłucie zazdrości.

- Dobrze cię znowu widzieć, Falkonie! Wszystko w porządku?

- Było kilka niebezpiecznych sytuacji. Pertynaks właśnie próbował mnie zamordować, tak samo jak zaatakował ciebie... Powiedz mi, skąd wiedziałeś, że on żyje?

- Miałeś rację, brat napisał, żeby mnie ostrzec. Zostawił list u swojego bankiera. Dotarł do mnie po twoim wyjeździe z Kolonny.

- Co z twoim rannym zastępcą, panie? - Byłem prawie pewien odpowiedzi.

Gordian wznosił oczy ku niebu: kapłan nie żył. Kolejny punkt do listy oskarżeń przeciwko Pertynaksowi, choć jak zwykle bez twardych dowodów.

Wyłynęliśmy na zatokę, korzystając ze sprzyjającego wiatru. Gordian spytał, czy rozpoznaję ten statek. Powiedziałem, że raczej nie, bo rzeczywiście nigdy wcześniej go nie widziałem, ale kiedy kapłan zawołał do kapitana, by wziął kurs na Capri, uświadomiłem sobie, że już o nim słyszałem. Kapitan był moim przyjacielem: drobny, pełen życia gość, z oczyma jak paciorki, w pofalowanym kapeluszu niczym odwrócona spodem do góry pieczarka, stał opodal z zakłopotaną miną i czekał, aż go rozpoznam.

- Lezus!

Przy innej okazji byłaby to radosna chwila. Przedstawiłem siostrzeńca, który wykrecał szyję, żeby zyskać lepszą artystyczną perspektywę na dziwną, niesymetryczną twarz mojego przyjaciela z Krotonu. Lariusz garbił się trochę wstydliwie, podejrzenie wyglądający drał w brudnej tunice, wciąż z tą samą torbą na ramieniu, której używaliśmy do próbek przy sprzedaży ołowiu. Popatrzyłem nagle surowo na Gordiana i kapitana.

- Czy wy dwaj znaliście się od samego początku?

Gordian się roześmiał.

- Nie. Poznaliśmy się, kiedy musiałem wynająć statek, żeby przenieść mój dom do Pestum. Twoje imię pojawiło się później i dopiero wtedy usłyszałem o waszych wspólnych przygodach.

- Trzeba mieć sporo szczęścia, żeby spotkać kogoś, na kim można tak polegać!

- To prawda. Lezus pozostanie tutaj, dopóki ta sprawa się nie zakończy. Pomógł mi odnaleźć Aufidiusza Kryspusa. Potem, kiedy Kryspus potwierdził prawdę o „Barnabasiu”, Lezus pomagał Milonowi mieć na oku Pertynaksa - wyjaśnił.

Oparci o barierkę patrzyliśmy, jak załoga ustawia główny żagiel na dłuższy rejs wzdłuż wybrzeża Surrentum.

- Powiedz mi, co sądzisz o tym Rufusie? - spytał mnie znienacka Gordian. - Odnoszę wrażenie, że podchodzi do całej sprawy dość bez troski.

- Och, gość jest inteligentny i ciężko pracuje dla swojej społeczności. -

Nie miałem zamiaru krytykować jego kolegi senatora, tylko dlatego że lubił stare wino i młodych kelnerów. Z drugiej strony, fiasko przy próbie aresztowania Pertynaksa było niewybaczalne. - Partactwo w willi Marcela mówi samo za siebie - dodałem.

- No właśnie. Egocentryczny i niedojrzały! - podsumował krótko sędziego. Wyjaśniało to, dlaczego zdecydował się wciąż osobiście szukać Pertynaksa, mimo że już wcześniej oficjalnie podniósł w tej sprawie wrzawę.

Coś mi przyszło do głowy i odwróciłem się do Milona, który kuczał przy sztahu głównego masztu.

- Skoro śledziłeś Pertynaksa, musiałeś być na miejscu, kiedy zdzielił mojego przyjaciela w gospodzie! - oznajmiłem.

Był. Milon zawsze mnie złościł... ale jeszcze nigdy wcześniej nie rozzłościł mnie tak jak teraz.

- Na Jowisza i Marsa! Dlaczego nie narobiłeś wrzasku, kiedy Petroniusz Longus podszedł do drzwi?

- Słyszeliśmy, że Pertynaks pyta o ciebie! - odparł drwiąco. - Szkoda, że nie mogliśmy zostać i pomóc. Musieliśmy iść za nim do statku.

Odszedłem na sam koniec pokładu, bo miałem ochotę rozerwać go na strzepy i nakarmić nim morświny.

Droga na Capri zawsze wydaje się dłuższa, niż jest w istocie. Zgorzkniały postarzały cesarz Tyberiusz obrał sobie wyspę na azyl; miał mnóstwo czasu, by przygotować gościom ponure powitanie, nim statki zdążyły zakotwiczyć.

Nie cierpiałem na chorobę morską, ale nie przestawałem o niej myśleć.

- Dobrze się czujesz? - spytał z troską Lariusz. Wyjaśniłem mu, że uprzejme wypytywanie o to ludzi z delikatnym żołądkiem nigdy im nie pomaga.

Lariusz, który kochał statki i nie wiedział, co to choroba morska, oparł się na barierce obok mnie i rozkoszował rejsem. Kiedy minęliśmy wreszcie niekończące się klify, zmrużył oczy, wystawiając twarz pod wiatr, i chłonał niesioną w powietrzu rozpyloną wodę, jak i skapaną w słonecznym blasku morską scenerię.

- Wujku Marku, Helena uważa, że powinienem z tobą porozmawiać.

- Jeśli o twoim durnym malowaniu na ścianach, to nie jestem w nastroju.

- Chodzi o Ollię.

- Och, chyba żartujesz! - zawołałem. Popatrzył na mnie z dezaprobatą. - Przepraszam! Mów dalej.

Lariusz, nieznośny romantyk, przyjął pozę figury dziobowej statku, stawiającej czoło wszelkim burzom. Wiatr zwiewał mu z czoła sypkie włosy; miał wyraz twarzy człowieka niezłomnego. Podróż morska wyzwaliała w nim wszystko co najgorsze.

- Ollia nie będzie miała dziecka, Sylwia się pomyliła. Prawdę mówiąc, między nią a tym rybakiem nic nie zaszło...

- O rety! - zakpiłem. - To czemu nie zaprzeczała jego słowom?

- Oboje zaprzeczali.

Rzeczywiście.

- To w czym rzecz? - zainteresowałem się.

- On kręcił się stale koło niej, a ona nie wiedziała, jak się go pozbyć. Wszyscy inni zupełnie inaczej to widzieli.

- Oprócz ciebie? - zaryzykowałem.

Lariusz się zarumienił. Skryłem uśmiech, a mój siostrzeniec z przejęciem mówił dalej.

- Ollia zbyt się bała Sylwii, żeby jej to wyjaśnić - oznajmił. To rozumiałem. - Ten chłopak nigdy jej nie chciał...

- W takim razie o co mu chodziło?

- Chce pojechać do Rzymu. Żeby poprawić swój los - oznajmił mój siostrzeniec. Dałem wyraz swojej pogardzie. - Och, on jest w porządku - mruknął Lariusz. - Petroniusz mówi, że skoro chłopak tak bardzo się starał, to powinniśmy go z sobą zabrać. Mój ojciec zatrudniłby go jako wioślarza. Dałoby to luz mnie...

- Żeby co robić, słoneczko?

- Malować w Pompejach - obwieścił.

Powiedziałem, że jeśli ciągle takie głupstwa chodzą mu po głowie, to nie mam nastroju, żeby o nich słuchać.

Przyjrzałem mu się; podczas tych wakacji nabrał ciała i zaczął wyglądać po ludzku. Przestał wreszcie marudzić o malowaniu, ale chyba tylko dlatego, że i tak wszystko już zostało postanowione.

- No cóż, przekaż Ollii moje gratulacje z okazji udanej ucieczki przed macierzyństwem...

- Jeśli chodzi o Ollię... - zaczął znowu Lariusz.

Jęknąłem, powstrzymując śmiech.

- Mogę zgadnąć. Czy przypadkiem Ollia doszła do wniosku, że jej marzeniem jest czytający poezję dryblas z paznokciami ubabranymi ochrą?
- Chłopak schował ręce, ja jednak byłem zadowolony, że umiał stawić mi czoło.

Mieli już gotowy jeden z tych rozkosznych, porządnych planów, jakie młodzi ludzie tak pochopnie sobie narzucają. Lariusz uparł się, żeby mi go przedstawić: powrót do domu w Rzymie; wyjaśnienie wszystkiego jego matce; wyjazd do Pompejów; nauka rzemiosła; zarobienie tylu pieniędzy, by wynająć pokój z balkonem...

- Istotne wyposażenie dla samotnego kawalera!

- Wujku Marku, dlaczego jesteś zawsze taki cyniczny?

- Sam jestem kawalerem mającym w posiadaniu balkon! - oburzyłem się.

Potem tych dwoje się pobierze; poczekają dwa lata, aż Lariusz oszczędzi trochę pieniędzy; spłodzą troje dzieci w dwuletnich odstępach i spędzą statecznie resztę swoich dni, ubolewając nad nędznym żywotem innych. Były dwie możliwości: albo znudzą się sobą nawzajem i Ollia ucieknie z jakimś szewcem... albo, znając Lariusza, uda mu się zrealizować cały ten zwariowany pomysł.

- Helena Justyna wie o tym wszystkim? Co ona sądzi? - zapytałem.

- Myśli, że to dobry pomysł. Helena dała mi zresztą moje pierwsze zlecenie - pochwalił się mój siostrzeniec z przebiegłą miną. - Narysowałem jej martwą naturę: ciebie, pogrążonego w głębokim śnie, z otwartymi ustami.

- Ale nie zatrzymała tego?

- Owszem! Chciała mieć pamiątkę z wakacji.

Nie zdążyłem nic powiedzieć, ponieważ marynarz właśnie zawołał:

- Capri!

Kiedy wypływaliśmy, było pochmurno. Na wysokości Surrentum urwiste wybrzeże wyglądało jak niewyraźna gmatwanina ciemnozielonej roślinności i skał o barwie miodu na tle pasma górskiego o jeszcze bardziej rozmytych kolorach; morze falowało cynową szarością, robiąc groźne wrażenie pod posepnym niebem. Teraz, kiedy dobijaliśmy do wyspy o kształcie dwóch grzbietów pławiących się w wodzie wielorybów, niebo się przetaiło. Jedyne zwiewny biały trójkąt, który często wisi nad Capri, mógł służyć za punkt orientacyjny. Teraz już żeglowaliśmy w jaskrawym słońcu po morzu intensywnie błękitnym, jak klejnot.

Wyspa zdawała się zbliżać z coraz większą szybkością. Z głównego portu wypływała strumieniem cała flotylla służących rozrywce i przyjemności statków i łodzi, ich żagle tworzyły linię ciemnych czerwonych kropek, w rezultacie tego przypadkowego wyścigu. Gdyby *Izyda Afrykańska* znajdowała się pomiędzy nimi, nigdy byśmy nie byli w stanie jej rozpoznać, jednak Kurcjusz Gordian podał Lezusowi wskazówki, zostawiliśmy więc te wszystkie łodzie i stateczki po jednej stronie, a sami zbliżyliśmy się do wysokich, stromych nadbrzeżnych skał.

Powoli badaliśmy kolejno głęboko wrzynające się w wyspę, odosobnione zatoczki, do których można było dotrzeć wyłącznie od strony morza. Czasami w skale nad linią wody widniał ciemny otwór wejścia do jakiejś jaskini. Wokół całej wyspy panował duży ruch, roiło się od łodzi rybackich i wycieczkowych, nic jednak nie zakłócało spokoju rozświetlonej laguny o przejrzystych wodach, do której w końcu wpłynął *Skorpion*, odnajdując tam zakotwiczoną *Izydę*.

Kryspus i Pertynaks zażywali kąpieli. Był to obrazek pełen dziwnego spokoju i swobody.

Podpłynęliśmy bez zbytecznego szumu i Lezus rzucił kotwicę. Pływacy obserwowali nas. Nie odkrywając twarzy, Gordian pozdrowił wesoło Kryspusa, niczym stary przyjaciel, który zupełnie przypadkowo się akurat dzisiaj tu zjawił. Patrzyliśmy, jak Kryspus unosi się na plecach, jakby rozważał, czy ma nas przeklinać; potem popłynął w stronę swojego statku, leniwie tnąc ramionami wodę, za Pertynaksem, który ruszył w tamtą stronę natychmiast, gdy nas zobaczył. Kiedy stało się jasne, że nie podnoszą kotwicy, przewieziono łódką do nich naczelnego kapłana i mnie, w towarzystwie Milona.

Kiedy wdrapaliśmy się na pokład, Aufidiusz Kryspus, przysadzisty, muskularny, pokryty ciemnym owłosieniem, wycierał się ręcznikiem. Pertynaks zniknął w kambuzie, jakby chciał się ubrać z dala od ludzkich oczu; może miał nadzieję, że jesteśmy przypadkowymi gośćmi i długo tam nie zabawimy. Kryspus włożył luźną czerwoną tunikę, której metalowa lamówka pokryta była nalotem od częstego wystawiania na bryzę niosącą sól. Wytrząsnął sobie wodę z uszu z wigorem, którym, jak pamiętałem, wykazywał się w zupełnie odmiennych okolicznościach.

- Cóż za niespodzianka! - powitał nas, choć na jego smagłej twarzy nie było widać najmniejszego zaskoczenia. Spodziewał się sędziego, ale

założył, że przybyliśmy, by przejąć tę sprawę, zawołał bowiem gromko:

- Gnejusz! Chodźże tutaj, chcę, byś poznał moich starych przyjaciół!

Nie mając innego wyjścia, Acjusz Pertynaks wywlókł się na pokład. Ubrany był w białą tunikę, którą zdążył już przepasać, i miał jak zawsze kwaśną minę. Kiedy rozpoznał Gordiana, jego oczy o barwie rzecznej wody natychmiast stały się czujne. Uśmiechnął się niechętnie, potem leniwie podszedł bliżej z wyciągniętą do uścisku ręką.

Mając w pamięci brata, Gordian zastygł. Nie był w stanie uścisnąć tej dłoni. Zrobiłem krok do przodu.

- To ja, Falko - oświadczyłem, kiedy nasz ścigany uniósł głowę wzburzony. - Rzekomo nie żyję... ale akurat to samo dotyczy ciebie. - Po czym wyprostowałem się jak struna i obwieściłem głośno: - Gnejuszu Acjuszu Pertynaksie Kapreniuszu Marcelu, znany także jako Barnabas, w imieniu Wespazjana Augusta jesteś aresztowany! Zatrzymuję cię i przewożę do Rzymu. Masz prawo być sądzony przez równych sobie w senacie, możesz też skorzystać z prawa przysługującego każdemu obywatelowi i zwrócić się bezpośrednio do samego cesarza. Aby to uczynić - poinformowałem go z satysfakcją - musisz najpierw udowodnić swoją tożsamość!

- O co jestem oskarżony? - wybuchnął Pertynaks.

- Och, tylko o spisek przeciwko cesarstwu, morderstwo, podpalenie świątyni, napaść na dowódcę rzymskiej straży... i zamiar pozbawienia mnie życia!



LXXI

Pertynaks wyglądał, jakby dopiero teraz mnie zauważył. A przecież ani trochę nie zmniejszyło to jego arogancji. Chyba nie uświadomił sobie jeszcze, że po raz drugi od czasu, kiedy ich spisek się nie powiódł, to jemu grozi więzienie, a jego współnicy bez mrugnięcia okiem zostawiają go na pastwę losu. Prawie mi się go żal zrobiło... ale kiedy ktoś dybie na moje życie, lepsza strona mojego charakteru gdzieś przepada.

Stałem na lekko rozstawionych nogach, czując chybotanie pokładu i zdając sobie sprawę z kruchości *Izdy* w porównaniu z masywnością *Skorpiona*.

Nachmurzony Pertynaks rzucił szybkie spojrzenie Kryspusowi, najwyraźniej przekonany, że on też zostanie aresztowany. Kryspus wzruszył ramionami, ale nie zawracał sobie głowy, by go oświecić. Skinąłem głową na Milona. Ponieważ w łódce, którą przyплыliśmy, mieściły się najwyżej trzy osoby, na *Skorpiona* popłynął najpierw Milo z więźniem, a potem odesłał łódkę po mnie i Gordiana.

Czekaliśmy na nią w milczeniu.

Tymczasem Kryspus wymienił uprzejmości z Gordianem, życząc mu powodzenia na nowym stanowisku w Pestum. Obaj ignorowali mnie uprzejmie, jakby byli na jakimś ważnym przyjęciu i zauważyli wołka zbożowego szczerzącego się z chleba.

Nie rozpierała mnie duma. Widok Acjusza Pertynaksa wprowadził mnie w

kwaśny nastrój. Nie zaznam spokoju, póki nie umieszczę go w dobrze strzeżonej celi więziennej. Posłałem kapłana pierwszego do czekającej łódki.

- No cóż, dzięki za dostawę, panie! - Kołysanie delikatnego stateczku zakłóciło moją równowagę; chwyciłem się barierki. - Możesz liczyć na wdzięczność Wespazjana.

- Cieszę się. - Kryspus posłał mi uśmiech. Tutaj, na wodzie, w wakacyjnym ubraniu, wyglądał starzej i nie tak elegancko jak wówczas, kiedy był taki pewny siebie w willi Poppei... za to bardziej jak gość, z którym można by się wybrać na ryby.

- Naprawdę? - spytałem obojętnie. - A co z tymi machlojkami dotyczącymi statków z egipskim zbożem, jakie odkryłem?

- Dałem sobie spokój - przyznał, najwyraźniej całkiem szczerze.

- Bo co... żadnej pociechy z floty?

Nawet nie próbował wypierać się tego planu.

- Och, dowódca floty wojennej i trierarchowie wypiją ze wszystkimi, którzy im postawią... ale cała ta załoga okrętów uważa się za żołnierzy. Trzeba to twojemu pracodawcy oddać, Falkonie... armia jest całkowicie lojalna wobec Wespazjana.

- Wiedzą, panie, że Wespazjan to dobry dowódca.

- Cóż, miejmy nadzieję, że okaże się też dobrym cesarzem.

Przyglądałem mu się uważnie. Helena miała rację; lekko traktował przegrane, nieważne jak wysoka stawka. Jeśli to w ogóle były straty. Jedynym sposobem, by to odkryć, było dać mu swobodę działania i go obserwować.

Kiedy przeskakiwałem przez barierkę, żeby zejść do łódki, Kryspus przytrzymał mnie za ramię, bym nie stracił równowagi.

- Dzięki. Mówiłem poważnie. Możesz, panie, poprosić Wespazjana o jakie chcesz stanowisko - namawiałem go wciąż, starając się go ratować.

Aufidusz Kryspus rzucił przebiegłe spojrzenie w dół, gdzie na dziobie łódki siedział jak zwykle oklapnięty Gordian.

- Potrzebuję czegoś więcej niż jakieś nędzne stanowisko kapłańskie!

Uśmiechnąłem się.

- Nie wahaj się poprosić! Powodzenia, panie. Do zobaczenia w Rzymie.

Być może.

Schwytnięcie Pertynaksa poszło nam zbyt gładko. Powinienem był to wiedzieć. Parka, która kontroluje mój los, ma złowieszcze poczucie humoru.

Byliśmy już w połowie drogi do *Morskiego Skorpiona*, kiedy w lagunie pojawił się ktoś nowy. Gordianus rzucił mi spojrzenie. Trójrzędowiec ze stacjonującej w Mizenum floty.

- Rufus - wymamrotałem. - Można na nim polegać, że na pewno zjawi się w wieńcu z pączków róży na sam koniec uczy!

Okręt płynął w kompletnej ciszy, jednak kiedy tylko go dostrzeżliśmy, rozległo się na nim bicie w bęben. Po naszej stronie zanurzyło się w wodę osiemdziesiąt wiosł. Kiedy wiosłarze weszli w podany im rytm, słońce odbiło się pojedynczym błyskiem od tarcz i grotów włóczni oddziału żołnierzy, którzy stali rzędem na bojowym pokładzie trójrzędowca. Okręt

miął sinoszary kolor, z dumnym błyskiem szkarłatu na końcu uniesionego dziobu. Namalowane oko nadawało mu dzikość miecznika, kiedy tak sunął groźnie, napędzany trzema ogromnymi rzędami wiosł. Usłyszałem za sobą ostrzegawczy okrzyk Bassusa, baryłkowatego bosmana z *Izidy*.

Marynarz, który nas przewoził, niepewny, co robić, przestał wiosłować. Choć trójrzędowce to główna siła floty wojennej i są dość pospolite w zatoce, widok jednego z nich pędzącego z maksymalną szybkością zatyka dech w piersi. Nic, co pływa na wodzie, nie jest równie piękne ani tak groźne.

Patrzyliśmy z Gordianem, jak się do nas zbliża. Zdałem sobie sprawę, że mija nas niebezpiecznie blisko. Byliśmy przerażeni. Widzieliśmy jego paszczę - ciężkie drewno okute w brąz, tworzące taran, ten stale otwarty zębaty pysk tuż ponad linią wodną. Minął nas tak blisko, że usłyszeliśmy jękliwe skrzywienie dulek i widzieliśmy wodę spływającą z piór wznoszących się wiosł. Potem nasz wiosłarz rzucił się płasko na dno łódki i wszyscy trzej uczepiliśmy się jej z całych sił, kiedy wielkie fale z kilwateru okrętu miały tą naszą łupiną.

Czekaliśmy, wiedząc, że trójrzędowiec potrafi zawrócić po okręgu o średnicy własnej długości. Spodziewaliśmy się, że wywrze przerażające wrażenie na załodze statku Kryspusa, po czym zatrzyma się, zdominowawszy swoją obecnością lagunę. Bezradna na jego drodze, niczym jakiś ozdobny unoszący się na wodzie rupieć, *Izyda Afrykańska* też czekała. Jednak trójrzędowiec się nie zatrzymywał. Tuż przed uderzeniem Aufidusz Kryspus podjął swoją ostatnią powodowaną kaprysem decyzję. Rozpoznałem go po czerwonej tunice, kiedy wykonał skok do morza.

Ta fatalna skaza na jego charakterze spowodowała, że raz jeszcze okazała się to niewłaściwa decyzja. Dostał się bezpośrednio pod pióra wiosł prawej burty. Jedyne wiosłarze siedzący po zewnętrznej stronie najwyższego rzędu mogli go dostrzec. Ja przez moment widziałem jego straszliwie kotłujące się ciało. Wiosła zawadziły jedno o drugie. Kilka pękło z trzaskiem. Reszta cięła powierzchnię wody niczym żłobkowana płetwa jakiejś gigantycznej ryby, kiedy smukły kil wielkiego okrętu wbijał się prosto w mały stateczek. Nie było wątpliwości, że zrobiono to celowo. Trójrzędowiec uderzył w *Izydę* jednym potwornym sztychem, po czym natychmiast cofnięto wiosła; klasyczny manewr, by oderwać się od szczątków ofiary. Jednakże *Izyda* była taka mała, że okręt, zamiast się uwolnić, pociągnął za sobą wbite na swój dziób truchło stateczku.

Zapadła kompletna cisza.

Zauważyłem, że trójrzędowiec nosi nazwę *Pax*. Nie była to szczególnie trafna nazwa dla okrętu, który trafił w ręce nieudolnego prowincjonalnego sędziego.

Nasz marynarz zgubił wiosło. Popłynął po nie, zostawiając nas w kołyszącej się łódce na burzliwej powierzchni morza. Kiedy wciągnęliśmy go z powrotem, zawrócił łódkę ku trójrzędowcowi, a my przygotowaliśmy się na ratowanie czego się da.

Nim podплыliśmy całkiem blisko okrętu, powierzchnia morza zaczęła się uspokajać. Czepiającą się olinowania załogę *Izidy* przenoszono powoli na pokład *Pax*, podczas gdy żołnierze uwijali się po obitym brązem taranie,

pozbywając się szczątków swojej ofiary. Roztrzaskane resztki pięknej zabawki unosiły się na wodzie. Słyszeliśmy krzyki dochodzące z podrygującego fragmentu kadłuba, w którym uwięziony był jeden z członków załogi. Żołnierze starali się go wydostać, ale nim do niego dotarli, drewno odłamało się i zabrało go z sobą na dno. Wstrząśnięci tym wszystkim Gordian i ja zostawiliśmy ich i wspięliśmy się po sznurowej drabinie zawieszanej na smukłym kadłubie trójrzędowca, by stanąć twarzą w twarz z Rufusem. Weszliśmy na pokład od strony rufy. Sędzia nie wyszedł nam na spotkanie, wobec czego przemierzaliśmy całą ogromną długość okrętu i podeszliśmy do niego akurat w chwili, kiedy grupa żołnierzy, wspomaganych przez ponurego Bassusa, wciągnęła na pokład to, co pozostało z Aufidiusza Kryspusa. Kolejny trup.

Ten plasnął o deski pokładu, tworząc wokół siebie kałużę o charakterystycznym kolorze, jakiego nabiera świeża krew zmieszana z morską wodą. Kolejna śmierć. Znowu zupełnie niepotrzebna. Widziałem, że Gordian tak samo kipi gniewem jak ja. Zerwał z siebie płaszcz, po czym obaj owinęliśmy nim zmasakrowane ciało. Rzucił tylko jedno ostre słowo do Emiliusza Rufusa, nim się odwrócił:

- Marnotrawstwo!

Ja nie byłem taki powściągliwy.

- Czemu miał służyć ten okropny manewr? - wściekałem się, dając upust pogardzie. - Nie mów mi, że to z rozkazu cesarza... Wespazjan ma więcej rozsądku!

Emiliusz Rufus wahał się. Wciąż był zaskakująco urodziwy, ale pewność siebie, która kiedyś robiła na mnie wrażenie, wydała mi się teraz żalсна. Zobaczyłem go w akcji i przekonałem się, że to kolejny patrycjusz nie umiejący prawidłowo ocenić sytuacji ani logicznie myśleć. Napatrzyłem się na takich w Brytanii, podczas powstania, a tutaj miałem go na miejscu; kolejny podrzędny urzędnik z nieciekawym rodowodem, posyłający cennych ludzi do grobu.

Nie odezwał się. Nie liczyłem na odpowiedź.

Przyglądał się uważnie ocalałym członkom załogi, próbując ukryć wzburzenie, gdyż nie zobaczył tego jednego człowieka, którego, o czym wszyscy wiedzieliśmy, szukał. Jego subtelna twarz o jasnej cerze zdradziła moment, w którym zdecydował się nie zwracać do Gordiana... wybuchowego starego senatora, który szybko by się z nim rozprawił. Wolał odezwać się do mnie.

- To dość niefortunne! Rozwiązuje jednak problem Kryspusa... - zaczął.

- Kryspus nie stanowił problemu!

Moja zwięzła reakcja go zaniepokoiła.

- Falkonie, co się stało z Pertynaksem?

- Służyłby za karmę ostrygom, gdyby to od ciebie zależało! Och, nie martw się, jest bezpieczny na pokładzie *Morskiego Skorpiona*...

Jak mogłem tego nie przewidzieć.

Kiedy odwróciliśmy się wszyscy ku burcie i spojrzeliśmy w stronę masywnego kupieckiego statku mojego przyjaciela Lezusa, stwierdziliśmy, że podczas zamieszania *Morski Skorpion* podniósł kotwicę. Teraz już był od nas dość daleko i kierował się na południe, ku otwartemu morzu.

Zostało jeszcze kilka fragmentów wraku do odczepienia i połamane wiosła do wciągnięcia. Mimo to powinniśmy ich dogonić. Ruszając w pościg, wpadliśmy wprost na flotyllę ścigających się łodzi, którą widziałem wcześniej, kiedy podpływaliśmy do wyspy. *Morski Skorpion* już zdążył się znaleźć po drugiej stronie ich linii, więc nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko przedrzeć się na skos pomiędzy małymi łodziami, a żeglarze nie zorientowali się, że jesteśmy zajęci pościgiem. Byli to synowie senatorów i bratankowie ekwitów, a ponieważ przerwaliśmy im wyścig, ci pełni temperamentu młodzi ludzie postanowili nam za to odpłacić, kręcąc się swoimi zwrotnymi wyścigowymi łodziami wokół nas niczym rozszałe płatki skubiące nasiąknięty wodą kawał chleba.

- Och, na bogów! - grzmiał Gordian. - Pertynaksowi musiało się udać obezwładnić Lezusa i teraz nam umyka! - Nagle coś przyszło mu do głowy. - On ma w rękę Milona...

- Co tam Milo - oświadczyłem głucho. - Ma mojego siostrzeńca Lariusza!

Trójrzędowiec wyposażony był w żagiel, ale opuszczono go do przeprowadzenia akcji, straciliśmy więc kolejne cenne minuty, żeby postawić maszt i rozciągnąć płótno. Tymczasem statek handlowy pędził ku czubkowi półwyspu.

Wiatr, dzięki któremu żeglowaliśmy przedtem w stronę Capri, wciąż pozwalał mu rozwijać szybkość pięciu węzłów w drodze do przylądka. Potem skręcił za cypel w okolicach Amalfi i zniknął nam z oczu.

- Jak mu się to mogło udać? - irytował się Gordian.

- Przyjaciele we właściwych miejscach! - odpowiedziałem ponuro. - Twój i mój sojusznik, godny zaufania Lezus, od samego początku musiał być w zмовie z Pertynaksem!

- Jak to w zмовie?

- Ano tak, najzwyczajniej staliśmy się ofiarami kalabryjskiej kliki. Kiedy pierwszy raz spotkałem Lezusa w Krotonie, nie była to sprawa przypadku... on na pewno zjawił się tam na spotkanie z Pertynaksem. Pomyślałem sobie, że dziwnie zareagował, kiedy powiedziałem, że Pertynaks nie żyje! Jestem przekonany, że próbował mnie otruć, kiedy tylko odkrył, po co tam przyjechałem. Potem, kiedy Pertynaks napadł na twojego zastępcę w Kolonnie, założyłem się, że odpłynął na *Morskim Skorpionie*. Lezus uprzejmie zgodził się zabrać cię do Pestum, żeby wystawić na cel Pertynaksowi...

- Ale dlaczego?

- Obaj pochodzą z Tarentu. Musieli się znać na długo przed tym, nim Marcel usynowił Pertynaksa. Tarent to szemrane kalabryjskie miasto, w którym miejscowe powiązania są nierozzerwalne.

Ze złym przeczuciem przypomniałem sobie, jak Lezus sam przyznał, że pływał kiedyś do Aleksandrii: Pertynaks zaprosił go zapewne tutaj z powodu jego znajomości harmonogramu corocznych rejsów statków ze zbożem. Kryspus nie żył, ale Pertynaks był teraz wolny i doskonale znał plan kolegi, mający na celu szantażowanie Rzymu. Pertynaks, któremu

przybrany ojciec wmówił, jak wiele jest wart...

Biorąc wszystko pod uwagę, w porównaniu z kandydatem o tak istotnych talentach jak Kryspus, Pertynaks nie powinien być najmniejszym zagrożeniem dla cesarstwa. Ja jednak patrzyłem dość cynicznie na tę sprawę. Pomyślcie tylko o Kaliguli czy Neronie: Rzymowi na ogół przypadają do serca szaleni kandydaci na cesarzy.

Podszedł do nas Rufus: kolejne kłopoty.

- Wkrótce ich dogonimy - oświadczył chełpliwie.

Jak zwykle się mylił. Nie dogoniliśmy *Morskiego Skorpiona*. Kiedy wreszcie opłynęliśmy przylądek, kierując się w stronę Pozitanum, zobaczyliśmy na morzu pełno śmiecia z jego pokładu i ani śladu samego statku.

Nie było po co się spieszyć; zwinięto żagiel.

Potem usłyszeliśmy krzyk jednego z żołnierzy. Okręt podpłynął jeszcze kawałek na wiosłach i zatrzymał się. Zobaczyliśmy kilku marynarzy uczepionych kawałków drewna unoszących się na wodzie i wciągnęliśmy ich na pokład. Wydałem okrzyk ulgi. Zobaczyłem w wodzie pływającego na plecach siostrzeńca; miał słaby uśmiech na twarzy, ale nie dość sił, by się odezwać. Walczył o utrzymanie na powierzchni kogoś częściowo zanurzonego pod wodą, kto na dodatek rzucał się bezsensownie.

- Milo! - wykrzyknął radośnie Gordian. - Falkonie, twój dzielny siostrzeniec uratował mojego człowieka!

Mruknąłem pod nosem, że Lariusz nigdy nie wykazywał się szczególnym rozsądkiem.

Ominęło nas niezłe przedstawienie. Milo zobaczył uśmiech triumfu na twarzy Acjusza Pertynaksa, kiedy weszli na pokład, i wpadł w szal. Poskromiono go siłą, pobito i związano powrozami. Tymczasem mój siostrzeniec stał z boku z niewinnym wyrazem twarzy; kapitan zasugerował Pertynaksowi, by zrobić z niego zakładnika.

- No dobra, na Jowisza! Ale skąd się wziąłeś w wodzie, Lariuszu... i gdzie się podział statek?

Lariusz przybrał swoją typową minę swawolnej nonszalancji.

- Och, zauważyłem, że *Skorpionowi* przydałaby się świeża warstwa smoły, doszedłem więc do wniosku, że musi być niezłe obrośnięty pąklami. Udałem, że cierpię na chorobę morską, i zszedłem pod pokład. Miałem w torbie dłuto z czasów, kiedy sprzedawaliśmy tamten ołów, więc się po prostu zabrałem do dziurawienia dna. Już i tak korniki wykonały większość roboty. Drewno było tak gąbczaste, że jeden porządny sztorm zrobiłby ze statku wrak. Bardzo szybko wydłubałem w nim więcej dziur, niż jest ich w sitku do wina...

- Co się stało potem?

- A jak myślisz? Zatonął.

Syna mojej siostry fetowano jak bohatera, a ja się domyśliłem, że kiedy *Morski Skorpion* zaczął nabierać wody, wszyscy wyskoczyli za burtę. Ci, którzy umieli pływać, płynęli. Milo był wciąż związany. Dziwaczne sumienie mojego siostrzeńca kazało mu ratować zarządcę: trudne zadanie dla czternastolatka, nawet kiedy natrafił na kawałek unoszącej się na wodzie belki. Kiedy ich odnaleźliśmy, mój chłopak był ledwo żywy.

Pax podpłynął na wiosłach tak blisko skał, jak tylko się dało, i wysłał na brzeg szalupy. Zabraliśmy stamtąd jeszcze paru przemoczonych marynarzy, ale *Lezus* i *Pertynaks* umknęli. Widziano ich obu, zdążających ku górcom. *Emiliusz Rufus* zabrał trójrzędowiec do *Pozitanum*, gdzie narobił wiele zamętu, organizując pościg na ładzie.

Bez powodzenia. Niczego innego nie należało się po nim spodziewać.

Zostałem w porcie i zamówiłem posiłek, który miał postawić na nogi *Lariusza*. *Milo* przykleił się do niego, z żalonym poczuciem wdzięczności, ale jeśli liczyłem na to, że będzie skłonny sięgnąć głęboko do sakiewki i postawić nam butlę wina, to się myliłem. Kiedy wreszcie wokół zapanował spokój, *Lariusz* szepnął do mnie na boku:

- *Pertynaks* ma jakąś kryjówkę gdzieś w pobliżu *Neapolu*... mówił coś do kapitana o przeczekaniu.

- Na wsi! - usłyszeliśmy.

Te cicho wymówione słowa padły z ust *Bassusa*. Wyciągnęliśmy tego otyłego, sapiącego mężczyznę z wody po tym, jak trójrzędowiec zatopił *Izydę*, na chwilę nim pociągnął go na dno ciężar jego złotych amuletów. Pił nieopodal, dużo i w milczeniu; opłakiwał utratę pracodawcy, statku, a szczególnie środków do utrzymania. Gestem zaprosiłem go do nas. Ława ugięła się niebezpiecznie pod jego ciężarem.

- Byłeś tam?

- Nie, ale słyszałem, jak się skarżył *Kryspusowi*, że to ponure miejsce. Dlatego wołał być na pokładzie z nami...

- *Bassusie!*- zacząłem znowu. Mężczyzna już zdążył upić się na smutno, zmarszczył czoło, próbując rozszyfrować, czy ten mój apel skierowany jest do niego. - *Bassusie*, przypomnij sobie coś więcej.

- Powiedział, że to posiadłość wiejska... i że cuchnie.

- Na pewno chodzi o tę opuszczoną kupę łąjnia - przyszedł nam z pomocą *Milo*.

- Znasz to miejsce? - zwróciłem się do niego natarczywie. - Śledziłeś go tam? Możesz je odnaleźć?

- Nie ma szans, *Falko*. Tamtej nocy fruwał po całej górze, żeby tylko się nas pozbyć. Było ciemno i zgubiliśmy drogę...

- Jakiej górze? *Wezuwiuszu*? Blisko posiadłości jego ojca?

Lariusz niespodziewanie wybuchnął śmiechem... cichym, pewnym siebie, chichotem z głębi gardła.

- Och nie! Och, wujku *Marku*, nie będziesz zachwycony... bo to musi być to miejsce, z którego przepędził cię tamten człowiek. Tam, gdzie była ta ładna dziewczyna... i wielki, przyjaźnie nastawiony pies!

Ledwie to powiedział, wiedziałem, że ma rację. Bez dalszej już zwłoki osusziliśmy kubki i wyszliśmy na dwór.

- Dołączysz do nas? - spytałem *Bassusa*.

Pograżony w głębokim żalu po stracie *Izidy* odparł, że razem ze swoim winem zostanie w *Pozitanum*.

Odprowadził nas jednak do drzwi. Kiedy uderzyło w nas odbite od wód portowych ostre światło słoneczne, usłyszałem jego ironiczny chichot.

- To ci dopiero zrzęcenie losu! - Wskazał ręką ku południowi, na morze. - Właśnie nadpływają...

Do brzegu Amalfi zbliżał się najbardziej zadziwiający statek, jaki w życiu widziałem. Podobno królewska barka Ptolemeuszów jest większa, ja jednak nigdy nie miałem okazji oglądać egipskiej floty. Ten statek był ogromny. Kiedy dokował, na pewno górował nad wszystkim dookoła, jak wielopiętrowa rzymska kamienica. Jego szerokość była zdumiewająca i aż trudno było sobie wyobrazić, jak głęboko poniżej linii wody sięga kadłub.

Do napędu tej monstrualnej masy wykorzystywał nie tylko normalny prostokątny żagiel, ale także cały bajeczny zestaw czerwonych marseli. Daleko za nim z trudem dostrzegłem inne ciemne smugi, pozornie nieruchome na horyzoncie, choć zapewne tamte statki również, zanurzone głęboko pod ciężarem swoich ogromnych ładunków, niepowstrzymanym, równym tempem sunęły w naszą stronę.

- Bassusie! Cóż to, na Hades, takiego?

Zmrużył oczy i przyjrzał się bacznie statkowi, który zbliżył się tymczasem odrobinę do kamienistego wybrzeża.

- *Partenope* zapewne... ale równie dobrze może to być *Wenus z Pafos*...

Wiedziałem już, zanim zdążył mi odpowiedzieć: właśnie przybył pierwszy statek ze zbożem.



LXXIII

Staralem się myśleć szybko.

- Bassusie, doceniam twoją lojalność wobec Kryspusa. Prawdę mówiąc, sam miałem o nim jak najlepszą opinię. Ale jego już nie ma. I jeśli czegoś nie zrobimy, Acjusz Pertynaks... całkiem inna pijawka naszego cesarstwa... zacznie porywać statki ze zbożem i zagrażać Rzymowi.

Bosman słuchał obojętnie. Pełen desperacji, nie chcąc go jednak poganiać, wyznałem:

- Nie mogę dokonać tego sam. Potrzebna mi twoja po moc, bo inaczej gra jest skończona. Straciłeś człowieka, dla którego żeglowałeś, i straciłeś swój statek. Teraz ja oferuję ci szansę zyskania reputacji bohatera i zarobienia honorarium...

Z głową otumanioną winem przemyśliwał moją propozycję. Najwyraźniej alkohol robił z niego gościa łagodnego i przyjacielskiego.

- W porządku, mogę zostać bohaterem. Więc musimy obmyślić plan...

Nie miałem czasu, by udawać skromnisia. Przemyślałem ten problem, odkąd tylko przyjechałem do Kampanii. Miałem już gotowy plan. Bez żadnych wstępów na temat mojej umiejętności przewidywania i pomysłowości, wyjaśniłem Bassusowi, co powinniśmy zrobić.

Zostawiłem go w Pozitanum, by skontaktował się z kapitanami statków zbożowych, w miarę jak będą docierać na miejsce. Kiedy większość statków zbierze się już w Zatoce Pesteńskiej, gdzie będą niewidoczne dla floty wojennej w Mizenum, da mi znać.

Gdy sędzia ponownie opłynął przylądek w wypożyczonym trójrzędowcu, poprosiłem, by zabrano na pokład naszą niewielką grupkę i wysadzono w Oplontis... choć nie powiedziałem mu po co. Gordian wiedział. Postanowił eskortować ciało Aufidiusza Kryspusa do Neapolu,

więc teraz pozostaliśmy jedynie Lariusz, Milo i ja. Lariusz już się napracował dla cesarstwa tego dnia; zostawiłem go więc w gospodzie.

Do tego gospodarstwa udaliśmy się we dwóch, z Milonem.

Kiedy podchodziliśmy ostrożnie pod treliżowym łukiem, powitał nas ten sam fetor i ta sama kwaśna atmosfera zaniedbania. Z początku byłem zadowolony, że na łańcuchu nie widzę psa, po czym uświadomiłem sobie, że najpewniej biega sobie luzem. Dotarliśmy tam z zapadającym zmierzchem; po długim upalnym dniu smród zaniedbanych zwierząt i wyschniętego łajna wywracał nam żołądki. Milo szedł z ociąganiem za mną.

- Jesteś do niczego - oświadczyłem wesoło. - Przez ciebie zaczynam się wlec. Milonie, duże psy są jak atleci... tchórzliwe, dopóki nie zwietrzą strachu. - Na wątpliwej urody twarzy zarządcy pojawiły się gęste kropelki potu i ja sam byłem w stanie wyczuć nosem jego strach. - Zresztą i tak nas jeszcze nie znalazł...

Przed włamaniem się do domostwa przeczesaliśmy cuchnące zabudowania gospodarcze. W znajomej, skleconej z kawałków desek szopie, która uchodziła tutaj za stajnię, znaleźliśmy mocno zbudowanego gniado-srokatego konia, którego rozpoznałem.

- Pertynaks miał tego konia jako jucznego, kiedy jechał za mną do Krotonu! Ciekawe, czy drań wybrał się gdzieś na deresz?

Szedłem przodem, odpędzając niebieskie muchy; byliśmy już nieopodal domu, kiedy obaj stanęliśmy jak wryci na widok stróżującego psa.

- Nie przejmuj się, Milonie, lubię psy...

Lubiłem, ale nie tego. Ten warczał. Nie było w tym nic dziwnego. Doszedłem do wniosku, że nie jest to zwierzę, które umknie, jeśli spojrzy mu się prosto w oczy i zawoła „buu”.

Byłby wysoki jak człowiek, gdyby stanął na tylnych łapach, jedno z tych brązowo-czarnych stworzeń, hodowanych dlatego, że są agresywne, mają karki jak wół i małe wredne uszka. Milo był niewątpliwie cięższy od niego, ale zarówno ja, jak i pies wiedzieliśmy, że mogą być przekąską akurat w sam raz dla tego drania; z zimną krwią wpatrywał się we mnie.

- Dobry piesek, dobry Cerber! - nieprzerwanie starałem się go ułagodzić. Za sobą słyszałem mamrotanie Milona. Przydałby mi się zatruty kurczak; ponieważ jednak niedawno gość patrzył bezczynnie, jak Petroniuszowi rozbijają czaszkę, gotów byłem jego przeznaczyć na przynętę.

- Jeśli masz przy sobie kawałek powroza, wezmę go na smycz - szepnąłem do Milona.

Pies miał jednak inne plany. Grzmot rozlegający się w jego gardle przybrał bardziej złowieszczy ton. Powróciłem do uspokajania. Wciąż do niego przemawiałem, kiedy skoczył. Wcisnąłem mu łokieć w klatkę i obiema nogami mocno zaparłem się w ziemię, próbując trzymać go za łeb i odpychać od siebie. Czułem w jego oddechu trupi zapach i zaglądałem w niewiarygodne zębiska. Powinienem był krzyknąć na niego ostro i zdecydowanie; zawsze trzeba zdominować takiego bandziora. Nie dano mi tej szansy.

- Cofnij się, Milonie...

Ten sam co zawsze poczciwy Milo: wydaj mu polecenie, a postąpi

całkiem odwrotnie. Na szczęście dla nas obu, jedynym pomysłem Milona na oswojenie psa było rzucenie się na zwierzę od tyłu, uchwycenie jego pyska i skręcenie mu karku jednym gwałtownym szarpnięciem.

Staliśmy tam i wyznam to szczerze, trzęśliśmy się obaj. Przyznałem Milonowi, że według mnie teraz jesteśmy kwita.

Lezus był w domu. Ja go znalazłem, Milo natomiast rozbroił, odbierając mu marynarski nóż.

Wyciągnęliśmy go na dwór, tyłem. Tą smutną stroną twarzy wylądował w krowim placku; tą radosną oglądał sobie, co Milo zrobił z jego wielką bestią.

- Falkonie! - odezwał się, z trudem chwytając powietrze i próbując uśmiechać się w swój dawny przyjacielski sposób.

Z początku podjąłem tę grę.

- Lezusie! - powiedziałem serdecznie. - Miałem nadzieję, że cię znowu spotkam, stary druhu. Następnym razem, kiedy w swojej ulubionej knajpie będziesz jadł zupę z szafranem, uważaj na belladonę, którą do niej dodają!

Szczerząc się na myśl, że ktoś może zatruć moją zupę, Milo wepchnął twarz kapitana głębiej w łajno.

- Straciłem swój statek! - jęczał Lezus. Jako żeglarz mógł znieść odór zepsutej ryby, jednakże bliski kontakt z urokami rolnictwa powodował, że nieszczęsny człowiek tracił zimną krew.

- To tragedia. Możesz winić albo mojego siostrzeńca... albo zwalić to na fakt, że pożarłeś moją kozę ofiarną! - drwiłem.

Jęknął i próbował się znowu odezwać, ale Milo bawił się tym, co lubił najbardziej: popisywaniem się, jaki jest silny i co nieprzyjemnego może komuś zrobić.

- Gdzie jest Pertynaks? - rzuciłem ostro do Lezusa.

- Nie wiem...

Milo zademonstrował żeglarzowi, w których miejscach ciała nacisk jest nie do zniesienia. Skrzywiłem się i odwróciłem wzrok.

Powiedziałem Lezusowi, do jakich wniosków doszedłem na temat tarenckich powiązań.

- Powinienem był pamiętać, że Kalabryjczycy trzymają się razem, kleją się do siebie jak błoto na podwórzu tego gospodarstwa! Przypuszczam, że uratowałeś mnie na rynku w Krotonie, bo nawet w Bruttium martwy agent cesarski mógłby przyciągnąć uwagę. Woląłeś wykończyć mnie prywatnie, na boku... ale miałem szczęście i ci się nie udało! Zastanawiałem się, dlaczego tak nalegałeś, bym popłynął z tobą potem do Regium... bez wątplenia po drodze wypadłbym za burzę, z butami obciążonymi ciężarkami z rybackich sieci. Gordian miał szczęście, że Milo mu towarzyszył na pokładzie twojego statku. No więc, gdzie jest Pertynaks? Powiedz mi albo przydarzy ci się coś gorszego niż nażarcie się nawozu. Milo nawiezie pola resztkami, jakie z ciebie zostaną!

Zarządca podniósł kapitana, biorąc go za kark i pięty, wystarczająco wysoko, by ten wydusił z siebie:

- Znalazł tu wiadomość, że jego ojciec zachorował. Ale...

- Ale co? - warknąłem.

- Powiedział, że być może odwiedzi po drodze swoją byłą żonę!



LXXIV

Błyskawicznie przeczesaliśmy gospodarstwo, ale jego mieszkańcy najwyraźniej dali nogę. Nawąchaliśmy się jeszcze więcej paskudnego smrodu, zobaczyliśmy mrówki w prasie do sera i otoczyły nas roje natrętnych much. Potem, kiedy ruszyliśmy poznaczoną koleinami dróżką, wpadliśmy na tego złoczyńcę z zarośniętym na czarno podbródkiem, który pogonił mnie pierwszego dnia.

Milo był obarczony Lezusem, który dojrzawszy w tym spotkaniu szansę ucieczki, zaczął mu się wyrywać jak szalony. Musiałem więc sam zająć się wieśniakiem. Był wypoczęty, a ja popełniłem błąd, pozwalając sobie na pewne rozluźnienie. Krążyliśmy wokół siebie złowrogo. Tym razem nie miał z sobą pałki, jednak jego postawa wskazywała na to, że uwielbia brutalne wioskowe zapasy; zdecydowanie wołałem rozgrywki wymagające umiejętności. Ledwie się zwarliśmy, a już po chwili leżałem bez tchu na plecach. Po tych wakacjach jednak byłem w formie; zerwałem się więc i tym razem znacznie ostrożniej przygotowałem na kolejny atak.

Lecz żaden nie nastąpił. Zobaczyłem błysk bieli, usłyszałem nieoczekiwany tupot i zanim zdążyło dojść do ponownego zwarcia, wiejski osiłek poleciał głową do przodu i jak długi runął na ziemię. Rozłożyła go koza... koza, której dzikie spojrzenie i entuzjastyczny wyraz pyska wydawały mi się jakby znajome...

- Masz świetnie wyszkolony inwentarz! - rzuciłem, po czym przyłożyłem kmiotkowi w łeb, pozbawiając go przytomności. Kiedy obudzi się z potwornym bólem głowy, nas już tu dawno nie będzie.

Zwierzę, które go powaliło, wydało z siebie żarliwy bek i rzuciło się na mnie. Próbowałem utrzymać pozycję stojącą, opędzając się od czule nastawionego kolejnego starego druha z Krotonu, stworzenia, którego nie spodziewałem się już nigdy zobaczyć.

Lezus wyglądał na zażenowanego.

- Za każdym razem, jak rozpalaliśmy ogień, uciekała nam. Same z nią kłopoty, Falkonie. Możesz ją sobie zabrać...

I tak opuściliśmy tę ohydną kryjówkę: Milo ciągnął Lezusa na powrozie, a ja trzymałem w ręku sznurek, na którym prowadziłem swoją kozę ofiarną.

Kiedy dotarliśmy do Oplontis, powierzyłem Milonowi odprowadzenie kapitana na pryczę więzienia w Herkulanum. Osobista uraza kazała mi samotnie wyruszyć za Pertynaksem. Milo to rozumiał; odgrywanie się za doznane urazy było jego ulubionym zajęciem.

Helena Justyna wciąż przebywała w gospodarstwie, ale Lariusz zapewnił mnie półgłosem, że Pertynaks się nie pojawił. Domyślałem się dlaczego. Ten bufon nigdy by się nie spodziewał, że senatorska córka zatrzyma się w takich godnych ubolewania warunkach jedynie po to, by pomóc przyjacielom w nieszczęściu; na pewno założył, że mieszka w posiadłości. Jednakże nawet gdyby wiedział, że ją tu mamy, moglibyśmy go teraz odstraszyć. Emilia Fausta dotrzymała słowa. Już zdążyła przysłać transport po naszego rannego i jego rodzinę... razem z uzbrojonymi strażnikami,

którzy podekscytowani perspektywą jakiejś akcji byli gotowi najpierw dźgać, a dopiero potem zadawać pytania. Wziąłem Lariusza na stronę.

- Wybieram się do posiadłości Marcela. Nie wiem, na co się natknę. Musisz zadbać o ludzi, za których jestem odpowiedzialny. Chcę, żeby wszyscy wyjechali z Kampanii. Nie podoba mi się, że Pertynaks ma myśli zajęte Heleną, to nie jest bezpieczne. Jeśli powiem jej prawdę, będzie się spierać. Powiemy więc, że Petroniusz Longus wraca pod zbrojną eskortą do Rzymu, bo jest ważnym świadkiem, i poproszę Helenę Justynę, żeby też pojechała...

- I miała nad wszystkim pieczę? - rzucił z uśmiechem Lariusz.

- Tak, to jej się spodoba... - Zachichotałem z roztargnieniem, po czym spojrzałem na niego z powagą. - Byłeś mi na tej wyprawie dobrym pomocnikiem. Mógłbyś mi się przydać. Rysowanie trzy razy na miesiąc bitwy pod Akcjum jest śmiertelnie nudne. Powinieneś wykorzystać swoje zacięcie i inicjatywę... i móc popisywać się przed dziewczynami! Chcesz zostać moim asystentem po powrocie do Rzymu?

Mój siostrzeniec wybuchnął śmiechem. Oświadczył mi z pełną szczerością, że ma więcej rozsądku.

Wyprawilem ich jeszcze tego samego wieczoru. Odjeżdżali spowici chmurą żywicznego dymu z pochodni. W naprędcie ustawionej kolumnie były bagaże i płaczliwa dzieciarnia. Przewodził jej Lariusz i rybak Ollii; powozili ciągniętym przez Nerona wozem, na którym tkwił skórzany wór z winem. Zebraliśmy zestaw szczególnych pamiątek. Mikrus Milona zaopiekował się moją kożą, którą odsyłaliśmy do gospodarstwa Petroniuszowego kuzyna, gdzie miała mieszkać razem z Neronem.

Kiedy doszło do najważniejszego momentu, moje plany legły w gruzach; znalazłszy się oko w oko z Heleną, wyznałem jej prawdę.

- Tak, rozumiem - powiedziała. Zawsze reagowała spokojnie na krytyczną sytuację, choć nader rzadko słuchała moich poleceń. - Marku, czy wciąż zamierzasz aresztować Pertynaksa?

- Odpowiada teraz za śmierć dwóch osób i atak na Petroniusza. Niezależnie od tego, co sobie myśli jego stary ojciec, Pertynaks nie jest już teraz po prostu spiskowcem, który może liczyć na amnestię. Na pewno sam to już wie, po tym jak aresztowano go na *Izydzie*. Co tylko pogłębia jego zdesperowanie.

- Miałam nadzieję, że będziemy mogli coś dla niego zrobić...

- Nie mogę słuchać, jak go bronisz!

Helena położyła mi ręce na ramionach, z pełnym żalu wyrazem twarzy.

- Marku, odczuwałam większą lojalność wobec ciebie po czterech minutach w twoich ramionach niż wobec nie go po czterech latach małżeństwa... ale to nie znaczy, że nie obowiązuje mnie żadna.

Ująłem jej twarz w dłonie.

- Heleno! Musisz się od niego odciąć!

- Wiem, że muszę - powiedziała powoli.

- Nie wydaje mi się! Kiedy dotrzecie do Rzymu, nie wychodź z domu, a gdy Pertynaks spróbuje się z tobą skontaktować, musisz mu odmówić!

- Marku, obiecaj mi jedno: nie zabijaj go.

- Nie chcę go zabić - oświadczyłem. Milczała. - Moja najmilsza, może

ktoś będzie musiał.

- Skoro to musi się stać, niech ktoś inny weźmie na siebie odpowiedzialność. Marku, nie zapominaj, że cokolwiek zrobisz, ty i ja będziemy już zawsze musieli z tym żyć...

Temu „zawsze” trudno się było oprzeć. Nagle zacząłem postrzegać ją znacznie wyraźniej, czego nie doświadczyłem od czasu ataku na Petroniusza.

- Jeśli pozostawię go na wolności i znowu kogoś zamorduje, to właśnie z tym będę musiał żyć!

Helena Justyna wydała z siebie długie westchnienie.

- Zatem ja będę musiała go pochować - powiedziała z nutką ironii w głosie.

- Obowiązek to cudowna sprawa!

W jej oczach pojawiły się łzy.

- A co zrobię, jeśli to on zabije ciebie?

- Nie zabije - odparłem szorstko. - To ci mogę obiecać.

Przestała mówić, kiedy przytuliłem ją mocno i z czułym uśmiechem patrzyłem w pełne niepokoju oczy, odrzucając jakąkolwiek myśl o Pertynaksie. Obejmujące mnie ramiona Heleny przypomniały mi, jak bardzo jej pragnę. Wyglądała na wyczerpaną. Była ze mną tutaj w gospodzie niemal przez tydzień, nie skarżąc się i niezmiennie ofiarna, a ja pojawiałem się późną nocą, zbyt zmęczony, by zjeść posiłek, jaki dla mnie zachowała, nie mówiąc już o demonstrowaniu mojej miłości.

- Żyliśmy pod jednym dachem - przyznałem ze skrucą - a ja byłem zbyt zajęty czym innym, by to zauważyć!

- A co tam! - powiedziała rzeczowo Helena, obdarzając mnie swoim ironicznym uśmiechem. - Zawsze zakładałam, że tak właśnie będzie wyglądało życie z tobą!

- Kiedyś zrobimy to tak jak trzeba - obiecałem.

Stojąc bez ruchu, Helena Justyna przyglądała mi się bacznie.

- Wiesz, że tego chcę - powiedziała. Pocałowałem ją, starając się, by nie wyglądało to na ostatni pocałunek, ale kiedy ona całowała mnie... tak słodko i długo, prawie się przestraszyłem, że Helena może myśleć o tym pocałunku jak o ostatnim.

Wszyscy na nas czekali. Musiałem ją puścić.



LXXV

W posiadłości Marcela powitał mnie Gordian.

- Myślałem, panie, że wypełniasz obowiązki żałobne - rzekłem zdziwiony.

- Za bardzo się niepokoję, by móc się odprężyć. Gdzie jest Milo?

- W Herkulanum. Wsadza do więzienia kapitana żeglugi morskiej. Jak się przedstawia sytuacja tutaj?

- Kapreniusz Marcel doznał udaru...

- Nie wierz w to! Jako kaleka ten starzec jest równie wiarygodny jak niechętna małżonka wykręcająca się bólem głowy...

- Kiedy to prawda, Falkonie. Medyk powiada, że kolejny atak go wykończy.

- Pertynaks?

- Ani śladu. Lecz jego ojciec jest przekonany, że przyjedzie.

- No to my dwaj, panie, będziemy siedzieli w willi Marcela, wyczekując...

My czekaliśmy na niego w tej willi. A Pertynaks, nie wiadomo gdzie, czekał na statki ze zbożem z Aleksandrii.

Wiedziałem co nieco o udarach. Mój cioteczny dziadek, Skaro, ekscentryczny stary łotr - choćby ze względu na sympatię, jaką mnie darzył - miał ich kilka, ale zmarł, udławiwszy się własnej roboty sztuczną szczęką. Poszedłem więc, żeby osobiście sprawdzić stan Marcela.

Diagnoza okazała się słuszna. To ponury widok, kiedy inteligentnego człowieka powala coś tak strasznego. Najgorsze w tym wszystkim okazało się to śmiertelne przerażenie niewolników. Był więc nie tylko sparaliżowany i pozbawiony możliwości normalnego porozumiewania się; na domiar złego jego własna służba traktowała go jak idiotę i bała się go dotknąć.

Nie miałem nic do roboty, więc zabrałem się do rozszyfrowywania jego potrzeb. Przynajmniej teraz, kiedy chciał się napić czy żeby mu podniesiono poduszki, można było natychmiast reagować. Siedziałem przy nim, czytałem mu, nawet - ponieważ byłem pod ręką i oszczędzało to zamieszania - doprowadzałem starowinę do toalety. Zakres zajęć w moim fachu nigdy nie przestawał mnie zadziwiać. Bo tylko proszę: wczoraj oglądanie staranowania statku przez trójrzędowiec, dzisiaj zapasy, następnie pielęgnacja konsula.

- Nieźle sobie radzisz! - zauważył Gordian, zaglądając do pokoju chorego.

- Czuję się, jakbym był jego małżonką. Jeszcze trochę, a zacznę narzekać, że mi skąpi na stroje, i wtedy konsul nazwie moją matkę wtykającą nos w nie swoje sprawy wiedźmą.

- Co mówi teraz?

- A... chce zmienić testament.

Z kącika ust mocno wzburzonego konsula spływała ślina, kiedy próbował mówić.

- Helena... Gnejusz!

- Chcesz zostawić majątek Helenie - spytałem - żeby mogła przekazać go Gnejuszowi? - Opadł na poduszki, wyraźnie zadowolony. Skrzyżowałem ramiona na piersi, dając mu do zrozumienia, że nie zrobił na mnie wrażenia. - Co za szczęście, że ufasz młodej damie! Większość z nich porwałaby twoje pieniądze i uciekła z pierwszym lepszym osiłkiem z plebsu, w którego uśmiechu dostrzegłaby niecną obietnicę...

Znowu zaczął niecierpliwie poruszać ustami. Pozwoliłem Gordianowi, żeby go uspokoił. Ktoś, kto próbował wykorzystać Helenę, by pomóc Pertynaksowi, nie był wart mojego współczucia.

Kiedy Gordian odszedł, patrzyłem z wściekłością na Marcela, a on piorunował mnie spojrzeniem.

- Helena Justyna nigdy nie wyjdzie ponownie za twojego syna! -

oświadczyłem obojętnym tonem.

Kapreniusz Marcel nie spuszczał ze mnie ponurego i oskarżycielskiego wzroku. Widziałem, że dobrze wie, co oznaczają moje słowa.

Nareszcie do byłego konsula dotarło, któremu to członkowi rzymskich sfer udało się przekabacić jego synową.

Czekaliśmy cztery dni. Potem w dyskretnie przekazanej wiadomości z Pozitanum Bassus poinformował mnie, że zebrała się już wystarczająca liczba statków ze zbożem, by można było przejść do kolejnego etapu mojego planu.

Udałem się do Oplontis, na przyjacielską pogawędkę z ojcem młodego rybaka Ollii, starszego gościa o twarzy przypominającej kawał wyrzuconego przez morze drewna. Wieczorem obserwowałem podskakujące na wodzie latarenki łodzi wypływających na połów tuńczyka, wiedząc, że gdziekolwiek zarzucą swoje sieci, tam rozejdzie się wieść: Aulus Kurcjusz Gordian, znamienity kapłan (wszyscy znamy kapłanów!), który odziedziczył po bracie nadmorską posiadłość na skalistym wybrzeżu nieopodal Surrentum, uroczyście obchodzi przejęcie spadku, wydając ucztę dla swoich przyjaciół płci męskiej. W wielkiej tajemnicy opowiadano o jakiejś szczególnie kształtnej tancerce, sprowadzonej specjalnie z Walencji... i o ogromnych ilościach wina.

Ta wyjątkowa tancerka nigdy nie wyszła poza stadium obietnicy, ale pod każdym innym względem Gordian poświęcił się przygotowaniu tego przedsięwzięcia z fantazją świadcząca, że młodość miał na pewno pełną niezwykłych przygód. Był rozgwieżdżony wieczór, a mimo to kazał rozpaść wielkie ogniska, by nawet niezaproszeni goście mogli bez trudu odnaleźć drogę. Kiedy hałaśliwi trierarchowie wylądowali u niego razem ze swoim dowódcą, poczciwy Gordian westchnął jedynie jak człowiek, który woli unikać kłopotów, i pozwolił im samodzielnie odnaleźć drogę do jego baryłek z winem.

Obfitość jedzenia spowodowała, że ludzie wlewali w siebie jeszcze więcej trunku niż zazwyczaj. Były wina lekkie i ciężkie, młode wina oraz dojrzałe, którym - jak sądził kapłan - brat pozwalał leżakować nawet przez piętnaście lat. Wydawało się, że brakuje organizacji; każdy mógł się dorwać do trunku... Taki beztroski gospodarz, który nie odganiał rozbawionych wilków morskich od swojego wina, pozbawił ich czujności: udzielali sobie filozoficznych rad na temat najlepszego sposobu uniknięcia bólu głowy... po czym, przynajmniej ten jeden raz, upili się do nieprzytomności.

Godzinę przed świtem opuściłem to odrażające widowisko i wspinałem się powoli ścieżką za domem, dopóki za moimi plecami nie zniknęły ostatnie światła przyjęcia. Kiedy wyteżyłem wzrok ku północy i wpatrzyłem się w bezkresne morze, wydawało mi się, że dostrzegam ogromne widmowe cienie, niczym kroczące po wodzie rozkołysane wiatraki, poruszające się powoli zakosami za wyspą Capri. Wiedziałem, że tam są, i miałem nadzieję, że rzeczywiście je widzę. W każdym razie mogłem się już odprężyć: przyzwoity ładunek piętnastu miliardów buszli zboża, potrzebny w przyszłym roku na wyżywienie Rzymian, podążał bezpiecznie do portu przeznaczenia.

Natychmiast powróciłem do Oplontis.

Kiedy starzec spał, przeszukałem dom i teren. Pertynaksa nie było. Odnalazłem Bryona i powiedziałem mu, że pokrzyżowałem plany jego młodemu panu.

Przespąłem się dla zmniejszenia skutków przepicia i ponownie pokręciłem się wokół stajni; teraz wydały mi się jeszcze bardziej niż zwykle opuszczone. Nie napotkawszy Bryona, zaintrygowany stałem jakiś czas nieruchomo, po czym zaryzykowałem wydanie cichego okrzyku. Z wozowni dobiegły słabe stuknięcia. Wpadłem do środka i już wkrótce w siodlarni odnalazłem związanego trenera.

- Na bogów, co się stało? - zawołałem. Mimo że taki duży i krzepki, został dotkliwie pobity. Miał rozcięte wargi, przez co z trudem mówił, i paskudne sińce na ciele. Skądś znałem to okrucieństwo. - Nie musisz mi nic mówić. To robota Pertynaksa! Na pewno miał wielką frajdę...

Pomogłem mu wyjść na dwór, zmoczyłem w korycie jego chustkę na szyję i przyłożyłem tam, gdzie obrażenia wyglądały najgorzej.

- Spotkałem go na poddaszu... poinformowałem o tym, co powiedziałeś o jego planie...

- A on odegrał się na tobie? Bryonie, możesz uważać się za szczęściarza, że udało ci się ująć z życiem. Gdzie on jest teraz? W domu ze starcem?

- Już go tu nie ma, Falko.

Miałem co do tego wątpliwości; Pertynaks rozpaczliwie potrzebował gotówki. Zabrałem Bryona i pospieszyłem do domu. Służba zapewniła mnie, że Marcela nikt nie odwiedzał. Wszedłem do pokoju chorego; zmusiłem Bryona, by mi towarzyszył.

- Powiedz konsulowi, co ci się przydarzyło!

Przez krótką chwilę ten pełen wigoru, lubiący otwartą przestrzeń człowiek wahał się w obecności chorego; potem jednak zebrał się na odwagę.

- Natknąłem się na młodego pana i uprzedziłem go, że cesarski agent zniweczył jego plany. Powiedziałem, że powinien przestać uciekać i stawić czoło oskarżeniom...

- I wtedy on rzucił się na ciebie, pobił i uwięził? A spytał o zdrowie ojca? - odezwałem się.

- Nie. Ale ja sam powiedziałem, że konsul miał poważny atak, i dodałem - oświadczył Bryon spokojnym głosem - że chce go widzieć.

- A on mimo to odjechał?

- Tak - powiedział Bryon cicho, nie patrząc na konsula. - Odjechał. Nie miałem co do tego wątpliwości. Nieraz słyszałem ten stuk kopyt, kiedy odjeżdżał, popędzając wściekle deresza.

Odwróciłem się w stronę łóżka, gdzie z zamkniętymi oczyma w całkowitym bezruchu leżał konsul.

- Lepiej spójrz prawdzie w oczy, panie! Acjusz Pertynaks machnął na ciebie ręką. Potraktuj go wreszcie tak samo!

Wielki starzec na naszych oczach zdawał się powoli zniknąć. Nawet ogromny nos skurczył się i przestał nedorzecznie dominować nad pomarszczoną, cierpiącą twarzą. Był jednym z najzamożniejszych ludzi w Kampanii, tymczasem wszystko, co cenił, zniknęło. Dałem znak Bryonowi

i opuściliśmy pokój.

Były konsul nie podejmie już więcej prób ratowania Pertynaksa. Choroba i zdrada dokonały tego, czego mnie się nie udało sprawić.

Pertynaks był świetnym jeźdźcem i znał okolicę. Sam dosiadłem konia i pojechałem polecić ludziom sędziego, by mieli baczenie na deresza, ale on już pewnie zdążył się prześlizgnąć. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd może zmierzać... możliwe, że do Tarentu. Zgubiliśmy go. Wróciłem do willi.

Kiedy najbliższa rodzina tak bezdusznie cię rani, ostatnią rzeczą, jakiej pragniesz, a pierwszą, jaka się zdarza, jest towarzyska wizyta ciekawskich sąsiadów. U Marcela był właśnie Emiliusz Rufus. Jego siostra, która przy- była razem z nim, przechadzała się tymczasem po tarasie.

Ubrana na czarno, z gęstą woalką odrzuconą do tyłu, samotnie patrolowała kolumnadę i spoglądała smętnie ku morzu.

- Emilio Fausto! Tak mi przykro w powodu Kryspusa. Powiedziałbym ci, że to nie miało prawa się zdarzyć, ale nie byłoby w tym żadnego pocieszenia. Nic nie mogłem zrobić.

Czułem, że zużyła już cały swój żal na opornego ukochanego, kiedy ten jeszcze znajdował się wśród żywych; teraz, kiedy był martwy, przyjęła moje wyrazy współczucia ze stanowczym wyrazem twarzy.

- W przyszłości - dodałem cicho - kiedy będziesz czytała idylliczne relacje jakiegoś dworskiego poety, jak to co roku w Mizenum i Puteoli zjawiają się tłumy, by witać wpływające statki ze zbożem, uśmiechniesz się i przypomnisz sobie to, czego nikt nie będzie mówił: za konsulatu tych dwóch jakichś tam szlachetnych panów, którzy tego właśnie roku dzierżą swój urząd, doroczne przybycie statków przeszło niezauważone...

- Czy już po wszystkim?

- Statki pośród nocy! Może będą jeszcze jacyś spóźnialscy, ale Wespazjan się nimi zajmie, kiedy już złożę mu swój raport.

Odwróciła się ku mnie, szczerzej osłaniając woalką delikatną skórę twarzy.

- Kryspus był człowiekiem o szczególnych talentach, Falkonie. Będziesz jeszcze dumny z tego, że go poznałeś.

Przemilczałem te słowa.

- Do twarzy ci w zdecydowanych kolorach - powiedziałem po chwili z uśmiechem.

- Tak! - przyznała i roześmiała się tym swoim nowym, świadczącym o większej pewności siebie śmiechem. - Miałeś rację, Dydiuszu Falkonie. Mój brat mnie obraża i nie będę już z nim mieszkać. Może rzeczywiście poślubię jakiegoś bogatego starca, a kiedy on odejdzie, będę się cieszyć wdowieństwem, nosząc zdecydowane, ciemne kolory, mając przesadne wymagania i krzycząc na ludzi... albo grając samotnie, bardzo kiepsko, na kitarze.

Zduśłem myśl, że ta szacowna dama przechadza się tutaj, w majestatycznym portyku konsula, by ocenić wartość jego bajecznego majątku.

- Emilio Fausto - oświadczyłem z galanterią - słowo nauczyciela muzyki, grasz bardzo dobrze!

- Zawsze byłeś łgarzem, Falkonie - odparła.

Poślubiła byłego konsula; zorganizowaliśmy to następnego dnia.

Kurcjusz Gordian wezwał augurów i sprokurował zwyczajowe już kłamstwa o „dobrych znakach, zapowiadających długotrwały i dający zadowolenie związek”. Żałość i choroba powodowały, że Kapreniusz Marcel bełkotał bez ładu i składu, zatem mnie przypadło powtarzanie w jego imieniu słów przysięgi małżeńskiej. Nikt nie był tak nieuprzejmy, by spytać, co wydarzyło się w noc poślubną; nic, jak należało przypuszczać. Naturalnie pan młody zmienił testament, pozostawiając wszystko świeżo poślubionej młodej małżonce i ewentualnemu potomstwu. Przy napisaniu tego testamentu też mu pomagałem.

Nigdy już więcej nie spotkałem Emilii Fausty, choć od czasu do czasu dochodziły mnie wieści o niej. Prowadziła nienaganny, niezwykle szczęśliwy wdowi żywot i zginęła podczas wybuchu Wezuwiusza. Przedtem z oddaniem opiekowała się Marcelem. Jemu udało się przeżyć na tyle długo, by wiedzieć, że jego majątek pozostanie w rękach rodu, a honor sławnych przodków nie doznał uszczerbku, dziewięć miesięcy po ślubie bowiem Emilia Fausta powiła syna.

Widziałem jej syna raz, wiele lat później. Przeżył wybuch wulkanu i wyrósł na kawał chłopca. Ktoś mi go pokazał. Stał w rydwaniu, wsparty o poręcz, czekając cierpliwie, aż rozładuje się uliczny korek. Jak na kogoś z większą ilością pieniędzy, niż nakazywała przyzwoitość, wyglądał na porządnego młodzieńca. Miał brązowe włosy, szerokie spokojne czoło i beztroski wyraz twarzy, który wydawał mi się nieco znajomy.

Matka dała mu na imię Lucjusz; po Kryspusie, jak sądzę.

Było jeszcze jedno zdarzenie, którego nie mogę pominąć. Dzień po ślubie, gdy właśnie gotowałem się do odjazdu, Bryon przyszedł ze swoim wyznaniem.

- Falko, domyślam się, gdzie może być Pertynaks.

- Gdzie? Wyduś to wreszcie!

- W Rzymie. Zgłosiliśmy Śmiałka i Czarusia do pierwszego biegu, w Circus Maximus...

- Rzym! - zawołałem.

Tam właśnie dla bezpieczeństwa wysłałem Helenę Justynę.

- Rozmawiałem z nową panią - ciągnął Bryon. - Ona przynajmniej wie, czego chce! Śmiałek ma zostać wysłany na ten wyścig. Powiedziała mi też, że konsul zrobił specjalny zapis dla ciebie. Najwyraźniej cię lubi...

- Zdziwiasz mnie. Co to takiego?

- Czarus - rzucił. Nigdy w życiu nie miałem szczególnego fartu, ale to było już kompletnie niedorzeczne. - Pani prosi, żebyś zabrał go z sobą, kiedy będziesz odjeżdżał.

Każdy obywatel ma prawo odmówić niewygodnego spadku. Niewiele brakowało, bym ja ten odrzucił.

Szczerze mówiąc, zawsze mogłem sprzedać szkapę na mięso. Koń miał wiele wrednych cech charakteru, ale był dobrze odżywiony i wyglądał na zdrowego; wielu sprzedawców placków z mięsem wzdłuż drogi Triumfalnej i przed bazyliką handlowało znacznie gorszym towarem.

Zatrzymałem go więc i oszczędziłem w ten sposób na opłacie przejazdu do domu, pokonując drogę Appijską aż do Rzymu na grzbiecie tego

zezowatego, pokracznego, upartego, wybrednego stwora, który
niespodziewanie stał się moją własnością.





CZEŚĆ 6

DOM NA KWIRYNALE

RZYM sierpień

*Jest rzeczą naturalną, że ludzie pewnego pokroju zachowują się tak, a nie inaczej.
Chcieć to zmienić to jak wymagać, by figowiec nie wytwarzał soku.
Zresztą pamiętaj, że zarówno ty, jak i on niebawem pomrzecie i nie pozostaną po was
nawet imiona...*

Marek Aureliusz, Rozmyślenia



LXXVI

Rzym: sam zgiełk tego miasta mówił mi, że Pertynaks tu jest.

Nawet w sierpniu, kiedy połowa mieszkańców stąd wyjechała, a powietrze było tak nagrzane, że głęboki oddech, ranił wątrobę i płuca, powrót do Rzymu wlał nowe życie w moje żyły po wycieńczającym działaniu oślepiającego słońca Kampanii. Pławiłem się w ożywionej atmosferze miasta: świątynie i fontanny, zaskakująca wysokość tandetnych kamienic, arogancja wytwornych niewolników, którzy torują sobie drogę pośród ludzi idących główną ulicą, woda kapiąca mi na głowę w ponurym cieniu akweduktu - zatechłe odzienie i porywcze charaktery, słodka woń mirry pośród kwaśnego smrodu burdeli, zapach świeżego oregano przebijający przez nieznośny fetor targu rybnego. Rozpierała mnie dziecięca radość wywołana powrotem na te ulice, które znałem przez całe życie; potem trochę przygasłem, kiedy dotknęła mnie drwina miasta, które zdążyło mnie zapomnieć. Przez Rzym przetoczyło się tysiąc pogłosek podczas mojej nieobecności, a żadna z nich nie była na mój temat. Powitano mój powrót z obojętnością urażonego psa.

Pierwszym stojącym przede mną problemem było pozbycie się konia.

Mój szwagier, Famia, był weterynarzem w stajniach faksji zielonych. Nie nazwę tego szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ nic z tego, co robił ten pulpet, nie przynosiło faktu. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, to prosić o przysługę któregoś z członków mojej rodziny, jednak nawet ja nie mogłem trzymać wyścigowego konia w mieszkaniu na szóstym piętrze bez wywoływania nieprzychylnych komentarzy mieszkańców mojej kamienicy i okolicznych domów. Famia, ten najmniej kropny spośród mężów, jakimi obdarzyło naszą rodzinę moje pięć sióstr,

był ożeniony z Mają, którą nazwałbym moją ulubioną siostrą, gdyby powstrzymała się od tego ślubu. Maja, posiadająca w innych sprawach umysł tak ostry jak te miedziane gwoździe, które na Nowy Rok kapłani wbijają w drzwi świątyni, zdawała się nie dostrzegać wad własnego małżonka. Może było ich tyle, że straciła rachubę.

Znalazłem szwagra w stajniach jego stronnictwa, które, jak wszystkie inne stajnie, mieściły się w dziewiątej dzielnicy, przy Circus Flaminius. Miał wystające kości policzkowe, szparki w miejscu oczu i był szerszy niż wyższy, zupełnie jakby zgniótł go jakiś spory ciężar. Domyślił się, że mam do niego interes, po tym, że przez kwadrans zgoła pozwoliłem mu nawijać o kiepskim występie niebieskich, którym, o czym wiedział, kibicowałem.

Kiedy Famia nacieszył się już skalowaniem moich ulubieńców, przedstawiłem mu swój mały problem, a on obejrzał mojego konia.

- To hiszpan?

Roześmiałem się.

- Famia, nawet ja wiem, że hiszpany są najlepsze! On jest taki hiszpański jak mój lewy but.

Mój szwagier wyciągnął jabłko, które Czarus pożarł łakomie.

- Jak się na nim jeździ?

- Okropnie. Przez całą drogę z Kampanii droczył się i ostentacyjnie głośno żuł, choć wcale go nie forsowałem. Nienawidzę tego konia, a im bardziej go nienawidzę, tym sympatyczniejszego udaje ten ciołek z kopytami...

Kiedy mój koń chrupał jabłko, a potem głośno bekał, dobrze mu się przyjrzałem. Miał ciemnobrązową maść, grzywę, uszy i ogon czarne. Przez nos, który zawsze wtykał tam, gdzie nie powinien, przebiegał wyraźny musztardowy pasek. Niektóre konie mają uszy sterczące i proste; mój nieustannie poruszał swoimi w przód i w tył. Ktoś uprzejmy mógłby powiedzieć, że wygląda inteligentnie; ja miałem dość rozsądku, żeby tak nie uważać.

- Przyjechałeś na nim z Kampanii? - spytał Famia. - To powinno wzmocnić mu pęciny.

- Na co?

- Biegi, na przykład. Bo niby co... co zamierzasz z nim zrobić?

- Sprzedać, kiedy tylko będę mógł. Ale nie przed czwartkiem. Biegnie taki piękniś, niejaki Śmiałek... wart jest, by na niego postawić, gdyby ktoś mnie pytał... mój głupty jest z tej samej stajni. Obiecałem ich trenerowi, że pozwolę zabrać swojego na tor. Uważają, że on uspokaja Śmiałka.

- Och! Zawsze to samo! - zareagował ponuro Famia. - Więc twojego też wystawiono?

- Też mi dowcip! Pewnie będzie uspokajał Śmiałka aż do bramek startowych, a potem go zabiorą.

- Daj mu się przewietrzyć - zachęcał mnie Famia. - Co masz do stracenia?

Postanowiłem tak zrobić. Całkiem możliwe, że Acjusz Pertynaks się zjawi, żeby zobaczyć występ Śmiałka.

Przyjście do cyrku w roli właściciela to sposób, bym w razie potrzeby miał dostęp na zaplecze.

Zarzuciłem bagaż na ramię i ruszyłem do domu. Zatoczyłem półkole na tyłach Kapitolu, oddając w myślach cześć świątyni Junony Monety, patronki tak bardzo potrzebnej mi gotówki. W ten sposób znalazłem się na Awentynie, od strony bramy startowej Circus Maximus; zatrzymałem się, myśląc przez chwilę o mojej żalostnej szkapie, a bardziej już serio o Pertynaksie. W tym czasie torby zaczęły poważnie obciążać mi kark, wobec czego wpadłem do domu siostry, Galii, żeby odpocząć i zamienić parę słów z Lariuszem.

Zdażyłem zapomnieć, że Galla będzie wściekła w związku z przysłzonymi planami mojego siostrzeńca.

- Obiecałeś się nim opiekować - przywitała mnie rozsierdzona. Opędzając się od młodszych dzieci, czwórki zagorzałych padlinożerców, umiejących natychmiast dostrzec wujka, który może mieć jakieś prezenty w plecaku, pocałowałem Gallę. - A to z jakiej okazji? - burknęła. - Jeśli szukasz czegoś do jedzenia, to są tylko flaczki.

- Och, dzięki! Uwielbiam flaczki! - zawołałem. Cała moja rodzina wiedziała, że ich nie cierpię, ale byłem głodny jak wilk. Zawsze można było je dostać w domu Galli, gdyż przy jej ulicy znajdował się sklepik z flakami i nóżkami, a ona była leniwą kucharką. - Jakiś problem z Lariuszem? - zdziwiłem się. - Odesłałem go do domu zdrowego na ciele i umyśle, szczęśliwego, z pulchniutką przyjaciółką, która wie, czego od niego chce... na dodatek z reputacją człowieka, który ratuje tonących.

- Malarz fresków! - prychnęła Galla z wyraźnym wstrętem.

- Czemu nie? Jest w tym dobry, można na tym zarobić, a na dodatek ciągle będzie w pracy.

- Mogłam się domyślić, że jeśli będzie okazja, żeby pchnąć go w coś głupiego, to mogę na tobie polegać! Jego ojciec - oświadczyła znacząco moja siostra - jest nadzwyczaj poirytowany!

Wyraziłem swoją opinię o ojcu jej dzieci, na co ona zauważyła, że skoro tak, to nie mam obowiązku przesiadywać na jej tarasie ani jadać u niej. Znowu w domu! Nie da się tego z niczym porównać. Zawijając łychę śliskie podroby, uśmiechałem się spokojnie do siebie.

We właściwym czasie zjawił się mój siostrzeniec i pomógł mi nieść bagaż przez resztę drogi; była więc szansa pogadać.

- Jak przebiegła podróż, Lariuszu?

- Nieźle.

- Petroniusz jakoś ją zniósł? Jak się miewa?

- Znasz go, nigdy się nie skarży.

Mój siostrzeniec był bardzo małomówny.

- A co u ciebie? - nie dawałem za wygraną.

- U mnie wszystko w porządku. Zamierzasz mnie wreszcie zapytać o swoją ukochaną panią?

- Jak tylko odpocznę i wyprawię się do łaźni, zamierzam zobaczyć się osobiście z moją ukochaną panią. Czemu pytasz? Jeśli jest coś, co powinienem wiedzieć, gadaj natychmiast!

Lariusz wzruszył ramionami.

Dotarliśmy do drogi Ostyjskiej. Byłem już prawie na swoich śmieciach. Zatrzymałem się przed sklepem mięsnym; był zamknięty, jednak w

powietrzu unosiła się prowokująca woń wędzonych szynek i ziół do przyprawiania. Chwyciłem gniewnie za tunikę pod szyją siostrzeńca.

- Mówi się, że Pertynaks zjawi się w Rzymie. Może to właśnie o nim nie chcesz mi powiedzieć?

- Wujku Marku, nic się nie stało. - Strząsnął moją rękę. - Helena Justyna przez jakiś czas była niezdrowa, ale Sylwia się nią opiekowała. Każdy może być kiepskim podróżnikiem...

Kiedyś przebyłem tysiąc czterysta mil w towarzystwie spokojnej, nie narzekającej na nic Heleny; akurat ja doskonale wiedziałem, jaką dobrą jest podróżniczką. Czułem, jak grymas wykrzywia mi usta. Zastanawiałem się, co też mnie tu czeka. Po czym, zanim pozwoliłem sobie zacząć to odgadywać, zarzuciłem bagaż na ramię i ruszyłem w dół wąską uliczką prowadzącą do starych, dobrze znanych smrodów Dziedzińca Fontanny.

Kiedy Lariusz sobie poszedł, wyszedłem na balkon. Nasza kamienica stała w połowie stoku Wzgórza Awentyńskiego i jedyną jej zaletą był bajeczny widok. Nawet kiedy zamknąłem suche, zmęczone oczy, było jeszcze tyle innych rzeczy, które do mnie docierały: skrzypienie wozów i szczekanie psów; sprośne, chóralne śpiewy z winiarni i falujący dźwięk świątynnych fletów; wrzaski małych dziewczynek, albo przestraszonych, albo niezwykle rozbawionych.

Tam, w dole, Rzym na pewno ukrywa mnóstwo zbiegów. Mężczyzn uciekających przed matkami, współnikami od interesów, długami, przed własną niedoskonałością. Albo jak Gnejusz Acjusz Pertynaks Kapreniusz Marcel - przed Przeznaczeniem.



LXXVII

Chciałem zobaczyć Helene, tymczasem zaczęło mnie delikatnie ścisnąć w żołądku; poczułem wątpliwości. Ciągłe było jeszcze wieczór, kiedy zabrałem do łaźni swoje brudne po podróży cielsko. Gimnazjon, który odwiedzałem, znajdował się obok świątyni Kastora i Polluksa; o tej porze jego klienci jedli obiad... porządni ludzie, tacy, którzy nie mieli szczególnych obiekcji, by jeść razem z rodziną, albo cieszył ich prosty, trzydaniowy posiłek w towarzystwie przyjaciół, przy lekkiej muzyce i miłej rozmowie. Glaukos, właściciel, o tej porze też był już pewnie w domu. Cieszyło mnie to, bo na pewno nie powstrzymałby się od drwin na temat spustoszenia, jakiego dokonały w mojej kondycji fizycznej dwa miesiące spędzone w Kampanii. Jak tylko by mnie zobaczył, natychmiast chciałby doprowadzić mnie do odpowiedniej formy. Byłem zbyt zmęczony, by pozwolić mu zacząć już tego wieczoru.

Łaźnia zazwyczaj była otwarta jeszcze jakiś czas. Mimo że doskonale oświetlona, z dwoma rzędami ceramicznych glinianych lamp umieszczonych wzdłuż korytarzy, wieczorem nabierała jakiejś niesamowitej atmosfery. Gdzieś, poza zasięgiem wzroku, kręcili się łaźnie, którzy mogą oczyścić ci plecy skrobaczką, jeśli tylko ich zawołasz, jednak większość ludzi przychodzących po zmierzchu radzi sobie sama. Wielu klientów to pracusie z warstwy średniej, mający stałe

posady. Byli wśród nich projektanci akweduktów i systemów wodociągowych oraz inżynierowie portowi, którzy czasami pracowali do późna w miejscach awarii. Pojawiał się jakiś uczonec, który zupełnie stracił poczucie czasu w bibliotece w Portyku Oktawii i przychodził tu zeszywniały, z zaczerwienionymi i zapuchniętymi oczyma. Byli też kupcy, przyjeżdżający tu z Ostii po popołudniowym przypływie, i paru nietypowych, pracujących na własny rachunek dziwolągów, takich jak ja, których ćwiczenia z bronią Glaukos osobiście nadzorował, a którzy wykonywali swój zawód o przedziwnych porach, z powodów, o które jego inni klienci uprzejmie nigdy nie pytali. Zostawiłem ubranie w szatni, nawet nie rzuciwszy okiem na odzienie wiszące na innych kołkach. Wyszorowałem się w sali z gorącą wodą, opłukałem, po czym przeszedłem przez ciężkie, szczelne drzwi, żeby odprężyć się w parze. Ktoś już tam był. Skinąłem mu głową. O tej porze już tradycyjnie mijało się innych w milczeniu, jednak kiedy moje oczy przywykły do pary, rozpoznałem tego drugiego. Miał około pięćdziesiątki i miły wyraz twarzy. Też był pogrążony w myślach, ale rozpoznał mnie w tym samym momencie, w którym ja dostrzegłem jego ruchliwe brwi i sterczące chłopyce włosy. Tatusz Heleny.

- Dydiusz Falko!

- Kamil Werus!

Nie było to w żadnym razie jakieś wymuszone powitanie. On podchodził z sympatią do mojego niewyszukanego sposobu bycia, a mnie podobało się jego inteligentne poczucie humoru. Usadawiłem się obok niego.

- Słyszałem, że byłeś w Kampanii - zaczął.

- Właśnie wróciłem. Coś późno pan tu dzisiaj przyszedł, senatorze!

- Szukam schronienia - przyznał ze szczerym uśmiechem. - Cieszę się, że cię tu dzisiaj spotkałem.

Uniosłem brew, z dziwnym uczuciem, że czekają mnie złe wieści.

- Coś szczególnego, panie?

- Dydiuszu Falkonie, mam nadzieję - oświadczył senator znacząco oficjalnym tonem - że potrafisz mi powiedzieć, kto uczynił mi ten honor i zrobił mnie dziadkiem.

Z moich wilgotnych kędziorów zaczęła spływać strużka potu; przemierzyła lewą skroń, po czym przyspieszyła gwałtownie, pędząc koło ucha, po szyi i klatce piersiowej. Wreszcie wsiąkła w leżący na moich kolanach ręcznik.

- Czy mam rozumieć, że jest to dla ciebie nowina? - zapytał senator spokojnie.

- Zgadza się.

Moja niechęć, by uwierzyć, że ukrywała przede mną coś tak bardzo istotnego, zderzyła się z żywym wspomnieniem chwili, kiedy Helena zasłabła, kiedy nie czuła się dobrze, nie chciała się wspinać na szczyt Wezuwiusza, martwiła się o pieniądze... Helena szlochająca w moich ramionach z powodów, których nigdy nie udało mi się odkryć. A potem inne wspomnienia, bardziej intymne i bardziej emocjonalne.

- Najwyraźniej nie moją sprawą było o tym wiedzieć! - rzuciłem.

- Aha - rzekł jej ojciec, z posepną miną przyjmując moje słowa. - Nie

będę owijał w bawełnę, moja małżonka i ja założyliśmy, że było. - Milczałem. Jego mina świadczyła o tym, że zaczyna mieć wątpliwości. - Czy zaprzeczasz, że istnieje taka możliwość?

- Nie - rzuciłem.

Nigdy nie miałem wątpliwości, że Kamil Werus dość wcześnie odgadł, jakie uczucia żywią do jego córki. Dla tymczasowej obrony użyłem profesjonalnej gadki.

- Proszę posłuchać, detektyw, który prowadzi urozmaicone życie towarzyskie, musi się natknąć na kobiety, które żądają od niego więcej, niż się spodziewał. Jak dotąd nigdy nie miałem najmniejszych trudności, by przekonać sędziego, że ma do czynienia z nękaniami!

- Bądź poważny, Falconie.

Wziąłem głęboki oddech.

- Nie przypuszczam, panie, byś oczekiwał ode mnie gratulacji. I nie wyobrażam sobie, że ty gratulujesz mnie... - Jeśli w moich słowach dawało się wyczuć irytację, to było tak dlatego, że całym sobą zacząłem odczuwać palącą niesprawiedliwość.

- To takie okropne?

- Po prostu przerażające! - odparłem i była to prawda. Senator obdarzył mnie zmęczonym uśmiechem. Byłem świadomy, że wie o mnie wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli to właśnie mnie chce jego córka, to nas dwoje sobie poradzi nawet bez takich codziennych drobiazgów jak pieniądze na zapłacenie piekarzowi czy wsparcie ze strony rodziców... Położył mi rękę na ramieniu.

- Wyprowadziłem cię z równowagi?

- Mówiąc szczerze, nie jestem pewien.

- Posłuchaj, nie zamierzam w stylu jakiegoś staromodnego cenzora demonstrować swoich senatorskich praw. To nie jest nielegalne... - Kamil próbował zrobić ze mnie sojusznika.

- I nie jest pomocne! - wykrzyknąłem.

- Nie mów tak! Dość zła się stało, kiedy Helena poślubiła Acjusza Pertynaksa. To był błąd, którego przyrzekłem sobie nigdy nie powtórzyć. Chcę widzieć ją szczęśliwą. - W jego głosie pobrzmiwała desperacja. To oczywiste, że kochał córkę ponad miarę... ale z drugiej strony, ja też.

- Nie potrafię bronić jej przed nią samą! - rzuciłem z goryczą. - Nie, to niesprawiedliwe. Ona ciągle nie przestaje mnie zdumiewać swoim niezmaconym rozsądkiem... - mówiłem. Jej ojciec zaczął protestować. - Nie, panie, ona ma rację! - przerwałem mu. - Zasluguje na lepsze życie niż to, które czekałoby ją ze mną. Jej dzieci zasługują na lepsze życie. Szczerze mówiąc, moje też! Panie, nie potrafię o tym rozmawiać. - Wiedziałem, że ona nie zniosłaby tego, że właśnie to robimy. - Czy możemy zmienić temat? Jest coś, co powinniśmy pilnie rozważyć. Wspomniałeś Acjusza Pertynaksa, a to on jest tu sednem sprawy. Słyszałeś, jak wygląda sytuacja?

Kamil Werus wydał gniewny okrzyk. Nie zamierzał marnować czasu na zięcia. Większość ojców ma podobne odczucia, jednakże w tym wypadku senator miał rację: jego córka była za dobra dla tego godnego pogardy człowieka.

Wiedział, że Pertynaks żyje; ostrzegłem go, że zbieg mógł się przenieść

do Rzymu.

- Z perspektywy czasu okazało się, że wysłanie tutaj Heleny nie było mądrym posunięciem. Znam jednak twoje zdanie, panie. Czy dopilnujesz jej bezpieczeństwa w domu, dopóki go nie zatrzymam?

- Oczywiście. Cóż... jeśli potrafię. Jednakże jej stan powinien powstrzymać ją od biegania po mieście - pozwolił sobie mi przypomnieć.

- Dobrze się czuje? - spytałem po chwili milczenia.

- Nikt mi nic nie mówi - poskarżył się jej ojciec. Kiedy mówił o kobietach w swoim domu, zawsze przyjmował pozę człowieka zgnębionego, jakby one pojmowały jego rolę w sposób tradycyjny: *pater familias* to według nich ktoś, kto płaci rachunki, robi dużo uwag, których i tak nikt nie słucha... i kogo wodzi się za nos. - Wygląda mizernie - dodał.

- Owszem, zauważyłem to.

Wymieniliśmy pełne napięcia spojrzenia.

Skończyliśmy kąpiel, przeszliśmy do szatni i ubraliśmy się. Na szczycie schodów prowadzących do gimnazjonu uścisnęliśmy sobie ręce. Jeśli ojciec Heleny był tak bystry, jak podejrzewałem, na pewno potrafił wyczytać gorycz w mojej twarzy.

- Przyjdiesz ją odwiedzić? - spytał po chwili niezręcznego wahania.

- Nie - oznajmiłem. Tak czy inaczej, robiło to ze mnie szczura wędrownego. Ścieki to odludne miejsca. - Ale powiedz jej...

- Tak?

- Nieważne. Lepiej nic nie mów.

Ojciec jego przyszłego wnuczęcia powinien być najszcześniejszym człowiekiem w Rzymie. Cóż wart był ten żalony kandydat, który jasno dał mu do zrozumienia, że nie należy się po nim spodziewać radości z zaistniałej sytuacji.

Cóż, bądźmy rozsądni. Nie można oczekiwać, by wysoko urodzona Rzymianka - ojciec w senacie, dwaj bracia w czynnej służbie, stosownie wykształcona, twarz znośna, własny majątek wart ćwierć miliona - przyznała, że pozwoliła sobie na flirt z takim prymitywnym ordynusem z Awentynu jak ja.



LXXVIII

Było późno. Wkrótce miał zapaść zmrok. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca, w typowy sposób dla mężczyzny, który bardzo pragnie odwiedzić panią swojego serca, lecz nie jest w stanie tego zrobić. Oczywiście wyjściem było zamelinować się w winiarni i upić tak, by jedynym zmartwieniem pozostało, czy ktoś życzliwy ustawi mnie potem w stronę domu, a jeśli tak, to czy zataczając się, dotrę do swojego mieszkania, czy też padnę pijany do nieprzytomności pośrodku ulicy. Zamiast tego udałem się do pałacu.

Kazali mi długo czekać. Byłem tak wściekły z powodu skrytości Heleny, że akurat tym razem dużo czasu na myślenie było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem. Siedziałem zgarbiony na sofie, z każdą chwilą coraz bardziej zdruzgotany poczuciem niesprawiedliwości, aż w końcu

zdecydowałem, że najlepiej będzie, jak wrócę do domu i upiję się na swoim balkonie. Właśnie gdy podjąłem tę decyzję, jakiś sługus wezwał mnie do środka. Nie zdążyłem nawet nacieszyć się swoją irytacją, ponieważ Wespazjan od razu mnie przeprosił.

- Wybacz, Falkonie. Sprawy państwowe - wyjaśnił. Akurat! Już raczej pogaduszki z konkubiną. - Masz ponurą minę! - dodał natychmiast.

- Och, myślę o kobietach, panie.

- No to się nie dziwię! Kieliszek wina? - zapytał.

Miałem taką ochotę, że najbezpieczniej było odmówić.

- Wycieczka się udała?

- Cóż, wciąż cierpię na chorobę morską i wciąż nie umiem pływać...

Cesarz przyjrzał mi się z zadumą, jakby zauważył, że jestem w cynicznym nastroju.

Byłem zbyt zmęczony i przygnębiony; spartaczyłem ustne sprawozdanie. Zresztą i tak znał większość faktów od innych, ważniejszych ludzi. Relacjonowanie pozałowania godnych szczegółów niepotrzebnej śmierci Aufidiusza Kryspusa wydawało się stratą czasu.

- Cenzor opublikował tę wiadomość jako „nieszczęśliwy wypadek na morzu” - mruknął gniewnie cesarz. - Kto dowodził tym trójrzędowcem, że przyniosło to takie godne pozałowania rezultaty?

- Pretor z Herkulanum, panie.

- Ten! Pojawił się w Rzymie, wczoraj go widziałem.

- Obnosi swój profil po pałacu w nadziei na jakieś wyszukane zagraniczne stanowisko! Sekstus Emiliusz Rufus Klemens... - oświadczyłem. - Dobra stara rodzina i mnóstwo miernej jakości służby publicznej na jego koncie. To idiota, ale co ma do stracenia? Teraz, kiedy Kryspus nie żyje, jak już przyjdzie do przyznawania zaszczytów, to zakładam, że ten pochopny trierarcha znajdzie się przede mną?

- Zaciśnij zęby, Falkonie. Nie przyznaję premii, kiedy toną senatorowie.

- Oczywiście, że nie, panie. Kiedy tylko statki się zderzyły, wiedziałem, że winę zwali się na mnie!

- Rufus okazał się bardzo pomocny, udzielając rad dotyczących floty - zganił mnie cesarz najbardziej groźnym ze swoich warknięć.

- Och, służę swoją radą, cesarze: flocie z Mizenum potrzeba naprawy: więcej dyscypliny, a mniej alkoholu!

- Tak. Odniosłem wrażenie, że Rufus sam ma ochotę na stanowisko głównodowodzącego... - oznajmił. Byłem wściekły, dopóki nie zobaczyłem błysku w oku cesarza. - W przyszłości prefektura floty w Mizenum będzie zarezerwowana dla moich zaufanych przyjaciół. Jednak na pewno dam temu człowiekowi szansę wykazania się jako dowódca w sytuacji zagrożenia. Musi się przygotować na legion...

- Co? W jakiejś prowincji, przez którą przebiega linia frontu, gdzie jeszcze wyraźniej rozkwitnie jego niekompetencja?

- Nie, Falkonie. Wszyscy musimy się pogodzić z tym, że kariera publiczna wymaga odśłużenia swojego w jakiejś okropnej dziurze...

Uśmiech zaczął powoli wypęłzać mi na twarz.

- Cóż takiego wykopałeś dla Rufusa, panie?

- Coś w głębi ładu, co pozwoli nam zapomnieć o jego żeglarskich

umiejętnościach... Norikum.

- Norikum! - Dawna prowincja Kryspusa. Nic nigdy się tam nie dzieje. - Myślę, że Kryspus byłby zadowolony!

- Mam nadzieję! - uśmiechnął się ze zwodniczą łagodnością Wespazjan. Nasz nowy flawijski cesarz nie był człowiekiem mściwym. Jedną z jego zalet było jednak szczególne poczucie humoru.

- To wszystko, Falkonie?

- Na więcej nie mam nadziei - powiedziałem ochryplym, zmęczonym głosem. - Nalegałbym na premię za zmuszenie do współpracy Gordiana, ale to już przerobiliśmy...

- Bynajmniej. Umieściłem cię za to na liście. Tysiąc wystarczy?

- Tysiąc! To byłaby odpowiednia nagroda dla poety, który ułoży gładką ode złożoną z dziesięciu wersów! Sporo dla grajka na lirze w teatrze...

- Nie wierz w to! Oni żądają co najmniej dwóch tysięcy, zanim postawią nogę na scenie. Po co pieniądze komuś takiemu jak ty? - zainteresował się.

- Na chleb i butelkę. Reszta głównie dla właściciela kamienicy. Czasami marzę o tym, by go sobie zmienić. Cezarze, nawet ja chciałbym mieć dom, w którym mógłbym się podrapać, nie zdzierając sobie skóry z łokcia. Pracuję, żeby żyć... a w tej chwili mojemu życiu zdecydowanie brak elegancji!

- Kobiety?

- Ludzie zawsze mnie o to pytają.

- Ciekawe dlaczego! Moi szpiedzy powiadają... - pogroził mi wesoło palcem - że wróciłeś z Kampanii bogatszy, niż tam wyjechałeś.

- Jeden głupawy koń wyścigowy i koza ofiarna! Koza przeszła na emeryturę, ale kiedy następnym razem złamiesz sobie, panie, ząb przy jedzeniu żylastego gulaszu, pozdrów konia Falkona... Rzym też się wzbogacił - przypomniałem mu. - O prawie piętnaście miliardów buszli, które mogły się gdzieś zapodziać...

Zdawało się, że mnie nie słyszy.

- Tytus chce znać imię tego konia.

Wspaniale. Jestem w Rzymie zaledwie od sześciu godzin, a wieści o moim upiornym przyпыlywie dóbr dotarły już do starszego syna cesarza!

- Czarus. Powiedz Tytusowi, żeby zachował sobie tę stawkę! Wystawiam chabetę jedynie w ramach przysługi dla bukmacherów, którzy powiadają, że ostatnio brakowało powodów do śmiechu...

- To uczciwe podejście jak na właściciela konia.

- Och, panie, chciałbym mieć tupet, żeby kraść i łąć jak inni, ale warunki w więzieniu są okropne i boję się szczurów. Kiedy ja mam ochotę się pośmiać, to mówię sobie, że moje dzieci będą ze mnie dumne.

- Jakie dzieci? - rzucił cesarz agresywnym tonem.

- O, cesarze, cała dziesiątka awenturyńskich urwisów, na których uznanie mnie nie stać!

Wespazjan zmienił pozycję swojego potężnego, kanciastego ciała, marszcząc czoło i zaciskając usta w sposób, z którego sływał. Zawsze wiedziałem, że kiedy wpada w inny nastrój i przestaje się ze mną przekomarzać, to dochodzimy do sedna rozmowy. Pan świata cmoknął z niezadowolaniem, ale łagodnie, niczym dobry wujaszek, który pozwala

sobie zapomnieć, jak bardzo nie pochwała mojego zachowania.

- To, czego dokonałeś w sprawie statków ze zbożem, było kapitalne. Poproszono prefekta Urzędu Zaopatrzenia o raport dotyczący odpowiedniej wielkości nagrody... - zaczął. Wiedziałem, co to oznacza: już nigdy nic na ten temat nie usłyszę. - Dam ci tysiąc za Gordiana... a zamienię to na dziesięć tysięcy, jeśli załatwisz po cichu sprawę Pertynaksa Marcela.

Nędznie; choć na skali wynagrodzeń Wespazjana nadzwyczaj szczerze. Skinąłem głową.

- Oficjalnie Pertynaks nie żyje. Nie będzie potrzeby ponownie ogłaszać tego publicznie.

- Tak naprawdę, to by mi zależało na jakimś dowodzie jego winy - obwieścił cesarz.

- Chcesz, panie, powiedzieć, że może dojść do procesu?

- Nie. Ale jeśli mamy zająć się nim bez procesu - zauważył sucho Wespazjan - to tym bardziej przydałyby się jakieś dowody!

Byłem republikaninem. Zetknięcie się z cesarzem wyznającym jakiś system wartości moralnych zawsze mnie zaskakiwało.

Na tak późnym etapie znalezienie dowodów przeciwko Pertynaksowi było prawie niemożliwe. Jediną jego ofiarą, która przeżyła, był Petroniusz Longus, a nawet on nie miałby nic do powiedzenia w sądzie. Ważnym świadkiem pozostawał więc tylko Milo, zarządca Gordiana. Ale jako że był niewolnikiem, jego zeznanie można było przyjąć, jeśli zostało uzyskane za pomocą tortur. Tymczasem Milo był tego rodzaju głupio niezłomnym człowiekiem, który w reakcji na wyzwanie, jakim jest zawodowy kat, zaciśnie tylko zęby, napręży mięśnie... i umrze, zanim go złamią.

- Postaram się coś znaleźć! - obiecałem uroczyście cesarzowi.

Uśmiechnął się.

Opuszczałem pałac rozgoryczony, kiedy usłyszałem czyjś kpiący głos.

- Dydiuszu Falkonie, ty niecny żebraku! Myślałem, że marnujesz siły na kobiety w okolicach Neapolu!

Odwróciłem się ostrożnie, jak zawsze zachowując czujność w pobliżu pałacu, i od razu rozpoznałem tę ponurą postać.

- Momus! - zawołałem. Nadzorca niewolników, który pomagał przy likwidowaniu majątku Pertynaksa. Kiedy wyszczerzał do mnie w połowie bezzębne dziąsła, wydawał się jeszcze bardziej łachudrowaty niż kiedykolwiek przedtem. - Momusie, szeroko rozpowszechniane wieści, jakobym spędzał cały wolny czas na chędożeniu, zaczynają mnie przygnębiać! Czy ktoś mówi coś, czemu powinienem zaprzeczyć?

- Nieustająco! - pokpiwał. - Ostatnio twoje imię pojawia się co chwila. Widziałeś Anakrytesa?

- A powinienem?

- Nie wychylaj się - ostrzegł mnie Momus. Nie przepadał za przełożonym szpiegów; mieli odmienne priorytety.

- Kiedy go widziałem ostatni raz, został zdegradowany do roli księgowego.

- Nigdy nie ufaj księgowemu! Ten na przykład ciągle powtarza, że chce cię przepytać w związku z pewną zagubioną przesyłką ołowiu należącego do Skarbu... - ciągnął. Jęknąłem, choć pilnowałem się, żeby tego nie

usłyszał. - Chodzą słuchy, że Anakrytes zarezerwował pryczę dla Dydiusza Falkona w celi dla długoterminowych w więzieniu mamertyńskim.

- Nie przejmuj się - powiedziałem mu z przekonaniem, którego wcale nie czułem. - Jestem wtajemniczony. A więzienie to tylko taki podstęp, żeby uciec przed rozżalonymi ojcami wszystkich oszukanych przeze mnie kobiet...

Uśmiechnął się i dał mi spokój. Zatrzymał się jeszcze tylko na chwilę, żeby zawołać:

- A przy okazji, Falko, o co chodzi z tym koniem?

- Ma na imię Pech - odparłem. - Po ojcu Prostaku, matce Boleści! Nie stawiaj na niego, na pewno złamie sobie nogę.

Wymaszerowałem z pałacu po północnej stronie Palatynu. W połowie drogi do swojej dzielnicy mijalem otwartą winiarnię. Zmieniłem więc decyzję, skręciłem ku wejściu i koniec końców zalałem się w sztok.



LXXIX

Obudził mnie dźwięk energicznego zamiatania.

Wyciągnąłem z tego dwa wnioski. Ktoś chciał mnie koniecznie obudzić. I że wczorajszego wieczoru udało mi się trafić do domu.

Kiedy stoczysz się do rynsztoka, ludzie zostawiają cię tam w spokoju.

Jęknąłem kilka razy i pomamrotałem pod nosem, by ostrzec, że mogę wyruszyć ze swojego kąta; obrażona miotła umilkła. Włożyłem tunikę, doszedłem do wniosku, że jest brudna, więc przykryłem plamy drugą tuniką. Umyłem twarz, przepłukałem zęby i uczesałem włosy, ale wszystko to ani trochę nie poprawiło mi samopoczucia. Nie miałem paska i brakowało mi jednego buta. Wytoczyłem się z sypialni.

Kobieta, która uważała za swój obowiązek utrzymywać moje mieszkanie w porządku, musiała dokonać po cichu różnych cudów, zanim chwyciła za miotłę. Jej dobrze mi znane czarne oczy patrzyły z ogromnym niesmakiem. Doprowadziła do ładu pokój, teraz zamierzała dobrać się do mnie.

- Przyszłam zrobić ci śniadanie, ale to już południe!

- Witaj, mamó - powiedziałem.

Usiadłem przy stole, bo nogi nie miały najmniejszej ochoty mnie dźwigać. Zapewniłem matkę, że świetną rzeczą jest być znowu w domu i jeść przyzwoity posiłek przygotowany przez kochającą mamusię.

- Masz więc znowu kłopoty! - warknęła moja rodzicielka, która ani trochę nie dała się zwieść pochlebstwom.

Nakarmiła mnie i umyła balkon. Znalazła przeznaczony dla niej kubeł z brązu. Znalazła też moje łyżki.

- Ale ładne!

- Dostałem je od ładnej osóбки.

- Widziałeś się z nią?

- Nie.

- Byłeś u Petroniusza Longusa?

- Nie.

- Co planujesz na dzisiaj?

Większość mężczyzn wykonujących mój zawód ma dość zdrowego rozsądku, by uwolnić się od zainteresowania ciekawskiej rodziny. Jaki klient chce zatrudnić detektywa, który musi opowiadać się matce z każdego wyjścia?

- Znaleźć kogoś. - Moje siły umysłowe zdecydowanie zostały osłabione spożytym właśnie posiłkiem.

- Czemu jesteś taki nerwowy? Za co chcesz dopaść tego biedaka?

- Za morderstwo.

- No cóż - westchnęła matka. - Mógł zrobić coś znacznie gorszego!

Domyśliłem się, że miała na myśli to, co zrobiłem ja.

- Po namyśle - mruknąłem, myjąc łyżkę, którą jadłem posiłek, po czym wycierając ją zgodnie z instrukcją Heleny - pójdę jednak do winiarni!

Nie przyznawałem się przed sobą do przepicia, ale sama myśl o kolejnej porcji wina spowodowała, że poczułem, jak kwas przeżera mi wnętrzości. Bekając boleśnie, poszedłem odwiedzić Petroniusza.

Snuł się po domu, nadal za słaby na służbę patrolową, i narzekał, że podczas tej nieobecności zastępca zdobędzie zbyt dużą władzę nad podwładnymi. Przywitał mnie pytaniem:

- Falko, dlaczego pałacowy zespół od przekrętów zagiął na ciebie parol?

Anakrytes.

- Chodzi o nieporozumienie dotyczące moich wydatków...

- Łżesz! On mi powiedział, że nazwa towaru została wyszczególniona w nakazie.

- Tak powiedział?

- Próbował mnie przekupić.

- Żebyś co zrobił, Petroniuszu?

- Wydał cię!

- Jeśli mówimy tu o aresztowaniu...

- Nie bądź niemądry!

- A tak przy okazji, ile ci proponował?

Mój przyjaciel uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Za mało!

Nie miałem krztyny wątpliwości co do lojalności Petroniusza. Anakrytes jednak zdawał sobie doskonale sprawę, że wystarczy rozpuścić pogłoski, iż mogą być z tego jakieś pieniądze, a następnym razem, kiedy mój gospodarz Smaraktus wyśle swoją zbierającą czynsz drużynę, jakieś chuchro z suterren awenturyńskich wpadnie na pomysł, by wskazać mnie palcem. Wyglądało na to, że wygrzebanie się z tego ambarasu prawdopodobnie pociągnie za sobą spore osobiste kłopoty.

- Nie martw się. Wyjaśnię to - oświadczyłem bez przekonania.

Petroniusz roześmiał się gorzko.

Przyszła Sylwia, żeby nas nadzorować, co było karą za to, że Petroniusz siedzi w domu. Obgadaliśmy temat ich podróży powrotnej do domu, mojej własnej podróży, mojego niedorzecznego konia wyścigowego, a nawet polowania na Pertynaksa, a wszystko to bez wspominania Heleny. Dopiero kiedy zbierałem się do wyjścia, cierpliwość Sylwii się wreszcie wyczerpała.

- Czy możemy założyć, że już wiesz o Helenie?

- Jej ojciec poinformował mnie o sytuacji.
- Sytuacji! - powtórzyła jak echo Sylwia, kipiąc oburzeniem. - Widziałeś się z nią?
- Wie, gdzie mnie znaleźć, jeśli będzie chciała się ze mną zobaczyć.
- Och, na bogów, Falkonie!
Przyciągnąłem spojrzenie Petroniusza, a on odezwał się cicho do żony:
- Daj spokój. Oni robią wszystko na swój sposób...
- Macie na myśli jej sposób? - warknąłem do obydwójga. - Mam rozumieć, że wam powiedziała?
- Sama ją o to spytałam! - rzuciła oskarżycielskim tonem Sylwia. - Każdy mógł zobaczyć, jak okropnie się dziewczyna czuje...
Tego się obawiałem.
- Cóż, spotkał was nielichy zaszczyt. Mnie nie powiedziała! Zanim zaczniecie mnie potępiać, pomyślcie, jak ja się czuję. Nie było żadnego powodu, żeby Helena ukrywała to przede mną. A ja wiem doskonale, dlaczego wolala nie mówić...
- Ty uważasz, że ojcem jest ktoś inny! - przerwała mi przerażonym głosem Sylwia.
Podobna myśl w ogóle nie przysłała mi do głowy.
- To - oznajmiłem chłodno - byłaby jedna z możliwości.
Petroniusz, który pod pewnymi względami był człowiekiem prostolinijnym, wyglądał na wstrząśniętego.
- Nie możesz przecież wierzyć w coś takiego!
- Nie wiem, w co wierzę.
Tak naprawdę wiedziałem. To, co myślałem, było znacznie gorsze.
Rzuciłem im na odchodnym pełne wyrzutu spojrzenie, kiedy tak stali rozzłoszczeni i związani sojuszem przeciwko mnie, i wyszedłem.
Przekonywanie samego siebie, że mogę być ojcem tego dziecka, było dla Heleny obraźliwe, a dla mnie poniżające. A przecież łatwiej było znieść to niż prawdę: spójrzcie, oto, czym jestem. Popatrzcie, jak żyję. Nie mógłbym jej ani trochę winić, gdyby nie zgodziła się urodzić mojego dziecka.
Tymczasem ona już powiedziała mi, przy mojej pełnej nieświadomości, co planowała uczynić. „Uporam się sama”; przypomniałem sobie jej słowa. A to mogło oznaczać tylko jedno.
Wypełniłem sobie resztę popołudnia, przyznając się do przepicia i odsypiając je w domu.



LXXX

Leżenie w łóżku nigdy nie jest całkowitym marnowaniem czasu. Gdzieś w tej pustce pomiędzy uzmysławianiem sobie, że nie śpię, a wstawaniem całe wieki później, skonstruowałem plan, w jaki sposób wpaść na trop Pertynaksa. Wygrzebałem ulubioną tunikę; kiedyś była fioletowo-różowa, ale teraz miała kolor nieprzyjemnie jasnoszary. Poszedłem do fryzjera, żeby radykalnie ostrzyć sobie włosy. W końcu wyruszyłem i wmieszałem się w anonimowy tłum.

O tej magicznej przedwieczornej porze mostem Aureliusza przeszedłem

na drugi brzeg Tybru. Byłem sam. Nikt nie wiedział, dokąd się udaję, nikt nie zauważyłby, gdybym nie wrócił. Żadna z tych osób, które kiedyś mogły się mną przejmować, dzisiejszego wieczoru nawet nie pomyślałaby o mnie. Jak dotąd, pozbycie się bólu głowy było najbardziej pożytecznym wydarzeniem dnia.

Dni się zmieniają. W moim wypadku zazwyczaj na gorsze.

Nad miastem unosił się dym z pieców tysiąca łaźni. Wdarł mi się do gardła, przywołując do życia nieszczęsną chrypkę, która już wcześniej się tam czaiła. Helena Justyna już musiała wiedzieć, że wróciłem do Rzymu i wiem o jej trudnym położeniu. Ojciec na pewno jej powiedział, jak bardzo czuję się urażony. Nie próbowała się ze mną skontaktować, mimo że ułatwiłem jej to, spędzając większość dnia u siebie w łóżku.

Kiedy przechodziłem przez most, słuchałem dźwięku delikatnych oklasków dochodzącego z teatru Pompejusza... nie żywiołowej reakcji na sztukę satyryczną ani radosnych i pełnych zdziwienia okrzyków, którymi publiczność wita popisy artretycznych linoskoczków. Tego wieczoru musiało to być coś dawnego, możliwe, że greckiego, prawdopodobnie jakaś tragedia, i to zdecydowanie szacowna. Byłem zadowolony. Do mojego nastroju pasowały myśli o cierpieniu innych ludzi; trzy godziny ponurego tekstu w wykonaniu chóru, jeden lub dwa cierpkie monologi koryfeusza, świeżo po szkole wymowy, a potem, kiedy już dochodzi do tego dobrego krwawego fragmentu, daktyle w miodzie spadają ci do niższego rzędu, musisz je więc sięgnąć, zanim jakiś sklepikarz usiądzie na nich swoimi wielkimi pośladkami i je rozgniecie... a kiedy się pochylasz, przegapiasz jedyny interesujący moment w całej sztuce...

Trudna sprawa. Jak chcesz się rozerwać, to zostań w domu i iskaj kota.

Droga przez most Aureliusza nie była najprostszą trasą do celu, ale dzisiejszy wieczór był w sam raz na wybieranie okrężnej drogi i błędzenie. A także na przeklinanie ślepych żebraków, potracanie staruszek i spychanie ich do rynsztoka, deptanie grającym w warcaby po wyrysowanych kredą na chodniku polach. Był to czas na utratę twarzy, przyzwoitości, na uszkodzenie palca u nogi podczas bezsilnego wymierzania kopniaków w trawertynową balustradę starego mostu. Zatybrze budzi się do życia nocą. W dzień wypłuka swoich mieszkańców na drugą stronę rzeki, gdzie handlują niestrawnymi plackami, wilgotnymi knotami, tandetnymi zielonymi naszyjnikami, amuletami, zaklęciami, możliwością korzystania przez chwilę z siostry handlarza w krypcie świątyni Izydy, za pół asa numerek (i nie zdziw się, jeśli złapiesz coś nieuleczalnego). Nawet te poważne dzieci z ciemnymi oczyma znikają z ulic swojej dzielnicy, żeby bawić się w berka przy okazji wyciągania sakiewek z zanadry nieostrożnych przechodniów wokół Targu Bydłęcego i wzdłuż Świętej Drogi (gdzie w dzisiejszych czasach nic nie jest święte, choć możliwe, że przedtem też niewiele było).

Nocą wszyscy oni wracają, niczym mroczny ściek wsączający się w milczeniu w labirynty czternastej dzielnicy. Wychudzeni mężczyźni z naręczami pasków i dywaników. Kobiety o twardym spojrzeniu, które żądają wysokiej zapłaty za wciskane ci bukietki zmiętych fiołków czy popękane amulety z kości. I te dzieci, ze smutnymi, pięknymi,

bezbronnymi twarzami... wywrzaskujące zaskakująco sprośne przekleństwa. Nocą Zatybrze staje się jeszcze bardziej egzotyczne. W ciepłym powietrzu, przesyconym orientálną wonią, słychać dźwięki brzękliwej, obcej muzyki dochodzące zza okratowanych drzwi. Zawzięty hazard za drobne pieniądze i trwająca całe życie nędza. Wyuzdanie sprzedawane od niechcienia po wysokiej cenie. Bębnienie w tympanony. Delikatne brzmienie maleńkich mosiężnych dzwonek. Dla przechodnia okiennica kołysząca się podstępnie w ciemności nad głową jest tak samo niebezpieczna jak otwarte zniecka drzwi, wypuszczające na ulicę smugę światła i jakiegoś szalonego nożownika. Jedyne detektyw z takimi zaburzeniami umysłowymi, które każą jego medykowi wysłać go na półroczny rejs, z wielką butlą środków przeczyszczających i z szaleńczym programem ćwiczeń, udaje się samotnie nocą na Zatybrze. Mimo to poszedłem.

Te miejsca nigdy nie wyglądają tak samo za drugim razem. Kiedy w końcu odnalazłem właściwą ulicę, okazała się tak samo mała i wąska, jak ją zapamiętałem, natomiast winiarnia wystawiła na zewnątrz dwa stoliki. W szarych ślepych murach na wprost wyjścia z zaułka jeden czy dwa sklepiki, których wtedy, w czasie sjesty, nie zauważyłem, miały teraz odsunięte drewniane frontowe ścianki, gotowe na wieczorny handel. Wszedłem do sklepiku z ciastami, a potem oparty o słupek żułem kawał miejscowego wyrobu, dumając nad groźną w skutkach ciężkostrawnością obcych wypieków. Ciastko było okrągłe, mniej więcej wielkości połowy mojej pięści; konsystencję miało zbitą, jak domowe klopsy mojej siostry Junii, smak zaś starej końskiej derki. Kiedy kawałek został już szczęśliwie przełknięty i przesuwał się dalej, zresztą bardzo powoli, czułem, jak przez cały czas towarzyszy mu święte oburzenie moich zaskoczonych wnętrzości. Mogłem wyrzucić paskudztwo do rynsztoka, ale pewnie spowodowałoby zator. Poza tym matka nauczyła mnie nie marnować pożywienia.

Miałem mnóstwo czasu, by udawać, że zjadam je ze smakiem, rozkoszując się tymi twardymi drobinami będącymi albo orzeszkami, albo dobrze upieczonymi kornikami, które dostały się do wyrabianego ciasta. Przy okazji dyskretnie obserwowałem okno pokoju na pierwszym piętrze, które wynajmował kiedyś tak zwany wyzwoleniec Barnabas.

Okno było małe i głęboko umieszczone w grubej ścianie, niewiele więc dało się zobaczyć, ale dostrzegłem poruszający się cień co najmniej jednej osoby Wyjątkowy fart.

Oblizywałem sobie właśnie palce, kiedy drzwi na ulicę się uchylily i na progu pojawiło się dwóch mężczyzn. Jednym był jakiś gadatliwy nicpoń z kałamarzem przy pasie, wyglądający na skrybę, któremu trafiła się fucha. Tym drugim, który nie zwracał uwagi na potok słów wyrzucany przez towarzysza, tylko zerkał ukradkowo w górę i w dół ulicy, był... Pertynaks.

Nauczył się rozglądać, ale nie widzieć; skoro ja byłem wystarczająco blisko, żeby rozpoznać te jasne, zmierzwione włosy i ściągnięte nozdrza w napiętej twarzy, to pomimo że pozbyłem się loków i miałem tunikę w innym kolorze, on też powinien mnie zauważyć.

Uścisnęli sobie dłonie i każdy udał się w swoją stronę. Pozwoliłem temu

z kałamarzem minąć mnie i byłem gotów podążyć za Pertynaksem, ale całe szczęście, że się nie pospieszyłem. Dwaj mężczyźni, którzy przy jednym ze stolików przed winiarnią grali ospale w żołnierzyki, odsunęli planszę i wstali. Ruszyli, zanim Pertynaks zdążył skręcić za róg... szli najwyraźniej za nim, byli parę kroków przede mną. Rozdzielili się: jeden przyspieszył i wyprzedził Pertynaksa, podczas gdy drugi trzymał się z tyłu, i kiedy dotarł do narożnika z bocznej ulicy, dołączyła do niego kolejna skradająca się postać. Zdążyłem wcisnąć się w wejście jakiegoś domu. Byłem wystarczająco blisko, by podsłuchać prowadzoną półgłosem rozmowę.

- Tam idzie. Krytus pilnuje go od przodu... - mówił jeden. - Poszczęściło ci się z Falkonem? - zapytał drugi.

- Nie. Zziajałem się tylko, sprawdzając miejsca, w których bywa, po czym dowiedziałem się, że siedział cały dzień w domu... przegapiłem go. Dołączę do was. Najprostszym sposobem, by złapać Falkona, to potraktować tego tu jako przynętę...

Ruszyli dalej, każdy po innej stronie ulicy. To muszą być ludzie Anakrytesa, pomyślałem. Niech sobie idą.

Dodatkowa komplikacja. Teraz muszę jakoś dać do zrozumienia Pertynakswi, że go śledzą. Jeśli go nie przekonam, że ma się pozbyć opiekunów z pałacu, nie będzie sposobu, bym dotarł do niego i nie został przy okazji sam aresztowany.

Wziąwszy wszystko pod uwagę, był to idealny moment, żeby przepłukać gardło.



LXXXI

Wieczorem powietrze winiarni miało skisły zapach zatłoczonego miejsca. Klientami byli brukarze i palacze, muskularni mężczyźni w roboczych tunikach, o ogromnym pragnieniu, którzy ledwie zdążyli usiąść, od razu oblewali się potem. Zachowując niezwykłą uprzejmość, precyzyjnie przycisnąłem się do lady za ich krzepkimi grzbietami. Zamówiłem dzban u brzydkiej starej właścicielki i powiedziałem, że poczekam na zewnątrz. Tak jak myślałem, trunek przyniosła mi córka.

- Co taka śliczna dziewczyna jak ty robi w tej budzie? - rzuciłem.

Biorąc z tacy dzbanek i kubek, Tullia obdarzyła mnie uśmiechem, który rezerwowała dla nieznajomych. Już zdążyłem zapomnieć, jaka jest urodziwa. Ogromne ciemne oczy zerkały na mnie z ukosa, oceniając, jak dalece jestem podatny na jej wdzięki, zresztą ja sam też się poważnie nad tym zastanawiałem. Jednak tego wieczoru, z wnętrzem zmrożonym smutkiem, pozostawałem obojętny; byłem ponurym osobnikiem, takim, którego znające się na rzeczy rozflirtowane dziewczęta unikają jak ognia.

Tullia знаła się na rzeczy; kiedy odskoczyła do tyłu, chwyciłem ją za delikatny nadgarstek.

- Nie odchodź, zostań tu ze mną! - powiedziałem. Jej śmiech zabrzmiał sztucznie, kiedy starała się mnie pozbyć. - Usiądź, ślicznotko... - nalegałem. Przyjrzała mi się bacznie, żeby stwierdzić stopień mojego odurzenia, i zorientowała się, że jestem niepokojąco trzeźwy. - Witaj,

Tullio! - rzuciłem. Zaniepokojona zerknęła ku zasłoniętym kotarą drzwiom, szukając pomocy. - Zgubiłem coś. Może ktoś przyniósł duży pierścień z zieloną kameą? - zapytałem. Przypomniała sobie mnie i przypomniała sobie też, że mogę być w kiepskim nastroju. - Na imię mam Falko - podpowiedziałem jej łagodnym głosem. - Chcę porozmawiać. Jeśli zawołasz swoich rosłych przyjaciół, to znajdziesz się po drugiej stronie rzeki i będziesz rozmawiać z gwardią pretoriańską. Ja mam tę zaletę, że lubię ładne dziewczęta. Pretorianie słyną z tego, że nie lubią nikogo.

Usiadła. Uśmiechnąłem się. Nie uspokoiło jej to.

- Czego chcesz, Falko?

- Tego, co ostatnim razem. Szukam Barnabasa.

Ktoś wyjrzał zza kotary. Sięgnąłem po pusty kubek stojący na sąsiednim stoliku i swobodnym ruchem nalałem jej wina. Głowa zniknęła.

- Wyjechał - spróbowała Tullia, zbyt ostrożnym tonem, by mogła to być prawda.

- To ciekawe. Wiem, że pojechał do Krotonu i na przylądek Kolonna... - zacząłem. Widziałem, że te nazwy nic jej nie mówią. - Potem w Kampanii dorobił się takiej samej opalenizny jak ja. Zauważyłem ją, kiedy przed chwilą wychodził, ale nie zależy mi szczególnie na rozmowie z nim w obecności całej grupy pałacowych szpiegów.

To, że Barnabas miał kłopoty, ani trochę jej nie zaskoczyło. Wystraszyła się, kiedy usłyszała, że kłopoty te miały związek z pałacem.

- Łżesz, Falko!

- Dlaczego miałbym to robić? - zdziwiłem się. - Lepiej go ostrzeż, jeśli jest twoim przyjacielem - poradziłem. Miała niepewną minę. - Czy dotrzymujecie sobie z Barnabasem towarzystwa? - spytałem natychmiast.

- Może! - odparła wyzywająco.

- Regularnie?

- Być może.

- Jesteś bardzo naiwna!

- Co to niby znaczy? - Z uważnego tonu, jakim zadała to pytanie, wiedziałem, że przykułem jej uwagę.

- Nie znoszę, kiedy piękna kobieta sama marnuje sobie życie! Co ci obiecał? - drażyłem. Milczała. - Mogę odgadnąć! Przystajesz na to! Nie. Wyglądasz na taką, która już zdążyła się nauczyć, by nie ufać mężczyznom.

- Tobie też nie ufam!

- Wiedziałem, że jesteś bystra.

Z błyskiem tandetnych kolczyków zerwała się i chwyciła lampkę z drugiego stolika, żeby lepiej mnie widzieć. Była wysoka i miała kształty, na które będąc w lepszym nastroju, z przyjemnością bym popatrzył.

- On nie mówi poważnie - ostrzegłem.

- Obiecał mnie poślubić!

Zagwizdałem.

- Ma gust! Więc skąd te wątpliwości?

- Myślę, że ma inną kobietę - oznajmiła Tullia, opierając się na swoich pięknych łokietkach i wbijając we mnie wzrok.

Pomyślałem bezceremonialnie o tej jego drugiej kobiecie.

- Możliwe. Był ktoś w Kampanii, z kim się zadawał - oznajmiłem. Bardzo się starałem zachować obojętny wyraz twarzy. - Przypuszczam, że gdybyś go zapytała, zaprzeczyłby... chyba że miałabyś jakieś dowody... Nie masz ochoty na małą detektywistyczną robotę? Teraz, kiedy go nie ma - zasugerowałem - mogłabyś poszperać w jego pokoju. Jestem pewien, że wiesz, jak się do niego dostać.

Oczywiście wiedziała.

Weszliśmy do domu po drugiej stronie ulicy i zaczęliśmy się wspinać po ponurych, marnie skleconych chybotliwych schodach. Z nie opróżnionej ogromnej kadzi z fekaliami unosił się nieznośny fetor. Gdzieś rzewnie zapłakało niemowlę. Drzwi do mieszkania Pertynaksa skurczyły się od letniego upału tak, że wisiały krzywo na zawiasach i trzeba je było mocno unieść, by wejść do środka.

Pokój nie wyróżniał się niczym szczególnym, częściowo dlatego, że w przeciwieństwie do stryszku w Kampanii nie miał go kto wypełnić ładnymi przedmiotami, a częściowo dlatego, że sam lokator był człowiekiem bez charakteru. Zobaczyłem łóżko z wypłowiałą kapą, stołek, wiklinowy stolik, uszkodzoną skrzynię... wyłącznie rzeczy, które wynajmowano razem z pokojem. Pertynaks dodał jedynie jak zwykle brudny talerz, którego używał, kiedy nie miał mu kto usługiwać, puste amfory, stos rzeczy do prania, parę bardzo drogich butów z ciągle przyklejonym do rzemyków błotem z tamtego gospodarstwa na stoku Wezuwiusza i kilka otwartych toreb podróżnych. W ogóle się nie rozpakowywał, prawdopodobnie z lenistwa.

Mając pomocną naturę, zaoferowałem, że się rozejrzę. Tullia stała zdenerwowana w drzwiach, mając oko na to, co się dzieje na dole.

Znalazłem dwa interesujące przedmioty.

Pierwszy leżał na stole z ledwie co zaschniętym atramentem... dokumenty sporządzone tego wieczoru przez skrybę, który wychodził z Pertynaksem. Odłożyłem pergamin, czując się koszmarnie. Ponieważ jednak byłem zawodowcem, nie przerwałem poszukiwań. Wszystkie typowe schowki były puste: nic pod materacem czy pod nierówną podłogą, nic zakopanego w suchej ziemi skrzynek na rośliny.

Natomiast głęboko w kufrze moja ręka natrafiła na coś, o czym Pertynaks musiał zapomnieć. Sam mogłem to przeoczyć, ale grzebałem tam długo i nie spieszyłem się. Wyciągnąłem ogromny żelazny klucz.

- Co to? - wyszeptała Tullia.

- Nie jestem pewien. Ale się dowiem. - Wyprostowałem się. - Zabiorę go. A teraz już lepiej chodźmy.

Tullia zastąpiła mi drogę.

- Nie, dopóki mi nie powiesz, co tam jest napisane.

Dziewczyna nie umiała czytać; jednak z mojej ponurej miny wywnioskowała, że musi to być coś ważnego.

- To są dwie kopie pewnego dokumentu, jeszcze nie podpisane... - wyjaśniłem jej.

Pobladła, a potem jej twarz poczerwieniała z gniewu.

- Dla kogo? Barnabasa?

- To nie jest imię, które tu skryba napisał. Ale masz rację, to jest dla

Barnabasa. Przykro mi, moja droga. Wysunęła gniewnie do przodu bródkę.

- A kim jest ta kobieta? - dopytywała się. To też jej powiedziałem. - Ta z Kampanii? - upewniła się.

- Tak, Tullio. Niestety, ona.

Natrafiliśmy bowiem na komplet aktów małżeńskich, przygotowanych dla Gnejusza Acjusza Pertynaksa i Heleny Justyny, córki Kamila Werusa. Och, każda dziewczyna potrzebuje męża, jak powiedziała ta pani.



LXXXII

- Czy jest atrakcyjna? - Tullia zmusiła się do zadania mi tego pytania, kiedy zbiegaliśmy szybko na dół.

- Pieniądze zawsze są atrakcyjne - rzuciłem w odpowiedzi. Zatrzymawszy się, by sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje, spytałem nonszalancko: - A co w nim takie go atrakcyjnego... jest dobry w łóżku?

Tullia zaśmiała się szyderczo. Z zadowoleniem wciągnąłem głęboko powietrze.

Bezpieczny w półmroku winiarni chwyciłem dziewczynę za ramiona.

- Jeśli postanowisz go wypytywać, zrób to koniecznie w obecności matki! - powiedziałem poważnie. Tullia z upartą miną wpatrywała się w ziemię. Prawdopodobnie już wiedziała, że on potrafi być gwałtowny. - Słuchaj, powie ci, że ma powody, by sporządzić taki dokument...

Podniosła raptownie wzrok.

- Żeby dostać pieniądze, o których opowiada?

- Panienko, jedyne, co Barnabas może teraz dostać, to grób dla wyzwolenca - zapewniłem ją. Może mi nie wierzyła, ale przynajmniej słuchała. - Powie ci, że kiedyś był mężem tej pani i potrzebuje jej pomocy, żeby przejąć spadek. Nie bądź naiwna. Jeśli on kiedykolwiek dostanie spadek, to dla ciebie nie będzie przy nim miejsca! - mówiłem. Oczy dziewczyny błysnęły gniewnie. - Tullio, ludzie cesarza już go ścigają... i grunt zaczyna mu się palić pod nogami.

- Dlaczego?

- Ponieważ zgodnie z prawem kobieta która po rozwodzie pozostaje niezamężna dłużej niż osiemnaście miesięcy, nie może przejmować spadków! Jeśli on chce odziedziczyć cokolwiek za pośrednictwem swojej byłej małżonki, będzie musiał działać bardzo szybko.

- Więc kiedy się rozwiedli? - dopytywała się natarczywie Tullia.

- Nie mam pojęcia. Twój przyjaciel, któremu w głowie gotówka, był jej mężem, spytaj jego!

Zastawiwszy przynętę, skinąłem głową na pożegnanie i przepchnąłem się między krzepkimi klientami ku drzwiom. Na dworze zobaczyłem, że dwóch gości zdążyło się już dorwać do porzuconego przeze mnie dzbana. Byłem zdecydowany dać wyraz swojemu oburzeniu, kiedy zauważyłem, kim oni są. W tym samym momencie te dwa wredne psy gończe Anakrytesa rozpoznały mnie.

Wszedłem z powrotem do winiarni, wykonałem zamaszty gest w stronę Tullii, przebiłem się przez cizbę i otworzyłem drzwi, którymi mnie

wypuściła, kiedy byłem tam pierwszy raz.

Chwilę później szpiedzy wpadli za mną do winiarni. Rozglądali się jak szaleni, po czym spostrzegli otwarte drzwi. Brukarze rozstąpili się usłużnie, by pozwolić im tam dobiec, po czym zamknęli tę wyrwę, tworząc barierę nie do przebycia.

Wyskoczyłem zza szynkwasu, pomachałem Tullii i wymknąłem się frontowymi drzwiami: najstarsza sztuczka na świecie.

Wtopiłem się w zaułki, żeby nie spotkać szpiega numer trzy, gdyby ten znowu pojawił się na głównej ulicy.

Kiedy ponownie przekraczałem rzekę, było za późno, żeby coś jeszcze zrobić. Ruszyła pierwsza fala wozów dostawczych; ulice były pełne furgonów z baryłkami wina, blokami marmuru i dzbanami z marynowaną rybą, ale szaleństwo pierwszych chwil, gdy już upłynęła pora zakazu dla transportu kołowego, mieliśmy już za sobą. Rzym nabierał czujności, kiedy jadający na mieście w towarzystwie niosącej pochodnie i ziewającej służby pokonywali ciemne zaułki w drodze do domu. Od czasu do czasu jakiś samotny przechodzień przemykał przez mrok, starając się nie zwracać na siebie uwagi, na wypadek gdyby w pobliżu czaili się jacyś rabusie czy zboczeńcy. Wiszące na loggiach latarnie zaczynały już gasnąć... albo były celowo wygaszane przez włamywaczy, którym zależało na tym, żeby było ciemno, kiedy będą czmychać z łupem.

Było bardzo prawdopodobne, że moje mieszkanie jest pod obserwacją naczelnego szpiega, więc poszedłem do mojej siostry Mai. Ona lepiej dbała o zaopatrzenie domu niż pozostałe i łatwiej znosiła moją obecność. Pomimo to popełniłem błąd. Maja powitała mnie wiadomością, że Famia ucieszy się z mojej wizyty, ponieważ przyprowadził z sobą na obiad dżokeja, którego namówił, by dosiadał mojego konia podczas czwartkowego wyścigu.

- Mieliśmy zapiekankę z cieleńcego mózdzku. Trochę zostało, jeśli jesteś zainteresowany - poinformowała mnie siostra. Kolejne podroby! Maja знаła mnie wystarczająco długo, by wiedzieć, co myślę na ten temat. - Och, na bogów, Marku, jesteś gorszy od dzieci! Rozchmurz się i przynajmniej raz podejź do czegoś z przyjemnością...

Rzuciłem się na to danie z wesołością Prometeusza przykutego do skały na zboczu góry i jak co dzień czekającego na orła, który przyleci i zacznie wydziobywać mu wątrobę.

Dżokej miał jak dotąd nieskazitelny charakter, ale to niewiele znaczyło. Był kleszczem. I myślał, że ja jestem jego nową owcą. Tymczasem ja miałem zwyczaj pozbywać się pasożytów; dżokeja czekała więc niespodzianka.

Nie pamiętam, jak miał na imię. Postarałem się nie pamiętać. Pamiętam natomiast, że i on, i ten nicpoń Famia spodziewali się ode mnie sporej sumy za nędzne usługi tego chuchra, podczas gdy ja uważałem, że skoro daję dżokejowi szansę, żeby sobie pojeździł do woli na pierwszym stadionie stolicy, przed Tytusem siedzącym w łoży głównej, to raczej on powinien zapłacić mnie. Gość był nędznej postury i miał pooraną bruzdami twarz, zadzierzystą minę; za dużo pił i sądząc po tym, jak spoglądał na moją siostrę, uważał, że kobiety powinny padać mu do stóp.

Maja nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Jedno muszę przyznać mojej najmłodszej siostrze: w przeciwieństwie do większości kobiet, raz popełniwszy upiorny błąd, przynajmniej uparcie w nim tkwiła. Skoro już wyszła za Famię, nie odczuwała potrzeby, by dodatkowo komplikować sobie życie jakimiś prostackimi romansami.

Dość wcześnie, w tym czasie, kiedy Famia i ja pozwalaliśmy dżokejowi, żeby opijał się za nasze pieniądze, się skompromitowałem. Posłano mnie po kolejną butelkę wina, a ja po drodze wślizgnąłem się do pokoju dzieci. Miały już spać, tymczasem zastałem je na grze w rydwany. Mai udało się wychować swoje dzieci tak, że były zaskakująco miłe; zobaczywszy, że osiągnąłem już pierwsze stadium upojenia, wciągnęły mnie na krótko do gry i jedno z nich zaczęło opowiadać mi jakąś historyjkę, aż się zdrzemnąłem, po czym wszystkie wyszły stamtąd na palcach, a ja zasnąłem jak kamień. Przysięgam, że usłyszałem, jak najstarsza córeczka Mai szepnęła:

- Zasnął! Czy nie wygląda słodko...

Miała osiem lat. Wiek sarkazmu.

Pierwotnie zamierzałem zaszyć się u Mai, dopóki wszyscy szpiedzy nie pójdą do swoich nędznych nor, po czym przemknąć się do rezydencji Falkona. Powinienem tak zrobić. Nigdy się nie dowiem, czy to by coś zmieniło. Chyba jednak istniała pewna szansa, że gdybym poszedł do własnego mieszkania, zamiast spać u siostry, uratowałoby to jedno życie.



LXXXIII

Sierpień.

Parne noce i namiętne nastroje. Ocknąłem się kilka godzin później, było mi gorąco i czułem się zbyt nieszczęśliwy, by móc się odprężyć. Zła pora roku dla mężczyzn z targaną konfliktami duszą i dla kobiet znoszących trudną ciążę. Myślałem o Helenie, czując jeszcze większy smutek, kiedy zastanawiałem się, czy nie może jak ja spać w tym lepkiem upale, a jeśli nie śpi, czy myśli o mnie.

Nazajutrz obudziłem się późno. Maja utrzymywała w domu ciszę i spokój.

Przewracanie się całą noc w ubraniu nigdy mi specjalnie nie przeszkadzało. Jednak nabrałem przemożnej niechęci do tej spranej tuniki, którą włożyłem poprzedniego dnia. Owładnęło mną silne pragnienie zamiany tej nijakiej szmaty na jakiś żywszy odcień szarości.

Ponieważ nie mogłem ryzykować natknięcia się na gnidy Anakrytesa we własnym mieszkaniu, namówiłem siostrę, żeby poszła tam za mnie.

- Wpadnij tylko do pralni. Nie wchodź na górę. Nie chcę, żeby trafili za tobą tutaj. Lenia na pewno ma jakieś moje czyste ubranie...

- Wobec tego daj mi pieniądze, żebym od razu mogła zapłacić - rozkazała mi Maja, które doskonale znała kłopoty Lenii z takim klientem jak ja.

Maja długo nie wracała. Więc i tak wyszedłem we wczorajszej tunice.

Pierwszym moim zadaniem było sprawdzenie u cenzora daty rozwodu

Heleny. Archiwum było zamknięte, bo mieliśmy święto publiczne, dość częste w Rzymie zagrożenie. Znałem dozorcę, który przyzwyczajony był do tego, że pojawiałem się o najdziwniejszych porach; wpuścił mnie bocznym wejściem za skromną jak zawsze opłatą.

Potrzebny mi dokument musiał zostać złożony na początku ubiegłego roku, ponieważ potem Helena wyjechała do Brytanii, żeby zapomnieć o swoim nieudanym małżeństwie, i tam się poznaliśmy. Wiedząc to, w godzinę odnalazłem papiery. Celując na chybił trafił, trafiłem bardzo precyzyjnie: Helena Justyna pozbyła się męża osiemnaście miesięcy temu. Plan Pertynaksa był szalony. Anonimowemu panu młodemu nie udało się obejść praw spadkowych. Jednak skoro chciał spróbować, to pozostały mu na to tylko trzy dni.

Potem obszedłem Awentyn, polując na człowieka, który mógłby mi powiedzieć, do czego służył ten wielki żelazny klucz, znaleziony w tamtej skrzyni. Była to moja dzielnica, choć rzadko przemierzałem te wąziutkie zaułki. W pewnej chwili, wychodząc zza rogu, natknąłem się na stosy koszy i koszyków, którymi beztroski wikliniarz zajął cały chodnik, stwarzając śmiertelne zagrożenie dla przechodniów. Walnąłem paluchem o krawężnik, usiłując ominąć tę chybotliwą wieżę, po czym zauważyłem fontannę, gdzie bóg rzek kontemplował strużki wody wypływające mu z pępka tak samo ponuro, jak robił to trzy miesiące wcześniej. Uklękawszy na mchu, nabrałem w dłonie wody, żeby się napić, zanim zacznę dobijać się do jednych drzwi po drugich.

Kiedy wreszcie trafiłem do właściwego mieszkania, okazało się, że mam szczęście, ponieważ potrzebny mi barczysty, czarnobrody mężczyzna był na miejscu i odpoczywał po południowym posiłku.

- Jestem Dydiusz Falko. Spotkaliśmy się kiedyś... - zacząłem. Pamiętał mnie. - Coś ci pokażę. Chcę wiedzieć, od czego to jest. Ale odpowiedz, tylko jeśli będziesz na tyle pewny, by móc to powtórzyć w sądzie.

Wyjąłem klucz. Mężczyzna wziął go do ręki i zanim się odezwał, przyjrzał mu się dokładnie. Klucz nie był pod żadnym względem czymś szczególnym; prosty, z dużym kółkiem i trzema gładkimi zębami jednakowej długości. Mój potencjalny świadek przesunął palcem wskazującym po ledwie widocznej wydrapanej literze „H”, którą sam wcześniej zauważyłem na najszerszym fragmencie trzonu. Potem podniósł na mnie te głębokie ciemne, piękne orientalne oczy.

- Tak - oświadczył ze smutkiem kapłan Małej Świątyni Herkulesa Gaditanusa. - To jest nasz zagubiony klucz do świątyni.

Nareszcie: twardy dowód.

Kiedy zobaczyłem, jak kapłan wyciera brodę serwetką, przypomniało mi się, że sam nic dawno nie jadłem. Przegryzłem więc coś w pobliskiej jadłodajni, po czym pospacerowałem nad rzeką, myśląc o swoich odkryciach. Do domu Mai wróciłem już w znacznie bardziej optymistycznym nastroju.

Tymczasem siostra zdążyła już odwiedzić Lenię, wrócić do domu na drugie śniadanie i ponownie zniknąć, tym razem u naszej matki. Zostawiła stos moich tunik, na które popatrzyłem ze zgrozą, pojawiwszy, dlaczego nie odbierałem ich z pralni, wszystkie bowiem miały albo rozprute rękawy,

albo ślady po przypaleniu od lampek oliwnych. Najprzyzwoitsza była ta, którą miałem na sobie wtedy, kiedy pozbywałem się tamtego ciała z magazynu. Zostawiłem ją potem u Lenii, gdzie przeleżała do tej pory.

Powąchałem ją, potem włożyłem i właśnie zastanawiałem się nad kolejnym posunięciem przeciwko Pertynaksowi, kiedy Maja wróciła do domu.

- Dzięki za tuniki! Zostały ci jakieś drobne?

- Zgrywus! A przy okazji, Lenia mówi, że ktoś cię koniecznie próbuje znaleźć... a ponieważ wiadomość pochodzi od kobiety i dotyczy zlecenia, pewnie będziesz chciał wiedzieć...

- Brzmi obiecująco! - uśmiechnąłem się ostrożnie.

- Lenia powiedziała... - Maja była pedantycznym posłańcem, gotowym wiernie wyrecytować powierzony jej tekst. - „Czy możesz spotkać się z Heleną Justyną w domu na Kwirynale, ponieważ ona zgodziła się porozmawiać z mężem i chce, żebyś tam był?” Pracujesz nad rozwodem?

- Nie mam takiego szczęścia - odparłem ogarnięty złymi przeczuciami. - Kiedy mam tam pójść?

- W tym szkopu! Służący wspomniał dzisiejszy ranek. Powiedziałabym ci w południe, ale nie było cię tutaj...

Wydałem krótki okrzyk i wyprysnąłem z domu siostry, ani jej nie całując na pożegnanie, ani nie dziękując za wczorajszy obiad, nawet niczego nie wyjaśniając.

Kwirynał, gdzie w czasach małżeńskich mieszkał Pertynaks z Heleną, był niemodny, choć ludziom, którzy wynajmowali mieszkania w tej miłej, luźno zabudowanej dzielnicy, rzadko wiodło się tak źle, jak utrzymywali. Kiedy Wespazjan był jeszcze niewiele znaczącym politykiem, jego najmłodszy syn, Domicjan, ta zakała rodziny cesarza, urodził się w sypialni na tyłach domu przy ulicy Granatu; potem mieściła się tam rezydencja Flawiuszów, zanim urządzili sobie pałac po swojemu.

Dziwnie się czułem, wracając do miejsca, w którym niedawno pracowałem, przekonany, że Pertynaks nie żyje. Dziwne było też, że Helena uważała swój dawny dom za teren neutralny.

Wyniesiono wyposażenie domu, ale sam budynek nie został jeszcze sprzedany. Stanowił coś, co Geminus nazywał nieruchomością „czekającą na właściwego klienta”. Przez co rozumiał, że jest za duży, za drogi i słynie z tego, że nawiedzają go duchy. Rzeczywiście.

Był tam odźwierny znajdujący się na liście płac pałacu, którego sam sprowadziłem, by pilnował rezydencji, dopóki nie będzie miała nowego właściciela. Spodziewałem się, że będzie spał twardo gdzieś na tyłach domu, ale zareagował niemal natychmiast na moje walenie w drzwi. Serce mi zamarło: to prawdopodobnie oznaczało, że wcześniejsze wydarzenia już dawno zdążyły wyrwać go z drzemki.

- Falko! - zawołał na mój widok.

- Był tu niejaki Pertynaks?

- Wiedziałem, że ten gość to kłopoty! Twierdził, że jest zainteresowany kupnem...

- Na Jowisza! Powiedziałem, że masz nie wpuszczać kombinatorów... jest tutaj nadal?

- Nie, Falko...
- Kiedy to było?
- Kilka godzin temu...
- Przyszedł z panią?
- Pojawili się oddzielnie...
- Powiedz, że nie wyszła stąd razem z Pertynaksem.
- Nie, Falko...

Przysiadłem na jego stołku, ścisnąłem głowę rękoma i czekałem, aż ochłone, potem dopiero kazałem mu opowiedzieć krok po kroku, co tu się wydarzyło.

Najpierw, podstępem, dostał się do środka Pertynaks. Zaczął spokojnie obchodzić dom, jak potencjalny nabywca, a ponieważ nie było tam nic, co można by ukraść, odźwierny pozostawił go samego. Potem przybyła Helena. Spytała o mnie, weszła jednak do środka, nie czekając.

W tym momencie ona i Pertynaks robili wrażenie pary... odźwierny doszedł do wniosku, że byli sobie zupełnie obcy i całkiem niedawno ich krewni zaaranżowali to małżeństwo. Poszli na piętro, gdzie jak słyszał, spierali się... nic szczególnego w wypadku dwojga ludzi zamierzających kupić dom: jednemu bardzo podobają się widoki, drugiemu nie podoba się wyposażenie. Mój człowiek siedział cicho, dopóki nie usłyszał, że głosy stają się coraz bardziej podniesione. Zastał Helenę Justynę w atrium, wyraźnie wstrząśniętą, i Pertynaksa wrzeszczącego na nią z piętra. Wybiegła tuż obok odźwiernego. Pertynaks popędził za nią, ale przy drzwiach się rozmyślił.

- Zobaczył coś?

- Pani rozmawiała na dworze z senatorem. Senator widział, że jest zdenerwowana. Pomógł jej wsiąść do lektyki, polecił tragarzom, żeby się pospieszyli...

- Towarzyszył jej?

- Tak. Pertynaks stał w drzwiach, mamrocząc pod nosem, dopóki nie zobaczył, że się oboje oddalają, po czym sam też odszedł...

Moją pierwszą myślą było, że ten senator to na pewno ojciec Heleny, ale niemal natychmiast przekonałem się, że było inaczej. Gwałtowne stukanie do drzwi oznajmiło przybycie Milona, zarządcy, poskramiacza psów.

- Falko... wreszcie! - stęknął Milo, mocno zdyszany pomimo swojej fizycznej sprawności. - Wszędzie cię szukałem... Gordian chce się z tobą natychmiast zobaczyć, w swoim domu...

Wybiegliśmy. Gordian też miał rezydencję na Kwirynale; po drodze Milo powiedział mi, że naczelny kapłan przeniósł się już do Rzymu, nadal żądny zemsty na mordercy brata. Ponieważ Kwirynał był taką szacowną okolicą, po lepkiem upale minionej nocy Gordian postanowił się przewietrzyć i wybrał lektykę, nie zabierając ze sobą ochrony. Zauważył Pertynaksa; ruszył za nim; zobaczył, że pojawiła się Helena, a potem wybiegła. Jedyne, co Milo jeszcze mógł dodać, to że Gordian zabrał ją natychmiast do domu.

- To znaczy, do swojego domu?

- Nie. Jej...

Stanąłem jak wryty.

- Podczas gdy jego własny, z całą służbą, stoi trzy przecznice dalej? On, senator, poszedł na piechotę przez całe miasto aż do Okręgu Bramy Kapeńskiej? Skąd ten pośpiech? Dlaczego dama była taka przygnębiona? Była chora? Odniosła obrażenia? - gorączkowałem się. Milo nie wiedział. Byliśmy już na ulicy, przy której mieszkał Gordian, kiedy wykrzyknąłem: - Nie, to oznacza coś złego, Milonie! Powiedz swojemu panu, że przyjdę do niego później...

- Falko! Dokąd ci tak spieszo?

- Do bramy Kapeńskiej!



LXXXIV

Ta koszmarna wędrówka na przełaj przez Rzym zajęła mi kolejną godzinę.

Wybrałem najlepszą trasę, okrążającą południową stronę Palatynu, choć oznaczało to przejście przez teren Złotego Domu Nerona. Tkwiał on w pewnym zawieszeniu - zbyt ekstrawagancki dla Flawiuszów - więc natknąłem się tam na zjazd rzeczoznawców budowlanych i mierniczych tłoczących się wokół jeziora, próbujących znaleźć odpowiedź, co nasz szacowny nowy cesarz powinien z tym wszystkim zrobić. Sam Wespazjan miał wspaniały pomysł, by ten pierwszej klasy teren oddać do publicznego użytku, przywracając go miastu... Mieliśmy tu więc projektantów, gotowych zafundować nam na najbliższe piętnaście lat teren budowy nowego miejskiego amfiteatru. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, przedzierając się w stronę domu Kamila, to żeby stanął mi na drodze rój okropnych architektów, planujących kolejny niezapomniany pomnik cesarstwa. Pomyślałem sobie, że ten zadowolony z siebie mieszacz zaprawy murarskiej, który wynalazł tyle sposobów zastosowania betonu, ma wiele na sumieniu.

Wreszcie dotarłem do spokojnych okolic bramy Kapeńskiej. Jak zwykle odzwierny nie chciał mnie wpuścić.

Przekonywałem go; wrzusał ramionami. On wyglądał jak król, ja czułem się jak gamoń. On był w środku; ja tkwiłem na schodku.

Byłem już tak zgrzany po odbytych galopie i tak niespokojny, że chwyciłem młodego zwyrodnialca za tunikę, cisnąłem nim o framugę i siłą wdarłem się do wnętrza. Falko jest zawsze gotów do subtelnych rozwiązań.

- Jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, synku, to nauczysz się wreszcie rozpoznawać przyjaciół domu!

Ostry kobiecy głos zapytał, co to za zamieszanie. Popchnięto mnie przed oblicze szlachetnej Julii Justy, wielce poirytowanej małżonki senatora.

- Przepraszam za takie wtargnięcie - oświadczyłem krótko. - Wygląda na to, że nie było innego sposobu, bym mógł złożyć swoje uszanowanie...

Matce Heleny Justyny i mnie nie udało się zaprzyjaźnić. Najbardziej wyprowadzało mnie z równowagi, że choć Helena odziedziczyła mimikę twarzy i tembr głosu po ojcu, to wygląd zdecydowanie po matce. Dziwnie się czułem, kiedy widziałem, jak te same inteligentne oczy spoglądają w sposób tak całkowicie odmienny, ponieważ matka Heleny patrzyła na mnie

z wyraźną antypatią.

Zauważyłem, że Julia Justa, która była dobrze ubraną kobietą ze świetnymi manierami i twarzą wypielegnowaną przy użyciu najlepszych olejków i balsamów, wygląda blado i zachowuje się nerwowo. Zdawało mi się, że nie wie, co mi powiedzieć.

- Jeśli - zaczęła powoli - składasz wizytę mojej córce...

- Posłuchaj, pani... usłyszałem coś, co mnie zaniepokoiło. Czy Helena jest zdrowa?

- Nie całkiem - odpowiedziała. Oboje staliśmy. Pokój wydawał mi się nieznośnie duszny; z trudem chwytałem oddech. - Helena straciła dziecko, którego się spodziewała - oświadczyła jej matka ze ściągniętą twarzą, niepewna, czego może się po mnie spodziewać... pewna natomiast, że będzie to coś, co jej się nie spodoba.

Było rzeczą nie do przyjęcia, bym odwrócił się plecami do senatorskiej małżonki w jej własnym domu, wobec czego szybko zainteresowałem się bliżej figurką delfina służącą za podstawę lampy. Nie lubię, kiedy inni widzą moje emocje, dopóki sam ich dobrze nie zbadam.

Delfin był zgrabnym, zabawnym stworzeniem, ale moje milczenie go najwyraźniej martwiło. Ponownie skupiłem uwagę na żonie senatora.

- Zatem, Dydiuszu Falkonie! Co masz w tej sprawie do powiedzenia? - rzuciła.

- Więcej, niż myślisz, pani. - Głos mój zabrzmiał metalicznie. - Powiem to Helenie. Mogę ją zobaczyć?

- Nie teraz.

Chciała, żebym się wyniósł z ich domu. Dobre maniery i nieczyste sumienie podpowiadały szybki odwrót. Nigdy nie zważałem szczególnie na dobre maniery: postanowiłem się nie poddawać.

- Czy zechcesz, pani, powiedzieć Helenie, że jestem tutaj?

- Nie mogę, Falkonie... medyk podał jej silny środek nasenny.

Powiedziałem jej, że nie chcę co prawda nikomu sprawiać kłopotu, ale poczekam, chyba że ona zdecydowanie zaprotestuje. Matka Heleny wyraziła zgodę. Prawdopodobnie domyślała się, że jeśli się mnie pozbędą, to będę kręcił się na ulicy niczym jakiś podejrzany wierzyciel i wywoła to jedynie niepotrzebne domysły wśród ich szlachetnych sąsiadów.

Czekałem trzy godziny. Zapomnieli, że tam jestem. Wreszcie drzwi się otworzyły.

- Falkonie! - Matka Heleny przyjrzała mi się dokładnie, zaskoczona moją wytrwałością. - Ktoś powinien był się tobą zająć...

- Niczego mi nie potrzeba, dzięki.

- Helena ciągle śpi.

- Poczekam.

Słyszając mój ponury ton, Julia Justa podeszła bliżej. Odpowiedziałem jej zaciekawionemu spojrzeniu twardym i pełnym gorczy wzrokiem.

- Pani, czy dzisiejszy wypadek wynikał z powodów naturalnych, czy też medyk podał twojej córce coś, co przyspieszyło sprawę?

Żona senatora patrzyła na mnie gniewnie, niespokojnymi ciemnymi oczyma Heleny.

- Jeśli znasz moją córkę, to wiesz, jak brzmi odpowiedź na to pytanie!

- Rzeczywiście znam twoją córkę. Jest nadzwyczaj rozsądna. Wiem też, że Helena Justyna nie byłaby pierwszą niezamężną matką, której narzucono rozwiązanie jej sytuacji!

- Obrażanie jej rodziny nie pomoże ci się tego dowiedzieć!

- Proszę wybaczyć. Spędziłem mnóstwo czasu na przemyśleniach. To zawsze jest zły pomysł.

Julia Justa pozwoliła sobie na delikatne westchnienie świadczące o zniecierpliwieniu.

- Falkonie, to do niczego nie prowadzi. Dlaczego ciągle tu tkwisz?

- Muszę zobaczyć Helenę.

- Muszę ci to powiedzieć... ani razu o ciebie nie pytała!

- A pytała o kogoś innego?

- Nie.

- Więc nie obrazi to nikogo, jeśli poczekam.

Wtedy matka Heleny oświadczyła, że skoro jestem tak uparty, to najlepiej będzie, jak zobaczę Helenę od razu, bym wreszcie dla dobra wszystkich mógł sobie pójść do domu.

Zajmowała ten pokój jako dziecko. Był przytulny i wygodny i zapewne kiedy wróciła po rozwodzie do domu ojca, chciała go mieć, bo nie przypominał zupełnie jej wspaniałego apartamentu w domu Pertynaksa.

Leżała na wąskim łożu, pod nakryciem z naturalnego lnu. Nafaszerowana środkami odurzającymi, pogrążona była w głębokim śnie, z którego nie dałoby się jej obudzić. Ciężka próba, przez którą przeszła, pozbawiła jej twarz koloru i wyrazu. Ponieważ w pokoju znajdowało się kilka kobiet, nie mogłem jej dotknąć, ale jej widok wyrwał mi z piersi słowa:

- Och, nie powinni byli jej tego robić! Nawet nie wie, czy ktoś jest przy niej.

- Cierpiała, potrzebowała ulgi.

Zduśliłem myśl, że mogła mnie potrzebować.

- Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

- Nie - odparła jej matka spokojniejszym tonem.

Ciągle pod wrażeniem panującej tu atmosfery zauważyłem bladą pokojówkę, która siedziała na skrzyni z zapłakаныmi oczami.

- Powiesz mi prawdę, pani? - spytałem Julię Justę - czy Helena chciała tego dziecka?

- O tak - odpowiedziała bez wahania. Maskowała swoją irytację, dostrzegłem jednak oznaki animozji, która musiała wzbierać przed dzisiejszym dniem w tej rodzinie. Helena Justyna dla nikogo nie była zapewne łatwą krewną; robiła wszystko po swojemu, na swój uparcie szlachetny sposób. - Tamto by cię postawiło w trudnej sytuacji - powiedziała do mnie cienkim głosem. - Więc to pewnie musiało ci przynieść ulgę?

- Wygląda na to, że już mnie, pani, oceniłaś - oświadczyłem ze ściśniętym gardłem.

Chciałem, by Helena wiedziała, że byłem dzisiaj u niej.

Nie miałem nic, co mógłbym jej zostawić, wobec czego ściągnąłem sygnet i położyłem go na trójnożnym srebrnym stoliku przy łóżku. Pośród

rozsypanych szpilek do włosów z kości słoniowej, obok różowego szklanego dzbanka z wodą, mój wytarty stary pierścień z brudnoczerwonym kamieniem i zaśniedziałym metalem wyglądał jak śmieć, ale przynajmniej ona go zauważy i będzie wiedziała, na czyjej brudnej dłoni go widziała.

- Proszę tego nie zabierać.

- Przecież powiem jej, że byłeś! - rzuciła z wyrzutem Julia Justa.

- Dziękuję - powiedziałem. Sygnet jednak zostawiłem.

Żona senatora wyszła za mną z pokoju córki.

- Falkonie - powiedziała z naciskiem - to był wypadek.

Uwierzyłbym we wszystko, co bym usłyszał z ust Heleny.

- Zatem co się stało?

- Czy to twoja sprawa? - spytała.

Jak na zwyczajną kobietę, przynajmniej mnie taką się wydawała, Julia Justa potrafiła nadać prostemu pytaniu wiele znaczenia. Pozwoliłem jej samej zdecydować. Mówiła sztywno dalej.

- Były mąż mojej córki poprosił o spotkanie. Doszło do kłótni. Ona chciała odejść, on chciał ją zatrzymać. Wyrwała się, potknęła i zrobiła sobie krzywdę, zbiegając po schodach...

- A więc to przez Pertynaksa!

- Mogło do tego i tak dojść.

- Nie w ten sposób! - wybuchnąłem.

Julia Justa odczekała chwilę.

- Nie - przyznała. Wyglądało, że na krótko przestaliśmy sobie docinać. - Przemoc na pewno źle na nią wpłynęła... Zamierzasz znów przyjść?

- Kiedy będę mógł.

- Cóż, to ci dopiero wspaniałomyślność! - zawołała małżonka senatora. - Dydiuszu Falkonie, przybyłeś dzień po wszystkim. Domyślam się, że to u ciebie normalne... nigdy cię nie ma, kiedy jesteś potrzebny. Proponuję więc teraz, byś trzymał się z daleka.

- Być może jest coś, co mogę zrobić.

- Wątpię - odparła. - Teraz, po tym, co się stało, domyślam się, że moja córka będzie zadowolona, jeśli już nigdy nie będzie musiała cię oglądać!

Pożegnałem elegancko senatorską małżonkę, ponieważ mężczyzna zawsze powinien okazywać dobre maniery matce trojga dzieci (szczególnie w sytuacji, kiedy właśnie złożyła dramatyczne oświadczenie dotyczące najstarszego i najmłodszego z nich... a on i tak zamierza obrazić ją później, udowadniając, że się myliła).

Potem opuściłem dom Kamila, pamiętając o tym, jak Helena Justyna błagała mnie, bym nie zabijał Pertynaksa. I wiedząc, że kiedy go odnajdę, prawdopodobnie to zrobię.



LXXXV

Poszedłem na Zatybrze i do jego pokoju. Nie miałem przy sobie żadnej broni. Było to głupie. Tymczasem wszystkie jego rzeczy zdażyły zniknąć; on też.

W winiarni po drugiej stronie ulicy kłębiło się od klientów, a obsługiwał im jakiś chłopak. Spytałem o Tullię.

- Jutro! - rzucił. Nie miał czasu, żeby cokolwiek wyjaśniać. Domyślałem się, że mężczyźni ciągle dopytywali się o Tullię.

Nie zostawiłem żadnej wiadomości; nikt by nie zwracał sobie głowy informowaniem tej bardzo zajętej panny, że kolejny krzepki gość z pełnym nadziei wyrazem twarzy kręcił się tutaj i wyczekiwał na nią.

Potem spędziłem mnóstwo czasu na chodzeniu. Czasami myślałem, a czasami tylko szedłem.

Wróciłem do miasta, zatrzymując się po drodze na moście Emiliusza. W dole rzeki leniwy nurt opływał zbudowany z wulkanicznego tufu potrójny łuk głównego ujścia Cloaca Maxima. W jakimś momencie minionych trzech miesięcy rozdęty trup, za którego byłem odpowiedzialny, na pewno tędy spłynął, anonimowy w ciemnych wzburzonych wodach, które niosły go coraz dalej. A teraz... Czy wiedzieliście, że jedynie cesarze i martwo urodzone dzieci mają prawo do pochówku w samym Rzymie? Nie żeby to dotyczyło naszego nieszczęsnego okruszka.

Miałem niemiłe podejrzenia na temat tego, jak pozbywano się szczątków będących rezultatem wczesnego poronienia. I może gdybym był innym człowiekiem, z mniej obojętnym spojrzeniem na bogów, usłyszałbym w plusku wód Tybru mijających ujście Cloaca Maxima okrutny, karcący śmiech Parek.

W domu Mai zjawiłem się wiele godzin po opuszczeniu Zatybrza. Rzuciła na mnie jedno spojrzenie, po czym nakarmiła, oddaliła dzieci, odsunęła Famię z butelką wina i zaprowadziła mnie do łóżka. Leżałem w ciemności i znowu myślałem.

Kiedy już dłużej nie mogłem tego znieść, pozwoliłem sobie zasnąć.

Pertynaks mógł się znajdować gdziekolwiek w Rzymie, ale nadszedł czwartek, a to oznaczało, że jego czempion biegnie w Circus Maximus; wiedziałem więc, gdzie go szukać... gdzieś pośród dwustu tysięcy widzów, zagrzewających do biegu Śmiałka: łatwizna!

Famia, który lubił korzystać z sytuacji i wprawiać się w stan najwyższej ekscytacji od bladego świtu, próbował mnie tam wcześniej wyciągnąć, jednak gdybym spędził cały ranek w pełnym słońcu na odkrytym stadionie, byłbym potem całkowicie bezużyteczny. Jak już raz widziałeś ceremonię otwarcia i paradę na arenie, kolejne możesz sobie darować. Co wart jest widok jeszcze jednego urzędnika z zadowoloną miną, jadącego na czele tej parady w kwadrydze z czterokonnym zaprzęgiem, kiedy trzeba uganiać się za ludźmi, którzy mordują kapłanów, walą pałką po głowie ojców małych dzieci i pozbawiają życia nienarodzone dzieci, zanim jeszcze ich rodzice mieli szansę pospierać się o wybór imienia?

Kiedy opuściłem dom Mai, zatoczyłem koło i wpadłem do Galli, gdzie na szczęście zastałem Lariusza.

- Wybacz mi, młodzieńcze, ale potrzebny mi jest artysta rysownik!

- No to się pospiesz - powiedział z uśmiechem. - Wszyscy wybieramy się do cyrku, żeby kibicować pewnemu koniowi...

- Darujcie mi ten zaszczyt! Słuchaj, zrób mi odręczny szkic...

- Będziesz pozował do groteskowego medalionu na galijskim kubeczku?

- Nie ja. - Powiedziałem mu, o kogo chodzi. Potem wyjaśniłem dlaczego.

Lariusz narysował portret bez jednego słowa. Strata nienarodzonego dziecka jest boleścią prywatną, żeby rozluźnić nieco atmosferę, wykipięm pomysł stawiania na mojego konia.

- Nie martw się - oznajmił szczerze Lariusz. - Twojemu będziemy kibicować... ale gotówkę postawimy na Śmiałka!

Poszedłem do bramy Kapeńskiej. Nikt z rodziny Kamila nie przyjmował wizyt. Przekazałem wyrazy uszanowania, pewien, że odźwierny ich nie powtórzy.

Zauważyłem kwiaciarnię, kupiłem więc wielki bukiet róż za zawrotną cenę.

- Pochodzą z Pestum! - wysapał mężczyzna tonem usprawiedliwienia.

- Jakżeby inaczej! - wykrzyknąłem.

Posłałem róże Helenie. Świetnie wiedziałem, że wolałaby raczej kwiat, który wyhodowałem na swoim balkonie, bo była sentymentalna, jednak jej matka wyglądała mi na kobietę, która doceni taki okazały bukiet.

Helena musiała się już obudzić, ale wciąż mnie do niej nie wpuszczano. Odszedłem z kwitkiem, poza wspomnieniem jej białej twarzy z wczorajszego dnia.

Skoro nikt mnie nie kochał, udałem się na wyścigi.

Dotarłem tam w południe; trwały zawody sportowe. Pod arkadami kwitł jak zwykle godny ubolewania handel. Kramy uderzały dziwną kontrastowością na tle delikatnych malowideł i złocień zdobiących tynk i kamień. Sprzedawano tu letnie, ociekające tłuszczem placki, a skąpa ilość zimnego trunku kosztowała dwa razy więcej niż w bocznych uliczkach.

Kobiety lekkich obyczajów hałaśliwie oferowały swoje usługi, rywalizując z bukmacherami u widzów, którzy nadal wąskim strumieniem napływali z miasta.

Tylko ja mogłem wpaść na pomysł upolowania złoczyńcy na największym stadionie Rzymu. Wszedłem jedną z bram od strony awentyńskiej. Daleko z lewej, nad bramami startowymi w ścianie o kształcie absydy, miałem łożę dla urzędnika przewodniczącego igrzyskom, połyskujący balkon cesarski dokładnie naprzeciwko siebie, na tle Palatynu, a po prawej ręce zaokrąglony koniec z bramą triumfalną. Pierwsze dwa rzędy marmurowych siedzeń były już o tej porze niemiłosiernie rozgrzane i lśniły oślepiająco, i mimo przerwy na posiłek od razu załała mnie fala dźwięków.

W dawnych czasach, kiedy mężczyźni i kobiety siadali obok siebie jak popadło i kiedy Circus Maximus był najlepszym miejscem na nawiązanie romansu, nie miałbym najmniejszej szansy na znalezienie kogokolwiek, nie wiedząc, gdzie siedzi. Nawet teraz, gdy - zgodnie z przepisami Augusta, nakazującymi obyczajne rozdzielenie mężczyzn i kobiet - jedynymi rzędami, które na pewno mogłem wyeliminować, były te zajęte przez kobiety, chłopców z nauczycielami czy przez kolegia kapłańskie. Można było sensownie założyć, że Pertynaks nie zaryzykuje zajęcia miejsca na najniższej kondygnacji siedzeń, gdzie rozpoznaliby go senatorowie. A wiedząc, jakim jest snobem, domyśliłem się, że nie pójdzie do najwyższej

części z miejscami stojącymi dla plebsu i niewolników. Nie zmieniało to faktu, że zajmujący całą dolinę pomiędzy Targiem Bydłym i starą bramą Kapeńską Circus Maximus mógł pomieścić ćwierć miliona, nie wspominając już całych hord dodatkowych pracowników, kursujących w tę i z powrotem w związku ze swoimi zadaniami, edylów wypatrujących w tłumie osób naruszających porządek publiczny, złodziejasków i sutenerów mających z kolei oko na edylów, sprzedawców perfum i dziewcząt z girlandami, handlarzy winem i orzeszkami.

Zacząłem od jednego sektora; przedzierałem się w górę pionowym przejściem przez dwie kondygnacje. Wkrótce zakreśliło mi się w głowie od ciągłego patrzenia w bok, a niezliczone twarze utworzyły jedną rozmytą plamę.

Nie był to właściwy sposób na szukanie robaka w worku z prosem. Następnym przejściem zbiegłem pod arkady, potem pokręciłem się pomiędzy sklepikami i grupkami prostytutek, pokazując wszystkim portrecik, który Lariusz mi narysował. Kiedy doszedłem do końca handlowej części amfiteatru, spotkałem Famię, a ten przedstawił mi różnych innych ludzi, którym z kolei ja pokazałem szkic twarzy Pertynaksa.

Grzeczność nakazywała, bym obejrzał efekt starań szwagra, który zadbał o to, żeby mój koń prezentował się jak najlepiej. Z wysoko podwiązanym ogonem i niesforną grzywą splecioną w warkocze Czarus wyglądał jak na niego nadzwyczajnie, choć wciąż pokracznie. Famia znalazł dla niego derkę, choć koń musiał się obejść bez złotych frędzli i wysadzanych perłami napierśników, którymi przystrajano jego rywali. Ku oburzeniu szwagra uparłem się, że chociaż Czarus na pewno przegra z kretelem, to ponieważ pierwszy i jedyny raz w życiu wystawiam własnego konia wyścigowego, ma pobiec dla Niebieskich; Famia zrobił mi awanturę, ja jednak byłem nieugięty.

Morwowo umaszczony Śmiałek wyglądał imponująco; jego boki lśniły jak lustro. Przyciągał uwagę, kiedy obaj z Czarusem czekali na Targu; pośród bukmacherów dosłownie wrzało. Śmiałek miał biec dla Białych, stronnictwa Marcela i Pertynaksa.

Przez jakiś czas odgrywałem rolę właściciela, pozwalając graczom kpić z wiary, jaką, wedle ich przekonania, pokładałem w swoim chudym czupiradle, po czym poszedłem z Famią coś przekąsić.

- Stawiasz coś, Falko?

- Odrobinę.

Famia uważałby to za objaw złych manier, gdyby właściciel stawiał na innego konia, więc nie powiedziałem mu, że Lariusz postawił za mnie pięćdziesiąt złotych sestercji na Śmiałka; wszystko, co miałem.

Kiedy wróciliśmy, wyścigi się już rozpoczęły, choć jak wynikało z programu, do naszej gonitwy mieliśmy jeszcze godzinę. Poszedłem sprawdzić, czy Czarus wspomaga Śmiałka w zachowaniu spokoju. Kiedy głąskałem Śmiałka, zauważyłem kręcącego się w pobliżu małego nerwowego handlarza nadziewanymi liśćmi winorośli: najwyraźniej gość z kłopotami żołądkowymi... albo z czymś ważnym do powiedzenia. Powiedział coś Famii, choć obaj przy tym patrzyli na mnie. Pieniądze

przeszły z ręki do ręki. Człowieczek z tacą zniknął, a Famia rzucił do mnie:

- Jesteś mi winien dziesięć denarów.
- Zgłoś się jutro, kiedy skasuję wygraną!
- Twój człowiek jest na drugiej kondygnacji, po awentyńskiej stronie, niedaleko łoży sędziowskiej. Siedzi równo z linią mety.
- Jak mogę dostać się blisko niego, nie zwracając na siebie uwagi? - zastanawiałem się.

Famia skomentował to kąśliwie, że zważywszy na moją dobrze znaną paskudną gębę, będzie to niemożliwe. Okazał się jednak pomocny: chwilę później przemknąłem jednym z ciemnych boksów i prześlizgnąłem się przez podwójne drzwi bramy startowej.

Uderzyły we mnie hałas, upał, zapachy i kolory. Byłem na arenie, na samym torze. Niosłem kubek i łopatę. Przeczekałem, aż miną mnie jeźdźcy, po czym powędrowałem, zbierając coś od niechcienia z piasku, kiedy przekraczałem ukośną linię startu. Dotarłem do muru biegnącego wzdłuż, spiny, czując się widoczny jak brodawka na nosie prawnika... ale Famia miał rację: nikt nie zauważa niewolników, którzy sprzątajają łajno.

Pokazywali akurat jeden z tych numerów, kiedy to jeździec stoi z nogami rozstawionymi na grzbietach dwóch koni... wygląda to spektakularnie, ale odbywa się dość wolno. Sztuczka polega na doskonałym wyszkoleniu zwierząt i utrzymywaniu właściwego rytmu; mój brat umiał to robić.

Stojąc na jednym końcu areny, miałem przed sobą zapierający dech w piersi ogrom cyrku. Jego szerokość dorównała połowie długości zwykłego stadionu, a od białej kredowej linii startu drugi koniec wydawał się tak odległy, że chcąc go zobaczyć, trzeba było mrużyć oczy. Nade mną górowały wzniesione na murze spiny wspaniałe kapliczki i posągi; Apollo, Kybele, Wiktoria. Pierwszy raz miałem okazję podziwiać mistrzowskie wykonanie wspaniałej bariery z pozłacanego brązu, odgradzającej miejsca dla senatorów od samej areny. Za nimi wznosiły się dwie kondygnacje z marmuru i trzecia z drewna, a nad nimi najwyższa galeria wyłącznie z miejscami stojącymi. Kiedy tak się przechadzałem, machając od niechcienia łopatą, zauważyłem, że na piasku przy brzegach zebrały się resztki sproszkowanego malachitu i minii, którymi posypano arenę podczas jakichś dawnych okazałych igrzysk. Cyrku nigdy nie osłaniano płóciennymi dachami; na piasku można się było usmażyć jak omlet. Wszędzie zapach czosnku, charakterystyczny dla pory posiłku i pachnideł pań mieszał się z mocną wonią rozgrzanych końskich ciał. Na tle ozdobionej mozaiką i złoceniami spiny musiałem wydawać się małą ciemną kropką, niczym jakiś irytujący, wędrujący powoli robaczek. Podczas trwania dwóch kolejnych biegów zdążyłem dotrzeć do ogromnego egipskiego obelisku z czerwonego granitu, który w samym środku spiny postawił August; w końcu zbliżyłem się do linii mety i łoża sędziowskiej. Tutaj tłum był zawsze najgęstszy. Z początku te tkwiące obok siebie, niezliczone twarze zlały mi się w jeden wielki gąszcz, ale wraz z nabieraniem pewności siebie zacząłem dostrzegać szczegóły: kobiety szurające podnóżkami, poprawiające stole na ramionach, mężczyźni o zaczerwienionych od słońca i wykrzywionych dolegliwościami

gastrycznymi po posiłku twarzach, żołnierze w mundurach, dzieci wierzące się niespokojnie albo okładające pięściami w przejściach. Nastąpiła przerwa pomiędzy pokazami, wypełniona występami klaunów i akrobatów. Widzowie przemierzali się tu i tam. Przykucnąłem i choć oczy piekły od kurzu, rozpocząłem metodyczne przeszukiwanie drugiej kondygnacji. Zabrało mi to niemal pół godziny. Kiedy go wreszcie dostrzegłem, odniosłem wrażenie, że on też mnie zauważył, choć odwrócił wzrok. Kiedy już go zlokalizowałem, wydawało mi się prawie niemożliwe, bym mógł wcześniej przegapić tę rozeźloną twarz.

Szukałem dalej. No i rzeczywiście, dwa rzędy niżej i dziesięć miejsc w bok siedział sam Anakrytes. Zerkał na Pertynaksa, jednak przez większość czasu rozglądał się w inne strony. Wiedziałem, kogo szuka! Na końcu rzędu, w którym siedział Pertynaks, a także kilka rzędów wyżej, zobaczyłem dwóch kolejnych szpiegów. Razem z Anakrytesem tworzyli trójkąt, zamykając w nim człowieka, którego chciałem dopaść, i chroniąc go przede mną. Żaden z nich nie patrzył na arenę, gdzie ja się kulilem.

Wstałem. Pertynaks zrobił to samo. Przecinając tor, ruszyłem w stronę połączanej balustrady. On szedł wzdłuż rzędu. Dostrzegł mnie. Wiedziałem to ja i wiedział Anakrytes, choć ten drugi nie mógł się zorientować, gdzie się znajduję. Potykając się o nogi widzów, Pertynaks doszedł do przejścia. Nawet gdybym przeskoczył balustradę, wprost pomiędzy oburzonych nobileów siedzących na swoich marmurowych tronach, on zdążyłby zbiec tym przejściem i przez najbliższe wyjście wydostać się na zewnątrz, zanim zdążyłbym się do niego zbliżyć. Tymczasem Anakrytes krzyknął coś nagle do najbliższej grupki edylów i nie ulegało wątpliwości, że gestem wskazuje im mnie. Nie tylko stracę z oczu Pertynaksa, ale za chwilę sam zostanę zatrzymany. Kolejny krzyk był bardzo wyraźny, towarzyszył mu tętent kopyt.

Zajrzałem prosto w wyszczerzone zębiska ustrojonego wstążeczkami czarnego ogiera, pędzącego wprost na mnie. Tym razem na jednym koniu stało dwóch mężczyzn w barbarzyńskich spodniach. Z dzikim wrzaskiem i błyskiem w oku jeden z nich wychylił się daleko w bok, podczas gdy drugi utrzymywał go w tej dziwacznej pozycji. Zgarnęli mnie z piasku niczym jakieś nędzne trofeum. Po chwili pozbyliśmy się jednego jeźdźca i już we dwóch pędziliśmy do przodu, a ja, przerażony balast, wymachiwałem łopata do łajna i starałem się sprawiać wrażenie, że ta szalona jazda to najlepsza zabawa, jaka mi się w życiu przydarzyła.

Tłum był zachwycony. Anakrytes wściekły. Ja też, nie będąc głupcem, który wyobraża sobie, że jest jeźdźcem.

Minęliśmy trzy stożkowate kamienie oraz ołtarz Consusa na końcu spiny, biorąc tam nieznośnie ostry zakręt. Potem popędziliśmy przez całą długość stadionu po przeciwnej stronie. Wylądowałem na ziemi tuż przed bramami startowymi przy akompaniamencie zgrzytliwego dźwięku zatrzymujących się w miejscu wypolerowanych kopyt. Famia wciągnął mnie do środka.

- Na Jowisza, Famio! Czy ten idiota to twój przyjaciel?

- Kazałem mu cię odszukać... już niedługo nasz bieg!

Szwagier najwyraźniej zakładał, że interesują mnie popisy mojego

zezowatego wierzchowca.

Byliśmy następnii. W atmosferze cyrku zaszła wyraźna zmiana; krążyły pogłoski, że ten wyścig wart jest oglądania.

Famia powiedział, że na Śmiałka postawiono duże pieniądze. Czempion wzbudził podziw potężną budową, fioletowym połyskiem cudownej sierści i sposobem wyrzucania nóg przy stepie i kłusie. Wyglądał jak koń, który wie, że to jego wielki dzień. Spojrzałem na Bryona, który pomagał dżokejowi dosiąść Śmiałka, i pozdrowiliśmy się skinieniem głowy. Właśnie w tym momencie zauważyłem kogoś, kto nie patrzył na Śmiałka, tylko przepatrywał intensywnie ciżbę wpatrzoną w konia. Ta osoba bez wątpienia rozglądała się za Pertynaksem.

- Zauważyłem znajomą dziewczynę... - mruknąłem do Famii.

Po czym precisnąłem się przez otaczający nas tłum, ścigany zrządzeniem szwagra, według którego przy tej wyjątkowej okazji mógłbym sobie darować kobiety...



LXXXVI

- Tullia!

- Falko.

- Szukałem cię wczoraj.

- A ja Barnabasa.

- Zobaczysz się z nim?

- To zależy od jego konia - oświadczyła ponuro dziewczyna. - On uważa, że ma pewniaka... ale zakłady zostawił mnie!

Pociągnąłem ją za rękę przez Targ Bydłęcy w cień i spokój, jaki dawała mała okrągła świątynia z korynckimi kolumnami. Nigdy wcześniej w niej nie byłem, nie wiedziałem nawet, jakiemu bóstwu jest poświęcona, ale zawsze podobała mi się jej prosta forma. Inaczej niż przy efektownych świątyniach, położonych dalej od rzeki, przy tej nie kłębił się tłumek podejrzanych handlarzy i miejsce to wydawało się zupełnie nieodpowiednie na składanie niestosownych propozycji dziewczęciu o wielkich oczach, odzianemu w świąteczną szatę.

- Chcę ci coś zaproponować, Tullio.

- Jeśli coś paskudnego, to możesz sobie darować! - rzuciła zmęczonym głosem.

- Masz dość mężczyzn? A nie miałabyś ochoty zarobić mnóstwa pieniędzy?

- O jakich sumach mówisz, Falko? - Oko jej błysnęło.

Gdybym powiedział, że pół miliona, nie uwierzyłaby.

- Wielkich. Powinien dostać je Barnabas. Mnie się jednak wydaje, że ty bardziej na nie zasługujesz...

Była tego samego zdania.

- Co mam zrobić, żeby je dostać, Falko?

Uśmiechnąłem się i wytłumaczyłem jej, jak może mi pomóc, żebym dopadł Pertynaksa, i w rezultacie otrzymać fortunkę równie piękną jak jej buzia.

- Zgoda! - powiedziała.

Uwielbiam dziewczyny, które się nie wahają.

Wróciliśmy do koni. Czarus rozglądał się dookoła, jakby wszystko było zachwycające. Co za zgrywus. Za pierwszym razem, kiedy Famia posadził mu na grzbiecie dżokeja, moje rozkoszne zwierzątko natychmiast go zrzuciło.

- Co to za jeden, Falko? - spytała Tullia.

- Czarus. Należy do mnie.

Tullia zachichotała.

- No to powodzenia! Och... dam ci to! - Podała mi skórzaną sakiewkę. - Jego żetony za postawione zakłady. Dlaczego Barnabas miałby mieć z tego korzyść? Zresztą i tak - wyjaśniła - bał się użyć własnego imienia, żeby go nie rozpoznano... więc posłużył się twoim!

Jeśli tak wyglądało poczucie humoru Pertynaksa, domyśliłem się, że to on musiał nadać imię koniowi, który był teraz moją własnością.

Skoro na grzbiecie Śmiałka jechały moje wszystkie oszczędności, musiałem obejrzeć ten bieg. Zatem kiedy Tytus, którego poznałem kiedyś w związku z moją pracą, przysłał mi zaproszenie, bym dołączył do niego w łoży edyla, popędziłem tam w podskokach.

W tym miejscu z całą pewnością Anakrytes nie mógł mnie nękać.

Tytus był młodszą, sympatyczniejszą wersją swojego cesarskiego papy. Znał mnie na tyle dobrze, by się nie zdziwić, kiedy wpadłem tam z togą zwiniętą pod pachą, a nie udrapowaną w nieskazitelne fałdy jak u większości ludzi, którzy spotykają się publicznie z synem cesarza.

- Wybacz, cesarze! Pomagałem sprzątać łajno. Mają trochę za mało personelu.

- Falkonie! - przywitał mnie. Podobnie jak Wespazjan, Tytus spoglądał na mnie, jakby nie mógł zdecydować, czy jestem najbardziej przerażającą osobą, jaka trafiła się w ich świecie, czy najlepszą tego dnia rozrywką. - Mój ojciec mówi, że twierdzisz, jakoby Czarus nadawał się na kielbasę... z czego w sposób oczywisty wynika, że jest pewniakiem.

Roześmiałem się z zakłopotaniem, pospiesznie układając togę.

- Cezarze, szanse mojego worka kości oceniane są jak jeden do stu!

- Można więc na nim niezłe zarobić! - Tytus wesolutko puścił do mnie oko.

Powiedziałem mu, że jest już wystarczająco dorosły, by nie stawiać swoich purpurowych szat na taką chabetę ze zmierzwionym ogonem jak moja. Robił wrażenie, jakby się zastanawiał. Po czym poprawił wieniec na kędzierzawej czuprynie, wstał, żeby dać tłumowi okazję do ryku, i z powagą rzucił na arenę białą chustę, dając znak rozpoczęcia wyścigu.

Był to bieg dla debiutujących pięciolatek. Wystawiono ich dziesięć, ale jeden nie dał się wprowadzić do boks startowego. Zanim na liście startowej, dość zresztą późno, pojawił się Śmiałek, faworytem był wielki arab o siwej maści, choć inni uważali, że mądrzej będzie postawić na niewielkiego krępego czarnego konia z tracką krwią w żyłach. Nasz Śmiałek był hiszpanem; co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Wszystko, od dumnie uniesionej głowy po łapczywy błysk w oku, świadczyło o jego walorach.

Kiedy niewolnicy pociągnęli sznur, kraty wszystkich bram otwały się jednocześnie. Za linią startu arab wysforował się naprzód z mocno wyciągniętą szyją. Śmiałek znalazł się tuż za nim. Czarusia zablokował jakiś kasztan z białą skarpetką i złośliwym spojrzeniem, więc znalazł się na końcu stawki.

- No tak! - mruknął Tytus tonem człowieka, który postawił u bukmachera ostatnią tunikę i teraz zastanawia się, czy brat mu jakąś pożyczycy. (Jego bratem był wredny Domicjan, więc pewnie by nie pożyczycy). - Zamyka stawkę, he? Taktyka, Falkonie? - rzucił.

Zerknąłem na niego, wyszczerzyłem zęby, po czym usadowiłem się wygodnie, żeby popatrzeć sobie, jak biegnie Śmiałek, mój faworyt.

Siedem okrążeń dostarcza wystarczająco dużo sposobności do lekkiej i fachowej pogawędki. Obgadaliśmy walory praktyczne areny i zgodziliśmy się, że arab ma wielkie serce do walki, ale brakuje mu treningów na świeżym powietrzu, więc może nie wygrać. Ten z białą skarpetką omijał stożkowe słupy na zakrętach szerokim łukiem, podczas gdy mały czarny tracki ogier wyglądał uroczo, biegł lekko i równym tempem.

- Szlachetny i autentyczny! - chełpił się jakiś gwardzista, który na niego postawił, jednak trak już w trzecim okrążeniu dał z siebie wszystko, czym dysponował.

Siedem okrążeń, kiedy stawką są twoje oszczędności, zdaje się trwać bardzo długo.

Kiedy w portyku na spinie opuszczono czwarte z drewnianych jaj, odliczając kolejne okrążenie, w loży przewodniczącego igrzysk zapadła cisza. Zaczynało to wyglądać na wyścig dwóch koni, Śmiałka i araba. Hiszpan biegł w ciekawy sposób, galopując lekko, z gracją i uniesionym poziomo ogonem. Głowę trzymał wysoko, co pozwalało mu widzieć konie przed sobą. Potrafił biec bardzo szybko, jednak dość wcześnie zacząłem podejrzewać, że nasz piękny morwowy ogier w rzeczywistości lubi mieć przed sobą coś, co może obserwować.

- Wydaje mi się, że twój podciaga - zauważył Tytus, chcąc być uprzejmy. - Może się przesunie do przodu.

- Zostawił sobie spore zaległości do odrobienia! - odparłem poważnym tonem.

Czarus był ósmy, a nie dziewiąty... tylko dlatego, że dziarski kasztanek popełnił błąd, padł na pysk i ściągnięto go z toru.

Przyglądałem się przez chwilę temu mojemu. Był okropny. Poczciwina z musztardowym pyskiem biegł jak pokraka. Nawet w moich oczach, właściciela, który starał się być wyrozumiały, ten koń robił wrażenie, jakby przed wyjściem na tor zamówił sobie termin w rzeźni. Głowę trzymał opuszczoną, jakby dżokej go dusił. Kiedy biegł naprzód, jego tylne nogi nie podążały zgodnie za przednimi, przy każdym kroku wierzgały do tyłu i jakby się wahały. Dzięki bogom, że nie musiał pokonywać przeszkód. Moje maleństwo należałoby bowiem do tych zwierząt, które przed skokiem przyglądają się sześć razy każdej kolejnej przeszkodzie, a potem zawisają nad nią w powietrzu, tak że serce dosłownie podchodzi człowiekowi do gardła.

Przynajmniej jego ogon fruwał pod zawadiackim kątem, co mnie akurat

się dość podobało. Był taki kiepski, że powinienem na niego postawić z sympatii, jaką się ma do przegranych.

Na szóstym okrążeniu Śmiałek był zdecydowanie drugi i mocno naciskał. Jeszcze.

Czaruś właśnie sobie uświadomił, że koń znajdujący się bezpośrednio przed nim to ten z białą skarpetką, który potrafił go przy starcie, więc odbił to sobie, wyprzedzając go; może zbyt blisko tamtego, ale udało mu się prześlizgnąć. Tym razem Tytus powstrzymał się od komentarza. Szóste miejsce przy siedmiu (w rezultacie kolizji był tam teraz jeden koń bez jeźdźca, głupawy rudzielec); nie było o czym dyskutować. Szczególnie że do końca pozostało tylko półtora okrążenia.

Ryk publiczności przybrał na sile. Zobaczyłem, jak Czaruś zastrzygł uszami. Na przedzie zaczynało się coś dziać. Siwek o brunatnym odcieniu na trzecim miejscu już tak długo biegł samotnie, że niemal przysnął. Cętkowana szkapa, o której nikt nie sądził, że mogłaby rzucić choćby chwilowe wyzwanie Śmiałkowi, zmusiła go tymczasem do przyspieszenia kroku, choć ten nadal utrzymywał swoją ulubioną pozycję, biegnąc niemal bark w bark z dorodnym arabem. Miałem wilgotne dłonie. Śmiałek był drugi; on pewnie będzie drugi w każdym biegu, do jakiego się go wystawi.

Wszystko, co kiedykolwiek zrobiłem, poszło nie tak. To, czego pragnąłem, zawsze okazywało się nieosiągalne. Kto coś takiego powiedział?... Helena. Helena, kiedy sądziła, że ją zostawiłem, a wiedziała, że będzie miała dziecko... Tak bardzo mi teraz była potrzebna, że omal nie wymówiłem na głos jej imienia. Może bym tak i zrobił, ale Tytus zawsze przyglądał się Helenie z taką zadumą, że aż mnie to niepokoiło.

Stawka była teraz mocno rozciągnięta. Kiedy konie szósty raz przebiegały przed stanowiskiem sędziowskim, między pierwszym a ostatnim odległość wynosiła ze dwadzieścia końskich długości. Widzowie zachęcali do biegu Śmiałka, przekonani, że przyspieszy gwałtownie na ostatnim okrążeniu. Kiedy jednak znajdujący się na czele jeźdźcy okrążali słupy spiny, czułem już w kościach, że nie ma na to szans.

Byli w połowie prostej po drugiej stronie spiny, z dala od sędziów - mając niewiele ponad pół okrążenia do mety - kiedy zarówno ja, jak i reszta Rzymu odkryliśmy coś nowego: mój koń, Czaruś, potrafił biegać, jakby jego matka poczęła go w związku z wiatrem. Kiedy rozpoczął pogoń, było na co patrzeć. Dżokej ani razu nie użył bicza; siedział tylko nieruchomo, kiedy ten głupi koń zdecydował, że pora ruszać... no i ruszył. Tłum go od razu pokochał, choć większość widzów z każdym jego krokiem była coraz bliżej utraty postawionych pieniędzy. To beznadziejne zwierzę wyglądające na takie, które zawsze wlecze się z tyłu, mknęło teraz, wyprzedzając wszystkie konie po kolei, jakby to były figle w promieniach słońca.

Śmiałek przyszedł drugi. Czaruś wygrał. Na finiszu wyprzedził Śmiałka o trzy długości.

Tytus poklepał mnie po ramieniu.

- Falkonie! Cóż za wspaniały wyścig! Musisz się czuć niezwykle dumny!

Powiedziałem mu, że czuję się niezwykle biedny.

Wyrwanie się stamtąd zajęło mi kilka godzin.

Tytus obdarował mojego dżokeja ciężką sakiewką ze złotem. Ja też miałem dostać prezent, w postaci ryby: Tytus obiecał mi turbota.

- Wiem, że jesteś łakomczuchem... - Zamilkł, uprzejmie zaniepokojony.
- Ale czy twój kucharz będzie wiedział, co z nim zrobić?

- Och, kucharz może dostać wtedy wolne i odwiedzić swoją cioteczkę! - zapewniłem go niefrasobliwie. - Zawsze sam przyrzadzam sobie turbota... W sosie kminkowym.

Dwóm ludziom udało się sporo wygrać. Jednym był Tytus, który jako starszy syn wspaniałego cesarza mógł się spodziewać, że będzie ulubieńcem bogów. Tym drugim, któremu nigdy tego nie wybaczę, był ten ścichapek, złośliwy, chytry konował, mój szwagier Famia.

Urządzili sobie wielkie rodzinne przyjęcie. Musiałem to znieść, wiedząc, że będzie to jedyny wieczór, kiedy inni chętnie postawią mi wino, tyle że tym razem akurat potrzebny mi był całkowicie trzeźwy umysł. Jedyne, co pamiętam z tego upiornego przyjęcia, to podchmielony Famia i moja trzyletnia bratanica bawiąca się bezużytecznym prezentem, który dostałem od Tulli, czyli żetonami Pertynaksa... Marcja rozkładała wokół siebie na podłodze żalosalne małe kościane krążki, podczas gdy wszyscy powtarzali, zresztą bez skutku, żeby ich nie zjadała.

Kiedy tylko mogłem się ulotnić, poszedłem na spotkanie z Gordianem. Miał niewiele do powiedzenia, poza tym, co już wiedziałem o wczorajszych wydarzeniach na Kwirynale... natomiast ja miałem wiadomość dla niego.

- Panie, młode dziewczę z winiarni na Zatybrzu przyniesie ci dzisiaj późnym wieczorem pewien dokument. Najpierw jednak trzeba tam nanieść pewną poprawkę.

- Co to takiego?

- Umowa małżeńska. Przysłała ją tobie pan młody. On myśli, że jego wybranka poprosiła, by go sprawdzić przed dokonaniem formalności. Jutro ty i ja mamy spotkanie z Acjuszem Pertynaksem.

- Jak to, Falkonie?

- Organizujemy mu ślub - odparłem krótko.



LXXXVII

Dzień, w którym żeniliśmy Acjusza Pertynaksa, po obfitych nocnych opadach był odświeżająco rześki i pogodny.

Moim pierwszym zadaniem było przelecieć się na Targ Bydłęcy i kupić owieczkę. Najtańsza, ale jeszcze do przyjęcia jako ofiara dla pięciu bogów małżeństwa, była małym nakrapianym stworzeniem, nadającym się idealnie do celów rytualnych, choć jak na jagnię przeznaczone do uduszenia w sosie z czerwonym winem odrobinę niepokąźnym. Tak czy owak, nie zależało nam, by bogowie zbyt długo wspominali z wdzięcznością naszą ofiarę.

Potem jakaś woniejąca stęchlizną handlarka girlandami w świątyni Kastora i Polluksa rzuciła mi kilka przywiedłych wieńców. Moja siostra

Maja pożyczyła nam swój ślubny welon. Zanim wyszła za mąż, pracowała przy krosnach u producenta płaszczy; właściciel miał do niej słabość, więc jej szafranowy welon był imponująco długi. Maja pożyczała go ubogim dziewczętom z Awentynu; spełnił swoje zadanie przy cementowaniu chwiejnych związków, zanim ozdobił Pertynaksową imprezę. Moja matka upiekłaby nam ciasto na winnym moszczu, ale jej nie chciałem w to wplątywać.

Kiedy spotkałem się z Gordianem, prowadząc mój wełnisty wkład w nasz spiszek, ten zażartował:

- Mam nadzieję, że potraktujesz to wszystko jako próbę generalną przed własnym ślubem!

Stojąca u mojego boku owieczka zabeczała żałośnie.

Spotkaliśmy się z Tullią na Forum Cezara, na schodach prowadzących do świątyni Wenus Rodzicielki.

- Przyjdzie? - spytał ją kapłan podekscytowanym głosem.

- Poprzedniego wieczoru szukał mnie w winiarni. Matka przekazała mu wiadomość i wzięła od niego kontrakt. Była przekonana, że jej wierzy... - powiedziała dziewczyna.

- Jeśli się nie pokaże - oznajmiłem spokojnie - rozejdziemy się do domów.

- Możemy go stracić - mruknął Gordian, zatroskany jak zwykle - jeśli się dowie, że jego ojciec ponownie się ożenił!

- Emilia Fausta obiecała mi, że informacja o jej małżeństwie nie zostanie publicznie ogłoszona - uspokoilem go. - Nie martw się zawczasu. Chodźmy!

Słońce muskało złote dachy Kapitolu, kiedy opuszczaliśmy Forum i skręcaliśmy na północ. Tak jak obiecaliśmy Pertynaksowi, oblubienicy towarzyszyła niewielka grupka ludzi: kapłan, jego pomocnik ze skrzynką tajemnych instrumentów i olbrzym grający na miniaturowym fleciku. Pomocnik kapłana miał na nogach wojskowe buty, ale na pewno nie był pierwszym żółtodziobem, który udawał się na religijną uroczystość niestosownie obuty.

Zostawiliśmy flecistę (Milona) na straży przed domem. Wpuszczając do środka nasz skromny orszak, stróż przyjrzał się uważnie pomocnikowi kapłana (czyli mnie - dla „celów religijnych” miałem szczelnie osłoniętą głowę); dałem mu równowartość dobrego obiadu w monetach i kazałem się ulotnić. Oświadczył na odchodnym, że oblubieniec już przybył. Można go było natychmiast aresztować, ale musieliśmy zająć się ślubem; przyrzekłem to dziewczynie.

Acjusz Pertynaks, alias Barnabas, czekał w atrium. Uczcił tę okoliczność starannym ogoleniem się i odświętną togą, jednak minę miał tę samą co zawsze, czyli skwaszoną zamiast niepewnie uszczęśliwionej, jaką zwykle widzi się u pana młodego. Pobladał, kiedy ujrzał Gordiana. Tamtego dnia widział go rozmawiającego z Heleną przed domem, i to prawdopodobnie wyjaśniało słowa kapłana:

- Wolałbym nie mieć żadnego udziału w twoich sprawach, Pertynaksie... ale znam tę damę od wielu lat i to ona prosiła mnie o przeprowadzenie tej ceremonii.

- Możemy pominąć formalności! - warknął Pertynaks i zacisnął usta.

Zauważyłem delikatne drgnienie pod jasnym, promiennie szafranowym welonem, lecz panna młoda skromnie zachowała milczenie. Dziewczyna była wysoka, pełna wdzięku, pięknie się poruszała i jaśniała we wspianym welonie mojej siostry; welon był bardzo gęsty i choć pozwalał jej widzieć, to jednak przesłaniał twarz.

- Doskonale. W wypadku małżeństwa, jak i w razie śmierci - oświadczył uroczystym głosem Gordian - ceremonia nie jest obowiązkowa. Aby zadowolić bogów, prawo i społeczeństwo, wymaga się od was jedynie ofiary, spisania kontraktu oraz przeprowadzenia panny młodej do domu pana młodego. Panna młoda już tutaj jest... fakt nietypowy, ale nie stanowiący przeszkody. W związku z nieobecnością swoich krewnych pani zdecydowała, że odda się...

- Zaufajmy jej! - uciał Acjusz Pertynaks. Ci spośród obecnych, którzy znali Helenę Justynę, nie widzieli powodu, by sprzeciwiać się jego słowom. - Zaczniemy już.

Rozdano wieńce. Kurcjusz Gordian włożył swój zamaszystym ruchem i w pustym atrium ustawił przenośny ołtarzyk. Stróż przed odejściem uruchomił fontannę... jedyny elegancki, uroczysty akcent.

Po wstępnej modlitwie kapłan polecił swojemu pomocnikowi z okutaną głową podprowadzić do przodu owieczkę. Po chwili biedne jagnię już nie żyło. Gordian dokonał tego szybko i sprawnie. W czasie spędzonym na przyłasku Kolonna nauczył się wprawnie posługiwać nożem ofiarnym.

Zbadał wnętrze, które wyglądały zdecydowanie podejrzanie, po czym zwrócił się do panny młodej i bez cienia ironii oświadczył:

- Będziesz wiodła długie, szczęśliwe i owocne życie!

Pertynaks wyglądał teraz nieco nerwowo, nie bez powodu. Jeśli poślubienie kogoś za pierwszym razem jest posunięciem zdecydowanie hazardowym, to robienie tego dwukrotnie wydaje się kompletnie niedorzeczne. Kapłan wyciągnął kontrakty. Najpierw podsunął je panu młodemu do podpisu. Potem pomocnik kapłana zaniósł dokumenty pannie młodej, która pisała swoje imię z doprowadzającą mnie do szału powolnością, podczas gdy Gordian zajmował Pertynaksa rozmową.

Podpisanie dokumentów zakończyło oficjalną uroczystość. Kapłan wybuchnął krótkim ponurym śmiechem.

- Cóż! Czas, by radosny pan młody pocałował szczęśliwą pannę młodą...

Stali parę kroków od siebie, kiedy podnosiła welon, a Pertynaks przygotowywał się na znajome chłodne, pełne uzasadnionej pogardy spojrzenie. Tymczasem miał przed sobą młodszą twarz o wyrazistej urodzie: ogromne ciemne oczy i drobne, białe ząbki, gładka cera, krzykliwe kolczyki i kompletnie niewinna mina, co oczywiście, fałszywa.

- Tullia!

- Ojej! - zawołałem współczująco. - Wygląda na to, że sprowadziliśmy jego znakomitości niewłaściwą pannę młodą!

Kiedy ruszył w jej stronę, odrzuciłem swoją białą zasłonę.

- Falko! - zawołał.

- Zawsze sprawdzaj wypisaną wcześniej umowę tuż przed jej podpisaniem, mój panie. Jakiś łobuz mógłby zmienić najbardziej istotny

szczegół! Przepraszam. Skłamałiśmy, mówiąc, że Helena Justyna chciała przeczytać te dokumenty, ale przecież kłamałiśmy też, twierdząc, że Helena godzi się ciebie poślubić...

Tullia uniosła szatę i popędziła ku drzwiom. Ja otworzyłem tę tajemną skrzynkę, jaką pomocnik kapłana niesie podczas każdego ślubu. Rodzinny dowcip utrzymuje, że młodzieniaszek trzyma w niej swoje drugie śniadanie... ja tymczasem miałem tam miecz.

- Nawet nie drgnij! Gnejuszu Acjusz Pertynaksie, aresztuję cię w imieniu Wespazjana...

Pogardliwie wykrzywił usta, nieprzyjemnie ukazując kły.

- Tobie miałbym zaufać! Też coś! - Odwrócił głowę i zagwizdał ostro. - Dwie strony mogą oszukiwać, Falkonie... - dodał. Rozległ się tupot i z korytarza wynurzyło się kilku uzbrojonych osiłków w kolczych spodniach i z błyszczącymi nagimi torsami. - Każdy pan młody chce mieć własnych świadków na ślubie! - zadrwił Pertynaks. Ci jego świadkowie nie zbliżali się z zamiarem ciskania orzechami. Oblubieniec najwyraźniej kazał mnie zabić.



LXXXVIII

Na szczęście nie oczekiwałem, by ofiara sztuczki ślubnej zareagowała na nią wdzięczną oracją. Najpierw się zdziwiłem. Potem ustawiłem z wzniesionym mieczem plecami do ściany.

Po człowieku jego pokroju należało oczekiwać czegoś w tym stylu. Tylko bogowie wiedzą, skąd ich wytrzasnął. Wyglądali na germańskich najemników, rosnących, długowłosych, płowych pyszałków. Kiedyś najął ich nieżyjący cesarz Witeliusz... teraz, po zakończeniu wojny domowej, pozostawiono ich własnemu losowi w Rzymie, po tym jak w knajpach nad Tybrem przepili pieniądze na powrót do domów i przy tym nowym, porządnym cesarzu, który nie zamierzał zatrudniać cudzoziemskich jednostek pomocniczych na terenie Rzymu.

Brzuchy mieli opasłe od nadmiaru piwka i kaszanki, ale walczyć umieli, szczególnie kiedy ich przewaga wynosiła sześć do jednego. Jakiś ponury dowódca na nadreńskim pograniczu zafundował tym bykom kilka lat ostrej legionowej musztry. Broń mieli galijską, ogromną, o płaskich ostrzach. Wywijali ją ponad głowę i na wysokości bioder, podczas gdy ja, z moim krótkim rzymskim mieczem przeznaczonym do pchnięć, zmuszony byłem bezustannie robić uniki. Pod strojem kapłana miałem skórzany bezrękawnik i osłony na ramiona... trochę za mało jak na sześciu rozszalałych maniaków, którzy wyraźnie czerpali radość z perspektywy pokrojenia mnie na plasterki jak skwierczące na ogniu prosię z lasu Teutoburskiego. Pertynaks roześmiał się.

- Ciesz się, ciesz - rzuciłem, kipiąc ze złości, ale nie spuszczać oka z Germanów. - Skończę z twoimi szwargoczącymi pieskami i zajmę się tobą!

Pokręcił głową i skierował się ku wyjściu. Tullia go wyprzedziła. Teraz, kiedy wiedział o jej oszustwie, była tak przerażona, że dodało jej to szybkości i pewności. Pomknęła do wyjścia... a do środka wpadł Milo.

Na widok naszego posepnego potwora Pertynaks stanął w miejscu i odwrócił się na pięcie. Zobaczyłem, jak lekkim krokiem podbiega do schodów. Byłem w pułapce, naciskany przez pół tuzina ciężkich ostrzy, których ciężkie ciosy spadające na mój miecz musiałem desperacko parować, co odbierało siłę moim nadgarstkom. Za Pertynaksem ruszył natomiast Kurcjusz Gordian... pokraczna, workowata postać przepelniona nadzieją zemsty, pędziła po schodach zadziwiająco szparko. Kapłan wymachiwał niewielkim, ostrym nożem, którego używał podczas ceremonii, nadal wilgotnym od krwi naszej złożonej w ofierze owieczki.

Milo rozważał, co ma zrobić; typowa gamoniowata tępota mojego ulubionego zbója.

- Bądź tak miły, Milonie, rzuć flet, a chwyć za miecz!

Olbrzym uzyskał broń prostą metodą, mianowicie chwytając najbliższego najemnika, podnosząc dzikusa do góry i tak mocno ściskając go w objęciach, aż tamtemu oczy wyszły z orbit, a miecz sam wypadł z jego bezwładnej dłoni.

- Przytul jeszcze kilku! - jęknąłem, pozbawiając broni kolejnego, podczas gdy mój but zostawił ślad podeszwy na jego zużytych nogawicach, czego, jeśli lubił kobiety, będzie kiedyś gorzko żałował.

Teraz mogliśmy z Milonem oprzeć się o siebie plecami i odsunąć od ściany. Przeciwnicy szerzej nas teraz okrążali, my z kolei zyskaliśmy trochę czasu, by reagować na ich ataki. Kiedy dwóch zaatakowało nas jednocześnie z przeciwnych stron, porozumiawszy się bez słów, pochyliliśmy się w tej samej chwili, pozwalając, by z obrzydliwym zgrzytem kości przebili się nawzajem.

To prymitywne ćwiczenie z fechtunku trwało krócej, niż sądziłem. Dwaj ostatni, którzy mogli się jeszcze poruszać, zabrali rannych. Żeby ukryć ich związek z domem Pertynaksa, wrzuciliśmy zabitych do rynsztoka po drugiej stronie ulicy, jak pozostałość po jakiejś bójce z ubiegłej nocy.

- Trafili cię, Falko?

Jeszcze nie czułem bólu, ale krwawiłem dość obficie z długiego rozcięcia w lewym boku. Po pięciu latach pracy w charakterze detektywa nie odczuwałem już potrzeby, by mdleć na widok własnej krwi, ale była to ostatnia rzecz, na której mi dziś zależało. Milo chciał, żebym szukał pomocy medyka, ale pokręciłem przecząco głową.

Wróciliśmy do środka, żeby odnaleźć Gordiana. Nikt nie zareagował na nasze wołanie. Zamknąłem na klucz drzwi wychodzące na ulicę, a klucz zabrałem ze sobą. Znalazłem zawór i zamknąłem fontannę; w całym pustym domu zapanowała szarpiąca nerwy cisza.

Skradaliśmy się po schodach na górę, nieustannie nasłuchując. Otwieraliśmy drzwi jedne po drugich. Puste sale i opuszczone sypialnie. Kurz zalegający na trójkątnych zwieńczeniach. Senne muchy uderzające w szyby ciepłych, opustoszałych pomieszczeń.

Gordian był w ostatnim pokoju pierwszego korytarza, jaki sprawdzaliśmy. Zobaczyliśmy go skulonego, opartego o marmurową plintę i byliśmy pewni, że nie żyje. Żył.

- Już go miałem... już wbiłem mu nóż... ale mnie zaatakował i spartaczyłem... - rozpaczał.

- Jest ogromna różnica pomiędzy rozplątaniem czegoś wełnistego przy ołtarzu a pozbawieniem życia człowieka... - mamrotałem pocieszająco, sprawdzając, czy nie jest ranny.

Pertynaks cisnął brutalnie naczelnym kapłanem o ścianę. Nie było widać zewnętrznych obrażeń, jednak w jego wieku wstrząs i wysiłek zbierały swoje żniwo. Oddychał z takim trudem, że martwiłem się o jego serce.

Zniosłem go z Milonem na dół i pospiesznie wypuściłem obydwu na dwór.

- Opiekuj się nim, Milonie.

- Wróć...

- Nie. To, co jest tutaj, należy do mnie.

Pomógł mi założyć opatrunek uciskowy na mój bok i obwiązał kawałkiem białego materiału, który wcześniej miałem na głowie. Przez chwilę spoglądałem za nimi, kiedy odchodzili. Właśnie tak chciałem: tylko Pertynaks i ja.

Wróciwszy do domu, ponownie zamknąłem drzwi na klucz. Pertynaks zapewne miał własny, kiedy tu mieszkał, ale teraz już bezużyteczny. Kiedy działałem jako likwidator, pierwsze, co robię, to zakładam nowe zamki.

Oddalałem się powoli od drzwi. Ostatecznie któryś z nas będzie tędy wychodził. To były jedyne drzwi. Rezydencja należała kiedyś do zamożnego człowieka. W Rzymie roiło się od włamywaczy, a ten klejnot pośród nieruchomości zbudowano dla bogaczy i miał chronić skarby. Ściany zewnętrzne ze względów bezpieczeństwa były ślepe. Okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec. Całe światło napływało stamtąd i z otworu w suficie atrium. To, co działo się na ulicach, na zewnątrz, należało do zupełnie innego świata.

On tutaj był. Ja też. Miałem klucz. Dopóki go nie znajdę, żaden z nas stąd nie wyjdzie.

Rozpocząłem przeszukiwanie. Były tu dziesiątki pokoi, przejścia, którymi mógł się obok mnie prześlizgnąć, więc niektóre fragmenty domu musiałem przepatrywać dwukrotnie. Zajęło to mnóstwo czasu. Rana zaczęła mnie palić i przeszkadzać. Krew przesączała się przez tkaninę. Szedłem cicho i spokojnie, żeby go nie ostrzec i by zachować jak najwięcej energii. W ten sposób obejrzałem wszystkie pomieszczenia. I w końcu przypomniało mi się to jedyne miejsce, które pomiąłem; już wiedziałem, gdzie on na pewno jest.

Po raz drugi szedłem powoli czerwonym korytarzem. Moje buty ślizgały się po gładzi mozaikowej posadzki. Wszedłem pomiędzy dwa cokoły, na których stały kiedyś bazaltowe popiersia, a stamtąd do eleganckiej lazurówoszarej sypialni, która kiedyś była azylem pani domu. Powitał mnie ciepły, głęboki błękit boazeryjnych płycin. Czuję się jak kochanek, podążający dobrze sobie znanym tajemnym szlakiem.

Zauważyłem niewielką rozmazaną rdzawą plamę na geometrycznym wzorze srebrno-białej mozaiki. Przykląknę z trudem i dotknąłem jej palcem. Sucha. Długo już tu siedzi. Może nie żyje.

Wyprostowałem się z trudem i powlokłem do drewnianych drzwi. Były zamknięte. Jednak kiedy je otworzyłem, z samego końca ogrodu Heleny jego gniewne oczy wbiły się w moje.



LXXXIX

Pokuśtykałem do kamiennego obrzeża trawnika i pokonując ból, przysiadłem na wprost mężczyzny.

- Dwa wraki! - rzuciłem.

Skrzywił się, pilnie oceniając mój stan, kiedy sam próbował ułożyć się w wygodniejszej pozycji.

- Co teraz, Falkonie?

- Jeden z nas coś wymyśli...

Siedział w cieniu. Ja na słońcu. Gdybym się przesunął, figowiec by mi go zasłonił. Więc tak zostałem.

Należał do tych niespokojnych, zawsze spieszących się typków; ja miałem dużo czasu. Zamilkł, ale nie odwracał ode mnie tej swojej napiętej wąskiej twarzy.

- Ogród twojej żony! - zaćwierkałem wesolutko, rozglądając się wokół. Był to niewielki perystyl, wypełniony stonowanym światłem i soczystą zielenią. Po jednej stronie krytej kolumnady stała wytarta kamienna ława na lwich łapach. Otaczały nas niskie, modelowane żywopłoty, z miejsca, na którym się wsparłem, rozchodziła się słaba woń rozmarynu. Czułem też delikatny zapach złotokapu. Mały posążek urwisa lejącego wodę - obdartusa w połatanej tunice - wyglądał, jakby Helena sama go sobie wybrała.

Ogród Heleny. Zaciszny, rozkwitły, tak wyrafinowany jak ona sama.

- Ten cichy zakątek świetnie nadaje się do rozmowy - powiedziałem. - I jest dobrym miejscem na śmierć mężczyzny, który i tak przecież nie istnieje... O, nie martw się. Obiecałem twojej żonie... twojej pierwszej żonie... że cię nie zabiję. - Poczekaj, aż się odprężę, i mój głos stwardniał. - Planuję całą serię mocnych, bynajmniej nie śmiertelnych ciosów, które uczynią twoje życie tak nieznośnym, że sam z sobą skończysz!

Kapłan już zrobił niezły początek. Tak będzie lepiej: niektórzy nie powinni umierać zbyt szybko.

Zwrócony bokiem do mnie wspierał się na rękę. Nie było dla niego wygodnej pozycji. Musiał trzymać rękojeść tego strasznego rytualnego noża, który Gordian wbił mu między żebra. Musiał go mocno przyciskać. Gdyby go bowiem wyciągnął, nagły upływ krwi mógłby zabrać ze sobą jego duszę. Niekтары by zaryzykowali; ja bym tak zrobił.

- Medyk wojskowy bez trudu by sobie z tym poradził - zauważyłem. Potem uśmiechnąłem się szeroko, dając mu do zrozumienia, że nigdy bym tu medyka nie wpuścił.

Był blady. Prawdopodobnie ja też. Rezultat napięcia. Myślał, że umiera.

Ja wiedziałem, że umiera.

Powieki mi opadły. Dostrzegłem, że się poruszył, z nadzieją. Otworzyłem ponownie oczy i uśmiechnąłem się.

- To bez sensu, Falkonie - oznajmił.

- Życie jest bez sensu.

- Dlaczego chcesz mojej śmierci?

- Dowiesz się.

- Dzisiejszy dzień był bez sensu - oświadczył Pertynaks. - Po co ta sztuczka z dziewczką? Mogę unieważnić to małżeństwo, kiedy tylko zechcę...

- Najpierw musisz się stąd wydostać, dostojny panie!

Myślał z goryczą o tym małżeństwie, nie zwracając uwagi na swoją obecność. Za tymi bladymi, obrzękłymi oczyma nadal kipiał jego dawny niespokojny, wybuchowy charakter. Twarz miał wymizerowaną wściekłością, nie na siebie za poniesioną porażkę, ale na świat, który nie zechciał go docenić. Jego dusza osuwała się powoli w szaleństwo. Ale nie był jeszcze szalony. Uważałem, że nadal jest zdolny odpowiadać za swoje zbrodnie.

- Czy to moja żona zorganizowała to wszystko? - zapytał, jakby go nagle olśniło.

- Twoja pierwsza żona? Owszem, jest mądra, ale czy jest aż tak mściwa?

- Kto wie, do czego jest zdolna!

Ja wiedziałem. W każdej sytuacji mogłem się domyślić: należało wziąć pod uwagę oczywiste rozwiązanie, potem odbiec od niego w najdziwaczniejszy sposób - i tak właśnie postąpiłaby Helena. Zachowałaby się tak, jakby jej osobliwy wybór był jedyną możliwością dla człowieka cywilizowanego i hołdującego zasadom moralnym. Miał ją na własność przez cztery lata, podczas gdy ona ze wszelkich sił starała się spełniać swój obowiązek wobec nich obojga... a przecież nie miał najmniejszego pojęcia o tej ekscentrycznej mieszance, którą nazywał swoją żoną.

- Helena Justyna chciała ci pomóc. Nawet wtedy, kiedy już wiedziała, że jesteś zdrajcą i mordercą...

- Nie chciała - oświadczył krótko. - To była jedyna rzecz, o którą ją poprosiłem... - Patrzył, jak poluzowuję przesiąknięty krwią opatrunek na żebrach. - Moglibyśmy sobie nawzajem pomóc, Falkonie. Żaden z nas nie ma wielkiej szansy sam.

- U mnie to tylko powierzchowne draśnięcie. Ty masz krwotok wewnętrzny.

Czy była to prawda czy nie, ta możliwość go przeraziła.

- Twoja żona nie jest głupia - oświadczyłem, odwracając jego uwagę od strachu przed śmiercią. - W Kampanii powiedziała mi, że każda dziewczyna potrzebuje męża.

- Ona szczególnie! - wykrzyknął Pertynaks. - Mówiła ci, że przytrafiła jej się ciąża? - Powiedział to tak, jakby mówił o potówkach, jakich dostała na wakacjach.

- Nie - odparłem spokojnie. - Tego mi nie powiedziała.

- Mój ojciec odkrył to, kiedy przebywała u niego w domu - wyjaśnił. Kiedy sobie przypomniałem, jak czasami wyglądała w Kampanii, uznałem, że nie było to trudne. Każdy, kto znał wytrwałość Heleny, mógł się tego domyślić. Włącznie ze mną. Mimo że siedział w cieniu, pocił się obficie; wydał policzki.

- Pewnie to był pomysł twojego ojca - zasugerowałem - by wykorzystać tę sytuację. Uratować reputację Heleny... dać jej dziecku szacowne imię?

- Zaczynam odnosić wrażenie, że bardziej zależy mi na wnuku niż na tym, by zrobić coś dla mnie!

- Pokłóciłeś się z nim?
- Być może - wydusił.
- Widziałem go po twoim wyjeździe z Kampanii. Wydawało mi się, że jego nastawienie uległo zmianie.
- Skoro już koniecznie musisz to wiedzieć, Falkonie, to mój ojciec postawił warunek, że stanie za mną, jeśli nawiążę na nowo kontakt z Heleną Justyną... a kiedy ona odrzuciła tę przysługę, winą obarczył mnie... Ale jeszcze zmieni zdanie.
- Prosiła o tę przysługę?
- Nie! - odparł ostro, swoim najbardziej pogardliwym tonem.
- Zdumiewasz mnie! - powiedziałem cicho. Pozwoliłem mu ochłonać, po czym oświadczyłem: - To jej nieoczekiwane dziecko musi gdzieś mieć ojca.
- To ja mam wiedzieć? Prawdę mówiąc, dobrze byłoby, żebyś mi powiedział. Gdyby Helenie powinęła się noga z woźnicą jej ojca, nie miałyby to żadnego znaczenia, jeśli natomiast związała się z kimś znaczącym, jestem w stanie użyć nacisków. Ty jej strzegłeś, jeśli dobrze wykonywałeś swoje obowiązki, musisz wiedzieć, w jakim basenie moczyła swoje paluszki.
Uśmiechnąłem się lekko.
- Możesz, panie, założyć, że zawsze dobrze wykonuję swoje obowiązki.
Przesycone słońcem powietrze w małym wewnętrznym ogrodzie było nieruchome. Światło odbijało się od rozwartych szeroko liści figowca. Żar wprawiał w drganie kępkę szorstkiego mchu na starej kamiennej ławie i dudnił w otworach ażurowego murku, pod którym siedziałem.
- Widziałeś, żeby Helena flirtowała kiedyś z jakimś mężczyzną?
- Żaden taki nie przeszedł koło mnie, panie.
Pertynaks prychnął z irytacją.
- Ta harda kobieta nie chce mi powiedzieć... ty też jesteś nieprzydatny!
- Czy to istotne? Ile warta jest ta informacja?
- Zatem wiesz? Nieważne - warknął raptownie. - Sam się dowiem!
- Wyrwiesz to z niej siłą? - zadrwiłem. Pertynaks milczał. Z jakiegoś powodu zaczął przyglądać mi się uważniej.
- Czy ten człowiek cię niepokoi? - zapytałem cicho.
- W żadnym razie! - Jego arogancja nieco osłabła. - Kiedy powiedziałem jej, że niemądrze jest odrzucać moją ofertę, przyznała, że trudno wykreślić z pamięci nasze małżeństwo... ale teraz ktoś inny ma do niej prawo...
Zagwizdałem długo i sugestywnie.
- Ciężka sprawa! Jakiś przebiegły krętacz mający oko na jej skrytkę bankową najwyraźniej przekonał Helenę Justynę, że jest w niej zakochany.
Wpatrywał się we mnie, jakby nie był pewien, czy to tylko kpina.
Ból w boku stawał się nieznośny.
- A skoro już mowa o pełnych skrytkach bankowych, to mam dla ciebie wiadomości, Pertynaksie. Kapreniusz Marcel doszedł do wniosku, że pokładanie nadziei w tobie to najkrótsza droga prowadząca do długotrwałego rozczarowania. Kiedy odjechałeś, nie pożegnawszy się z nim, podjął pewne działania...
- Jakie działania?

- Takie same jak ty dzisiaj. Ożenił się.

Jego pierwszą reakcją było niedowierzenie. Potem uwierzył. Był zbyt rozjuszony, by go to zabolalo; widziałem, że już planuje sposoby wyjścia z tej sytuacji. W jego bladych oczach widać było, że przez głowę przebiegają mu szalone myśli, jedna po drugiej. Położyłem temu kres.

- Marcel bardzo lubił Helenę. Przy jej pomocy mógł byś zachować jego wsparcie... tyle że on uświadomił sobie prawdę. Och, ona będzie z tobą na zawsze związana z wielu powodów! Owa szlachetność, która w niej tkwi, a którą pogardzasz, to zapewnia. Rozwód był dla niej czymś nieznośnym. Jednak ktoś, kto potrafił zaoferować jej ucieczkę przed własnym poczuciem porażki, bez trudu mógł cię zastąpić. Lepiej się z tym pogódź - ostrzegałem go spokojnym głosem. - Straciłeś Helenę Justynę tak samo, jak przegrałeś wszystko inne, czego spróbowałeś. - Zanim zdążył odwdzińczyć mi się czymś podobnie obraźliwym, mówiłem dalej: - Ja wiem, dlaczego cię odrzuciła. Marcel też wiedział. - Wyprostowałem plecy, by łatwiej znieść palący ból w boku.

On tkwił w pozycji półleżącej, w wilgotnym cieniu pod murkiem i wcale nie miał ochoty mnie o to pytać. I tak mu powiedziałem.

- Masz o sobie takie wysokie mniemanie, Pertynaksie! - Niezależnie od tego, czy moje słowa robiły na nim jakiegokolwiek wrażenie czy też nie, byłem już przekonany do tego, co robię. W rezultacie obelgi zaczęły płynąć o wiele szybciej. - Byłeś do niczego... kiedy się tylko od ciebie uwolniła, bardzo szybko lepiej ułożyła sobie życie. Zapewne uważasz, że ją dobrze znasz, ale wątpię, by tak było! Na przykład, czy przez te wszystkie lata małżeństwa miałeś okazję zauważyć, że kiedy mężczyzna uszczęśliwi Helenę, ona płacze w jego ramionach?

Wreszcie do niego dotarło.

- Zgadza się - powiedziałem. - Utraciłeś ją z najstarszego powodu na świecie... znalazła lepszego mężczyznę!

Pertynaks rzucił się wściekle w moją stronę i wtedy dłoń, na której był wsparty, wysunęła się spod niego do przodu. Nagie ramię całą swoją długością przeszorowało po luźnym żwirze ścieżki. Nawet nie drgnąłem. W tej krytycznej chwili miałem oczy zamknięte, słyszałem jednak syk uciekającego powietrza, kiedy ofiarny sztylet przedziurawił płuco.

Umarł natychmiast. Dlatego wiedziałem, że kiedy padał do przodu, nóż kapłana przebił mu serce.



XC

Kiedy moje serce się uspokoiło, wstałem powoli. Ogród Heleny.

Pewnego dnia, nieważne, kiedy to się stanie, dam jej inny ogród, taki, w którym nie będzie duchów.

Zdrętwiały i zgorzkniały powlokłem się do drzwi, trzęsącymi rękoma wsadziłem klucz do zamka i wyszedłem na rozpaloną słońcem ulicę. Mały kudłaty piesek z obciętym ogonem obwąchiwał prześcieradło, którym jakiś porządny dozorca z Kwirynału okrył ciała dwóch germańskich najemników, podczas gdy wytworni mieszkańcy okolicy siedzieli w swoich

domach i narzekali.

Cmoknąłem do psiny; pokręcił kuprem jak konspirator.

- Falko!

W cieniu portyku zobaczyłem lektykę. Obok niej, na stopniu, siedziała Tullia.

- Jak miło, że poczekałaś! - rzuciłem.

Nie był to z jej strony czysty altruizm: nadal miałem za pasem interesujące ją świadectwo ślubu. Podąłem jej kontrakt i oświadczyłem, że młodego małżonka zostawiłem w wygodnym dla niej martwym stanie.

- Weź ten dokument do mojego bankiera. Pieniądze, jakie obiecałem, to zapis poczyniony przez Acjusza Pertynaksa na rzecz jego wyzwolenca Barnabasa. Teraz należy się on tobie jako żonie owego wyzwolenca. Gdyby bankier miał wątpliwości w sprawie podpisu na umowie, przypomnij mu, że niewolnicy przyjmują imiona swoich panów, kiedy się ich oficjalnie wyzwala.

- Ile jest tych pieniędzy? - spytała szybko Tullia.

- Pół miliona.

- Bez żartów, Falko!

Roześmiałem się.

- To prawda! Postaraj się nie wydać ich już pierwszego tygodnia.

Pociągnęła nosem, z czujnością urodzonej kobiety interesów. Już ona chwyciła tę forszę mocną i pewną ręką.

- Mogę cię gdzieś zabrać?

- Trzeba pozbyć się ciała...

Tullia uśmiechnęła się łagodnie, wpychając mnie za ramię do lektyki.

- Byłam jego żoną. Pozwól, że to ja oddam mu ostatnią posługę!

- Obowiązek to cudowna sprawa! - zachichotałem. Zabrała mnie tam, gdzie prosiłem, do mojego gimnazjonu. Potem wychyliła się z lektyki i pocałowała na pożegnanie.

- Ostrożnie... nadmiar ekscytacji może mnie zabić, kwiatuszku!

Patrzyłem, jak ponownie sadowi się we wnętrzu z powagą kobiety, która dokładnie wie, jak sobie zorganizować resztę życia. Będzie w nim, pomyślałem sobie, niewielu mężczyzn.

Wychyliła się jeszcze raz, kiedy lektyka już ruszyła.

- Skasowałaś już wygraną, Falko?

- Śmiałek przegrał.

- Och, przecież te zakłady były na Czarusia! - poinformowała mnie Tullia ze śmiechem i zaciągnęła zasłonki, kryjąc się - teraz, kiedy już była zamożną damą - przed wzrokiem tłuszczy.

Z trudem dotarłem do gimnazjonu, by Glaukos mógł mnie połatać, przypominając sobie z rozpaczą, kiedy ostatni raz widziałem te małe białe kościane krążki...

- Co ci się, na Hadesa, przytrafiło? - spytał Glaukos, nie zwracając uwagi na ranę w boku, tylko przyglądając się mojej posępnej twarzy.

- Właśnie wygrałem fortunę... ale moja bratanica ją zjadła.

Mój trener był człowiekiem rozsądnym.

- No to posadź malucha na nocniku... i czekaj!

Przeprowadziliśmy dłuższą dyskusję o tym, czy kości rozpuszczają się w

kwasach żołądkowych, ale jej przebiegiem nie będę nikogo zanudzał.

Doprowadził mnie do porządku i obiecał, że utrzymam się w pozycji pionowej, jeśli będę szedł równym krokiem. Potem wynająłem lektykę aż do bramy Kapeńskiej. Siedziałem sobie, marząc o nowym mieszkaniu, na które będzie mnie stać, jeśli jakieś żetony uda się odzyskać od Marcji...

Nigdy nic nie jest łatwe. Kiedy zapłaciłem tragarzom na końcu ulicy senatora, dostrzegłem grupkę kręcących się przed jadłodajnią mężczyzn: ludzie Anakrytesa. Doszli do wniosku, że wcześniej czy później spróbuję się zobaczyć z Heleną. Gdybym się zbliżył do tego domu, rekonwalescencję przechodziłbym w celi więziennej.

Na szczęście nie byłem jakimś tam ofermowatym kochankiem; wiedziałem, gdzie znaleźć tylne wejście do rezydencji senatora.

Kiedy wślizgiwałem się do środka niczym jakiś złodziej marmurów, natknąłem się na samego Kamila Werusa, który stał z założonymi rękoma i wpatrywał się w karpia pływającego w ciemnej sadzawce. Zakasłałem.

- Miły wieczór!

- Witaj, Falkonie.

Dołączyłem do niego i też zacząłem stroić miny do ryby.

- Muszę uprzedzić cię, panie, że kiedy będę stąd wychodził, to zapewne na ulicy zostanę aresztowany.

- Dasz więc sąsiadom temat do rozmów - odrzekł ze spokojem. Tunika, którą pożyczył mi Glaukos, miała tylko jeden rękaw; Kamil uniósł brew na widok bandaży.

- Pertynaks nie żyje - uprzedziłem jego pytanie.

- Opowiesz mi?

- Za jakiś czas. Zanim będę w stanie sobie przypomnieć, muszę najpierw zapomnieć.

Skinał głową. Karp wystawił pyszczek nad powierzchnię wody, ale nie mieliśmy nic, czym moglibyśmy go poczęstować, więc tylko patrzyliśmy na niego z minami winowajców.

- Helena dopytywała się o ciebie - oświadczył jej ojciec.

Zaprowadził mnie do środka, aż do atrium. Posąg, który przysłałem z domu Pertynaksa, stał na honorowym miejscu. Senator podziękował mi, kiedy obaj spoglądaliśmy na rzeźbę ze spokojem, który byłby niemożliwy, gdybyśmy patrzyli na żywy oryginał.

- Ciągle się zastanawiam - powiedział zadumanym głosem Kamil - czy nie powinienem był jednak zamówić marmuru...

- Brąz jest najlepszy - oświadczyłem. Uśmiechnąłem się do niego, żeby wiedział, że miał to być komplement wobec jego córki. - Więcej w nim ciepła!

- Idź już do niej - popędził mnie. - Nie odzywa się, nie płacze. Może tobie się uda coś zrobić...

Jej matka i stadko pokojówek wypełniały pokój. Był tam też jakiś mężczyzna, zapewne medyk. Moje róże stały przy łóżku Heleny, mój sygnet tkwił na jej kciuku. Ona sama zajęta była lekceważeniem dobrych rad z zastygłą na twarzy upartą miną.

Stałem w drzwiach, oparłszy się o framugę jak zawodowiec, groźny i twardy. Natychmiast mnie dostrzegła. Helena miała wyrazistą twarz, której

miętkość brała się z przeżywanych uczuć. Kiedy tylko ta piękna twarz rozjaśniała się ulgą, jak choćby teraz, na mój widok, trudno mi było zachować tę pozę twardziela.

Wciąż podpierałem futrynę i próbowałem przypomnieć sobie jakiś niewyszukanie sprośny żart, którego by się po mnie spodziewała. Dostrzegła bandaż.

- Można na tobie polegać - oświadczyła - że zjawisz się cały we krwi, kiedy tylko jest gdzieś czyjś medyk, który cię za darmo opatrzy!

Pokręciłem lekko głową, dając do zrozumienia, że to ledwie draśnięcie. A jej oczy mówiły mi, że niezależnie od tego, co jej uczyniłem, cieszy się, że tu jestem.

Większość mojej pracy musi być wykonywana samotnie, dobrze jednak byłoby mieć świadomość, że kiedy ją skończę, mogę przyjść do domu, do kogoś, kto serdecznie mnie zrugą, jeśli okażę najmniejszą tendencję do chępliwości. Kogoś, kto zateškni, jeśli nie uda mi się wrócić.

Pozostawanie w pokoju podczas badania świadczyłoby o oczywistym braku delikatności. Na szczęście medyk właśnie odchodził. Stałem mu na drodze.

- Nazywam się Dydiusz Falko. Mieszkam w bok od drogi Ostyjskiej, nad pralnią „Pod Orłem”, przy Dziedzińcu Fontanny. - Wyglądał na zaintrygowanego. - Wyślij mi rachunek za swoje usługi.

Kobiety w pokoju znieruchomiały. Spojrzenia wszystkich pobiegły ku Helenie, która nie odrywała wzroku ode mnie.

Medyk był z pochodzenia Egipcjaninem. Miał kanciastą głowę i brwi, które stykały się nad prostym, mocnym nosem. Wyglądał dystyngowanie, ale nie był zbyt bystry.

- Z tego, co zrozumiałem, senator...

- Senator - wyjaśniałem cierpliwie - jest ojcem tej damy. Dał jej życie, wykarmił, wykształcił i obdarzył humorem, który wyziera z jej miodowobrazowych oczu. Ale tym razem to ja opłacę twój rachunek.

- Ale dlaczego...

- Pomyśl - powiedziałem łagodnie.

Ująłem go za łokieć i wyprowadziłem z pokoju. *Pomyśl o tym. Nie, nie myśl. Dziecko było twoje. Nasze. Pomyśl, Marku. Pomyśl o tym.*

Przytrzymałem otwarte drzwi. Mimo całego tego poruszenia skonsternowanych kobiet Julii Juście udało się jakimś cudem je wszystkie wyprowadzić.

Cisza. Helena Justyna, same oczy. Helena i ja.

- Marku... nie byłam pewna, czy jeszcze kiedyś przyjdiesz.

Wysunąłem do przodu brodę, co było parodią zazwyczaj czarująco beztroskiego zachowania.

- Powiedziałem ci, wisienko, że jeśli tylko będziesz tam, gdzie cię mogę odnaleźć, to zawsze wrócę... Tylko mi jedno obiecaj - dodałem cicho. - Obiecaj mi, Heleno, że następnym razem mi powiesz.

W ciszy, jaka nastąpiła, mieściły się boleść i żal całego świata. Wreszcie niewypłakane łzy wypełniły oczy Heleny.

- Pracowałem - mówiłem ostrożnie - miałem głowę zajętą mnóstwem spraw. Pragnę jednak, byś to wiedziała, Heleno... gdybym wtedy mógł

przypuszczać, że jestem ci potrzebny, rzuciłbym wszystko...

- Wiem - powiedziała. - Wiedziałam o tym. Oczywiście.

Zatem tak. Tak naprawdę przez cały czas znałem powód.

- Myślałam - zaczęła po chwili, mówiąc odrobinę głośniej niż szeptem, więc wiedziałem, jakie to dla niej trudne. - Myślałam, że będzie mnóstwo czasu...

- Och, najdroższa!

Wyciągnęła do mnie rękę, zanim zdążyłem się poruszyć. Trzema krokami pokonałem przestrzeń dzielącą mnie od niej. Postawiłem stopę na podwyższeniu, siadając bokiem na łożu, i wreszcie zamknąłem Helenę w ramionach, zaciskając je tak mocno, że prawie nie czułem głębokiego rozpaczliwego szlochu, który tak bardzo pragnęła z siebie uwolnić. Kiedy wreszcie rozluźniłem ramiona i obejmowałem ją znacznie delikatniej, Helena obronnym gestem osłoniła dłonią miejsce, gdzie zostałem raniony. Nie odzywaliśmy się, ale oboje wiedzieliśmy. Mój szorstki policzek, do którego przytuliła twarz, był mokry nie tylko od jej łez.



KONIEC tomu drugiego

Księgozbiór DiGG



2010